

Kaczkowski Zygmunt

SODALIS MARIANUS

Już to było od bitwy półtawskiej ubiegło kęs czasu. Już szwedzki najeźdnik doczekał się być zasłużonej nagrody, i siedział jakby na wygnaniu, w Benderze. Już - też i król August II, od konfederacji sandomińskiej po zjeździe tarnowskim na tron zaproszony, zawitał był do Polski i włożył napowrót koronę. Już więc było niby po wojnie, – ale cóż z tego, kiedy spokoju nie było? – na czym też srodze cierpiał i naród i kraj, kilkunasto- letnimi wojnami do szczętu już wyniszczony...

A jak to dobrze powiada staropolskie przysłowie: że najgorszy diabeł jest na wychodnem; tak też było i z temi wojskami, które się jeszcze naówczas uwijały po kraju. A było tych wojsk zaprawdę niemało, ^o nie licząc już tego, co miał hetman wielki koronny pod swoją komendą, co było pod Chomentowskim, wojewodą mazowieckim, generałem Rybińskim i innymi panami; toż sprzymierzonych z królem Augustem, tych tam pułków kozackich i nie wió Bóg jakich, było na kilkadziesiąt tysięcy.

Oprócz nich zawadzały się jeszcze tur i owdzie po Wielkiej Polsce króla Stanisława zaciągi, jak i małe prezydya szwedzkie po niektórych miasteczkach – a kiedy Szmigielski, ów najśmielszy wojownik onego czasu, wypadając od Pomaranii, jeszcze się nieraz aż ku Wiśle zapędzał, – nuż wpadł ►znowu Grudziński od Wołoszczyzny, właśnie jakoby rzćka wystąpiła z pod ziemi. Gdzie zaś z nich który zawitał i swe wojska rozłożył, już tam był zaraz i> komisoryat i taryfa gotowa, od której dziwnie trzeszczały spichrze i wymiały się gospodarskie obory. Sfękała na to szlachta, krwawemi łzami płakał lud ubogi, – ale napróżne to były i łyzy i stękania, bo w czasie wojny a choćby tóż tylko niepokojów wojennych trudno być może inaczej...

Jakoż jeszcze z tymi wszystkimi była w istocie rzeczy łatwiejsza sprawa, bo który z nich nie miał rzetelnego przywiązania do kraju, to miał w tóim własny interes, aby go sobie nie zrazić, – było więc wszędzie przy tych poborach jakie takie umiarkowanie; a gdzie w skutek żołnierskiej swawoli wywiązała się krzywda, tam się pewno bez łez nie obeszło, a czasem nawet i bez krwi rozlewu. "Wprawdzie król, kiedy mu Denhoff, konfederacji sandomierskiej marszałek, i Szaniawski, biskup natenczas kujawski, koronę do Drezna przynieśli, zobowiązał się być wznowić natychmiast Pacta Conventa, a swoich Sasów do Saksonii wyprawić i nigdy ich już potem do Polski nie wprowadzać, – wydał był nawet uniwersał tej treści i rozesłał po wszystkich grodach, – ale jak tylko osiadł na tronie, już ani mowy o tem nie było. I nietylko nie wyprawił tych Sasów, którzy podczas jego niebytności to przy hetmanie w. koronnym, to przy innych dowódcach byli w granicach kraju, •ale jeszcze i nowych przyprawił ze sobą. A wszystko to się szeroko po Małej Polsce i Mazowszu rozlało, wyciskając niezliczone pobory, zabierając bydło i konie, zaglądając nawet do skrzyń i kaletek, owo zgoła tak burmistrzując po tych tu krajach, jak gdyby nie byli li tylko gośćmi przez wzgląd na króla cierpianymi tymczasem, ale poprostu zwycięzcami dzikiego albo zbuntowanego narodu. Przykro to było, tak ubogiemu ludowi, jak tóż i szlachcie, • dać się gnębić tym ludziom, których jakoby sami zaprosili do siebie, – przykrzój jeszcze dlatego, że cały kraj wówczas, kilku-

nastoletnimi wojnami do czysta wymieciony z zasobów, nie był w stanie dawać i najskromniejszych poborów, – lecz już najprzemyślej dlatego, że te wojska królewskie, zamiast wdzięczności za to, że ich panu zwrócono nazawsze już porzuconą przez niego koronę, jeszcze prawie wyraźnie się mściły na tym narodzie, dopuszczając się, krom najcięższych ucisków, jeszcze i rozbójniczych napadów, a gdziegdzie i mordów. Tak w owe czasy porabowali oni Lubomirskich, Zaborowskich, Magnuskich, – tak napadli na dom kasztelana wiślickiego i cześnika sandomierskiego Jordana, – a już najsroźszego losu doznał od nich pan Ożarowski, owoczesny stolnik krakowski.

Stało się to zaś w sposób prawie następujący.

Pan Ożarowski mieszkał w swym starożytnym, chociaż w części już odnowionym dworcu nad Nidą i prowadził życie najspokojniejsze. Za młodu był on czynnym tak jak i drudzy, a może nawet i lepiój, bo rotmistrzował z chwałą swojej własnej chorągwi pancernój pod Wiedniem, był też pod Parkanami i we wszystkich tamtejszych utarczkach. Powróciwszy na łan swój rodzinny, posłował po dwakroć, nie wymawiając się też po staremu i od innych posług obywatelskich, które zawsze z zadowoleniem braci

wypełniał. Ale od czasu, jak ten król nowy był osiadł na tronie, do którego on żadnym sposobem nie mógł swego serca nachylić, przyjął już tylko zaszczyt krakowskiego stolnika, a zresztą odsunął się od wszystkiego. Wprawdzie owego czasu, kiedy województwa poznańskie, kaliskie, a za nimi i inne, wrzekomo przeciwko pustoszeniu kraju przez wojska obce, a w istocie na rzecz przyszłego króla Stanisława, konfederacye były podniosły, to i on także dla swoich związków przyjaznych z domem Leszczyńskich tam się był przebrał i do swój konfederacyi akces uczynił; ale też co do sprawy publicznej było akt jego ostatni, po którym powróciwszy do domu, już się też z niego nie ruszył. Gdyby był chciał nawet, toby był nie mógł być czynnym, bo kromia wieku, który mu głowę już śnieżną siwizną przypruszył, jeszcze miał gościem u siebie pradziadowską podagrę, która oku wszy go w swoje nie- zbląbane kajdany, nieraz i po kilka miesięcy trzymała przywiązane do krzesła. Zostawiając tedy wszystkie poza domowe sprawy swej żonie, która tóż rada temu nadzwyczaj, gościem tylko bywała w domu ekscypując sobie tylko opiekę nad swoim synem, którego miał w szkołach w Krakowie, – siedział kamieniem w domu, nip rnącąc wody nawet i we własnej studni. Tak też całą tę zimę przesiedział, bo 'i wiosny już trochę, nie widząc nawet własnego dziedzińca... Aż też po srogich ulewach przyszło dni parę pogodnych i zakazało się było na długo trwałą pogodę. Suche i ciepłe powietrze przyniosło ulgę jego słabości, więc po obiedzie kazał się być wynieść do otwartego pawilonu, – który conceptem pani stolnikowej przybudowany do lewego skrzydła starego dworu, dawał arcy powaby widok na owe piękne kwieciste łąki nad Nidą, na sarnę Nidę, a dalej i na murowany zameczek po tamtej stronie rzeki, którego strzegły po jednej stronie obfite sady, a po drugiej olbrzymie świerki, a na którym siedział pan Bobrownicki, .szlachcic zamożny i poważny, chociaż tylko miecznik stężycka.

Więc kiedy stolnika niesiono do pawilonu, rzecze on do rotmistrza:-

– Jak się przed domem pokażę, może mnie tóż obaczy mój miecznik kochany i z łaski swojej nawiódzi.

A na tołksiądz bernardyn z powagą:

– Zeby się jeno dostał przez Nidę, bo jako widzę jeszcze wciąż potężnieje i jakoś dziwnie się pieni.

– -Tedy może kto inny wstąpi, – dodał do tego rotmistrz,– zwłaszcza z przejeżdżających. Bo to jakaś osobliwa jest szlachta w tej Małej Polsce! Włóczą się jak cyganie, a po dworach pusto jak po klasztorach: czort ich wie kędy więc zajeżdżają. Chyba że im milsza gospoda, niż dworzec bratni!

Więc już zasiedli wszyscy około stoła, a stolnik tak odpowiedział:

– Panie bracie! niemasz ta temi czasy po co tak bardzo za

jeźdząc po dworach, bo i nie wiem, żeby -gdzie jeszcze była jaka taka piwnica, a ledwie kędy komora. A toż i u mnie niegdyś coś było w piwnicy, jako widać dziś jeszcze po różnych beczkach, a teraz muszę pana brata częstować piwkiem.

– Bo toż pan brat sam sobie winien! – powiedział otwarcie rotmistrz, – bo kiedy w kraju duchy się dwoją, to już trza trzymać z jednym na umor i całym domem, jako Pan Bóg przykazał. A tu jegomość deklaruje się za Szwedami, a jójmość utrzymuje ze Sasem: przyjdą więc Saści, rabujże jegomości, na co trzyma ze Szwedami: a przyjdą Szwedzi, rabujże jejmość, że trzymała z Sasami. A tu jegomość i jójmość to jedno. A z tóćm więc bieda, bo takim terminem żadna nie wytrzyma piwnica.

A stolnik śmiał się i mówił:

– A waści po staremu przecie największy żal za piwnicą! Otóż ci powiem na pocieszenie, że tam już dobrze szperano, przecie jeszcze nie wyszperano wszystkiego...

Tu stolnik trochę odetchnął i patrzył się na rotmistrza, – rotmistrz rozziawił gębę od ucha do ucha; – ale tymczasem stolnik jakoś wcale inaczej zakręcił i rzekł frasobliwie:

– Jakoż to tam niewielkie rzeczy, zwłaszcza też dla mnie, który od niepamięci nic nie pijam krom wody. Ale folwarki moje, folwarki! Już mi toż je po wymiatano z kretešem. Kiedy więc sobie pomyślę, że do tego jeszcze jest tyle długów, na co moja jójmość jeszcze zawsze nie chce pamiętać, to już mi się czasem i na płacz zabiera. Bo co to kiedyś czeka mojego Jurcia!

A na to rotmistrz ledwie nie z gniewem:

– Bo toż trza panu bratu było jeździć po żonę pomiędzy lutry!

Więc stolnik na to w głos się roześmiał i rzekł:

– Otóż to piękna! a przecieżto twoja stryjeczna!

A rotmistrz już i sam nie wiedział co mówić, bo i tak było.

– Stryjeczna, nie Stryjeczna, – rzecze nareszcie', – ale kiedy sekutnica, to trudno.

Jmć Ożarowski jeszcze się zawsze uśmiechał, ale już odpowiedział z powagą:

►' Panu Bogu niech będzie chwała, że też nas nikt nie słyszał. Bo muszę waści powiedzieć, że cobądź ludap*gadają, nigdy jeszcze te słowa nie były wymówione w tem miejscu. Ani też tej myśli nie było nigdy w móm sercu, boby była niesprawiedliwa. Już to mówiąc Bogiem a prawdą, Pan Bóg mnie trochę ukarał i słusznie: fiat voluntas Tua! Bo to nigdy nie trza za gładkością uganiać, co jest płochość niezmierna i grzeszna. U mnie ta pło- cliość jeszcze była grzeszniejsza, bom toż już nie był tak młody. Za to więc kary cokolwiek. Ale że ta kara z miłosierdzia Bożego nie jest znowu tak wielka, jak tam może sąsiadki przy kądzielach brząkają, o tem już ja wiem najlepiój. Przy tóćm i owóćm, najzacniejsza • to białogłowa pod słońcem. Jakoż nigdy* tego żalować

nie będę, żem ją poślubił, a jeżeli kiedy czego żałował, to chyba jż tylko tego, że mi moje ojcowie tej tam fortuny, co się poroz- łażała pomiędzy Grodziów, Jastkow^kich, Skromowskich i Bóg nie wie tam jakich, nie zostawili więcej. Co też waści, jako tak bliz- kiemu krewnemu, dokumentnie wyluszcę, ale wpiórw jeszcze do piwnicy powrócę... Więc tedy w tój tam piwnicy jest w jednej ścianie głąz murowany sążnisty. Już go widział niejeden, ale żaden się nie domyślił co za nim siedzi. Waści więc powiem sub secreto, że kiedy ten głąz całą swoją figurą po lewej stronie przy- ciśniesz, to się przed tobą obróci, bo jest na wrzeciądzach. Jeżeli więc jest fantazyja potemu, to idź się spróbój z tym głązem, a co za nim znajdziesz, to przynieś na pocieszenie. Chowa się to na wesele mojego Jurcia, ale kiedy taki zacny gość nam zawitał, to się trzeba rozgrzószyć...

Poszedł tedy rotmistrz z wielką dla siebie pociechą – a tu tymczasem i nowy gość przybył.

A był to gość wcale dziwny. Mąż, jak się zdało, prawie już podstarzały, niebardzo ogromny wzrostem, bo prawie niski, ale potężnie barczysty. Miał zaś te barki podniesione tak bardzo, że wyglądał jakby garbaty; a między niemi siedziała głowa wielka, jak dynia pomierna, a prawie całkiem graniasta/s Z tej to zapewne przyczyny jakoś tak dziwnie patrzył z podełba, że kto nie był do tego zwyczajny, to mrowie go przechodziło, zwłaszcza że i twarz miał chropowatą haniebnie, nos na niej krótki, oczy wpół przymróżone, a koło prawego oka miał bliznę poczerniałą i przy- marszczoną, jak od, postrzału. Trzebaż mu było nosić jeszcze brodę strzępiastą a czuprynę tatarską, żeby już wcale na straszdyło wyglądał. Przy tój wszystkim jednak ubierał się zacnie, z polska, lecz krótko, przeciw obyczajowi, a do tego jeszcze i cał- . kiem czarno, jeno plis miał złocisty, a przy nim mieczyk krótki przy boku, ale szeroki i zakrzywiony z turecka. Ten tedy gość wszedł piechotą przez furtkę, która z tej strony zamykała pawilonowy dziedzińczyk, i zdjąwszy czapkę, kłaniał nią stolnikowi.

Obaczywszy go stolnik, bardzo się rozweselił, wołając zaraz:

— Witaj, witaj mój Muržo tatarski! Zkądże cię Ałiach przynosi? toż to już kopę lat nie widziałem waszmości. Czy to dotychczas byłeś na rekolekcyach? – A on na to:

– Ot! co mi pomoże! Jakże się masz, Bogusiu? jakże tam twoja podagra?

A to mówiąc, ścisnął mu rękę i kłaniał przytem bernardj'- nowi, powiadając pokornie:

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Więc tedy stolnik:

– Trochę mi lepiej, a kiedy potrwa pogoda, to może przy Boskiój pomocy jako znów wstanę na nogi.

' – A czemu nie? – rzecze Murża siadając, – toż to choroba nie na śmierć, jeno na życie.

– Co też ja zawsze jw. panu powiadam, rzekł na to gwardyan z powagą, – bo inaczej nie byłaby sukcesyjną.

Tytułował zaś zawsze pana Ożarowskiego jw., chociaż jako stolnikowi tytuł się ten nie należał, ale już to dla wielkiej starożytności rodu, już dla dawnych zasług dziadowskich, ba i swych własnych, tak go czczono powszechnie.

Rzecz więc stolnik do swego gościa:

– Powiedźże, Murżu kochany, byłeś dotychczas w Krakowie? a mego Jurcia widziałeś?–

– Byłem w Krakowie przez wielki tydzień, a już potem na Jasnej Górze. A twego Jurcia widziałem, bośmy się codzień schodzili w kapitularku... Ot! co mi pomoże! ale to ci powiadam, że mi się bardzo twój chłopiec podoba, ba i wszystkim, i bardzo mi go wychwalali ojcowie. – A nachyliwszy się do stolnika, dodał ciszej: – Ot! co mi pomoże! ale ten będzie pewno zbawiony.

Stolnik się na to uśmiechnął, jakby na dobrą wiadomość, lecz odpowiedział niby z politowaniem:

– Nie frasujże się o siebie, mój Jasiu kochany, bo tyżes sobie bardzo to przybrał do głowy. Gdzie nie było chęci, tam też nióma i winy. A potem, tyle lat rekolekcij, czy to nie dosyć? A co? nieprawda księżę spowiedniku?

– Pan Bóg to jeden wydaje w takich sprawach dekreta, – rzekł na to gwardyan, – ale zapewne, wiele tu już się zrobiło i robi... a Pan Bóg niewyczerpany jest w miłosierdziu.

– Ot! co mi pomoże! – mruknął sokie gość na to z westchnieniem, – a u ronie przecież jest po staremu.

– Zawsze po staremu? – zapytał stolnik ciekawie, – czy znów co nowego?

Murża machnął ręką przed siebie:

– Powiódźże Murżu, – rzekł znowu stolnik, – a nie przynosiszże i do mnie jakiego nieszczęścia r

Murża się na to przeżegnał.

Na widok tego świętego krzyża jakoś się smutno stolnikowi zrobiło, a wtem wszedł rotmistrz, niosąc spory gąsior w obudwóch rękach.

– Otóż to mi jest specyjał?–mówił on wchodząc, i chciał dalej coś mówić, lecz obaczywszy gościa, oniemiał.

A stolnik na to:

– A widzisz waść, otóż mamy i gościa. A to jest pan Domaradzki, sąsiad mój i przyjaciel z młodości, bardzo tu przez nas kochany, chociaż go sobie żartem nazywamy Murżą tatarskim. A to jest imć pan Wiszowaty, rotmistrz pancerny, a brat stryjeczny mojej jejmości, który nam wczoraj po długoletniej absencji zawitał w goście.

Tedy się sobie obadwa iclimość kłaniali, przyczem rotmistrz jakoś dziwnie patrzył na Murżę, który zaraz zapytał:

– Pan Wiszowaty był za mojej pamięci sędzią grodzkim

Iwowskim, a miał Morsztynównę za sobą, czy to ojciec waszmości ?

– Nie, – rzecze stolnik, – to dziad mojej żony, a pan rotmistrz rodzi się z Przedwojewowskiój.

– A waśmoście jakich zaś Domaradzkich? – zapytał rotmistrz, – Jastrzębiec, Równia albo tóż Ostoja?

A Murza na to:

– Ani tych, ani owych. Bo my mamy herb własny, księżyc na nowiu utajony w podkowie.

Rzecze więc rotmistrz:

– Salvo .honore waszmości, jeszcze też jako żyw o tych ludziach nie słyshał, chociaż znam całą Polskę od Gdańska do Kaduk, albo tóż i dalej.

– A toż się waść przynajmniej nie przyznawaj do tego, – dorzucił stolnik, – boć to ród znany i znamienity. Idą oni od jastrzębczyków, ale mają herb własny, bo też i zasłużyli na niego.

– Już to tak musi być, kiedy jegomość tak mówisz, – rzekł na to rotmistrz.

Ale przecież się tórn nie kontentował, ba i o winie zapomniał, jeno ze wszystkich stron tego szlachcica obchodził, przypatrując mu się, kręcąc swoje wąsy ogromne i mrużąc coś sobie pod nosem. Siadł nareszcie przy stole, nalał wina gościom i sobie, a oparłszy się obudwoma łokciami o krawędź, patrzył ciągle w twarz Murzy.

– Tfu! – zawoła wreszcie, – niechże ci pek będzie odemnie!

– A to. co jest takiego? – zapytał pan Domaradzki, jak gdyby z trwogą.

– A to powiem waszmości, rzecze rotmistrz do niego, – że gdybym o tem już nie wiedział na pewno, żeś jest szlachcic polski herbowny, tobym na to przysięgł, żeś taki Murza. Bom też był raz w rękach u takiego Tataru, co był wyrznięj diabie jak waszmość. A to dobrze pamiętam, chociaż dawno już temu, bo sobie tóż żart zrobił ze mną, już prawdziwie tatarski...

A Murza na to jakoś się dziwnie zamyślił. Patrzył ci on na rotmistrza niby z wielką uwagą, ale się zdało, ja.k gdyby duszą był raczój w rzeczy gdzieś w Perekopie lub Krymie, niżeli tutaj nad Nidą.

Spyta więc rotmistrz:

– A cóż waść na tó?

– Ot! co mi pomoże! ależ to dziwnie czasem bywają ludzie podobni.

– Hm! – mruknął rotmistrz, myśląc coś sobie, ale tymczasem spytał: – A czy waszmość nie pijesz?

Murza odsunął kubek od. siebie.

– Hm! – mruknie więc rotmistrz powtórnie, – anoż i to mi dziwno po sandomirskim szlachcicu. Bo że jegomość szwagier nie pije, to nie dziwota. Już to tam winni najwięcej ci panowie ojce;

co też także osobliwy jest koncept, żeby folwarki porozdawać pomiędzy obcych, a synowi legować podagrę. Cha, cha,, cha, a cóż waść na to, mosanie Muržo?

A Murža się śmiał wraz z innymi z tych żołnierskich konceptów rotmistrza, który też pił sobie na fantazyą cokolwiek, jak to zwykle żołnierze. A był też ten zacny rotmistrz i wesół sobie po trochę. Chłop kościsty i silny, jakby go kto z dębu wystrugał, a wypędzony na wiatrach, jako ta ryba morska, co ją ma-żami rozwożą. Miał tóż nos jak kulbakę, a pod nim wąsy okrutne, które jak rogi jelenie wciąż zakręcał do góry. Nosił też mundur na sobie, buty kute żelazem do deptania przy bitwach i dziwnie srogą szablę u boku.

P Mówi więc Murža śmiejący:

Ej! mospanie rotmistrzu! a waść źle mówisz o ojcach, A godzi to się? a czy to waść nie katolik? bo to Wiszowaci, to nowinkarze, jeśli tóż wcale nie lutry.

A rotmistrz na to:

– Co Wiszowaci, to nie ja, choćem także jest Wiszowaty. A żem nie luter, widzą to najlepiej ci, którzy ze mną bywali w ogniu, bo się tóż widzi to dobrze, pod jakim który wojuje znakiem. A żem w tych wojnach ostatnich trzymał za jedno z Szwedami, toż to nie dla nich, jeno dlatego, że oni trzymali za królem katolickim jak trzeba, a nie za-Sasem, który choć rewokował, przecież jest luter w sumieniu, bo też i po lutersku panuje. A jam się chował u 00. jezuitów w Krakowie, co też dobrze pamiętam, bom się tóż uczył nie bardzo.

Tedy znowu się śmiano, a stolnik rzekł:

– No, ale jakże to było z tym Murżą tatarskim?

A rotmistrz na to:

. – Hm! była to rzecz takowa, że i wspomnióc niemiło. Ale już to waścióm opowiem. Więc kiedym się z panem Jędrzejem Potockim z Kamieńca za Tatarami uwijał, przyszedł taki termin fatalny na mnie, żem się im dostał w" niewolę. Jakoś mnie z^da- leko uniosła fantazyja, co 'też nieraz wypada głupio. . Więc zabrali mnie z sobą, jako to dla nich rzecz najłakomsza. Ale żem miał na sobie pancerz srebrzysty, a na nim pod Matką Boską mego Rocha w złocie, więc mnie tam trochę aprendowano w obozach, bo się tóż spodziewano okupu. Jam też sobie dobierał fantazyi jako więc mogłem, – alem - okupu przez to nie zwabił. Już mi więc zaczynało trochę ubywać estymy, jużem też sobie myślał nieraz, nuż żeby skrobnać! Jakoż byłbym to pewno uczynił, gdyby jednakże nie to, żem szlaków nie znał, bo się to dziwnie to tatar- stwo kręciło. Aleć jednego wieczora przysuwa się do mnie milczkiem jeden ich Murža, – a taki był właśnie, jako ten, co tu siedzi, – a mówił z ruska, bo się już był jako widać przy tych częstych zagonach i ludzkiego języka nauczył, – mówił więc do mnie te słowa: – Przyjdź dzisiaj w nocy do mojego namiotu, a ja

cię wyprowadzę na wolność. A żem to był smyk jeszcze natenczas, lada czemu wierzący, jako więc zwykle bywa u młodych, więcem mu i uwierzył na moją zgubę, bo zdrajca był, jako każdy Tatarzyn. Żeby go kolka ukłuła!

A tu Murza, właśnie jak gdyby go co ukłuło:

– A jakto zdrajca? – zapyta.

A rotmistrz, który właśnie pił aby zalać tę gorycz, postawił kubek twardo na stole i rzekł:

– Bo zdradził hultaj! wprowadził mnie po za obóz na taki szlak, którym wracały podjazdy, gdzie mnie więc ułowiono. A więc to zrobił z umysłu!

A tu pan Domaradzki, jakby go kto postrzelił, zerwał się z miejsca i już miał gębę otwartą, ba i rękę wziesioną. Zerwał się więc i rotmistrz i odskoczył od stołu. Ale wtóm w sarnę prawie porę ksiądz podniósł rękę do góry i powiedział dobitnie:

___ Et dimitte nobis debita nostra...

A tu już Murza, jakby mu nogi kto podciął, siadł zaraz na- zad, pochylił głowę i rzekł z pokorą:

• – Ut nos dimittibus debitoribus nostris.

Więc rotmistrz patrzył jak na teatr um.

– A to co za dyalog?

– Ot co mi z tego! – rzecze pan Domaradzki spokojnie, – mów wasze dalej.

tx» Hm! – mówił rotmistrz, kiwając głową – waszmość bo widzę jakiś gwałtownik? że już nie powiem co więcój.... bo ten ksiądz jakby .wodą święconą pokropił.

I przeżegnał się rotmistrz, patrząc na Murzę, bo był tóż po staremu nabożny.

A stolnik śmiał się i mówił:

– Cha, cha, cha! panie bracie! coś ci się przybłąkuje na starość.

– Ale bo to coś dziwnie

A stolnik znów się roześmiał i mówi:

– No, toż każdemu nowa rzecz dziwna. Ale ja ci ją wytłumaczę w dwóch słowach. Kochany nasz Murza jest sobie prędko cokolwiek, znając to zaś do siebie, jest też tercjarzem u bernardynów; a że to gwardyan, więc obediencia. Otóż i rzecz. Pozna- - cie się też lepiej za czasem i jestem pewny, że się pokochacie. A tymczasem mów wasze dalej t

Więc tedy rotmistrz, który miał co innego na myśli, zaraz się uspokoił.

– Hm! więc mi to teraz już nie tak dziwna. A waszmość, panie Domaradzki, nie bądź mi też frasobliwy, żem się waszmości przestraszył, bom to ja nietylko w tatarskich, ale też i w diabelskich był rękach. A że to ten syn piekielny i ludzką czasem przyjmie figurę, jako wiem dokumentnie, bom się sam o tem przekonał, więc też teraz już ludziom trochę lepiej zaglądał w oczy.

– Już mnie 1 óż waszmość raczysz komplementami, – rzekł na to Murza pochmurnie, ale zaraz złagodniał i dodał, – ot! co mi pomoże! mów dalej.

– A co już mówić? – rzekł tedy rotmistrz, – albo to waszmość nie wiesz, jak się z takim bbchodzą, którego wróca z ucieczki? A toż i ja, com był piórwój u wszystkich w respekcie, jadł ryż, baraninę i co było w obozie, tom musiał drwa rąbać potóm, nosić na własnych plecach, ognie nakładać, aż mnie tóż w kuchtę przerobili ci zdrajcy; bodaj ich zabito!

Więc stolnik, że to rzecz była tak daw^Tna, dworował sobie z rotmistrza i mówił jemu:

– Panie kuchto tatarski. '

Murza był czegoś smutny, ale niebawem także się rozweselił, bo rotmistrz zaczął opowiadać rozmaite historye wojenne. A kiedy on opowiadał, to było co słuchać, bo był to wielki wicher po świecie. Jeszcze z panem Jędrzejem Potockim, kasztelanem krakowskim a hetmanem polnym koronnym, który tóż był, z niezrównaną chwałą dla tój zacnej rodziny, vice-rejem za wyprawy wiedeńskiej, zaczął był praktykować rycerskiój, a już od tego czasu prawie i z konia nie zsiadał. Podczas bezkrólewia za francuzami, szwedzkich wojen ze Stanisławem, związał się ciągle wodząc chorągwie, aż na Ukrainę się dostał i tam znów owym sławnym 'natenczas mazepińskim hufom przywodził. Po zakończonej wojnie przebrał się po staremu w swoje strony rodzinne, aby sięść na zagonie na zawsze, albo też może tylko trochę odpoczął. Miał więc wiele do powiadania—a kiedy skończył, rzekł mu Murza:

– No, toś się waszmość także niemało natyrał. Bywałem tóż i ja... przez ciekawość, ale waszmość po służbie. A kto grzebie, to jużci na to, aby tóż coś wygrzebał. A więc będzie za to?

– Licho tam będzie! – zawoła rotmistrz; byłoby pewnie, żeby nie fata półtawskie i żeby król Stanisław był się osiedził na tronie; aleć trudno mi ma Sas płacić za to, żem przeciw niemu wojował. Trzeba się więc po staremu ukontentować kwitkiem na wypłatę po śmierci; żeby go jeno św. Piotr akceptował....

– Ważny to kwitek! – rzekł na to Murza, wzdychając, – i szczęśliwy to człowiek, który go na swóm sumieniu wypisze. Ale przecie to muszę powieźć, że kiedy kto swoją młodość przetrawi na służbach doczesnych, przykro jemu być musi, jeżeli nie odbierze nagrody- doczesnój.

A tu Murza patrzył w twarz rotmistrzowi z uwagą. A rotmistrz na to po staremu ze serca:

– Nie wiem tam, jako z tóim jest u nich, ale co u mnie, to nie. Tak mi Panie Boże daj zdrowie, że nie. Trzydzieści lat prawie spędziłem ja na kulbace i już tóż w różnych się bywało terminach, ale mi jeszcze na myśl nie przyszło, że temi latami żałować. Ani mi tóż się nie śni żądać od kogo za to nagrody. A za co? Albo to ja komu służyłem? albom się tóż'najmował do cu

dziej sprawy? A nie. Bo jeśliśm służył, to tylko memu własnemu sercu. A to mówię, jak jest. Niechżeby mi więc Sasi dawali starostwo albo też 1 buławę, żebyśm im służył, a to, mówiąc z respektem, plunąłbyśm im w oczy; a za Stanisławem służyłem i da Bóg będę jeszcze służył za darmo; bo już taka jest moja kon- wikcy a jak Bóg na niebie, tak prawda* To więc jest jedno. A dalej, i od kogóż to żądać nagrody? albo mi to może co dać król Stanisław, który sam teraz nie ma? Mamże więc iść do hetmana i mówić jemu: Otom jest rotmistrz chorągwi pancernój, służyłem lat tyle a tyle, daj mi za to trzy grosze ? Anóżbyśm sobie pierwój dał sam pięścią w gębę, niżbyśm się tak upodlił. Bo będę ja może rozmawiał z tym zdrajcą wielkim koronnym, ale to już chyba inaczej... jako więc raz już blisko było do tego.

A lubo to rotmistrz wypowiedział poprostu, jednak mu stolnik i Murza podali ręce, bo im się to podobało; byli też oba duszą i ciałem także stanisławowscy. A Murza rzekł:

– Panie bracie, niechże ci Pan Bóg da zdrowie, że tak powiadasz, bo też to jedyna jest prawda. Jeno mi to przy tem trochę zadziwno, żeście to z panią stolnikową jednego rodu, a tak odmiennych systematów...

A rotmistrz na to:

– Ja tam za moję siostrę nie odpowiadam, bom tóż jój nie opiekun. Ale to powiem, że gdybyśm ja był jej mężem, to jużby musiała koniecznie tańcować po moim smyczku. Anibyśm też dał jój się tak włóczyć po świecie, ani marnować fortuny bo tóż i nie wiem, jaka w tó'm jest rachuba.

A na to stolnik:

– Ej! panie bracie! daj pokój, bó tóż i mnie uczono mathesin.

Rzecz więc gwardyan, aby zakończyć tą kwestyą:

– Jw. stolnik przegrywa stawia doczesne, aby wygrywać wieczne.

A na to rotmistrz, który pił właśnie, obrócił się z kubkiem do księdza, spojrział na niego i rzekł:

– A tego cale nie rozumiem.

– Ot! co tu mówić! – poderwie stolnik już niecierpliwie, – wiedz waszmość tedy, że są dwie wielkie rzeczy, o które mi chodzi najbardziój: pierwsza więc przystość wiary mojego syna, bez której nie wiem, jakoby kto mógł być zacnym na tym tu świecie, a druga: spokój domowy. A obiedwie te rzeczy jużby przepadły na zawsze, gdyby moja żona siedziała w domu. Niechaj więc jeździ po wielkich dworach, niechaj siedzi w Brzeżanach, niech też i traci folwarki – a niech mi się tylko do wychowania mego syna nie miesza. Bo stracone folwarki, to rzecz odzyskana, ale stacona niewinność albo nabyta lekkość w świętej wierze, to już straty są wieczne.

Na to pan Domaradzki westchnął sobie nieznacznie, a gwar* dyan rzekł:

Tom X

u

– Jw. pan tak powiadasz, jakobyś czytał którego z ojców kościoła, w czym też wielkie dla ich nie godnych następców jest pocieszenie.

Rotmistrz zaś, pomyślawszy cokolwiek, dodał:

– Nióma co mówić, bo co prawda to prawda. Jenó się boję, żebyście z tego ferworu nie przerobili zacnego młodzieńca na mnicha, bo już i tak, jako słyszę, więćój szkaplerzami się bawi, niż szablą. Piękne i to, ale...T J

A tu się spostrzegł i rzekł do księdza:

– Salwo honore! waszmości.

Zacny gwardyan, daleki od gniewu, którego i nie znał na życiu, łagodnie się na to uśmióchnął i chciał coś odpowiadać, ale tymczasem wbiegł podstarość dość zadyszany i przynióśł całę niedobrą nowinę.

Oto królewscy Sasi, z pułku ciężkiej dragonii, roztasowali się we wsi; poplądrowali chłopom komory, kojce, obory, gdzie nic nie znaleźli, powybijali błony, porozwalali piece, aż też nareszcie i na folwark zabiegli i już się zabiórają do gospodarstwa.

Zerwą się tedy wszyscy od stołu i ten to mówi a tamten owo. A Murza piórwszy:

– Otóż hultaje! dopióro chcieli mnie infestować, już też i tutaj trafili.

Rotmistrz jedną ręką chwycił za szablę, a drugą wężą pokręca, a stolnik nabiegł krwią całę, jak więc było u niego naturą. Ale jak prawie zawsze, tak też i teraz się zmitygował i rzekł ra- czój ze skargą, niż z gniewem:

– Już tóż moja wielka bieda z tą żołnierską włóczęgą! Mniejsza to o mnie, bo co mi wezmą? ale tych biódných chłopów już mi puszcza z torbami!

A Murza ciśnie swój mieczyk za głównię, już go i trochę wyciągnął, i rzecze:

. – Panie rotmistrzu! chodźmy tam, a nie dajmy rabować brata.

Rotmistrz miał podobno jeszcze lepszą oskomę na Sasów, ale jakby poczuciem tknięty, rzekł na to:

–... Juźci pójdę i ja, ale żeby jeno do burdy nie przyszło, bo tu ludzi niewiele, a do tego i pan brat chory. Jeszczem tóż i spieszony

Toż i stolnik:

– Ot! dajcie pokój, bo to i w takich sprawach trudno ręczyć za siebie. Krew nie woda

Ale Murza, jakby go szatan opętał:

–... A co waść pleciesz? toż nie będziemy przecież na nich nacierać! I chodź waść, panie rotmistrzu, chyba że masz respekt dla sasów

Tego też tylko było potrzeba. Jakoż zaraz rotmistrz się zerwał, a lubo już teraz i gwardyan się do nich mitygująco odezwał, poszli. Już więc tylko stolnik zawołał za nimi:

– Proścież mi oficerów na wino, bo już to będzie najlepsza.

A kiedy już zniknęli za furką, stolnik się skarżył bernardynowi, co to go już ta wojna kosztuje, chociaż się do niej nie mieszał.

Aż tu niebawem słuchać huk na folwarku, nuż więc i strzały. Patrzą, a tu przez furkę wpada Murza a za nim rotmistrz, z kilką sług dworskich i podstarościm. Podstarości zamyka furkę, wali przed nią ławy drewniane, które leżały pod lipą, a rotmistrz z Murzą przypadają do sieni, gdzie wisały muszkiety i inne strzelby. Stolnik aż się zerwał na nogi, chociaż nie mógł stać na nich, woła: Gwałtu! przez Pana Boga! a co wy myślicie? Bernardyn pobiegł pędem za nim – a tu już Sasi u płota. A był to płot żywy z grabiny, a w środku niego furka z dębowych sztachetów. Więc Sasi do płota, płot trzyma; więc do furki – a tu Murza z rotmistrzem pali do nich z muszkietów! Stęknie jeden i drugi, trzeci się zwałił na ziemię. Stolnik na nogach, jakby nigdy nie chorzał, sam wziął muszkiet z rąk pachołka i palnął, – a tu Sasi wywalili już furkę. Rotmistrz i Murza rzucili się na nich z szablami, toż i pachołcy, – ale tymczasem oni jak dadzą ognia z kilkunastu sztućców odrazu, padł zaraz rotmistrz, padł toż i stolnik z wielkim jękiem na ziemię... A resztę jakby kto wymiół z dziedzińca. Tylko Murza widomie się wszył między Sasów i tam zniknął gdzieś pomiędzy nimi.

Sasi tedy po owych trupach wpadli zaraz do dworca i haniebnie go splondrowali, do czego też im nikt nie przeszkadzał.

Trwało, to wszystko aż do zachodu słońca. A potem już cisza nastąpiła na całym dworskim obejściu. Ale była to cisza okropna, bo w całym dworze powybijane szyby, drzwi zdruzgotane, szklany pawilon podziurawiony, krew na dziedzińcu, a między temi plamami krwi – tam rotmistrz – a tu znów stolnik bez duszy

Ale kiedy już całkiem przycichło i zaczęło się zmierzchać, ba i deszcz się puścił ulewny, zjawia się gwardyan z jakiegoś szczęśliwego ukrycia. Rozejrzył się po dziedzińcu, a obaczywszy leżących, jeno ręce załamał. I tak stał chwilę. Ale się rzucił niebawem, aby pobitych obejrzyć. Obejrząwszy stolnika, już tylko ręką machnął i westchnął, – ale kiedy ruszył Rotmistrza, to rotmistrz się podniósł i siadł na ziemi. Przetarł oczy, spojrzął na księdza i rzekł:

– A gdzie ja jestem?

– Ot! gdzie wać jesteś! – odpowie gwardyan, — patrzajno wać, coście tu nawarzyli. Nasz pan już nas pożegnał na zawsze.

Zerwie się tedy rotmistrz, a chociaż miał ranę ciężką na głowie, przypadł natychmiast do stolnika i zaczął go trzeźwić wraz z bernardynem. No, i przecież się jakoś go dotrzeźwili. Zanieśli go toż zaraz na łóżko i opatrzyli ranę, która była u boku. Przy

szedł tóż stolnik do świadomości. Ale kiedy się poczuł, jakoś dziwnie osmutniał i rzekł do gwardyana:

– Już ja podobno z tego łoża nie wstanę, może i jutra już nie obaczę. Proszę cię, panie rotmistrzu, poszlście mi zaraz rozstawionemi końmi po Jurcia, wyszlście tóż konnego po moję żonę, a ty, księżę gwardyanie, bądź na mnie łaskaw i pomyśl o grzesznej duszy mojej

Co powiedziawszy głosem dziwnie bolesnym, złożył ręce, podniósł oczy do nieba i rzekł:

– Panie Boże święty! dajże mi jeszcze obaczyć choć dziecię moje! – a łzy mu strumieniami popłynęły po twarzy. I zaczął się modlić gorąco, przygotowując się do świętej spowiedzi.

Stolnikowego syna znaleźć nie było' trudno, bo był w szkołach w Krakowie, ale kędy się było puszczać za- odszukaniem jój mości, to już- chyba tylko Pan Bóg mógł wiedzieć...

A była ta pani z domu Wiszowatych, którzy są herbu Roch, dosyć dawnej sięgają starożytności i nawet rozrodzili się byli dość licznie po województwach podlaskiem, krakowskiem i rawskim. Dostąpili oni od Pana Boga tój łaski, którą po wszystkie wieki zwano w Polsce błogosławieństwem, ale nie wywdzięczyli Mu się za to wedle swych obowiązków. Ojciec pani stolnikowej krakowskiej, Józef, sędzic po ojcu lwowski, a sam cześnik liwski, podniósł się był cokolwiek, bo i bił się z chwałą po różnych wojnach i ożenił się z Morsztynówną, starościanką filipowską, za którą piękne wziął wiano; ale i temu jakoś nie szło po rękę. Trudnoż mu nawet miało się wieść'osobliwie, niemającemu ani krzty chrześciań- skiej pokory, a natomiast pychy i próżności bez miary;

Dobry zresztą był człowiek, waleczny żołnierz, miłosierny i przygodny każdemu, może nawet aż nadto; ale cóż, kiedy przy- tem i próżny, dający wiele na wystawność swojego domu, ba nie strzegący się nawet i zbytków. Tak też wychował i Teofilę, swoją córkę jedyną. Z młodu chowała się ona w domu ojcowskim, z wielkim sumptem na ochmistrzów | i ochmistrzynię, z wielkim Względem na biegłość w cudzoziemskich językach, w muzyce, śpiewie i płasach, ale bodaj czy nie z zapomnieniem katechizmu zu- pełnem. Był ci tam wprawdzie i jakiś niby ksiądz do nauki religii, bo już i cześnik sam rewokował, ale wielka zachodzi kwesty a, czyli to nie był jakiś utajony minister. A potem kiedy już Teofila

podrosła, dano ją na dwór księżnój Lubomirskiej, marszałkowej w. koronnej, gdzie chowając się razem z owoczesną księżniczką Elżbietą, a terażniejszą hetmanową w. koronną, już się dochowała do reszty... *

Otóż natenczas właśnie pan Ożarowski, ukończywszy swe służby wojenne i osiadłszy u siebie na wsi, postanowił był sobie, obejrzyć się nareszcie za żoną. Jego zdrowy rozsądek mu radził poszukać sobie żony gdzieś w dobrym domu, jak to mówią zwyczajnie, dobrego gniazda; ale znów wzgląd na fortunę, którą wystawieniem chorągwi nadszarpanął, kazał mu o tórn pamiętać, żeby przy cnotach i urodzeniu wziąć tóż i jakie wiano. A że świetnością rodu mógł się i z najlepszymi pomierzyć, miał tóż koligatami Tęczyńskich, Komorowskich, Drohojowskich, Jordanów i wielu innych, ba i sam już był zapisany na kartach sławy dziejowój: więc jako to każdy rad swego szczęścia próbuje, udał się najpierw na wielkie dwory. Był tu i owdzie, a nareszcie zajrzał do Lubomirskich. Ale tam przed wszystkimi innymi wpadła mu w oko panna Wiszowatówna. Inie można było temu się dziwić, była to bowiem dama prawie dziwnej piękności. Wysoka wzrostem, o ciemnych włosach, a biała jako puchy łabędzie, była ona świętością, do której się wszyscy modlili. Jeno że inni pomodliwszy się, odpłynęli, a stolnik się wypowiedał. A po spowiedzi zaraz, więc do ołtarza, jak tóż to za owych czasów prawie zawsze bywało. A stało się to nawet i z wielką obustronną pociechą, bo kiedy dla cześnikowój nie mógł nikt nic lepszego wymagać, to znowu stolnik brał żonę wedle swego afektu, z starożytnego posesyonatów domu, a jak się zdało, nawet nie bez fortuny, boć była jedynaczką u ojca, który miał parę wiosek i na nich siedział.

Jakoż piówsze lata ich małżeńskiego pożybia minęły w wielkich błogościach. Wprawdzie młoda małżonka zaprowadziła zaraz z kopyta nowy ład w starym domu: powyzłacała sale, pobudowała pawilony przejrzyste, pozakładała ogrody, poprzebiórała służbę z niemiecka, poszły więc za tórn bale, festyny, maskarady, iluminacye i .tym podobnych figlów zamorskich bez końca, co kosztowało bardzo wiele pieniędzy. Stolnik niby chmurzył się na to, bo przewidywał złe skutki, – postanowił był sobie nawet po kilka razy tamę temu położyć, –ale jakoś nigdy nie doprowadził do tego, ażeby swoje postanowienie urzeczywistnić. Dziwnie miękkiego serca ten człowiek, dziwną miał słabość dla żony. Toż kiedy mu jeszcze ta żona syna na świat przyniosła, już ani myśli o tem nie było. Gdyby mu było natenczas przyszło utoczyć krwi dla niej z pod serca, tó i tejby był nie odmówił, a cóż dopióro rządów, w swym domu, albo kawałka fortuny? – Myślał tóż wtedy stolnik: Dał jój Bóg dziecię, zajmie się niem jak matka, zapragnie sama ciszy domowój, a wtedy będzie jeszcze czasu aż nadto, ażeby to co stracone odzyskać. Aleć tak się nie stało. Bo chociaż dziecię już było w domu, bo już zaczęło podraastać i wielka była pora

do macierzyńskiej powagi i domowego spokoju, przecież wciąż po staremu dom pełen był gości, wyprawiały się w nim rozmaite festyny, ba i zjazdy jakieś tak dziwne, że ich stolnik nie mógł zrozumieć. Ale niebawem musiał je przecie zrozumieć, bo już tóż i po wszystkich sąsiedztwach zaczęto głośno o tóim rozprawać: że jego dom stał się stekiem dla popleczników saskich, że się w nim odbywają potajemne narady, że się tam kują rozmaite tajemne plany, fabrykują depesze, wysyłają agenci, zgoła że owe niby głośne festyny to tylko złudna pokrywka, a w samóej rzeczy dom jego stał się kancelaryą dla politycznych praktyk królewskich, albo hetmańskich, albo nareszcie samójez hetmanowóej wielkióej koron - nój, co zresztą pod ową porę prawie wychodziło na jedno. Nie mógł już tego stolnik nareszcie i całkiem jawnie nie widzióć, bo i któż to bywał w tym domu? Oto' sami wyżsi i niżsi oficerowie sascy, urzędnicy królewscy, tu jakiś poplecznik hetmański niby do Krakowa jadący, tu dama jakaś brzeżańska niby powracająca do krewnych, a już ta sławna oblubienica królewska, hrabina Ko- nigsmark, stała się przyjaciółką stolnikowej od serca i wysiadywała tu czasem po parę tygodni. Bardzo się to tedy stolnikowi nie podobało, i to nawet z wielu powodów. A więc najpiórw dlatego, że takie życie coraz bardzióej rujnowało fortunę, która i tak już cierpiała niemało, – a powtóre dlatego, że jego żona mieszała się w machinacye tego właśnie stronnictwa, któregó on nienawidził, – a nakoniec dlatego, że chłopię już dorosło; na samym wstępie do życia przypatrywało się ledwie nie samym luszytkom, płąsom i zbytcom, obsłuchiwało się rozmów, które niebardzo były nauczające dla dziecka, ba i ociórało się także o takowe figury, których nietylko polityczne wyznanie było stolnikowi .niemiętem, ale i wiara ich podejrzana, bo i moralność niepewna. Rozmyślał tóż nad tóim stolnik coraz to więcej* próbował nawet i opór stawić, ale już to nie szło mu teraz. Trzeba to było wziąć się do tego wcześnieiej, ale teraz już pani obiedwiema rękami dzierżyła berło, już jej to berło prawie do rąk przyrosło. Wiedział-ci on o tóim i nieźle, że gdyby się on na to uwziął, toby swego dokazał koniecznie, – bo i czegóżto przeciw kobiócie nie dokaże mężczyzna? ale bał się dwóch rzeczy. Bał się więc najpiórw złe to poruszyć, a ztąd już piekła w swym domu do śmierci, – a powtóre bał się sam siebie. Bo jak był z jednéj strony tak łagodnym i dobrym, że choćby go było koło palca owinąć, tak znowu z drugiój, kie- dyby splonął gniewem serdecznym, toby był gotów gwałt jaki zrobić, móglby był może uderzyć, a może nawet i zabić. Omal że nie miał raz takiego zdarzenia w swojóej młodości i od tego czasu dziwnie był powściągliwym. Kedy więc przyszło mu z żoną do konferencyi poważnóej, to rozpoczynał perswazyą, przeplatał żarty, a kończył targiem. A że stolnikowa także niemało dawała na to, ażeby zachować przyzwoitość we wszystkióm, a w pozyciu małżeńskióm przynajmniej pozory zgody, więc zawsze dała na so

bie coś wytargować, obcałpwała męża, a napłótszy mu najdziwniejszych andronów, zmieszanych z pochlebstwami, ugłaskała na długo. I tak znowu minęło lat kilka, z tą tylko różnicą, że stolnikowa przez te lata dosyć wiele jeździła, czasem po parę miesięcy przebywała w Brzeżanach, to w Opolu, to na Wiśniczu albo i w samym Krakowie, gdzie wszędzie z sobą woziła małego Jurcia, razem z jego ochmistrem, mężem już siwym, bardzo uczonym, noszącym suknie niby kapłańskie, ale jakiegoś dziwnego kroju. Dla miłój zgody stolnik i na te podróże pozwalał, zwłaszcza że one mniej kosztowały niż pobyt w domu, a do tego jeszcze był sam naówczas zdania, że nie powinno to być bez korzyści dla chłopca, jeżeli się już zawczasu przypatrzy największym dworom, a przytóm tóż i najpiórwszym ludziom w swym kraju. Jeszcze do tego pod owe czasy umarł był właśnie pan cześnik liwski, z kąd niby na stolnikową miała spaść cała jego fortuna, a z czego stolnikowa nie zaniedbała korzystać, aby tóm uspokoić męża w jego zwyczajnych troskach o tak znaczne wydatki. Ale najpierwój już ta sama sukcesya przyniosła tylko zgryzotę. Pan cześnik bowiem zostawił wprawdzie po sobie tę parę wiosek, i zostawił nad niemi opiekę najzacniejszemu człeku, bo swemu bratu. Brat tóż sobie jaknajzuppełniej podług woli stolnika postąpił, bo sprzedał te ziemie jmc panu Tryźnie, Litwinowi herbu Gozdawa, a wołkowyskiemu staroście, który wydając tu córkę za Piotrowskiego Junoszę, także Litwina, lecz osiadłego w Lubelskiem, chciał mu dać wiano w własności ziemskiój. Tryzma też całą pozostającą od długów summę jak najrzetelniej wypłacił i stolnik ją do rąk własnych odebrał; lecz na nieszczęście odebrał ją w samych nowych szóstakach, których podskarbi litewski, Pociój, nabił-był wtenczas w otworzonój przez siebie mennicy, a które wkrótce, jako fałszywe, rzucono. Na tych szóstakach były odbite litery L. P., jako początkowe ich twórcy Ludwika Pociēja, lecz kiedy je potóm rzucono, i te litery wytłumaczono, nie Ludwik Pociój, lecz Ludwik Płacz; i bardzo słusznie, bo niejednen gorzko nad niemi płakał, co też nie ominęło stolnika. Jednakże może właśnie to wydarzenie przyniosło szczęście, nie dla stolnika, ale dla jego syna. Kiedy bowiem stolnikowa powróciła z jednej ze swoich owoczesnych podróży, zaczął stolnik bardzo ciekawie się dopytywać o wszystko. Z opowiadanych przez nią rozmaitych powieści, jedno mu się podobało, drugie niebardzo; lecz po kolei wziął też na egzamin i syna. A był to już chłopiec natenczas prawie w roku czternastym. Jakoż nióma co mówić, był. układny nad podziw, mówił po niemiecku jak Niemiec, po francuzku jak Fancuz, po łacinie już się jąkał cokolwiek, – ale kiedy go ojciec z katechizmu zapytał, to aż przykro było posłuchać. Bo to ani , Dziesięcioro, ani Zdrowaś, ni Wierzę, ledwie że wiedział kto ten świat stworzył, a i to jakoś z luterska powiedział. Pobożny stolnik aż struchlał na to, nawet na razie sam nie wiedział, co mówić. Pokiwał jeno głową i jak

bóbr się rozplakał..... Poczciwy chłopiec także się nie mógł od łez powstrzymać, bo choć może nie wiedział czemu, aleć czuł w swo- jem sercu, że niemała to rzecz jest wywołać łzy takie rzewne u swego własnego ojca!

Ochłonawszy cokolwiek z tego bogobojnego żalu, otarł łzy stolnik, pocałował osmucone pacholę w czoło i rzekł:

– Nie frasujże się, moje dziecię kochane, boć jeszcze nie trza tracić nadziei. Obraziliśmy Boga i bardzo, aleć jeszcze jest czas do naprawy. A gdzież przebaczenie, gdzie miłosierdzie, jeżeli nie u Niego? Żeby zaś tego dostąpić tórn pewniej, już ja ciebie nie puszcę od siebie, dopóki żyć będę; bo wolę ciebie miłego Bogu i ludziom choćby w drelichu, niż w bisiorach i złocie, a z zadatkim na potępienie.

Już tórn' nic o tem nie mówił żonie, zwłaszcza, że przy tej v kwestyi tak ważnej, bardzo sobie nie ufał, jeno pos'łał zaraz po bernardyna, który natenczas już był gwardyanem, mężem wielkiej zacności i pobożności, a zarazem i stróżem jego własnego sumienia. Po odprawionój z tym ojcem pobożnym naradzie, wyrobił stolnik u prowincyała pozwolenie częstszych i dłuższych absencyj u niego, na co też necessitate urgente pozwolono z najlepszą chęcią, – a tak gwardyan to zaniedbane pacholę wziął pod swoją opiekę. Znając głębokość wiary tego świątobliwego ojca, już się stolnik był uspokoił i tylko się modlił Panu Bogu o szczęśliwe powodzenie w tórn przedsięwzięciu. Ale nie tak-to łatwa ze złem jest sprawa. Złe, kiedy gdzie padnie, to jak chwast jadowity krzewi się szybko z najmniejszego ziarenka, buja wściekle za czasem i jako zw^Tierz dziki swe kły rozżarte, tak ono swoje żarłoczne w głąb zapuszcza korzenie. Nie było tu może jeszcze tak bardzo źle ze synem stolnika, ale jednak już wiele musiało być złego, kiedy sam gwardyan stracił ufność w swe siły. A jako był mąż przezorny i w swojój świątobliwój pokorze nieprzesądający nigdy sił ludzkich, zwłaszcza tam gdzie idzie o rzeczy ważne, ba najważniejsze w tem życiu; tak też sam, przyszedł do ojca i dobrowolnie broń złożył.

– Panie bracie święty, a co to? – zapytał stolnik, załamując r^ęce z przestachu. A gwardyan na to:

– Niechże mł się jw...pan tak nie stracha, bo jeszcze tu nic nie przepadło. Aleć to muszę powiedzieć otwarcie, że jako widzę, nie dam ja rady temu chłopięciu. A to z dwóch przyczyn. Najpierw tedy jest tu ta circumstancya, że co ja wielką pracą za dni kilka naprawię, to jejmość pani jednym słówkiem, a czasem nawet i jednym gestem zepsuje. A powtóre rzecz taka, że to pacholę już się zanadto rozszerzyło w naukach. Gdyby tu chodziło o naukę głębokość, to za pomocą Bożką śmiałobym się z nim zmierzył, ale co na szerokość, to ja nie daleko zasięgnę, a ztąd też szwank na powadze. Spyta mnie więc z francuzka, ja nic; spyta z niemiecka

a ja ledwie dwa słowa, nuż wtedy w śmiech: a to już na nic taka nauka.

Bardzo się tedy stolnik na to zachmurzył i rzekł:

– I cóż ja pocznę z nim nieszczęśliwy?

Rzecz więc gwardyan:

– Jw. panie, jest na to rada. Trzeba go zawieść do oo. Jezuitów krakowskich, a już oni go tam przemogą. Już on ich tam żadnym językiem w kąć nie zapędzi, be też nióma tój mowy na świecie, żeby oni jój nie umieli. Ani .jest jaka światowa nauka, żeby oni w niej nie byli mistrzami. Są też ci bracia nasi w nawracaniu szczęśliwi, przy gorliwości w pracy mają błogosławieństwo Boże, i nie nowina im to i staruszka nad grobem, albo i poganina nawrócić, a nie dopiero chrześcijańskie pachole.

Pomyślił tedy stolnik nad tem mało nie wiele, a potem rzekł:

– Ha! to go wieźć do oo. jezuitów krakowskich.

I tak się stało, zatrzymał się tylko stolnik jeszcze dopóty, aż jego żona się gdzie nie odwinie, bo się bał sprzeczki domowej, –ale jak tylko pani wyjechała na parę tygodni, zaraz wsiadł do landary, zabrał syna ze sobą i oddał go oo. jezuitom na wychowanie i już pod ich wyłączną opiekę.

Powraca pani, nie widać syna, – gwałt zrazu wielki.

– A coś ty zrobił!–mówiła wtedy,–ty go na wieki zagubisz! Oni go tam zanudzą, zgarbią mu barki przed czasem, głowę jemu zawrócą, jeszcze gotowi go i do zakonu namówić!

A stolnik na to już mężnie:

– Głowy mu nie zawrócą, bo też jeszcze nie zawrócili nikomu, ale mów raczój, że go z drogi zawrócą, tój, którą już prosto zmierzał do piekła. Co .zaś się tknie zakonu, to i nióma co mówić: wielcebym bolał nad tóim, gdyby miał na nim ten nasz ród starożytny wygasnąć: ale przecież to powiem, że kiedyby to uczynił z wokacyi serca, to jenoby za to podziękować Panu Bogu i ojcom.

– Ale cóż się to tobie stało! – mówiła pani, – ty nie wiósz, co to są jezuci. Oni z swych uczniów sporządzają tylko dla siebie narzędzia. Toż przynajmniej ja będę często do niego dojeżdżać, aby tę naukę podglądać, aby go czasem w świat wyprowadzić, żeby go tóż nie zahukano na zawsze.

A wtedy wziął ją już stolnik za rękę, posadził koło siebie i długo jój prawił z powagą.* Chodziło mu bowiem właśnie o to najwięcój, ażeby ona nie dojeżdżała do chłopca. Było tóż z tóim korowodu niemało, aż się pani splotała; ale już stolnik ani łzami wzruszyć się nie dał, jeno wytrwał przy swoim statecznie. Stanęło więc na tóim na końcu, że się pani utuliła, nawet rozweseliła i rzekła:

– Ha! to niech i tak będzie! To się podzielmy wreszcie opieką nad naszym synem. Ty jego wychowaniem zarządzaj,–a ja

będę się starać o to, aby tóż miał wstęp łatwy w świecie, kiedy dorośnie..

Po takich pactach conventach, zrobionym z wielkim przykładem dla wszystkich małżeństw niezgodnych, już stolnik żony ani razu do Krakowa nie puścił, a kiedy syna przywiózł na ferye, to tylko na dni kilkanaście. A jego żona już sobie jeździła, gdzie jej się zdało, on się jej nie sprzeciwiał, ba jeszcze i funduszków dodawał, bo się obawiał, że kiedy w domu posiedzi, to się nudzi i gotowa jeszcze złamać zawarte pacta. Tak przez pięć lat całkowitych już tylko gościem bywała w domu; przyjedzie, parę tygodni pobawi w domu, przemieni konie i znów poleci, Bóg sam wió dokąd i na jak długo... ■

Tak też i w roku niniejszym 1711, przez cały zapust nie była w domu, przyjechała o środopociu, ale już zaraz po Wielkiój Nocy znów wyjechała. Mąż ją pytał: dokąd Pan Bóg prowadzi? powiadała: do Brzeżan. Jakoż istotnie się wypuściła do Brzeżan, gdzie też najwięcej bawiła, ale po drodze wstąpiła tu, zabawiła się owdzie – a tymczasem doszedł do skutku zjazd monarchów pod Jarosławiem, na który też i ona nie mogła uchybić.

A było zjazd dosyć ważny w swych czasach. Była zaś ta rzecz prawie następująca. Karol XII król szwedzki, po nieszczęśliwej bitwie półtawskiej, srodze już przyciśniony przez wojska rosyjskie, schronił się był na terytory umtureckie i w Benderze zamieszkał. Tam siedząc, burzył on ciągle sułtana przeciw Piotrowi Wielkiemu – a że mu ta praktyka szła dosyć gładko, bo były tam dawne, ba bez ustanku trwające nieprzyjaźnie pomiędzy Turcyą a Rosyją, więc tóż i zburzył Portę nakoniec i doprowadził ją do decyzji wojennój przeciw carowi. Jednak Piotr Wielki, dowiedziawszy się o tem zawczasu, że się cała turecka i tatarska potęga na niego gotuje, postanowił sam ich uprzędzić. Chcąc zaś na każdy wypadek mieć raczój więcej niżeli mniój sił do tój imprezy, umówił z królem polskim Augustem II i Rzeczpospolitą zjazd w Jarosławiu, na którym miano zamiar Rzeczpospolitą do współnictwa w tej wojnie pociągnąć. Zamiar ten zdawał się nawet niezbyt dalekim do skutku, bo jak z jednój strony był za tem nieszczercze sobie z Polakami postępujący król August II, tak znowu z drugiój przy dziś zawrząc się mającym traktacie było się o co oprzóc i do czego odwołać, boć pominąwszy już traktat Piotra Wielkiego, zawarty niegdyś z królem Augustem w Brzeżanach, była jeszcze i umowa, żółkiewska, tudzież pakta zjazdu lwowskiego w roku 1707 i jego skutki, jeżeli nie całą Rzeczpospolitą, to przynajmniój hetmana w. koronnego z carem Piotrem wiążące.

Cóżkolwiekby, zjechali się ci panowie do Jarosławia: cesarz rosyjski Piotr Wielki, niedawno na nowo na tron powołany król August II, wszyscy senatorowie i dygnitarze Rzeczypospolitój polskiój, z wielkim napływem wojsk rozmaitych, szlachty dalekiój i bliżkiój i okolicznego spóółstwa. A przyjechał tam także i je

den gość niespodziany, którym był książę siedmiogrodzki, Rakoczy. Ten podniósłszy owemi czasy przeciwko cesarzowi Leopoldowi I rokosz, który po tegoż panującego śmierci przeszedł w puści- i znie na cesarza Józefa I, podżegany szczęściem swoim i dumą, zapędził się był zadaleko i pod koniec przeszłego roku, częścią przez dzumę, częścią przez bitwy przegrane, większą połowę swych wojsk rozlicznych wygubił. Straciwszy z tego powodu ufność w swe własne siły, a nie chcąc swojej wojennój imprezy kończyć choćby korzystnym traktatem, udawał on się już do sułtana, prosząc o zbrojną pomoc dla siebie; a kiedy Porta, zajęta właśnie przygotowaniami do wojny z carem, odprawiła go z niczóm, to on się znowu o taką pomoc udał do cara i w tym zamiarze przyjechał na ów zjazd jarosławski.

Co się więc jego dotyczy, już to nieledwie samo z siebie wynika, że Piotr Wielki nic nie mógł przyrzec dla niego; ale to już nadmienić należy wyraźnie, że i Rzeczpospolita nie dała się w ową wojnę pociągnąć. Były tam na nią wielkie naciski, a ztąd i z owąd nawet dość kłopotliwe, – bo nietylko tu cesarz rossyjski odwoływał się do piśmiennych obietnic, ale i król ciążył całym swym wpływem za pomocą w tój wojnie, – jeszcze do tego i hetman w. koronny, czując serdeczną wdzięczność dla cara za doświadczoną od niego protekcją przy swych własnych zabiegach o polską koronę, wszystkich sił swoich używał ku dopięciu carskiego zamiaru; jednakże przecież senatorowie przetrwali ze statkiem te kłopotliwe opały i utrzymali się wreszcie przy swoim, do czego tóż im najlepiej posłużyły karłowieckie traktaty z Portą, których wigor był zaręczony aż do roku 1724.

Tak tedy ten zjazd się skończył na niczóm, z wielką dla rze- Czypospolitej pociechą, ale też i z niemałym dla rozmaitych osób patrykularnym frasunkiem. Jednym z tych, których może najgłę- biój był dotknął ten niezaszczytny frasunek, był niewątpliwie hetman wielki koronny Sieniawski. Pan ten bowiem, – a któż tego nie wió, dlaczego się panem mógł nazywać Sieniawski ? – przy całej swojej dumie i wyniosłości, był nietylko kapryśnym jak dziecko, ale też i drażliwym jak dziecko. Nie bolał on może czasem nad krwią braterską, zalewającą bez potrzeby niwy ojczyste, nie płakał ze łzami umęczonój pod owe czasy krainy, ale kiedy coś sobie uroił, a to mu się nie udało, już był jak struty i ledwie się nie kładł do łóżka. Toż i tu, po tym zjeździe chybionym, byłoby go to pewnie spotkało, – ale na jego szczęście ochroniła go od tego jedna mała drobnostka. Człowiek ten bowiem, jak z jednej strony dumę swą wypiętrzoną karmił samemi olbrzymiami zamysły, jak po zniszczenie jednej z najmożniejszych pod owe, ba i po wszystkie czasy, rodziny Potockich, to po zdeptanie potęgi szwedzkiej, to nareszcie i po koronę dla siebie swoją rękę, niewieścią wyciągnął, – tak znowu z drugiój strony był próżnym jako bańka mydlana i nieraz jeden mu się to wydarzyło, że po stracie ogromnój

pocieszył się ledwie dojrzaną drobnostką. Toż i tu się tak stało. Na tym zjeździe albowiem miał on nie jeden, ale dwa do spełnienia zamiary. Jeden publiczny, którym była pomoc w wojnie tureckiej, – a drugi prywatny, którym był znów chrzest jego córki. Hetman miał córkę jedyną spadkobierczynią tak ogromnej fortuny i tak znamienitego imienia, której było Zofia na imię, a która wtedy miała już rok trzynasty. – Z chrztem tej córki solennym wstrzymywał on się przez wszystkie lata, bo miał zawsze rozmaite widoki, – ale teraz, kiedy po powrocie królewskim do Polski te widoki się rozpieczęściły, postanowił ją ochrzcić na jarosławskim zjeździe. Nieprzewidzianym przez niego, co mu się bardzo często zdarzało, zwrotem sprawy publicznej, byłoby może i tu do tego nie przyszło; ale na jego szczęście przyjechała jeszcze zawczasu pani stolnikowa krakowska.

Matka młodego Jurcia, jak się już rzekło powyżej, była od lat najdawniejszych z hetmanową w przyjaźni, żyła też z całym domem hetmańskim w bardzo poufnych stosunkach, stała się więc na samym wstępie współniczką wszystkich hetmańskiego domu zamiarów. A że ta pani w zapobiegliwości i rozmyślonych gabinetowych zręcznościach przechodziła jeszcze o wiele samą hetmanową koronną, więc ona piórwvsza to powiedziała, że na tym zjeździe sprawa publiczna może się rozbić o stateczność senatu, a kiedy ta się rozbije, to się tym pewniej jeszcze mogą rozbić i chrzciny. Częścią więc tem przewidzeniem, a po części może i tem, że bodaj, czy jej nie więcej zależało na chrzcinach, niż na sprawie publicznej, zniewoliła ona hetmana do przyśpieszenia tego obrzędu. Jakoż w samą istotę, pod Koniec zjazdu, ba już w ostatni dzień konferencji, uproszono nareszcie monarchów na chrzestnych ojców i solenność ta przyszła w samą istotę do skutku.

A była to solenność mało kiedy widziana, bo się cała odbywała pod namiotami, na wolnym polu pod miastem. Monarchowie stanęli w mieście i tam się odbywały narady zjazdu. Ale hetman stanął z wojskami w polu, a jako na zjazd tak poważny, wystąpił z całą świetnością swojego krezusowego dworu. Już i w każdy dzień inny było tutaj co widzieć, – a cóż dopióro w dzień takiój fety? – Hetman miał ze sobą 40,000 ludzi samego wojska, oprócz swoich chorągwi przybocznych i swego dworu; – toż i miał mu kto służyć. Nazwożono więc choin, słupów wysokich pod kagańce i smolnych beczek na wieczór, ba i drzew całych z zielenią, \f które obóz przybrano z podziwieniem całego ludu.

Jakoż było widać najpierwój, jakoby na dnie obrazu, przepyszny namiot ledwie nie większy, jako kościoły po wsiach, z przodu ubrany w chorągwie i znaki, na jego szczycie pozłocista Liwi, koło niego służba hetmańska od szkarłatu i złota: marszałek dworu z laską o srebrnej gałce*, olbrzymiego wzrostu pajuki w wysokich czapkach, przysadkowaci Węgrzy w pozłocistych dołmanach

i kołpakach z piórami, dwunastu Serbów w zawojach z kindza-łami u boku, dwóch murzynów w czerwonych kurtach, dwóch karzełków z dzwonkami. Dalój i bliżej, po tej stronie i owój, w rzędzie jakoby strzełił, dworskie namioty błękitne w złote księżyce i gwiazdy, wszystkie strojnie świętecznie, wszystkie z hetmańskim herbem u szczytu. A koło nich gmach ludzi, – a za nimi wozy ładowne, podłużne smagi, nieprzejrzane szeregi koni, oswobodzone z juków wielbłądy. Toż znów po obu stronach ku drodze–wszystkie wojska pod bronią. Więc piechota zaciężna, artylerya z niemiecka, autoramenty cudzoziemskie i polskie; chorągwie pancerne, husarskie jako orły skrzydlate, petyhorskie w burkach wełnianych, rycerstwo polskie, w hełmach ze strusiami piórami, w pozłocistych pancierzach, pod rozwiniętymi sztandary. A w samym środku, między szóroko rozwiniętymi liniami wojska, niby to przed namiotem, ale już prawie przy samej drodze prowadzącej od miasta, hetman ze swoim dworem oczekujący dostojnych gości. Hetman z odkrytą głową, koło niego małżonka, córka, stolnikowa krakowska i damy dworu; toż przyjaciele, jak Rzewuski hetman polny koronny, po staremu w pancierzu na staropolskim kontuszu, a z lwią skórą przez plecy, Janusz książę wiśniowiecki, wojewoda krakowski, Denhoff, hetman polny litewski, w niemieckich sukniach i ku- dłatój peruce, i Rybiński, generał w stali; dalej inni panowie, starszyna wojska: po prawicy hetmana, Szaniawski biskup kujawski, z krzyżem szmaragdowym na piersiach, podarunkiem od cara, inni senatorowie duchowni, prałaci i przełożeni klasztorów z miasta, – a za tem wszystkim dwór hetmański, jak gdyby zastęp pospolitego ruszenia, boć takie dwory chowali wtedy panowie polscy.

Nadjechał wreszcie książę siedmiogrodzki Rakoczy, otoczony węgierskimi paniętą i licznym dworem: tamci w aksamitach, sobolach, z czaplemi kity, ci znów w dolmanach jak gdyby kutych ze złota. Przystąpił książę z odkrytą głową do Sieniawskiego, ścisnął mu rękę, kłaniał się wszystkim i zaczął z hetmanem rozmawiać.

W też pędy za nim król polski, ledwie go widać z pomiędzy Niemców i tej tam ciężkiej dragonii w kirysach i owych wybujałych drabantów, co jako wieże chodzili pomiędzy ludźmi.

Ale toż nareszcie i car nadjechał konno i zbrój no.

Szli więc już wszyscy pod namiot – i przystąpiono zaraz do solenności.

A kiedy książę biskup kujawski przygotowywał się do obrzędu, wszyscy panowie z kolei przystępowali do hetmanównój, chcąc jój się zbliżka przypatrzeć i parę słówek łaskawych powiedzieć. Więc hetmanowa była zrazu w kłopotcie, obawiając się, aby to młode dziówczątko, na widok pierwszych mocarzy świata, nie utonęło w rumieńcach. Ale nie było się cfeego obawiać. Byłać to wprawdzie jeszcze bardzo wiosenna dziecina, ale jak wzrostem wystrze

liła już w górę, ba nawet matkę przeniosła, tak też i fantazyja była w nią nie lękliwa, a umysł jasny i śmiały nad podziwienie. Odpowiadała też owym panom wyniosłym tak przytomnie, doraźnie i trafnie, i tak jój to było za jedno, czy tym, czy owym językiem, że monarchowie sami unosili się dla niej w pochwałach— a kiedy jeszcze do tego przy samym obrzędzie odpowiedziała biskupowi po łacinie, już też się wszyscy zdumiali.

Zaczóm słysząc to Denhoff, przypatrujący się temu wszystkiemu z natłoku, rzecze do Rzewuskiego:

— A to do zadziwienia! Ot, bodaj czy nie piórwsza to będzie panienka na całe nasze królestwo, bo to i ród, i fortuna, ba i wszystko po temu.

A na to hetman polny koronny, który też był i wojewodą podlaskim:

J— No, jesteś wdowcem, pokłonić się ojcu i kwita.

A Denhoff westchnął i rzekł:

— Możeby to była i niezła połączyć dwie ostatnie gałązki dwóch rodów; aleć to jeszcze dziecina.

A tymczasem i obrzęd się skończył, a panowie zaczęli występować z darami. Więc car dał szkatułkę z perłowej macicy napełnioną bogactwem, — a król szkatułę z koralu jużci także nie- Próżną, — a siedmiogrodzkie księżę, jako mąż sobie serdeczny i dla Wszystkich otwarty, dał też misę otwartą z szczerego złota, a napełnioną tak serdecznie brylantami i perły, że aż przez wierzch przelatywały.

Tak więc ta wielka solenność dopełniła się z wielką pociechą dla wszystkich — a już z największą dla stolnikowój krakowskiój, która nietylko na to kazanie dzwoniła, ale też występując jako piastunka albo też ochmistrzyni chrzczonego dziecka, otrzymała od cara bogate perły, od króla naramienniki ze złota, a od księcia garstkę takiego samego specyału, jaki był w onój misie. A już potem była biesiada, po staropolsku dla wszystkich. Więc dla monarchów i najpiórwszój starszyczny, zaproszonój do tego stołu, pod namiotem hetmańskim, — dla innych gości, dla starszyczny wojskowój i służby dworskiej pod namiotami małemi, — a dla wojsk i pospólstwa pod gołem niebem. Powiadano, że na tę ucztę zabito dwieście karmionych wołów, pięćset sztuk rozmaitego drobiazgu, pękło też pięćset beczek piwa i sto beczek gorzałki, nie licząc wina i miodów. Trwała zaś ta biesiada do późnego wieczoru, nietylko pod gołem niebem, ale i pod namiotem hetmańskim. Bo już i monarchowie poodjeżdżali, i starszyczna się rozjechała, a u hetmana jeszcze i ten i ów się zabawia, prawiąc niu komplementy i rozmaite życzenia. Ale też przecie o późnój nocy zostali iuż sami swoi w namiocie. Hetmanowa ze stolnikową, z ochrzczoną córką i damą dworu, siedzą na otomanie*— a hetman przechadza się po namiocie, powiadając rozmaite sentencye monarchów, chmurząc się niby na to, że się senatorowie tak sta-

T

nowczo oparli zamiarowi wojny tureckiej, a ciesząc się znowu tó*m*, *^*.e przynajmniej te chrzciny odprawiły się tak przystojnie i składnie. Aż się też zwrócił do stolnikowej i. rzecze:

– A to ja waszmość pani mam podziękować za to, moja stolnikowo kochana! Bo gdyby nie twoja zapobiegliwość, toby si*ś* było pewnie *^*kończyło na niczem. Ja zajęty sprawą publiczną, po całych dniach Tr nocach na konferencyach, że mi aż w głowie szumiało; moja zaś jejmość zajęta znowu bernardynami, którzy ją modlą, żeby im tutaj taki kościół i klasztor ufundowała, jak kapucynom we Lwowie; ot i nie było czasu. Toż jeszcze jak gdyby na to byłbym się pierwszej śmierci spodziewał, niż tego tam senatorów oporu. A waszmość pani to wszystko doskonale przeczuła i bodaj czy nie w ostatnim momencie. Masz już za to upominki od wszystkich, aleć to na tó*m* nie koniec, bo też i jabym chciał się zachować w tak zacnym domu w pamięci...

– JW. panie, – rzekła na to stolnikowa wesoło, – pamiętam ja o tó*m* dobrze i uprę tó*ż* jegomości.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się hetman, drzyjże mnie moja jejmość kochana, a dobrze. Ale bodajbym nie zgadł, z której to strony do mnie się weźmiesz.

– Niechże jegomość zgaduje.

– A wiele*ż* to lat temu będzie, jakem waszego syna na porucznika posunął?

– Och, już i nie pomnę!

– Cha, cha, cha! – śmiał się znów hetman, – więcby go znowu posunąć?

– Czas to już wielki, panie hetmanie!

– Hm! – mówił hetman, – już*ci* ja nie mam serca przeciwko temu, ale się przecie namyśla*m*. Teraz to nic, dopóki siedzi w Krakowie, a tu tylko stoi w rejestrze, ale jak pod chorągiew podjedzie viritim, żeby to na to szemrania nie było w wojsku, że ostrzelanych żołnierzy dają pod komendę młokosów.

– JW.. panie, mówiła na to 'stolnikęwa obrot*nie*, – nie nowina to Ożarowski*m* i z młodu piastować wyższe urzędy. Lassota, którego córka była za Tęczyńskim, kasztelanem krakowskim, nie miał lat jeszcze trzydziestu, kiedy został podkomorzym koronnym, Jędrzej także młodziutki, został podkomorzym króla Zygmunta Augusta, a ilu*ż* to tam było rotmistrzów, co zaledwie dorośli!

– O! a jako jójmość umiesz ładnie powiedzió*ć*! – zawołał hetman, – no, to i co robić! niechże już będzie rotmistrzem. Już go tó*ż* muszę przenieść chyba do mojej własno*ć* chorągwi.

Stolnikowa kłaniała się hetmanowi, a hetmanowa wieszowała jej zcicha, kiwając głową, ale hetman się zaraz odezwał:

– Ale powiedz*że* mi, moja stolnikowo kochana, jak*że* to zamyślacie z tym chłopcem? Czy go prosto od jezuitów przysłecie do mnie, i żeby zaraz stawał na czele* chorągwi?

–r- Nie wiemy jeszcze, jak się z tem stanie. Mój mąż proponuje, żeby go choć na rok jeden wysłać do cudzych krajów...

– A to ja także tak myślę, – poderwał hetman, – bo to, uważasz jójmość, niemasz dla młodego piękniejszej szkoły, jako praktyka za granicą. A już zwłaszcza też dla tych, którzy się myślą popychać wyżej, jako wy właśnie z waszym chłopakiem. I nie było też u nas żadnego znamienitego męża, któryby nie przeszedł albo przez służby, albo cfioc przez nauki postronne. Toż

1 ja przecie strawiłem lat kilka na tóna, a- gdzie Włochy, gdzie Francya, gdzie Niderlandy i drugie Niemcy, co ich to przecie niemało, wszędzie ja byłem; ba i o Hiszpanym zawadził i byłbym tam dłużej posiedział, gdyby nie to, że właśnie wtedy zawiąło w tamtych krajach powietrze. – A już u króla chrześcijańskiego tom nawet i niby służbę był przyjął, co mi tóż pamiętają do dziś dnia i wspominają w swych listach. Więc ja wam radzę, kiedy chcecie co mióc z waszego syna, wysłać go w cudze kraje koniecznie. I niechaj wstąpi gdzie w służbę, bo to i , nauka ztąd będzie i na potem estyma. ' A jak już tam gdzie przystanie, dajcież mnie o tem wiadomość, a ja mu dam listy od siebie, czy to do rzymskiego cesarza, czy do króla francuzkiego, czy do którego

2 drobniejszych, a choćby tóż i do Ojca Świętego, boć się ma przecież z tymi panami poufałe relacye!

Bardzo się tedy stolnikowa za te obietnice kłaniała, – ale niepora jej było powiedzieć teraz, że do wysłania Jurcia do cudzych krajów brakowało jego zubożalym rodzicom funduszów. Choćby tu zresztą przy dzisiejszój fantazyi hetmana można go było inoże i do tego nakłonić, 'jednak, jak z jednej strony taka przymówka byłaby nieodpowiednią zacności domu, o którą stolnikowa, trza jej to przyznać, niemało dbała, – tak znowu z drugiej było rzeczą aż nadto jawną iż nad wszystkie darunki hetmana najkorzystniejby było przywieść Jurcia do Brzeżan i żeby hetman swego rotmistrza sam za granicę wyprawił. Za tym przyjazdem Jurcia do Brzeżan, znająca wszystkie tajemnice hetmańskiego domu, a sięgająca swoim umysłem daleko wyżej niżby się mogło zdawać na oko, była stolnikowa może jeszcze i z innych powodów... Może zyskana ranga rotmistrza dla syna była tylko jednym szczebelkiem daleko wyższej drabiny jej planów... Może w tej sprawie daleko więcej chodziło jój o to, żeby hetman osobiście poznał jej syna, niż żeby go w rangach posuwał... Może tam W sercu hetmańskióm znała ona jaką próżnię przestronną, którą chciała swym synem zapełnić... Może, –a Bógwió, – bo to ojcowie, nie mający potomstwa po mieczu a dumni, rozmaite miówają Próżnie w swych sercach, a ztąd i rozmaite zachcena. Cóżkol- Wiekbądź stolnikowa postanowiła sobie teraz już .nie opuszczać hetmaństwa, i tak czy owak, przeeeież jeszcze coś więcój zrobić ^ nich dla syna.

Jakoż i tak się stało. Nazajutrz rano rozjechali się monar-
Tom X.

chowcie a hetman z żoną pojutrze. Pojechali z nimi i stolnikowa. I pojechali najpierw do Lwowa, gdzie bawili koło tygodnia, – ze Lwowa do Brzeżan, a zamtąd znowu do Czartoryska, gdzie już był książę wojewoda krakowski i czekał na swoją żonę, lada dzień przybyć mającą z Krakowa.

Przy takiej włości trudno się temu i dziwić, że pacholek wysłany konno za stolnikową nie mógł jój wcale odszukać. Wyjechał on prosto do Brzeżan, bo podług jej własnego zeznania tam miała mieszkać; ale w Brzeżanach powiedziano mu, że cały dwór hetmański jest w Jarosławiu. Przyjechał do Jarosławia, ale i tu ich nie zastał, bo już byli wtedy we Lwowie. Dociągnąwszy do Lwowa, dowiedział się, że właśnie wyjechali do Brzeżan, a tu już i konia nie było, musiał się dowlec piechotą. A kiedy się ku zdziwieniu swemu przekonał, że i tu ich już nióma, – odżegnał lichy od siebie, stanął u szlachcica na służbę i już nawet do domu nie wracał.

Ówczesnym wojewodą krakowskim był książę Janusz z Wiśniowca, albo też Wiśniowiecki, jak się już wtedy ta rodzina pisała. Był to mąż głębokiego rozumu, niepośledniej nauki i bardzo statecznego umysłu, a co daleko ważniejsza, głębokiej wiary i nieprzebranej dobroci serca. Nie ufając swym siłom, nie wystąpił on ani razu jako główny naczelnik tego albo owego stronnictwa,—lecz jako poseł, pośrednik, komisarz, deputat, marszałek, był ciągle czynnym, a mając zawsze tylko dobro wspólne na celu, przez swoją dobroć, wyrozumiałość, pracowitość i zręczność, nieskończone przynosił pożytki. Ile on nieszczęść odwrócił, ile szkód wyrządzonych naprawił, ile spraw pokrzywionych sprostował, ile rodzin ochronił, ile łez krwawych otarł kosztem swej pracy, a nawet i swój własnej szkatuły, trzeba chyba spisywać w księgach! W czasie ostatnich zaburzeń, częścią z skłonności serca, częścią z powodu tak blizkiego powinowactwa z Leszczyńskim, trzymał on się statecznie stonnictwa króla Stanisława, deklarował się z tym publicznie, a nawet jako jeden z głównych przywódców konfederacji sandomierskiej wystąpił—je'dnakże i w tym razie umiał taką zachować powagę, a rady swoje odznaczyć takim rozsądkiem i oględnością, iż sobie przez to nawet u przeciwników zasłużył na niezachwiane poszanowanie i wiarę.

Toż kiedy się wreszcie ołle burze pokładły i król August znowu do Polski powrócił,, i niby to już było- po wojnach, 'a przecie jeszcze tak wiele uraz i krzywd i waśni było nie załatwionych,, książę Janusz znalazł dla siebie najpiękniejsze pole do działań i był też czynnym niespracowanie. Starając się teraz jeszcze usilniój o to,

ażeby dawne swe zachowanie u obustronnych partyzantów Utrzymać, był w owym czasie prawie ciągle na wózkach: to u króla amnestye wyrabia, to się stara o powracanie poodbióranych urzędów, to uzyskuje wynagrodzenia za szkody; tu usiłuje godzić po- waśnionych Potockich z Sieniawskim, tam Denhoffa z ►Pociem, obu hetmanów litewskich, a na śmierć na siebie zawziętych, tu znów Sapiehów z szlachtą litewską; tu jest w Krakowie, to znów w Jarosławiu, tu w Warszawie, a tu znów w Czartorysku...

Księżna sama była z domu Leszczyńska, wojewodzianka podlaska, wdowa niegdyś po Konarzewskim. Była to pani cicha, skromna, pobożna, a nawet i słabowita cokolwiek i dlatego zwykle przez zimę mieszkała w Krakowie, gdzie też miała dom i dwór własny, jako wojewodzina tamtejsza. Toż i tę zimę całą przesiedziała w tym mieście, prowadząc dom dosyć otwarty, ale bez huku, obfitujący we wszystko, ale bez zbytku, okazały wedle godności swojej, ale bez próżnych świecideł. W tym domu uskuteczniały się nawet czasem i sprawy przez połowę publiczne, a odpowiednie zamiarom księcia: nie jeden umysł wburzony został tutaj usposobiony do ow⁷ój zgody, którą potem książe na innym miejscu doprowadził do skutku; nie jedna zgoda została zawarta tutaj, do której książe drogę uścielił gdzieindziej. Mianowicie zaśbyło zadaniem księżnój, kiedy się już wojny ukończyły, wpływać w ten sposób na obustronnych, a jeszcze zawsze boczących się na siebie stronników, ażeby ile możności jaknajprędzej pozwierzały się z sobą rozdarte serca i rozdwojone umysły. Z tego też powodu prawie zawsze widziało się u niój i partyzantów szwedzkich i saskich, duchy hetmańskie i konfederackie, popleczników króla Stanisława i przyjaciół króla Augusta/zasiadających przy jednym stole, rozmawiających za jój pośrednictwem ze sobą grzecznie, czasem po przyjacielsku, a nieraz i podających sobie rękę na zawsze. Jako ów święty Pański,- który wskazany na pożarcie przez dzikie bestye, kiedy go wprowadzono do Kolosseum. jednym spojrzeniem, jedną gorącą modlitwą rozżarte lwy i tygrysy do nóg sobie pościelił, tak ta pani pobożna jednóm swóm słowem, jedną nieraz rozmową najzawziętszych przeciwko sobie godziła wrogów, najzastarzalsze ułagadzała waśnie. Wiele też od niój się rozchodziło zacności, a jej dom był jakby świątynią przyjaźni, pokoju i zgody.

Ale nareszcie minęła zima, a z wiosną zawezwał książe listem swą żonę, aby na całe lato przyjechała do Czartoryska. Zaczęła się tedy księżna już pomału wybierać— a tymczasem dawała prawie codzień obiady, aby się z przyjaciółmi pożegnać. Obiady te me bywały nigdy zbyt liczne, ale zawsze pod względem stanu i usposobień gości dość rozmaite, właśnie jak gdyby ta zacna pani, pozasiewawszy tyle nasionek przyjaźni pomiędzy ludźmi, chciała się jeszcze na odjeźdźnym przekonać, że te nasionka powschodziły istotnie, zawiórając w swych pączkach zarody żywych na przyszłość kwiatów.

Jakoż dnia tego właśnie, kiedy sascy żołnierze taki morderczy zrobili napad na dom krakowskiego stolnika nad Nidą, był także taki sam obiad u księżnej. I rozmaitych widać tu było gości. Najpiórw więc damy, jak Koniecpolska wojewodzina sieradzka, i Morsztytiowa, wojewodzina sandomierska, Tarłowa, kuchmistrzowa koronna, kasztelanowa buska, starościna Kowalska i inne. Toż z mężczyzn znowu wojewoda sandomierski, starosta Kowalski, kilku panów innych, a z nimi i pan Feliks Czermiński, kasztelan dawniej połoniecki, a od lat kilku kijowski. Ten, jako wielkiego zachowania używający u księcia, siedział na końcu stołu- i pod niebytność księcia gospodarską funkcją sprawował przy tych obiadach. A był to mąż już podżyły, dawno już pięć krzyżyków przeliczył, a może już i szóstego dosięgał. Był też już szpakowaty, czuprynę miał podgoloną, wąs przystrzyżony "i nosił strój staropolski; a że był przytem -personat, więc też i bardzo poważnie wyglądał. Lecz chociaż i z fortuny i ze swego znaczenia liczył się między panów, był sobie jednak szlachcic z niego jak drugi, poważny zwykle, ale na razie prędko i zamaszysty. A już tó tego nabrał po swoich służbach, których było tyle, że i trudno Wyliczyć. Boć to jeszcze za króla Michała, w onej to sławnej chocimskiej, przyjął chrzest krwawy, a już od tego czasu, gdzie było ciepło, a byli inni, to i jego nie brakło. W tych ostatnich rozruchach chwycił się był Sasów gorąco, z nimi trzymał statecznie i po ich stronie wielkim przewodził hufom; wojował nawet bardzo szczęśliwie, za co tóż pobrał starostwa i dwie kasztelanie, jedną za drugą; ale pod Nieborowem, w sam dzień Narodzenia Pańskiego roku'1706, tak mu się noga powinęła haniebnie, że Szwedzi oddawna wielką oskome na niego mający, nietylko w puch rozbili całą jego komendę, ale i jego samego zabrali. Już to, mówiąc Bogiem a prawdą, była to sprawka Lubomirskiego, oboźnego koronnego, który go zdawna na wąs sobie namotał; jakoż nic to nie było, że go wybił i zabrał, bo to los wojny, ale to była zasie nie 'bardzo piękna, że go pojmanego do cudzoziemskiej fortecy, bo do Kalmaru, odesłał, gdzie go do więzienia wrzucono. Spić wał też sobie nieborak kasztelan de profundis ledwie nie całe dwa lata i byłby tam może i żywota dośpiewał, gdyby nie jego sługa, wierny .Litwinek, który towarzysząc swojemu panu w niewoli, przyniósł mu skrycie suknie niemieckie i przebranego nocą wywiódł za mury fortecy. A tak już potem zapomocą króla duńskiego dostał się nazad do Polski po staremu wsiadł na koń i był znów czynny aż do potrzeby połtawskiej. Tu ustał, – lecz chociaż zawsze był niby za królem Augustem, jednak przypatrzwszy się zblizka jak jego wojska gospodarowały, dziwnie jakoż zniecierpiał Sasów. Nie godziło mu się tego powiadać, boć przecie sam tak ogniście stawał za nimi, ba, i przy zawiązaniu konfederacyi sandomierskiej był jednym z głównych motorów, – czuwając to, milczał też zwykle, – ale przecież jak Sasa obaczył, już go nie mógł

przenieść na siebie; gryzie więc wąsy, usta zacina, a potem mruknie sobie pod nosem:

– Już mnie tóż Pan Bóg pokarał tóim lichem!

A tu jak na to księżna mu po prawicy posadziła Fleminga. A był ten Fleming bratankiem owego wielkiego Fleminga, który był feldmarszałkiem króla Augusta, a miał Sapieżankę, starościankę bobrujską za sobą. Człek jeszcze, młody, słuszny jak sosna i bardzo gładki, w mundurze saskim, boć był także żołnierzem, a wtedy już i majorem. Powiadano nawet, że był dosyć waleczny, choć nie fortunny, jak to widać z tego, że go i tu i owdzie przetrzepano serdecznie.

Bardzo tedy niechętnie patrzył na niego kasztelan, – lecz jakby gdy na odwet za to siedział po jego lewój bardzo wdzięczny młodzieńczyk. Już był wystrzelił do góry i znacznie, ale twarz jeszcze miał jakby dziócięcą, piękną nad podziw, bo jak krew z mlekiem, co tóż wszyscy w nim podziwiali i z którego to powodu można go było wziąć w istocie za dziecko, gdyby jednakże nie wzrost jego i zresztą nie to, że już mu białawy puszek okrywał. wargi i brodę. Przy dużych oczach błękitnych i nosie trochę pociągłym miał włosy jasne, które tóż bardzo rzadko zaczesywał na boki, a że i strój jego polski był z samych przednich materyj, więc było widać odrazu, że jest to jakiś młodzieniec zacnego domu, o którego tóż dbają niemało.' Ale co go zalecało daleko wię- cój, to jego skromność a już nieledwie jawna niewinność, z powodu której, chociaż bardzo gładciutko, perorował jakim kto zechciał językiem; kiedy go o co która z dam zapytała, jakby kwiatek się płonił, a czasem się nawet i troszeczkę zaplątał. Ale na jego chwałę trza to powiedzieć,- że się zawsze- wyplątał i powiedział rzecz swoją zrozumiale dla wszystkich, a nawet pięknie. Jednakże oprócz tych przymiotów wcale chwalebnych miał on jeszcze jedną cnotę daleko wyższą, a to tak znamienitą pobożność, że nią celował wszystkich swych rówieśników. Chodził on jeszcze do akademii, ale się chował pod opieką oo. jezuitów krakowskich, a ci go tak pięknie przykłonili ku wierze świętój, że im zaszczyt niemały przynosił. Był on bowiem nietylko tak pobożnym jak inni wierni, ale z osobliwą gorliwością oddawał się wszystkim egzer- cycjom hartującym w wierze; lubo tak młody, był już Sodalisem maryjańskim i należał nawet do arcybractwa Męki Pańskiój, albo też Compassionis, jak-to zwano podówczas, a które to bractwo przy franciszkańskim kościele jeszcze czasu Zygmunta III, Szyszkowski, owoczesny kanonik katedralny, założył. Ta gorliwość w wierze, do której tóż stosowały się wszystkie postęпки tego młodzieńca, zjednała mu już zawczasu nietylko miłość, ale prawie i poważanie u wszystkich; czego najlepszy dowód był potem, że nie było tego zacnego domu w Krakowie, gdzieby go nie proszono w gościnę, a już u księżnój wojewodziny nie było ani tego obiadu, ani tóż żadnej kompanii, na którejby jego nie było. Towarzysze akademicy,

zwłaszcza co lżejsi, jak-to u takich wichrów nie trudno, dworowali sobie z tej pobożności, mówiąc jakoby chodził w kapturze, – a kiedy mu się zdarzyło powiedzieć, że nade wszystko przenosi stan wojskowy i do niego się chce sposobić, to się śmiano z niego już jawnie i powiadano że będzie kiedyś wojował chleby i beneficya kościelne. On to wszystko znosił cierpliwie i nawet się nie odgryzał, – a to mu u tych tam wichrowatych pacholąt wcale nie przysparzało estymy. Ależ Bóg wie, co się tam działo w jego sercu" i czyli właśnie z tego powodu nie rozżarzała się w nim jego ambicya, a z nią pragnienie, aby tóż jaknajprędzój zadać kłam tym opiniom. A może się działo inaczej; boć to o młodych trudno jest co powiedzieć z pewnością. Cóżkolwiek bądź, pominąwszy owych tam akademików lekkich, młodzieńczyk ten był ukochany przez wszystkich, a ktokolwiek się zastanawiał nad jego przyszłością, wróżył mu najpiękniejsze widoki.

Otóż to był ów Jurcio, stolnikowicz krakowski, a syn tego zacnego stolnika, na którego dom Sasi napadli, a o czóm on nie- bożątko jeszcze nic teraz nie wiedział, bawiąc się przy obiedzie z wesolą gromadką gości i będąc najlepszej myśli.

Aż tóż pod koniec obiadu księżna wojewodzina, widząc że zacny kasztelan jest jakoś w niedobrym sosie i nawet dosyć wyraźnie boczy się na Fleminga, nałata parę kropelek wina w pu- -harek i dawszy znak ręką temu-to Flemingowi, rzekła:

– Niechaj nam żyje ukochany nasz pan kijowski!..

I -przychyliła puharek do ust. Fleming, czy może zmieszał się tem niespodzianie, czy tóż w istocie rad był temu ze serca, zerwał się raźnie z siedzenia, nałata zaraz swój puhar i rzekł do kasztelana:

– Niech nam żyje jw. kasztelan kijowski, wierny saski przyjaciel!

Kasztelan wstał także z miejsca i kłaniał jemu, ale kiedy głowę pochylił, mruknął sobie pod nosem:

* – Bodajżebyście się udławili tą moją przyjaźnią!

Jurcio tego dosłyszał i śmiał się, ale właśnie wtedy, kiedy się śmiał, zwrócił się Fleming do niego i oddając mu puhar, rzekł że francuzka:

– Panie Ożarowski! w ręce waszmości.

Obaczywszy zaś uśmiech na twarzy młodzieńca, dziwnie się jakoś zachmurzył. Trzebaż było jeszcze do tego, żeby to było nie w swoim miejscu, oddawać puhar młodzieńcowi tam, gdzie było tyle osób poważnych i starszych, – i trzeba było, że uważny młodzieniec tego nie zobaczył i zaraz rzekł:

– Przyjmuję puhar od waszmość pana, ale pierwój oddam go starszym.

I podał go w rzeczy wojewodzie sandomierskiemu. Drobną ta rzecz zwróciła jednak uwagę wszystkich, a już trudno nie zgadnąć, że kiedy z tego powodu wszyscy z wielką wdzięcznością

poglądali na baczego młodzieńca, majorowi saskiemu jakby kto na nogę nadeptał. Jakoż srodze się zaraz zachmurzył, bakenbardy pogładził i rzekł:

– Dziękuję waszmości za dobrą naukę, któraby wszakże była jeszcze o tyle więcej poważaną przezemnie, o ileby nie pochodziła od siedzącego na ławie szkolnój.

Zarumienił się na to młodzieniec mocno, lecz rzekł przytomnie :

– Nie miałem w myśli dawać waszmości nauki, jeno mi takie zachowanie nakazywał szacunek dla starszych, który jest u nas nietylko obyczajem, ale tak prawie jakby artykułem wiary.

Wytrzymał Niemiec chwilkę z zaciętymi usty, a potom rzekł:

– Wiem ja dobrze o nabożeństwie waszmości i wiem także o jego funkcji u biczowników, – przyczem się roześmiał szkaradnie i dodał ostro, – ale trzeba wiedzieć waszmości, że to nie jest ani kapitularz dominikański, ani katownia arcy-bractwa Najświętszój Panny, ani tóż wolno tu kogokolwiek biczować.

A lubo Fleming tę kacerską sentencją powiedział z francuzka, co wypadło niby cokolwiek gładziej, bo też i więcej dwuznacznie, zrozumiał go jednak młodzieniec dobrze, spłonął gniewem ognistym i rzekł:

– Mości panie! proszę tylko naszych świętości nie tykać, bo to rzecz jest haniebna!

Wtem w oka mgnienu wstano od stołu i tłum się zrobił. A w tym tłumie zacietrzewiony major przyskoczył do zapłonionego młodzieńca i powiedział rzecz taką o tych świętościach, a mianowicie o nabożeństwie Polaków do Najświętszej Panny, " że

1 trudno tego powtórzyć.

Skoczył więc Jurcio do niego, kasztelan za nim, za Flemingiem Sas drugi, robi się hałas i wrzawa; Jurcio już wyzwiał Fleminga, kasztelan prosi drugiego, ba, już chcą, zaraz biedz gdzie na pole i bić się.

Ale tymczasem księżnie wojewodzinie, która z damami i starszymi panami była już w dalszych komnatach, doniósł ktoś o tem. Przypada tedy księżna z pośpiechem, a obaczywszy co się dzieje, rzuca się między zwaśnionych, zaklinając na Pana Boga o zgodę. Niepomaga to nic w piórwoszój chwili, księżna składa ręce, klęka na ziemię. Dopióróż się jakoś uspokoiłi, zwłaszcza że i kasztelan, lubo sam był wzburzony może nawet najbardziej, mrugnął na Jurcia, a i Flemingowi coś szepnął na ucho. Zrobiła się tedy cisza, – na prośbę księżnej podali sobie nieprzyjaciele w jej obecności ręce – a Fleming nawet głośno i gospodynię i inne damy przeproszał.

Przyjęto to przeproszenie z wdzięcznością, ale kiedy Sasi się zaraz żegnali, już ich księżna nie wstrzymywała. Ałe Ożarowskiego damy nie wypuściły. Wzięły go zaraz ze sobą do innych komnat, obsypując go pochwałami, że się tak znalazł po kawaler-

sku i ujął się nawet z narażeniem swojego zdrowia za lekceważenie nabożeństwa do Najświętszej Panny. Księżna zaś chwali go za to najbardziej, że nie dopuścił do ostateczności. Posadziła go przeciw sobie i mówi:

– Jużbyś też chyba nigdy niczego nie potrzebował w życiu, żebym ci kiedyś nie nagrodziła tój, którąś mi teraz wyświadczył, łaski. Bo i coby to było dla mnie za umartwienie, gdyby było w moim domu przyszło do takiej kłótni, po którejby się była krew ludzka przelała! A już ty, panie Jerzy, jakieś był pierwszy, któryś się przeciw szkaradnemu wzburzył bluźnierstwu, takeś także był pierwszy, któryś się ułagodził i podał rękę do zgody, I w piórwszym razie i w drugim postąpiłeś sobie jak chrześcianin, który w ten moment czuje każdą obrazę Boską, ale tóż na wzór swego wiekuiстого mistrza, nawet swym własnym wrogom przebacza. Zaraz tóż przez jutrzejsze bryki memu mężowi o tóm napiszę, aby też wiedział, jak zacnych gości niewa w swym domu i aby im to pamiętał.

Toż samo powiadały i inne panie, dziwiąc się temu młodzień- czykowi, że lubo tak jeszcze wiotki i młody, nie wahał się przecież postawić czoło takiemu Ogromnemu Niemcowi.

Ale Jurcio jakoś te pochwały przyjmował dość obojętnie. Owszem, nawet niecierpliwił się czegoś, często na drzwi spoglądał i chciał zaraz wychodzić. Księżna nie chciała go jeszcze wypuszczać, bo się obawiała, ażeby się gdzie na dole nie spotkał z Flemingiem, aby go ułagodzić do reszty, i pożegnała Ożarowskiego, prosząc go raijusilniej, ażeby ją jeszcze przed wyjazdem odwiedził.

Młodzieniec tedy wyszedł wolnym krokiem z komnaty, ale jak tylko się dostał do antykamery, rzucił się czómprędzój na wschody i biegł jak szalony. Może i sam nie wiedział, dokąd tak biegnie, – ale czuł to w swem sercu, że gdzieś biedź trzeba koniecznie, boć przecie koniec ten jego sprawy, który był dostate- cznym dla dam, nie mógł być dostatecznym dla niego. Dziwiło też go to niepomału, że go kasztelan tak nagle opuścił, – ale ledwie co dobiegł do wjezdnej bramy, a tu kasztelan stoi przy bramie po jednój stronie, Sasi po drugićj. Coś tam ze sobą gadali a jak tylko go obaczyli, zaraz Fleming przybiegł do niego i rzecze:

– Mości panie! uczyniliśmy to dla księżnój, żeśmy się pogodzili wrzekomo, ale tak nie może być!

– Anoż i ja tak myślę, że to nie może być, – rzekł na to stolnikowicz, –jakoż temu tak biegnę, aby służyć waszmości choćby nawet i zaraz. A pana kasztelana proszę uprzejmie, żeby był świadkiem tej bitwy.

– A jakoś świadkiem? – zawoła na to kasztelan, – a toż u ja także jestem takim Sodalisem jak ty, będę ja się potykał także. Jużem tóż Pana Boga niemało naobrażał tymi Sasami, niechże Mu za to odpowiem chociaż jedną kroplą krwi. Już tóż

tu u mnie ma gospodę Górzyński, który rano i wieczór ostrzy szablę na sasów, będziemy się więc spotykać samotrzeć.

Pomyślał nad tem Ożarowski cokolwiek i rzekł:

– Wolałbym ja potykać się sam, bom tóż i sam dał powód do tego.

Spory więc o to, – a apelacya do Sasów. Ale Sasi, kiedy wyrozumieli o co to chodzi, powiedzieli że to żadnym sposobem nie mogło być. Chcieli się bić regularnie, jako niemiecki obyczaj: kto go obraził, ten się z tym sprawi.- Tak mówił Fleming. A kasztelan stał koniecznie przy swoim. Ożarowski mu rzecze:

– Panie kasztelanie, nie trza panom tój bitwy. Bo to o ogień nie trudno; jedna iskierka to nic, ale żeby płomień nie buchnął! Nuż się rzucą po całóm mieście na Sasów, to potom co?

A kasztelan na to:

– Otóż-to fryc! A żeby ich do nogi wybito! tego nam właśnie potrzeba.

Ale tymczasem przystąpili Sasi, bo też już i zmrok zaczął zapadać, jakto u księżnój późno jadano, i przywiedli przeciw tę sprawę do końca. Lubo już tóm uradowany młodzieniec, wziął jednak jeszcze kasztelana na stronę i rzecze:

• – Proszę więc jeszcze waszmości pana, żebyś wziął od tych Niemców parol, jako do jutra rana nikomu o tóm ani słowa nie pisną.

– A to na co?

– Bo gdyby się to rozeszło, nie pozwoliliby mi na to ojcowie na żaden sposób.

– Hm, – rzecze na to kasztelan, a o cóż tóż się na świecie bić, jeśli nie o honor Przenajświętszój Patronki.

– Nióma co rzec, – odpowie Jurcio, – aleć to inny obyczaj ludzi, a co innego jest prawo Boskie. Szlachta tóż żyje i czyni po obyczaju, ale kapłani muszą trzymać stricte prawa Boskiego. A ja też jestem pod kapłanami.

Pomyślał tedy nad tem kasztelan, a potom rzekł:

– Młody jesteś a jeszcze mnie czego nauczysz.- Trzeba wziąć parol.

Przystąpił tedy do Sasów, wziął od nich parol, umówił sprawę na jutro o samym świecie – i tak się wszyscy porozeżdżali.

Nazajutrz rano, jeszcze i nie oświtło, kiedy kasztelan ze swym przyjacielem Górzyńskim zajechał przed pomieszkanie stolnikowicza. Był ten Górzyński na teraz porucznikiem w chorągwi woje- wodzińskiój Morsztyna, szlachcic herbowy i posesyonat z Wielkiej- Polski, i ten sam właśnie, który niebawem potom tak się był wślawił w konfederacyi tarnogrodzkiój, wodząc przez czas niejaki z wielkiem szczęściem ich hufy. Miał więc ten zacny młodzieniec pięknych świadków do swojej bitwy, trudno tóż było i znaleźć lepszych w całym Krakowie. Zajechawszy tedy przed dom w którym mieszkał, szli po omacku do jego skromnych izdebek. A mie

szkał on wtedy w kamieniczce niewielkiej i dosyć starej na przeciwko kościoła św. Piotra, – więc i wschody tam były wąskie i dosyć ciemne, i ledwie że do niego trafili. Lecz kiedy drzwi otworzyli, już tam światło znaleźli.

Pod obrazem Matki Najświętszej paliła się lampka oliwna, – a pobożny młodzieniec klęczał przed tą patronką swoją na ziemi, złożył ręce i modlił się z całej duszy.

Widok ten tak się podobał wchodzącym, że przystanęli, jakby mu nie chcieli przeszkadzać. Ale on ich usłyszał, jakoż wstał zaraz, otarł łzę kręcącą się w oczach i rzekł:

j –"Jestem już gotów, choćby i na śmierć.

Kiedy zaś to powiedział, obudwom panom trochę się serce ścisnęło ze żalu, bo i coby to było dziwnego, gdyby taki kwiat wiotki został podcięty mieczem zaprawionego żołnierza? – ale przecie ten żal musiał ustąpić miejsca podziwieniu dla tój nieledwie już świętobliwej determinacyi, którą w tym wiotkim kwiecie widzieli. Byli więc dobrej myśli a jmc Górzyński rzekł zaraz:

– Ot! coś waść prawisz o śmierci! Anoz wiedz o tem, że ci i włos z głowy nie spadnie, bo jeszcze się to nie stało nikomu, który się bił w obronie świętości. Byłoby lepiej, gdybyśmy się spotkali samotrzeć, z którą-to propozycją jeszcześmy w wieczór do nich jeździli, ale się wymówili tam jakąś regułą. Wždy i tak nic ci nie będzie, jeno trza świsnąć młyńca odrazu, a potem wjechać jako na diabła, to też i diabeł to jest, który puszcza takie blu- źnierstwa.

I już zaraz posiadali do kasztelański ój landary.

A kasztelan kijowski mieszkał natenczas w domu swym własnym przy Sławkowskiej ulicy, który to dom, oznaczony nad bramą jego rodowitą Wieniawą, miał we środku dość- obszórny dziedziniec. Wjeżdżają tedy w dziedziniec, –ju? tóż oświatało, – Sasi już są, – zaraz więc konie do stajni a landarę do szopy, aby tóż miejsca przybyło. Ale trza to powiedzieć, że ani to miejsce, ani też pora nie była bardzo stosowna do takiej bitwy. Pora dlatego że przez rioc całą deszcz lał jak z cebra, a i teraz rosił jakby przez sito: a znów miejsce dlatego, że dziedzińczyk był brukowany dro- bnemi wprawdzie, ale półokrągłemi kamieniami, więc po tych słotach tak ziemia oślizła, że i stąpanie nie było pewne. Do tego jeszcze po krużgankach po oknach, gmach ludzi, najpierwój dworu kasztelańskiego, a nareszcie i obcych, bo się to przecież wieść ta cokolwiek rozniosła, jako to zwykle przez sługi. Ale co już było ż tóm robić? chyba rzecz tylko przyspieszyć, boć i trudno inaczej.

Jakoż już zaraz stawali. Byłci tam jeszcze certament o szable: Sasi stali za prostym mieczem, nasi zaś byli za szablą krótką i krzywą, ale Jurcio sam to pogodził, mówiąc:

– Niechaj będzie szabla niemiecka, już mi więc jedno.

Toż kiedy ich postawiono przeciwko sobie i dano szable do ręki, młodzieniec zrobił krzyż święty na piersiach i przybladł tro

chę, jak to u młodych zwyczajnie przy pierwszej sprawie. A to tak jakoś kasztelanem zdrygnęło, że rzekł do przyjaciela na ucho:

– Jużbym też wołał sam się wybić trzy razy, niż to dziecko stawiać do bitwy.

Może sobie kasztelan przypomniał w tej chwili, że sam miał dzieci. Ale Górzyński jakby tego nie słyszał, bo się i sam zapalił, rzekł więc do Jurcia:

– Pana Boga na pomoc, młyńca odrazu, a potem jedź!

Jakoż zaraz stanął na boku i podniósłszy rękę do góry, zawołał :

I – Nuż, w Imię Panny Przczystej!

Zaraz się więc złożyli. Fleming, nióma co mówić, stanął jak posąg rycerza wylanego ze spizu, wyciągnął rękę z szabliskiem i zaczął macać powoli, aby też wiedzióc najpierw ej, z kim więc ma do czynienia. Stąpi więc naprzód, ćwioknie raz, drugi, trzeci i znów odskoczy. Pięknie to robił, ale i Ożarowski niegorzej, śmiało, chwyta cięcia nad podziw. Widząc to, kasztelan, który się znał na tem jak trzeba, zaraz się rozweselił i rzecze do Górzyńskiego:

-r- Dobra nasza, mospanie! Gra tamten nieźle, ale ten lepiój odgrywa...

A tu w tój chwili zaczęto krzesać coraz to gęściej. Młodzieniec się już zapalił, broni się jeszcze, ale już i odcina, aż tu pada mu cięcie nagle na ramię i wytrysnęła krew. A jak tylko krew poczuł, kiedy-to się rzuci na przeciwnika, raz, drugi, próżno; ale bo trzeci kiedy go machnie od ucha – już Sas leży na ziemi. Zrazu myślano, że się jeno pośliznął. Przybiegają do niego, budzą, a on jak drewno. Patrzą, krwi nigdzie nie widać, –co się to stało? Jurcio rzecze:

– Zwichnęła mi się szabla, uderzyłem go .płazem.

Patrzy, tedy kasztelan na twarz leżącego, a tu na twarzy p<3 prawój stronie od samój skroni po brodę, pręga czerwona jak pąs. Przyjrzał się bliżej kasztelan i rzekł:

– Ot, mała rzecz! Requiescat in pace!

Młodzieniec zbladł. Ale mu już i odetchnąć nie dano, bo go zaraz kasztelan wziął .w swoje objęcia, wyrwał mu go Górzyński, a Górzyńskiemu już i nie wiedzieć kto. A tu z galery i krzyk, hałas, wiwaty! Ba i brama się na ścieżaj rozwarła, wałą się ludzie z ulicy, krzyczą, wołają: Gdzie ten Sodalis?

Ale ledwie co weszli na salę, przy bieżano i tam za nimi. Wprawdzie służba kasztelana, nietylko dość liczna, ale do tego wojskowa, poobsadzała wszystkie drzwi główne; – aleć poprzybiegały osoby, których trudno¹ było nie wpuścić. Jakoż w ten moment znalazł się tam starosta grodzki i podkomorzy krakowski, urzędnicy i szlachta, ba i pany niektóre – a każdy pyta z osobna: co to i jak to? A który z nich się już dowie, nuż zaraz tego prze

sławnego zwycięzcę w ramiona, nuż wypytywać i znowu chwalić. Aż tu niebawem wpadają i dwaj ojcowie od św. Piotra, nauczyciele Jurcia. Kiedy ich młodzieniec obaczył, trochę się zmieszał, bo pomimo wszystkich pochwał od innych, od nich się" przecież nie spodziewał pochwały i wątpił wcale o przebaczeniu. Jakoż byłby go pewnie nie dostąpił, gdyby to było przed bitwą, ale po bitwie... kiedy już się tak stało... rzekli ojcowie, schyliwszy głowy: Niechaj się wola Boża dzieje na wieki! Ale się przecież nie mogli długo w tój powadze utrzymać i puściwszy wodze -swojemu sercu, byli może najlepszej myśli ze wszystkich. Mieli się też czem rozweselić, boć to był ich wychowaniec,- zwłaszcza że była rzecz taka, iż .z tej tam bitwy mogła się cieszyć i osoba najświętsza. Pokazało się bowiem, że młody Fleming ani został zabity, ani nawet raniony, jeno dostał płazem w twarz silnie, że utracił przytomność i z nóg się zwałił. Gębą zgrzeszył, na gębie został skarany, – a już to wola w tem była Boska, że upadając, prawą rękę .wywichnął, a może nawet i złamał. Wielka tu tedy i niezmacona niczóm była dla wszystkich pociecha, a już dla ojców nauczycieli jakby godzinka rajy na ziemi. Przyjechali też i księżna wojewodzina, wojewoda sandomierski i kasztelan sieradzki, każdy ciekawy bez miary, a już księżna najwięcej, ^frasowała się ta zacna matrona na razie, że taki przecież przyszło do krwawego spotkania, ale się potóm rozweseliła. Przystąpiła do zwy- ciężkiego młodzieńca i rzecze:

– Przecieżeś mnie nie posłuchał! Oj! co to ta krewkość nie może u tój naszój młodzieży! No, ale kiedy Pan Bóg tak pokierował, to jeno chwalić Go za to, jak itza wszystko, a waszmości gratulować tem bardziej, bo to co ci tak wielką przyniosło chwałę, nie przyniosło nikomu zbyt wielkiój szkody.

A wojewoda sandomierski, jako to mąż bardzo waleczność ceniący, ba i sam jeszcze wojenny pomimo wieku, tak się był rozradował, że i stolnikowicza i '00. Jezuitów wycałował jak dzieci; a w końcu rzekł:

– Kiedy nas Pan Bóg taką piękną obdarzył wiktoryą, która milsza mojemu sercu jak lada jaka bitewka, godzi się tóż nią rozweselić. Kto tu więc jest w. tój sali, ksiądz czyli żołniórz, pan albo sługa, wszystkich zapraszam na obiadek do siebie. A wy, ojcowie, zróbcież tę łaskę swojemu słudze i przyjdźcież wszyscy •viritim.

Tedy się ojcowie zbliżyli do niego, dziękowali za afekt, za- prosiny przyjęli, ale znowu nawzajem prosili na mszą świętą do siebie, którą na podziękowanie Panu Bcgu za uchwowanie w całości stolnikowicza chcieli zaraz odprawić.

Jechali więc,wszyscy zaraz do kościoła, w którym odprawiło się nabożeństwo, choć niby ciche przez wzgląd na to, żeby się król o to nie rozgniówał, jednak z wielką frekwencyą ludzi wszelkiego stanu i pobożnych mieszczan krakowskich. A już Jurcio był

na tórn nabożeństwie jakby tryumfatorern; gdyby był Tatarów lub Szwedów od oblężonego miasta odpędził, toby go także lepiój nie czczono, taką mu to spotkanie przyniosło u wszystkich estymę. Kłaniano mu się, ustępowano z drogi w kościele, szepcząc sobie pocichu: oto nasz zacny Sodalis! – aż się młodzieniec rumienił i w swój skromności ledwie sam wiedział, jakim sposobem przyszedł do tego,

Ale cóż to z tego wszystkiego, kiedy śród tego szczęścia oczekiwało go już gotowe tak ogromne zmartwienie? Ledwie bowiem się nabożeństwo skończyło, przyjechał rotmistrz, przywożąc owę straszliwą wiadomość o napadzie żołniórstwa na dom jego ojca. Juruś kochał swojego ojca do uwielbienia, więc na tę wiadomość jakby kto góry lodowe zwałił na niego. Nie poszedł tóż już do Morsztyna na ucztę, kroku nigdzie nie zrobił, tylko zaraz siadł z rotmistrzem na wózek i jechał. Kiedy się rotmistrz o tórn jego zwycięztwie dowiedział, bardzo się nióm uradował, ale niebawem znów się zasmucił, a pomyślawszy trochę, rzekł:

– Ot! jak się to życie ludzkie tu plecie! To kwiat, to kolec; to zwycięztwo, to klęska! Aleć to wielka w tórn jest nauka dla ludzi, żeby tóż w żadnem szczęściu nie zapominali o Bogu, którego wola święta niech się dzieje na wieki.

Przyjechał młodzieniec do rodzicielskiego domu, – wbiega do "Wielkiej komnaty, – a tu ojciec leży na katafalku. Wielkaż to żałość dla syna! Rzucił się tóż nieborak na kolana przy trumnie, a wybuchnąwszy rozgłośnym płaczem, prawie odszedł od zmysłów...

Widząc, to, rotmistrz już go i nie pocieszał. Bo i jak tu pocieszać, gdzie żal tak ludzki, a łzy najsprawiedliwsze ze wszystkich? Postął więc chwilę, podumał smutno, a nareszcie o bernardyna zapytał. Przystąpił do niego stary sługa i rzecze:

– Ksiądz gwardyan poszedł do kościoła, aby się do pogrzebu sposobić.

– Cóżście uczynili?

– Ot' tak jak nic! – odpowie sługa z westchnieniem, – przez Nidę ani myśląc się dostać, tak straszliwie wezbrała. Nićmasz więc z klasztoru nikogo. A i z tój strony tylko dwóch księży przybyło a panów nic, bo już po tym rabunku boi się każdy i nosa za drzwi wychylić. Jeszczeż do tego ta słota ciągła, to rozkał wielka po drogach i nie trwożliwych wstrzymuje.

– Pieniędzy nic? – zapytał rotmistrz.

– ^EJ! gdzie tam panie! – odrzucił sługa, – przetrzęśliśmy wszystkie komórki, a i groszaśmy nie znaleźli. Ksiądz gwardyan miał jeno jednego tynfa przy sobie. Myśmy zrobili składkę pomiędzy sobą, ale się nazbiórało jeno trzydzieści Szostaków. Podstarościemu Sasi szkatułkę wymietli, że i tu lepiej nie zamieciono. A arendarza i zębami nikt nie ugryzie, chociaż dobrze podszyty. I tak przyjdzie naszego paniska jak ostatniego żebraka pochować!

Bo i patrzno jegomość! ledwie tu kilkanaście świeczek się swędzi, trumna od siekiery jeno kobiercem zakryta, nie będzie więcej jak czterech księży, a że wstyd będzie przystąpić do tego murowanego grobu, w którym ściany z marmuru, a wszystkie trumny z samego srobra.

– Hm! – rzecze rotmistrz, – chodź jeno ze mną, pójdziem do- arendarza.

Poszedł i długą chwilę zabawił. A kiedy wrócił, zastał już Jurcia utulonego cokolwiek. Stał niebożatko przy trumnie, oparł się o nią jakby się nie mógł utrzymać na nogach, a był blady jak śmierć. Przystąpił tedy rotmistrz do niego, wziął go na stronę, aby się nad pogrzebem naradzić. Dopióroż się dowiedział nieszczęśliwy młodzieniec, że był tak biódny, iż nawet nie miał za co ojca pochować.

– Boże mój, Boże! – wołał on wtedy, – i cóż ja tu pocznę nieszczęsny!

I wzięli radzić. Aleć twardo szła rada, bo ani temu, ani tóż tamtemu do tego. Rotmistrz w swóm życiu niemało ludzi sam przyprowadził ku śmierci, ale ich nigdy nie grzebał. A stolnikowicz umiał się jeno przy pogrzebie pomodlić. Radzą więc tędy i tędy, ale im to wcale nie idzie.-..

Aż tu przez drzwi otwarte wszedł jakiś szlachcic do tej komnaty. Zajęci swoją naradą w dalekim kącie, ani go nie poznali. A był to mąż dosyć słusznego wzrostu, niby trochę zawiędły, ale barczysty i silny. Był już trochę podżyły, ale czarny jeszcze jak kruk, czuprynę miał podgoloną po polsku, wąs zawieszisty, nos orli, twarz bardzo białą, a na niej świeże jak u młodziana rumieńce. Ubrany był po polsku, ale zmoczony powyżój pasa i tak schlastany błotem ciekącym i piaskiem, jakby tu brnął przez jakie morze błotniste. Szlachcic ten miał twarz niby wesołą, a na niój uśmiech jakby wrodzony, lecz kiedy wszedł do tój komnaty i katafalk obaczył, załamał ręce jakby w największym bólu i niby w słup się zamienił. Opuścił potem ręce, przystąpił do samój trumny, wpatrzył się w nieboszczyka, a pokiwawszy głową, rzekł z wielkim bólem:

– Hój! hej! Bogusiu! jużeś i ty nas opuścił!..

A tu mu łzy jak strumienie popłynęły po twarzy. Obaczywszy go obadwa radzący, zaraz tóż i poznali. Skoczy do niego Jurcio, wołając z cicha:

– Dobrodzieju mój! patrz! jaki ze mnie siórota!

– Pacholę moje kochane! – odpowie mu ów gość niespodziany, biorąc go w swoje ramiona, – otóż cię Pan Bóg doświadczył !

I popłakali się obadwa jak dzieci.

Rotmistrz zaś, stojąc na boku, przypatrywał się temu gościowi bardzo ciekawie, bo niby go znał gdzieś, a przecież nie mógł sobie przypomnieć. Aleć i musiał nareszcie go poznać, bo to

był imć pan Bobrownicki, miecznik nateraz stężycki, sąsiad stolnika przez Nidę i przyjaciel od serca – a czasu wojen dawniejszych towarzysz rotmistrza z jednej chorągwi. Witali się więc bardzo serdecznie a rotmistrz mówił:

– Ale cóż się to z tobą stało, mój panie Janie, żeś się tak brzydko uwałał?

– Ot, co się stało! – rzecze pan Bobrownicki, – dowiedziawszy się o tem nieszczęściu dopiero wczoraj późnym wieczorem chciałem bież tutaj zaraz, ale nie było tego sposobu puszcząć się na takie bałwany po nocy. A tu do świtu woda jeszcze bardziej się wzniosła. Zbiegam tedy dziś raniusieńko nad Nidę, daję flisakom dziesięć dukatów za przewóz, ale ani sta żaden nie chce. Wsiadłem tedy na łódkę sam, ale woda mnie przewróciła. Na szczęście przecież jakoś się wyratowałem pływaniem...

Jużby był Jurcio do nóg mu upadł za tę przyjaźń dla ojca, ale on zaraz się zaczął wypytywać o pogrzeb. Znów tedy w płacz biódny młodzieniec, – ale go prędko utulił miecznik, mówiąc serdecznie:

– Proszę cię, dziecko kochane, już się choć o to nie frasuj. Mam ja tu z sobą parę groszy w kieszeni i wszystko to się zrobi jak trzeba.

Zaraz tóż jakby inny duch wstąpił w dom cały. Miecznik sam się wszystkióm zatrudnił, bo był człek rządny jak mało. Po- rozsyłano więc fornalki i konnych na wszystkie strpny, tu po kiry żałobne, światło i rzemieślników, tam znów po księży, po sąsiadów i co było potrzeba. Cały dzień na tem zeszedł, ba i noc cała, – ale nazajutrz koło południa odbył się pogrzeb z taką zacnością, że i trudno było wymagać co więcej w tym razie. Duchowieństwa była liczba dostatnia, nabożeństwo solenne, nie brakło też i ora- cyj, i sąsiadów, i ludu. Nieszczęśliwy młodzieniec poniósł stratę nieopłaconą, – żalu u jego i łez niewstrzymanych nic ukoić nie mogło, – ale przecież w tym żalu było to choć niejaką dla niego pociechą, że ostatnia ziemską posługą dla jego ojca, odbyła się tak, jak przykazuje kościół, jak niesie obyczaj i jak jego synowskie pragnęło serce. A za wszystko to winien był wdzięczność panu Bobrownickiemu. Patrzył tóż on na niego- jak na swego Wybawcę, a jak to młode serca dziwnie są chwyтлиwe w afektach, tak i on przysiągł sobie wdzięczność tę dla tego zacnego człeka już zachować na zawsze. Ba nawet nie mógł się wstrzymać, aby niu tego nie wypowiedział. Kiedy więc było już po pogrzebie, jeno stypa jeszcze się przeciągała, przy której rotmistrz gospodarował, wziął on prędko miecznika na stronę i objąwszy go w swoje ramiona:

– Dobrodzieju mój! – rzecze, – już ci też tego nie zapomnę do śmierci! *

A miecznik na to:

– Dziecko moje kochane, nie miejże mi tóż za to żadnej

Tem X.

wielkiój wdzięczności! Wzdym ja to tylko zrobił, com był winien przyjacielowi, któremu kochał jak brata. A kiedy tak się zdarzyło, żem tóm i twoje serce pocieszył, to już tylko łaska jest Boża. Za co niech będzie chwała Panu Bogu tem bardziej, ile że, jak się dowiaduję, jużes sobie na to i sam zasłużył. Powiedzże, jak to tam było z Flemingiem?

Skromny młodzieniec spuścił oczy ku ziemi, nie wiedział sam co ma powiedzieć, – a tu tymczasem • szlachta, dowiedziawszy się o tój bitwie w Krakowie, a podochociwszy sobie cokolwiek na stypie z tój tam zakrytej piwnicy, do której rotmistrz miał sekret, wpada z wielkim hałasem, biorą Jurcia na ręce, noszą po izbach, ledwie go nie rozerwą. Rozżalony chłopczyzna aż się przestraszył. Wyrwał im się przecież nakoniec, uciekł ze łzami w oczach i schował się do sypialni matczynój. Ale go znalazł niebawem miecznik.

– Jurciu! – rzecze do niego, – nie masz ty tu nateraz co robić w tym domu. Dziś tu zawiłkie na ciebie hałasy, a jutro będzie zawiłka cisza. Nieprzystojna jest głuszyc żałobę rozgwarem, ale także nie dobra truc się nią w samotności. Nie widzę tóż, żeby ten rotmistrz był dosyć dobrą dla ciebie kompanią, zwłaszcza gdy się już dobrał do piwnicy sekretnej. Dlatego proszę cię bardzo, przyjmij u mnie gościnę choćby na czas; nie masz tam świętych pocieszycieli dla ciebie, ale są ludzie po Bogu, którzy radzi się dzielą braterskim smutkiem i przy pomoCy Boskiej nie jedną ukoitf już boleść. Chodź tedy ze mną, a za dni parę znowu tutaj wrócimy, ażeby jakiś ład zaprowadzić w tym domu.

Bardzo to tedy było utrapionemu chłopięciu na rękę, zwłaszcza gdy widział, że z jego rodzicielskiego domu, który powinien być być cichym przybytkiem żałoby, uczyniono gwarliwą dla Bachusa świątynię. Jakoż szli zaraz za Nidę. A był już dzisiaj dzień piękny i wody znacznie opadły na Nidzie. Przewieźli się więc spokojnie, a jak tylko do przeciwnego dobili brzegu, wstąpili zaraz na terytoryum miecznika. Czy się to tylko Jurciowi tak wydawało, czy tóż tak było w rzeczy, aleć tu jakby świat był zupełnie inny! Zaraz z wody wstąpili na małą łączkę, któraby i za najpiękniejszy ogród stanęła. Boć tu po świeżój zieleni poroziówane wiosenne kwiatki, jasne i barwne, a niby tak migocące, jako gwiazdki na niebie, a ju2 tak piękne, jak tylko być mogą nad Nidą. Toż po tój łączce porozrzucane drzewa, niektóre stare 1 wielkie, drugie wysmukłe i cienkie, to znowu chaszczce gęste jak matnie; tutaj brzózka płacząca, a tam znów dąb starzec zgrzybiały z uciętą głową, na którój miejscu plecione koło z uwitóm gniazdem bocianiem na wiórzchu. Tu więc pod dębem darniowa ławka z kamiennym stołem, a pod kosmykiem chaszczów kanapka z brzozowych ramion, a od stromego brzegu płetek z białego głogu. Już prędkie słońce dawno uciekło z jasnego nieba, już się i zmrok błękitnawy rozścielił, ale wszystko to widział dobrze osmucony młodzieniec i widział jeszcze lepiój dlatego, że mu się zdało, jakby

tu samą wonią odetchnął! A potem zaraz wstąpił na drogę, którą przeszedłszy na poprzek, weszli przez bramę w wielki dziedziniec zamczka. Tu jakoś chmurno było cokolwiek. Od wielkich świerków stojących po jednej, i gęstych sadów stojących po drugiej stronie zamczku, padał cień pochmurny w dziedziniec, roznosiła się woń od drzew smolnych i była tu jakaś wielka powaga. A zamczek sam była to sobie wcale staropolska budowa. Może to niegdyś było inaczej, ale dziś rozmaicie. Jedna baszta okrągła, druga czworograniasta, a trzecia znowu okrągła; tu kilka okien wązkich i długich, tam znowu parę szerokich, jedna baszta o dachu okrągłym, druga wcale bez dachu, tu kilka kolumn, tam kawałek krużganku u piętra, a tam znów coś jakby ambona z szybami. Aleć to tak bywało dawnego czasu; stawiano piękne Panu Bogu kościoły, a siebie samego mieszczono w tym co zostało po ojcach, wiedząc o tem dobrze, że stara cnota najbezpieczniej się chowa pod strychem...

Więc w progu domu stary sługa ich przyjął, a miecznik go zaraz zapytał: czy wszystko dobrze jest w domu ?

– Dobrze, wielmożny panie, – odpowie sługa, – Panu Bogu niech będzie chwała!

A tak już szli do miecznika komnaty, która była na dole, aby cokolwiek wypocząć. – Miecznik przystąpił do swego biura, aby obaczyć czy niema listów jakich, lub innych nowin ze świata, – a osmucony sierota, siadłszy na zydlu i odetchnąwszy z głębokiej piersi, rzecze do niego:

– Ej! toż to tu pięknie, toż to tu cicho u jegomości! Dobra to rzecz i taki opatrzony zamczek! Gdyby mój ojciec był miał taki, byłby żył sobie Bóg wió jak długo!

– A cóżto? – odpowie miecznik, aby myśl jego od tój żałoby odwrócić, – czyż to tu nigdy jeszcze nie byłeś, że tak admirujesz tę chatę?

– O! jużci byłem, aleć to dawno już temu! Jeszczem był małym chłopięciem. Jeszcze mój ojciec zdrów bywał wtedy i przychodziliśmy tu obadwa piechotą. Dawnoż to temu, och! dawno. Jeszczem nic nie znał wtedy, kromia samej uciechy. Czy widok ojca, czy widok matki, czy nowa książka, a gdyby tylko nowa sukienka, już to, był raj dla mnie i uciecha bez końca. I tak już do tego nawykłeni, że mi się zdało, jakoby tak miało być zawsze. Aleć przyszły i na ronie utrapione terminy. Ojciec już w grobie, wioski pozadłużane, dobytek rozdrapany, – a biedna matka moja nawet nie wió nic o tó! Tu dom osierociał, tu pustka w domu; ^z tój tam fortuny naszój może nie będzie kawałka chleba – a ona biódna nie może się tem nawet zasmucić! Ej! panie mieczniku! nie czas mi tu pono bawić u was w gościnie, trza się zrywać co prędzej i biegać do matki.

Jakoż się zerwał zaraz ze zydlu, jakby już koń stał dla niego przed gankiem. Więc tedy miecznik z całego serca w perswazy:

– Dla Pana Boga żywego, co robisz! Nie tak to rzeczy te są, jako ci się wydają. Młodyś jest, więc żywo to czujesz,' aleć się trzeba i starszych poradzić, a wytrawniejszych. Złe się to stało, że pani stolnikowa tu nie przybyła zawczasu, to prawda; ale kiedy się już tak stało, to z złą nowiną niema czego pośpieszać. Zmiłuj się, każdy dzień, każda godzina, o którą później ją ta wieść dojdzie, to jest zysk dla tój zacnój matrony niemały. Jeśli masz serce, nie spiesz-że się ze zgryzotami dla matki. Chowaj ten cios fatalny przed nią choćby najdłużej. . Dowiedziała się przez pachółka, którego do niej wysłano, to już przepadło; ale jeżeli pachółek z niczem powróci, to dajmy pokój temu do czasu. A już przynajmniej sam ochłodnij, sam się oswoj z tą dolą, ażeby też matka miała, ktoby ją w tym frasunku pocieszył. -Tak trza i tak to będzie zacnie od cietie. A o fortunę także sobie głowy nie turbuj przed czasem. Żle to tam jest* jako mi sam powiadał nieboszczyk, aleć niemasz tu jeszcze noża na gardle. Kiedy na starość nióma wla-. snego kąta, to i to jeszcze nie bieda, boć wkoło braci bez liczby, a u każdego kącik gotowy, a cóż dopiero młodemu, który ma świat cały przed sobą? Jeszczeż do tego takiemu, który jak ty ma głowę na karku, serce na swojóm miejscu i już tak pięknie w świat się zaprowadził. Toż to gdzie się obrócisz, chleb dla ciebie gotowy i chlób pszeniczny, a posłużysz czas jaki, posypią się i nagrody, czy to w stopniach wojskowych, czy w urzędach publicznych, czy tóż w starostwach, czy w jakichbądź beneficyach.

A jest tu tego niemało, jest i szczodroblivość, a byle jaka zasługa, już ona pewnie nie obejdzie się bez nagrody. Porachowałbym ci imiennie takich, co i butów nie mieli, kiedy się wzięli do służby, a dziś wsie, zamki i grody w ich rękach, że już i z własnej szkatuły wystawiają chorągwie. Nuż przyjdzie wojna, to który ciepłój fantazyi, to i całą fortunę wytraci, a ani głowa nie zaboli go o to. Nie frasuje się tóż tu nikt o fortunę, jeno więc

0 zasługę, a kiedy młody, to o sposobność do tój zasługi, bo już jak to ma, to tóż ma i fortunę. Toż i ty się o nią nie frasuj, bo

'poczekawszy mało niewiele, jakbym cię widział mającego i wsie,

1 zamki, i honory, i wszystko, co tu w tem życiu potrzebne. Jut cię ta Matka

Najświętsza, mój Sodalisie, nie wypuści z swój pieczy, za której cześć wystawiłeś twoje zdrowie na hazard! W to wierz, i tą wiarą kieruj twe sprawy, a obaczyś jak ci się wszystko wywinie z płatka. Zaś na dodatek, to 'i o ojcowską się nie troszcz fortunę. Są tam ciężary i te i ow«, aleć będzie je z czego popłacić. Jeszcze ci woźny nie przylepił na drzwiach papieru, a choćby przylepił, to i to jeszcze nie dekret. A gdyby nawet i dekret już zapadł, to i po nim jeszcze rozmowa, – a już za ciebie pogadam, stanę gdzie trzeba i nie dam cię zjeść w łyżce kaszy. Bądźże mi więc spokojny, posmuć się sobie za ojcem, bo to rzecz sprawiedliwa, ale na resztę frasunków pluń jak na psa, co szczeka. Panu

Bogu cześć oddaj, ludzi zacnych uszanuj, braci twoich ukochaj, a zresztą czyni co ci każe sumienie; oto twój cały frasunek, – jak Bóg na niebie, jak ciebie Kocham, jakem fniecznik stężycki!

A to rzekłszy, wziął go w swoje ramiona i przycisnął do serca. Już tedy biedny sierota jakby mu plastr przyłożył miodowy." Mimo ciężkiej żałoby aż mu uśmiech przebiegł po licu, – bo tóż i trudno było o serdeczniejszą pociechę. Cisnąc go tedy do siebie, rzecze mu zaraz:

– Dobrodzieju mój drogi! już tóż masz serce dla mnie, jak dla własnego syna. Niech że ci Pan Bóg to wynagrodzi stokrotnie. A mnie już nie usuwaj twój łaski, póki choć z piórwszój biedy się nie dobędę i nie postanowię czegoś ze sobą.

– Już ja ci nie poskąpię mój rady ani braterskiej pomocy, raz dla pamięci twojego ojca, a teraz już i dla ciebie samego. Ale czas nam iść do mojej jójmości, bo tam na nas czekają.

Tedy szli zaraz na górę. Jurcio szedł wprawdzie nie z osobliwą ochotą, bo jużby teraz był rad być ciągle z tym pocziwym miecznikiem, a zdało mu się, że już trudno miał znaleźć kogo ;milszego dla siebie niż jego, ale to nie tak było, bo już to dom był pełen zacności, od stóp do głowy, a od kąta do kąta. Jakoż było co widzieć i w górnych komnatach, i było może jeszcze lepiej czem się pocieszyć. Tak tedy idąc, przeszli wszystkie komnaty prawie po ciemku, aż weszli do ostatniój okrągłej, która się znajdowała we wnętrzu baszty zamkowej. Tam na małym stoliku dębowym płonął kaganiec, w szklaną banię zamknięty, a na około stoła siedziało osób bez liku..

Więc na kanapie pod ścianą sama miecznikowa, niewiasta może też już niebardzo młoda, ale jeszcze tak piękna jakby zdjęta z obrazu. Ciemny włos u niej, ciemne też oczy a twarz biała, jak lilia, jakoż już trochę przybladła, lecz przy tem wszystkióm zapa- pużona jakby podeszła matrona, jak też na panię domu i matkę licznej rodziny przystało.

Tuż koło niej "na stołku siedziała najstarsza jej córka Kostu- sia,, oczko w oczko jak matka, lecz stoieżuteńka jak kwiatek róży, chociaż jeszcze nie rozwinięty zupełnie, bo miała ledwie lat dochodzących czternaście.

Dalej młodsza córeczka Marynia, a dalej • chłopcy za rzędem. Więc jeden mający* lat może dziewięć, a drugi siedem, a trzeci berbeć maleńki przy kolanach u matki. Wszyscy zaś w kurtkach błękitnych jednego kroju, z-długimi kędziorami spadające; na karki, a przystrzyżone ponad oczyma.

Ale nie dosyć ' na tóm, bo przy Kostusi siedziała jeszcze ochmistrzynie poważna, po drugiej stronie panna respektowa, a przy jójmości matrona staruszka, daleka krewna miecznika. Toż koło chłopców ksiądz nauczyciel, pan mostowniczy staruszek, krewny jójmości, i syn jego wyrostek, uczący się gospodarstwa tymczasem, a czekający póki się .co lepszego nie zdarzy.,

A wszyscy ci siedzieli w wielkiej powadze i wielkiej ciszy, co też inaczej nie mogło być, bo z drugiej strony stołu siedział gość bardzo zacny i rzadki, pielgrzym pobożny. Był to już starzec, z długą brodą do pasa, ubrany w suknię nakształ habitu, a ozdobioną zamorskimi muszlami, które sam w swych podróżach po- zbierał. Kim był dawnymi czasy? czy pokutował za jakie grzochy, czy pielgrzymował tylko z dewocji i dla umartwienia?— nikt tego nie wiedział ani też pytał. Wiedziano tylko, że powracał ze ziemi świętej, gdzie długie lata jęczał w pogańskiej niewoli; powróciwszy w tym roku, bawił czas jakiś w Wilnie na nabożeństwie u Ostrej Bramy. Wielkanoc przebył na Jasnej Górze, zkąd się udał do Sandomierza, aby odwiedzić swych krewnych. Teraz zaś szedł prosto do Rzymu, tu go wody zalały i tu gościł już od dni kilku. Tedy czas ranny trawił na ustawicznych modlitwach, kapelanowi do mszy służył w kaplicy, a potem czytał brewiarze; po obiedzie szedł na plebanię i tam z proboszczem bawił się pobożną rozmową; wieczór zaś wracał do dworu, w kole domowem zasiadał i opowiadał owe święte historie: gdzie się Pan Jezus narodził, którą drogą przybieżeli królowie do Niego, kędy do Egiptu uchodził; gdzie więc potem nauczał, gdzie był przed Piłata wołany, gdzie krzyż wstawiano na Jego barki najświętsze; to znów gdzie był umęczony, gdzie pochowany i jako grób ten wygląda w czasach dzisiejszych, — boć tam był wszędzie i wszystko to widział na własne oczy. A już go też słuchano z taką uwagą, że i oddech zaparto w piersiach, boć to aż dreszcz świętobliwy przenika, kiedy się słyszy takiego człowieka, który swą własną stopą dotykał się tej ziemi błogosławionej, po której niegdyś się przechadzał Zbawiciel świata. Osobliwie tóż dzieci patrzyły nań jak na świętego, a połykały każde jego słóweczko, z czego też miecznikowa była uradowana niezmiernie, bo i wiedziała o tem, jaką to wielką korzyścią jest dla człowieka, jakim to twardym puklerzem na całe życie, kiedy się żywa wiara w nim zaszczepli za młodu. Szkoda więc wielka, że im te piękne powieści przerwał sam miecznik, wprowadzając Jurcia do tej komnaty.

Na widok jego zaraz wszyscy powstali, nawet i miecznikowa, już to najpierwój dlatego, iż już i do nich przysła wiadomość o jego bitwie z bluźniercą, a powtóre dlatego, że był nieborak tak nieszczęśliwy. Zaraz go tedy miecznikowa posadziła około siebie, mówiąc tak słodko i dźwięcznie, jak gdyby anioł Boży zaśpiewał. Wspomniała także o jego ojcu, o jego wielkiej zacności, o pobożności, o dobroci dla ludzi i dodała na końcu:

— Żal to jeszcze tóm większy, że nam kochany nasz stolnik zginął w sposób tak niespodziany. Tyle lat przeżył na wojnach i wrócił cały, aż go tóż w jego domu znalazła wojna. Aleć to takie już było, jak widać, przeznaczenie od Boga! Toż i mój ojciec niegdyś, całe życie na koniu i w zbroi aż do późnej starości; zgrzybiałym starcem prawie, kiedy już nie wychodził z komnaty, prze-

cież znalazła go wojna, i skończył życie tak jakby we środku bitwy. Na ojca waszmości spadło to nieszczęście choć przynajmniej od obcych, na mego ojca

Ale się tu miecznikowa wstrzymała, spojrzała na męża i zakończyła westchnieniem. Zkąd toż się wzięło, że Jurcio nic a nic nie rozumiał, bo i nie słyszał nigdy, żeby pan Dorohojowski, podkomorzy wiślicki, regimentarz wsławiony jeszcze za czasu pierwszego najazdu Szwedów, którego sam wprawdzie nie zapamiętał, ale którego pamięć żyła jeszcze do dziś dnia, – żeby ten człowiek, mówię, umarł inaczej, jak śmiercią zwykłą" u ludzi. Jednak już ani mowy o tym nie było, bo też w ten moment pielgrzym przystąpił do niego, błogosławiąc mu za jego bitwę z bluźniercą i mówiąc:

–..Pan Bóg ciebie ciężko doświadczył, zabierając ci ojca tak wcześnie do swoich chwały, ale masz ty już łaski niemałe u Boga, kiedy ci dozwolił właśnie dnia tego dosięgnąć szablą swoją człowieka, który jakby sam był zabójcą twojego ojca. Większem to wszakże jeszcze szczęściem dla ciebie, żeś się bił o rzeczy wieczne, a nie o marlną doczesną, przez co też zaraz, tracąc tu opiekuna na ziemi, pozyskałeś inną opiekę w niebie, w którą *ufaj i wierz, a będziesz szczęśliwym, mocnym i pożytecznym Panu Bogu i ludziom, po wszystkie dni twego życia.

I tych słów kilka, zwłaszcza że powiedzianych z ust tak poważnych, przyniosło sierocie niemałą pociechę, poczem już zaraz zaczął się witać z dziećmi, z których co starsze znał kiedyś dawniej, ale mu dziwnie teraz powyrastały. Osobliwie Kostusia już i fta pannę wyrosła, a jeszcze do tego taką zajaśniała pięknnością, że młody chłopiec, patrząc na skromne blaski jej twarzy, sam ledwie wiedział co mówić. Zebrał się wreszcie i rzekł: 9

– A panna Konstancya nam tak pięknie dorosła,, właśnie jako te kwiaty wiosenne, które jak gdyby w oczach naszych wyskakując pod ziemi. Tożto niedawno temu, kiedyśmy jako dzieci igrali z sobą na tej tam łączce nad Nidą, a teraz już to jak mara senna mi się tylko wydaje. Pamięta pani jeszcze te czasy?

– Oh! ja pamiętam i dobrze! – odpowiedziała Kostusia, – ale i pan Jerzy dość nagle się wybił w młodzieńca, i jeszcze wybił się z taką chwałą, że miast przyjaźni, jużby nam o szacunku pomyśleć.

Bardzo jakoś za serce chwyciły Jurcia te słowa, jakoż rzekł zaraz:

– Jużście tu państwo wszyscy aż zanadto łaskawi na biednego sierotę! nawet mnie i komplementami raczycie w swej łasce. A coby się najmniej godziło jmc pannie Konstancyi, która wie dobrze, jaki to niezgrabny ze mnie był parobeczek, co się też i niemało z niego naśmiała, zwłaszcza gdy grano w obręcze.

– Ale już się te czasy, zmieniły, – rzekła na to mowna Kostusia, jakby trochę ze smutkiem, do czego zaraz dodała matka:

– Bodajby się nie zmieniały tak prędko! bo to podobno tyle jasnego nieba jest na tej ziemi, ile go człowiek widzi w dzieciństwie. Pierwsza rzecz którą oba czy, kiedy dorosnie, to chmury; jak się tóż i panu Jerzemu zdarzyło, a nad czemeśmy tu wszyscy bardzo serdecznie płakali. ^

Tak go więc wszyscy tutaj tulili i słodzili jego niedolę jak mogli, że chociaż w smutku, przecież mu serca przybyło. A już natenczas szli do wieczerzy, którą jedzono z postem, bo to był piątek. Zaś po wieczerzy wrócili znowu do baszty – a wtedy pielgrzym przerwany przedtem głos zabrał i opowiadał owe święte historye, których teatrum był zwiedził. I wszyscy znów go z wielką uwagą słuchali, ale Jurcio podobno z największą. Był on tych rzeczy wszystkich nadzwyczajnie ciekawy, a że był wersat w hi- storyi świętej, a już ewangelistów prawie umiał na pamięć, więc się tóż z taką ciekawością wypytywał o najdrobniejsze szczegóły, że pielgrzym ledwie mógł odpowiedziom dać radę. Kiedy zaś przyszło mu wspomnieć o Gethsemane, o górze oliwnej, o owych miejscach gdzie zemdlony Syn Boży upadał pod krzyżem,, a nareszcie i o samej Golgocie, to pobożny młodzieniec tak się zasłuchał, że i nie wiedział gdzie jest. Westchnął potem głęboko ze ściśnionej piersi i rzekł:

– Boże mój, Boże! 'żebyż to kiedy być na tych miejscach.

A tak wszyscy bardzo sobie upodobali w tym pobożnym młodzieńcu i ukochali go jakby swego. A już Kostusia nie mogła mu się dosyć napatrzeć. Znać go niegdy jako pacholę, ale dziś jakoś dziwnie wyrósł w jej oczach. Toż kiedy się od pielgrzyma odwrócił i na nią ■ spojrział, to takiego raczka upiekła, jakby go wyciągnęła z wody o kwitnieniu pszenicy, a opuściwszy oczy ku ziemi, już ich i podnieść nie mogła. Widział to Jurcio i także oczy spuścił ku ziemi, chociaż nie wiedział czemu; ale tak mu się zdało, jakby się sam zawstydził przed sobą.

Aż tu w tój chwili uderzyła dziewiąta, a o tej porze jakby nożem kto uciął, wszystko się kończyło w tym domu. Kiedy był gość jaki wesoły albo i więcej, co się tu często trafiało, to starsi państwo czynili z siebie wyjątek; ale dzieci szły do kaplicy na pacierz, a potem spać, czy które chiało lub nie. Teraz wszyscy szli do kaplicy, która była y takiejże samej baszcie po drugiej stronie. Przyszedłszy tam, zastali już drzwi otwarte i kaganiec płonący u stropu. Tedy uklękli wszyscy od najstarszych aż do owego maciuteńkiego berbecia, który już ziówał potężnie. Pielgrzym zaś z kapelanem uklękli na stopniach ołtarza i mówili głośno pacierze. A po pacierzach zaintonowali Kto się w Opiekę,, na czem się tu zazwyczaj kończyły modlitwy wieczorne; ale dziś zanucił pielgrzym jeszcze i psalm: „Jti Te Domine speravi, iion con- fundar,” a Jurcio mu wdzięcznie wtórował, bo go umiał na pamięć i właśnie dziś w swoim smutku jakby go z własnego serca

dobrywał. A potem wszyscy życzyli sobie dobrego snu i już szli na spoczynek.

Tak więc ten nieszczęśliwy sierota, chociaż tak silny cios Weń uderzył, znalazł przecież pociechę zaraz o miedzę, a już pociechę taką, że ani mu się śniło, żeby ją mógł znaleźć gdziekolwiek. Ci zacni ludzie, tacy serdeczni, tak litościwi, ten dom pełen takiej powagi, takiej pobożności głębokich, wszystko to tak go chwyciło za serce, tak ukoilo jego ciężką żałobę, że zdało mu się, jakby z ziemi też i niedoli wstąpił w środek samego raj. Niósł on swój ciężar na sobie, ale tu prawie go nie czuł. Krwa- wilo mu się jego serce zranione, ale jakby woń jakaś krążyła około niego, która go orzeźwiała, – zamknęło się za nim jego życie szczęśliwe i zgryzoty, ale tu jakby obaczył przed sobą nową jakąś krainę, pełną najrozmaitszych i najpiękniejszych nadziei. Jakoż choć smutny, jednak wcale spokojny, schylił się do snu i zdało mu się, że kamieniem przeleży tę noc aż do rana.

Ale tak się nie stało.

Bo zasnąwszy od razu i ^pospawszy mało niewiele, zda mu się we śnie, jakoby - drzwi zaskrzypnęły w tój izdebeczce, którą mu dano do spania. Zerwie się prędko, – spojrz przed siebie?– ledwie się może utrzymać na nogach. Boć na środku izdebki, widzi to jawnie, stoi ojciec jego nieboszczyk jak żywy, stoi w swóm pogrzebowem ubraniu .i prowadzi za rękę jakąś postać niewieścią W bieli, której jakoby skrzydła odrastały od ramion. Spojrzy raz jeszcze, a owa postać niewieścia, to jakby żywa Kostusia. Już sam nie wió co się z nim dzieje. Aż tu odezwie się ojciec głosem swym własnym: •

– Klęknij! • „ ^ -

Jurcio padł na kolana. A wtedy ojeiec zbliżył się k'niemni i postawiwszy owę postać koło niego, rzecze wyraźnie, jakoby żywo:

– Daję ci tego Anioła-Stróża,- a ten niech cię strzeże przez całe życie!

. Klęczał tak przerażony młodzieniec przez długą chwilę i drżał jak listek, bo bał się bardzo. -A kiedy trochę ochłonął i głowę podniósł co góry – już nic nie było w izdebce. Rozpatrzy się lepiej, ależ nic nióma nigdzie, bo było jasno jakby o zmroku. Wstał tedy i zaczął myśleć nad tem widzeniem. Aleć i trudno co było wy myśleć. Co widział na własne oczy, mógłby na to i przyiądz, Wola to Boża i nie pierwsze to takie zdarzenie,– ale tego sobie nie mógł objaśnić na żaden sposób, że sam był całkiem ubrany, jak gdyby nigdy się nie rozbióral. Musiał tak zasnąć w ubraniu... Cóżkolwiekbądź, zmówił po raz wtóry pacierze, na nowo się do snu ułożył i już spał spokojnie do rana.

Nazajutrz rano Jerzy wstał orzeźwiony, ale mimo to jakoś dziwnie mu się mąciło w głowie, a może jeszcze dziwniej po sercu. To widzenie ponocne nie chciało się z przed niego ustąpić. Badał jego znaczenie – i sam nie wiedział co myśleć. Był on wprawdzie dosyć pochopny do uwierzenia w to przykazanie ojcowskie, może go nawet do tego pociągało i serce, – aleć był jeszcze tak młodym, że krom zachowania w pamięci, o innym wypełnieniu tego przykazania ani umiał pomyśleć. Nie miał też nawet t czasu do rozmyślenia nad tą Osobliwą zagadką, boć mu trza było zasiąść do rozpisania listów. Mieszkając przez lat kilka w Krakowie i obracając się między ludźmi u góry, wżył się już był potrochu w te formy, które tam są praktykowane, a które mają także na celu utrzymywanie pomiędzy sobą ustawicznych relacyj. Zalecała mu tóż ich zachowanie niejednokrotnie matka, uczyli także tego ojcowie i bardzo dobrze, boć ztąd wypływa nietylko niejedyn pożytek, ale tóż i niejedna przyjemność w tóym życiu. Dobra jest niezawisłość, dobra jest i swoboda pod każdym względem, ale wszystko to jeszcze lepsze jest wtedy, jeżeli z swoją dobrocią łączy tóż i foremność. Siadłszy tedy za stołem, pisał najpierw do ojców nauczycieli, potóm do księżnej wojewodzinój, a do księcia osobno, potóm do kasztelana kijowskiego i do wojewody Morsztyna, z którym nawet dalekie łączyło go pokrewieństwo, dalej do innych osób co znakomitszych i bliższych, – wszystkim donosząc O tój cięSkiój żałobie, w którą go pogrążyła śmierć ojpa, i prosząc uprzejmie o zachowanie dawnój przyjaźni, przychylności, albo tóż łaskowości dla siebie. Do matki jeszcze teraz nie pisał, bo

miał na pamięci święte słowa miecznika". Wprawdzie go sesce bardzo ciągnęło powiedzieć matce, co go dolegało tak blisko, – zdawało mu się nawet, że zamilczeniem wyrządza jak gdyby krzywdę nieboszczykowi ojcu, – aleć znów z drugiej strony, trudno miał tego nie uznać, że ze złą wiadomością nie ma się czego pośpieszać. Tak więc to zostawiając do dłuższego namysłu, zatrudnił się najpierw tamtymi listami, co mu tóż i niemało zabrało czasu, bo już był do tego nawykły, żeby wszystko napisać pięknie, wyrazić gładko, a uczcić każdego wedle jego godności, ani mniój, ani też więcej.

Przez ten czas cały wszyscy go pocieszali jak mogli, zdejmując z niego brzemię frasunków po części. I tak sam miecznik opowiadał mu owe ciężkie terminy, przez które inni przechodzili owego czasu, a przecie się z nich wydrapali. Miecznikowa prowadziła z nim rozmowy poważne, to opowiadając mu rozmaite zacne uczynki nieboszczyka stolnika, to dopytując się o nabożeństwa krakowskie, o kościoły tamtejsze, o domy większe i ich obyczaje. Przynosili mu też po kolei rozrywki i ochmistrzyni, i ksiądz kapelan, i pani podkomorzyna krewna miecznika, i pan mostowniczy, chudy, łysy, wysoki starzec, który choć trudną miówał zwykle mowę, bo żuł ciągle coś w szczękach i mlaskał ustami, jednak umiał powiedzieć niejedną rzecz całę mądrą, bo też i dawne czasy pamiętał. Przecież z całego dworu miecznika może najwięcej pociechy przynosiły siórocie dzieci, któremi tóż bardzo rad się otaczał, a z których znowu najchętniej słuchał Kostusię, bo też była szczeniakiem jak mała. To wesoła jak ptak na gałęzi, to znowu smutna jak wierzba płacząca, umiała ona i weselem i smutkiem tak trafić -młodzieńcowi do serca, że jój się nie mógł odsłuchać. Bywało przy niej, chociaż to jeszcze prawie była dziecina, nieraz mu mija dwie i trzy godzin jakby jedno mrugnięcie oka – a kiedy przyjdzie się rozejść, to chociaż zostają pod jednym dachem, młodzieniec ledwie z żalu nie płacze. Jeszczeż może go to i najbardziej chwytalo za serce, że kiedy spojrzał na nią, to zawsze mu się zdawało, jakoby przy niój stał jego ojciec nieboszczyk – a kiedy ona mówiła, jakoby ojciec wciąż przytakiwał. Dziwnie .mu to widzenie jakoś ciążyło na sercu, że czasem nawet aż go dreszcz przejmował. Po parę razy już się był zbierał powiedzieć o tóim Kostusi, bo tak rozumiał, że mu ulgę przyniesie, – ale znów z drugiej strony coś go wstrzymywało, i tak minęło parę tygodni.

Aż dnia jednego właśnie po samym obiedzie, wybiegły Wszystkie dzieci na owę łączkę nad Nidę. Byli tam z nimi starsi, był także Jerzy, – jeno miecznika nie było, który był jakimiś sprawami zajęty w swej kancelaryi, lecz za to sama miecznikowa siedziała na zamkowej galeryi, przypatrując się ztamtąd igraszkom dzieci. Aę właśnie dnia tego nawiedził był swego siostrzeńca rotmistrz, który tymczasem mieszkał w jego osieroconym domu i fol-

warkarni zarządzał. Teraz przybył do niego, aby mu sprawę zdać z gospodarstwa, a chociaż, prawdę mówiąc, nie było wcale do niczego, jednak bardzo go męczyło o to, żeby sam do domu powracał. Ale młodzieniec słuchał go tylko półuchem i milczał, a kiedy rotmistrz bardzo napiółał, odpowiadał mu na to:

– Ej! nie myślę ja wcale o gospodarstwie. Nie jest to dla mnie robota. Czas jeszcze na to. Trzebaby pierwej o czóm in-| nem pomyśleć

– Już ja to widnę, – rzekł na to rotmistrz mrukliwie, – żeś ty się teraz nad czóm innym zamyslił. Nic mi do tego, ale przecie ci powiem, że jeszcze to jest wątpliwa, co tu na teraz pilniejsze, czy gospodarstwo, czyli te drugiś zamysły?...

Dziwnie jakoś spojrział na niego młodzieniec i niby trochę się zarumienił, ale się wprędce uśmiechnął i umilkł. Tak nie mogąc się z nim dogadać, rotmistrz pomruczał jeszcze ni to ni owo i odszedł. Jurcio zaś poszedł ku brzozowój ławeczce, która stała oparta o wielką gęstwinę chaszczów i tam sobie usiadł w spokoju. Aleć natychmiast przybiegły do niego dzieci, które go też bardzo lubiły. Opowiadał on im rozmaite powieści, to z historii biblij- nój, to z żywotów świętych pańskich, to znów o kościołach i nabożeństwach i grobach królów w Krakowie, i tómi ich bardzo do siebie przynęcił. Jeszczeż do tego przywieziono mu temi czasy jego rzeczy z Krakowa, między którymi znajdowało się wiele błyszczących fraszek; więc on jednemu dawał parę pięknych obrazków, drugiemu krzyżyk z słoniowej kości, trzeciemu małą szabelkę, którą sam niegdy nosił, a już temi podarunkami zaskarbił sobie ich miłość na zawsze. Toż go i teraz te dziecięta opadły i posia- •dawszy to przy nim, to naprzeciwko niego, kazały sobie co opowiadać. Jurcio im opowiadał niemal całą godzinę, wybierając rzeczy co poważniejsze, bo była przy tómi także Kostusia. Aż się tóż w końcu te lekkie duchy tą powagą znudziły i poczęły igrać ze sobą na trawie, a przy opowiadającym pozostała tylko Kostusia ż młodszą siostrą Marynią. Zwrócił się więc natenczas młodzieniec do starszej i rzecze:

– A panna Konstancya wytrwała pięknie do końca; czy jeszcze mam opowiadać?

A na to ona:

– Choćby pan Jerzy opowiadał dzień cały, albo i dwa dni, to jabym zawsze słuchała.

– A gdyby tydzień?

– To i co?

– A gdyby rok?

–¹ To jenobjm jeszcze lepiej słuchała, bobym się przyuczyła jeszcze lepiej rozumieć.

– No, rzecze młodzieniec, – to ja pannie Konstancyi co powiem. Powiedziałbym ci ja jedną bardzo piękną historią, jeno

się boję, żeby ją za mój własny wymysł nie wzięto, choć jest prawdziwa jako ten dzień.

- Jak mnie pan Jerzy powiada, to ja tak wierzę.
- A wierzy pani?
- Jakżebym mogła nie wierzyć.?

Tedy młodzieniec spojrział raz jeszcze na nią i niby się tro-, chęć zadumał.

Namyślał się pewnie nad tó, ma-li powiedzióć, czy nie? Ale co to jest namysł u młodych? Im jeno się zdaje, że się namyślają poważnie, bo czy z namysłem, czyli bez niego, koniec u nich zawsze jednaki. Kiedy cel jaki przed sobą obaczą, który im się podoba, to już lecą ku niemu na óslep, choćby tam była góra nieprzebyta, albo i przepaść bezdenna. Co tam! – powiada młody, – góry przesadzę, poprzeskakuję przepaście, a przecież stanę u celu. Gotów jeszcze i własną ręką zasłonić oczy, aby tych przeszkód nie widzióć. Otóż tak Ożarowski. Namyśliwszy się mało niewiele, przecież nakoncu opowiedział Kostusi owe dziwne widzenie, które miał piórszój nocy w tym domu.

Wysłuchawszy tój opowieści, panienka dziwnie się zamyśliła. Była dotąd wesóła, lecz teraz główkę oparła na ręce, oczy spuściła ku ziemi i całkowicie zamilkła. Patrzył na nią Ożarowski przez chwilę, nareszcie rzecze:

- Cóż panna Konstancya tak się namysła?

A ona na to spojrziała mu w twarz, uśmiechnęła się trochę i rzekła:

- Nic, ot tak sobie myślę.
- Przecież co?

– Myślę tak, – rzekła Kostusia, – że to nie może żadnymt sposobem być, żeby mnie pan stolnik nieboszczyk dawał panu Jerzemu za Anioła Stróża. Taka ze mnie jest prosta dziewczyna!

– Mościa panno Kostusiu, – rzekł" na to Jerzy, – po miłości i wierze niemasz miłszego Panu Bogu przymiotu, jak jest prostota. Razem to idzie, i nawet -jedno bez drugiego prawie nie może być. Wielkich też łask dostępują u Pana Boga ludzie prósci. A czy to waszmość panna nie wiósz o tem z historyi? Wie- luż to było onego czasu mędrców sztucznych, wyćwiczonych w naukach, a nawet dosyć głębokich, którzy całe żywoty poświęcili ku temu, ażeby pomiędzy ludzi rozprzestrzenić swoją naukę, a przecież im się to nie udało? I wieluż to takich mędrców miał Pan Jezus pod ręką, którychby mógl był postawić na straży ogłaszanej przez siebie wiary, a przecież ich nie wziął, tylko wybrał prostaczków; a ci nietylko Jego naukę od zepsucia ustrzegli, ale jeszcze ją po całym świecie roznieśli? Nie mam się równać da uczniów Pańskich i apostołów, ale przecie to można powiedzieć, że prostota umysłu i serca jest to największy dar Boży, którym też nawet nie święci ludzie przy łasce Bożej jeszcze zawsze więcój. dokazać mogą, niż najskuteczniejszym rozumem.

Poczóm się zadumali oboje, aż znów rzecze Kostusia:

– Ale zawiesz ja tego rozumieć nie mogę, jakbym ja mogła pana Jerzego choć od czegoś ustrzedz?

– Nióma się to rozumieć dosłownie – rzekł na to Jerzy, – ale ot jakie to rzeczy, którem ja sobie z tego widzenia wysnował. Siedzę ja teraz tutaj i używam gościnności mojego dobrodzieja, aleć to tak nie może być. Nie może też być, żebym zasiadł na gospodarstwie, bo i na czymby to się skończyło? Taki nieuk jak ja, a nieznający świata za grosz, kiedyby się na wsi zasiedziało, do czego by się mógł przydać komu? Ani mu usłużyć sąsiadom, ani w wojsku, ani na urzędzie, chyba żeby z szablą gdzie stanąć i cudzy rozum popierać. A nie tak to Ożarowscy kiedyś służyli. Toż i ja tak nie myślę. Więc przedewszystkiem trzeba mi w świat: czy to na dwór jaki wielki, czy do chorągwi, czyli tóż w cudze kraje, co mi tóż bardzo doradzają ojcowie, żeby jeno środki były po temu. Boć i ubogi jestem teraz jako sierota; tych tam kilka folwarków w takim mizernym stanie, to prawie nic. Otóż jakby się stanie, czy tam pójdę, czy owdzie, zawsze to trzeba się przygotować na ciężkie próby, na wielkie prace, uchowaj Boże od łez i ucisków, aleć i te mogą być. Otóż w tych czasach przyjdzie na mnie niejedna duszność, może się umysł zachwieje, a może nawet i zwątpienie zawita. A w takich razach, żeby człowiek nie upadł, trzeba koniecznie jakiejś pociechy, trza, zachęty, trzeba pomocy. Tuszę ja wprawdzie, że ja tę pomoc, zachętę, pociechę, znajdę najpierw w Bogu, a nareszcie i w samym sobie, aleć to, jako mówią, Pan Bóg wysoko, a człowiek zawsze człowiekiem. Niezbędną dla niego jest pomoc z nieba, ale jój także trzeba i na ziemi. Kiedy więc niema nikogo pomiędzy ludźmi, któryby o nim pamiętał, a o którego by i on także mógł się oprzeć wspomnieniem, to już z niego bardzo biedny sierota!

A na to zaraz Kostusia: :

– A kiedy tak, to ja o panu Jerzym będę zawsze pamiętać. Gdzieby pan Jerzy będzie, choćby gdzie za morzami, ja nie opuszczę pamięcią, – a wiele razy modlić się będę, to się i za pana pomodłę. . A pan Jerzy znów za mnie, – dodała trochę weselej, – i tak to trwać będzie aż do tego czasu, póki pan Jerzy ze służb swoich nie wróci i nie osiedzie w swym szklanym dworze na zawsze, a wtedy będziemy widywać pana Jerzego codziennie, tak jakśmy widywali pana stolnika...

– Amen, – rzekł na to Jerzy, – niechże tak będzie i niech Bóg dopomoże. Ot, jakoś zaraz lżój mi na sercu. Bo to panna Konstancya nie wió, jak to ciężko jest człowiekowi, kiedy sam jest na świecie. A już wtedy jest nie sam, kiedy wie, że kto o nim pamięta. – Wiedział-ci tóż mój ojciec kochany dobrze, dlaczego mi się objawił, a jeszcze lepiej to wiedział, kogo mi ma dać na Anioła-Stróża. A już odtąd panna Konstancya mnie nie opuści, bo jak dziś widzę ciągle przy pani jakby mojego ojca, tak odtąd będę miał pannę Konstancyą przy sobie.

Tu umilkł trochę, a wesola dziewczyna, która się bardzo tóó ucieszyła, że może sama coś sprawić dobrego, co jój się jeszcze nie wydarzyło, rzekła do niego:

– A ja tóó będę zawsze o pahu Jerzym pamiętać. A jak pan będzie pisał do mego ojca, to żeby i o mnie stało i żeby pan nam opisywał, co pan gdzie widział i kiedy znowu do nas powróci.

– Będę zawsze pisywał, bo pisać lubię, żeby mnie jeno kto czytał. A żeby panna Konstancya o mnie pamiętała tem pewniój, to dam pani rzecz taką, co się sama będzie przypominać co-
| dziennie...

A to mówiąc, dobył z zanadrza książeczkę do nabożeństwa, bardzo maleńką, ale ładnie w skórkę złoconą oprawną i na kła-
merezki zamkniętą, i dał jój, dodając jeszcze do tego:

– Daję pannie Konstancyi co mam najlepszego i proszę pani zachować ją na pamiętkę odemnie' i modlić się na niój co rana i co wieczora.

Z wielką radością przyjęła Kostusia ten podarunek niewinny i rzekła:

– Och! jakaż to piękna książeczka! zaraz ją mamie pokażę. A potóm położę ją na mojom biureczku, co mi go pan marszałek darował. Albo nie, dam sobie uszyć taką torbeczkę, jak mama nosi, i będę ją w tej torbeczce zawsze nosić przy sobie...

Z wielką wdzięcznością słuchał młodzieniec tej radosnej spowiedzi, kiedy wtém, spojrzawszy przypadkiem w owę gęstwinę krzaków, o którą opiórała się ława, zerwał się nagle i jak sparzony odskoczył. I dzióówczęta także się przestraszyły i skupiły się koło niego. A było się w samój rzeczy czego przestraszyć: W tej gęstwinie bowiem, tuż zaraz za ławą, pokazała się głowa niby ludzka, ale straszliwie brzydka, ba nawet wcale przerażająca. A była ta głowa tak wielka jakby dynia pomierna i prawie całkiem graniasta, oczy w niej jakby szklane i wpół przymrużone, a koło prawego oka blizna, poczerniała i' przymarszczona, jak od i postrzału. Była też przy niej broda dziwnie jakoś strzępiasta, a czupryna jakby tatarska, co ją niezmiernie czyniło straszną. Lecz kiedy od niój tak nagle odskoczyły te dzieci, zniknęła.

Rzecz więc Jerzy najpierwszy:

– A co to było?

– Dziad jakiś straszny, – powie Marynia, – jeno by mi to było po nim do niegrzeczne.

– A może tóó i kto inny, – zawołała Kostusia, – jeno by mi to było po nim do zadziwienia, żeby tak podsłuchiwał. Nie mówiło tu się nic sekretne, ale przecie to jest nieładnie.

Tak mówią, – aż tu ścieżką z daleka wchodzi pan Domaradzki, co to go zwą Murzą tatarskim. Dopieroż wszyscy się domyślili, że to on ich tak podsłuchiwał z za krzaków. Rzecz więc zaraz Kostusia:

– Widzi pan Jerzy, że to taki dziad nie był. Ale ledwie

jeszcze nie gorszy jak dziad, kiedy się tak zakrada z nienacka. I czego on tam na nas zasiadał?

Ale Jerzy ledwie to słyszał, bo właśnie myślał o Murzy, który podczas owego napadu na dom jego ojca gdzieś się był podział, a rotmistrz mówił, że go wzięto w niewolę. – Tymczasem- Murza jest tu. Idąc powolnie, przystąpił do starszych, którzy siedzieli pod dębem i rzecze:

– Niech będzie pochwalony Pan Jezus.

– Na wieki wieków, – odpowiedziała podkomorzyna i ochmistrzyni, a móstowniczy staruszek nic. Przyłożył rękę do czoła, spojrział na Murzę, wstał pomaleńku i posunął do zamku, mruczając coś sobie pod nosem. Zbliżył się tedy Ożarowski do Murzy i rzecze:

– Czołem, mój dobrodzieju.

– Jakże się masz, młodzieńcze, – rzekł Murza, – dawnożeś tu na zamku?

– Ot już parę tygodni z łaski pana miecznika; ale zkądże się jegomość tu bierzesz? Powiadano nam że cię wzięto w niewolę, na cośmy bardzo płakali...

A Murza na to:

– Ot! co mi pomoże! Juźcić mnie wzięli niemczyska ze sobą, ale mnie wypuścili. Bodajby mnie było zabito!

– A'toż znów czemu?

– Czemu? – zająknął się Murza, patrząc w oczy Jerzemu, – ot co mi pomoże!...

Aleć zawszeby było lepiój i spr a wiedli wićj, żeby mnie było zabito, niż jego.

Jurcio westchnął boleśnie – i milczeli obadwa. Rzekł potóm Murza.

r-¹- Ot! może to i ja wniosłem to nieszczęście w dom jego! Bodajżebym był nogi połamał! Bo i lichu mnie tam poniosło!

A to mówiąc, patrzył z uwagą na Ożarowskiego, ale ten zaraz rzekł:

– Proszę waszmości, nie myśl tóż o tem. Taki człowiek pobożny, a mówi prawie z pogańska. Ażaż to waszmość nie znasz świętego Pisma? Czy upadnie jeden włos z czyjej głowy, czy wróbel z dachu, bez woli Bożej?

Murza odetchnął, – ale zaraz znów westchnął i rzekł: L, – Wszyscyście chrześcianie, jeno ja jeden poganin. Tak już jest napisano. Niemasz tóż bystrzejszego człowieka, jako. ten, - który mnie nazwał tatarem.

Jerzy go słuchał z uwagą, ale jakoś nie bardzo rozumiał. Znał ci on go z Krakowa, bo razem się schadzali do kapitularza na rekolekcyje, ale i tam się z nim nie mógł jakoś dogadać. Zdało mu się, jakby temu mężowi coś brakowało. Toż i teraz mu się tak zdało. Jakoż , rzekł na to do niego:

– Bardzo pilnie słucham waszmości, ale tak mówisz, jakoby cię nikt nie miał rozumieć. A byłbym bardzo rad temu, gdy

bym waszmości rozumiał, bom cię widział bardzo żarliwym w wierze.

A Murza na to:

– Ot co mi pomoże! Bo już jest tak napisano. Bo gdyby mnie jeno jeden zrozumiał, tobym już był zbawiony. A to nie może być. •

Jeszcze go mniój przez to rozumiał Jerzy. Ale tymczasem: kiedy tak rozmawiali, zachmurzyło się było cokolwiek i pochło- dniało. Szli tedy wszyscy do zamku, każdy do swego kącika, Jerzy zaś z Murzą na górę. A kiedy tam weszli, nie zastali już miecznikowój w galerii, bo poszła była także do izby, uciekając przed chłodem. Zostawił tedy Murza Jerzego w wielkiój komnacie, a sam poszedł dalej, mówiąc:

– Trza gospodynię przywitać.

Zostawszy się młodzieniec sam na sam, siadł sobie milczkiem pod ścianą i zaczął myśleć. Ale jakoś bez ładu mu się plątały te myśli, bo sam nie wiedział napewno, czemu ma oddać piórszeń- stwo: czy owój wdzięcznej rozmowie z Kostusią? czy tóż swemu własnemu losowi, o którym także już czas był i wielki jakoś poważnie pomyśleć. I tak mu zeszło ze trzy paciórze, albo może i więcój. A wtem usłyszał w izbie przyległój gadanie, które, chcąc nie chcąc, słyszał bardzo wyraźnie. Mówi więc Murza:

– Dobrodziejko moja kochana! ziiutuje się już nareszcie nademną. Nowe mnie napotkało nieszczęście. Już mnie Pan Bóg wcale opuszcza. Jużem jest jako morowa dziewczica: gdzie się pokażę, padają ludzie, groby się wznoszą, łzy się leją strumieniem. Kiedy "mnie ty nie wybawisz, przyjdzie zejść marnie -z tój ziemi, bez pokuty za grzechy i bez nadziei zbawienia.,,

Na to zaś miecznikowa:

– Mój panie Janie, waszmość mi serce rozdziórasz bez miłosierdzia. I cóż ja ci nieszczęśliwa pomogę? Uczyniłam wszystko co było w mojej mocy i co się godziło z sumieniem: żalim jest Winna, że nie mogę uczynić więcój?

■ – Ej! możesz! – zawołał Murza z westchnieniem, ^jako Pana Boga kocham, fak możesz. Czyż to jest wiele, o. co was proszę? Czyż to gróch będzie, jeśli powiększycie fortunę w sposób godziwy? Czyż nie powinniście tego uczynić dla waszych dzieci? Zdejmcież ze mnie. ten ciężar,, a spełnicie najzacniejszy uczynek i Pan Bóg wam go jeszcze w dwójnasób nagrodzi.

– Ej! nie może to być! nie może to być! – rzekła znów miecznikowa z westchnieniem, – nigdy to być nie może, żebyśmy od waszmości co przyjmowali. Kiedybym dziś ten zapis przyjęła, nie wiem żalibym jutro śmiała klęknąć przed Bogiem. Jużby mnie wiecznie katowało sumienie. Jużby mi ojciec nieboszczyk pewnie się zaraz pokazał i wykłąłby mnie na zawsze. Nigdy to być nie może, mój panie Janie! Ale o co waszmości chodzi? fi Tyle jest klasztorów, tyle kościołów ubogich, a wszystkim dary wolno przyj-

Tom X.

mować od braci: daj waść swoją fortunę na klasztor, daj ją na kościół, a jeszcze to miłsze, będzie Panu Bogu, niżelibyś ją oddał grzesznikom.

– Ot co mi pomoże! – rzekł na to Murza, – jużciż ja wiem o tómi dobrze, że mi to wolno uczynić, ale tego nie czynię, bo mi to nie pomoże. • Gdzie jest szkoda zrobiona, tam ją trzeba naprawić. Jakoż to czuję, że jeno toby mi może ulżyło sumienie. Miejcież więc litość nad biódnym, a weźcie to sobie odemnie. Co wam to szkodzi? Choćbyście i mogli mieć jaki skrupuł rzetelny, toście go mieć niepowinni, bo czyż nie widzicie, jakom jest nędzny? czy was to nie wzrusza, że ja od tylu lat... od tylu lat! tak się błąkam' po świecie, że tak pokutuję, że się tarzam w prochu jak płaz naj- podlejszy, że się smagam różgami jak zbrodzień i wszystko to nic nie pomaga? Bbg mnie opuścił, ludzie mnie opuścili, psy nawet nie chcą się trzymać mojego domu, – ażaż już nióma ani jednego serca na całym świecie, któreby się ulitowało nademną? Zmiłuj się, dobrodźiójko, wszakżeż masz tyle serca dla wszystkich innych żebraków!

A tu się zdało, jakby Murza zapłakał i rzucił się na kolana przed miecznikową.

Lecz prawie razem ktoś wszedł do tój izby, który był miecznik sam bez wątpienia, bo zaraz było słychać głos jego:

– Ej! panie- Janie! już tóż znów męczysz moję niebogę! A na co to się przydało? Ażaż ty nie masz rozumu? albolit też zatrueś w sobie sumienie? Możeż to być, ezego po nas wymagasz?

A wtedy trwała chwilka milczenia. Zdawało się, jakby Murza wstał z klęczek, bo mówił smutno i już prawie boleśnie:

– Ot co mi pomoże! Kiedy się człowiek uweźmie, to i górę przewróci, a wasby nie tknął, żeby i całą górę na was wyrócił. Jesteście jako nieczułe głązy i żadnej nie macie litości.

Na to zaś miecznik łagodnie:

– Ale mój Janie, za cóż nas tak ciężko obwiniasz? Czyżeśmy nie uczynili dla ciebie wszystkiego? Przebaczyliśmy dawno, zapomnieli zupełnie, w dom przyjęli jak brata, radzi cię nawet widzimy: możemyż jeszcze i więcój? Słyszałeś kiedy, żeby człek zacny dał sobie płacić za krew swojego ojca? albo ażeby za taką krew przyjmował późniój nagrodę? I czyby to co pomogło? Wszakże do odpuszczenia grzóchu potrzeba tylko ze strony ludzi przebaczenia, a reszta zawsze w Boskich jest ręku.

– Ale są rzeczy—rzekł na t© Murza, – których i Pan Bóg nie sprawi bez ludzi, a taka to właśnie jest rzecz.

– Mój drogi, – zabrał głos miecznik, – Pan Bóg wszystkiemu jest mocen, a to jeno się tobie tak przywidziało, że tu potrzeba ludzi. Przypomnij sobie, jak sobie ludzie poczęli z tobą, jak my poczęli i cośmy dla ciebie wyrobili u ludzi...

Tu miecznik nie zaprzestał wprawdzie perory, ale czy to głos ^niżył, czy może w jakiś kąt dalszy się z Murzą usunął, dosyć że

już ich Jerzy nie mógł rozumieć. Wszakże i tego mu było dosyć na teraz, co słyszał, jakoż bardzo się nad tem zamyślił. Było tu bowiem rzeczą prawie domyślną, że ten pobożny Murza jakąś zbrodnię albo sam spełnił, lub spowodował przynajmniej, która mu teraz na sumieniu ciążyła, a- od której chciał się zapisem swojej fortuny wykupić. Nie było mu to dziwnym, ale bardzo nauczają- cym, że miecznikostwo tego okupu nie chcieli przyjąć; było to zaś jeszcze więcej nauczającym dlatego, iż posiadziawszy kilka tygodni w domu miecznika, poznał dokładniej stan jego fortuny i znalazł, iż ta fortuna nie była w tak świetnym stanie, jak była wieść między ludźmi. Miecznik miał wprawdzie włości niemało, jedno w powiecie pilzeńskim, a trzecie w ziemi przemyskiej, lecz na tych ziemiach ciążyło jeszcze bardzo wiele ekstensyj. Pan Bobrownicki bowiem przy wszystkich cnotach był podobno zanadto dbałym o powiększenie fortuny i naskupywał ziem co niemiara, chociaż nie miał na to dość gotowizny. Przy swojej wielkiej pracowitości i takim rządzie, jakim się mało kto mógł zalecić, byłby on wybrnął z tej wikłaniny z łatwością, ale na jego nieszczęście nadeszły wojny, a z nimi wielkie fortun szlacheckich 'zniszczenie. Jeszcze podczas tych wojen było przynajmniej to szczęściem dla niego, że lubo straty wynikały jedna za drugą, jednak milczały sądy: ale teraz po wojnach i sądy się odezwały a miecznik miał już kilka procesów. Te procesy go gnioły, uciskały jego sumienie, nie dawały mu czasem i sypiać po nocach, – tu Murza dawał tak jak gotowe pieniądze, ratunek sam się nasuwał pod rękę, jeno było po niego sięgnąć, a przecież miecznik tego ratunku nie przyjmował i trwał zacnie przy czystości sumienia. Bardzo się tedy tem młodzieniec budował i dziękując Bogu, że mu dał wstąpić w progi takiego domu, gdzie tak surowe cnoty chowano, rozmyślał nad tóim poważnie. Wszakże niebawem przerwał mu te myśli wchodzący Murza. Już się tam była ta rozmowa skończyła, a on wszedł do wielkiej komnaty i zdał się dążyć gdzieś dalej, lecz obaczywszy Ożarowskiego, stanął. Zbliżył się nawet do niego i postawiwszy się z nim oko w oko, dziwnie jakoś patrzył na niśgo. Zdało się, jakby ten smutny pokutnik był w tej cłiwili trochę weselszym niż zwykle: może mu sam zamiar odkupienia swój winy przyniósł jaką pociechę. Atoli patrząc na Jurcia, stawał się Jeszcze weselszym, aż nareszcie uśmiechnąwszy się jasno, uderzył go po ramieniu i rzekł:

- A co waść tu robisz?
- Jak waszmość widzisz, siedzę sobie spokojnie.
- A waść- podsłuchiwał, .co się tam w owój izbie gadało?
- Możem i słyszał cokolwiek, alem nie podsłuchiwał umyślnie, bo to nie moim zwyczajem, choć już się mogłem tego nauczyć dziś od waszmości.
- Cha cha cha! – śmiał się Murza, – nie gniewaj że się, proszę cię, za to, bo to i nie moim zwyczajem, ale widząc was tam

siedzących w takiój czulości, nie mogłem się wstrzymać, ażebym się nie przekonał, czego to waść nauczysz panienki?

Tutaj młodzieniec, chociaż całe niewinny, a może tóż i winny troszeczkę, bardzo się zarumienił, lecz rzekł przytomnie:

– Nie nauczałem tam niczego takiego, czegobym i przy rodzicach nie mógł powtórzyć.

– No, ja tego nie mówię, – rzekł Murza, – ale przecież to powiem, że diabeł bardzo pilnie chowa swe rogi z początku. Zawsze to się tak od małego zaczyna, a potem co! Tak to było i u mnie.

Jerzy milczał, a Murza mówił dalej po chwili:

– Ale to nic. Owszem, bardzo mi się to podobało i twemu ojcu się to podobało, który patrzy na ciebie z nieba. Ot! i wiósz, co jabym tobie powiedział? Co ty myślisz ze sobą? -

– Jakto co? nie rozumiem.

– No, co zamýślasz? Czy wracasz nazad na akademię? czy do wojska? czy na dwór jaki? czy do zakonu? albolí teź na gospodarstwo?

– Jeszcze to rzecz niepewna, – odpowiadał młodzieniec niechętnie, – ale w tych dniach coś się w tórn postanowi.

– A wiesz, co jabym tobie poradził?-

– Cóż? – spytał Jerzy dość obojętnie, bo mu niebardzo ciekawą zdała się rada człowieka, który innym chciał radzić, a sobie nie umiał poradzić.

– Ot co! gdziebądź ty pójdiesz, zawsze to losy niepewne. A na co tobie oddawać się na łaskę fortuny, która jest tak niestateczna? Na co tobie szukać gdzie szczęścia po świecie, kiedy go masz u siebie? Siadaj na gospodarstwie, siadaj i żeń się z Ko- stusią, a ja wam oddam całą moją fortunę. A to niemała jest rzecz, trzy folwarki potężne, warte najmniej ze trzy kroć. Kiedybyś jeno jeden z nich sprzedał, to wszystkie długi ojcowskie pospłacasz, jeszcze ci co pozostanie. Masz swoich folwarków trzy, dwa odemnie, to pięć: ażaż ci trza lepszego szczęścia na świecie?

– Waszmość mi chcesz oddawać swoją fortunę, – mówił Jerzy jak gdyby nic, – a cóż zostawisz dla siebie?

– A co tobie do tego? – rzekł Murza, – może mnie co innego zostanie, a może mi wtedy nic nie będzie potrzeba? A kto to wió? No! pomyśl nad tem, to piękna rzecz. Zrobisz dobry początek, pójdzie ci potóm jak z płatka, i kto wió kędy się oprzesz? Bo fortuna to grunt. Ale pod tym warunkiem, żebyś się z Ko- stusią ożenił, bo nie tobie to dam, jeno jój..»

A w tój chwili pokazał się mostowniczy we drzwiach komnaty. Obaczywszy go, Murza rzekł prędko:

– No, pomyśl nad tórn, ważna to rzecz: dla ciebie szczęście gotowe, a dla mnie duszy zbawienie...

To rzekłszy, odszedł zaraz w stronę przeciwną. Jerzy został na swoim miejscu. A tymczasem mostowniczy staruszek szedł

odkaszlując i suwając nogami środkiem komnaty. Zmierał on pewnie do baszty na posiedzenie wieczorne, bo już się było zmierzchało, lecz obaczywszy rozmawiających ze sobą, przyłożył rękę do czoła i przypatrywał im się przez oka mgnienie. Kiedy zaś Murza odszedł, on się zbliżył do Jurcia i rzekł:

- Mospanie stolnikowiczu.
- Słucham jegomości.
- A co waść za sprawy masz z tym człowiekiem? !
- Żadnych spraw nie mam, takeśmy tylko gwarzyli.
- No, – rzekł staruszek, – mióże się na baczności.
- Czemu to; panie mostowniczy?
- Czemu? – powtórzył« starzec, – ażaż to nie wiósz, co to jest zasz?
- Ja nic nie wiem, mój jegomość kochany, i nawet się nie domyślam, żeby w nim mogło być bardzo coś złego, boć w takim razie nie przyj mowanoby go w tym domu.
- Hm! – mówił starzec kaszlając, – kuszenie Pana Boga, żeby jeno kary za to nie było. Ale ty nie kuś Pana Boga, a siebie strzeżk
- Nie rozumiem ja jegomości, jak trzeba.
- Htp! – mówił starzec, idąc już prawie, – przyjdźże kiedy milczkiem do mojej izdebki, to ci 'to powiem. A tymczasem "się strzeż. Strzeż się! –mówił starzec, grożąc mu palcem wychudłym.– Strzeż się! – powtarzał, i *z tem wyszedł z komnaty.

Od tego czasu ogarnął młodego Ożarowskiego jakiś dziwny niepokój. Już się był zaczął oswajać ze swoją żalobą, już mu ci zacni ludzie, których serdecznie ukochał, zaczęli zastępować jego własną rodzinę, już mu to życie zaczynało się stawać miłym i słodkim i pełnym nowych powabów, – kiedy wtem nagle od dnia owego coś go dziwnie zniepokoiło. Co było temu przyczyną, sam właściwie nie wiedział. Cóżkolwiekby, zawsze niemało do tój niespokojności przyczynił się Murza. Dziwny ten człowiek bardzo niebezpieczne sidła na niego nastawił. Wprawdzie surowszy dla siebie niż dla innych, młodzieniec ani pomyślał o tem, aby tę darowiznę przyjmować, ale zawsze się nie mógł pozbyć tój myśli, iż się znajduje w tóim położeniu, że gdyby jeno jedno słówko powiedział, toby dogodził odrazu najgorętszym swym chęciom. Odpychał on tę pokusę od siebie obydwoma rękami, aleć sama wracała. Jeszczeż do tego w parę dni potóm znów się pojawił Murza. I znów wystąpił przed nim z swoim projektem. Ba, nawet nudził go teraz, prosił i błagał, a nareszcie już sam go chciał deklarować. A kiedy Jerzy się wzbraniał, on mówił:

– Otóż to drugi taki półgłówek, jak tamci. Jeszczeż tamtym się nie dziwuję, bo mają choć pozorne skrupuły, ale ty? w Imię Ojca i Syna już tóż to czyste szaleństwo. Obaczyłbyś, coby ojciec twój na to powiedział, gdyby był przy tóim. Jegoż to myśl była zawsze, żenić cię tutaj nad Nidą, com tóż sam słyszał od niego. Kiedy mnie nie chcesz wierzyć, spytaj się bernardyna. Ale na co bernardyna? Nie powiedziałże ci sam tego nieboszczyk stolnik ?

- Mnie ? a to kiedy? – spytał Jerzy zdziwiony.
- Chyba żeś skłamał Kostusi ? – rzekł Murza.

Na te słowa Jerzemu wyskoczyły na twarz rumieńce. Opuścił oczy ku ziemi, pomilczał chwilę, a potem rzekł:

–| Nigdy w życiu nie kłamię.

A powiedział te słowa z taką mocą i surowością, że aż trochę ■ zadziwiająco były u takiego wielkiego młodzieńca. Spojrzał też Murza na niego z wielką uwagą i pomyślał chwilę. Poczóm zaczął z innój beczki: .

– Hm! – mówił ten srogi kusiciel, – nie łatwa to z tobą, jak widzę, sprawa, bo chociaż jeszcze nie dorósł, przecież już w każdój materij chcesz swoje własne mieć zdanie. Niezła to rzecz, zwłaszcza zważywszy, żeś jest siórota i niby sam jeden na świecie. Aleć to trza ci wiedzióć i o tem, że zdanie młodzika rzadko warte jest wiele, a często nic. Zaraz ci tego dowiodę, bo i tu jest tak samo. Oto ja proponuję tobie, abyś się żenił; ty propozycją odrzucasz, a więc nie chcesz się żenić. A kiedy nie chcesz się żenić, czegoż ty bałamucisz dziewczynę? hę?

A to już widać było nadto na poczciwego młodzieńca. Zerwał się z ławy i stanął cały w płomieniach. Spojrzał na Murzę, chciał coś mówić do niego, ale słowa zamarły mu w gardle. A nielitościwy poganin śmiał się do pęku.

– A co? a co? – 1 mówił* on mrużąc swe szklane oczy, – a dobry rozum młokosa. Taki pobożny człowiek, a lózie w grzech jakby w błoto, jeszczeż do tego i sam nie wió o tómi!... No, sia- dajno tu przy mnie na ławie, pogadamy rozumnie.....

Ale Jerzy rzekł na to prawie ze łzami:

– Ej! daj mi waszmość już pokój*! Wolałbym trutkę był zażyć, nizeli słyszóc te słowa. Nie chcę już nic!

To rzekłszy, zaczął się samotnie przechodzić po łączce, na której działy się te rzeczy. Siedzący Murza na ławie przypatrywał mu się z uwagą i nie przeszkadzał. Przystąpił wszakże po chwili do niego i zaczął na nowo swoje perswazyje. Chciał go koniecznie namówić do ożenienia, obiecując jak zawsze całą swoją fortunę i malując mu jego przyszłość promienistemi barwami. Ale już jakoś na żaden sposób nie mógł się z nim dogadać. Ani mógł nawet wydobyć z niego co myśli. Doczekał się tylko tego od niego, że mu musiał rzec w oezy:

– Proszę waszmości, jeżeli ci miłe zbawienie duszy, odstąpcz się odemnie. Waszmość masz jakiegoś ducha nieczystego przy sobie, któren same rozsiewa pokusy. Czy chcesz tego ducha nieczystego wetchnąć i w drugich?

Odskoczył Murza od niego, jak pies od jeża. Stanął na stronie i zrobił krzyż święty na piersiach. A potem, położywszy ucho po sobie, odszedł powolnym krokiem

Jerzy został na łączce, aż póki dzieci nie przyszły na zwyczajną igraszkę. Przyszła dzisiaj i miecznikowa – i zauważała to

zaraz, że jej gość jakoś był smutny i nierozmowny. Zapytywała go o to, ale się nie dowiedziała niczego. Owszem, nawet przekonała 'się jeszcze dowodnie, że go coś dojąc musiało. Uważała go także Kostusia i po parę razy go zaczepiała, aleć był dla niój prawie tylko tak grzecznym jak obcy. W wieczór było tak samo, a na dobitkę zauważano jeszcze, że podczas wieczornych modlitw w kaplicy bardzo się ^ modlił gorąco. I kiedy wszyscy już wyszli, on jeszcze został przed ołtarzem na klęczkach i Bóg wie jak długo tam bawił. Sługa powiadał, że po wyjściu państwa z kaplicy, pan stolnikowicz krzyżem się położył na ziemi, że głośno płakał i wyszedł ztamtąd gdzieś już blisko północy

Nazajutrz dzień wszyscy byli tómszefrasowani – a miecznik mówił żonie na ucho:

– Coś się mu bolesnego zdarzyło. Już go też dzisiaj nie spuszczę z oka.

Lecz przy śniadaniu znów Jerzy zawiódł wszystkich oczekiwania. Przyszedł bowiem wprawdzie trochę przybladły, ale całkiem nie osmucony. Owszem, nawet zdawało się z wejrzenia, jakby była w nim jakaś radość, której tylko nie zdradzał. Widząc to, miecznikowa rzekła do niego:

– Chwałaż Bogu, że przecie dziś jakoś inaczej wyglądasz. Jużśmy wczoraj myśleli, że cię broń Boże coś struło. Co nam było o tyle przykrzej, ile że przedtóm byłeś już całkiem swobodny.

– Pani droga! – rzekł na to Jerzy, – byłem wczoraj cokolwiek smętny, ale czyż może t;o być inaczej? Smutek i łzy, tożto jest pożywienie sieroty! Chowają się one na chwilę, ale przecie przychodzą z powrotem. Żleby tóż było, gdyby, się nie wracały!

To rzekłszy, przystąpił do miecznikowój i pocałowałwszy ją w rękę, dodał:

— Niechże wam Bóg to nagrodi, że się tak o mnie troszczycie.

I był już potem wesoły, co też wszystkich uspokoiło o niego.

Pomimo to przecież, jak tylko od obiadu powstano, który tam wczas się odprawiał, przystąpił on do miecznika na osobności i prosił go, żaliby nie miał czasu dziś albo jutro pomówić z nim trochę dłużej. Ale miecznik zaraz był gotów i szedł z nim prosto na owę łączkę, na której pod jasnym nakryciem nieba i pośród woni rosnących trawek i kwiatów zawsze najlepiej się rozmawiało. Jak tylko siedli na ławie, rzecze wręcz Ożarowski:

– Ojczy mój drogi! – tak go przez wdzięczność nazywał, – już żebym był w samym raju, toby mi lepiej nie mogło być, jak mi jest u was; aleć to i w raju siedzióć nie wolno, kiedy gdziein- dziój obowiązki wołają. Czas mi już o sobie pomyślióć, boć to tak wiecznie nie może być. Proszę tedy waszmości, żebyś w tómważnym postanowieniu nie odmawiał mi rady.

A na to miecznik:

– Spieszysz się, śpieszysz, mój Jurciu! kto wió nawet, ażali

nie nadto? jakoż mówię ci z serca, że kiedy przyjdzie do tego że nas opuścisz naprawdę, to cały dom nasz nie utuli się w żalu. Jużemy wszyscy tak nawykli do ciebie, jużemy cię tak pokochali serdecznie! No, ale znów z dragiój strony, trudno ci mogę to zganić, żeś pomyślał o sobie. Nic nie wart człowiek bez zatrudnienia, bez jakiegoś urzędu, bez jakiojś funkcji na świecie, choćby to był nawet i magnat najpiórwszy. Jakoż bardzo to ładnie, że chcesz coś począc ze sobą. No, ale cóż poczniesz?

– Ot, i Bóg wie, co tu począc w tym stanie rzeczy?

– No, już się to znajdzie. Nie jesteś w położeniu najgor- szórn. Wielu jest, którzy mniej mają środków od ciebie, a przecie coś poczynają, ba, i wysoko się wznoszą. Toż i u ciebie nie będzie z tem wielkiego kłopotu. Ale powiedzże mi, kochanie, do czegoż masz najlepszą ochotę?

– Hm! – mówił Jurcio, –jużci ja wiem do czegobym miał najlepszą ochotę, bom to już dawno wypróbował na sobie. Nie- masz dla mnie lepszego miejsca jak wojsko, a choćbym się kiedy mógł przyuczyć j czego innego, to chciałbym zawsze przyjść do tego ze szablą w ręku, jak to czynili ojcowie. Ale co to mówić dziś o tem, bo czy tu, czyli owdzie, do czegoż ja doprowadzę, kiedy? mówiąc po prostu, do niczego nie jestem przygotowany jak trzeba. I najostrzejsza szabla nic nie wyrąbie bez głowy, a i głowa niewiele pomoże, kiedy nic nie wiedziała krom własnoj grędy i kiedy się niczego nie nauczyła po świecie. A tu do tego pilniej jeszcze nad wszystko inne i gospodarstwo mnie czeka, bo i cóż matka sobie poradzi sama?

– A! dajże pokój! –zawołał na to miecznik porywczy, – a cóż to-myślisz? na gospodarstwie osiadać? Otóż to byłaby piękna! Lat dziewiętnaście i już gospodarz! Ja ci tego nie radzę, ba, nawet śmiało odradzam. Bo i do czegoż cię to doprowadzi? Gospodarstwo to najzdradliwsza matnia na ludzi. Byle raz zacząć, to już się lezie potem jakby w labirynt, a gdzież jest nitka Ariadny? Niemasz jój w gospodarstwie, jak to sam widzę na sobie. I co tu potem z tego za skutki? Patrzajże na mnie, toż i ja byłem niegdyś w tóm położeniu co ty. Piętnaście lat miałem, kiedy mnie odmarli rodzice. Zostawili mi dobry kawał fortuny w Pilźnieńskim, na wspólkę ze starszym odemnie bratem Stefanem. Stefan już się był wtedy ożenił i wziął wielką fortunę po żonie, ba, i starostwo przedborskie, więc rzekł mi: – Czyń jako myślisz. Pobądź przy mnie czas jaki, a potem bierz ojcowiznę. Co mi tam z niej przypadnie,, to mi spłacisz powoli. Albo tóż idź gdzie na służbę. –Jam był za służbą. Jakoż dano mnie zaraz na dwór Denhoffa, wojewody pomorskiego, bo to był żołnierz waleczny i poważany, a jam chciał służby wojskowej. Pobywszy tam mało niewiele, zar.iz wypadło nam iść pod Wiedeń. Poszedłem i ja, mając rok ledwie szesnasty, tak jak szedł i wojewodzie Stanisław, mnie prawie ró-

wieśny, z którymiśmy się bardzo kochali, ba, i dziś jeszcze kochamy, chociaż on już hetmanem polnym litewskim, a ja miecznikiem stężyńskim. Byłaż to piękna wojna pod Wiedniem, piękna i w Węgrzech, lubo już nie tak szczęśliwa. Fatalną tóż była ona dla wojewody. Obskoczony pod Strygoniem od Turków, wyczerpawszy do ostatka swe siły, oddał Bogu ducha ze szablą w rękę. Jeszczeż i głowę jego odesłano do Carogrodu, na niegodziwą pociechę poganom. My z Stanisławem wyszliśmy tylko z króskami, ale ledwie to było dla nas pociechą w takióm ciężkióm sieroctwie. Jeszczeż on znalazł zaraz opiekunów rozumnych, poszedł na dalsze służby, został na samym wstępie łowczym w. litewskim, miał sposobność okazania swoich zdolności, wysłano go komisarzem do dyferencyj Zatorskich i szlązkich, wraz uczyniono miecznikiem koronnym, ot! i gdzie oparł się teraz! A jam poszedł do brata. Myślałem tedy owędy, czas traciłem napróżno, a nareszcie poznałem żonę moję, serce mnie pociągnęło ku niój, ożeniłem się i zasiadłem na gospodarstwie. Nie mogęz ja tego powiedzieć i broń mnie Boże! żebym był z tego nie kontent. Sam przecie widzisz, jak ze sobą żyjemy i ztrudna to możesz powiedzieć, żebyś widział gdzie więćój szczęścia pod którym dachem. Daj Boże tyle każdemu, daj go Boże za czasem i tobie. Ale nie daj Boże tego, ażeby się takie szczęście tak zawczasu rozsiówało pomiędzy ludzi. Bo już z takich szczęśliwych niewiele pożytku. Popatrzże na mnie, jakem ja się w tem szczęściu zapieczętował na zawsze. Posłuchaj jeno jak to się stało, a dowiesz się prawdy, o którą dziś nie tak łatwo na świecie. Owo więc gdym się ożenił, ani myślałem o tóim żebym dlatego, albo dla gospodarstwa, miał przestać służyć krajowi. Ale na razie nie było takiój służby pod ręką, a choćby- i była, tobym przecie był musiał obejrzyć się koło fortuny, bo moje ziemie pilźnieńskie były obciążone cokolwiek, a com tu dostał za żoną nad Nidą, także nie było czyste. Jęłem się tedy gospodarstwa i pracy, a jak to zwykle u młodych, z żarliwością i z ogniem. I szło to jakoś; wypłacały się długi, okrywały się niedostatki i gromadziły się jeszcze zasoby. Była ztąd jeszcze tóim większa pociecha, że nam dał Pan Bóg dzióciątka, było więc zbierać dla kogo. Ale po jednym dzióciątku dał Pan Bóg drugie, dał tóż i trzecie, jak* to więc zwykle przy łasce Bozkiój. Gromadziły się dziatki, ożywiła się za niemi chęćka, aby coś dla nich uzbierać, ugrzęzło się w tóim cokolwiek, że się już stało jakby rzemiosłem; a. czy to takie rzemiosło, czy inne, zawsze ono pociąga za sobą tę pożądlivość, żeby mióć warsztat jako największy i stać się mistrzem w swoim zawodzie. Trzykroć szczęśliwy jest ten, który ma takie rzemiosło, że jego towar jest na pożytek i chwałę, bo u takiego, choćby tóż najgorętsza pożądlivość, jest cnotą, ale kto gromadzi ziemię lub złoto dla siebie lub swoich dzieci, – nie jest to wcale występkiem, jeśli się dzieje z zachowaniem zacności, – ale mizerna to cnota! Cnota tóim mizerniej sza, ile że się u słabego

człowieka nigdy nie da zachować w mierze, musi się stać koniecznie matką łakomstwa i przy największój nawet baczności tak go upłata, że ani sam wić, kiedy go obwinęły te pęta! Otóż tak prawie stało się ze mną. Podobała mi się jedna wioska w Pil- znieńskim, nuż kupić, – podobała się druga tutaj nad- Nidą, nuż i tę kupić, – podobał się nareszcie cały klucz w ziemi Przemyskiej, nuż i jego zakupić! Już ci nie będę powiadał, co z tego wyniknęło w moich sprawach ekonomicznych, jak się trza było uczyć na starość pandektów, włóczyć po sądach, po kompromisach, po jarmarkach, po targach, – ile ztąd wypłynęło niepokoju, marn³ch zatrudnień, zabijających strat czasu, frasunków, zgryzot, – ale to ci muszę powiedzieć, że przez to na bardzo niebezpieczny harc wyprowadził nawet moje własne sumienie. Tu już sam łatwo zrozumiesz, przez jakie to nieraz trzeba było przechodzić walki, trwogi, zaprzania, aby w tych tam rozlicznych sprawach o kawałki mamony nie skazić tego sumienia na zawsze, – ale to ci znów muszę powiedzieć, że pozostało ono niezaspokojone do dziś dnia. Niezaspokojone, powiadam, względem braci, a ztąd tóż i względem siebie; bo jak mnie widzisz, wszystkie te lata przeżyłem, nie usłuży wszj^r pospolitemu dobru za kroplę wody. Wlazłszy raz w ten przekłętą warsztat przysparzania fortuny, jużem w nim musiał chodzić bez odetchnienia, jako koń uprzężony w deptaku, – zaprzęgłszy się do tój służby około dobra własnego, jużem nie mógł ani pomyśleć o jakiejbądź służbie publicznej. Dwa razy chciano obierać mnie do zastępstwa braci na wolnych radach, padł na mnie wybór na kapturowego sędziego, chciano mnie wreszcie uczcić podkomorskim urzędem; ale za każdym razem musiałem się wyprosić od tego. Zarzucony sprawami własnymi, ja nie mam nigdy tygodnia, czasem dnia nie mam wolnego; jakizby ze mnie był poseł? jaki sędzia lub podkomorzy? Dziwnie mi serce się rwało do tych tak zacnych usług dla braci, ale trza było sercu nakazać milczenie, bo tego się domagało sumienie. Czułem to, że od sprawy publicznej byłbym zawsze odbiegł do swojej, a kiedy- byrti był przy niej pozostał, tobym był dzieci moje ukrzywdził; cóż mi więc było robić? Nie przyjmować urzędu. O! a jakże to Ciężko ludzkiemu sercu zamykać się gwałtem w ślimaczój skorupie! jakże to jest boleśnie!

Tu miecznik umilkł, oczy opuścił ku ziemi i smutnie głową potrząsnął. A potem mówił dalej, jakoby był w zamyśleniu:

– Denhoff szłe do mnie gońce jeden za drugim, Lubomirski przesyła listy, ba, sam Leszczyński się zgłasza, przypominając dawne afekta i wielkie obiecując fawory. Szlachta się zbiera, dom mój najeżdża, chce się konfederować za Stanisławem i woła: – Jasiu! ty nam będziesz marszałkiem! – a Jasio za drzwi "się ruszyć nie może, bo za tydzień ma termin wypłaty, którą przyrzekł uiścić pod słowem, a na którą jeszcze grosza nie ma w kieszeni; uiściwszy się z tego długu, musi pędzić w Pilźnieńskie, bo mu tam

wszystkie budynki spalono, a ztamtąd znowu musi pędzić w Przemyskie, bo tam stanęły wojska, po wymiatały mu wszystkie szpi- chlerze i role leżą odłogiem. A kiedy z długu się nie uiści, nie odbuduje budynków -i roi nie zasieje, utraci wiarę i kredyt, a ze straconym kredytem* całe swe mienie utraci. I nietylko swoje uroni, ale żonine, dziecięce i obcych ludzi, którzy je u niego schowali, jakby we własnej szkatule! •— Hó! jużem raz się był wydarł z*tej ślimaczój skorupy! Zdjęłem starą misiurkę ze ściany, przy- pasałem szablę do boku i kazałem konie wyprowadzać przed ganek. Myślałem sobie: dłużój takiej podłości już nie wytrzymam, pójdę, niechaj się dzieje co chce. Zabiorą mi fortunę za dług, to niech tam! a pozostanę się z żoną i dziećmi przy niczóm, toż Jeszcze na nich i zapracuję. I już mi się zdało, jakbym był w środku wojny. Ale kiedy przyszło się żegnać, kiedym moję żonę we łzach obaczył, kiedy mnie dzieci z lamentem obiegly i kiedy żona mi rzekła: — Ty jedziesz, mężu, a tu mnie wierzyciele rozszarpia, z domu twego wyrzucą i jeszcze srom twój rozniosą po całym świecie; — nie! nie miałem mocy nad sobą, odpasałem szablę od boku, aby jej nigdy nie przypasać. I więcój jeszcze, — mówił dalej pan Bobrownicki z głębokim żalem, — bo nietylko ja sam nie byłem w stanie zjawić się na arenie publicznoj, ale związany mc- jemi powikłanemi sprawami grosza, nie mogłem nawet nigdzie zdania mojego ogłosić. Z obawy zemsty nad mojemi zadłużonemi włościami, ani mi było dać -jotum za Sasem, ani za naszym Piastem, chociaż mnie dziwnie serce ciągnęło do niego. I byłem jakby bannita na własnej ziemi, jak wyjęty z pod prawa, jak niedołęga, jak bezrozumne stworzenie, bez praw, bez obowiązków, bez pożytku, jak kawałek drzewa, jak kamień! I w takich mękach przeżyłem lat blisko dziesięć. I dzisiaj jeszcze w nich żyję. I Bóg wie, żali się kiedy zakończą!...".

Tu miecznik westchnął, pomilczał chwilę a potem skończył:

— Otóżto takie są dzieje człowieka, który zawczasu zaplącze się w gospodarstwo, w sprawy groszow^Te i w ożenie. Nie mówię ja tego -w tym sensie, abym tych rzeczy całkowicie odradzał, chowaj mnie Boże! boć to wszystko jest dobre, w swoim stanie pocziwe, a nareszcie potrzebne. Ale to chcę powiedzieć, że każda sprawa winna mieć odpowiednią dla siebie porę. Na to wszystko jest dosyć czasu i potóm, a dopóki człek młody, niechże chwytą najpiórwej za to, na co później już czasu nie będzie. Toż i tobie tak radzę. Idź, rozejrzyj się trochę po świecie, potem wnijdi w służbę, posłuż czas jaki zacnie, pilnie, uczciwie, oddaj dług braci, cobyś miał potóm uczynić, jeszcze to czas na to będzie. Tylkoż mi na roli nie siadaj tak młodo, bo zardzewiejesz, ociężejesz, za- płacasz się i nic już potóm z ciebie nie będzie.

Słuchał tój opowieści młody Ożarowski z wielką uwagą i myślał sobie najpićrwój: Mój Boże! w jakżeż to rozmaity sposób są ludzie nieszczęśliwi w .tem życiu! Złe tego świata jakby polip

olbrzymi w tysiąc się ramieni wyrosło i snąć już niema tego człowieka któregoby jednym z tych ramion nie dotykało. A jak ono temi ramionami nurtuje, jak skryte są drogi jego! Któżby kiedy powiedział inaczej, jak że ten miecznik jest najszcześniejszym z ludzi, że ,nie ma chmurki na swoim niebie, że jego życie jest jak to państwo starożytne ogromne, w którym słońce nie miało zachodu, a tymczasem i tutaj lęgnie się robak zjadliwy, i jak jeszcze zjadliwy!...

Byłby tak Jurcio myślał i dalej, ale nie czas było mu myśleć. Mówił więc do miecznika:

– Ojciec mój drogi! dobrą mi radę dajesz i zdrową, a jeszcze do tego i miłą, bo i rzadko co kiedy tak przypadło do mego serca, jako ta mowa. Zabiłoby mnie to na zawsze, gdybym siadł teraz na roli. Już mi więc nic nie zostaje, jak pod chorągiew podjechać. Ale i toby mnie nie cieszyło, bo tak mi się widzi, że i na to czas jeszcze. Zwłaszcza kiedy sobie pomyślę, jak to da- wnemi czasy służywali moi ojcowie, że każdy z nich prawie, ba i mój ojciec nawet, własną wystawiał chorągiew, to już mnie wcale odbiega ochota. Nie dość i wstydu zaciągać się jak lada szlachcic z zagona na półtora konia, bo i trudno mieć więcej, jeszczeż do tego, tak podjechawszy, nie widzę wcale żadnego widoku. Wprawdzie mi tam moja matunia wyrobiła u pana hetmana cokolwieczek protekcji...

–• Eh! zmiłujże się, – przerwał mu miecznik, – tylko mi nic nie wspominaj o tój protekcji. Twoja matka jest najzaciejsza kobieta, kocha ciebie że już lepiój nie można, chciałaby ci drogę uścielić kwiatami; lecz mojem zdaniem, zamało ona zastanawia się nad tem, że są takie drogi tego żywota, których i kwiaty nie zdołają upiększyć. Za jej też radą możebyś zaszedł- daleko, ale' ja sądzę, że tobie nietylko zależy na tój, aby zejść gdzie daleko, ale tój na tem, jaką tam zajdziesz drogą.

– No, jużci pewnie, – rzekł Jerzy, – wolę zejść bitym i otwartym gościńcem bliżej, niżeli zaułkami daleko.

– Otóż to rzecz! – zawołał miecznik, – bo i co to za sztuka zejść daleko, fartuszkową zwłaszcza protekcją, albo i żebranią? Czy tego nie potrafi każdy kto zechce? Ale to tylko niedołęgi, dusze podłe i niewolnicze, tchórzliwe serca a karłowate umysły tej się drogi chwytają. Dochrapawszy się lada czego, myślą oni, że wielkiej dokazali rzeczy. Ba, zapewne że wielkiój, bo gdyby nie wylizana protekcją, niktby o nich i nie śnił; – a tak przecie się jakich chwil kilka poświęca pomiędzy zasłużonymi. Ale co to jest takie świócidło? To blichtr jest tylko, to fałszywa pozłota, którą dość otrzóc o cobądź twardszego, ażeby zlazła i pokazała pod sobą nędzę ich duszy. Wiedzą też oni o tój i wymijają zręcznie takie twarde okazy. A choćby nawet to świócidło nie zlazło, to myślisz, że się świat na nióm nie pozna? A toż to tylko

im samym tak się wydaje, że ludzie, sadzając ich razem z rzetelnie zasłużonymi na jednej ławie, sadzą ich także na równi w swóm sercu. Aleć świat o tóm wie dobrze, chociaż nie powiada im tego w oczy, co osądził u siebie. Wyda on przecie sąd nieodwołalny prędeż czy później, – zapewne'że czasem aż na ich grobie. A im tóż li o to chodzi: bo oni chcą tylko nagród za życia, a co się stanie po śmierci, mniejsza im o tę, bo tóż w żaden żywot po śmierci nie wierzą. Poganie to są prawdziwi, chociaż udają nabożnych, i całe ich życie pogańskie! Dawnemi czasy nie bywało u nas tych ludzi, lecz jak. się z królową Boną zawlekli, tak się i rozmnożyli, że się ich dzisiaj już nierzadko spotyka. Terazże jeszcze z tym królem Niemcem nowy na nich urodzaj. Nowa też plaga-, istna morowa zaraza na ludzkie serca! – A to ci mówię tak wyraźnie dlatego, że jako widzę, twoja matunia, choć najzacniejsza niewiasta, koniecznie cię chce wciągnąć na taką drogę. Przez nią do hetmanowej, przez hetmanową do dziesięciu innych bab rozmaitych, a przez te baby do hetmana, do króla, do kanclerza, do wojewodów i nuż dopiero w te tam facyendy! I za umizgi, za lizaniny, za komplementy wyfacyendują ci pewnie rangę rotmistrza, albo i oberśztera, albo i jakie Starostwo, zwłaszcza jeżeli i ty się będziesz umizgami wywdzięczał, do innych matactw pomagał, szachrował, kręcił, służył jak wyzlę i samym sobą wszystkie wycierał kąty! Ale to pfe! to paskudna jest rola dla zacnego młodzieńca, choćby tóż na jej końcu znalazło się gęneralstwo i jakie krzesło, i co najlepsze starostwa!

– Nie myślę też nigdy brać takiój roli,–rzekł na to Jerzy;– i tak rozumiem, że do tego nie przyjdzie.

– No, ja się tóż tego spodziewam,–kontynuował miecznik,– lecz mówmy dalej. Otóż powiadam, że choćby nie to, to cóżto znowu za concept zaczynać służbę pocziwą, jeśli ma być pocziwą, od protekcji hetmańskiój? A toż to tak byłoby właśnie, jak gdybyś do obywatelskiój komnaty wlaź nie przez drzwi, jeno przez komin. Czyżto ty nie wiósz, kto jest dziś hetman? Ty nie wiósz tegp, co o nim rozumie szlachta, co wszyscy zacni, co naród cały? Ty nie wiesz tego, jakie on w tych czasach wojennych snował paskudne matactwa, jakie układał frymarki? Mój Sodalisie, do takiego pana nikt nie idzie na służbę!

– Otóż to! – rzekł prędko młodzieniec, – to mi zawsze było na myśli, ile razy mi matka moja o tój służbie pisała. Dziwno mi też to było i nie pomału, że moja matka tego nie czuła.

– Hm! – mruknął miecznik, – niemasz tu dziwić się czemu. Lecz kiedy o tóm mówimy, posłuchaj ty mnie, co powiem. Szanuj ty swoją matkę, bo matka; a matka to święta dla syna. Szanuj ją więc, kochaj przez całe życie jak dotąd, słuchaj jej woli we wszystkióm co ciebie samego dotyczy, kiedyby nie można inaczej, zrób z siebie samego, z twojój fortuny, z twojego szczęścia na

wet dla niój ofiarę, – tak czyn, bo tak Bóg każe i* Bóg cię za to nagrodzi, – ale co do sprawy publicznej, zawsze i zawsze uczynić wyjątek i co do tego rządz się tylko twera własnóm sumieniem. Mówię to tobie wyraźnie, bo znam twoją matkę, która jest niewyczerpaną w najznamienitszych cnotach, ale na sprawy publiczne lekko się zapatruję.

Na tę uwagę Jerzy trochę posmutniał, ale miecznik zaczął zaraz nanowo:

Cóż tedy myślisz? Gospodarstwo nie, służba hetmańska, nie, więc co innego. Ale co? powiódz mi twoje zdanie, bo chociaż ja także już myślałem o tobie, wždy nie chciałbym ci preopi- nować.

^– Ej! co tu mówić! – rzekł dosyć smutno młodzieniec, – jużci ja wiem, coby było dla mnie najlepsze i podobno się wcale nie myślę; ale co to z projektu, jak niema środków?

– No, nic nie szkodzi, powiadaj tak, jakbyśmy 'mieli szkatułę złota.

– Otóż ja myślę, – rzekł ośmielony młodzieniec, – że nicby dla mnie lepszego nie było, jak w cudze kraje pojechać, tam się: douczyć i tam posłużyć.

– Otóż to! –zawołał miecznik, – otóż to rzecz! Tak mnie było zrobić, kiedym z wojny powrócił; tak tóż dziś zrobić i tobie. Bo jaka to piękna jest rzecz! Masz zacne imię i relacye nie gorsze, – twoją pilną nauką i pobożnością, a nareszcie i tą szczęśliwą bitwą z Flemingiem, zyskałeś sobie już wcale piękną rekomenda- cyą, -J- kiedybyś" jeszcze do tego w dobrój szkole postronnój nauk dokończył, w pięknem wojsku poatronnóm posłużył i potóm wrócił, – a na co tobie łaski hetmańskioj albo i czyjój? Otóż to moja rada, zabrać się jako najspieszniej i jechać, nie do Niemiec, nie do- Italii, ani do Niderlandów, jeno prosto do Francyi, tam słuchać nauk wojskowych, tam się starać o towarzystwo w chorągwi i służbę. Służąc, nie zaniedbywać nauki, przypatrywać się pilnie rządóm, sprawóm publicznym, sądom, domóm i obyczajóm i ze wszystkiego jako pszczołka miodek wybierać, – służyć zaś wiernie, starać się o zasługi, o odznaczenie, o dobrą przyjaźń i zachowanie, – a kiedy się tego wszystkiego przyzbiera porcyca, dopiero wrócić. He! he! a kiedy się stanie to wszystko i Pan Bóg nie odmówi swej łaski, już ja ci ręczę za to, że żaden hetman cię tak nie umieści, jak Rzeczpospolita. Już ci natenczas żadnej nie trzeba będzie protekcyi, bo i funkcya się znajdzie, i awanse pobiegna, 'i fortuna się zdarzy, i wszystko, czego tylko serce zapragnie. I stanie ciebie Bogu na chwałę j i pociechę. A kiedy w czasie, po długich latach, przyjdzie ci miejsca drugim ustąpić, to nie będziesz schodził ze świata jak dłużnik obstąpiony wierzycielami,, z których każdy zabiera swoje, jeno jako zacny pracownik, który sobie powiada: – Uczyniło się, na co sił stało, a co się winno, to tylko samemu sobie.

Aż się uśmiechnął na to uradowany młodzieniec i rzekł:

– Ej! dobrodzieju kochany! złote to rady są twoje. < Gdyby je słyszał mój ojciec, jakżeby cię błogosławił!

– Hm! – mówił miecznik, uśmiechając się z lekka, czy mówiłeś kiedy co o tym z ojcem? -^J

– Tak. tam, – rzekł Jerzy, – coś się już wspominało i o tym.

– No, – rzecze pan Bobrownicki, – otóż ja tobie powiem, że taka była wola ojcowska. Postanowił ci on mnie twym opiekunem, dał mi władzę zupełną, ale ja przecież nie postępuję z tobą inaczej, tylko jak on sam to wypisał. Nie mogę ci dać jego testamentu przeczytać... bo tam są rzeczy, które ciebie nie tyczą; tak on chciał zresztą, abyś tego pisma nie czytał i jego wolą nie zupełnie się wiązał; ale około tój nauki i służby postronnej stoi tam wypisano wyraźnie.

–" Dobrze mi chciał mój ojciec, – rzekł na to Jerzy, – ale jak tu tę wolę wypełnić?

– No, – rzecze miecznik, – przy Boskiej pomocy jakoś się to wypełni. A czy tó tak wielkich sum na to potrzeba, aby do Francji i pojechać? Potocki ty jesteś, czy Sanguszek książę? Trza ci to dworu, pompy, całej szkatuły złota, jak takim panom? Dobra to, piękna i pożyteczna okazać cudzoziemcom zacność swego narodu, aleć to trza zostawić takim, których Pan Bóg do tego powołał. Potrafiłbyś to i ty, kiedyby byli twoi przodkowie tak zarobili na ciebie jak na nich, i kiedyby była* wola Boska po temu. Lecz kiedy Pan Bóg rozporządził inaczej, to trza się zwęzić do jego świętych wyroków. Więć kiedy nie można z dworem, to i bez dworu, bez żadnej pompy a wedle swego staniku. Ba, i bez sługi, i bez swojój landary, Zydkiem najętym, wozikiem chłopskim, ode wsi do wsi, aż póki się nie dobijesz do kresu. Boć tu i nie idzie o zwierzchnie pompy, jeno o rzecz, – a rzecz przez to będzie, jeno trza chęci, trza pilności i pracy. Lepiój też, widzi mi się, pójść choćby piechotą po naukę i przynieść ją rzeczywiście, nizeli z pompą pojechać, a powrócić z łbem pustym i schorzałemi członkami.

– Ej! Boże, Boże! – mówił na to z westchnieniem młodzieniec, – jużby mi tóż i pracy i pilności i wszelkiego zaprzania nie brakło, żeby jeno można do tego przystąpić. Aleć i to na najlichszą podróż, a tak daleką, trzeba siła piónędzy!

– Wieleż rozumiesz?

– A Bógże wie! Aleć pewnie niemało, bo i w Krakowie kosztowało mnie życie blisko trzysta czerwonych, chociaż Bóg widzi, że jednego tynfa nie wydał, nie obejrzawszy go kilka razy.

– Hm! – rzecze miecznik, – to jakbyś miał tysiąc na tę podróż, toby było i dosyć?

- – Chryste Panie! – rzekł Jurcio, – aż nadto.
- ; No, to ja tobie tysiąc czerwonych jeszcze koniecznie wy- [skrobię.
- Ale gdzież, dobrodzieju? Nie widzę ja, jakby to się stad mo^ło.
- A co tobie do tego?' w tem moja głowa. Już ja wiem kędy szukać pieniędzy, a na taką rzecz warto i dobrze poszukać..

Tu Jerzy patrzył niby z niedowierzaniem, a niby z trwogą na niego, ale on rzekł:

– A ja wiem co ty myślisz. Ty może myślisz, że ja ci dam te pióńiądze z mojej własnej szkatuły. No, jużci pewnie, że gdybym był tę szkatułę tak nie wytrzebił na niepotrzebne mi ziemie, tobym się ani chwili nad tem* nie zastanawiał. Aleć to o tórnema co myśleć. Jakoż nie z« mojej, ale' z twój własnej szkatuły dam ci te tysiąc czerwonych. Już ja tam jakoś z twoich folwarków te pieniądze wykręcę. A kiedy nie, Jto dostanę zkądinąđ. Co tam tobie do tego, dość że dostanę. Nie minie tydzień, tak tuszę w Bogu, a grosz będzie na stole.

– Ale zmiłuj się, dobrodzieju, – rzecze na to młodzieniec, kiedy dług na ojcowską fortunę zaciągniesz, żeby to zasie nie ujęło dochodów matce? Z czegożby żyła? Wolę już ja trochę pocierpieć, wolę i nigdzie nie jechać...

– .Ale dajno pokój, mój Sodalisie. Ażaż już nie pamiętasz, - com ci powiadał, o matce? Toż przecie nie będę inaczej mówił,⁴a inaczej się zachowywał. Dość, krótko mówiąc, pióńiądze będą, a kiedy chcesz ..się frasować, to się frasuj o resztę.

Uradowany nadspodziówanie młodzieniec nie wiedział sam, jak ma dziękować.-- Mówił ni to ni owo, jak to zwykle u młodych w radości. Aż rzecze wreszcie:

– Hej! ale to do tej podróży jeszcze mi jednýj rzeczy potrzeba, a to jakich poczcuiwych listów. Dostanę ja wprawdzie parę listgw od moich kochanych ojców; może i wojewoda mi ni^ odmówi...

S-u Eh! co tam ci po listach! – odparł miecznik, powstając, – ja ci dam taki list, że ci stanie za wszystko. Nie od siebie, ale L od hetmana DenhofFa. DenhofF był teraz na jarosławskim zjeździe, ztamtąd do Warszawy pojechał, ale w tych czasach do Krakowa pojedzie, gdzie się mają załatwiać jeszcze ostatki dyferencyj • z spadkobiercami nieboszczyka Ernesta DenhofFa, wojewody mal- borskiego,. a którego córkę miał Stanisław . za sobą. Byłyć tam o to niemałe spory, bo krewniaczkowie za czasu wojny pozabierali jemu fortuny, ale teraz się mają położyć zgodą i chcą dyfe- rencyą zapłacić, do czego też mój Stanisław prosi mnie na rzecz- nika. Może nawet i sam tu po mnie zajedzie. Czy więc tu, czy

220

w Krakowie, list ci wezmę od niego, a że to list będzie dobry, nióma co i wspominać.

Jeszcze raz tedy dziękował młodzieniec swemu opiekunowi za te pocziwości i łaski, a potem już się rozeszli.

Jak przepowiedział jmc miecznik stężycki, tak się tóż stało. W parę dni potem zajechały w dziedziniec zameczku jakieś wielkie powozy. Jedna oszklona landara w sześć- koni wielkich niemieckich, druga podobna mniejsza, kozacy, rajtary i rozmaita służba na koniach. Z pierwszój landary wysiadł jakiś piękny jegomość, chociaż ubrany z niemiecka, i stanąwszy pod gankiem, zaczął się po podróży wyciągać. A był to Denhoff, "wojewoda połocki, hetman polny litewski, konfederacyi sandomierskiój marszałek, kałuski, kościerzyński, nowomiejski, latowicki i Bóg wie jeszcze nie jaki starosta. Pana tego, a jednego z najczynniej- szych ludzi owego czasu, można już było na jarosławskim zjeździe obejrzyć, ale kto tam go nie widział, to mu się tutaj mógł jeszcze lepiej przypatrzeć. Był to więc człowiek nie wiosennój młodości, ale' jeszcze wcale nie stary. Dość pięknie wyrósł i wejrzenie miał w gruncie rzeczy łagodne, ale czy to wstanie żołnierskim, czy w innych sprawach wymagających rygoru, nawykł był czasem dosyć" surowo spoglądać, do czegoł mu jego wyniosła postawa, nos dosyć duży i wielkie błękitne oczy dosyć ^ dobrze dopomagały. Ubierał się. on najczęściej z niemiecka, nibyto z saska, ale w podróży miał na sobie kurtę aksamitną zieloną powyżój kolan i buty szwedzkie palone, która to moda przybłąkała się była z Karolem^XII nawet i do tych, którzy z nim nie trzymali. . lak w tej kurcie kuso skrójonój, wcięty w pasie jak osa i w tych butach junackich, jeszcze daleko młodziej wyglądał, niż był w samój rzeczy. Młodo tóż, młodo, dobił się on tak znamienitych urzędów.

Jakoż nie można mu tego zaprzeczyć, że się ich dorabiał bardzo pilnie i pracowicie, ale czy także rzetelnie? wielkie to jest pytanie. Rozmaicie też o nim sądzono owego czasu. Nie hukano na niego tak głośno, jak na Sieniawskiego, ale przecież bez quam- quam się nie obeszło. Pięknie zaczął, nióma co mówić, bo od służby rzetelnój i niebezpiecznój, chociaż był jeszcze wtedy młokosem. Kiedy w bitwie strygońskiej ojca utracił, sam się bijąc przy jego boku, głos powszechny usiłował mu tę stratę nagrodzić, zwracając na niego pełną nadziei uwagę. Nie odejmował mu też tój nad innych dystynkcji dość długo, chociaż już podczas elekcja i ci i owi znajdowali do tego powody.' Po wstąpieniu na tron króla Augusta, umiłował on tego pana z całego serca, a podczas nastąpionych zamieszek podniósł za nim konfederacją tak zwaną Sandomierską, którój przez wszystkie czasy przewodził. Nie podobało się to jednemu, ale sporządziło mu za to wielki partes u drugich, co wszakże tylko tóim bardziój się przyczyniło do za- słonienia jego istoty wewnątrznoój. Nie wydała się też ona nigdy zupełnie, bo przebiegły w swych czynach tajemnych, a stanowczy i zręczny w otwartych, – czy to marszałkowa! zkonfederowanym Małopolanom przeciwko Szwedom, czy uznawał abdykacją króla Augusta za ważną, czy ją niszczył wyrokiem lwowskiego zjazdu, czy knuł tajemne intryki z hetmanem wielkim koronnym,' czy znów przeciw niemu, – zawsze umiał swe czyny w takióm świetle wystawić, że mu o nic nie idzie, jak tylko o utrzymanie-e praw, o zachowanie wolnoój elekacji, o powagę i dobrą sławę Rzeczypospolitej. Jeżeli tak było w rzeczy, – jeżeli mu istotnie chodziło tylko o dobro publiczne a nie o królewskie, albo zgoła swe własne, ■ – toby to był wielki człowiek z tego Denhoffa; ale nie było w to wiary publicznój.

Teraz, wyprostowawszy się po kilkogodzinem zgarbieniu w landarze, dobył okularów z kieszeni i przypatrywał się przez nie tym osławionym brzegom Nidy, których piękność jest znana, a które ztąd było widać na dłoni. Po wy siadali z landar i jego towarzysze podróży, oficer od dragonii, sekretarz, pisarz i po- stawali na stronie. Goście ci pewnie czekali, póki gospodarz ku nim nie wyjdzie, ale gospodarza nie było, bo był w polu natenczas. Dowiedziawszy się o tem, czekali może żali gospodyni nie wyjdzie, ale i ta się nie pokazała. Nie mogło się to nawet stać w żadnym razie, bo nie było tu w tym zameczku zbyt wielkiój do pokłonów ochoty; gospodarz za nic miał sobie wszystkie blaski zewnętrzne i cenil przedewszystkióm człowieka, a zgodna z nim jego małżonka szła z Drohojowskich Korczaków, toż to tam Denhoff wcale nie wielka nowina. Tak więc postawszy chwilę, już miał się sam puszczać w komnaty, kiedy przecież nareszcie wyszedł ku niemu kapelan. Ten go na progu powitał i zaraz do pani prowadził. ^v

Miecznikowa czekała gościa w najpiękniejszej komnacie na

lewóm skrzydle, która istotnie była dosyć paradna, bo od samych zwierciadeł i bronzów, a obwieszona złotolitemi zaponami u okien. Nie otwierano tój komnaty tylko podczas wielkiego festu, lub dla uczczenia osobliwego gościa. Zawszeż to gość był nie ladajaki, bo przecież hetman. Witała tóż go miecznikowa na środku sali i z przywoitym respektem; on zaś po przyjacielsku i nawet ścisnął za rękę. Potem pytał o męża, prosił ażeby dzieci przyprowadzono, a kiedy przyszły, z każdým z osobna rozmawiał. Zwrócił się do kapelana i pytał, jako się które z nich uczy? a kiedy się dowiedział że dobrze, ba i sam egzaminował po trosze, zaraz kazał przynosić szkatułę. Powydobywał-że z tej szkatuły najrozmaitszych rupieci. Więc najpierwó puzderko z jakiegoś drogiego drzewa, w którym była garstka klejnotów, a to darował "Kostusi. Potem drugie puzderko z perłami, a to darował Maryni. Dalój dobył trzy zegareczki dla każdego z pacholąt, a spojrzawszy na kapelana, sięgnął jeszcze raz do szkatuły i dobył czwarty dla niego. Juźby tóż żaden kuglarz, co jada jaja, lepiej w to nie potrafił... Aż się huczek zrobił w komnacie, taka ztąd była pociecha. Rzecz tóż miecznikowa do niego:

– Juź tóż pan hetman, tak sypiesz dary wokóło, jak czarnoksiężnik. Dla matki to miła pociecha, ale co ojciec powió na to, który w takich ryzach utrzymuje dzieciaczki?

– Moja pani Zofio!—rzekł DenhofF na to, a Zofia było mie- cznikowej na imię i była mu zdała pokrewna,—nie psujże mi pani tój krOtochwili, ba, nie odbióraj nadziei wcale niezwykłej pociechy. Bo trza pani wiedzieć że ja tam mam jeszcze jeden gracik w szkatule, który także chcę złożyć komuś u nóżek, ale z tóim poczekam na Jasia.

' – Jeszcze coś jest w szkatule! – odpowiedziała miecznikowa z obojętnym uśmiechem,— o! to juź widzę doprawdy jakieś w tóim czarnoksiężtwo.

A tu tymczasem wchodzi i miecznik. Nuź tedy się witać! a witali się prawie jak bracia, i nie "dziw temu, boć to niegdyś nie jako bracia, ale jakby bliźnięta wylecieli z gniazda na pierwszy lot. Razem piórwszą odbyli wojnę, razem piórwsze dzielili przygody, razem ojcowskie grzebali ciało i razem potóm powrócili sió- rotami do demu. Piórwszą wyprawa wojenna, piórwszy afekt przyjaźni, piórwszy ból na tej ziemi, dla każdego tak pięknoj w młodości, wszystko to' jakby zbudzenie ze silu, i długo to się pamięta! Witali się tedy jak gdyby bracia, nie pomnąc na to, jak w obec świata odskoczyli od siebie. Osobliwie serdecznym był Bobrowni- cki. Wyściskawszy hetmana, odstąpił o krok jeden od niego, patrzył nań z twarzą wesołą i mówił:

– Ach! a jak ty wyglądasz, mój Stasiu! Cobyś się miał starzeć lub zgoła marszczyć, to ty jaśniejesz co dnia, jakbyś się cofał w nasze czasy wiedeńskie. Dwa lata temu kiedym cię widział, a juź co najmniej toś o dwa lata odmłodził.

– Żartujże sobie zdrów, mój przyjacielu! – powiedział hetman, – już ci się na brak zdrowia nie skarżę, ale żebyś się wcale nie starzał... w twoich to oczach tylko, mój Jasiu!

Spojrzy tymczasem miecznik pomiędzy dzieci: a co to? – Tu dziówczątka wsparły się na stoliku i rozkładają przed sobą te rozmaite błyskotki, – tam znowu obadwa starsze chłopięta porównują ze sobą swe podarunki, a mały berbecz stoi przy nich na stronie, przyłożył swój zegareczek do ucha, słucha ażali idzie i woła na nich: – Cicho no, cicho! – bo i dosłyszć nie może. Gwarzą chłopcy rozgłośnie i nawet kapelan im nic nie mówi, boć sam stanął przy oknie, jakby drewniany święty w framudze, i patrząc na swój zegarek, czegoś się strasznie zadziwił.

– Ej! panie Stanisławie, – rzecze więc miecznik, – 'jużeś to ty, jak widzę, porozrzucił tak hojnie te piękne rzeczy.

– Proszę cię, – mówił hetman, nie miejże mi tego za złe, że im dałem te zabawki bez twojej wiedzy, ale mogę tobie zaręczyć, że zasłużyły, – bośmy tu wyprawili ostry przedtóm egzamin.

Jakoż nie dał mu już nic na to powiedzieć, tylko go wziął cokolwiek na stronę i zaczął mu coś prawić półgłosem. Słuchając go, miecznik niby trochę posmutniał, a wysłuchawszy, wziął go za rękę i rzekł:

– Dziękuję ci bardzo, mój Stasiu, za ten dowód pamięci, ale jeżeliś mi prawdziwie miłośnik, nie rób mi tego. Na co pomiędzy, czyste afekty mieszać mamonę? A czy to my nie będziemy o sobie pamiętać i bez tego?

Ale mu Denhoff nie pofolgował. Jakoż naciskawszy go jeszcze niemało, dobył zaraz dziwnie piękną szkatułkę z kralu i otworzywszy ją, a pokazawszy w niej lśniących kamieni i złota po same brzegi, przystąpił z tómi do jójmości. Dając zaś ten da- runek, perorował krótko ale ozdobnie, prosząc ją grzecznie aby tę marność wdzięcznie raczyła przyjąć i jako Denhoffowską pamiątkę zachować w domu. Powiadał przy tómi, że to całkowite ubranie z brylancików i złota było niegdyś własnością nieboszczki jego żony, że po jej śmierci nie ma tego gdzie podziąć wdowiec bezdziejny, więc żeby to kiedy się nie dostało w jakie niegodne ręce, bardzo ją prosi, aby przyjęła do siebie. Mówił przytóm i inne rzeczy, wychwalając to i owo w tym domu, i tak mu to pięknie z ust wypłynęło, że miecznikowa, choć była zachmurzona z początku, rozweseliła się w końcu i bardzo wdzięcznie tę pamiątkę przyjęła. Rozmawiano potóm wesoło, naciskając poufale na wojewodę, aby się żenił powtórnie i wynajdując mu rozmaite swadźby po na j piór wszy ch rodzinach, co go tóż bardzo bawiło. Jednakże wkrótce miecznikowa, zabrawszy dzieci, wyszła z niemi do tamtych gości pomniejszych, którzy się z Ożarowskim na tamtój stronie bawili.

Zostawszy sami, obadwa przyjaciele młodości rozmawiali już z sobą swobodnie, wypytyując się wzajem o rzeczy najbliższe.

Trwało to długą chwilę, prawie za cały różaniec, już sobie wiele wypowiedzieli, – aż rzecze hetman:

– Aleś to ty teraz, mój Jasiu, bogaty, może i bogatszy ode- mnie.

Westchnął-że miecznik na to z głębokiój piersi i rzekł:

– Ot! także gadasz! – ale zaraz dodał weselój: – jużci mam tego ziemska niemało; kiedyby go zbić w jedną kupę, cośby to było, ałeć to ani porównania do ciebie. Nie mam ja ani trzeciej części tego co się zostało po twoim ojcu, a lubo coś z tego odeszło z twoją siostrą w dom Czartoryskich, toż znów i weszło przez twoją żonę z Deiihoffów; do tegoż jeszcze twoje cztery starostwa!– Ale kiedy już o tóm mówimy, powiódzże mi nareszcie, jakże tam z tą dyferencją o posag? czym ci jeszcze do tego potrzebny? czy może już rzecz załatwiona?

– Ale gdzież tam! – rzekł Denhoff, – toż ja tu po ciebie przyjeżdżam.

– Więc mnie zabierzesz z sobą?

– Nie, ta niekoniecznie, bo termin zjazdu za dwa tygodnie. Więc tylko cię proszę, abyś był łaskaw na jaki czas mały przed św. Janem do Krakowa przyjechać, a potem już zasiądziem do konferencyi. Nie będzież ci to nie na rękę?

– Przyjacielska usługa nie może być nigdy nie na rękę. Postawię się na oznaczony termin jak trzeba.

– Poczciwyś jest, mój Jasiu, jak i nie znam drugiego. Ale przecież ja się obawiam, żeby ci ta poczciwość w tym razie nie przyniosła jakiej znaczącej szkody. Bo to trzeba ci wiedzić, że będziesz miał z tóm niemało kłopotu. Rozhovorów, czytania, aktów, powoływania świadków będzie do końca, a kto to wió jeszcze, czy będzie można na pisanych regestrach poprzestać i czy nie przyjdzie do lustracyi folwarków? A tu jak na .to'jeszcze ja nie mam czasu; oddam ci sprawę i muszę jechać. Któż to wió tedy, jaką to czasu mitręgę spowoduje dla ciebie, ba i wydatki pociągnię?

– Ha! to już trudno, – rzekł miecznik, – jak tego. sprawa będzie wymagać, tak się trza zastosować.

– Tak, mówił Denhoff, ale przecież to będzie z twojej strony ofiara.

– Ofiara mała, a za to przyjemność wielka.

– Ale bo to ofiara ofierze nierówna, a ztąd i przyjemność rozmaita. Kiedy się łba za przyjaciela nastawi, to mniejsza o to: wyjdzie się cało, nióma co mówić, przyjemność wielka; a oberwie się guza, to się z czasem wygoi. Ale tracić czas drogi, a jeszcze do tego pieniądze, to już rzecz inna. Jak więc tamto nie może i nie powinno być nagrodzonem, tak znowu to...

– Stasiu mój drogi, – przerwał mu miecznik, – zróbże dla mnie tę łaskę i nie mów o tóm. Żeby nie wiedzić wiele na tę

tam sprawę stracił pieniędzy i czasu, to już to będzie najmilszą dla mnie nagrodą.

Denhoff umilkł na chwilę, a potem rzekł niby smutno:

– Niechże ci choć to powiem, mój Jasiu, żeś ty przez całe życie dziwnie na mnie łaskaw. Żebyś mnie tóż choć raz dał sposobność zrobienia czegoś dla ciebie! A tak gorąco tego pragnie moja przyjaźń dla ciebie! i tyle jest, chwała Bogu, możliwości! W pierwszych latach mój służby już ci zapewne że niewielebym był mógł dla ciebie uczynić. Ale od czasu elekcji, od czasu zwłaszcza, kiedy mnie komisarzem wysłano do tój tam sprawy zatorskiej, przez którą sobie zyskałem zaufanie królewskie, jużbym był mógł sypać na ciebie co rok co nowego. Jakoż gdybyś był los twój moim ręką powierzył, ręczę ci za to, że jużbyś dawno był kasztelanem, jużby tóż było i niejedno starostwo. Aleś ty się jakoś dziwnie zarył w te wioski, ani się temu nadziwić nie mogę. Człowiek z taką głową wyborną, z taką biegłością w prawie, w cudzoziemskich językach, w dziejach narodu, w sprawach obywatelskich i jeszcze do tego w administracji! A tożto dziś przetrząś cały senat i wszystkie urzędy nadworne, a nie wiem ażali kilku tam znajdziesz, którzyby ci wyrównywali. Ej! ej! mój Jasiu! gdzie- byś ty się był oparł, gdybyś był tylko raz nogę wystawił poza granicę twych wiosek!

A miecznik na to nie bez pewnej niechęci:

– Ej! gdziebym się tam był oparł! Już ci zapewne, służąc sprawom publicznym, mógłbym być tu i owdzie przynieść jakiś pożytek, ale żebym dla siebie był nic nie zrobił, to pewna.

– A to dlaczego? Wszakże to u nas idzie jedno za drugim. V

– Ale u mnieby było nie poszło.

Spojrzał Denhoff na niego i rzekł: '

– Hm! już ja wiem co ty myślisz. Ty myślisz sobie, że choćbyś był się podał służbie publicznej, to byłbyś stanął nie po tój stronie, po której, jak się to dziś pokazało, było coś do zyskania dla siebie. Byłbyś trzymał z Szwedami?

– Z Szwedami nie, ale i nie z Sasami.

– A toż nie było drogi pośredniej.

– Nie było, prawda, dlatego tóż został w domu.

– A czyż ty sądzisz, – zapytał Denhoff, – że w tych rozruchach mogła być taka droga pośrednia?

– Mnie się zdaje że mogła, – powiedział miecznik, – boć ją już za pierwszego najazdu Szwedów wskazano. Wskazał ją Czarniecki, Rewera i inni, ale dzisiaj nie było ktoby poszedł w ich ślady.

– Przepraszam ciebie, – rzekł hetman, – położenie dzisiejsze było odmienne. Mieliśmy, tylko jednego najeźdźcę na karku, przeciwko któremu stanął król prawowity. Aż to jest godziwa

opuszczać króla a stawać przy najezdniku i tych, którzy się z nim skojarzyli?

– W sprawach politycznych,—odpowiedział mu miecznik,— rozmaity jest czasem concursus circumstantiarum. Są ci pewne zasady, które powinny niby stać niewzruszone, ale przecież zająć mogą okoliczności, którym powinna ustąpić zasada. I zasada ta zresztą, jak u nas, jest wyraźnie zawarowaną, bo opiera się przecie na Padach Cowuentach. Prawowity jest król, niema co mówić, trzeba zawsze stać przy nim, – ale jak ten król złamie Pacta Con- venta, to zaprzestał być królem. •

– Nie lubisz Sasów? – zapytał hetman z uśmiechem.

– Rzeczywiście ich nie lubię, – odpowiedział miecznik równie z uśmiechem, – a osobiwie już teraz.

– Za cóżto, mój kochany?

– Za co? – zapytał miecznik, – czy nie objadają wyniszczzonego kraju jako szarańcza? nie rozbijają komór? nie zabierają ostatnich dobytów ubogiemu ludowi? Jeszczeż do tego i mordy rozsiowują po kraju. A to już wolę, żeby mną rządził chan krymski albo Basza turecki, bo -i z tymby mi gorzej nie było. A ten król chrześcijański siedzi sobie na tronie jakby w haremie, patrzy na te gwałty przez 'okno i nic. – I ministrowie jego także patrzą się na to i także nic. Ej! mój hetmanie, wąż to rządy wasze i żeby to źle z tómi kiedy nie było!

Denhoff słuchał tój mowy, siedząc w krześle głębokióm i igrał sobie z okularami. Ale twarz mu się zmieniła i przybladł trochę. Zebrał się jednak i mówił niby dosyć spokojnie:

– Otóżto widzisz, mój Jasiu, do czego i najmędrszy człowiek zaprowadzić się może, kiedy się na wsi zagrzebie. Nie wyglądnie poza swój zagon, i zagonowy tóż z niego polityk. Ale przecież takiego widzenia rzeczy nie spodziewałbym się po tobie. Jaktó? to. tam gdzie się waży długowiekowy, a może i wieczny los państwa, gdzie idzie o zachowanie kardynalnej zasady status, – to tam ma sprawę tamować jakaś fraszka podrzędna?! Król przyprowadził do kraju o kilkanaście tysięcy żołnierzy więcej, niżeli mu pozwoliły Pacta Convenła, żołnierz ten tu i owd«ie wytłucze chłom kilka garnków lub misek, zarznie arendarzowi jałówkę, albo i poturbuje, napastnika szlachcica, – i to już ma zmieniać całą wewnętrzną politykę państwa?! – Ej! mój Jasiu kochany, dziwneż to zdanie usłyszałem od ciebie. Anibym się spodziewał tój szla- chetczyzny po tobie. A szlachetczyzna to jest takie zapatrywanie się na sprawę publiczną. Zawsze tak widzi, zawsze tak sobie poczyrfa szlachta. Kiedy im przyjdzie fantazyja, wstanie ich naraz sto tysięcy, porzucą' domy, żony i dzieci, i polecą choćby na koniec świata: tysiące fortun przez to się zniszczą, tysiące ludzi wyginie, tysiące sierot zostanie, i to wszystko jest nic. Lecz kiedy król prawowity zawoła tylko po groszu z łanu, kiedy rozkwateruje

swe wojska pomiędzy wioski szlacheckie, lub kiedy przy tórn, uchowaj Boże! któremu szlachcicowi tylko włos z głowy upadnie: Chryste Panie! co to za hałas, co za wrzawa, co za niespokój po całym kraju! Krzywdy, uciski, egzorbitancye, ledwie nie zdrada! Nuż wtedy jeździć po dworach, nuż fomentować, nuż burzyć krew najzimniejszą, starce, niewiasty, dziecię Nuż się wiązać w konfe- deracye i bić się! Bo u nas tak. Miałyby li jeden dworek być przeciążony jakim przypadkowym poborem, jeden spichrzy k zabrany, albo też szlachcic jaki dotknięty: to niechaj raczej na długie lata się cały spokój publiczny zakłóci, niech krew popłynie strugami, niech się cała machina status roztraga, „wolelibyśmy mieć Solimana na tronie!” niżeli tego prawowitego króla, który... który co? – który, mówiąc poprostu, występuje extra orbitam legum, gdy musi, ale* nie zakuwa szlachty w te dyby, w jakie już ją zakuwają gdzieindziej. Otóż to jest ta wasza polityka szlachecka. Siedząc na waszych wioskach, zapatrujecie się na sprawę publiczną przez okna waszego dworu i widzicie tylko te szczegółowe ślady, które zostawiła po sobie. Blizcy dziennych wydarzeń, widzicie dobrze wszystkie drobnostki, ale właśnie dla tych drobnostek nie pojmujecie całości. Nie gniewajże się, mój Jasiu, że ci to mówię, boć i nie stosuję tego do ciebie; ale musiałem to wypowiedzieć, kiedy się zdarzyła sposobność, bo od niejakiego czasu bardzo mi to ciąży na sercu.

Miecznik siedział nieporuszony w miejscu i słuchał tego wszystkiego z natężoną uwagą, – teraz wszakże przysunął się z krzesłem do gościa, zabrał głos i odpowiedział w ten sens:

– Ja się na ciebie wcale za to nie gniówam, i owszem, cieszy mnie to, żeś mi powiedział prosto co myślisz. Niepotrzebnie się nawet warujesz, że się to nie stosuje do mnie. Owszem! to się całkiem stosuje do mnie, a odpowiedzialność za ,tę politykę, którą z swój łaski zagonową nazywasz, całkiem biorę na siebie. A czemu nie? Jam jest szlachcic z zagona, ja się z mojego dworku zapatruję na sprawę publiczną, ja się nadzwyczaj pilnie przyglądam drobnostkom. Ale pomimo to, wcale ci przeczę, żebym przez gmach drobnostek nie mógł objąć całości. I żem ją objął, to pewna. I tyś ją objął, to także pewna. Tyś do swego pojęcia przyszedł odrazu z góry, jam się do niego wdrapał z dołu, – tyś przyskoczył do niego bez względu na fakta, ja tylko po samych faktach, – obadwaśmy coś uchwycili; ale jeszcze tu wielkie zachodzi pytanie, który z nas chwycił prawdę rzetelną, a który zmorę własnoj fantazyi? Jakoż żebyś nie mówił, że mnie zanadto zajmują wydarzenia codzienne, nie będę ci już wspominał o tem, że ten wasz król prawowity wbrew Pactom Conventom trzyma dziś w kraju i swoich i sprzymierzonych wojsk kilkadziesiąt tysięcy, które karmi chlebem zalany łzami ludzi umierających z głodu, –' nie będę ci mówił o tem, że te wojska nie wybiórają po groszu z łanu i nie zarzynają jałówek, ale poprostu drapieją jak zbójcy,

komory czyszczą, obory trzebią, rozbijają szkatuły, – zamilczę zresztą nawet i o tem, że zabijają ludzi, jak tu niedawno Ożarowskiego, najzacniejszego obywatela, w moich oczach zabili, – cóż się nad tórn rozWodzić? Porzucmy je więc, aby już nigdy do nich nie wrócić. Ale pytam się ciebie, mój Stasiu, na co to król trzyma jeszcze dzisiaj te wojska? A wszakże kardynalne zasady status już są uratowane: prawowity król włożył nanowo koronę, prawo wolnój elekcyi jest utrzymane de facto, nieprzyjaciel pobity, król nielegalny wyrzucony z obrębu kraju, spokój powszechny za drzwiami: na cóżto król jeszcze dzisiaj utrzymuje te wojska?—Nie myślże, mój Stasiu kochany, żebyśmy przez drobnostki nie mogli dojrzeć całości. I nie myśl wcale, żeby nam o drobnostki chodziło. Nam chodzi o rzecz kardynalną, i wiemy dobrze o którą. I wiedzieliśmy o niój już dawno, nawet natenczas, kiedyście wy się jój nie domyślali, wy, którzy na sprawę publiczną patrzycie z góry. A czyż my to nie wiedzieli jakie to zamiary względem tej roz- hukanój szlachty knuły się po zakamarkach królewskich? nie wiemy może, że się i dziś jeszcze śni o tórn naszym panu?

– A! za to ci ręczę, – zawołał Denhoff, że to nieprawda.

– Daj to Panie Boże, żeby to była nieprawda. Aleć ja ci to mówię w imieniu wszystkich tych zagonowych polityków, żeby wam się o tem nie śniło. Bo jak sam mówisz, tych polityków wstanie w mrugnieniu oka jakie sto tysięcy, domy porzucą, fortun narażą i siórotę zostawią, – ale się za łeb wziąć wam nie dadzą, choćbyście jeszcze drugie tyle naprowadzili Sasów! Krew strumieniami popłynie, wszystkie wsie zmienią się w zgliszcza, kamień na kamieniu nie pozostanie. Biada wam, mówię: woda już wre w tym naszym kotle^ - odsuńcież go zawczasu od ognia, aby nie wykypiała przez brzegi!

A. „

Bardzo to pięknie wyglądał miecznik, kiedy to mówił, bo widać było, że mówił z serca. Ale hetman słucał obojętnie tych rzeczy, a nareszcie wzruszył ramionami i rzekł:

– Mówisz tak do mnie, jak gdybym nie wiedział, że w danym razie i to być może; albo jak gdybym przed wszystkióm in- nórn i ja nie był szlachcicem i także nie dbał o wolność. Ale teraz ta dbałość nie jest na swoim miejscu. Wszystko co się dziś dzieje, dziać się musi koniecznie. Król w swych postępkach nie jest może w ścisłych granicach spisanych Pactów, ale do tych postępków jest przymuszony koniecznością pozycyi. Trzyma wojsk więcej, bo się bez nich # obejść 'nie może. Kraj nie jest jeszcze uspokojony zupełnie! Świadkiem Grudziński, Śmigielski i inni, wojujący bez przerwy. Gdzież przeciw nim bezpieczeństwo? czy w szlachcie? czy może w samym hetmanie, który dziś myśli to, jutro owo, jak mu fantazyja przyniesie? Wojska saskie stać tu muszą do czasu. Każdy to widzi, kromia tych, którzy nie chcą. Toż i każdego jest obowiązkiem rzecz tę wyjaśniać. Nie podnosić drobnych wydarzeń, nie rozsiówać wieści o rabunkach i mordach,

które po takiej wojnie domowej zdarzać się muszą, ale gładzić, łagodzić, spokoić. Bo zresztą i co to są za rabunki i mordy, które idą na rachunek drapieżstwa Sasów? Wspomniałeś o Ożarowskim. Wiem o tój sprawie dokładnie, bom ją badał uńiysłnie. I cóż to było? Przyszli Sasi do jego wioski, zażądali furazów i mieli, na to taryfę od komisoryatu. Furazów im odmówiono, przyszli do dworu, a we dworze ich przyjęto kulami. Mieliz stać jak słupy drewniane i dać się wystrzelać szlachcicom?

– Ale tak nie było, mój Stasiu, – rzekł na to miecznik, – boć oni sami na dwór stolnika napadli.

– Ale tak było z pewnością, – rzekł Denhoff z naciskiem, – oficerowie, którzy tam byli, zeznali to pod parolem. A potóm na co? Wszakżeż tam wzięto szlachcica, zwie się Domaradzki podobno, który to sam zeznał na śledztwie. Nie byłoż tu szyi uciąć takiemu napastnikowi? Ale zaglądano tę sprawę z królewskiego rozkazu i.

wypuszczono szlachcica wolno; żeby jeno pozostali Ożarowskiego krewni mieli ten rozum i nie wywiedli swoich lamentów przed króla, bo w takim razie nie ręczę

– Za cóż nie ręczysz?

– Za głowę Domaradzkiego, co mi i tak dziwno, że król przez swoją łagodność przepuścił, mając tak dobrą porę do dania szlachcie exemplum. Wszystkoby tu przemawiało za królem.

Miecznik na to pokiwał głową. Ponieważ mu jednak o Ożarowskich chodziło, rzekł zaraz:

– Ze się nikt o tę śmierć upominać nie będzie, za to ci mogę zaręczyć. Niemasz w tym rodzaju takiego, któryby pragnął nagrody za krew ojcowską. W takich wypadkach wymierzenie sprawiedliwości pozostawia się Bogu. Po stolniku zresztą został się tylko syn jeden, a ten, chociażby chciał, tego nie zrobi, bo ja nie dopuszczę, mając go zwłaszcza w mym domu.

– Młody Ożarowski? – rzekł na to hetman, – a czy nie ten to będzie, który się temi czasy bił z Flemingiem w Krakowie?

– Ten sam.

– Sodalis Marianus! – powiedział hetman z uśmiechem, – dziwnie krew ciepła w tym kawalerze! Słyszałem o nim. Chwalono mi go nawet, osobliwie kobiety. Nie przeczę tóż temu, że dobra bitwa bywa zawsze z pożytkiem, ale w tój bitwie wielkiego sensu nie widzę, bo co za sens doprowadzać do bitwy z tak znacznym oficerem królewskim i to jeszcze natenczas, kiedy król już na nowo ufortyfikowany na tronie i dierży wszystko w -swym ręku?

– Rozmaite są rzeczy widzenia, – rzekł na to miecznik, -r- ale ja mu tój bitwy nie ganię, owszem nawet, bardzom mu ją pochwalił, zwłaszcza, że jest to młodzienc godzien pochwały z każdego względu.

– I jabym mu i pochwalił, – powiedział hetman, – lecz nie

w tym razie i nie takiemu chłopcu, który potrzebuje promocji i mógłby ją mieć, gdyby ją umiał pozyskać. Czy jest on tutaj?

– Jest, – rzecze miecznik w najlepszej myśli, – możesz go widzieć, i nawet bardzo dobrzeby było, gdybyś go poznał i zachował w pamięci.

– To dobrze, – rzekł Denhoff, – to go obaczę.

Na to miecznik powstał natychmiast i wyszedłszy do drugićj izby, zawołał Ożarowskiego. Bawiący się tam z gośćmi młodzieniec już sobie myślał o tem, że będzie dziś przedstawiony hetmanowi i cieszył się tem niezmiernie; był on bowiem * więcej jak pewny, że w tych rozmaitych okolicznościach dzisiejszych, które wszystkie za nim mówiły, będzie od tego tak bardzo natenczas możnego męża wdzięcznie przyjęty i że mu to kiedyś może posłużyć w przyszłości. Jakoż przyszedł w mrugnięciu oka.

Lecz kiedy wszedł, a Denhoff się obrócił ku niemu, 'zaraz już było widać, że coś tu będzie innego. W tej chwili bowiem Denhoff zmienił swą postać nie do poznania, – już to nie był ów gnący się wedle potrzeby kochanego Jasia przyjaciel, już to był jakiś zwierzchnik surowy, już to był hetman.

Nie zwracający na to uwagi, miecznik rzekł, wskazując na Jurcia:

– Imć Ożarowski.

Jurcio się kłaniał, lecz Denhoff ani głową jemu nie kiwnął, tylko zapytał:

– To waść idziesz z Rawiczów, syn krakowskiego stolnika?

– Tak, jw. panie, – odpowiedział Jerzy, dziwnie jakoś się mieniąc pod surowym wzrokiem hetmana, – ś. p. mój ojciec był stolnikiem krakowskim.

– Nie znałem ojca wacpana, – rzekł zaraz hetman, – który wywołał w swym własnym domu tak krwawe zajście z królewskimi wojskami, ale podobno znam matkę, którą często widuję przy pani hetmanowój koronnej. Wszakże ty matka?

– Tak, jw. panie, to moja matka.

– No i czemuż to wacpan w swgich postępkach nie zasięgasz rady swej matki? Jestem pewny, że wtedy inaczejby wypadały. Potrzebnaż to była wacpanu ta nedorzeczna bitwa z panem Flemingiem? Wacpan się urodziłeś w zacnej rodzinie, przodkowie twoi usiłowali zawsze coś znaczyć, mieli tóż zawsze piękne urzędy i dostateczne fortuny. Waść nieszczęśliwym przypadkiem zostałeś się bez fortuny, ojciec twe imię na niełaskę królewską przekazał, wacpan sam ledwie ze szkół wyszedłszy, naraziłeś się twemu panu, i do czegoż to doprowadzi?

Słyszac to, Ożarowski prawie skostniał na miejscu. Wychuchany od dziecka przez obojga rodziców, pieszczony prawie przez swych nauczycieli, ukochany i* nieledwie na rękach noszony przez najznakomitsze osoby, które go znały, jak długo żył, jeszcze takiej przemowy nie słyszał. Ani śnił nawet, żeby mu się coś

takiego mogło wydarzyć. Krew mu się ścięła w żyłach i nie był w stanie ani słowa powiedzieć.

– No i cóż wacpan teraz myślisz ze sobą? Począwszy życie od takiego rycerstwa, nie chce ci się pewnie na zagonie zasiadać? Cóż tedy poczniesz?

Uderzony odrazu we wszystkie najdrażliwsze strony, młodzieniec ledwie już słyszał co do niego mowiono. Jakoż rzekł, oczy opuszczając ku ziemi:

– Staram się o to, ażebym dla nauczania się sztuki wojennój mógł wyjechać do Francji.

– Do Francji? – rzekł Denhoff prawie szyderczo i obróciwszy się do miecznika, tak mówił: – Otóżto masz, mój Jasiu, tę naszą szlachtę! Który z nich siedzi na jednej wiosce, chociaż jest otoczony szkołami dokoła, nic się nie uczy; obywatel cum voce ledwie się umi podpisać. Bo i na co mu więcej? Jego ojciec i dziad nie umiał wycóż, a pradziad ani nawet i tego, a przecież na sejmikach głosował, konfederował się przeciw królowi i bił się! Ale niechże z nich któren ma kilka wiosek, niech tam jego pradziadek był tylko kasztelanem drązkowym, niech tam się kiedy w dom zabląkała jaka Potocka, Tęczyńska lub Ossolińska, to choćby te wioski były zadłużone po uszy, już tu Szkół nióma dla niego, już mu trza jechać do Francji. Trza mu tam jechać, bo tam jeździli Potoccy, Tęczyńscy i Ossolińscy i pobrali potem buławy i krzesła, a toć i on jest do tego. Ale wraca potem taki szlachetka, i choć się pobił trochę po Francji i Niemczech, buławy przecież nie weźmie. A co to potem jest w wojsku! Pierwszy malkontent, pierwszy do związków. Mam ja takich kilku paniczów w swoich chorągwiach i wiem co to znaczy.

A tu się zwrócił zaraz do Ożarowskiego i tak mówił:

– Wacpan, panie Ożarowski, kiedy myślisz rzetelnie i chcesz się na co przydać, wybij sobie z głowy te twoje podróże. Zaczęłeś już z szablą wojować* wstąpże zaraz do wojska. Ażeby zaś była pewna nadzieja promoćci, wstąp do półku królewskiej dragonii. Tym sposobem przebłagasz króla za niedorzeczny wybryk, który ci się wydarzył, a kiedy się będziesz aplikował jak trzeba, znajdzie się protekcya.

Tym ostatnim projektem już hetman dobił drażliwego młodzieńca. Spłonął cały jak w ogniu, oczy skrami sypnęły, zdało się jakby myślał: – Hej! żebyś ty był nie hetmanem! nie prawą ręką królewską! – Ale przecież potrafił się zgwałcić. Zacisnął zęby i zmilczał.

– Cóż? – spytał Denhoff, – nie podoba się waści ten projekt?

– Jw. panie! ważne rzeczy. Muszę się nad tem namyślić, – odpowiedział Ożarowski powolnie i już się kłaniał i chciał odchodzić. Ale tymczasem hetman, zdaje się, jakby miał całe co innego na myśli. Mimo wyraźnój surowości w obejściu, zdawało się, jakby się przecież w głębi duszy uśmiechał, jakoż rzekł zaraz

– A cóżto? już odchodzisz? więc taki koniecznie do Francyi?
– Koniecznie, jw. panie, – odpowiedział Ożarowski z zacięciem, – a jeżeliby małego szlachetkę o kilku wioskach na pod- wodę nie stało, to pieszo pójdzie ,i dojdzie tam gdzie zamierzył.

To rzekłszy, obrócił się zaraz i wyszedł prędko z komnaty. Wyszedł i szedł jak pijany. Każda żyłka w nim drżała, wszystka krew w nim kipiała, jak w kotle. Jeszcze też nigdy na życiu nie czuł w sobie takiego wrzącego gniewu. Jeszcze nigdy przeciw nikomu nie uczył takiej nienawiści serdecznej, jak teraz przeciw temu dumnemu pankowi, który jednym zamachem we wszystkie najśłabsze- strony go zranił. I jego cześć świętobliwą dla ojca, i jego bitwę zaszczytną, i jego najśłodsze nadzieje na przyszłość, wszystko to ten nielitościwy szyderca sponiewiórał, splugawił, podeptał. Rozraniony do głębi serca młodzieniec nie wiedział sam, co się z nim działo. Nie szedł tóż już do gości, tylko się schował w najodleglejszy kąt domu, aby się wcale już nie pokazać, dopóki ten nienawistny gość będzie tu bawił.

Tymczasem tutaj gospodarz domu uczył także głęboko tę krzywdę, byłby się nawet żwawo ujmował za tem pocziwy miecznik i miał to ciągle na myśli, ale kiedy na końcu taki zwrot wzięła ta osobliwa rcfcmoWa, uspokoił się o to i nawet w duszy się uradował. Cóżkolwiek bądź bowiem, zawsze jmc hetman polny, litewski został przez młokosa pobity. Tak to rozumiał miecznik. Czy także tak i Denhoff, trudno było odgadnąć. Jednakże w każdym razie musiał coś ucuć, bo umilkł na chwilę i nic nie mówił. Patrzył tóż miecznik na niego ciekawie i czekał aż się odezwie, lecz kiedy to się nie stało, zapytał:

– Cóż, panie Stanisławie, jakże się podoba młodzieniec?
– Fi! – rzecze Denhoff, –'duma mospanie za kata!
– Może nie całkiem na miejscu, – powiedział miecznik, – lecz jestem zdania, że nie można się za to gniewać na niego.

. -^Gniówać? powtórzył hetman przeciągle, – gniewać nie, bo i na kogóż tutaj się gniewać? ale nie'widzę wcale, za co się było obrażać.

– A! tO mi daruj, – pochwyił miecznik,* – obrazieś go ze wszystkich stron jednocześnie. Opuszczonemu sierocie zlekceważyieś ojca, piękną waleczność poczytaieś za głupstwo, najgorętszą chęć jego nauczzenia się czegoś obrzuciieś szyderstwem. A toż i kamieńby się ruszył w tym razie.

– Ale proszę ciebie, kiedyż bo ja żadnój obrazy nie miałem w myśli. Chciałem mu tylko dać ad intende, ażeby chłopiec zacnego domu, którego los jednak zawisł tylko od niego samego, był oględnym w swoich postępkach. A zresztą miałem nawet jaknajlepsze względem niego zamiary. Nie utłumić, lecz owszem chciałem go podnieść. Namawiałem go do dragonii, albowiem wiódz już o tóm, znalazłaby się tam już gotowa dla niego protek-

cya. Jeżeli chcesz w końcu, to i to jeszcze ci powiem, że jest to życzeniem króla, aby się temu chłopcu tędy owędy pomogło.....

– Hm! – mówił miecznik, – toż to już wcale dziwnych rzeczy się dowiaduję od ciebie. Aleć to mi żal jeszcze teraz tem większy, żeś się przedtem mnie nie wypytał o niego, bo byłoby się stało wcale inaczej. Lubo to teraz już późno, jednak i teraz jeszcze ci powiem, że to jest chłopiec znakomitych przymiotów. Sierota prawie od urodzenia, bo ojciec ciągle był chory, a matka gościem w swym domu, uczyło to się tak pilnie, z takim oddaniem się swym obowiązkom, że go się jezuita nie mogli odchwalić. A przytóm skromny, łagodny, pobożny nad podziwienie. Dość ci powiedzieć, że sam, jak był w szkołach krakowskich, bez żadnych protegujących go krewnych, bez żadnej innej pomocy, chłopięciem jeszcze, zyskał sobie zachowanie i miłość w najpiękniej domach. On u księżnój wojewodziny krakowskiej, u naszego wojewody sandomierskiego, toż i u nich był jak syn prawie rodzony. Trudnoż mu także zaprzeczyć i wrodzonych kwalifikacyj. Ja ci powiadam rzetelnie, że nie potrafię ci wskazać drugiego tak zdolnego młodzieńca, i daj to Boże, żeby mi się tak udało chociaż jeden z mych chłopców. Jeżeli toż ma zamiary wyjechać do Francyi, to już jest najrozumniejsze, co może zrobić. Powiem ci nawet, iż wielka byłaby to szkoda dla niego, a tak rozumiem, że i dla kraju, gdyby się zamiar ten rozbił. A bardzo to jest jeszcze podobne, bo funduszu dziś na to ni śladu. Jam mu obiecał o ten fundusz się koniecznie postarać, aleć to jeszcze na dwoje. Łamię ja sobie głowę nad tóim już przez dwie doby, aleć jeszcze ciągle napróżno. I bodajby tylko tak nie zostało do końca!

– Proszę cię, – pytał hetman bardzo ludzkim już głosem, – czy rzeczywiście tak już podupadł był stolnik?

– Ale i jak podupadł! Z całej fortuny trzy się zostało folwarki, a i te zadłużone. Dość ci powiedzieć, że nie było go za co pochować.

– No, toż to bęclzie nie lada zadanie, wydobyć z tamtąd tyle pieniędzy, ile będzie potrzeba na wysłanie go do Paryża.

– A czy i ty byłbyś już teraz za tem? – zapytał miecznik ciekawie.

– No, kiedy ty jesteś takiego zdania, – mówił Denhoff powoli, – kiedy to chłopiec nie głupi, pilny i, jak powiadasz, skromny, chociaż ja tego nie widzę, .to i dlaczego nie? Mam ja, jak powiedziałem, z takimi paniczami, którzy służyli postronnie, wcale niemało kłopotu; aleć trudno zaprzeczyć, że cudzoziemska, a osobliwie już francuzka nauka, jest najlepszą ze wszystkich. A toż i ja, lubo już wtedy odprawiłem był całą wojnę, przecie jeszcze do Francyi jeździłem* i nigdy tego nie powiem, żeby tam wielk jeszcze nie zyskał. Jestem toż pewny, że i Ożarowskiemu, jeżeli jest takim jakim mi . go przedstawiasz, bardzoby to posłużyło. No, aleć jakże to zrobisz? z kądże weźmiesz funduszków?

– Ot! i Bóg wie! może ich wcale nie dostanę, a przynajmniej może nie zaraz?
– A pragniesz tego?
– Ani ci umiem powiedzieć, jak pragnę, bo też i wielkąbym miał ztąd dla siebie pociechę. Jestem pewny jak Boga na niebie, że w tym młodzieńcu uzyskałby kraj, bardzo pożytecznego sługę.

– No, to wiószże co, – rzekł prędko Denhoff, – kiedy to będzie taka wielka dla ciebie pociecha, pozwólże abym ja w tórn dopomógł. Wiele potrzeba, aby go do Paryża wyprawić?

Już się tu może miecznik spodziewał, że się ta rozmowa na czerns podobnem zakończy, bo znał oddawna Denhoffa, że był dziwnie prędkim w skłonnościach, ale kiedy te słowa usłyszał, przecież się trochę zadziwił. Jakoż miast odpowiedzi, rzekł, patrząc na niego:

– Ej! Stasiu! Stasiu! dopióróż cię teraz poznaję! Ale po- wiódzże mi, mój drogi, cóż jest u kata, że ty jakby umyślnie zawsze się innym okazujesz przed ludźmi, niż w rzeczy jesteś?...

Wstał na to Denhoff i przechodząc się po komnacie, rzekł:

– Nie wydaję się nigdy innym jak jestem. Jeżeli zaś między mną a opinią zachodzą niekiedy sprzeczności, wina to jest porywczych sądów, ale nie moja.

Poczóm wszakże natychmiast przystąpił do Bobrownickiego i pytał, wiele na tę wyprawę potrzeba. Ale miecznik się jakoś namyślał. Wymawiał się grzecznie tędy i owędy. Aż wreszcie rzekł:

• – Nie, mój kochany Stanisławie. Taki to podobno nic z tego nie będzie. Bo chociaż ty dajesz z najlepszego serca, on przecież po tój rozmowie daru od ciebie nie przyjmie.

– A cóż znów u stu tysięcy, – rzekł na to Denhoff, – żeby tóż w takim młokosie takie wygórowane się chowały ambicje!

– Wygórowane może, to prawd?, ale przyznaj że sam, że nie przesadne. Wszakżeż zniósł wszystko i nie obraził nawzajem

– No to cóż? to kiedy nie zechce przyjąć odemnie, to i nie potrzebuje wiedzióć, że to odemnie.....

Jeszcze się miecznik namyślał, – ale zważywszy, że tutaj prawie cały los tego młodzieńca od tych pieniędzy zależy, a on może na żaden sposób nie potrafi ich dostać zkąd inąd, przyjął już wreszcie, mówiąc:

^^ – Ha! to przyjmuję, ale pod tym warunkiem, że jak się możność okaże, to ci się to odda z wdzięcznością.

–* No, to i tak, jeszcze owszem.

Jakoż zaraz szedł do owój kuglarskiej szkatuły, która jeszcze tu stała w komnacie, i dobywszy z niej tysiąc czerwonych złotych, oddał je miecznikowi.

i. – Kiedy powiadasz, że trzeba tysiąc, –dodał do tego, –oto jest tysiąc, a przez ile lat tam pomieszka, zawsze na twoje ręce

poszłę mu po pięćset. A listy także wygotujemy w Krakowie, które poszlemy pocztą we właściwe miejsca.

Poczem zaś ścisnął rękę miecznika i mówił:

– Bardzo się cieszę, mój Jasiu, że ci sprawiłem choć jaką taką pociechę. Nie mogąc ci w niczym bezpośrednio usłużyć, niechże ci choć w ten sposób usłużę

Tak jeszcze chwilę mówili, kiedy tymczasem weszła znów miecznikowa. Jak tylko weszła, miecznik się zaraz wysunął i pobiegł poszukać Jurcia. Kiedy już się tak stało, pomyślał sobie, dobrzeby było, gdyby można młodzieńca ugłaskać i do hetmana sprowadzić. Oprócz środków na podróż, zyskałby jeszcze i przyjaciela, ba, protektora nie lada. Pocziwy miecznik już się tak troskał o losy jego, jakby rodzony ojciec...

Ale tym razem próżne były jego usiłowania. Młodzieniec bowiem za nic nie chciał już widzieć hetmana.

– Za nic, – powiadał, burząc się do krwi na to samo wspomnienie, – za nic nie chcę widzieć tego człowieka, który moje najświętsze rzeczy tak sponiewierał! Może to grzech jest, który niełatwo odpokutuję, ale nie cierpię tego człowieka, nienawidzę jak złego ducha! Mógłbym go bić własną ręką, mógłbym go zabić! To nie jest człowiek, to zwierzę!

Całował pótóm miecznika, przeproszał, płakał ze żalu, – ale o Denhoffie ani sobie dał mówić.'

Widział tedy miecznik, że to rzecz próżna na teraz. . Jakoż istotnie Jerzy już do wieczery nie przyszedł, a także dnia następnego do śniadania. A po śniadaniu Denhoff odjechał.

Jednak jakkolwiekby się to stało, zawsze opiekun młodego Ożarowskiego był z tego zadowolony. Była to zawsze rzecz wielkiej wagi, że uzyskał dla niego fundusze, o które było niezmiernie trudno. Żle się zrobiło, że przez żołnierską porywczosć Denhoffa zagnieździła się w sercu młodzieńca taka ku niemu nienawiść, ku największemu jego dobrodziejowi; ale cóż już z tem było robić? Nie brał też sobie miecznik już tego tak bardzo do serca, bo był przekonany, że się to z czasem zapomni i minie. Jakoż już teraz chodziło mu tylko o to, żeby oddać Jurciewi pieniądze bez obudzenia w nim prawdziwych podejrzeń i jaknajprędzej go w tę podróż wyprawić, co się tóż dzięki przezorności miecznika niebawem stało. W parę dni bowiem wyjechał on niby gdzieś do sąsiada, a powróciwszy ztamtąd, przywiózł ze sobą pieniądze. Niezmierna tedy była pociecha, – a z nią natychmiast przygotowania do tój podróży.

Byłyć tam jeszcze wprawdzie i certamenty, bo młodzieniec chciał jeszcze przed wyjazdem widzieć się z matką, a miecznik hie chciał żadną miarą na to zezwolić. I miecznik miał słuszność, bo znał dobrze tę osobliwą kobiotę i był tego pewnym, że ona, jak się tylko pokaże, wszystko odrazu popsuje. Jak Bóg na niebie, tak byłaby teraz synowi jechać nie dała, a natomiast byłaby go

zawiozła do Brzeżan; wwikławszy zaś tak młodego chłopca w tę hetmańszczyznę ówczesną, kto wió, na coby go była wykierowała? Możeby go ztamtąd byli także wyprawili do Francji i może nawet lepiój niż ztąd; ale czego by się już przed wyjazdem mógł być na owym dworze przewrotnyrti nauczyć, a co to wieazióć? Przewidywał to miecznik i bał się, dlatego też siłą zgwałcił jego tęsknotę za matką i bez odwłoki wyprawił.

Już też nazajutrz było wszystko do podróży gotowe i jeno wsiadać; – ba, ale przed odjazdem trza się było pożegnać. A tu się stała rzecz taka, której się nikt nie spodziówał. Kiedy bowiem przyszło do pożegnania w jejmościnych komnatach na górze, dopóki się młodzieniec żegnał z miecznikową, nic jeszcze, tylko łzy mu się trochę kręciły w oczach, – lecz kiedy się do Kostusi obrócił, już zaraz zrazu się zachwiał. Złożył ręce przed sobą, łzy mu się strumieniami puściły z oczu i nie mógł ani słowa wymówić. A tu Kostusia w płacz rozgłośny, jakby dziecko maleńkie. Przy-skoczy młodzieniec do niej i tak się to lichy pochwyciło za ręce, tak się zaszli oboje od płaczu oboje, że aż żal było patrzeć. Rodzice aż osłupieli oboje. Szczęście to wielkie, że nie było przy tem nikogo z obcychUL.;

Dopieroż ojciec otrzeźwiał i jakoś się tam przecie utulił. Ale też zaraz* wziął Jerzego pod ramię i wyprowadził na dół do siebie.

– O trzyj że łzy, – mówił tenże dó jiego, – siadaj prędko i jedź, a niech cię Bóg błogóśławi.

Lecz zapłakany młodzieniec stał oparty o ścianę jakby nieżywy, – wpatrzy ł się w ziemię bez przytomności i wzroku. Miecznik już nic nie mówił, patrzył na niego i czekał. Oprzytomniał przecie nareszcie, ale jakoś nie bardzo, bo spojrzawszy na swego opiekuna, załamał ręce i rzekł:.

. – Ojczy mój drogi! co się to porobiło?

– No, już co się porobiło, – rzecze mu miecznik, – to porobiło. Boska w tóm wola. Siadaj już prędko i jedź, a da Bóg oba- czymy się znowu.

– Och! mój ojczy kochany, – mówił młodzieniec, – daj że mi Boże jaknajprędzej powrócić, a ukłęknać przed wami, bo już jak widzę trudno znajdę gdzie więcej miłości jak U was.

– Znajdziesz, znajdziesz, – powiadał miecznik, – ale zdaj to na Boga. A teraz jedź, po dobrym czasie powracaj, a zastaniesz nas wszystkich takimi samymi jak dzisiaj.

I to mówiąc, prawie go mocą wyprowadził, do powozu, posadził i kazał jechać woźnicy. A tak ruszył powóz nareszcie i wkrótce zniknął za bramą.

Stał jeszcze miecznik jaką chwilę na ganku i patrzył, lecz kiedy powóz ujrzał wyjeżdżający szczęśliwie na drugi brzeg Nidy, wrócił nazad do swojej komnaty. Ale tam zastał już żonę swoją siedzącą: pyta ją tedy:

– Acb Kostusia?

*– Ot co! siedzi w kącie i płacze.

–* Dziwna tó rzecz, jak się to stało, że się w tych dzieciach takie gorą'ce zapaliły afekty. Anibym się był tego spodziewał. Ale już to i jójmości trochę. w tem wina, że nie doglądała.

Tedy "Jaię miecznikowa usprawiedliwiała wyraźnie, że jako ten dzień biały, t&k nic a nic nie widać nie było: tak się to lichy przy- tało sekretnie. Jakoż się tem sroskliwa matka smuciła. Ale miecznik był wesół i mówił:

– Trudna to rzecz. Widać że taka jest wola Boska. Co tóż nie dziwno, ale to mi jest dziwno i bardzo, że taka była także wola nieboszczyka stolnika. Patrzajno dziecko, co on tu pisze:

A to mówiąc, dobył z biura cały sekstern papierów, na których był spisany dwoisty testament starego Ożarowskiego: jeden do użytku sądowego, a drugi dla samego miecznika. W tym tedy drugim miecznik kilka kart przerzucił, a potem wskazał żonie na jedno miejsce i dał jój to czytać. Ona zaś czytała w ten sens:

„Jeżeli by zaś z woli Bożej już nieodmiennie wypadło, żeby nie mógł żadnym sposobem na nauki i służby postronne być wyprawionym, a więc mu już na roli osiadać koniecznie, a to wtedy go żenić. I żenić go, co daj Boże! zawczasu, choćby też raniusieńko, bo to zawsze jest lepiój dochować się dorosłych młodzieńców i samemu ich postanowić, niżeli ich żegnać siedzących jeszcze na ławie szkólnój. A kiedy żenić, to chowaj Boże gdzie w wielkich dworach, jako z własnej wiem eksperyencyi. A więc w skromnem jakim gniazdeczku, w domeczku zacnym choćby ubogim, niechaj pod strzechą a z poczciwością. Ale cię proszę, kochany Janie, pomysł też nad tem w twojóm łaskawem sercu, żaliby też nie można, żeby się nasze domki jeszcze raz spokrewniły ze sobą.".

Nieboszczyk stolnik wspomniał o pokrewieństwach, bo też pomiędzy Ożarowskimi a Bobrownickimi było ich kilka: raz więc pomiędzy ich własnemi przodkami przez ożenienie, a potem przez DrohojoWskich, z których Aleksander miał Ożarowską, a Helena była za Ożarowskim, podstolim buskim. Pisał więc stolnik dalej: „Kostusia przypadłaby prawie wiekiem do niego, jakoż jeżeli by Pan Bóg skłonił ich serca ku sobie, nie miój, mój Janie, nic przeciwko temu, bo oto ja, ojciec, klękam przed tobą i proszę, a oraz daję naprzód moje błogosławieństwo."

Bardzo się tedy temu miecznikowa dziwiła, a namyśliwszy się mało niewiele, rzekła:

, – Toż kiedy tak, to już chyba lepiój było go nie wysyłać. Poczekać mało i kiedy taka jest wola Boża, niechby Bóg błogosławił. A tak kto wie, żali co z tego będzie? bo to ze zmianą krajuj. sentymety się odmieniają, zwłaszcza u męczyzn.

Śmiał się więc miecznik z tego dodatku i z tój pilnej chęci jejmości. Ale ją w końcu pocieszył, mówiąc:

T,^{Nie frasu; że m} „Ja ptaszeczko, o to, bo już to Bóg ma w swojej opiece. Kiedyby się jeszcze i ten młodzieniec, który jest

tak zasadny, w swych sentymentach odmienił, to jużby chyba nie dowierzać nikomu. Aleć to tak nie będzie. Pobawi tam jałże dwa lata, wróci, wstąpi do służby, a potem za łaską Bosl[^]ą wyprawimy weselisko jak się należy.

Tak pocieszywszy się wzajem, poszli też i Kosfusię pocieszyć, która jeszcze zawsze płakała. Ale ją utulili nifebawem, otoczywszy mił ością,—a tak znów spokój wrócił do tego domu, który go też był godzien po wszystkie czasy.

Od tego czasu upłynęło dni wiele, czternaście niedziel, albo może i więcej. Już było po żniwach i po zasiewach, i babie lato nadeszło. A tego roku zdarzył Bóg wielki urodzaj, żyta, pszenice były jak lasy, jarzyny także nie szpetne; za co ubodzy ludzie bardzo się Bogu modlili, raz dziękując za hojne dary, a potem prosząc, żeby je mogli spożyć w spokoju. A ponieważ się na to coraz lepiój zakazywało, bo Turek zawarł był pokój z carem, przez co tóż i król szwedzki nie mógł się już spodziewać sukursów od niego, – więc się ludzie cieszyli tórn jeszcze więcej i dosiewali swych grządek jak mogli. Służyła też im ku temu jaknajpiękniej- sza pogoda, którą sobie jeszcze i nadal wróżyli, bo niebo było tych dni czyściuteńkie jak woda stojąca, słoneczko białe, a po polach snuły się nici pajęcze, jakby pośrodku lata.

Otóż na takim dniu jednym, bardzo pogodnym i pięknym, drogą wiodącą od stolnikowego dworu w stronę północną, jechał sobie jakiś Żołnierz, wyglądający bardzo pocziwie. Koń był pod nim cisawy, z konopiatym ogonem i grzywą, z karkiem butnie wygiętym, a stąpający wolno, bo go tóż nie naglono. Żołnierz sam miał na sobie koszulkę drucianą, na piersiach blachę polerowaną, a na niój Matkę Boską we złocie, na głowie dosyć kształtną misiurką z kitą, a przez lewe ramię zwieszoną burkę krymską kudłatą, czerwonym muzulbasem podbitą. Za nim na koniu kary m dosadnym jechał wyrostek, bardzo piękne pacholę, także z rycerska ubrane, zapewne terminujące u niego w tórn rycerskióm rzemiośle. Nuż nareszcie i czeladniczek na jakimś fryzie zdobycznym, a prowadzący przy sobie ciężką szkapę z jukami i żart-

kiego podjezdka, sobolo watój maści, a już nieledwie zadziwiającej piękności. Przypatrzwszy się temu żołnierstwu bliżej, nietrudno było poznać, że to jechał pan Wiszowaty, rotmistrz niegdy pancerny, a brat stryjeczny pani stolnikowej krakowskiej. Jechał, jak widać, opakowany ciężko, może i całym swoim mieniem, ale gdzieby tak jechał, nie wiedzieć. Zdawało się jakby i sam jeszcze nie wiedział dokąd ma jechać, bo jakoś dziwnie jechał powoli, rozglądał się po polach i lasach, wąsa pokręcał i mruczał coś sobie pod nosem. Zwrócił się czasem do czeladniczka, spojrzy na sobolowego podjezdka i rzecze:

– Hój! a jakto wiesz to źrebię? skacze ci jako cyga, a ty nic na to. Więc kałmuka na drugą stronę, bo przecie widzisz że się go stracha.

To znów wyrostkowi dał jakąś naukę, jak ma siedzieć w kul- bace, jak nogi trzymać w strzemionach, lub co podobnego. I tak jechał pomału, zawsze coś przysiadując. Aż nareszcie wyjechał w pola, które były jakoby stepik maleńki. Droga szła środkiem, więc on za tą drogą. Ale ledwie co trzy stajania ujechał albo mało co więcej, kiedy się przed nim pokazały na drodze jakieś fury ładowne. Więc jedna naprzód w trzy konie, srodze wyładowana aż wyżej drabin, za nią zaś wóz także niepróżny, a na nim gwardyan z drugim takimże bernardynem, zapewne fratrem. Spojrzy na nich rotmistrz, zaraz przystanął:

- Niech będzie pochwalony Pan Jezus!

A gwardyan na to:

– Wszelki duch chwali Pana Boga! a waszmość co tutaj robisz? ba, i tak zbrojno i ludno! nie na wojnę to Pan Bóg prowadzi?

– Kiedyby wojna, i owszem. Czerwony złoty na klasztor. Aleć to jeszcze nie słychać.

– Zkądże więc waszmość jedziesz? pewno od stolnikowój. Cóż to tam słychać? Powiedzno waszmość, bom już tam dawno nie bywał.

A jako to ksiądz ciekaw;wy, wszystko chciał wiedzieć o tój rodzinie, której dawniej był przyjacielem, zlął zaraz z wozu. ^Zsiadł tóż i rotmistrz z kulbaki i rzecze:

– Ale to jegomość masz wóz ładowny nie lada. Zapewne 2 kwesty?

– Jakoby z kwesty.

– To już po dwóch jeździe? no, no! i w klasztorach się moda zmienia, jak widzę.

Uśmieł się gwardyan, a potóm rzekł:

– A waszmość sobie krotochwilny jak zawsze. Otóż powiem waszmości, że mówiąc właściwie, to żaden z nas z kwesty nie jedzie. Mnich ex ordine mendicantium jest zawsze na kweście. I od waszmości byśmy co wzięli.

Kiedybym dał, – rzecze rotmistrz, – ale mi się to nie śni.

Bo ja jestem teraz także ex ordine, chociaż nie mendicantium, to acceptantiunii żeby jeno byli dawantes. Aleć jak widzę już ich ród cale wyginał, bo nawet i ci nie oddają, którzy są winni. No, ale zkądżeż to waszmość jedziesz?

– Jam jeździł za sprawami klasztoru, a kolega mój był jakiś czas u naszego brata, z którym się modlił. Zjechaliśmy się, a co-nam drfno, to sobie pomaleńku wieziemy.

– Pomaleńku, – rzekł rotmistrz, spoglądając po wozach, – i nie bez racyi, bo z taką ekspedycją trudno pojechać prędko. Nieźle się to, jak widzę, jegomość frater i modlił, kiedy tyle wymodlił...

A tu zaraz dodał:

– Salvo honore waszmości. No, ale cóż tam wiezecie? Nióma tam co? (a tu wskazał na gardło), bo to bernardyni także nie śpiówają na sucho, a u mnie w manierach pusto, jako u mego pachotka we łbie, i nie napełnię ich aż kędy w jakim miasteczku.

– Pusto tóż u mnie, – powiedział gwardyan, widząc aż trzech kom petentów odrazu, – a zkądby się wzięło?

– Ej! mój księżuniu! pono mijasz się z prawdą, bom już sam widział beczki na tamtym wozie, ba i tu jakieś antałki.

A ksiądz na to:

– To dziegieć jest, panie bracie, do smarowania wozów i na lek od zimnicy, a w drugich beczkach to olój.

– Cha cha cha! – śmiał się rotmistrz, – nie mnie to bratku pleść takie rzeczy! Woziłbyś też dziegieć ze sobą albo i olej, mogąc dostać kordyałów!

– Ale nióma, z pewnością nióma... a choćby było, tożto święta jałmużna. Nie godzi się jej wy traktować.

– Ot! to mi racya. A czy to żołnierz nie wart jałmużny? Pokażno, pokaż, bo i sami znajdziemy.

Patrzył tedy gwardyan na niego przez chwilę, a potem rzekł:

– Jużci trudno zaprzeczyć, że znalazłby się tu i napitek, bo nam nasz brat darował beczułkę miodu; ale jakże się napić, kiedy beczka zaszpunktowana na śmierć?

Oh! otóżto sztuka! Chłopię! wyjmijno z torby świderk! ~

– A co to waszmość myślisz? beczkę mi wiercić?

– Otóżto rzecz! dałby się napić, a beczki nie da przewiercić!

– Ale bo mi waszmość miód cały wypuścisz.

fc– Nie miójże mnie, księżuniu, za chłystka, – rzecze mu Wiszowaty, – bom to już przecie nieraz miał do czynienia z beczkami.

A tu mu chłopię już podało świderk i rurkę blaszaną cieniutką, co to już mieli hultaje jakby na to zrobioną i ze sobą wozili.

– Widzisz więc, mój jegomość, – rzecze mu rotmistrz, – że są instrumenty do tego jak trzeba. Zastrużże, chłopię, kołeczek żeby było czóm dziurę załatać. Kędy.ż ta beczka?

- Ej! nie dam ja beczki dziurawić, – powiada mnich.
- Jegomościuniu! – odpowie rotmistrz, wąż jeżąc srodze, – nie żartujże z żołnierzami, zwłaszcza gdy pragną.
- Napaść czysta na drodze! – rzecze niby pochmurno bernardyn, yd cóż już i robić z waszmością?

A to mówiąc, zaprowadził go do tamtego wozu, który był na przedzie, i przez drabinkę wskazał mu beczkę dobrze upakowaną w siano, mówiąc do tego:

c- – Pijże już co się podoba i niech ci będzie na zdrowie, jeno mi choć nic nie wypuść na ziemię.

--- Ou! to tu tój beczki gmach! – rzecze rotmistrz, – nie zaszkodzi, kiedy się i moje chłopięta napiją.

Jakoż zaraz dziurkę przewiercił, włożył rureczkę, przysiadł na ziemi i pije. Pociągnął raz dobrze, ba i drugi nie zgorzój, –1 ale przy trzecim zerwie się nagle i gębę rozziawił okrutnie. A tu bernardyn aż się trzyma za boki, frater się krztusi na wozie, ba i chłopi się śmieją na głos.

- A czym ty mnie księżę napoił? – zawoła rotmistrz, – smołą jakąś albo i lepiej!
- Dziegciem! dziegciem! – powiada gwardyan, a nie mówiłem tobie, że wiozę dziegieć a olój?
- A co tobie przyszło do głowy!? – zawoła rotmistrz, patrząc srogimi oczyma na księdza, a gębą mlaszcze i rękawami Usta wycióra.

Gwardyan zaś na to przystąpił k'niemu, położył rękę na jego ramieniu i -mówi:

– Nie požądaj, pyseńku... wiósz czego? wszystkiego, boć to jest w przykazaniach. – A ja ci mówię, nie požądaj nigdy bernardyńskiej jałmużny. Bo chociażby mi gdzie i największych specyałów dano, toż to nie na to, abym je roztraktował po drogach, jeno ażebym niemi pożywił ubogą gromadkę bogobojnych żebraczków...

Spojrzy tymczasem po za rotmistrza, a tu przez niezatkaną dziureczkę leje się dziegieć z beczki, jakby woda ze studni. Już się go ze trzy garnce wylało. Skoczy bernardyn; przytyka palec, ale jakoś nie trafił, jeszcze się cały obryzgał. Nuż tedy rotmistrz z kolei w śmiech. Gwardyan woła:

- Chłopię! dawaj kołeczek!
- Nie daj! – powiada rotmistrz.

Gwardyan już całą dłonią zatyka, prosi na miłość Boga. Na- darłże się jeszcze z nim rotmistrz do syta, naskrobał mu marchewki do woli; aż tóż nareszcie dał się uprosić i zabili tę dziurę. A tak i krzywda się wyrównała, ba jeszcze rotmistrz miał się za wygranego.

– Masz tedy, księżę! – mówił do niego wesoło, – napiłem ja się dziegciu cokolwiek, brzydki to trunek, niema co mówić, wždy mi to nie zaszkodzi. Aleś ty za to wyekspensował się dobrze i Bóg wie na co, bo ani pies tego nie zliże;

A gwardyan smutny był trochę, bo jako dobry gospodarz, co do klasztornej fortuny skąpy był sobie. Ale nie chcąc tego pokazać, rzekł na to:

– Mniejsza tam o to! toż jeszcze nie wymarli dziegciarze, a pobożni są ludzie, więc mnie wspomogą na nowo. Ale waść'eś się dziegciem opoił po samą szyję. Czegom tóż nigdy nie słyszał, żeby człek jaki zacny dziegciu zażywał! Już tóż to z waści musi być opój nie lada.

A tak się ubawili obydwu. Ale przecież to rotmistrzowi ten smak dziegciowy jakoś dokuczał w gardle, bo rzekł prędko do bernardyna:

– Dobra jest krotochwila, bo to człeka odżywia, aleć to na tó'm nie koniec. Dałeś mi dziegciu, dajże zaś czego innego, żeby to jakoś wypłukać.

Tedy gwardyan, lubo może nie z wielką chęcią, dobył jednak bańkę ze starką i dał mu, ale -ęzekł przy tó'm:

– Daję, lecz proszę o dyskrecyą, bo to jest gorzałka od morowego powietrza, specyał rzadki w tych czasach, a nie mam go tylko tyle.

A to mówiąc, patrzył na swoją bańkę z niemałą trwogą. Ale bodaj to nie przychodziło nikomu oddawać się na dyskrecyą żoł- nió'ską. Jakoż i rotmistrz nietylko że sam odrazu większą połowę tej bańki wychylił, ale jeszcze i resztę oddał swym towarzyszom. Widząc to, gwardyan już jeno ręką machnął przed siebie" i rzekł:

– Jako wieloryb z Jonaszem, tak waszmość obszedłeś się z moją starką. Oddajcież mi choć bańkę napowrót, – rzecze do chłopca.

A chłopiec na to:

– Do trzeciego dnia, mości księżę, wyrzuci wieloryb Jonasza na suchą.

A to mówiąc, schował bańkę do torby. Więc gwardyan już jeno oczyma powodził po tych hultajach, patrząc chmurno przez chwilę, ale i co miał robić? Rzecze więc do rotmistrza:

– Trudno to z wami, jak widzę. Niechże będzie na zdrowie.

– O! jużci będzie! – odpowie rotmistrz wesoło, – żeby jeno czóm jeszcze zakąsić.

– A dobrze, dobrze! – rzecze bernardyn, – jeszcze i tego nie stało! Poczekaj waszmość, musisz mi jeszcze zapłacić za to. Więc darmo czasu nie traćmy, a pogadajmy.

A to mówiąc, pociągnął rotmistrza precz po za wozy i tam dopióro na osobności zaczął:

– Powiódzże mi waść proszę, co tam słyhać u stolnikowej? Już ja tam teraz nie bywam. Jurcia, jak słyżę, wyprawiono do Francyi?

– Oho! – odpowió rotmistrz, –już i miejsce po nim zastygło.

– No, i cóż waszmość na to? dobrze to będzie?

»

– A kto to wió? Jużci wracają ztamtąd niekiedy ludzie, ale czasem takie diablęta, co to ani do stroju, ani do łaju. A wielka szkoda byłaby tego chłopaka, bo ma niezłe kwalifikacye. Nawet i żołniórz mógłby być z niego za czasem.....

– Jużto żołniórz podobno najprędzój, jak to widać z owój tam bitwy z Flemingiem. A to słyszę był rębacz nielada?

– Et! co tam rębacz! W .bitwie to nie na chórze. Na chórze śpiewa najlepiój ten, który się najlepiój nauczył, ale ze szablą Wygra i taki, który nie miał jój jeszcze w ręku, bo tu szczęście i krew więcój waży, jak sztuka.

– No, a cóż stolnikowa na tę wyprawę?

– Ot co! przyjechała, lamenti?, hałasu, płaczu bez końca. Rano za mężem, wieczór za synem. A już za synem najbardziój, bo jój się zdało koniecznie, że w tóm jest czyjaś sztuka.

– A cóż za sztuka?

– Hm! – mówił rotmistrz, – ot! filozofia niewieścia. Więc jój się zdało, że. albo go tam jezuici wysłali, aby go do zakonu namówić, albo że Bobrownicki wyprawił dlatego własnym swym kosztem, aby go okulbaczyć dla siebie, a potem z córką ożenić. Ale się jój jeszcze lepiój podobało to drugie. Jakoż dziwnie się na miecznika sierdziła. Znam ja tych Bobrownickich! – mówiła, – Ożarowskiego im się zachciało! Ale nie będzie z tego nic, choćby to była i Drohojowska, choćby i Wiśniowiecka! – Anoż już nie- wiem, jaka tam cesarzówna przygotowana dla niego. Alem jój przecie na końcu tę nienawiść dla Bobrownickich wyperswadował, że pojechała do nich, sprawowała się grzecznie i nawet wyraźnie dziękowała za łaski. Zasiadła potem, chciała gospodarować. Ale się prędko namyśliła inaczej i wyjechała nazad do Brzeżan.

– No, tożto dziwne historye! Zacna to jest kobióta, niema co mówić, ale jakoś inaczej patrzy na świat, niż ludzie. Cóż waszmość na to? wszakże to siostra?

– A co mam mówić? Toż jegomość wiesz o tem tak dobrze jak ja, boś tam przecie domowy. Jakoż i ja tak powiadam, że jój coś przewrócono jest w głowie. Jeszczeż trza wiedzieć waszmości, że i z tój bitwy Jurciowój była bardzo nierada i nawet się bardzo fukała. Głupie chłopczysko, mówiła, narażać sobie Flemingów! – Jużem tóż plunął na to, bo i co mówić!

Pyta się gwardyan dalej:

– Któż tam gospodaruje teraz na tój Ożarowszczyźnie?

– Gospodarują ci co i dawniój, a miecznik dyspozycye wydaje.

– Hm! a czemuż waszmość tam nie zostałeś, boś mi powiadał, że chętniebyś tam pozostał, aby trochę odpocząć?

– Nie pozostałem, bo trudno było. Trudno się było czego mądrego dogadać z miecznikiem. Nie wiem co jest, ale ten człowiek pono mi jakoś nie ufa. Słyszałem z boku, jakoby mówił zem jest niestateczny. A kiedy ja niestateczny, to już nie wiem

doprawdy, kto jest stateczny. A toż ja trzydzieści lat w jednej chodzę koszuli i na jednej siedzę kulbace. Ale niech tam to będzie." Powiadają sąsiedzi, że na Bobrownickiego jeszcze nikt palca nie skrzywił, niechaj że i ja go nie skrzywię. Ale tam siedzieć nie będę, chociażbym mógł, gdybym się uparł, boć tam mam przecie pięćset czerwonych. I lepiej terazby mi tę sumę dzierzawą od- trzymać, niż kiedykolwiek. Bo stolnikowa w Brzeżanach tam niczego nie łaknie. Jurcio zaś także zaopatrzony. Ale co się tam będę na sióroczą fortunę łakomił! Wypłacił mi Bobrownicki pro- wizyą, obiecał nadal także płacić rzetelnie, cóż więc chcióc więcej?

– No, ale tym sposobem, – powiedział gwardyan, – trudno będzie waszmości przyjść do takiój dzierzawy. Chyba żeś od kasztelana odebrał swoje tysiąc czerwonych?

– A licham tam co odebrał!

– I tam nic? ale byłeś u niego?

– A jużci byłem, i nawet jadąc do niego tak się zawzięłem, żeby koniecznie to wykołatać, bo mi i podkomorzy nie oddał, co aż nawet niepięknie dla takiego człowieka.....

– Cóż więc kasztelan? – pytał gwardyan, dziwnie tego wszystkiego ciekawy.

– A cóżby? ot jako dłużnik. Przyjeżdżam do niego, mówię: Panie bracie! czas wielki, dawaj moje pióńdże, bo i jabym też chciał jako drudzy sporządzić sobie dom jaki i zażyć trochę spokoju. A on mi na to: Piotruniu drogi! już mi też tego nie zrobisz. Mnie tak te wojny zniszczyły, że się opamiętać nie mogę; u mnie jeszcze do dziś dnia prawie puste obory, nawet i nie zasiano. Chybaby mi wieś sprzedać, żeby tobie ten dług wypłacić. Masz ty sprzedawać wieś, to już ja lepiój zaczekam. Ale mi choć wypłacił prowizyą i jeszcze mi żrebca darował, a już tóm mnie po królewsku uraczył. Bo patrzno waszmość, co to za koń! Jak długo cię nogi noszą, jeszcze nie widziałeś takiego konia. Sobo- lowaty hultaj jako kołpak żydowski, grzywa czarna jak węgiel, oko prawie jak twoja piaska, a co za nogi! a co za krzyż! Kiedy tego konia Chomętowski obaczy, jakbym to widział, zaraz mi trzysta czerwonych położy. Ale żeby mi dawał i tysiąc, niie głupim. Jużem z nim raz cisawego na srokacza wymienił, i co się stało? On na moim cisawym na województwo wyjechał, a ja na srokaczu dostałem po* łbie pod Kaliszem, żem się ledwie wylizał. Ale chodźno jegomość i obacz mego sobola zblizka

– Potem go obaczmy. No, a cóż podkomorzy ?

– A to już pfe! – powiedział rotmistrz, – kasztelan, niech mu Pan Bóg da zdrowie, człowiek poczciwy, nie oddaje, bo nie ma, a kiedy nie ma, to się prosi, a przy tóm daje co może. Ale ten podkomorzy i nic nie daje i jeszcze mnie do sądu odsyła. A bodajże ciebie zabito! Udławże się już mojem mieniem, ale nie poniewieraj człowieka!

«r~ No, i tak się to wszystko zakończyło na niczóm? Nikt nic nie oddał? a już więcej niema co żądać ?

– Mam ci ja jeszcze, – powiedział rotmistrz, – tysiąc czerwonych u pani Wysockiej, która mi jest i współ-herbowna po mężu i sama krewna, bo Wiszowata. No, ale tam trudno było i żądać. Biódna wdowina gramoli się jako może, ale jej to nie idzie, bo ją i wojny zniszczyły i jeszcze dzieci obsiadły. Chciała mi płacić prowizją, alem i tego nie brał, bo już to wdowa, a ta- kićj kiedy nie pomódz, to choć nie szkodzić.

– Hm! – rzecze gwardyan, – toż, jak widzę, zacny jest z waści kawaler. Już mi żal teraz, żem ci się dziegiu dał napić.

A rotmistrz na to:

– Mała to rzecz. Pijałem ja jeszcze i tęższe specyały, kiedym był w niewoli u Tatar, zwłaszcza tóż potem, kiedy mnie zdradził ten Murza. A dziegieć to nawet zdrowa jest rzecz, bo to żołądek wyprawia.

Ale ksiądz zawsze swoje. Bo mu to z głowy wyjść jakoś nie mogło, żeby człek, który ma tyle pieniędzy, dał z nich tak dobrowolnie innym korzystać, a sam się poniewiórał po służbach. Rzecz więc dalej:

– Aleś to waść zaprawdę poczciwy aż nadto, że się dajesz tak z własnej woli obdzierać. Jeszczeż tym zacnym, którzy się proszą, to i nie mówię, ale podkomorzemu, tobym już nieda- so wał.

– Alboż waść myślisz, że ja jemu daruję? A zaprawdę że nie. Dam. ja tę summę takiemu, który go zaprosuje do nitki. Ale ja sam tego nie zrobię, bo mi się to nie godzi. Szewc niechaj buty szyje, ziemianin ziemię niech orze, a rycerz niechaj się bije, niechajże sam będzie święty i przejrzysty jak lza. A palesra to nie święta jest rzecz, ani tóż bardzo przejrzysta. Jawi się teraz niekiedy już i nasze rycerstwo na trybunałach, ale to źle; widać też z tego, że się już psowa, bo tego dawniój nie było. Jeno król jeden a drugi hetman mogą sądzić rycerza, a dalej nikt.

– Hm! – mówił gwardyan, zawsze myśląc o swojóm, – niema co mówić. Ale że mi to zawsze jest w głowie, niechże jeszcze to powiem, że już to całe w tem twoje nieszczęście, że ci rodzice twoi pozostawiali same gotowe grosze, a nie zostawili ci wsi. Zawsze to wieś

• – A jakto nie zostawili! – zawoła rotmistrz.

– Więc zostawili? jenoś ją sprzedał?

– Jakto sprzedał! otóż to rzecz! A gdzieżbym ja ojcowiznę' sprzedawał! zamąciło ci się w głowie, księżuniu, czy co?

– Jakże więc? to masz jeszcze i własną wieś?

– Otóż to kwestya! "jużci pewno że mam, i taką wieś, jakiej tu i nie widać nad waszą Nidą. Bo to leży nad Dniestrem jak wół, ziemia w niej czarna jako twój habit, a tysiąc korcy się w niej . "śiowało.

– Ncf, a cóż zaś z tą wsią? or–<Ot, co by było? Brat mój w niój siedzi, który się nie ma gdzie podziać tymczasem. Bo wiedz waszmość o tem, że ja mam jeszcze starszego brata, który się rodzi z Rydzyńskiój. Więc kiedyśmy się z nim dzielili fortuną, tośmy- sobie wzięli porówno i gotowizny i ziemi, ba, co do ziemi, to on nawet lepiej, bo siadł na Podlasiu na pięciu wsiach, gdzie ja zasiadać nie chciał, bo tam pyzy jadają, a ja tego nie lubię. Otóż kiedy odebrał wieś moją nad Dniestrem, to ją puścił w arendę, a wzięwszy trochę grosiwa, poszedłem sobie do wojska. A tam, poczekawszy niewiele, dostałem się w ręce Tatarom. Siedziałem tam dosyć długo, aż mi się ksiądz trynitarz nawinął, który chodził po bisurmańskich ziemiach, ażeby wyszukiwać jeńców Polaków i o nich rodzinom donosić. Zacny człek bardzo, bodajby był za to zbawiony. Otóż ja temu księdzu dałem na piśmie tę moc, żeby moją posiadłość puścił w arendę na tyle lat, ile potrzeba, ażeby za mnie zapłacił Tatarom. Poszedłże ksiądz i w lot powrócił, przyniósł pieniędzy i wykupił mnie. JCiedym więc wyszedł z niewoli, nie było kcżemu powracać; chciało się tóż trochę poskubać tatarów, co mi się na- dokuczali hultaje; więcem tóż sobie posłużył jeszcze jakie lat Mika. A kiedy potem powrócił i chciałem na gospodarstwie osiadać, ba! i żenić się zaraz, – bo mi się bardzo była nadała Woroniecka kniahini, wdowa, u której gościłem na czas, a którą natenczas chciano rugować z nieboszczykowskiój fortuny, czego ja nie dopuścił, – więc kiedy natenczas wieś był z arendy odebrał, właśnie mojego brata wyrugowano z jego majątku. Zawielką gębą tę tam pyzę podolską zajadał i zjadł ojcowiznę do kostki. A tu już dzieci pięcioro i żona wielkie paniątko, bo Moskorzewska. Prosi mnie tedy brat, żebym się nad nim zlitował. Srodze mi to było nie na rękę, bom się już z moją kniahinią był zmówił, ale co było robić? Ma się krew moja poniewiórać po cudzych kątach? Czeka ty jeszcze lepiej moja kniahini, a niech się bratu wyrządzi pocziwość. Więcem mu dał tymczasem tę wieś, popóki jakoś z Mo- skorzewskimi nie przyszedł do ładu i nie poodbier^ł tego, co mu naobiecycwali za żoną. Otóż jak zasiadł wtedy, tak i siedzi dotychczas, a jam sobie służył tymczasem. Przeszłego roku w jesini, kiedy mnie pan Michał Potocki, kochany mój pisarz, co już tak pięknie pisze szabelką, że i lepiej nie można, puścił nareszcie od siebie, przyjechałem ja tam do brata. Jużem chciał teraz koniecznie w domu osiadać, czego mi tóż i pan Michał doradzał, a to podobno raczój z namowy kniahini, niżeli z własnego serca, bo mi mówił wyraźnie: – Jedź, panie' bracie, na zagonie osiadaj a żeń się, bo już i czasy po temu. *– Jakoż i ja- sam byłem tój myśli- Ale jakże to zrobić? Przyjeżdżam do brata, a on leży obłożnie od kilku lat. Gościec go trapi. Żona się zestarzała nad podziw, skwaśniała w tój biódzie na ocet. Do tego jeszcze i najstarszy syn im się nie udał, bo jest opętany od diabła, a nie ma ktoby

go z niego wypędził. Piekłoż tam w domu prawdziwe, że i patrzeć nie można. Pytam go tedy: – Sprawileś co z Moskorzewskimi? Powiada: – Nic. Posiedziałem tam tedy mało niewiele, a potem sam pojechałem do Moskorzewskich. Przyjęli grzecznie, niema co mówić, obiecali święcie najdalej za rok. Otóż tak to zostało. Obaczmy co będzie.

Tedy gwardyan już tylko westchnął i rzekł:

– Zacny z waści kawaler. Nie będzie to bez nagrody u Pana Boga. No, a więc potem od brata już waść do stolnika pojechał?

7– A od brata, – rzekł rotmistrz, – gdzieś tóż i nie mógł długo wytrzymać, pojechałem więc zimą do pana Michała, który przyjechał był milczkiem do Sędziszowa. Niemasz i tam wielkiej pociechy, bo jeszcze to tam pustka jest sroga od owego spalenia, co ten zdrajca Sieniawski poroznosił po jego dobrach. Ale zawsze to panu jest łatwiój, więcemy tam około tych zgłiszczów jakiś ład wprowadzali. Radziliśmy tóż z pisarzem, coby to miało być z tego wszystkiego na przyszłość? Bo to tak przecie nie może być. A żeby już morowa zaraza, toby lepiej nie mogła grasować, jak ci hultaje Sasi. Palą, rabują, jeszcze i zabijają szlachtę posesyonatów! Czy słychana to rzecz?

A to mówiąc, wąż straszliwie najeżył i patrzył tak okrutnie na księdza, jakoby właśnie na Sasa. Potóm zaś mówił dalój:

– Ale to w tórn jest sztuka. Bo tu nie idzie o te zabójstwa, ani o te marne rabunki, jeno jest zakrojono na więcej, jako powiadał pan Michał. Zmowa tu jest między królem a rozmaity starszyzną, żeby szlachtę wygubić, a co zostanie mało niewiele, wziąć za łeb i opanować na wieki. Taka to zmowa tam jest, o czóm szlachta jeszcze i nie wie, ale się dowie na czas. Jakożeśmy się już namawiali cokolwiek, jeśliby temu nie mógł być łeb urwany zawczasu. A takeśmy się tam zabawiali przez zapust*

A gwardyan na to, pomyślawszy cokolwiek:

– Więc to waszmość, jak widzę, i niekoniecznie krzyw temu, że nie możesz odebrać do rąk twojój fortuny. . Zasiadłbyś może na roli, alebyś i wyleciał niebawem, kiedy są takie zamiary?

– W Boskich to jeszcze jest ręku. – powiedział rotmistrz, – żali przyjdzie tak prędko do czego, lub nie. Jam gotów zawsze i temu rad. Byłem tóż sobie teraz na Jasnej Górze, gdzie się modlił do mojój patronki, a tamem sobie ślubował, że bodajbym nie spoczął, póki siedmiu przynajmniej Sasów nie dam diabłu na karm za tę duszę stolnika. Jeszczem tam sobie drugie uczynił votum względem tego tam zdrajcy – daj jeno Boże pory potemu. A wreszcie dałem też sobie tę Matkę Boską poświęcić, co ją noszę na piersiach. A paulini nie chcieli mi jej poświęcić, dając tę racyą, że pod nią był wygnieciony mój Roch. Powiedźże, księżu, jestże to racya? – , E?

– A juści racya. – powiedział ksiądz, – bo się herbów nie święci.

– Racya, powiadasz. No, a ja przecież tę racyą obszedłem i Paulinów zażyłem. A to w ten sposób. Wziąłem piłeczkę, co nią około broni majstruję, i odpiłowałem mego Rocha precz. Potem dałem blachę poświęcić i poświęcono mi ją regularnie. A ja teraz zajadę do miasta, znajdę mistrza potemu i znów dam mego Rocha posadzić na dawne miejsce. A co, księżuniu? rozum na rozum, sztuka na sztukę.

– Ej! figlarz to jest z waszmości, – rzecze bernardyn na to, – figlarz nie lada. Ale czy się to godzi takie wojny prowadzić z rozumem kapłańskim?

A rotmistrz na to:

– Kapłan jest sługa Boży, niema co mówić, ale jest on także człowiekiem, a więc ma rozum dwoisty, jeden z ksiąg Bożych, albo też Boski, a drugi ludzki. A więc przed tamtym rozumem czołem, bo inaczej to grzóch; ale tym niechże się i kapłan nie piętrzy, bo to marna jest rzecz, jako dawno już dowiedziono. I tobie to powiadam, księżuniu, nie piętrz się twoim ludzkim rozumem, bo ani wiesz co się stanie, jako więc było z tym dziegciem. Czujże ducha w sobie zawczasu, kręć się pomiędzy szlachtą a noś ze sobą tę rzecz, com ci naprzód powiedział. Niecliać orzą i sieją, aby z biedy wyleźli i aby był chlób dla żołnierza, a jak się to stanie, niechaj myślą co więcój. Niechże więc Boga chwalą i znoszą cierpliwie do czasu, ale fantazyi niechaj nigdy nie tracą. Niech wiedzą o tem, że są którzy myślą i za nich, ale niech nie dufają, że się bez nich zrobi. Niech więc misiurek swoich kurom na gniazda nie dają, a koncerz niech im nie służy za ożog. Celny muszkiecik niechaj zawsze będzie w użyciu i niechaj sarny strzela tymczasem. A kto ma dobrego podjezdka, niechaj go nie prowadzi na jarmark, jeno niech chowa, a kiedy ma jeszcze drugiego, niechaj go da sąsiadowi. A reszty niech się domyśli. Tak trzymaj ducha, mości gwardyanie, bo to wasza jest rzecz. A teraz Vale!

– Hm! hm! – mówił gwardyan w zamyśleniu niemałem, – ledwieście jedno skończ}di, już poczynacie i drugie. Trzebaż tutaj» jak widzę, jechać do kasztelana i z nim się o tem rozmówić...

– Jedź tam, jedź, – rzecze rotmistrz, – a coś tam i wy uradzicie. Ale teraz już bywaj zdrów.

(– Już to, już? zerwie się gward}'an, jakbjV się zbudził, – no, a gdzież Pan Bóg prowadzi?

– A co to wiedzieć? jeschcem się nie rozpatrzył, ale gdzieś ja pojedę.

Ba! podjechać pod chorągiew nietrudno. Ale poco teraz podjeżdżać? Toż to zima za pasem.

– Są, mości księżu, wojny takie, dla których zim cale niema, bo je zawsze bić trzeba. Anóż ja jadę także na wojnę, jeno to

zachowaj u siebie. Ba, i sam jedź, właśnie ta wojna dla ciebie, co ci tóż powić kasztelan. Bywajże zdrów! A! ale jeszcze zapomniał. Powiódz-no księżu, toż to tu kędyś mieszka ten wasz Murza tatarski!

– A czy chcesz do niego zajechać?

– A czemu nie? ludzie go omijają, aleć to tacy i ludzie.

Rzecz więc gwardyan:

– Waszmość mieć będziesz wielką u Pana Boga zasługę, a jeszcze większą kiedy go trochę rozerwiesz. Jedźże więc za tą drogą, na której stoimy, a prościuteńko do jego bramy zajedziesz.

– No, to i trafić nietrudno. Powić dzże jeszcze, cóż to za człowiek?

– Ot! biedny grzesznik, dużo biódniejszy od innych.

– A najbiedniejszy przez was! —poderwie rotmistrz, a pogroziwszy mu palcem, dodał: – Ej! skóreczki na buty! tak wy to grzechy leczycie? hę?

Gwardyan jakoś się zdziwił. Chciał jeszcze coś mówić, ale już rotmistrz nie słuchał, bo się już konie jego zrywały. Ścisnął więc księdza serdecznie i rzekł:

– Może się jeszcze ze sobą zjedziemy—toż ja nie jadę za morze.

A potem wsiadł sobie na koń i ruszył. – Gwardyan tóż także się na wózek wydrapał i zamyśliwszy się niepomału, w swoją stronę odjechał.

Tom X.

Jadąc tak rotmistrz—a jechał może za cały wieczór lub więcej — zaczął już wreszcie dojeżdżać do końca tych pól, które były jakoby stepik maleńki. Już się więc przed nim pojawiły wyraźnie pagórki, a przyjechawszy bliżej, pokazała się także i wieś. A była to wieś mało kędy w tych stronach widziana; wybiegła z między pagórków po prawój stronie, poleciała napoprzek w równiny, ba i z oczu zniknęła, nie skończywszy się jeszcze. A we środku tój wsi na niewielkiej wyżynie zjawił się dwór: zabudowania srogie, mało nie takie jak w miastach, wszystko mur bielusieńki jak śnieg, w części tylko pod gontem, reszta pod dachówką. Takież więc mury po jednej stronie, takie i po drugiej, pomiędzy niemi przy- padzisty dziedziniec, a na końcu mieszkanie pańskie. Budowa także nieszpeta, na podmurowaniach wysokich, na jednóm skrzydle niby baniasta, na drugim także, a w środku korpus strojny w kolumny. Jużci to pewnie był dwór, bo i na to wyglądał; jeno to była dziwna, że naprzekór zabudowaniom innym, haniebnie był zapuszczony, ba, nieledwie w ruinie. Dachów na nim prawie nie było widać, mury czarne jak węgiel, poobdzierane, na nich zielska i chwasty, ba już całe krzewiny rosły sobie wygodnie, jakby na szczerćj ziemi. Na jednej bani nawet i parę jodeł wyrosło, albo tóż sosien, co pospuszczały smętne gałęzie ku ziemi, właśnie jak gdyby rosły na grobie. Ptaki to kiedyś tam ich nasiona zanosły, a musiało to być już dawno i cale o to nie dbał właściciel, kiedy już tak wysoko wyrosły. Toż i około reszty tego domostwa było tak samo: okna w części powytłukane, parę kolumn zwalonych, mur wyszczerbiony na samem czole, krużganek pękł i zwie-

sił się cały ku ziemi. Zdało się wcale, jakby tutejsze pany wymarły i jeno dusze ich tutaj mieszkaly...

Obaczywszy to; rotmistrz, chociaż to jeszcze było daleko, jeno że widać było to przerażające straszdyło jakby na dłoni, bardzo się temu zadziwił. Aż przystanął na drodze, aby się temu wszystkiemu przypatrzeć. A patrząc, myślał u siebie: – Jużci tu mieszka Murza, jeśli wierzyć bernardynowi, ale czemuż tak nie dba o re-zydencyą? A jeśli tak nie dba o swoje własne mieszkanie, czemu zaś taki dbały o gospodarskie budynki? –Wszakże kiedy tak stoi i myśli, nadbiegają tymczasem bydła z pastwiska. Spojrzy na nie rotmistrz: nowe dziwy! Krowy wielkie srokaty, jakie to widać w Żuławach, a tłuste wszystkie jakby karmione na rzeź. Jałowice jak łanie, buhaje jak bawoły, kudłate na łbach, a z podgardlami do samój ziemi. A jest tego bydła jakoby stado. Nuż dalój owiec pięknych wełnistych moc niezliczona, –nierogaczny gmach, a nareszcie stadnina. A ta już wcale nad podziwienie. Bo to na liczbę jakoby sto, a wszystkie wronę jak jeden, mało który podżary. Wszystkie przedniego zawodu* krwi znamienitej: matki wyrosłe jak kufy, o łbach maleńkich, szyjach wyniosłych, a między niemi żrebce, że się i napatrzeć • nie można. Dosyć to Sobol rotmistrzów był konik nielada, ale jeszczeby zginął pomiędzy niemi. Nuż jak się ta młodzież hulaszca na skręcie drogi porozbiegała po polach, jak wzięła hasać, łby do góry, chrapy na ścieżaj, grzywy, ogony na wiatr, – już rotmistrz stał jakby posąg, jeno Wzrokiem powodził. Aż mu się dusza rozweseliła, widząc te licha tak piękne i tak wesole.

Ale niebawem porzuciła go ta wesołość. Spojrzawszy bowiem jeszcze raz na ten dwór dziwny, prawie zgroza objęła. Właśnie co słońce zapadło w tej chwili i jeszcze wierzchy pagórków złociło, – cały świat Boży, oblekając się w szaty szaro-błękitne, leżał tu przed nim w takiój piękności i ciszy, że mu się trudno było nadziwić, – a to dworzysko straszliwe sterczało tam na tóm wzgórzu, jakby kto trupią głowę położył, co wyszczerzywszy szczerbate zęby, patrzyła na świat dziurawemi oczyma... Jeszczeż do tego uważał rotmistrz, że ktobądź tędy przechodził albo przejeżdżał, bardzo jakoś pośpieszał. Nadeszedł dziadek żebraczek, obwieszony sakwami, a wspiórający się na sękatym koszturze, jak tylko dwór ten obaczył, zrobił zaraz krzyż święty i pobiegł prędko W swą stronę. Za żebrakiem nadjechał jakiś szlachcic staruszek na szkapie, wlekło się przy nim piesze pacholę, niosąc węzełek na kij, i ci też także, jak tylko się dobili do skrętu drogi, zaraz się oba żegnali, pośpieszając czempędzój. To znów na drabnym wozie Wracali chłopci gdzieś od Wiślicy, – a ci już wcale skokiem pobiegli, jeszcze się oglądali za siebie, żali zły duch mieszkający w tym dworze nie idzie w pogoń za nimi.....

Wiedział już rotmistrz po trochę, dlaczego tych ludzi taka W tych miejscach obejmowała trwoga, – wiedział tóż niemniój

0 wieściach, jakie o tym szlachcicu i o jego dworze krążyły, –
1 dlatego to stojąc, jakoś się sam zaczął namyślać: ma-li też jechać pod noc do tego dworu, albo dać temu pokój?

A były te wieści rzeczywiście niemało dziwne. Kiedyś bowiem przed laty, jak powiadano, szlachcic ten zbrodnię popełnił. Będąc gładkim i młodym, poszedł w konkur o pannę, córkę Morsztyna, kasztelana tój ziemi. Ale poszedł o nią z nim wspólnie i Dro- hojowski, syn zacnego regimentarza, a brat podobno dzisiejszój miecznikowój stężyckój. Z tego współzawodnictwa wywiązały się spory. Ponieważ wszystkie te trzy rodziny były sobie powinowate, więc chciano koniecznie tę sprawę załatwić cicho pomiędzy sobą: ale Domaradzki się zajadł, właśnie jak gdyby go szatan opętał. • Naprzekór pannie i jój rodzicom i wszystkim krewnym, chciał na swojóm postawić koniecznie. Wściekał się więc jak opętany, ludzi gromadził i zbroidł, groził zemstą całemu światu, wyklinał nawet przeciw samemu Bogu. To też go Bóg wtedy całkowicie opuścił i oddał diabłu na zamieszkanie. Widząc to, Dro- hojowscy i Morsztynowie, ażeby nie dać światu ze swoich rodzin zgorszenia, chcieli już szaleńcowi ustąpić. Ale sam regimentarz, lubo już starzec prawie zgrzybiały, oparł się temu, wszystkich za sobą pociągnął i syna z kasztelanką ożenił.

Jak to się potem zrobiło, Bóg tylko wiedział, ale dość że we trzy dni po ślubie najechano nocą na dwór regimentarza, po- burzono wszystko do szczętu, poturbowano ludzi, przyczóm sam regimentarz utracił życie. Czy był zabity, czy wyrzucony w tłumie przez okno, czy apopleksyą rażony w tej strasznej chwili, także się nie wydało z pewnością: ciało jego nieżywe znaleziono pod dworem w ogrodzie.

Czyli ten zjazd zbrodniczy zrobił Jan Domaradzki,* czy jego ludzie, czy może wcale kto inny, rozmaicieby było można wykladać, lecz głos powszechny jego ogłosił zabójcą. Wszczął się tóż z tego ogromny proces. Drohojowscy, dom możny i rozrodzony, wystąpili z zacięciem: żądali głowy zabójcy, in absentia infamii, wiekuiestój bańnicy i żeby jego cała fortuna poszła w kaduki, albo tóż na kościoły. Ale i Domoradzcy, i to wszyscy jak byli: Gryffy, Ostoje, Jastrzębce, Równie i Półksiężyce w podkowie, powstali także za czcią swego imienia i zagrozili prawie wojną domową. Była tóż z tego sprawa bardzo burzliwa na chwilę. Ale jak z jednej strony bernardyni wystąpili jako testamentowi sukcesorowie całego janowskiego majątku, tak znowu prawie w tę samą chwilę nadeszła wojna wiedeńska, – a tak i Drohojowcy i Domoradzcy, mając obyczajem ojcowskim dobro pospólne zakarbowane w swych sercach na piórwszym miejscu, złożyli wszystkie swoje prywaty. Tak owa głośna historia zrodziła tylko piękny przykład dla drugiej braci, a zamierzony proces nawet nie doszedł do sądów...

A Domoradzki zniknął na wiele lat. Gdzie wtedy bywał, nikt nic o tem nie wiedział. Jedni się domyślali, że gdzieś umarł mi-

żernie, – drudzy go powiadali pokutującym w jakimś bernardyńskim klasztorze, inni ominowali inaczej, lecz jeszcze inni, którzy tak rozumieli, że człowiek pokalany takim występkiem nie może być tylko sługą diabelskim, opowiadali jako rzecz pewną, że ten srogi zabójca bawi się kędyś w dalekich Węgrzech i tam wysługuje się diabłu za sukurs, dany sobie przy owym zajeździe. Opowiadano nawet, że został pojmany ze zbójcami i stracony w Wenece, o czym przyjsć miała relacya do kancelaryi królewskioj. Bardzo się na tę powieść wzdrygniono, rozniesiono ją wszędzie i imię tego człowieka na wieczne czasy przeklęto...

Ale tymczasem po latach wrócił ten Domaradzki. Ledwie temu wierzono, bo tóż i ledwie był do poznania. Jednakże ci i owi, przypatrzyszy mu się z daleka, tymże go samym uznali; mówili tylko, że zły duch wlaższy w niego, srogie w nim dewastacye poczynił. Była tóż wielka o to ciekawość, co się z nim wyrabiało przez te wszystkie czasy; ale ponieważ już się go wszyscy raz na zawsze wyparli, a ztąd nikt nie miał odwagi zbliżyć się do niego, więc tóż i trudno było czegoś się dowiedzióć. Wiedziano tylko z pewnością, że był u zbójców węgierskich, że się wraz z nimi zapuszczał, brojąc aż do krain weneckich, że tam był pojmany i już miał być tracony; bo to konstatowano w kancelaryi królewskioj. Lecz więcej niż Aż* tu tymczasem dostał wojewoda Tataru jeńca, którego ubrał z cudacka i woził czasem jako pajuka za swoją wielką landarą. Był więc raz z tym Tatarem w dzień odpustowy w kościele, gdzie się tóż znalazł i Domaradzki. Wychodzą ludzie z kościoła i on wychodzi, jak zwykle prędko, unikając ludzkiego wzroku. Aliści Tatar, który stał w bramie, jak go tylko obaczył, złożył w krzyż ręce przed sobą i upadł przed nim na ziemię. Wszyscy na to patrzyli, ba i słyszeli na własne uszy, jako powstawszy z ziemi, rozmawiał z nim na chwilę z tatarska. Wzięto zaraz tego Tataru i wypytano: jakoż klął duszę i ciało, że to pan jego dawny, jakoby Murza, który wodził przez czas niemały pułki tatarskie, a któremu on służył. Już go od tego czasu nazwano Murzą tatarskim; lecz pomyślano nieledwie lepiój: bo czy to ludzka jest rzecz, zabić zacnego regimentarza i miast pokuty, służyć zbójcom węgierskim, zawlec pocziwe imię pod szubienicę, nuż jeszcze potóm podejść pod buńczuk tatarski? – Jakoż tak wyiluminowano tę rzecz, jakoby już duch nieczysty miał w nim zamieszkać na zawsze. Bronią go z tego bernardyni. Jak mogą: głoszą go nawet nad wielu innych' pobożnym, ale się ta obrona na nic nie zdaje. Trudno tóż można w to Wierzyć, po najpierw: kiedy taki pobożny, czemuż go ci ojcowie nie przyjmą do swego klasztoru, chociaż ich prosił o to óddawna? A potóm, toż sami jeżdżą ciągle do niego, ba i mieszkają tam czasem, pędząc z niego szatana dyscyplinami, postem i innemi karami; czemuż go nie wypędzili dotychczas? Nuż więc inne rzeczy, te bydła srogie, te konie wronę, te urodzaje! Wszystko to tam

się winie jak z płatka. U ludzi głód, puste obory, powymiatane spichrze, ubostwo w polu, tam bogactwa nad podziw, a choćby rok dla całego kraju najgorszy, zboża się walą. A cóż dopiero i ten sam Marża nie wyprawia ze sobą! Włóczy się ciągle po od-pustach i miejscach świętych, modli się niby, idzie na klęczkach do cudownego obrazu, a on tymczasem łowi grzószników, do swego dworu ich zaprowadza, aby ich jeszcze ku większym grzechom przywoził. Toż i po drodze około dworu a niełraz i na drodze zasiada, dziady tam jakieś przybiegają ku niemu, babska stare obrzydłe, kalóki chrome, garbate, ślepe, on im niby jałmużny rozdaje, a to Bóg nie wió, jaka to tam biesiada. Toż i po nocach już go napotymano na polach, harce jakieś wyprawia: mieni się w lisa, to znów w zająca, to w wilkołaka, tumany straszne! Zróbcieź tylko krzyż święty, wszystko to niknie jak ćma, – a Murża idzie piechotą, różaniec liczy, a za nim wiodą dwa wronę konie. Tożby tu nikf do tego dworzyska nie wstąpił za nic. Ba i przejeżdżać tędy, zwłaszcza wieczorem lub zgoła w nocy, nie jest całe bezpieczne. Niejeden tu już przy tych drogach rozstajnych zwałił się z konia, niejedna oś tutaj pękła, niejedno koło prysło na moście jak szkło, a ilu ludzi, wjechawszy tutaj, w te pola, błędziło po nich do świtu, aniby tego wyliczyć. Można by się jeszcze daleko więcej o tych rzeczach dowiedzieć, zwłaszcza poszedłszy między lud prosty, mieszkający w sąsiedztwie...

Ciekawy rotmistrz już się był o tem wszystkiem naprzód wywiedział, więc popatrzwszy teraz przy Zmroku na to straszliwe dworzysko, jakoś mrowie go przeszło. Wiedział on wprawdzie i o tórn, że roztropniejsi ludzie całe inaczej rozumieli o tym szlachcicu, – niemniój on sam skłaniał się także ku innemu wierzeniu, – r prócz tego jeszcze miał 'osobliwe powody poznać się zblizka z tym Murżą, miał względem niego nawet pewne zamiary, jednakże zawsze, zwłaszcza że był już w diabelskich szponach, o czóm dość często wspominał, bardzo się jakoś namyślał. Tak sam nie wiedząc coby miał począc, zwróci się jeszcze do swego wyrostka i rze-cze :

– Mości Rzepecki! a co waść mówisz? Jest taka mowa, że tutaj diabli mieszkają w tym dworze. Jechaćli do nich pod samą noc, albo dać temu pokój?

– Mości panie rotmistrzu! – rzecze na to szlachetka, – nie wadziłoby widzi mi się i z djablami się poborykać. W Bogu nadzieja, że nas nie zjedzą, a taka praktyka może się kiedy przydać na Sasów.

A kiedy chłopiec był taki śmiały, trudno miał stary żołnierz się cofać. Jakoż rzekł zaraz:

– Dobrze to mówisz. Jedźmy więc w imię Boże!

Jadąc zaś, tak powiadał:

– Kiedyby do nas co przystąpiło, będzie to sprawa nielada, bo jużem ja się z nimi borykał na Ukrainie. Pan Bóg wyzwolił,

alem się po tych opałach tak haniebnie zchorował, że mi cała czupryna wylazła. Jednakże tuszę że tu tego nie będzie, bo to i dziwni bywają ci nasi ludzie: widzą nieraz diablisko tam, gdzie go nigdy nie było, a nie widzą go tu, gdzie im siedzi na karku...

Na to zaś rzecz wyrostek: .

– Panie rotmistrzu! trudno snąć mają diabli mieszkać u takiego szlachcica, u którego bernardyni mieszkają, bo jakżeby się ze sobą godzili? Jakoż to pewna, że ich tam niema. Ale tam gorsza jest rzecz. Bo kiedy ten szlachcic, jak powiadają, służył pod buńczukiem tatarskim, ba i sam jeszcze był starszym, to już diabła nie trzeba...

I i– Otóż widzisz, – powiedział rotmistrz, że jest taka rzecz, że jeżeli on był Tatarem, to mi to teraz bardzo może posłużyć. Dawno ja szukam takiego człowieka, coby znał mowę tatarską. Jużćić jeżeli tam tak jest jak ja myślę, to ja i tak jego za wolą Bożą wyswobodzę z tej biedy, ale kiedyby jeszcze do tego umiał mowę tatarską, tobym go wcale jeszcze i wy kierował...

A tak jadąc pomału, zajechali przed ganek. Zesiadłszy z konia, szedł zaraz rotmistrz do sieni, a szedł pomału, aby tóż widzieć gdzie jest, a nie włożyć w jaki kocioł z kipiącą smołą... bo choć się nie bał nic zgoła, przecie .mu owe wieści siedziały w głowie. Aleć już prawie na piórwsze wejrzenie mógł się być uspokoić. Mógł być nieledwie zgadnąć, co tu obaczy, bo tak tu było wewnątrz, jak też i zewnątrz. Sień prawie ogromna, wysklepiona u góry, wyłożona kamieniem, chmurna, wilgotna jak grób. Przycisnął klamkę po prawej stronie, komnata dziwnie ponura: ściany poobdziorane, sprzęty podruzgotane, pyłu wszędzie na palec, pająki przędą po wszystkich kątach. Taką komnata druga, ba i trzecia i czwarta. A cisza wszędzie, jak na pustkowiu. Aż dopiero w, komnacie piątej cokolwiek ludzi. Zmrok już zaczął zapadać na dobre, więc niełatwo było rozeznąć; lecz rozpatrzywszy się, obaczył rotmistrz wszystko jak trzeba. Jakoż i dziwna cokolwiek, co mu się tu pokazało.

Na ziemi, a raczej mówiąc, na niskim klocku drewnianym, siedział Murza schylony. Głowę trzymał w obudwóch rękach, łokcie wsparł na kolanach i tak zapadł jak gdyby w jakąś zadumę. Smutna to wszakże być musiała zaduma, bo był do połowy rozebrany, miał na sobie koszulę tu. i owdzie, a osobliwie na plecach, jakby we krwi umaczaną... Niedaleko od niego, oparty bokiem o okno, stał mnich bernardyn, chłop barczysty i rosły, który trzymał księgę w obudwóch rękach, kończąc w niój jakieś czytanie... Zaś na kamiennój posadzce leżała dyscyplina skórzana, której końce dość liczne były w druty poobwijane...

Kiedy to rotmistrz obaczył, dziwnie mu się serce ścisnęło. Już mu się teraz wszystko wyświóciło odrazu. O! jakżeż biedny człowiek! Dwakroć i trzykroć biódny i może już biedniejszego nić-

masz na całej ziemi. Już teraz rotmistrz byłby mógł sam zasiąść gdzie w kącie i zapaść jeszcze w daleko głębszą zadumę...

Ale tymczasem na dźwięk jego butów kowanych obejrzał się bernardyn. I Murza podniósł także głowę do góry, – ale zrazu jak gdyby nie mógł się ruszyć... Wstał przecie wreszcie, ale był tak zmieszany, że nie umiał i słowa wymówić. Rzecz więc rotmistrz:

– Tak mi się widzi, jakbyś mnie waść wcale nie poznał.

– A jakto? – odpowiedź Murza, – poznałem waści odrazu. Jeno mnie to zadziwiło, zkądś się tu wziął tak niespodzianie, właśnie jakobyś upadł z obłoków...

– Dajże to Boże, – rzekł na to rotmistrz, żeby tu w rzeczy upadł jakby z obłoków, bo jako widzę trzeba ci kogoś takiego koniecznie...

Spojrzał Murza z uwagą na niego, ale mu rękę ścisnął w milczeniu. Zwrócił się potem do mnicha i rzekł:

– Dał nam Bóg gościa, trzebaby co o wieczerzy pomyśleć... Kiedy zaś wyszedł bernardyn, rotmistrz zaraz ręce załamał przed sobą i zawołał boleśnie:

– Boże mój wielki! cóż się to dzieje z waszmością, że się tak krwawą karzesz rekolekcyą?

– Cóżby się działo? – powiedział Murza, oczy spuszczaając ku ziemi, – modli się każdy Panu Bogu, jak może.

Tedy rotmistrz już tylko westchnął, a tak obadwa przez małą chwilę milczeli...

Wziął wreszcie Murza jakiś kubrak na siebie, obłócił się przyzwoicie i wyprowadził swojego gościa do drugiej komnaty, gdzie tóż niebawem przyszedł bernardyn z kluczami, a za nim przyniesiono wieczerzę. Przy wieczerzy rozmowa. Lecz chociaż i jadło było dość smaczne i miód przewyborny, dla zgłodniałego rotmistrza rzeczy nadzwyczaj miłe, wesołości już jakoś nie było. Mówiono o tóim i owóm, ale tak jakoś smutnie jeden na drugiego spoglądał, że chociaż potracono o jaką ważną materyą, przecieź im słowa zamiórały na ustach. Siedzący przy nich bernardyn zdrzómał się nawet cokolwiek i tak się kiwnął potężnie, że aż mu rożek wyleciał z ręki. Szkoda to wielka, bo była w nim sandomierka prawdziwa,* a prawie wszystka się wysypała.

Widząc to, rotmistrz rzecze do niego:

– Jegomość śpiący.

– Mroczy mnie trochę.

– A wiósz jegomość, – rzecze mu rotmistrz, – co ja czynię w tym razie, kiedy mnie mroczy? Mówię dobranoc i idę spać.

– Otóż i ja tak zrobię, – odpowiedział bernardyn i pokłoniwszy się grzecznie, poszedł.

Jak tylko drzwi się zamknęły, w rotmistrza zaraz jakby inny duch wstąpił. Wychylił cały kubeczek miodu, przysunął się żwawo do Murzy i rzekł:

– Kiedyśmy sami, pogadajmyż rozumnie, bo jako widzę czas na to wielki. Powiódzże mi, mój Murżu, za cóż ty siebie tak dręczysz?

A Murża na to jakoby smutno:

– Grzóchy to, panie bracie, grzóchy! ot, jak to u ludzi zwyczajnie.

– Powiódzże, jakież to grzóchy gniotą ciebie tak ciężkie, żebyś za tyle lat nie mógł ich jeszcze odpokutować? .

– Stała się diabłu pociecha, niechże ją sobie trzyma.

– Hm! – mówił rotmistrz, – nie chcesz mi się spowiadać, jakobym właśnie ze złą chęcią przybywał. Otóż ja tobie powiem, że wiem o tych rzeczach i bez ciebie...

– Ot! co mi pomoże* – powiedział Murża, – kto o tórn nie wió? Wiedzą tórn drudzy i więćj nizeli było. Ale niechaj i tak! Niechaj już walą na mnie co chcą: niechaj mi będzie i najcięćj za życia, może lżórn za to będzie po śmierci!

Podobała się rotmistrzowi bardzo tak nizka pokora, jakoż rzekł zaraz:

– Panie bracie! jeżeli ty z serca to mówisz, toż to niezła jest rzecz. Już ty nie musisz stać na ostatniern miejscu na rejestrze u Pana Boga, kiedy ci pozwolono obudzić w sobie taką piękną pokorę. Już tedy masz bardzo wiele, – ale zda mi się przecież jeszcze nie wszystko. Jakoż tak myślę, że samiuteńka pokora, choćby i dwakroć więćsza, jeszcze ciebie nie zbawi...

A Murża na to westchnął głębnoko i rzekł jakby z trwogą:

– Czemużto, panie bracie?

– Bo już tak jest! – powiedział rotmistrz dobitnie, – bo jeżeli czynem kto zgrzószył, ten tylko czynem może swój grzórn naprawić. Żle się zrobiło, dobrze trza zrobić, aby się szala zrównoważyła. Tęgom ja to rozmyślił, nimem do ciebie przyjechał. A tak ci mówię, jak jest. Wióddzże więc o tórn, że ja tu nie z lada czórn do ciebie przyjeżdżam, jeno tak: alboś ty jest zgubiony na zawsze, – a wtedy nic, albo jest jeszcze ratunek dla ciebie, a wtedy – ten ratunek dam tobie ja. O! ja, jak mnie widzisz! – A ty się temu nie dziwuj, bom ja także jest medyk i nie jedne- gom już wyprowadził z choroby. Proste ja dają lekarstwa, ale i te pomagają niekiedy, jako więc zwykle w chorobach. Leczy się kto spirytusami, mało mu to pomaga: przyjdzie baba, przyłoży mu kawał ziemi, anoż i zdrórn. Otóż i ja tobie taką przyłożę pokutę i będziesz zdrórn!

Słyszac Murża te słowa, uczuł się jakoś dziwnie pochwyconym za serce. Od lat dwudziestu czynił on prawie najsroźszą za swoje grzóchy pokutę, – a nie czuł żadnórn ulgi w swojórn sumieniu. Od lat dwudziestu, krom dwóch litościwych sąsiadórn, którzy jak żebrakowi rzucali mu swego miłosierdzia jałmużnę, żywy duch się nie zniżył ku niemu, aby braterskiern pocieszyć go słowem. Od lat dwudziestu jego dom był jak zapowietrzony, a on sam jak

wyklęty,, jak z pod prawa wyjęty, jak bannita w swym własnym kraju. I to wszystko już trwało ćwierć wieka, i trwało ciągle, i najmniejszej nie było nadziei, żeby się kiedy skończyło. Nieszczęśliwy pokutnik, powalony rozpaczą, żywcem zamknął się w grobie, – sam bez litości nad sobą, katowską chłostą zabijał siebie pomału, – chciał się już zabić czempredzej, ażeby uciec z tój ziemi, choćby do czyścica, choćby do piekła, bo już i piekło nie mogło być gorszem dla niego! – tymczasem dziś, o czóm już nawet i myśleć nie śmiał, zjawia się przed nim człek zacny, mąż prawowierny, rycerz pobożny, który dom jego nawiódza, sam bratnie ku niemu wyciąga ramiona i jeszcze pewny obiecuje ratunek. Jemu się zdało, że leżącemu w trumnie nagle ktoś wieka uchylił i pokazał świat- Boży, najświęźszą rozzielenioną wiosną. Co m ł się od lat niepamiętnych nie wydarzyło, dusza się jego rozśmiała'...

Wszakże był skromny w swój pokutniczój pokorze. Zanadto dawno już stracił wszelką nadzieję, aby mógł wierzyć, że wróci. Zanadto wiele już środków pokuty doświadczał, aby mógł myśleć, że jeszcze są jakie inne...

Jakoż po krótkióm milczeniu, wróciwszy n&zad do swego smutku, rzekł do rotmistrza:

i4– Bóg niech tobie zapłaci za twoje chęci chwalebne. Piórw- szyś ty człowiek na świecie, który braterskiem sercem pomyślał o mnie. Ale wiódz o tóm, że i najlepsze chęci się tutaj na nic nie zdadzą. Ból i pokora! jeśli to nie pomoże, nic mi już nie pomoże.

- -- Panie bracie! – rzekł rotmistrz, patrząc na niego z uwagą, – dobre i to, nióma co mówić. Ale ty sam to widzisz, że nie dość na tóm. Trza tu coś więcej; trzeba pokuty, trzeba naprawy. Małós ty jeszcze pokutował w twóm życiu, kiedy Bóg nie wszedł do twego -serca z pociechą. Trzeba więc zrobić coś więcej, trze- baby inną obrać ku temu drogę...

y – Małom ja pokutował?! – powtórzył Murza, jakby mówił do siebie, – ażaż to wió kto, przez jakie ja przechodziłem katusze?

I milczał chwilę. 0 -r– Małom ja pokutował?! – zaczął mówić na nowo, – ażaż ty wiósz o tem cokolwiek? Byłżeś ty' tutaj natenczas, kiedy się to zabójstwo spełniło? Słyszałeś o tóm? Wiósz jak to było? Ja już sam nie wiem!... Wiem tylko tyle, że byłem przedtem takim człowiekiem, jak inni. I lepszym może! Nikt tu z ówczesnych młodzieńców nie miał tyle miłości u ludzi, jak ja. Wyrostkiem jeszcze miałem już sławę wojenną; zaledwiem dojrzał, sprawowałem urzędy. Raj się otworzył przedemną, sięgnęłem ręką po niego. Ale on stanął mi w drodze, hańbę mi cisnął na głowę, podał w pogardę u ludzi! I rozgrzała zemsta w móm życiu, jak piekło. Bronięm się jój, Bóg świadek; alem był słaby. Był jakiś duch wtedy

we mnie, który mi ciągle szeptał: póty nie wskreśniesz, póki go nie zabijesz. I wszystko mnie do tego nagliło. -Kot czarny, który siadywał na piecu, pies, który się łaścił koło mnie, koń, który chodził podemną, każdy mi mówił: Zabij! Wicher nawet, który jęczał po polach, deszcz który padał, woda szemrząca na Nidzie, wszystko mi wtedy śpiewało: Zabij go, zabij! – Jak się to stało, sam już dziś nie wiem... Pomnę tylko jakoby ze snu, że się dom mój ja- kiemiś ludźmi napełnił, że biesiadowano po wszystkich kątach, że broń ładowano, szable ostrzono na Drohoj o wąskich! Trwało to nie wiem jak długo. Aż jednej nocy: regimentarz zabity, a Domaradzki zabójcą!...

.! – 'Na ten głos straszny, powiadał Murza dalej po chwili, – zerwała się szlachta j wstała. Powiadano że chciała mścić się, dom mój rozburzyć, mnie zabić, trupa mojego powłóczyć. Nie wiem.. jam siedział tedy w piwnicach. Czegom nie znał na życiu, straszliwa trwoga mnie owionęła natenczas. Serce tłuło się we mnie, włosy wstawały na głowie, zimny pot mnie obłował: ciało regimentarza ciągle leżało przedemną. Skryłem się przed nióm pod ziemię, potargałem szaty na sobie, pogryzłem ręce, pokrwawiłem twarz moję: nic nie pomogło!... Straszliwe męki wycierpiałem natenczas: i w piekle nie może być gorzej!... Aż nareszcie i najechano na dom mój. Tu w tych piwnicach słyszałem gwary tego zajazdu, słyszałem łoskot walonych murów, trzeszczących dachów, upadających głązów; wszystko to się waliło na mnie, jakby mnie żywcem chciano pogrzebać. I cisza potóm nastala... .

– Jam był żyw jeszcze, – powiadał grzósznik pó chwili, – żyw i przytomny o tyle, aby pamiętać zabójstwo. Z pamięcią skrucza się obudziła w móm sercu. Wyszedłem z piwnic. Noc była. Jam biegł przez pola, rzucając dom i ojczyznę na zawsze. Biegłem i łkałem jak dziecko. I biegłem wtedy do Rzymu; chciałem się rzucić do nóg Ojcu Świętemu, prosić o naznaczenie pokuty, na absolucyą pracować. Myślałem wtedy: grzóch ten, jak drugi, da się przecież odpokutować. Ale mnie Pan Bóg straszliwie za tę lekkość pokarał, bo mnie nie dopuścił .i* do Rzymu! W górach węgierskich pojмали mnie zbójcy, zdarli, skrwawili, chcieli życie odbiórać. Namysłili się potóm inaczej, *zabrali z sobą i kazali się włóczyć. Straszna to była kara od Boga: zbójca niegdyś z namiętności chwilowej, musiałem potem żyć z zbójcami' sypiać po lasach, kryć się w jaskiniach, ciągnąć na rzeznie i mordy, poić się łzami ludzkiemi, karmić się chlebem skrwawionym! Schwytany potóm przez milicyą wenecką, do ciemnicy wrzucony, "biczowany przez zbirów, przez lud oplwany, pod szubienicę doprowadzony: udarowany życiem na końcu.

– Uszedłszy ztamtąd, – powiadał dalej nieszczęśliwy pokutnik, – puściłem się pędem do Ziemi Świętój. Myślałem sobie, pójdę tam, gdzie Bóg żywy największe zbrodnie przebaczył. Pójdę na klęczkach do Jego grobu, będę tam krzyżem leżał na twardych

głazach, będę tych bram przenajświętszych pilnował, będę tam najpodlejszym sługą sług Jego, – a tak po latach, może choć na dzień jeden przed śmiercią, może choć w chwili skonania, uczuję dawną lekkość mej duszy. Ale mnie Pan Bóg i ztamtąd odepchnął! Ledwie się dobiłem do Wołoszczyzny, trafiłem zaraz na tatarskie zagony. Zabrani przez nich, zaprowadzony w stepy, jużem był pewny że zginę. Ale gdy Bóg się odwrócił odemnie, to i śmierć mnie nie chciała. Szatan sobie podobał we mnie, i podobali sobie poganie. Nauczyli mnie mowy swojej i praw i zwyczajów—a kazali się uczyć użytku broni, obyczajów wojennych, położenia tutejszych zamków i grodów. Sam nie wiedziałem co robić i długie czasy milczałem. Lecz potem znowu mnie szatan pokusił. Myślałem sobie: dam się im zażyć, abym ich sam zażył na potom. Zostanę starszym, pójdę do góry, na chana się z czasem wydra- pię,-*-a wtedy albo ochrzczę "to całe pogaństwo, albo wygubię do szczętu...

Tu Murza umilkł, milczał przez chwilę, a potem rzekł:

–i Ot! jakie to myśli szalone przychodzą człeku do głowy, kiedy go Pan Bóg odstąpi! Trudno już mówić, co było potem. Wiele to lat upłynęło natenczas, już się i pogmatwały w pamięci. Piekielne męki, jakie mi przyszło przecierpieć, niechaj będą na chwałę Boga... Jużem tóż i powrócił do domu. Gorszym może powrócił, niżelim wyszedł. -Bernardyni mi mówią inaczej, aleć to dobroć tych ludzi... Czuję ja sam najlepiój, co się we mnie dzieje. Niemasz pociechy we mnie, niemasz tu Pana Boga nademną!... Widzą to ludzie najlepiój i uciekają przedemną... Ja sambym uciekł przed sobą, gdyby się to snać mogło bez drugiego zabójstwa. Niechbym choć wyszedł z mojego domu, gdzie mi się wszystko wiedzie do unudzenia, – a jak się wiedzie! Żeby choć jeden rok miał nieurodzajny, żeby mi jedno bydłę upadło, żeby koń jaki zginął, żeby choć kiedy zgorzał, – ni mowy o tó! Wszystko się mnoży jakąś mocą szatańską – ku potępieniu memu po śmierci. Żeby choć na to nie patrzył! Ale i tego nie można. Parę miesięcy temu chciałem nagiemu chłopcu całą darować fortunę, – jeszcze mnie odtrącił. Żeby choć Bobrowniccy... ale i to są głązy* Z Drohojowskimi ani mówić nie było można. A kiedy oni nie chcą przebaczyć, – jakże mi Bóg ma przebaczyć? Ażaż nie powiedziano wyraźnie: Nie zbawię was bez was?

Tu Murza umilkł już całkiem, ale się zdało, jakby po tej spowiedzi przecież był trochę weselszym.

Więc tedy rotmistrz, rozmyśliwszy sobie to wszystko, bardzo się nad nim zlitował. Niepodobna mu było nie wzruszyć się tylu mękami, które ten człowiek wycierpiał, lecz jeszcze większa litość zdjęła go nad nim dlatego, iż te męczeństwa dotychczas żadnój nie przyniosły mu ulgi. Zdawało mu się nawet, jakby ten długoletni pokutnik, czy to przez wy cierpienie takich srogich katuszy, czy przez bezustanne rozmyślanie nad swoim gróchem, po części

zdrowe widzenie rzeczy utracił; zdawało mu się, jakby i na umyśle trochę podupadł i w swóm obłąkaniu szukał tego po bocznych ścieżkach, co można znaleźć tylko na prostym i oddawna ubitym gościńcu. Jakoż zabrawszy głos, tak mówił do niego:

– Straszne są sądy Boże! niema co mówić. Stawiasz ty temu dowód najlepszy sam sobą. Jakoż cobądźby tu kto na to powiedział, ja wierzę z tobą: że Boska to ręka była, która cię odrzuciła od Rzymu, i Boską ręką nie dopuściła ciebie do Ziemi Świętj. Ale się nigdy na to z tobą nie zgodzę, żeby ci to niei pomogło. Owszem, jestem ja pewny aż nadto, że jeżeli ci Pan Bóg całkowicie już nie przebaczył, to ci co najmnioj już przebaczył w połowie. I nie powiadaj ty mi, że tak nie jest: bo jakież masz na to dowody? Oto mi mówisz: że ponieważ ludzie ci nie chcą przebaczyć, a więc i Pan Bóg ci nie przebaczył. Aleć to wcale nie mądra, ba i pogańska konkluzya. Ażaż to Pan Bóg mniej ma mieć miłosierdzia, niżeli ludzie? a gdzieżeś to ty wyczytał? he?

– Panie bracie! – rzekł na to Murza, – wiem ja ci o tórn, że u Pana Boga więcej jest miłosierdzia, niżeli u wszystkich ludzi. Ale ażeby grzóch był odpuszczony, trzeba koniecznie, ażeby szkoda wyrządzona tym grzóchem była wynagrodzona... Chcę ja to zrobić choć w części, chcę to przynajmniej uczynić, co jest w mojej mocy, chcę spadkobiercom, nieboszczyka regimentarza oddać całą moją fortunę...

– Proszę cię, – przerwał mu rotmistrz, nie mówże takich rzeczy, bo to jest tylko mrzonka twego skołatanego umysłu. Ażaż śmierć ludzką^ można nagrodzić jakimikolwiek grzywnami? Nie można. A jeśli zrobiwszy źle pewnej rodzinie, chcesz jój zaś co dobrego uczynić, co i ja tóż ci chwalę, to dlaczegóż się przy tórn upierać teraz, kiedy teraz nie można? Niecierpliwys jest, panie bracie! poczekaj trochę, przyjdzie czas jeszcze i na to, a z czasem znajdą się i sposoby. Jakoż i o to tu wcale nie idzie. Tu idzie

0 to, ażebyś ty grzóch przez ciebie spełniony nietylko odpokuto- • wał, ale ażebyś się podniósł także z tego upadku, w który cię grzech ten potracił. Nióma co mówić, robisz ty wszystko ku temu

1 nawet dobre obiórasz środki: korna modlitwa i umartwienie, śliczne to rzeczy, miłe Bogu i niezawodnie skuteczne. Ale jeżeli i modlitwa i umartwienie nie pomagają jeszcze zupełnie, wiószże ty, panie bracie, że jeszcze inne są środki? a środki takie, które także są Bogu miłe, a czasem jeszcze skuteczniejsze od tamtych. I środki takie, które sam Bóg nakazuje, i dla których w potrzebnym razie gotów uwolnić od części modlitw -i dyspensować od samowolnych umartwień. Cóż to są tedy za środki? Oto dobre uczynki. A pomyślałeś ty kiedy i o tój trzeciój pokucie?

– Kochany bracie, – rzekł na to Murza, nie moja to rzecz jest wyliczać to wszystko, co się komu dobrego zrobiło. Lecz

kiedy o tóć jest mowa, to powiem sumiennie, że i o tóć się także pamięta...

– Pamięta się, – rzecze rotmistrz, – nie przeczę temu; ale tak mówię, że się mało pamięta, kiedy nie widać skutków. Biednych wspomagać, jałmużny dawać, prawić popsutym ludziom morały, piękne to rzeczy, lecz czyny takie tylko zgrzybiałym starcom a sędziwym matronom wystarczą: mąż obywatel, krzepki na ciele i zdrów na umyśle, nie powinien na tóć poprzestać. Jeśli poprzestał, baba jest z niego i niech do kądzieli zasiada! A to ci mówię, jak jest. Przejdźmy więc teraz do innej materyi, lecz na to, aby znów do tej samój powrócić. Powiadasz ty mi, że się bracia ciebie zaparli'i znać cię nie chcą. Jużci tak jest. Ale tobie* się zdaje, iż się ciebie zaparli dlatego, żeś tam kiedyś przed laty zrobił zajazd na Drohojowskich, przyczóm człowieka zabito, – a to tak nie jest. Wiesz ty więc, czemu się ciebie bracia zaparli? Ja tobie powiem, a wiem to pewnie. Oto dlatego że oni cale nie widzą, dlaczegoby cię mieli nazywać swoim. Posłuchajże mnie. Rodzi się człowiek na tej kochanój ziemi, czuła mateczka go żywi, karmi, hoduje, zgoła go pielęgnuje jak może. Nió masz już nad nią troskliwszój matki na całym świecie. Jakie ona ma role, jakie wydaje chleby, jakie piękniutki wychowuje bydełka, jakie ma wody, jakie powietrze i jakich innych klejnotów bez miary! A wszystkich tych darów Bożych nikomu ona nie skąpi. Niechże to będzie podrzutek, niechaj występnik, niechaj i zbójca nareszcie, każdy więc u niój znajdzie przytułek i może ssać u jój piersi do syta. Któćy więc wdzięczny jest synek, już tego żadnym sposobem ścierpióć nie może, aby tóć czego nie robił, czemby tej matce nieporównanój w wychowaniu jej dzieatek a swoich braci nie pomógł. Jeden więc sobie jest kmiotkiem, drugi zaś rzemieślniczkiem, ten traktuje rycerską, tamten sprawuje urząd, ów dźwiga na swoich barkach nieprzeliczone oby watełkie ciężary, inny za łaską Bożą jest stróćzem wiary, a wszyscy razem służą swój matce pismem lub słowem, mozolną pracą. Powiódźże mi, mój bracie, cóż więc ty robisz? Wypasasz krowy, aby się dobrze doły dla bernardynów!

A tu wstał rotmistrz i przeszedł się parę razy po izbie. Murza milczał w pokorze, więc rotmistrz wrócił i tak znów mówił:

– Za cóż więc ciebie mają ci ludzie nazywać bratem? za cóż się mają garnąć do ciebie, kiedy ty sam się ku nim nie garniesz niczóm? Kiedyś przed laty służyłeś w wojsku i sprawowałeś tam jakiś urzędzik; ale potóm wyszedłeś z kraju, nie było cię. Wróciłeś i jesteś, ale cóż komu z ciebie? Dbasz o zbawienie duszy, to prawda, – ^jesteś więc wielkim dobrodziejem dla siebie, – ale dla twoich braci sobek jest z ciebie wierutny. Powiódźże, panie Janie, nie przyszło ci nigdy na myśl trochę posłużyć braci?

A Murza na to zawsze jeszcze dość smutnie:

– Ej! mój kochany rotmistrzu, jakżeż tóć możesz, pytać mnie

o to? czym ja jest jaki wyrzutek? czy też zaprzaniec? A wszakżeż, Bogu niech będzie chwała, chód przynajmniej z tój strony nie obrzucono mnie winą. Toż i myśli się o tóim, i nieraz! Ale powiedz mi, bracie, mogleż ja o tem myśleć bez gróchu? Popatrz na ręce moje, zajrzyj w mą duszę. Na rękach krew, na duszy ciężar nie- uniesiony. Sprawa pospolitego dobra jest świętą: godziż się do tśj świętości przystępować z rękami zbrczonemi krwią?

r-i1 Hm! – mruknął na to jmc Wiszowaty, – jest to niby argument, co mi powiadasz. Niema co mówić: do czystych rzeczy trza czystych ludzi. Jakoż ci powiem, że ten argument bardzo mi się podoba, nie dlatego, żeby był mądrym na każdy sposób, ale dlatego, że on próbuje twoją wielką pokorę. Tedy ja tobie pokorę chwałę, ale argument nego. I tak ci mówię, prosto ze serca: Chowaj cię Boże, żebyś ty teraz miał jaką sprawę wedle pospolitego dobra poczynać na własną rękę, albo też stawać na czele, – to rzecz nie twoja, – ale dlaczegobyś nie miał wespół z mniejszymi posłużyć, tego nie widzę. Pan Bóg jest świętszy, ba przenajświętszy. A kiedy ty się nie wahasz zbliżyć do Pana Boga, kiedy po kilka razy na dzień przystępujesz do Niego to modlitwą, to umartwieniem, to inną służbą: za cóżbyś nie miał jeszcze śmie- lój przystąpić do służby około pospolitego dobra? Powiem ja tobie, mój bracie, że niómasz na całym świecie tak popsutego człowieka, żeby tam w jego sercu jeszcze się nie znalazła jakaś cząsteczka czysta: jest to jakoby perła, która nachodzi się w śmieciu; niechaj więc taki człowiek weźmie tę perłę do ręki i niech ją złoży na ołtarzu pospolitego dobra, ręczę ja tobie głową, że nie pogniewa się za to Bóg. Jasna rzecz. A ja jestem pewny, że takich pereł jest w twojóm sercu może i cała garść. I dlaczegóż je trzymasz w ukryciu? Zabierz więc wszystkie te perły, obmyj miłością, namaść je poświęceniem, a wtedy krzyżyk na piersi i dalej w świat! A czas jest bardzo po temu, – winnica nasza stoi na ścieżaj otwarta, – gadu, robactwa, pasożytnego zielska w niój moc, a rąk niewiele i głów niewiele. A więc co myśleć! Pana Boga na pomoc i w drogę! Nie czujeszże w sobie ochoty?.

– Panie bracie, – rzekł na to Murza, promieniejąc cały do niepoznania, – ledwie pamiętam na życiu, żeby mi tak serce skakało do czego, jako do twojej namowy. Już też i nie wiem, żali kto z robotników pomniejszych może być przydatniejszym ode- mnie? Bo niechaj cała moja fortuna w to wsiąknie, niechaj ja sam w tóim przepadnę, to ani jedna łza przez to nikomu się nie wycisnie. Niómasz tóż żadnój takiój podróży, którejby ja z chęcią nie podjął, ani niebezpieczeństwa, któremubym ja w oczy nie zaj-- rzał. I że mnie stać będzie na to, niema co mówić. Ale jakże to zrobić? Sam ja jestem na świecie, nikt mnie znać nie chce, któż mnie gdzie zaprowadzi?

– Otóż to rzecz! – zawołał rotmistrz, – a jaż od czego?

Dawajże rękę, a ja cię poprowadzę jakby własnego syna. Otóż to rzecz.

– Panie bracie, – zawołał Murza, zrywając się z miejsca, a łzy mając w oczach – zniżłżebyś ty się do mnie tak bardzo, żebyś mi rękę podał na zawsze?

– Otóż to rzecz! – powiedział rotmistrz, ja ci i rękę podam, i z manowców wywiode, i przed sam ołtarz cię poprowadzę, a tam cię złożę. I już cię wtedy poprowadzą nie tacy jak ja. A wiósz ty, gdzie ja ciebie* zawiozę? Do samego pana Michała.

– Do pana Michała! – zawołał Murza i chciał dalej coś mówić, ale już nie mógł, bo się rozplakał jak dziecko i łkał bez pamięci.

A rotmistrz na to:

– Już więc daj pokój. A co to płakać?... Jeszczeż i mnie do łez przyprowadzisz, a to nie męzka robota. Słuchajże mnie, Murzo, wiószże ty o co to chodzi? Wiósz co jest nabite na warsztat?

– Cóżbym nie wiedział? odpowiedź Murza, –jużci nie kto inny, jak Sasi.

– A jużci Sasi. Nióma więc o tóim co więcój mówić. Powiódźże jeszcze, znasz ty język tatarski?

– A cobym go nie znał? Mało nie lepiój jak swój.

– A to Victoria! – zawołał rotmistrz, – pan Michał do pułapu podskoczy. I da ci takie poselstwo, albo tóż pracę, bo już to potóm, że niech się schowa i biczowanie. A kiedy nie, to i tu będzie robota. Tak poszyjem pomiędzy szlachtę, jako szmermele... Ale tymczasem silentium. Każ tylko wóz ładować na jutro, wyjedziemy na parę dni, a potóm obaczymy co będzie.

Tedy już Murza ledwie się mógł posiąść z radości. Namawiali się jeszcze do późnej nocy, a rotmistrz jemu powiedział wiele ciekawych rzeczy. I tak mu umiał wszystko wyłożyć pięknie, że go z duszą i ciałem pozyskał. Taki to majstrzyk był z tego rotmistrza, a ktoby się. był tego po nim spodziewał?

A już od owej chwili minęło czasu niemało, – z dziesięć kwartałów albo może i więcej, – a o naszych ludziach nic słyhać nie było. Gdzieś jakaś wieść głucha, jakiś list niewyraźny, powtarzany z pamięci, jakaś plotka niepewna, roznoszona po dworach; otóż i wszystko..®

Ale tóż zato do tego czasu postać sprawy publicznej zmieniła się do niepoznania.

Najpierw tedy owe wszystkie królewskie trwogi- ze strony Turków ustąpiły zupełnie. Karol XII bowiem, nietylko że się od nich nie doczekał upragnionych dla siebie sukursów, lecz jeszcze nadto, niecierpliwością swoją wiedziony, uwikławszy się w swary i bójki, obłożony został aresztem. Stanisław, król także, chociaż 'jtfż tylko dla formalnego zrzeczenia się swoich praw do korony, puścił się był do Turcyi, przytrzymany w 'Mołdawii, popadł w detencyą. Tymczasem zaś Chomentowski, wojewoda mazowiecki a poseł królewski do Turek, lubo za poduszczeniem partyzantów szwedzkich, cały rok prawie wysiedział w więzieniach, wydobył się z nich nareszcie i Karłowicki traktat odnowił z Por- tą po wszelkiój formie. Tak więc ta sprawa została już całe doprowadzoną do końca, – w skutek czego i partyzanci szwedzcy, albo tóż poplecznicy stanisławowscy, jak ich zwano naówczas, wyrobiwszy sobie amnestyą u króla, powracali i poosiadali w swych domach. Tak wrócił wtedy Józef Potocki, wojewoda kijowski, Tarło, kuchmistrz koronny, ksiązę Michał z Wiśniowca, Lubomir- scy, Jabłonowscy i inni; toż i pan Michał Potocki, pisarz polny koronny, który i przedtóm niejednokrotnie z Benderu do ojczyzny Tom X.

" --

J§

przybiegał i milczkiem po parę czasów u siebie przebywał, wrócił już także otwarcie i w odnowionym swym dworze na Sędziszewie pocziwym ludziom wrota na ścieżaj otworzył. Już tóż nareszcie niektórym z tych panów przedtóm poodbierane król popowracał urzędy, niektórym innym złożył inne dowody swój łaski, a tych i owych nawet wcale do siebie przygarnął; zkąd tóż ominowano około dworu, jakoby zgoda już miała być zbudowana stateczna i spokój domowy utwierdzony na zawsze

Aleć to dalój jeszcze było od tego teraz, niżeli w czasach najgorszych.

Mimo to bowiem, że jakaś tam niby wrzekoma zgoda się fundowała pomiędzy królem i niektórymi panami, dawno spowodowany rozbrat między narodem a tronem tylko się jeszcze więcój rozszerzył. A główny powód do tego był jeszcze zawsze w tychże samych uciskach, któremi wojska królewskie już od lat tylu gnioły kraj cały, a które, zamiast się zmniejszyć z wzrastającóm bezpieczeństwem od nieprzyjaciół zewnętrznych, jeszcze owszem tómbardzój się pomnażały. Jakoż już dzisiaj konsystowały w kraju nietylko te tam przeróżne gwardye i drabanty królewskie, nietylko te saskie pułki, które zostały oddane pod buławę hetmańską, ale naprowadzono[^] jeszcze piętnaście tysięcy samych wojsk saskich, wzięto na żoład parę pułków zaciężnych, pożyczonych przez króla od księżęcia de Anspach. To też i ucisk ten przeszedł wszelkie oczekiwania. I nie ominął on żadnój prowincyi, żadnego choćby odleglejszego zakątka, można nawet powiedzieć że żadnój wioski, – jeżeli zaś ci i owi panowie, mający łaskę u króla, powyrabiali u niego tak dla siebie jak i dla swoich krewnych libertacye od tych ciężarów, toż jeszcze przez to, im więcój fortun rozległych było libertowanych od konsystencyj i poborów wojskowych, brzemień ucisku tylko tómmocniój dało się czuć panom niemiłym królowi, szlachcie pomniejszej i ubogiemu ludowi. Pomimo to tedy, że cały kraj zubożony tyloletniemi wojnami, nawet i w najbogatszych swych ziemiach nie był już w stanie tych nieskończonych ciężarów ponosić, zdarzały się jeszcze i okolice takie, na które się zsypywało wojska w dwój i trójnasób więcój niżeli go było gdzieindziej, niżeli go nawet mogły pomieścić istniejące budynki. A z tych znów przyczyn wywiązywały się nowe i jeszcze daleko sroższe uciski. I tak najpierw owe nadliczbowe komendy, nie mogąc znaleźć pomieszczenia dla siebie, wyciągały na zdobycz, płókały sobą wioski i miasta, najeżdżały na dwory, rozbijały spiżarnie, biorąc, rabując i uwożąc ze sobą to wszystko, co mogło przynieść jakikolwiek pożytek. Nie oglądano się wtedy już na żadne taryfy, nie szanowano[^] żadnych nawet już w niebo-głosy o litość wołających okoliczności, konającemu z głodu wydzierano ostatni kawałek chleba i zostawiaho w objęciach śmierci. Z drugiój zaś strony komendy inne, które miały swe konsystencye stdle i zamieszkane przez siebie, z obawy w części przed swymi

własnymi towarzyszami, ale podobniej jeszcze przed uciśnionym ludem, którego do ostatniój doprowadzili rozpaczy, okopywali się we wsiach i miastach, zniewolonymi ludźmi stawiali bramy warowne, zbite z tramów dębowych rogatki i budowali nawet wcale kosztowne dla siebie samych mieszkania. A wszystko to działo się kosztem szlachty i ludu, o których dobrą wolą ani pytano, wyrąbując piórwszym starannie dotąd dochowywane lasy, zabió- rając materiały gotowe i sięgając nawet do skrzyń i kalet, – drugich zaś gwałtem spędzając ku sobie i niewoląc chłostami do robót, bez najmniejszego względu na gospodarstwa ich własne i obywatelskie potrzeby. A kiedy się taki nowy rząd i ład zaprowadzał powoli, w koronie pod komendą generała Eckseta, a w Litwie pod komendą Wejssenfelda książęcia, – na Wołyniu znów i Podolu konsystujące wojska kwarciane byłyby całe wymarły z głodu, gdyby się także obyczajem królewskich Sasów nie były żywiły gwałtem, najazdami na dwory i ciężkim ludu wiejskiego uciskiem. Tak więc nareszcie przyszło do tego, że Rzeczpospolita poczęła odbiórać krwawe nagrody, jakoto: głód, spustoszenie, barbarzyńskie uciski, a za tem wszystkióm niemal pewny już widok zniszczenia wszystkich narodowych praw . i wolności. Jakoż istotnie już temi czasy zaczęły się zwolna rozchodzić wieści od dworu, jakoby było życzeniem królewskiém zaprowadzić sukcesyj- ność swojego domu na polskim tronie, a przynajmniój na teraz uskutecznić elekcyą swojego syna.

Słyszając to i widząc, jakeśmy byli po wszystkie czasy burzliwi i za lada powodem do konfederacyi pochopni, myślałby kto nieznający historyi, żeśmy się wtedy na pierwszy widok tego ucisku zburzyli, że się konfederowano po wszystkich kątach, że się broniono, że bito Sasów po wsiach i miastach, że szturmowano do króla, najeżdżano na senatorów, wyprawiano poselstwa do postronnych potencyj. Nie, gdzieżtam; tego wszystkiego, mimo naj- krwawszych ucisków, przez długie czasy nie było. Szlachta polska natenczas, zwojowana piętnastoletnimi burzami, umęczona także tyloletnimi skutkami wojen, tak się w. ten ucisk dała zaprowadzić powolnie, a w tym ucisku tak się pomału przyzwyczaiała do dźwigania jego brzemienia, że od samej bitwy połtawskiój do teraz, prawie przez pięć lat zupełnych, zaledwie ■ więcej słyszano z ust jój prócz skargi.

Wszakże niełatwa to była sprawa, a przy takim rozlaniu się wojsk po wszystkich wsiach , i miasteczkach nawet i niebezpieczna. Przy najmniejszym bowiem podejrzeniu tylko o samę niechęć przeciwko Sasom, a cóż dopiero po dopuszczeniu się jakiego oczywistego przeciw nim czjmu, można było być napadniętym w swym własnym domu i albo porwanym na osobiste sądy królewskie, zkąd prosta droga wiodła do fortiec saskich, – albo przez wojsko wyrabowanym do szczytu, pokrzywdzonym na zdrowiu, a nawet niby niechcący zabitym. Było już dotąd takich

wypadków zanadto wiele, doświadczano ich nawet na najmożniej- szych w kraju osobach, ażeby nie miała o tó m pamiętać drobniejsza szlachta, nie znajdująca w swem osobistóm znaczeniu żadnój strony, a stanowiąca miazgę narodu. Wszystko to tedy, co przedsiębrano w celu wzburzenia odrętwiały ch serc i umysłów, działo się bardzo pomału, bardzo ostrożnie i potajemnie. Jakoż i dziwna jakich niejednokrotnie używano do tego środków, osobliwie względem pora niej szój szlachty.

Tutaj więc pielgrzym idzie pobożny, wstępuje sobie po dworkach, zasiada w kółku rodzinnóm i w obec wszystkich opowiada świętobliwe historie o Lorecie, o Rzymie, o Compostelli, lecz odsunąwszy się z gospodarzem na stronę, całe tam inna rozmowa. A inną drogą wlecze się rybał wędrowny, ten pieśni śpiówa i zrazu same pobożne wywodzi kanty: lecz kiedy ujrzy, 'że jest między swymi, znajdzie pieśń inną; więc o szlachcicu zaspanym, z pić- rzami na łbie, w podartych szatach i ziówającym obuwiu, co niesie owies na plecach do koni saskich, – to znów o drugim, co czyści buty wielkie dragońskie, nogą dziecko kołysze, a żona jego siedzi z żołnierzem na progu,*--- to znów o Jabłonowskim na Koenig- steinie jęczącym w dybach niemieckich, – to inne. Drugi tóż Rybał ma i podobne obrazki, a piosenki wydrukowane, i to zostawia po sobie. Więc kiedyindziej żołnierzyc jedzie, oficer pię- kny kwarciany, ba, i z luzakiem; ten znów do większych wstępuje dworów,' przy oczach ludzkich powiada się wysłannikiem hetmana do króla albo innych panów, ma nawet i Credentiales na piśmie, – lecz kiedy pora potemu, wydaje się całe innym wy- słańcem, powiada rzeczy dziwnie ciekawe i zajmujące, ba, i listy oddaje od którego z możniejszych panów do jegomości. Otwióra szlachcic te listy, prostuje je na kolanie, czyta po słówku, dziwi się: bardzo, bo i jest się czemu zadziwić: „Wielmożny panie! mnie wielce miły dobrodzieju i bracie! rzeczy to takie a takie,"..–pisze ów pan znamienity, książę, wojewoda, kasztelan i opowiada wyraźnie: – „jakie się dzieją eksorbitancye, gra-damina nieskończone na szlachtę, złamanie fiactów conventów, podeptanie praw kardynalnych." Powiada dalej delikatnym sposobem, że się już radzi około tego pomiędzy starszą bracią, że się pracuje i że jest pewna w Panu Bogu nadzieja. . – „Ale ponieważ i Pan Bóg tym tylko pomaga, – stoi tam dalej w tych listach, – którzy sami pamiętają o sobie; więc budź tam, kochany bracie, ducha około siebie, miej podjezdka pod ręką, szabelkę szlifuj, a i szturmacek jaki niech będzie. | Nie myślimy my jeszcze wszczynać wojny domowój, burzyć się zbrój no przeciw majestatowi, aleć to dawny u nas obyczaj choćby i z prozbą przychodzić, to zbrojno, a choćby na nabożeństwo, to konno." – Więc kiedy szlachcic takie ciekawe rzeczy wyczyta w listach, zwłaszcza, że napisane tak pięknie, to 1 co robić? — powiada, –juźci ja nie ostatni! Więc znów na innym dworze jawi się kwestarz pobożny, – tu jakiś szlachcic ja

dący niby za służbą, – tam pan znamienity W własnej osobie, – tutaj znów chudy pacholek, – i jako kto może tak szórzy stugę- bną skargę na niesłychane uciski, na pogwałcenie pactów. A u wszystkich głos słycać jeden; więc żeby się w tej materii jakoś zrozumieć ze sobą, upomnić się o te krzywdy, a prosić króla choćby na klęczkach, aby pozostał w swych prawach a narodowych nie tykał, aby sejm zwołał, wojska swoje wyciągnął i dawny zaprowadził porządek; a kiedyby to nie skutkowało, żeby więc o czóm innym pomyśleć, – boć to nie rzecz jest germańskiemu paniątku najechać ziemie słowiańskie i gospodarzyć w nich obyczajem niemieckim !

Tak więc nakoniec zaczęła się przeciw szlachta rozbudzać z tego uspienia, ba, już nieledwie z nieczułości kamiennej. A obudzwszy się, zaczęła myśleć o sobie, poczuwać się w dawnych siłach, zjeżdżać się z sobą i radzić. Zaczęto także i tu i owdzie odprawować sejmiiki z limity, zbierać się na nich gromadnie, a pod pozorem narad nad taryfami poborów i wyżywieniem wojska, radzono milczkiem, jakby i taryf i tych wojsk wszystkich całkiem się pozbyć z swych karków. Pod tymże samym pozorem sejmików zaczęły już tu i owdzie całe województwa się zbierać, broń ostrzyć, koni dosiadać i wojenne rozwijać sztandary.

Jednak w tym pierwszym podrywie do opozycji przeciw ma- cliinacyom królewskim, nie zdobyto się jeszcze na więcój, jak na wysłanie posłów do króla, którym powydawano rozmaite instruk- cye, według fantazyi i ducha rozmaitych województw. I przyjechali ci wysłannicy do rezydencji królewskiej i byli przypuszczeni do króla, – ale nic nie sprawili u niego. Nie mogło to nawet inaczej być. Umysły bowiem, jak całego narodu tak i tych posłów, były już wtedy tak rozdrażnione, a król był znowu ze swojój strony tak przeciw narodowi zawzięty i zadufany w siłę swojego wojska, że porozumienie się zgodne okazało się prostóm niepodobieństwem. Jakoż gdy przyszło do posłuchania, to lubo to się działo w obliczu tronu, Ciechanowiecki, poseł od wojska, perorował przez całą niemal godzinę z taką cierpkością, jak gdyby już ostateczna z niego mówiła rozpacz, – Górski, wysłannik żmudzki, począwszy mówić, łzami się zalał i zamiast mowy, oddał królowi swoje własne instrukcye, – a Wolski, poseł kaszubski, widząc już dobrze, jakim to sercem król te skargi przyjmuje^ tak się uniósł w swojój oracyi, że nawet proste przeciw królowi wypowiedział bluźnierstwo. Słyszac to król, zerwał się z tronu i tak się gniewem zapalił, że -kazał imać te posły, sądzić o zdradę główną, w dyby zakować, do Saksonii odwozić; szczęście, że podkomorzy litewski ostrzegł ich o tem natychmiast, a tak znaleźli dość czasu i hraterskiój pomocy, aby pouciekali z Warszawy.

Bardzo się tedy misya ta nie udała. Ale też za to wiadomość o tóm cale już inną fantazyą obudziła po województwach. Już nie wysyłano posłów do króla, lecz wyprawiono drugie do

Szembeka prymasa i Sieniawskiego hetmana, prosząc tych panów usilnie, ażeby jako piórwsi senatorowie Rzeczypospolitej (hetman był razem kasztelanem krakowskim) coś stanowczego już uradzili; więc żeby wojsko spisało się w związek, a województwa żeby pod bronią stanęły, jako na pospolite ruszenie. A kiedy się to stało, żeby więc ci panowie rozmówili się z królem około tej całej sprawy, – a już natenczas niechby sam Pan Bóg zarządził, coby się miało z tego wywiązać na potem. Szląc zaś te posły z taką instrukcją, rozkazano zarazem powiedzieć tym panom, że kiedyby to uczynili dla kraju, toby im województwa za tę przysługę zsyłały dary bogate i miałyby to być złotymi głoskami wyryte w księgach historii na zawsze.

Więc tedy Szembek miał dobre chęci, bo i zacny to mąż był, ale się niedość dobrze zabrał do tój roboty. Zbytecznie bowiem dbały o dobro swe własne, a podobno i niemniej o całą swoją rodzinę, zamiast się znieść natychmiast z hetmanem i innymi panami, udał się z prośbą i demonstracjami do króla. I może on tam mówił dosyć wyraźnie, może i wcale gorąco obstawiał za prawami narodu, ale to jak publicznej sprawie nie przyniosło żadnego skutku, tak dla niego samego jeszcze spowodowało zgryzotę. Król bowiem, wysłuchawszy go cierpliwie do końca, napisał mu potem list takowego tenoru: że kiedy odstępując brewiarza, zaczął się mieszać w sprawy publiczne, to i z nim krucho być może i nawet będzie. Więc tedy prymas, odczytawszy to pismo, poszedł zaraz na stronę i dał temu pokój na teraz.

Hetman zaś wielki koronny w piórwszym momencie, sam nie wiedział co robić, jako więc zwykle było u niego. I chciałby był sprawić co niezmiernie sławnego – i bał się. Powiadali potem posłowie, że była w nim zrazu dość żwawa ochota, – ale się bardzo jakoś namyślał i tak wyraźnie, jakby mu co stawało na drodze. A tu rzecz jasna co było: zdrowy rozsądek mu mówił, że trzeba stawać z narodem, – i serce go pociągało ku temu, z tej mianowicie przyczyny, że już odawna, choć potajemnie, był niechętnym królowi, – ale wrodzona trwożliwość, a jeszcze więcej wyrobione z latami sobkostwo, za obiedwie go poły trzymały. A na coby on miał stawać z narodem? Zali w tym miał co do zyskania dla siebie? Tak sobie myślał zapewne, bo i taki był człowiek. A tu tymczasem posłowie nagłą, demonstrują wymownie, modlą pokornie. A on tych posłów dusi przy sobie, raczy od serca, ale kolory żuje; rano powiada tak, w wieczór inaczej. Jużby się było drugim i znudziło takie mazgajstwo, ale ci siedzą, bo i sprawa to ważna i mają nadzieję rozmaitych dla siebie sukursów. Jakoż istotnie nieledwie codziennie ktoś się odzywa za nimi. To książę wojewoda krakowski, pisze list bardzo serdeczny za sprawami narodu, to znów Lubomirscy, to Tarłowie, to inni jawią się osobiście, długie mają z jegomością narady, a wszyscy go nama

wiają ku temu, ażeby z wojskiem wystąpił, aż tu nareszcie i przyjeżdżają posły tatarskie.

A to już było nad podziwienie, bo się i niespodziewano z tój strony niczego. Ale tak było, bo i wszyscy widzieli. Tatarowie przysłali Murzę dosyć znacznego, a z nim i świtę, jak na poga- nów, dosyć przystojną. Brzydki był hultaj ten Murza, ale bardzo poważny. Mąż, jak się zdało, już podstarzały, niebardzo ogromny wzrostem, ba prawie rżizki, ale potężnie barczysty. Miał zaś te barki podniesione tak bardzo, że wyglądał jakby garbaty, a między niemi siedziała głowa, wielka jak dynia pomierna, a prawie całkiem graniasta. rż tśj to zapewne przyczyny jakoś tak dziwnie patrzył z podełba, że aż mrowie • wskroś przechodziło; zwłaszcza że i twarz miał chropowatą haniebnie, nos na niój krótki, oczy wpół przymróżone, a koło prawego oka miał bliznę, pomarszczoną jak od postrzału. Trzebaż mu było jeszcze nosić brodeę strzępiatą, aby już wcale na strasydło wyglądał. Ale był ubrany bogato, obyczajem tatarskim^ lecz strojny, -'a wjeżdżał na dziedziniec zamkowy na koniu wronym zadziwiającej piękności. Była tóż z nim i świta, kilku starszyny dość pięknoj, ale już reszta hultajs'two, jak to więc w wojsku tatsfrskióm. Więc kiedy wjechał (a już był meldowany z noclegu), w ganku od Granowskiego z dystynkcyami przyjęty, zaraz szedł przed hetmana. Więc tedy hetman z nim przez tłumacza rozmawiał, żkąd się też prędko ku niemałemu zdziwieniu dowiedział, że chanowie tatarscy, krymski, przekopski i wszyscy, przysyłają z zapytaniem do niego, co się to dzieje dziś w Polsce? Doszły ich bowiem wieści nieomyłne, że król występuje jawnie przeciw Pac tom Convento?n, że wojska trzyma wielką moc w kraju, że naród gnębi, że myśli zniszczyć na zawsze wolne elekcyje, sejmiki, sejmy i zgoła wszystkie prawa najstarsze. Więc się chanowie hetmanowi kłaniają, a tusząc -sobie, że między narodem a królem przyjdzie do wojny otwartój, ofiarują swe służby i wszelką pomoc przeciwko Sasom. A potem poseł złożył pisma tatarskie ód chanów, w których to samo stało dosłownie. Więc tedy hetman był z jednej strony bardzo rad z tego, bo mu się podobało, że go tak honorują i że mu siły . tak znaczne dają do dy- spozycyi, ale znów z drugiej strony znalazł się w wielkim kłopotcie ba i we wstydzie, bo czy nie wstyd to haniebny, żeby się pierwej poganie ujęli za sprawami narodu, niżeli ten, który jest pierwszym ich stróżem?, -I znowu hetman nie wiedział coby miał począć. Modlili go teraz jeszcze daleko lepiej posłowie, ba nacierali na niego, osobliwie też Bobrownicki Stefan, brat Jana a starosta przeborski, prawie mu zdradę wyrzucał; ale i to mu nic nie pomogło, bo już takiego człowieka, który nie ma miłości nic nie przekona, chyba złość jedna go zmoże. Jakoż i tak się starło...

Lecz powiadając porządkiem, trza najpierwój nadmienić, że hetman temu tatarskiemu posłowi dał dosyć mądrą odprawę. Albowiem przed wszystkim innem udarował go bardzo hojnie, ra

czł po pogańsku, a potem, wypisawszy moc komplementów ala chanów, dziękował im za uprzejmość; lecz co do owych sukursów prosił wyraźnie, aby się z nimi wstrzymali, a kiedy tego będzie potrzeba, to on ich o nie poprosi przez posta swego umyślnego. Odprawiwszy zaś tego Tatarą, z taką samą mniój więcej odpowiedzią odprawił i postów polskich, a sam wsiadł zaraz i do Warszawy pojechał.

Po co on tam pojechał, – czy żeby bliżej się dworskim zamiarom przypatrzeć? czy aby się porozumieć z innymi panami? czy może właśnie, aby się tam przed natarczywością narodu uchować? – trudno to zgadnąć, to tylko pewna, że zamiast z niczóm odjechać do domów, pojechali tam za nim posłowie. Mieli oni tam . także swoich przyjaciół i nawet dosyć potężnych, a tak myśleli, że za ich pomocą może prędko co zaradzą. Jakoż nie oszczędzali pracy i prawie wszystkie możliwe środki już poruszyli, ale i tak jeszcze byliby nic nie sprawili, gdyby im nie był przyszedł na pomoc taki przypadek, że hetman wkrótce jak do Warszawy przyjechał, osobiście podał się z królem i cale się z nim rozdzielił.

Stało się to zaś prawie z następujących powodów.

Kiedy kroi August Alt-Ransztadzki traktatem złożył był polską koronę, a hetman wielki koronny, ufny w swą możność i obiecaną pomoc od cara Piotra Wielkiego, począł był czynić zabiegi o tęż koronę dla siebie; rzecz oczywista, że wtedy prowadził niemal ze wszystkimi dworami gęste korespondencye, w których, jak to już samo ze siebie wynika, czernił króla Augusta, co mu sił i kór>ceptu stawało. Zabiegi te, dość może zwawe ale całkiem niezręczne, jak to wiadomo, nie "przyniosły żadnego skutku, a August II został o swoim czasie na nowo powołany do tronu. Kiedy ten akt został zdecydowany, hetman Sieniawski- już mu się nie sprzeciwiał i wiedział czemu, lecz i natenczas i jeszcze potem, kiedy już August do Polski wrócił, rozmaitych swych machinacyj tajemnych wcale nie przestał, utrzymując relacye pisemne ze statystami całego świata. Czy przez te korespondencye chciał rzeczywicie jeszcze coś szkodliwego dla króla doprowadzić do skutku, czyli je utrzymywał tylko dlatego, żeby i wobec siebie i drugich za wielkiego uchodził statystę, rzecz niewiadoma; pewna jest wszakże, że takie korespondencye się pisywały i w jego kancela- ryi istniały. Otóż mało co przedtem (jako to często drobniutkie rzeczy ważne za sobą pociągają następstwa!) zbroił mu był coś jego sekretarz, a on go zgromił i precz od siebie napędził; – po- gniówany zaś za to sekretarz poszedł do króla i oddał jemu te wszystkie korespondencye. Hetman więc siedzi w Warszawie, nie wió o niczóm, aż tu jednego ranka król go zaprasza do siebie. Jawi się przed nim Sieniawski, a on się zamyka z nim w gabinecie. Nuż wtedy w niego, gromi okrutnie, zdradę wymawia do oczu. Hetman osłupiał, żegna się krzyżem; lecz kiedy król mu złożył dowody, już i nie było co mówić. Już więc król prawil, co mu się

podobało, a Sieniawski go słuchał cierpliwie. Lecz wysłuchawszy i powróciwszy do siebie, zaraz odesłał posły z zleceniem, ażeby województwa natychmiast na koń wsiadały i rozwijały chorągwie. Sam zaś czómprędzój pobiegł do wojska.

A królowi ani się śniło, ażeby hetman owę rozmowę wziął sobie tak bardzo do serca. Owszem przeciwnie, tak za te listy zdradzieckie, jak i za nagły wyjazd, jeszcze się bardzój zgniewał na niego i postanowił sobie tym czy owym sposobem nawet buławę wyrwać mu z ręki. A jako nigdy nie miał zwyczaju chodzić prostemi drogami, tak tóż i tu jął się chytrego podstępu. Zwołał Więc niby wiernych sług swoich: Rybińskiego generała-regimenta- rza a razem i wojewodę chełmińskiego, toż Dorpowskiego .Ernesta, generał-audytora, a przytóm wojewodę łęczyckiego i namówił się z nimi, aby jechali do wojska i zrobili z nim związek; zapo- mocą zaś tego związku umyślił on zrzucić Sieniawskiego z hetmań- stwa, a zarazem i nowy uzyskać powód, bez żadnej kwestyi dość ważny w oczach całego świata, do zatrzymania swoich wojsk w Polsce na dłuższe czasy. Mądrze to król obmyślił, niema co mówić; ale niemądrych wybrał sobie do tego współników. Ci bowiem obadwa wojewodowie byli ludzie tak prości, że pojechawszy do wojska, całkiem po prostu wypowiedali się przed hetmanem z królewskiego rozkazu i razem z nim, ba i z wszystkimi wojskami wystąpili...

A wtedy nie odwołując, wszystkie już województwa zaczęły wstawać. Więc najpiór w ruskie pod Fredrą, kasztelanem ówczesnym lwowskim, który jako mąż pełen cnót znamienitych, sam jeżdżąc po wsiach, przed wszystkimi innymi swoje szlachtę pozbió- rał; więc potem Wołyń, pod Ledóchowskim podkomorzym krzemienieckim, jednym z najznakomitszych mężów owego czasu, który osiem chorągwi swych własnych na tę potrzebę wystawił; nuż równocześnie i Krakowianie pod wojewodą swoim, księciem Januszem z Wiśniowca, wystąpili gromadnie pod Hebdów, a jmc Czermiński, zacny kasztelan kijowski, który oddawna tylko drżał na tę chwilę, wzięwszy sobie do pomocy Bobrownickiego Jana, kiedy się rzucił na Sandomierskie, to taką liczbę szlachty pod Sieciechowem postawił, jakiej nie pamiętano w żadnym pospolitóm ruszeniu. Za temi województwami wstawały inne, to gromadnój, to słabiój, jaka gdzie była fantazya, a hetman wielki koronny, zebrawszy swoje wojska kwarciane i swe własne chorągwie, ruszył się z nimi także i obiecawszy iść pod Tomaszów, doszedł tymczasem do Podkamienia.

Takie to tedy były te wielkie zmiany w sprawach publicznych i taki był stan naówczas, w którym rozpatrzywszy się ile potrzeba, możemy znowu powrócić do naszych ludzi.

Więc kiedy się działo to wszystko, pani Ożarowska stolnikowa krakowska bawiła ciągle przy hetmanowej w. koronnej i przypatrywała się z blizka temu wszystkiemu, coby ją mogło ob

chodzić. A obchodziło ją to wszystko, co dotyczyło hetmana, bo na nim i na jego rodzinie opierała swe rozmaite rachuby. Jakoż wiedziała ona o wszystkich tych sprawach przynajmniej z nim jednocześnie, a o niektórych nawet i przed nim...

Wieleby to dziś o tem powiadać, bo kto wie, jak to tam było z tym* sekretarzem? kto wió za czyim powodem hetman go sfukał i odepchnął od siebie? i kto wió jeszcze za czyją się to stało przyczyną, że tenże-sekretarz dopuścił się takiej zdrady haniebnej i zaniósł owe listy do króla? Trudno to prostą głową dojść takich misterstw tajemnych, –".ale domyślać się wolno,– bo tóż i różnie się domyślano między dworem hetmańskim...

Cóżkolwiekbyż wszakże, rzeczą jest pewną, że jeszcze ledwie się spodziewano zdaleka, iż kiedyś z czasem przyjść może do głó- śnój opozycji przeciw królowi, jeszcze się hetmanowi ani przyśniło, ba może i samby był temu nie wierzył, żeby i on się z tą opozycją połączył, – a stolnikowa już to nieledwie na pewno przeczuła i zaraz o tóm do syna pisała. Pisała list jeden i drugi, wykładając stan spraw publicznych obszernie, a w trzecim już go tóż zawezwała, ba i zakłęła na wszystko, ażeby na każdy sposób jak tylko może najprędzój powracał. I wzywała go nietylko dlatego, że dziś wołano do służby wszystkich, a więc najświętszym jest obowiązkiem każdego stawić się bez odwłoki; ale także dlatego, że hetman, obarczony kłcpotliwemi obrotami sprawy publicznej, nie może sobie własną głow^Tą dać rady; że mu więc dziś daleko pilniój niż kiedyindziej trzeba takiego człowieka, na któ- rymby mógł się opierać z ufnością, a nareszcie, że w skutku tego, gdyby się znalazł dziś taki człowiek, któryby umiał z tego położenia korzystać, otworzyłby tóm samem dla siebie już zaraz na samym wstępie nieprzejrzane widoki...

Tak to tam popisała. Aleć to jeszcze nie było wszystko. W tych tam dalekich projektach bowiem, które ta niezmiernie zapobiegliwa matka snuła na korzyść swojego syna, nie mogło jój dosyć być na tem, aby Jerzego zwołać do kraju, ani nawet i na tem, że przez wyrugowanie ostatniego poufnego człowieka z dworu hetmana, otworzyła synowi tóm większą łatwość uję*cia go całkiem dla siebie; trzeba się tu było koniecznie i przedewszystkióm jeszcze o to postarać, aby ten syn powracając, do Bobrownickich nie wstąpił, coby było mogło z łatwością wszystkie jój plany ze- psować. Trzeba tu było pomyśleć jeszcze o innych rzeczach, które także wchodziły w tę dosyć wielką rachubę. Jakoż bardzo zakre- tnie o tem myślała, a co sprawiła, samo się to pokaże.

A młody Sodalis Marianus, – dzięki zabiegom miecznika, o którym zatosze pamiętał, i hojności Denhoffa, o której jeszcze zawsze nie wiedział, – bawił się ciągle we Francji i bardzo mu się tam wiodło. Ledwie się zjawił w Paryżu i zameldował tym panom, których imiona mu Bobrownicki wypisał, już i cały świat poznał, który się kręcił około dworu, a na którego poznaniu bliż- szóm, w celu dał szegcs^r o wadzenia się, najwięcój mu "zależało.

I dziwna rzecz, z jaką mu to poszło łatwością. Wszędzie, gdzie się pojawił, już coś o nim wiedzano, wszędzie go z jego pilności w naukach, z gorliwości we wierze, z umiejętności języków nad wszelką miarę chwalono: a kiedy jeszcze do tego i wieść o jego pobożnej bitwie z owym ukrytym lutrem między ludzi się rozniosła, już mu i ci i owi nawet pochwał znaleźć nie mogli. Kto zna ówczesne usposobienie francuzkiego dworu pod względem rzeczy tyczących się wiary, a komu niemniój wiadome i owe krwawe prześladowania, któremi tam w owe czasy protestantów tępiono, ten się i temu dziwić nie będzie, kiedy się dowie, że Ożarowski z powodu tej bitwy swój takić tam łaski na samym wstępie dostąpił, iż może nawet nie było tój rzeczy dla cudzoziemca dostępnej, po którąby on nie mógł być sięgnąć i zyskać. Już to i sam widział, już mu tóż o tem powiadano otwarcie i doradzano, ażeby z chwili szczęśliwej korzystał...

Ale jemu się zdało, i słusznie, że godziło się nad tóm zastanowić cokolwiek. Bo to i łaska łasce i szczęście szczęściu nierówne; ba i godność niektóra, lubo na oko błyszcząca, w samej istocie jednak mało co warta, zwłaszcza jeżeli z niegodnój pochodzi

ręki. Oświóca ciało i budzi podziw w umysłach płytkich albo zepsutych, ale tępi duszę haniebnie i jest zgorszeniem dla ludzi zacnych. Więc tedy Jerzy, jako to był już z młodu roztopny, tak sobie myślał, że nim się o co pokusi, niechże się pierwój rozpatrzy: a jak się tylko rozpatrzył, tak w sprawach, jak też i w oby-1 czajach owego dworu, tak i niebawem obaczył, że jeśli wszędzie trza być ostrożnym, to tu najbardziej.

Jakoż i miał w tóms słuszność zupełną. Na tronie Francyi bowiem siedział natenczas Ludwik XIV, – a kto nie zna czasów i obyczajów i osobliwego geniuszu tego 'monarchy? Za młodu chłystek i miany za nic nawet przez własnych swych opiekunów, rozwinął potem rozum tak wielki, że nim nietylko swoich nauczycieli, ale i cały naród ogarnął. Ba i moc duszy rozwinął taką, którą tłumiąc pomału to wszystko, co mu stawało oporem, utłumił nawet tę nieugiętą szlachtę, której nie mogli dać rady najchytrej* sze ministery – a wreszcie rozszerzył nad całóm państwem ledwie nie bisurmańską niewolę. Wiele on przytem zrobił dla kraju; podniósł jego powagę, ład zaprowadził w rządach i sądach, armią wyćwiczył i okrył sławą, nauki wzbudził, kunszty powskrzeszał i oszlifował ludzi aż do lśniącego poloru; lecz | ctociaż to były rzeczy bardzo wspaniałe i niepomału nauczając^J^auch jednak, który stworzył to wszystko i władał tóms samodzielnie, nietylko nie mógł podobać się sercu, lecz nawet burzył preeciwno siebie sumienie. A jużci trudno było nie burzyć się przeciw temu, przekonawszy się wreszcie -ile to krwi niewinnój, ile boleści, ile praw podeptanych i najstraszliwszego ucisku musiało się złożyć na osią- gnienie tych tam tak niby wielkich i podziwianych skutków. ^ wiórzchu ład wielki, powaga królewska nienaruszona, pobożność najprzykładniejsza, polor błyszczący, toż cnót` rozmaitych, nauki, dowcipu moc, – ale pod spodem praktyk haniebnych bez końca, fałsze, podstępny, fartuszkowe fawory i zgoła najohydniejsze zepsucie

Więc tedy Jerzy, przejrzawszy sam w części te tajemnice, a w części ostrzeżony przez ludzi zacnych, których i tam przecież nie brakło, – luboby mógł być, jak się wspomniało powyżój", za- pomocą otworzonój dla siebie protekcyi o daleko znaczniejsze pokusić się rzeczy, – korzystał jednak z tój protekcyi tylko o tyle, że się dosyć przystojnie umieścił w wojsku. Nie były to wprawdzie już wtedy te czasy, w których ten król, nienasycony w pożądliwości ziemi -i władzy i sławy, wielkie na wszystkie strony roznosił wojny i wspaniałemi się wszędzie okrywał zwycięstwami, zawojowawszy wszystkich, prawie już nie miał z kimby wojować, – już to był zresztą starzec natenczas zgrzybiały, któremu już nie czas było zasiówać a jeno zbierać; jednakże jeszcze w tój tam ówczesnej kampanii nad Renem wziął Jerzy udział i był uczestnikiem kilku bitew znaczniejszych.

Tam tóż służąc statecznie, uczył się pilnie obyczajów woj-

Skowych, przypatrywał się rządowi, badał organizację prowincji, – a umiając sobie pozyskać zachowanie u starszych, za ich przewodnictwem wglądał i w znamienitsze sprawy narodu, w politykę państwa i te tajemnice, świat zadziwiający naówczas, zapomocą których ten król osobliwy tak dosadnie sprawdził ową sławną a przez siebie samego stworzoną polityczną maksymę i nie tylko że tak głęboko zakorzenił swoją nieokreśloną władzę we wnętrzu kraju, ale ją jeszcze tak znacznie rozprzestrzenił na zewnątrz. Jakoż było się tu czego nauczyć, tak z tych rzeczy jak tóż i z innych, zwłaszcza jeżeli umysł zdrowy a nie spaczony wiedział co wybrać i schować, a co odrzucić. – Wszakże wśród tej nauki, z początkiem marca tegoż roku 1714, w tej samej wojnie nadreńskiej zawarto pokój, co widząc Jerzy, wyrobił sobie uwolnienie od wojska i do Paryża powrócił, mając zamiar posiedzieć jeszcze czas jaki w tem mieście i poćwiczyć się trochę w naukach...

Ale za ledwie wrócił, zastał już list od swojej matki. Otwiera, czyta, – ciekawe rzeczy. Matka mu opisuje cały stan kraju, przewidując blizkie wzburzenie, radzi się mieć w pogotowiu. Bardzo ten list wzruszył młodzieńca. Już się tego i owego przyuczył: radby to złożył na ofiarę swój braci. Aleć, to jeszcze nie było nic tak bardzo pilnego. Jednakże wkrótce przyszedł list drugi, zapowiadający coraz śpieszniejsze zbliżanie się burzy. Nuż więc i trzeci, a ten już wcale naglący, aby natychmiast powracał. Nie było się tedy już nad czem namyślać – jeno brać zaraz pocztę, i biec pędem do Polski...

Jakoż i tak uczynił.

A było to już w sam koniec lata, kiedy do Krakowa przyjechał. Dojeżdżając do miasta, układał sobie zabawić w niem najmniej dni kilka, ojców swoich kochanych powitać, prezentować się księciu, hołd złożyć księżnie, toż i innym swym dobrodziejom. Wielką też sobie ztąd obiecywał pociechę, kiedy ten gród starożytny znowu obaczy, jego poważne mury obejrzy, pomodli się w jego wspaniałych świątyniach i zgoła wszystkie te miejsca odwiedzi, gdzie tyle lat spędził w łaskach u starszych, w miłości u swych towarzyszy, w naukach, w pracy i w rozmaitych nadziejach... Aliści ledwie marzonym sposobem pociecha ta całkiem go ominęła.

Przez te lat kilka bowiem Kraków .tak się odmienił, że ledwie był do poznania.

Jeszczeż to w roku 1711 przysłał był tutaj król swoich Sasów pod komendą generała Lamoha, który zasiadłszy na zamku, poczęli byli gospodarować tak samo, jak gdyby w mieście zdobyli-tem. Pomagał im także w tem gospodarstwie niemało regiment generała Miera, który nurtując po księstwach zatorskich i oświęcimskich, tudzież po województwie krakowskich, co moment prawie do Krakowa zabiegał, sprzedając tam połupione gdzieindziej grabieże, a przy spoczynku po wielkich trudach, w wojnie ze zie-

miańskimi spichrzami doznanych, dopomagał saskim komendom I w uciskach i rujnowaniu tej stolicy. Pod takim rządem drapie- I żnym podupadało miasto ogromnie. Wyniszczeni nielitościwymi I poborami mieszczanie, lubo tak niegdyś bogaci, pochylił się dzi- siaj w niepamiętane ubóstwo. Jedni z nich ledwie mogli się wy- I żywić, drudzy głód cierpiąc pochowali się w najodleglejsze zakątki I swoich pomieszczeń, a trzeci, niemogący znieść przechodzących ich I siły ciężarów, poopuszczali nawet swe własne domy i powynosili I się z miasta. Tak podupadły także rzemiosła, handel i przemysł – I a ludność stolicy zmniejszyła się o połowę, albo może i więcej. I Tymczasem Sasi, jakby im właśnie tylko tego było potrzeba, ko- I rzystając ze zgrozy, jaką przed sobą rozsieli, wzięli się do niszczenia I nia kamienic i murów. Który dom tylko bez właściciela pozostawał, I stał, zabierano mu dachy, wyrąbano drzwi, okna, kraty, a wy- I niszczywszy wszystko, co ku potrzebie albo ozdobie służyło, ledwie I że nagie pozostawiali ściany. Lecz jeszcze z większą prawie sro- ■ gością rzucili się oni ku rozburzeniu bram i murów obronnych. I I dziwna rzecz: właśnie natenczas, kiedy król zaczął fortyfikować I Poznań, kiedy nawet i Grodno zamyślał obronnymi murami opa- I sać, tutejsze fortyfikacje, już od tak dawna i tak w Iielkimi otrzymane kosztami, z umysłu niszczył i zamieniał w ruiny. Zwolna to Sasi wykonywali ten rozkaz tajemny, bo mieli dość czasu .po temu i nie doznawali żadnego oporu, – nie była zresztą ta rzecz tak łatwa do skutecznego i trza ją było pozorami osłaniać,—ale po latach kilku barbarzyńskie to dzieło postąpiło tak znacznie, że kilka baszt murowanych poszło całkiem w ruinę, z ganków któ- remi obronne mury były zaopatrzone nie pozostało ni śladu, a w wielu miejscach i same mury zburzone zostały do fundamentów. Najdziksza ręka tararskiego najazdu nie byłaby lepij dokonała tego dzieła zniszczenia, jak je skuteczniło barbarzyństwo niemieckie. To tóż straszliwy widok natenczas przedstawiało to miasto, jakby po wojnie, jak po zdobyciu, jak po Tatarach...

Wjehachawszy weń Ożarowski, nie mógł się dosyć nadziwić. Cóż się to stało? Wszystko tak poniszczone, tyle domów porujno- wanych, tyle pomieszczeń pustych, na ulicach tak głucho i wyludniono, jak gdyby większa połowa mieszkańców wymarła, a ci, co zostali, czekali tylko swego pogrzebu. Czuły na wszystko a osobliwie w tem mieście rozmiłowany młodzieniec, aż zadrżał cały od zgrozy i lzy gorące mu się puściły po twarzy. Już ani myślał w tój chwili iść i cieszyć się z ludźmi; ale jak stał w zamyśleniu koło panny Maryi kościoła, tak się zwrócił ku niemu i wszedłszy do tój wspaniałój świątyni, uklęknął przed pobocznym ołtarzem w modlitwach...

Byłato przedwieczorna godzina, – cisza była w kościele, – długo się modlił młodzieniec bez przerwy; – lecz jeszcze wszystkich modlitw nie skończył, kiedy niespodziewanie jakiś szelest usłyszał niedaleko od siebie. Zdawało mu się, jakby się jakaś

fl

dama przybliżyła do niego. Obejrzał się mimowoli i natychmiast zerwał się z klęczek, albowiem szeleszczącą damą nie był kto inny, jak jego matka, pani stolnikowa krakowska.

Wielkaż tedy pociecha! nad opisanie i nieledwie nad siły obojga tych serc kochających. Jakoż lubo się to działo w kościele, nie mógł się Jerzy powstrzymać, aby nie klęknął przed matką, a ona aby go nie uścisnęła za głowę. A kiedy powstał i prędko razem wybiegli przed kościół, dopióroż ta radość zaczęła płynąć słowami. A mieli się czem pocieszyć oboje, bo kiedy z jednej strony kochająca ta matka była w najlepszóm zdrowiu, to znowu z drugiej syn jakże wyrósł jeszcze nad spodziewanie! jak poprzerastał wszystkich znajomych! jak przy tóms* zmężniał! już mu się nawet i wąsik zakręcił jasny, a taki piękny, że matka nic piękniejszego nie widziała na życiu. . Nuż więc do tego owa ukła- dność francuzka, owa wymowa płynąca," a inne polityczne przymioty – a wszystko to ona jednym rzutem oka odgadła i oceniła, i nawet wypowiedziała otwarcie. A potem mówiła dalej:

– Pan Bóg jest wielki! jam to naprzód przeczuła, że już cię tutaj zastanę. Nie mogło to nawet inaczej być. Takem wyrachowała. Taka jest wola" Boska. Wszystko się musi winąć jak z płatka. Wiódz tedy o tóms, że wielkie rzeczy się dzieją i tu i owdzie, i wszędzie – a jeszcze większe w projektach, o których późniój. Tymczasem zaś, pewnie ci o tóms już powiedziano, województwa już wystąpiły, hetman ze wszystkiem wojskiem u Pod- kamienia. Oszałał stary wyraźnie, ale to nic. Jeszcze i owszem, potem ci powiem dlaczego. Otóż hetmanowa jest w strachu i dlategośmy tu przyjechały. Bo i hetmanowa tu jest i Zosia także. Zosia śliczna dziewczyna, obaczysz. Nic piękniejszego nie mogłeś widziéć ani nawet we Francyi. Kiedy się obaczycie, zaraz się pokochacie na umór, jak Bóg na niebie. Jeszczeż do tego i hetmanowa w strasznej jest tarapacie. A między nami mówiąc, i hetman także. Wszystkiego mają po sarnę szyję, ale im brak człowieka. Więc żeby Mesyas im się pojawił, toby im więcej nie był na rękę, jak im być może ten, który ich zdoła zrozuimiéć. Ty ich zrozuimiész, nic pewniejszego. JeszCzeż do tego powracasz prościuteńko z Paryża! Hetman cię krokiem od siebie nie puści. A hetmanowa, a Zosia! Idźże więc prędko, przebierz się ładnie i przybiegaj do hetmanowej. Mieszkamy w domu księżnej wojewodziny. Czekamy ciebie z niecierpliwością.

To powiedziawszy tak prędko, jak gdyby wszystko koło niej gorzało, podprowadziła syna pod swę gospodę i tam go'pozostawiwszy, sama natjj^hńiiast odbiegła. Jerzy został pod bramą, mało co wiedząc c<5 się z nim stało. Jakiś szmermel się spalił około niego, olśnił: go całkowicie i pozostawił w ciemności. Więc Jerzy stał i myślał nad tóms przez chwilę. Ale i co tu było wy- myślić? Przypomniawszy więc sobie choć to przynajmniój, że go

czekają u hetmanowej/wstąpił do siebie, przebrał się prędko i po- j szedł do hetmanowej.

A hetmanowa była to już natenczas więcej niż średnich lat 1 dama. Pomierna wzrostem, o czarnych włosach i oczach, a cerze 1 trochę wyżółkłej, nie znamionowała ona na sobie żadnej wspaniałości zewnętrznej, jednak gdy mówić zaczęła, toż po jej zachowa- | niu się widać było aż nadtop że to nie pićrwsza lepsza kasztela- l nowa lub starościna. Szła zaś u niój taka górna powaga nietylko 1 z rodu, ale zarazem z przyzwyczajenia, którego w swych długo- l letnich a nieraz nawet bardzo wysoko sięgających czynnościach l nabyła. Bo i któż tego nie wió, że pani ta niegdyś, ba do nieda- l wna jeszcze, była jedną z najpracowitszych statystek; że nie było l tój sprawy publicznej w kraju, w którejby ona nie miała swój l roli; nawet i władzy takiej nie było, tak w Polsce jak i w pań- l stwach sąsiednich, z którąby ona nie miała i tych i owych relacyj. l

To tóż owego czasu przyznawano jój prawie powszechnie nie- l porównany geniusz, a z nim i wielką zręczność do spraw poli- l tycznych. Jednakże dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że opinia l ta, jeśli nie całkiem fałszywa, to« była przynajmniej przesadzona] o wiele. Były tam może swojego czasu gorące po temu chęci, l były z pewnością dosyć skrzętne usiłowania, lecz rzeczywistój j zręczności bez żadnej kwestyi nie było, bo byłyby się przeciw po- l kazały jej skutki tu i owdzie, a przede wszystkim w politycznych 1 sprawach jój męża. A gdzie tam w tych sprawach była jaka uderzająca zręczność? gdzie nawet często i konsekwencja? Jakoż 1 nietylko to rzeczą pewną, że ta okrzyczana statystyka nazbyt wielkiego dyplomatycznego geniuszu nie miała; ale i ona sama 1 musiała się wreszcie przekonać, że polityczne sprawy to nie damska robota, bo już od bitwy połtawskiej całkiem się w nie nie j mieszała. Widzieliśmy ją na Jarosławskim zjeździe, – była zajęta bernardynami, – a o tórn, czy mają być dane sukursy Rossy i na l wojnę turecką, czy nie, wcale już nie myślała. Ba, _nawet do tego l stopnia zatopiła się była w narady .z zakonnikami, że i o chrzcie] swojój córki zapomniiała była cokolwiek. Otóż tak było u niój już | od lat kilku. Zeszedłszy z pola politycznych zabiegów, oddała się] sprawom pobożności i miłosierdzia; więc budowała kościoły, restau- l rowała poniszczone klasztory, zaopatrywała zubożale zakony, za- pomagala szkoły, a wiele świadcząc wszelakiemu ubóstwu, tutaj szukała tego powodzenia i zasług, których nie położyła gdziein- dziój. Tym też sprawom oddana z najgorliwszą dewocją, nie myślała już nawet, ażeby wyszła kiedy z ich dosyć ściśle oznaczonego obrębu; aż dziś dopiero zmusiły ją do tego nieprzewidziane okoliczności.

A panna Zofia, jej córka, nie była. wcale do niej podobną. Wyrosła ślicznie, wypiękniiała nad podziw, ale dość było spojrzeć na jój włosy kręcące się filuternie, oczy duze ciemno-błękitne, no

sek troszeczkę zadarty i żywe tryskające rumieńce, ażeby poznać, że inna to tam fantazyja. Jakoż tak było.

Więc teraz te panie siedziały razem w komnacie, a wysłuchawszy opowiadania stolnikowój krakowskiej, że jój syn prosto z Paryża przyjeżdża i za chwilę tu przyjdzie, bardzo się tóm ucieszyły. Najwięcej zaś ze wszystkich zdała się być tóm rozweselona jmc panna Zofia, która tóż zaraz mówiła:

– Bardzom ciekawa pana Jerzego obaczyć, co się tóż z niego w tym przesławnym Paryżu zrobiło. Powiadają, że Paryż z gruntu ludzi odmienia. Ja nie tak bardzo pragnę zmienić się z gruntu, ale przecież niemało jestem ciekawa Paryża. Ach! ale kiedy o tóm przypomnę, to mi tylko gruszki pokazują na wiórze. Ma- munia mi obietnic nie szczędzi, ale tóż koniec na obietnicach. Dopóki trwają narady, wszystko jest dobrze, ale kiedy ma przyjść do decyzji, sejmik się limituje.

A hetmanowa na to do stolnikowój:

– A naszój miłój koteczce zawsze tylko pustoty w głowie, a tu takie wielkie niebezpieczeństwa nam grożą.

– 'Niebezpieczeństwa? – odpowie Zofia, – wcale ja żadnych nie widzę. Mama się boi, aby się tato nie pobił z królem, a ja chociażbym chciała razem z mamą się ó to obawiać, ale na żaden sposób nie mogę.

Tu hetmanowa patrzyła na nią jakby z zadziwieniem przez chwilę, a potem rzekła:

– Nie znasz ty ojca, moja Zosieńko. Jest się tu czego obawiać i bardzo.

– Obawiajcież się państwo, kiedy tak chcecie, ale ja do tego komputu należóć nie będę, – odpowiedziała na to dosyć poważnie Zosia i nie mogąc, jak zwykle, długo dosiedzióć na jednym miejscu, odeszła w inną stronę komnaty.

Tymczasem zaś hetmanowa zaczęła się stolnikowój wypytywać o syna, co robił w ostatnich czasach? gdzie służył? jaką miał rangę? jak blizkim był dworu? – a kiedy się dowiedziała tego wszystkiego ze szczegółami, zawołała prawie z radością:

– Aż! jakżeż to dobrze, że on właśnie teraz przyjechał. Spodziówam się przecież, że poznawszy świat wielki i odbywszy nauki na takim dworze, będzie rozumiał, od czego zawisło szczęście narodu i nie dopuści do swego serca tych sentymentów burzliwych, które stanowią całą politykę naszych sejmikowych statystów. Jeżeli tak było istotnie, to mógłby nam być bardzo pożytecznym w tej chwili, a nawet kto wió, jak wielkie oddać przysługi.

Stolnikowa chciała właśnie głos zabrać, ażeby hetmanowę i pod tym względem jaknajlepiój uprzedzić dla syna, – kiedy wtem we drzwiach pokazał się Jerzy.

Przystąpiwszy do hetmanowój, witał ją z wielką atencją, a przytem i z ową wytworną grzecnością, której się pilnie wyucz)¹⁾ na dworze francuzkim; nie

przypomniał tóż oraz o komplementach, które tój pani, bardzo dobrze z lat dawnych znajomej w Wersalu, przesłały przez niego niektóre tamtejsze damy i dostojnicy królewscy. Więc hetmanowa, która rozumiała o sobie, że dość jój raz rzucić okiem na człowieka, aby przejrzeć do gruntu, oceniła go sobie z tój wstępnej przemowy stanowczo i przywitawszy sercem uprzejmym, traktowała już odtąd jak swego. A hetmanówna witała go sercem otwartym a nawet i poufale.

– Ale jak się pan Jerzy odmienił, – mówiła ona, – to doprawdy do zadziwienia! Gdybym pana Jerzego gdzieś niespodzianie spotkała, to aniby mi przez myśl nie przeszło, że to ten sam,, tak niegdyś pusty stolnikowicz krakowski, który takie zabawne krotchwile wyprawiał na zamku brzeżańskim. A gdzie to już te czasy! czy pamięta jeszcze pan Jerzy te nasze rozmaite figielki?

Koci, koci w łapki,

Pojedziem do babki.

Da nam babka kaszki, A dziadek okraski.

Cha, cha cha!

I śmiała się pusta dziewczyna, klaskając w ręce jak do dziecka, noszonego na rękach; co było jeszcze o tyle śmieszniejszóm, ile- że przed nią stał młodzian prawie ogromny wzrostem, już pod wąsem, a jeszcze do tego i w oficerskim mundurze.

Więc tedy wszyscy się śmieli, a Jerzy już i nie wiedział sam, coby miał mówić, bo patrząc na tę czarnoksiężnicę, która całą przestrzeń lat kilkunastu ubiegłych jednym słowem tak całkowicie zmasała, jakby jej nigdy nie było, jakoś mu się dziwnie zrobiło około serca. Jużby był chciał, żeby się w samój rzeczy wróciły te czasy, kiedy sam mały pędraczek igrał z maleńką Zosią pa brzeżańskiego zamku komnatach.

Lecz hetmanowa, upatrzwszy w Ożarowski jaknajlepsze narzędzie do swoich politycznych zamiarów, nie miała czasu do stracenia. Posadziwszy go więc naprzeciw siebie, poczęła mu zaraz zwięźle i otwarcie wykładać, jaki jest terażniejszy stan sprawy publicznej, jakie obecne położenie jej męża i co ją zniewoliło do tój podróży krakowskiej. – Opowiadała więc najpierw z niemałym żalem, że mąż jój przez niepowściągliwość chwilową poróżnił się- z królem, że stronnictwo szwedzkie, do tego momentu jeszcze- trwające przy swoich dawnych dążnościach, umiało zręcznie korzystać z tego wypadku, i że nareszcie - przyprowadziło ao tego, iż hetman, dawszy się uwieść przesadzonym skargom na nadużycia królewskie, zbrojno przeciw królowi wystąpił. Jakże ztąd klęski mogą dla narodu wyniknąć, jakie nieprzyjemności dla samego hetmana, już jak samo ze siebie wynika, można zaś o tem jeszcze daleko lepsze powziąć wyobrażenie, wspomniawszy na to, iż król ma w tój chwili swoich własnych wojsk w kraju dwadzie[^]

ścia i kilka tysięcy, ma bardzo silną podporę w wielkiej części wiernie do niego przywiązanego narodu, a oprócz tego, skutkiem do dziś dnia istniejących traktatów, ma jeszcze na zawołanie kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, który rozrzucony po Podolu, Wołyniu i Ukrainie, stoi pod bronią w granicach kraju. Opowiadała tedy hetmanowa dalej już prawie z trwogą, iż wyczerpawszy wszystkie sposoby, któremi miała nadzieję odwieść hetmana od powziętego zamiaru, przybiegła tu do Krakowa, aby się widzieć z księciem Januszem z Wiśniowca, który lubo się także, dał wzburzyć namowom i stanął na czele uzbrojonych Krakowian, jednakże jako mąż tak głębokiej rozwagi i stateczności umysłu, nie może na żaden sposób być zdania, ani że się to godzi, ani nawet, że można w takich jak dzisiejsza okolicznościach, brać się do wojny przeciw prawowitemu i tak dziś mocno opatrzonemu królowi. Ponieważ tedy księżę Jeniusz jest jedynym w tych czasach człowiekiem, którego zdanie może mieć wpływ na hetmana a zarazem i niemałego używa zachowania tak w narodzie jak i u króla, więc hetmanowa chce go do tego zniewolić koniecznie, ażeby on hetmana przynajmniej tymczasem od kroków stanowczych powstrzymał; a kiedyby tylko jeszcze przez kilka tygodni do żadnego krwawego spotkania nie przyszło, to jużby sprawa ta była tak jak wygrana, bo przez ten czas nietylko by hetman z pierwszego faworu ochłonął, ale i rozpoczęłyby się także układy z królem, do czego piórsze kroki już poczynione. O księcia tedy hetmanowa się najmniejszej obawia, bo jest go pewną, – wysłała już swego rękodajnego pod Hebdów, a zresztą droga to niedaleka, więc w danym razie-i sama gotowa pojechać do niego; – lecz o hetmana w niewymownej jest trwodze, bo on nietylko sam kipi przeciw królowi, ale jeszcze do tego jest otoczony takimi ludźmi, którzy gotowi prowadzić wojsko choćby na sarnę Warszawę. Cała nadzieja w Granowskim i generale Baudyczu, który jest Sas duszą i ciałem, – robią oni tam wszystko, aby hetmana łagodzić, – lecz w obec Rybińskiego i Dorpowskiego, tudzież innej starszyny, która cała wre wojną, bardzo to słaba podpora.

Tak całą tę ważną sprawę narodu pojmowała owa przesławna swojego czasu statystka i tak ją przedstawiała Ożarowskiemu, kładąc szczególny nacisk na to, że zamierzona wojna nietylko bez żadnej kwesty i jest sprawą prywatną stronnictwa szwedzkiego, ale w dzisiejszem położeniu rzeczy może się stać tylko ostateczną zgubą narodu, bo w kraju tyloletniami wojnami zniszczonym i obcemi wojskami od granic zalany, cóż może sprawić garstka zburzonój szlachty, mała liczba, niejedna w sobie i tak rozproszona? – Tego opowiadania słuchał Jerzy z wielką uwagą, – lecz mając już pewne wyobrażenie o położeniu kraju, całe go nie mógł zrozumieć. Co usłyszy jakiś nowy-argument hetmanowój, to mu się w głowie zamąca, – co spojrzy na Zosię, to go już całkiem odlatuje przytomność. Patrzy na matkę – a matka milczy...

Lecz hetmanowa prowadzi swoją historią dalej, wykładając dalej swoje widzenie rzeczy coraz wymowniej, aż zakończyła nareszcie taką konkluzją: ażeby Jerzy jechał natychmiast do Pod- kamienia, ażeby stanął przy boku hetmańskim, a połączywszy się z generałami i starszyzną umiarkowanych opinij, starał się przy- najmniej to wymóżyć na rozżarzonem hetmanie, iżby się teraz pod żadnym warunkiem od Podkamienia nie ruszył. Tę naznaczywszy mu misyą, dawała mu jeszcze poszczególne nauki, jak względem których osób otaczających hetmana ma się zachować, obiecała dziś jeszcze wygotować listy polecające do męża i zakończyła swoją oracyą:

– A zresztą, mój panie Jerzy, rób jak ci rozum będzie dyktować. W sprawach podobnych nic napród przewidzieć nie można. Jedna tu chwila czasem wszystko przeważa, zwłaszcza u męża mego. Na każdy jednak wypadek staraj się o to, ażebyś Ledó- chowskiego i Rybińskiego pozbawił zaufania u niego, a owych krzykliwych rotmistrzów i poruczników, którzy zapewne z zapalo- nemi głowniami po obozie latają, ażebyś całkiem "nie dopuszczał do rady. Ja ci tu takie wypiszę listy do mego męża, iż nietylko zostaniesz zaraz u jego boku, ale będziesz miał także i ufność wielką u niego, którą utracić lub podnieść będzie w twój własnej mocy. Ja się spodziewam, po tobie, iż wyszedłszy z tak dobrej szkoły i trafiwszy do mego męża pod taką porę, kiedy nióma nikogo poufnego przy sobie, potrafisz zdobyć sobie u niego odrazu taką pozycyą przeważną, iż z niej doprowadzisz z łatwością do skutku zamiar tak mały. Nie potrzebujesz występować przed nim odrazu ze wszystkióm, owszem, nawet w razie potrzeby zakryj jaknajstaranniej, co leży na dnie naszego planu, bo tu nie idzie wcale o przerobienie jego terażniejszój opinii, ani nareszcie o pogodzenie go z królem natychmiast; idzie tylko o zyskanie wolnego czasu, którego dwa, trzy tygodnie najwięcej już nam całkowicie wystarczy. Jedźże z Bogiem, mój Jerzy, Ledóchowskiego i Rybińskiego psuj tam u mego męża jak możesz, Dorpowskiego pociągnij za sobą, co ci się uda z łatwością, a połączywszy się z Grano w- skim i generałem Baudyczem, choćbyście się mieli położyć na ziemi, nie puszczajcie hetmana od Podkamienia...

Wysłuchawszy tych ostatecznych instrukcyi, Jerzy, lubo te niespodziane wiadomości jeszcze mu się dziwnie mąciły w głowie, przecież je wreszcie zrozumiał. Ba i ocknął się nawet i w wnętrzu serca orzeźwiał, bo ujrział, że ledwie kopce graniczne swój ziemi ojczystój przekroczył, już mu się zaraz zdarzyła sposobność do tak ważnych względem niej posług, że nie żał im było wszystkich sił swoich poświęcić. Jeszcze on dobrze nie wiedział, w jaki sposób to ważne zlecenie hetmanowej wypełni, –jego przeczucie kazało mu całkiem tój pani nie wierzyć; ale jakkolwiekby, czy obecna sprawa narodu miała być doprowadzoną do końca na drodze wojny ot war tój, czy na drodze układów, zawsze to w ta

kim razie być u boku hetmana z tak poufną rekomendacją, nie obojętna to wcale pozycja. Ażeby więc tę pozycją zdobyć sobie tórn pewniej, już się w najmniejszej rzeczy hetmanowej nie sprzeciwiał, już wszystkich jej nauk, lubo ęzasem i cale przewrotnych, słuchał pokornie jak Gregoryanek, a za całą odpowiedź prosił tylko o listy.

Kiedy więc hetmanowa zasiadła nareszcie razem ze stolni- kową do listów, on, cały wzburzony tym nowym światem, który mu się tak nagle otworzył, odszedł w przeciwną stronę komnaty, aby tam w samotności zebrać swe myśli i jeszcze lepiój się opanować. Ale tam wkrótce znalazła go Zosia.

: Pan Jerzy, – mówiła ona, – jesteś najnieszczęśliwszym z ludzi. Po kilkoletniej~niebytności powróciłeś do twojćj ojczyzny, ażeby po trudach odpocząć, a tu tymczasem zaprzęgają pana od- razu do takiej pracy.

– Przeciwnie pani, – odpowiedział na to młodzieniec, – jestem tórn nadzwyczajnie uszczęśliwiony. Kiedy kto inny na mo- jóm miejscu musiałby może cale lata przeczekać, nimby mu się zdarzyła tylko sama sposobność do służby, ja ją nietylko znajduję odrazu, ale jeszcze do tego dostaję posłannictwo tak ważne, jak to, któręrn mnie zaszczyca w tej chwili pani hetmanowa koronna. Czyż można więcj od fortuny wymagać?

; –i Może to być, – rzekła Zosia, – że to jest początkiem szczęścia dla pana, czego ja życzę, z całego serca. Ale powiódźże mi pan Jerzy, cóż myślisz zrobić z tą misją?

To zapytanie trochę zdziwiło Jerzego, rzekł wszakże bez długiego namysłu:

– Mam wyraźne w tym względie od mamy instrukcyę... fc– I będziesz pan się ich trzymał na ślepo?–spytała hetma- nówna, patrząc mu w oczy.

Jerzy spojrział na nią z zadziwieniem i rzekł po chwili:

– To jest moja powinność... chyba żeby się tymczasem odmienił "stan rzeczy.

– A kiedy stan rzeczy się nie odmieni? – spytała Zosia.

Jerzy milczał. Hetmanówna zaś po chwili dodała:

– Pan Jerzy ma bardzo ważną misją przed sobą. Mój Ojciec stoi dziś na tym punkcie, z któregoby mógł wielkich dokazać rzeczy. Moja matka nie pragnie więcj, jak aby zgodę z królem i spokój przy wrócił, a jabym chciała, żeby przy tój okazji i miłość narodu odzyskał...

– Pani pragniesz najpiękniejszych rzeczy dla ojca,–odrzekł Jerzy.

– Czy i pan zgadzasz się na to?

– A czyż się tu można nie zgodzić?

. - –! Takem się spodziewała, – odpowiedziała hetmanówna, patrząc wdzięcznemi oczyma na zarumienionego młodzieńca, – bo to samo ze siebie wynika. Cóż nam dziś więcj potrzeba, jak miłości.

u braci? I czyż to nie czas już na nią po tylu leciech nienawiści i złości? Cóż nam po owych lśniących splendorach, po nieprzebranych dostatkach, po wyniosłym znaczeniu, kiedy to wszystko tak zimne, tak sztywne i oczewiście tylko, li tylko wymuszone? Gdziekolwiek się obrócimy, towarzyszy nam podziw, pokłony i wszelkie oznaki uszanowania, – ale nigdzie życzliwe westchnienie, nigdzie uśmiech serdeczny. Jesteśmy jak cudzoziemcy między swoimi, jak gdyby goście w swym własnym kraju. Nie znajdując miłości u braci, zwracamy się z nabożeństwem do Boga, sypiemy złoto, aby zakupuć to, czego nie umiemy zarobić, i zakupimy wiele, może i wszystko, – oprócz serc ludzkich których nie dostać za złoto. Ot! i dzisiejszy stan naszych rzeczy nie zmienił się od lat niepamiętnych dotychczas. Dziś możeby się mógł zmienić cokolwiek, – -Rybiński i Ledóchowski, kierując nawet sprawy publicznej ku jój zbawieniu, pomimowoli i nad tórn pracują, – ale podobno daremna ta praca!

– Czemuż to pani, – zapytał Jerzy, do głębi serca¹ wzruszony, – wszakżeż to tylko zależy od pana hetmana?

Zosia milczała, patrząc smutno ku ziemi.

Jerzy ponowił pytanie, mówiąc:

– Niech mnie pani oświóci w swej łascfe. Ja jestem bardzo daleki od tego, ażebyrn myślał, iż człowiek młody i zaledwie w świat wstępujący, potrafię przeważny wpływ wywrzóc na męza, osiwiálego w pracy około najważniejszych spraw narodowych; aleć to czasem śpiów drobniutkiój ptaszyny daleko głębiój nas wzruszy, niż najhuczniejsza kapela.

To rzekłszy, czekał z wrzącą niecierpliwością jój odpowiedzi, w której się spodziówał bardzo ważnych objaśnień co do charakteru hetmana.

A Zosia na to:

– Pan lubi ptaszki?

Jerzy zbladł trochę. A ona dalój wesóło:

– Ja bardzo lubię ptaszki, ale tylko śpiówające i tylko na wolnóm powietrzu. Kiedy pan Jerzy przyjedzie do Brzeżan, oba- czy pan u mnie całą izdebkę ptaszków, które każę łowić w jesieni, żywię przez zimę, a na wiosnę wypuszczam. I bardzo to są wdzięczne stworzenia. Przez całe lato mieszkają wszystkie w ogrodzie i za zimowłę odwdzięczają mi się śpiewaniem, a kiedy zima się zbliża, same przylatują do swojój izdebki. Jednakże najmilszym ze wszystkich jest mi jeden słowik, który przez całą wiosnę i lato mieszka w krzaczkach pod .mojemi oknami, a na zimę przelatuje do moich komnat. Z tym. słowiczkiem już trzy lata się znamy i bardzo się z sobą kochamy. Rozmawiamy po kilka razy na dzień i ja go całkiem rozumiem; lubię zaś jego rozmowę tórn więćój, ile te on mnie słucha bardzo cierpliwie i nigdy mi nie zadaje tych pytań na które odpowiedzióć nie jestem w stanie...

Takim sensem moralnym zakończywszy swoją bajeczkę, hetmanówna patrzyła na Ożarowskiego z uwagą, nie kryjąc wcale serdecznego uśmiechu. Ale Jerzy był jakby pomieszany cokolwiek i całkiem smutny.

– Przepraszam panią, – powiedział na to z powagą, – żem przez zapomnienie albo żywe zajęcie się sprawą publiczną, zanadto szeroko otworzył me serce. Ale ja się spodziewam, że to najlepiej w ten sposób naprawię, kiedy przyjechawszy do Brzeżan, pójdę na naukę do owego słowicza.

A Zosia na to zawsze wesoło:

– Otóż mi pan Jerzy powiedział rzecz, której znowu ja nie rozumiem. Ale niech już tak będzie. Najwyższe narodowe potęgi są dzisiaj w nieporozumieniu ze sobą... ptaszęta? Ale powiódźże mi pan Jerzy, wszakże pan byłeś na wychowaniu u jezuitów?

– Byłem pani.

– I byłeś także na dworze króla Ludwika?

– I tam byłem czas jakiś.

– Ani jednego, ani drugiego nic po panu nie widać.

Jerzy popatrzył na nią niby spokojnie, ale zaledwie mógł utaić wzdrygnięcie. Milczał, ale go piekło coś koło serca. A figlarna dziewczyna jeszcze tym jawniej się śmiała i wytrzymałszy go chwilę na tych tam mękach, spytała znowu:

– I tego pan nie rozumiesz?

– Ani jednego słowa.

– No, to żebyś pan o tym przez całą podróż nie myślał, to panu powiem, że tak u jezuitów, jak i na dworze króla Ludwika, uczą przed wszystkióm serca zamykać... A pan się tego nie mógł domyśleć! Ach! jakież to z pana jeszcze dzieciątko!

Koci, koci v łapki.

Pojedziem do babki...

I nucąc dalej tę piosnkę dziócięcą, a klaszcząc przytóm w ręce ze śmiechem, odbiegła winną stronę komnaty.

A Sodalis Marianus został pod ścianą jak wryty. Dostyc to sztucznych kobiót napatrył się we Francji, ale jakoś mu to nie szkodziło. A tutaj nagle zrobiło się z nim coś tak dziwnego, że mu się zdało, jakby mu kuglarz zdjął głowę z karku i zabrał z sobą. Strach go wziął wielkooki, jakoż najpierwój zrobił krzyż święty na piersiach. Ale i to nie pomogło. Czuł brak głowy na karku a ztąd go coś mimowoli ciągnęło, aby szedł za tym, który mu tę głowę odebrał. Jakoż patrząc ciągle za hetmanówną, już ruszył z miejsca, aby za nią pociągnąć; ale na jego szczęście hetmanowa w tój chwili skończyła listy i zaprosiła go z pośpiechem do siebie.

To go ocuciło w ten moment. W obec sprawy tak ważnój, którą mu hetmanowa jeszcze wyjaśniła o wiele, zapomniał całkiem

O tych dziwnych pustotach swawolnej dziewczyny i pobiegł prędko I ku hetmanowej. A hetmanowa dała mu zaraz te listy, z których jeden był do hetmana, drugi do Dorpowskiego, trzeci do generała Baudycza; przypomniała mu jeszcze pokrótce swoją dawną instruk- * cyą i dodała nakoniec te słowa:

Jedzie tedy, mój Ożarowski, jak tylko możesz najprędzej, bo tu i jedna godzina może zrobić różnicę. Kieruj tam zaś temi sprawami, jak będziesz umiał najlepiej. Ja mam nadzieję, że czego my dokazaliśmy ledwie w połowie, to ty szczęśliwie i bez trudności dokończysz, choćby tylko dlatego, że mój mąż ślepo wierzy we Francuzów. Gdybyś zaś i niczego nie potrafił dokazać na nim, to i tak jeszcze nie małą mi wyrządzisz' przysługę przez to, bo mój mąż będzie miał choć jednego wiernego przyjaciela przy sobie.

Tedy już się żegnał. A kiedy przy pożegnaniu jeszcze po raz ostatni hetmanowę o swoich najlepszych chęciach zapewniał, uważał że Zosia patrzyła jakimiś tak przenikliwymi oczyma na niego, jakby go chciała przejrzeć na wylot. Zdawało mu się nawet, jakby jej oczy błyszczały łzami. A to go tak głęboko wzruszyło, że zadrżał cały i utracił w połowie przytomność. Jednakże obawiając się, aby jej całkiem nie stracił, tylko tem prędcój jeszcze wybiegł z komnaty...

Kiedy się ocknął, noc była ciemna, on, obwinieyty w płaszczyk hiszpański, biegł chodnikiem ulicy, a służący w barwie het- mańskój szedł przed nim, prowadząc go do jego gospody. Za. małą chwilę był już w swojej kwaterze, zawołał gospodarza i kazał sobie konie przyprowadzać czempredzej, a służącemu pakować bagaże. I już tu niby wszystko było w porządku. Nie wiedział on jeszcze o stanie sprawy publicznej tak dokładnie i pewnie, ażeby mógł postanowić u siebie, za czem mu przyjdzie u hetmana przemawiać; aleć ta rzecz nie była tajemnicą gabinetową, a cze- goby się nie mógł dowiedzieć na drodze, to mu się musiało wyjaśnić w obozie. Tak tedy, czy owak, siadać mu tylko było natychmiast i jechać do Podkamienia, ażeby zająć czempredzej to stanowisko, z którego tak teraz jak i na potem będzie mógł być pożytecznym ojczyźnie.

Ale tymczasem inna tu wcale kwestya stanęła mu na przeszkodzie. Jakżeż? to powróciwszy do kraju, nie miałby prze- dewszystkióm nawidzić swego drugiego ojca, swego ukochanego miecznika? Człowiek ten podniósł go prawie ze ziemi,, do swego serca przytulił, kosztem swojej szkatuły wyprawiał

1 utrzymywał przez półtrzecia roku we Francyi, – wszystko co teraz się otwiera przed Jerzym, nie losowi, nie szczęściu, nawet nie- matce swojej, tylko winien był jemu,–i. onby go mógł teraz ominąć? * W jego domu tyle było miłości dla niego, tyle serc kochających, jego anioł opiekuńczy, który go strzegł za morzami

i modlił się za niego na książeczce nabożnej, tam mieszkał i wyczekiwał go z upragnieniem, – i onby miał o nich zapomnieć? Jakoż już nie tęsknota, ale ogień jakiś wewnętrzny go palił, aby Wstąpić koniecznie nad Nidę. I myślał sobie natenczas: Zboczę z drogi i choćby na jedno oka mgnienie tam wstąpię. – Ale nie-ubłagany rozum mówił mu wcale inaczej. Zboczyć bowiem nad Nidę, to dwa dni zwłoki. Klucz do tój chwili trzyma w ręku, hetman wielki koronny – a klucz do serca hetmana ma on w swoich ręku. Jeden tu dzień, jedna może godzina, jest w stanie ze- psować wszystko. Nie! tu nie można tracić ani jednej godziny.

Jakoż przeciwko temu nie było co mówić. Stęsknione serce, chociaż je miłość i wdzięczność ze wszystkich sił pociągały do owego ukochanego zameczku nad Nidą, musiało uleść obowiązkom ważniejszym i zamilczeć. Jerzy pomyślał sobie: Zameczek jeszcze dostoi do czasu, – a służba koło sprawy publicznej żadnej nie cierpi zwłoki. Napiszę zresztą list do miecznika, – a tak się * ta pozorna obojętność dla niego i wyjaśni i usprawiedliwi. Jakoż siadł zaraz do listu.

Ale tymczasem, jako^ to noc bywa krótka w tój porze, już i oświtało. A ze świtaniem wbiegła matka do niego.

– Cóż? jużes gotów? – pytała ze drzwi, – hetmanowa w obawie, ażebyś nie doznał zwłoki w podróży, przysłała ci glejt kuryer- ski, a oraz cedułę na konie pocztowe i na podwoły. Dlatego jeszcze przybiegła do ciebie.

I to mówiąc, położyła na stole owe hetmańskie: – „My, Adam Mikołaj” i t. d. z okienkiem, w które było wpisane imię Jerzego Ożarowskiego, jako hetmańskiego kuryera.

A Jerzy na to:

– Ja jestem gotów. Ale mi bardzo w głowie kochany mój • Bobrownicki. Bo i co też on o mnie pomyśli, kiedy się dowie, że ja już wróciłem a nie wstąpiłem do niego?

Ale troskliwa matka, która podobno głównie dlatego tu przyszła, zaraz mu na to:

– Ależ mój Jurciu! tylkoż przez miłość Boga tój sobie głowy nie frasuj. Otóż to piękna! Dla jakiegoś tam przyjaznego afektu jeszcześ gotów i przeżartować taką wielką karierę. A czyż to nie wiósz, co to masz dzisiaj w twych rękach? czyż nie widzisz, że tu jedna chwileczka może być warta milionów? A wszakże Bobrownicki ci nie ucieknie...

– Coś i ja tak rozumiem, – rzekł Jerzy, – ale chciałbym przy- najmniej list napisać do niego...

– A, to co innego, – odpowiedziała matka, – to napisz prędko i oddaj mnie to pisanie. My z hetmanową pojedziemy pewnie pod Hebdów, a zdaje mi się, że także i pod Sandomiórz, dla widzenia się z hetmanem litewskim Denhoffem; toż ja w ka-

żdym razie będę u siebie, a wtedy będę i u miecznika i sama mu oddam ten list, jeszcze i z ustną ekskuzą.

I tak się stało. Jerzy list skończył, oddał go matce, a padłszy jój do nóg na pożegnanie, wsiadł do powozu i popędził do Podkamienia.

Z Krakowa do tego Podkamina, pod którym hetman wielki koronny stał natenczas obozem, a który leży razem z Oleskiem prawie tuż' poćPłodami, było mil blisko sześćdziesiąt. Była to tedy podróż dosyć odległa, a w braku swojej własnej podwoły zawsze dość uciążliwa; jednakże w owój porze była ona jeszcze daleko trudniejszą. Albowiem wtedy cała ta przestrzeń kraju była rozburzona, szlachta wsiadała na koń, ciągnęła na oznaczone miejsca zbiorowisk, wlokła po staremu za sobą liczne i ciężkie tabory; tu przebiegała starszyzna wioski i miasta, ażeby jeszcze więcej zgromadzić ludzi, tam przewożono działa, amunicją, furazę, gdzieindziej znowu starce, niewiasty i dzieci ujeżdżały w miejsca bezpieczne, jako więc zwykle przed wojną. Gdzie tedy w tym wytrzebionym kraju był jaki koń do użytku, już go tam pewnie wynaleziono, a o podwołę dla obcego człowieka ani pytać było nikogo, bo jak to mówią, bliższa koszula ciała niż kożuch, a nie dopiero jakiś tam kuryer hetmański. A tu tymczasem Jerzemu cofaz to pilniój, niedosyć bowiem, że już sam cel jego podróży naglił go do pośpiechu, jeszczeż do tego i wieści, które zbierał po drodze, coraz to większy w nim obudzały niepokój. A były te wieści czasem nawet istotnie zatrważające; jak bowiem z jednoj strony rzeczą było jawną, że województwa tutejsze nader nieliczne powystawiały siły, tak znowu z drugiej domyślano się prawie powszechnie, iż hetman, nie ruszywszy się dotąd od Podkamina, zmienił już całkiem swe sentymenty. – Wśród takich okoliczności, wlokąc się w swój podróży mazią po piasku, gorejący żądzą pocziwój służby młodzieniec przychodził czasem do

najwyższej niecierpliwości; przecież nareszcie, zjechawszy się z kasztelanem przemyskim, Charzewskim, który stał z garstką szlachty w Przeworsku, i wypowiedawszy się przed nim rzetelnie z zamiarów swojej podróży, dostał od niego koni i listów do dalszych komend, – a tak już potem jechał trochę pośpieszniej. Jednakże ledwie dnia dziewiątego i to samym wieczorem dotarł do hetmańskiego obozu.

Dojechawszy do miejsca przeznaczenia, obaczył najpierw dwa szeregi drewnianych bud i szałasów, w których kramarze, szynkarze, przekupnie, porozkładali swoje towary, uformowawszy przed samym obozem prawie taką ulicę, jakie się daje widzieć na targowiskach jarmarcznych. Teraz, jako to już po ósmój godzinie wieczornój, o której niewolno było nikomu wychodzić poza okopy obozu, już ten zgiełk jarmarczy ustawał i tylko kramarze, zamykający szałas, kręcili się jeszcze z latarniami lub gorejącóm łuczywem. Więc na końcu tój przedobozow^Tej ulicy pokazały mu się okopy, pomiędzy niemi brama zbudowana na prędcie z kołów palisadowych i belek, a tuż za bramą szubienica ogromna, niezbędna wiecha hetmańskiego obozu, służąca najpiórw jako insygnium surowości artykułów hetmańskich, a powtóre jako depositoryum rzeczy skradzionych lub znalezionych w obozie, które za zwyczaj wszem w obec na jej szczycie wieszano. Pod szubienicą widać było dwie beczki smolne, czerwonym gorejące płomieniem, tuż koło nich kręcili się czarni, pozarastani, trzymający szyldwachy halabardnicy, a wkoło czuć było dość mocny i prawie odurzający zapach smolnego dymu i czadu. Kiedy zaś jeszcze do tego tam w głębi, za ową bramą i szubienicą, widać było jakoby jakieś wielkie mrowisko, po którem migały się jakieś niewyraźne postacie z pochodniami i smolnem łuczywem, to nie był to widok ani przyjemny, ani pociągający, bo mówiąc prawdę, toż samo piekło trudnoby miało inaczoj wyglądać, jako ten obóz hetmański w tej chwili.

Lecz Ożarowski wcale na to nie zważał, tylko doszedłszy pieszo do bramy, żądał wpuszczenia wewnątrz. Ażeby zwykłych w podobnych razach trudności uniknąć, pokazał najpiórw glejt swój kuryerski: jakoż na jego szczęście nawinął się zaraz oficer służbowy, który papier odczytał i znalazł go całkiem w porządku, chociaż się przytóm jakoś dziwnie uśmiechnął i rzekł:

– A to waszmość od hetmanowej. Chodźmy więc do hetmana.

Lecz Ożarowski nie chciał iść prosto do Sieniawskiego, bo zdało mu się pierw^Tój koniecznem wziąć jakąś informacją dokładną o stanie rzeczy w obozie. Hetmanowa usiłowała wpoić weń ufność największą do Dorpowskiego, Baudycza i Granowskiego, a na Rybińskiego nic wcale nie liczyć, ale jemu właśnie dlatego zachciało się najprzód widzióc z Rybińskim. Udając tedy, że jako dawno znajomy z tym generałem-regimentarzem a wojewodą cheł

mińskim, u niego stanie kwaterą, kazał się najpierw wieść do jego namiotu. Jakoż tam go' zaprowadzono.

A wojewoda pod swoim przestronnym namiotem właśnie co kontusz obłóczył na siebie, a jego szatny przy kagańcu, którym mu kozak przyświecał, pas wiązał na nim, aby był gotów, kiedy znać dadzą, że już czas do hetmana. Ale miast tego zapowiedziano mu oficera w jakimś cudzoziemskim mundurze. Więc wojewoda się zdziwił i kazał go wpuszczać czćmprędzej, a kiedy go obaczył przed sobą, wyjął kaganiec z ręki kozaka i oświóciwszy gościa, rzekł zaraz:

– A toż to ktoś nieznajomy. Z kimże mam honor?

A Jerzy na to:

– Jestem Ożarowski.

– Ożarowski? – powtórzył generał, a pocierając ręką po czole, dodał: – poczekajże waszmość, a czy nie syn Bogusława?

Jerzy to przyznał. Więc wojewoda czćmprędzój:

_____ A tożto waszmość nam tak strzepałeś Flemingowego synowca! Cha, cha, cha! niechże cię Bóg błogosławi. A co my to z tego mieli pociechy! Ba to wielcy rycerze, ci Sasi! Dałeś im tedy naukę in fraxi, co tóż było z podziwieniem całego wojska, żeby taki rycerz potężny dał się aż na ziemię obalić chłopięciu. Ej! miał tóż za swoje nieborak, że i oczu nie śmiał nigdzie pokazać, aż też nakoniec stryj jego, że mu to wstydu takiego narobił, wyprawił go gdzieś na kraniec świata. No, a czemuż to waszmość nie -wstąpiłeś zaraz potem do wojska? byłaby była za to •przecie nagroda.

* – Jw. panie! – rzekł na to Jerzy, – młody byłem jeszcze natenczas i zdało mi się pierwój świata trochę obaczyć. A tak Tuszy wszy do Francji i, służyłem trochę w tamtej szój armii.

* – A widzę ja to, widzę, rzecze generał, – i jfcardzo tego y winszuję. Jeżeli tamto się przyda, to to jeszcze lepiój; szkoda tylko, że poczynając służbę, trafisz nie na wojnę, ale właśnie na flusa...

Niebardzo Jerzy rozumiał, co to ten flus miał znaczyć, ale właśnie w tej chwili generał kazał świece zapalić, a służbie się wynosić do zawołania; więc potóm dopiero mógl Jerzy go o to zapytać, ale tymczasem miał rzeczy pilniejsze. Jakoż nie odwołując, powiedział generałowi delikatnym terminem o co mu chodzi, dając nieledwie do zrozumienia, że jest z taką rekomendacją od hetmanowój * tu wyprawiony," iż stanie odrazu tuż przy boku hetmańskim: chciałby więc wiedzióć dokładnie jak rzeczy stoją i z czóm to najpierw się przed tym panem odezwać? Kiedy zaś jeszcze i o tem napomknął, że Dorpowskiego i Baudycza, do których nawet ma listy, minął umyślnie,, a do niego się udał najpierwój, już go tóm całkiem dla siebie pozyskał i obudził w nim ufność ku sobie otwartą. Lecz wojewoda, choć kontent z tego, wcale się tem nie weselił, a odpowiedział na to nieledwie smutnie:

– Mój panie młody, widzę że ci nie brakuje fantazyi. Dajesz krok pierwszy w służbę publiczną a już chcesz wpływać na opinię i czyny głównych jój kierowników! Aleć ja tego nie ganię –j i nawet chwale, a to z tój racyi, że jak widzę stary ród wielkich ludzi już całkowicie wyginął; jeżeli czego nie zrobią młodzi, to na starych i patrzeć nie warto. A toż ja sam stary i radbym z duszy trzymać stronę moich kolegów; ale nie można. Dziadki to wszystko kościane, do kądzieli a nie do miecza, do babskich plotek albo do targów kupieckich, ale nie do rządzenia narodem. I ja już dziś do niczego, i ja nic wielkiego nie sprawię. Na was więc kolój! toż zabiórajcie się k'temu, pracujcie, ważcie. Zamiar waszmości, mój panie Jerzy, chwale jeszcze tómbardziój dlatego, że nasz hetman wielki koronny jest rzeczywiście trochę woskową figurą. Ma on w sobie i upór, który się czasem skaliście stawia; ale upór, to nie hart duszy, to nie charakter, to przymiot ale nie miazga człowieka. Kromia zaś tego uporu wszystkie inne przymioty zdradzają miękkość. Badałem ja to sumiennie, bo mi też na tóm zależało niemało, a zwłaszcza teraz, i powiadam z pewnością, że niezawodnie miękki to człowiek, czego najlepszy dowód mam w tóm, iż zebrawszy wszystkie jego postęпки od czasów najdawniejszych do dzisiaj, nie widać w nich najmniejszój jednolitości, ani powagi, ani pewności siebie i statku. Przez całe życie we wszystkich swoich opiniach, postanowieniach i czynach chwiał się jak trzcina, prawie zawsze dziś mazał to co wczoraj napisał, nikomu w przyjaźni nie dotrwał, a odepchniętego od siebie zawsze napowrót. przyciągnął; jeżeli zaś w tych wojnach ostatnich jako tako dotrwał przy królu, to za to ileż razy odskakiwał od niego i ile razy powracał! Jakoż mam to za rzecz dowiedzioną, iż gdyby się dobrał człowiek do niego, toby nim pewnie kierował: ba, ale gdzież jest ^en człowiek? Nie było go dotąd, niómasz go dzisiaj, a choćby się i znalazł za czasem, to już to kwestya jest wielka, czyliby czego dokazał, bo chcąc giąć drzewo, trzeba za młodu, a zstaróm już niema rady. Doświadczyliśmy teraz tego najlepiej, bo i jakichże to sił i sposobów nie używaliśmy przeciw niemu, a przecież próżno!

– Próżno? – rzekł na to Ożarowski z pośpiechem, – jakże to, panie wojewodo? to hetman rzeczywiście jest niewzruszony?

– Jak pień, – odpowiedział Rybiński i objaśnił mu w krótkich słowach cały stan rzeczy.

Był zaś ten dzisiejszy stan rzeczy taki, jak się już w części nadmienilo powyżej.. Z początku hetman bardzo rozgorzał był przeciwko królowi. I nietylko on wtedy wojska kwarciane zgromadził i ruszył, a po kraju posłów tajemnych rozesłał, ażeby województwa na koń wsiadały i przybiegały pod Tomaszów, dokąd sam iść był zamierzył; lecz nadto jeszcze sześć swoich własnych chorągwi posłał księciu wojewodzie krakowskiemu na sukurs, panów ruskich na konferencyą do siebie powołał, a kiedy o tej

sprawie wspomniał, to powiadał wyraźnie: że nie targować się dzisiaj już z królem o ulgi, ale detronizować go trzeba, bo na te praktyki saskie i niesłychane eksorbitancje niómasz innego lekarstwa.. Wtenczas to pewnie hetmanowa wielka koronna, widząc swojego męża tak zawziętego, złąkła się przewidywanych przez siebie skutków tój zawziętości i wyjechała, ażeby im póki czas jeszcze zaradzić. Ale zawziętość ta trwała tak krótko i tak mało zostawiła po sobie śladów, jakby jej wcale nie było. Już bowiem wtedy, kiedy powołani panowie przyjechali do Sieniawskiego, – a przyjechali śpiesznie, bo i któżby się był na taką odezwę nie śpieszył? – hetman zupełnie inne zdradził usposobienia. Zamiast zawiązania konfederacyi, odprawił z nimi radę nijaką i pozbył niczóm; sam zaś, rozłożywszy się z swemi mieszanemi wojskami obozem u Podkamina, ani myślał się ruszyć. I nie było sposobu, aby ten upór zachwiać, nietylko złamać. Ani poważne Rybińskiego namowy, ani gorące próśby Ledóchowskiego, Czackiego, Fredra i innych panów, ani burzliwość umysłów w obozie, ani po części groźne, po części szydercze głosy, dochodzące z prowincyi, wszystko to najmniejszego nie wywierało nań wpływu! Uparty ten człowiek zaciął się jak koń narowisty i sam nie wiedząc dlaczego, stanął głazem w pół drogi. Owóż taki to był dzisiejszy stan rzeczy. •

Wysłuchawszy tój krótkiój lecz zarazem tak ważnej relacyi, Ożarowski się bardzo zasmucił. Oparłszy głowę na rękę, zapadł sam" w siebie i w pierwszój chwili zaledwie wiedział, co się z nim dzieje. Lubo mu o tóm już na drodze mówiono, jednak jeszcze do tego momentu nie wierzył, żeby sprawa powszechna tak mało miała przed sobą widoków. Teraz się o tóm przekonał z ust wi- rogodnych, – a to go niewymownie dojęło. Lecz wojewoda mówił tymczasem dalej:

– I żeby to choć wiedzieć tego uporu przyczynę! ale ani się o to dogadać. Cała racya: Sic volo. Raz tylko szczególny, obruszywszy się na mnie cokolwiek, powiedział te słowa: „Byłem mężem statecznym przez całe życie, mamże siś stać rebelizantem na starość?” – Ale i co to jest za argument? A toż ja stateczniejszym byłem od niego, bo służyłem królowi od jego wstąpienia na tron do dzisiaj bez przerwy, a w intermedyach nie knowałem żadnych praktyk postronnych." Wiedziałem ja ci o tóm od samego początku, że nie jest to król najlepszy, ani najsumienniejszy, ani najmoralniejszy, – ale mając pewną konwikcyą, że ze Szwedami byłoby jeszcze daleko gorzej, za nim trzymałem. I trzymałem gorąco, bom i krew za to przelćwał. Ale dziś, kiedy widzę co za uciski nieuprawnione od tego tronu wychodzą, kiedy wiem pewnie, że jest zamierzono na krzywdy jeszcze daleko większe, odstępuję od króla, bo to jest mój obowiązek. Rebelii nie chcę i wojny otwartój nie chcę, – jakoż rzeczą jest pewną, że gdyby się jakoś rozstrożono, to w dzisiejszych okolicznościach do wojny

nie przyjdzie, bo jój sam król nie dopuści, – ale właśnie dlatego jestem zdania, żeśmy powinni wystąpić tem groźniój. Stracić nic nie możemy, a im wyższą położym cenę, tóm oczówiście więcój da się nam wytargować. Ale i co po tóm, kiedy nas nie chcą rozumióć ci, którzy mają wszystko w swych rękach?

Więc Jerzy na to wstał prędko z miejsca i rzecze:

– Panie wojewodo! nie myślę ja wcale tego zaprzeczać, co mi jegomość powiadasz, ale przecież rozumiem, że jeszcze raz popróbować nic to nie zaszkodzi. Nie może mi się tu żadną miarą pomieścić w głowie, żeby pan hetman nie pojął rzeczy tak pro- stój i jasnój. Jeżeli tam tedy nie stoją w drodze jakieś partykularne przeszkody: Bóg wielki, a z Jego woli, co się dnia wczorajszego nie mogło stać w żaden sposób, może przyjść dzisiaj do skutku z jaknajwiększą łatwością.

Więc wojewoda spojrział na Ożarowskiego z uwagą, a uśmie- chnąwszy się zlekka, rzekł najpiór: ' Siadajno waszmość.

A potóm, jako to był mąż dosyć ciężki i zażywny na ciele, do tego stary, zaczem i na umyśle nie prędko, pomyślał nad tóm cokolwiek. Założywszy ręce na brzuchu i - obracając wielkimi palcami jeden koło drugiego, siedział tak chwilę, patrząc w mil- czeniu przed siebie. Więc tedy poterrf^pojrzawszy znowu z uśmie- chem na Jerzego, rzecze mu na to:

– Piękny to taki ferwor młodzieńczy, niema co mówić. Ale powiódzże mi waść, po cośto tutaj przedewszystkióm przyjechał? Ażeby wstąpić do służby i zapomocą hetmana forytować. się dalój? czy tak?

Jerzy milczał. Qui łaceł consentit; więc wojewoda na to:

– No, toż to taka próba nie będzie wcale pomocą do właściwego awansu. Jeszcze gotowa i drogę zamknąć na zawsze...

Lecz Ożarowski, który rozgrzany szlachetną trwogą, pełen już był zapału, rzekł na to prędko:

– Wiele jest warta łaska hetmańska, nie przeczę, ale daleko więcój prawda i cnota. Niechże więc stracę łaskę Sieniawskich na zawsze, niech zaraz dziś będę musiał wyjeżdżać z obozu, przecież nie zniosę tego na sobie, abym i ja nie miał odezwać się przed hetmanem.

Więc wojewoda już tylko przez oka mgnienie pomyślał, poczerń wstał także i rzekł:

i — Ha! to kiedy masz taką ufność w swoją wymowę, ten- tujmy jeszcze poraż ostatni. Jesteś waść młody, świeżo ze dworu tak rozumnego monarchy, oficer armii takiój potężnój, a do tego i taki ciepły, jak widzę, może go więc jakim tam argumentem rozgrzejesz. My tedy już się do tego brać nie będziem, bo jużesmy tam i klękali, i na nic się to nie zdało. Ale kiedy byśmy widzieli, żeś go już trochę poruszył, to się rozgłośnie odezwiemy za tobą. A tak tam może choć cokolwiek się zrobi. Ale to chyba już nie

odwlekać, bo i tak ani chybi, że hetmanowi już doniesiono o two- jóm przybyciu... Ja zaś zajdę do Dorpowskiego, poszlę po Kosa, który tu jeszcze raz od Ledóchowskiego przyjechał i będę się starał tak rzecz nakręcić, żeby tam dziś Baudycza nie było, który nam cale nie jest potrzebny; kiedy zaś hetman przysze po nas, abysmy przychodzili na flusa, jako to tam co wieczór bywamy, to przyjdziemy dziś trochę później, abys miał czas wyrozumióć cokolwiek, z kim będziesz miał do czynienia...

Tak to ten zacny generał zaraz tę rzecz utraktował – i bardzo dobrze: bo Baudycz był to Sas rodowity, dowodzący jedną częścią owych sześciu tysięcy Sasów, którzy jeszcze przed laty byli hetmanowi pod komendę oddani, a więc rzecz, oczćwisfa, że mógłby być dzisiaj być tylko przeszkodą; zaś Kos, lubo naówczas tylko sędzia ziemi chełmskiój, był jednak mężem niepospolitych, ba już nawet i głośnych w narodzie zdolności, a jako wysłannik od swojój braci za wieścią, co się to dzieje w obozie hetmańskim, nie mógł być w sprawie dzisiejszej jak tylko bardzo pomocnym. Aliści ledwie Rybiński wypowiedział te słowa, zjawił się zaraz i poseł od Sieniawskiego. Hetman zaprasza jmc wojewodę na flusa – a zarazem się dowiaduję, żali nie ugrząż u niego jakiś oficer obcy, którego dopióro do obozu wpuszczono, a który ma mióć jakieś do hetmana poselstwo? – Więc wojewoda na to z pośpiechem:

– Otóż masz! biegnijżo prędko, a powiódź tam hetmanowi, żeś się tu u mnie przebierał.

Zaczóm już Jerzy biegł co miał siły. A biegł z sercem bi- jącym i nieledwie drząc cały, bo już niemała to rzecz jawić się po raz piórwszym przed takim panem, a cóż dopióro z intencjami tak wielkiój wagi? – Więc dobiegłszy do mety, musiał 'stanąć na chwilę, aby się zebrać i cokolwiek odetchnąć.

A hetman wielki mieszkał w drewnianój gospodzie, którą w obóz zajęto i zamieniono w pańskie mieszkanie naprędce. Liche, to było domostwo, ale je w lot przerobiono; dano wysokie podłogi, ściany poobijano drogocennymi makaty, porozściółano pod nogi perskie kobierce, porozstawiano bogate sprzęty, co wszystko teraz, oświócone jarzącem światłem, wyglądało nietylko bogato, ale nieledwie czarownie. Więc hetman wielki bawił w tój chwili w tak urządzonój wielkiój komnacie i siedział w krześle polowóm tuż prawie przy stole, który był ciężkim a gładkim kobiercem nakryty, a na którym gorzały dwa szczórozłote lichtarze, po dziewięć świec w każdym, i leżały dwie talie kart polskich, czerwono malowanych na grzbiecie. On lewą ręką przerzucał zniechoenia karty, a w prawój trzymał cybuch długi z kryształu, zakończony ogromnym perłami sadzonym bursztynem, z którego ciągnął kłęby niebieskawego dymu, woniejącego ambrą i różnemi innemi oryentalnemi zapachy.

A był ten piórwszy dygnitarz koronny jeszcze wcale nie

Tom X.

stary, bo wówczas jeszcze podobno i pięćdziesiątki nie dosięgł. Wzrostem był mało co więcej jak średni, lecz zbudowany barczysto, ' coby go było czyniło na pozór daleko wspanialszym, gdyby jednakże nie to, że się zazwyczaj nosił trochę pochyło. Twarz jego była dość mała i prawie całkiem okrągła, ale raczój koścista niż tłusta, a na niej nos ani rzymski, ani orli, lecz zakrzywiony u końca jak haczyk; oko miał czarne, okrągłe i' niezmiernie błyszczące, toż i czuprynę miał całkiem czarną, podgoloną dokoła dosyć wysoko i nadzwyczaj starannie. Całe zaś jego wejrzenie było więcej pochmurne, niżeli jasne, raczój surowo groźne, niżeli wspaniale rozkazujące; widząc go też raz piórwszy, trza było raczój uczuć respekt przed nim trwożliwy, niżeli powziąć cześć pełną szacunku i uwielbienia. A tak wyglądał Adam Mikołaj Sieniawski, hrabia na Szklowie i Myszy, pan na Sieniawie, Brzeżanach, Przemyślanach i innych dobrach niepoliczonych; najpiórw kasztelan krakowski, potem hetman wielki koronny, a nareszcie starosta lwowski i rohatyński, lubaczowski, stryjski i piaseczyński.

Tak siedzącego zastał go Jerzy.

Więc kiedy wszedł, hetman podniósł głowę do góry i spytał:

– A kto to?

– Jestem Ożarowski, – rzekł Jerzy, – nizki sługa jw. pana. Wracając z służby francuzkiej do siebie, zastałem w Krakowie jw. hetmanową koronną, która mnie z temi oto listami wyprawiła do pana hetmana.

To rzekłszy, oddał Sieniawskiemu listy od jego żony i wrócił na swoje miejsce.

Więc hetman na to, przypatrzwszy się pilnie Jerzemu, rzekł dosyć łaskawie:

– A" proszę bliżój.

Kiedy zaś postąpił o parę kroków, on mówił dalej tym samym tonem:

– Ożarowski? toż stolnikowicz krakowski. Patrzajże, jakeś mi wyrósł potężnie. Jeśli tak w rozum i cnotę, to powinszować.

Ale to mówiąc, stworzył zarazem list sobie oddany i wstawszy z miejsca, odczytał go powoli przy świetle. Poczóm ten list schowawszy w zanadrze, siadł nazad w krzesło, jakby nic nigdy nie było. Widać, że wiadomości od hetmanowej albo nie przynosiły mu nic nowego, albo to nowe było zupełnie zgodne z jego myślami.

Jednakże po tych* listach spojrzął na Jerzego jeszcze łaskawioj i spytał:

– No, i cóż tam we Francyi? Co się tam dzieje na dworze naszego ulubionego Ludwika? jestże tam jeszcze kto taki, któryby Sieniawskiego pamiętał ?

Niecierpliwy młodzieniec, który drżał na wspomnienie^sebez- pieczeństwa grożącego sprawie publicznej, niepomatu się nad tórn zadziwił, że hetman mógl w takiej chwili pytać o rzeczy tak obojętne; ale cóżkolwiekładź, na zapytanie trza było odpowiadać. –

Opowiadał więc o ile mógł najwymowniej, że cały dwór królewsko-francuski wspomina hetmana do dnia dzisiejszego, że ci i owi chowają dla niego przyjaźń serdeczną, tamci radziby go obaczyć, inni stokrotnie przesyłają mu pokłony – a nawet król sam, kiedy mu się zdarzy sposobność wymieniać Polaków sobie znajomych, zawsze jego wspomina – z szczególną uprzejmością i łaską. Więc tedy hetman bardzo się tódm rozweselił i mówił:

– No, to przecież pamięć tych zacnych ludzi jest dosyć trwała, bo to i tyle lat już temu, jakem tam bywał, i tyle to tam cudzoziemców przyjeżdża.

Zaczóm już pytał o niego samego, mówiąc:

– A waść służyłeś w wojsku, jak widzę. No, i jakże to tam się dostałeś, bo to dla cudzoziemców niełatwa sprawa?

Więc tedy Jerzy znów opowiadał po krótkce, jakiój szczególnie doznał tam łaskowości, pod jaką służył chorągwią, jaką odprawiał kampanią i w jakich bitwach miał udział. Czego wszystkiego hetman słuchał bardzo łaskawie i nawet chwalił, powtarzając i tutaj to samo, co już był niegdyś powiedział stolnikowój krakowskiej, że najpewniejszą pomocą do awansów w stopniach krajowych są przedewszystkióm służby postronne. Chwalił tóż przy tódm .szczodremi usty armią francuską i mówił:

, ^T A musisz mi też. zdać sprawę z tych tam przeróżnych nowości, które pozaprowadzano tymczasem w tej armii. Mianowicie ciekawy jestem owych tak bardzo już rozslawionych bagnetów, które i my tu już mamy, ale do których skutecznego użycia brakuje nam jeszcze niemało. Jakoż i rozmaicie jeszcze o tój broni ominujemy, a kto wió, czyli z nas wszystkich nie najlepiej o tem rozumie nasz król jegomość, który bagnetowi całkiem nie ufa, a w jego miejsce chce napowróć wprowadzić zdyskredytowaną już dzisiaj starożytną kopia husarską.

Na to więc odpowiedział znów Jerzy, iż umyślnie dla obeznania się z rzeczywistą wartością bagnetu służył przeszło pół roku w piechocie, zaczóm na rozkaz hetmana będzie wstanie nietylko dokładną zdać sprawę z użyciu tój broni, ale nawet i uczyć żołnierzy szermowania nią na wszystkie znane dotychczas sposoby. Więc tedy hetman, widząc już sam dosyć dowodnie, że jego żona nie darmo obdarzyła taką ufnością tego młodzieńca, jeszcze go bliżój zawezwał ku sobie, kazał mu usiąść i rzekł już całkiem otwarcie:

– No, to kiedy nam tak pilnie pracowałeś we Francyi, to ci i tutaj nie damy próżnować, a tak za Boską pomocą może się jakoś sobie nawzajem przydamy. Więc kiedy chęci będą mu po temu, bo o zdolnościach już wcale nie wątpię, to ci nie poskąpimy i naszój łaski, za którą możesz niejednej rzeczy dostąpić, bo tóż i to i owo jest w ^naszych ręku. Należy ci zaś o tem pilniój pamiętać, ile że nietylko samemu zawsze lepiój stać wyżój niż niżej, ale jeszcze do tego i względem imienia twego wielkie na sojrie

masz obowiązki. A toż to ten ród waszych Rawiczów jaśniał ongi dosyć wspaniale; mieliście kilka urzędów nadwornych, kasz- telanij także niebrakło, bywali u was Jordanowie, Komorowscy, Tęczyńscy, a co największa bywała miłość i zachowanie w narodzie. Tój, jak rozumiem, i dzisiaj nie braknie; twój ojciec nieboszczyk sam jój niemało przysporzył, więc tę puściznę, zachować, nowój przysporzyć, a wszystko to pięknie oświócić, – oto twój obowiązek. Jakoż tak myślę, że łaską Bożą, własną pilnością a do tego przy naszój pomocy wszystko to nie omyli. Jeno mi Sasów nie króskuj, mój Sodalisie,– dodał hetman z uśmiechem,– bo to nie zasługa w tych czasach.

Tak znów z kolei Jerzy się rozweselił, a dziękując za łaski, usprawiedliwiał się z swego szczęścia w owój bitwie z Flemingiem.

A hetman na to:

– Ej! inter nos, mniejsza tam o jednego Niemczynę, toż ich jest dosyć. Mówiąc prawdę, tom się tem nawet i niebairdzo frasował, nie dla tamtego, któregom nie znał, ale dla tego naszego marszałka, który już nieraz tak grzywą wstrząsa, że i na niego może ręka zaświórzbić. A było to właśnie, jakby mu kto byka w nos wyciął, co mnie też i cieszyło. Jakoż jesteś tam pewnie u niego na bakenbardach. Ej! ale na to nie umrzesz. Pomierzy się jeszcze z Flemingami Sieniawski i tak rozumiem, że go na wygraną wystarczy.

Słyszając to, Jerzy korzystał zaraz z tój sposobności, aby rozmowę skierować do najważniejszój matery i rzekł:

– Jw. pan jesteś łaskaw na mnie nad wszelką zasługę, co tem więkšóm szczęściem jest dla mnie, ile że pod wszechmocną jego mości tutelą już mi tylko służyć obowiązkom i prawdzie i ja- kiekolwiekby były okoliczności, ani myśleć o trwodze. A toż to jegomość gdy zechcesz, możesz się nietylko z Flemingami pomierzyć, ale i z każdą władzą, jaka jest w kraju.

Więc hetman na to skinął uprzejmie głową i rzekł:

– Niómasz co mówić, i toby można, gdyby była tego potrzeba. Lecz chwała Bogu mamy już spokój teraz, a po tylu latach wojennych, ktoby go mącił, nie miałby chyba sumienia.

A Jerzy na to:

– Spokój jest, nióma wątpienia, aleć i tego zaprzeczyć nie można, że w tym momencie znowu jest zakwestyonowany cokolwiek. Nie wspominam na teraz o innych, ale tego nie mogę za- milczóć, że pani hetmanowa koronna jest w niezmiernój obawie wojny.

– Moja żona? ^ rzekł hetman, –!Ot, co tam kobióty? a czego to się nie boi?

A na to Jerzy:

– Niómasz wątpienia, że nie zawsze to jest rzecz godna dla męża, słuhać opinii niewiast, które zazwyczaj nie chcą widzieć daleko i lada marnością się płoszą. Ale pani hetmanowa koronna,

d

jakem się o tó m teraz przekonał dowodnie, stanowi w swoim rodzaju bardzo uderzający wyjątek. Niechaj to jw. pan przyjmie za szczerą prawdę odemnie, bo tó z i tak w głębi mojego serca rozumiem, że wiele ja teraz poznałem dam znamienitych rozumem, a nawet i wpływających stanowczo na sprawy publiczne, jako to teraz jest moda we Francyi, ale tak wnikającój głęboko w najtrudniejsze mat ery e status, jak pani hetmanowa koronna, nie zdarzyło mi się spotkać na całym świecie.

Więc hetman na to uśmiechnął się bardzo łaskawie i rzekł:

– A, moja żona ma bardzo wiele politycznego rozumu, czego tó z dała niejednokrotne dowody. Ale jakże to tam z tą wojną? czy moja żona jeszcze zawsze jój się obawia?

– Pani hetmanowa koronna jest w ustawicznej obawie wojny.

–[^]Ale dlaczego? przecież już dzisiaj może być pewną, że kiedyś się dotychczas nie ruszył, to się i nadal nie ruszę?

–t Pani hetmanowa, – rzekł Jerzy, – już się tego domyśla, ale pomimo to obawa jej nie ustaje i zdaje mi się, że słusznie. Jeżelibym zaś miał całą prawdę powiedzieć, to powiem, że właśnie dlatego należy się wojny obawiać jeszcze tó m bardziej; wojny, – dodał Ożarowski z uśmiechem, – a z nią i kto wie jak wielkich strat i uszczerbków dla sprawy publicznej.

Już tedy tu widać było odrazu, z jakió j strony zamyślił Jerzy zażyć w tó j chwili hetmana, – lecz hetman jakoś się nie mó gł tak prędko połapać i rzekł:

– A jakto? Ja waści nie rozumiem zupełnie. Przecieżeście tam z moją żoną razem konferowali w Krakowie, a tu . tymczasem to co ona mi pisze i co waśc mi powiadasz, jakoś nie kwadruje ze sobą. Powiódzże mi wyraźnie, coście tam omówili? .

– Jw. panie! – rzekł na to Jerzy, jejmośc pani pisała te listy z wielkim pośpiechem, być tedy może, że jój nie było podo- bnie wypisać wszystkiego dokładnie. Toż oprócz tego, omówiwszy ze mną to wszystko, co się dzieje i dziać może u góry, kazała mi pani dać pilne baczenie na to, co się też dzieje u dołu, a po- tó m z tego ułożywszy całe widzenie rzeczy, przedłożyć je jegomości.

Zaczó m Sieniawski spojrział bardzo bystremi. oczyma na niego, a wydobywszy zarazem list hetmanowój z zanadrza, jeszcze raz go przejrzał przy świetle. Poczó m zaś rzekł:

–... Nie mogę ja cale obaczyć tó j waszó j trwogi, ale mó w co rozumiesz. O rzeczach ważnych nie można się nigdy dosyć nagadać

Tu Jerzy już się miał zabierać do przydłuższej perory, kiedy wtem wszedł Rybiński, a z nim i Ernest Chryzostom Dorpowski, generał-audytor a wojewoda łęczycki. A ten był mąż bardzo wysoki wzrostem, chudy, i wyciągnięty jak tyka, wielkiego, nosa, twarzy wyżó kłó j, mając zaś ryżą mocno już podsiwiałą czuprynę

takież miał brwi krzaczyste, rozrosłe, z pod których widać było ócz dwoje siwych, wielkich, okrągłych i nadzwyczajnie surowych. Sędzia zaś ziemi chełmskiej, jmc pan Kos, nie przyszedł, bo już był przed wieczorem odjechał; co też na teraz było i lepiój, bo przy nim, jako przy obcym, byłoby jeszcze tem trudniej mogło przyjść do rozmowy otwartej.

Więc kiedy Rybiński wszedł pierwszy, hetman zaraz do niego:

– Mój panie szwagrze, mamy tu gościa. Jmc Ożarowski, który odbywszy terminowanie w armii francuzkiej, jako nasz dawny znajomy, służby nam swoje zaleca i pozostaje odtąd przy naszym boku.

Tytułował zaś Rybińskiego szwagrem Sieniawski, bo kiedy hetmanowa wielka koronna była Lubomirsk[^], toż z tego domu była Rybińska, tamta córka marszałka wielkiego koronnego, ta kasztelanka krakowska, i powinowactwo to było dalekie; toż wojewoda nigdy się tem Sieniawskiemu nie przypomniał, lecz hetman, ceniąc wysoko długoletnie zasługi i zacność osobistą generała, zawsze go rad do familiarności przepuszczał.

Więc wojewoda na to:

– A toż ja znam już jmc Ożarowskiego, bo był łaskaw do mnie zajechać; jakoż cieszę się z tego niezmiernie, że do nas z takim zasobem nauk przybywa, bo toż nas czegoś nauczy.

j –\ I ja tak myślę, – rzekł na to hetman, jakoż nie wątpię wcale, że w rzemiośle wojennem i to i_o owo nam dokładnie wyjaśni, bo, jako widzę, darmo tam kaszy nie jadał, a jeszcze się warto czego od Francuzów nauczyć, bo to u nich w tej sztuce codzień co nowego. Tylko o naszych sprawach domowych coś mi tu gada, czego ja nie rozumiem.

M–;A toż i ja, – dodał zaraz do tego Rybiński, – wymieniłem z jmc Ożarowskim o tem słów kilka i takżeśmy się nie zrozumieli. Byłbym więc zdania, żeby nam swoje widzenie rzeczy opowiedział gruntownie. Nauczymy się czegoś od" niego, to owszem, a nie, to my jego nauczym.

– A w każdym razie, – zakończył hetman z uśmiechem, – dowiemy się przynajmniej, czego to on się tam za morzami nauczył?

A to mówiąc, obrócił się do jmc Dorpowskiego i rzekł: fcr– A jegomość co na to?

A Dorpowski stał trochę z boku i włożywszy na nos swoje potężne okulary okrągłe, przypatrywał się coraz to pilniej temu młodzieńcowi, którym się tak zajmowano. Wojewoda łączycki był to mąż wielkiój nauki, a jeszcze większej powagi, surowość zaś jego i nieugiętość w sądach dała się tak dalece we znaki żół- nićrzom, że go na zawsze przezwali „Wielkim," i nawet trafnie, bo generał-audytor był i w całej swojój postaci tak sztywnym, że kiedy chciał spojrzeć na kogo, to zawsze się cały obracał. Więc i teraz tak samo się do hetmana obrócił i rzekł zwięźle:

– Affirmo.

A hetman na to: «v.—»Ba, ale cóż będzie zflusem?

– Flus,— odpowie Dorpowski, — jako sprawa mniój ważna, pójdzie na stronę do czasu: na czym nikt zapewne nie straci, zwłaszcza że jeśli byśmy dzisiaj nie zasiedli raz jeszcze do obrad nad »sytuacją sprawy publicznej,— to byśmy to zapewne musieli uczynić jutro.

J—«A jakto? —zapytał hetman, — czy jest co now^Tego?

– Nowego tak dalece nic niema, — odpowiedział Dorpowski poważnie, — ale sprawa publiczna, którą raczój przyrównać można do wody bieżącej aniżeli stojącej, za lada czasem rada odmienia swą postać. Ja miałem dziś konferencyą z jmc panem Kosem, którego tu Ledóchowscy przysłali do mnie z rozmaitemi wiadomościami, — a wysłuchawszy go pilnie, przyszedłem do przekonania, iż są jeszcze w tój sprawie naszej i te i- owe okoliczności, na które dotychczas zamało zwróciliśmy względu, które więc trze- bąby jeszcze raz na stół położyć i należycie roztrząsnąć.

Więc h[^]nan na to znacznie czoło zachmurzył. Byłby on chętnie o spw^Lwach publicznych rozmawiał dla pogadanki, ale wszelka- narada poważna była mu teraz arcyniemłą, bo już tych narad odbył niemało, a z każdej z nich musiał się wyrębywać nie- ledwie gwałtem. A Ożarowski znalazł się z powodu tych uwag Dorpowskiego także w niemałym kłopotcie, nie wiedząc bowiem, jakie ten człowiek, jeszcze przez niego nieznan, przyniesie wiadomości i wnioski, bardzo się niemi zatrwożył. Jednakże kiedy hetmana nie pocieszył w tój chwili, Ożarowskiemu zacny wojewoda chełmiński dał znak taki zachęcający, że go nietylko uspokoił zupełnie, ale nawet mu dodał jeszcze nowój odwagi.

Wszakże w tym właśnie momencie weszli dwaj strojni pa- juchy do tój komnaty i wnieśli na wielkiej złocistój tacy wieczerzę,— którą zastawili na stole. Dano likiery, małmazę i rozmaite sekty hiszpańskie, a do tego wędliny, inne zimne mięsiwa i pierniki toruńskie, — tylko dla Rybińskiego przyniesiono misę klusek gryczanych z twarogiem, które, jako amator prawdziwy, zawsze pożywał na wieczór. Kiedy więc tamci raczyli się zamorskimi spe- cyały, on wychylił kubeczek starki, przekąsił całym talerzem wędliny, a potem zasiadł do "owój misy klusek, którą tóż sam spożył do denka, nie zostawwszy i jednej grudki. Tak jadał i tak się bijał a jakie miał gardło, takie także i. serce, bo był to i mąż i żołnierz jeszcze dawnego czasu.

A przy wieczerzy trwała rozmowa. Więc tedy Jerzy, zapytywany przez wszystkich o nowiny francuzkie, opowiadał z początku i to i owo, poczóm wszakże umyślnie wziął przedsię ciekawą nadzwyczaj postać samegoż króla Lu-dwika, którego sprawy i rządu opisawszy dokładnie, opowiedział nareszcie z głęboką znajomością tych rzeczy, z jaką to niezmierny zręcznością ten król doświad

czony umiał w ostatnich czasach korzystać nawet ze zdarzeń postronnych: jako ze śmierci cesarza Józefa, z upadku Whigów na dworze królowej Anny, a nareszcie i z Marlborough'a odprawy, – i jak to te wszystkie wody obróciły się potem na jego młyny. Opowiadając zaś wszystkie te sprawy, nie tylko złożył tym dowód, że jest mocen pojmwować i sądzić pytania choćby tóż najważniejsze, ale zarazem dał hetmanowi do zrozumienia, że w sprawach publicznych niekoniecznie wygrywa ten, który naciągając wszystkie swe zdania uboczne i od chwilowych położeń zawisłe do je- dnój niewzruszonój zasady, wyczekuje wszystkiego od prostego biegu wypadków, – ale daleko częściej ten właśnie, który nie tracąc z oczu głównego celu, oddaje przecież chwili co jój należy, a przez to nawet i z przypadkowych wydarzeń do swojego zamiaru korzysta.

Rzecz sama sobą rozumna, w żywe przykłady obfita, a do tego jeszcze i gładką przedstawiona wymową rozweseliła wszystkich, nawet i samego hetmana, który tóż zaraz, jak tylko ukończono wieczerzę, rzekł do Jerzego:

– Powiedziałeś nam waszmość dzieje zamorskie, i bardzo pięknie. Jakoż ci sam w tem palmę oddaje, że iłło ciebie nie trza i książki. – No, ale czy tak pójda także i dzieje polskie?

A Jerzy na to:

– Będę się starał, panie hetmanie, ile możności dowodnie przedstawić moje widzenie rzeczy.

Więc zaraz rzecze Dorpowski:

– Bardzo tedy prosimy. Ale czyż znajome są waszmości także anteceden- cy? boś to podobno przez całe lata bawił we Francyi, o tu tymczasem i to i owo się wydarzyło.

– Anteceden- cy, – rzekł na to Jerzy, – wszystkie mi są znajome, boć przecie inaczej nie śmiałbym się brać do sądenia sytuacji dzisiejszój. Jednakże tak rozumiem, iż o tych anteceden- cych nióma co i wspominać, bo one są nam wszystkie znajome...

To rzekłszy, spojrział po twarzach swoich współbiesiadników, a kiedy widział, że wszyscy się z nim zgadzają, tak zaraz mówił:

– Tu idzie o to, ażeby sprawiedliwie ocenić położenie dzisiejsze, a zarazem i wyrozumióć najpiórw: jakie są rzeczywiste i słuszne terażniejsze potrzeby narodu? a powtóre, w jaki to sposób, najmniój kosztowny i trudny, można tym potrzebom zadość uczynić? – Położenie tedy dzisiejsze jest takie. Król nasz jegomość, odzyskawszy przypadkowym sposobem koronę, zamiast wywdzięczyć się za to szlachcie, że jedna część do tego przypadku pomogła, a całość się temu nie sprzeciwiała, pamięta tylko o tórn, iż inna część szlachty, wzburzyła się przeciw niemu i przez czas jakiś jego przeciwnikowi służyła. Skutkiem tój, usiłuje on, jak to dowodnie wskazują jego postępnki, nie już czasową, przemijającą, lecz trwałą a może i wiekuistą zaprowadzić niewolę. Jest wreszcie, rzeczą już przewidzianą, iż ji a wet. .na prawo, „wplnój królów

elekcyi targnąć się myśli, przygotowując zawczasu Wszystko, co mu ma służyć po temu. Krótko zaś mówiąc, jest tu już jawny cały zamiar królewski, mocą którego nietylko chce nasze dotychczasowe rządy monarchiczno-republikańskie na absolutne zamienić, lecz oprócz tego jeszcze, zniewoliwszy ten kraj zupełnie, jego sił i zasobów, użyć do swych celów partykularnych, bo do dalszego prowadzenia wojny ze Szwecją. Jw. hetman, przewidziawszy zdaleka te zamiary królewskie i widząc nieomylnym swym okiem, że przygotowawcze działania doszły już tak daleko, iż za maluczko może już całe nie będzie można im się skutecznie sprzeciwić, postanowił zawczasu stanąć po stronie szlachty." Rozpoczynając tę sprawę, jw. hetman zebrał wojska kwarciane i stanął obozem, równocześnie województwa obesał, ażeby dały znak życia, a zarazem sześć swoich własnych chorągwi posłał na drugi koniec Polski zebranej tam szlachcie na sukurs. Zastanawiając się nad tym postępkim, widać to zaraz na pierwszy rzut oka, jak głębokim politycznym rozumem obdarzony jest ten, który go spełnił. Postępkim tym bowiem uczyniłeś jw. pan za jednym razem Wszystko, co było potrzeba* zebrał wojska i stanąwszy obozem, dałeś do zrozumienia królowi, iż jesteś jego nadużyciom przeciwny i stawisz się im oporem; pobudzając województwa do Wystąpienia, okazałeś jw. pan królowi, iż szlachta także chce się bronić niewoli; posławszy zaś pierwszemu z województw sześć swoich własnych chorągwi, powiedziałeś całkiem wyraźnie, iż W sprawie tój, która się teraz poczyna, szlachta i wojsko i hetman Wielki koronny to jedno. Dyplomacyi, postępującej otwarciej, a zarazem oględniejszej, nie było jeszcze na świecie. Jakoż nie potrzeba tu już niczego więcej, jak tylko tak samo jasnej i przenikliwej dyplomacyi ze strony króla, ażeby sprawa ta, lubo działami zjeżona pozornie, weszła na drogę obustronnego porozumienia i z zadowoleniem obudwóch partyj została doprowadzoną do szczęśliwego skutku. Czy zrozumiałem dzisiejsze położenie sprawy publicznej?

A na to hetman: ■

– Nietylko zrozumiałeś wszystko jak trzeba, ale nawet i wyłożyłeś tak dobrze, że lepiej nie trzeba. Jakoż niczego więcej nie Pragnę, jak tylko ażeby wszyscy mnie tak zrozumieli. Mów tedy dalej.

Więc tedy Jerzy mówił tak dalej:

Jednakże chociaż pan hetman tak trafnie zagaiłeś tę sprawę, że jużby nam teraz wszystkiego tylko wyczekiwać od króla, rzeczą jest dzisiaj już dowiedzioną, że się niczego nie doczekamy od niego. Król bowiem, czy to omamiony zaślepieniem towarzyszącym zwykle wszystkim namiętym pochuciom, czyli Wiedziony nieubłaganą przeciwko narodowi niechęcią, nie chce całkiem tój sytuacji rozumieć i pomimo grożącej mu wojny, ani myśli o żadnym porozumieniu. Rzecz ta jest dowiedziona tym faktem, iż król jegomość, nietylko że dotychczas nie dał żadnego

znaku po? sobie, iż pragnie przystąpić do rozmowy z narodem, lecz nadto jeszcze na wszystkich punktach swe wojska saskie poruszył i okazuje wcale gotowość ze swojej strony do wojny. Wniosek tedy ztąd oczówisty, iż położenie tój sprawy pierwotne już się dotychczas zmieniło, a w takim razie i środki, przez jw. hetmana do dziś przedsięwzięte, okazują się jeszcze niedostateczne... Kl

No, tak,—rzecze hetman, nie zaprzeczając temu,— ale czyż można uczynić więcej?

— Można, jw. panie,—odpowiedział Ożarowski stanowczo, — można tu jeszcze bardzo wiele uczynić i wszystko będzie dobre, byleby tylko było zrobione z takim samym zastosowaniem, jak był zrobiony krok piórwszy.

. — A to ciekawym, co. nam poradzisz, — rzekł hetman.

— Kiedy mi jw. pan pozwalasz moje zdanie wyjawić, — zabrał znowu głos Jerzy, — to je wypowiem jak rozumiem. Przed wszystkióm wszakże muszę uczynić uwagę, iż jw. hetman, wzięwszy inicjatywę w tój sprawie, masz już obowiązek nietylko prowadzenia jój tak, ażeby się zakończyła konieczn[^] bez wzięcia się do środków gwałtownych, bez krwi wylewu, b[^]P wojny, a nawet i bez zamieszania publicznego spokoju. A obowiązek ten wkłada na jw. pana nietylko wzgląd na swoją własną osobę, przeznaczoną z urzędu do przewodniczenia narodowi jaknajlepszym przykładem, ale jeszcze daleko więcej przez wzgląd na kraj tyloletniemi zaburzeniami zniszczony i niemogący na teraz żadnój podnosić wojny bez nieobliczonych strat i uszczerbków. Oparłszy się tedy o ten główny warunek, jestem zdania, iż jw. pan, w celu nowego poparcia tój sprawy ku jej celowi, powinienes dobrać takiego środka, któryby sprawę tę nietylko na jój dyplomatycznój drodze popchnął naprzód stanowczo, ale któryby razem stał się nieprzekroczoną tamą dla wojny. Chwycenie się zaś tego środka jest jeszcze o tyle łatwiej szem, ile że go nie trzeba szukać daleko, ani się nawet przygotowywać do niego; leży on bowiem przed jw. panem na dłoni i za kilkosiłownym jw. pana rozkazem może być wykonanym w ten moment...

— Cóż to jest tedy?—zapytał hetman.

Na to więc Ożarowski:

— Jw. pan zebrałeś swej wojska i stanąwszy obozem, okazałeś gotowość do wojny. Ale król jeszcze w to nie wierzy. Ponieważ zaś, w celu przyniewolenia króla do układów z narodem* trzeba koniecznie, ażeby temu uwierzył, toż trzeba także, ażeby⁵ mu jw. pan złożył nowy dowód tój gorliwości i wojska swe j^er szcze dalój poruszył.

Ną te słowa Sieniawski spojrział dosyć niechętnie na Ożarowskiego i powstał z miejsca. Poczóm przeszedłszy się* raz p^o komnacie i powróciwszy nazad do niego, rzekł dosyć łagodnie:

— Piórwszą część twojói perory aprobuję, ale na drugą si§

cale nie zgadzam. Poruszyć wojska zdaje się tobie niczem, a nie zastanowiłeś się nad tem, co by to ztąd wyniknęło za skutki?

■ – Jw. panie, – rzekł na to Jerzy, – skutki ztąd dadzą się łatwo przewidzieć i gotów nawet jestem okazać, iż wszystkie były zbawienne.

O! także gadasz! – zawołał hetman, bardzo mi piękna zbawienność! Toż chyba nie wiesz o tym, że kiedybym ja tylko

0 mil kilkanaście się ruszył, to szlachta niezawodnie na kilku miejscach od razu poczuł się z Sasami. A potem, gdyby i nie to, toż ruszając się z miejsca, jaki to ja przez to na siebie wezmę charakter? oto charakter rebelizanta przeciw królowi i kierownika całej rebelii. A tego zrobić nie mogę – a zresztą nie chcę.

Nie mieszał się tem zrezygnowany na wszystko młodzieniec
1 na to tak odpowiedział:

– Jw. panie, niechże mi wolno będzie jeszcze i nad tym poczynić moje uwagi. Najpiórwój tedy jeszcze to nie jest rzeczą pewną, żeby z powodu poruszenia wojsk jw. pana musiały się zaraz wydarzyć małe potyczki pomiędzy szlachtą i wojskiem saskim. Jeżeli zaś taki v%-padek jest przewidziany na pewno, toż nie trudno jemu zapobiedz, rozesławszy kuryerów do naczelników wszystkich województw. A gdyby nawet mimo zakazu tu albo owdzie do jakiejś drobnój potyczki przyszło, toż i to jeszcze w tym razie nie mogłoby być słusznym powodem do zaniechania wszystkiego, bo przecież w sprawie tak ważnój. która ma stanowić o losach narodu, na kilku ludziach zabitych lub rannych nic nie zależy. To co do pierwszój objekcyi. Co zaś do drugiej, pozwól mi jw. pan zrobić także uwagę, a to następującą. Czy jw. pan się ruszysz od Podkamienia, czy nie, to przez to stanowisko polityczne jw. pana naprzeciw króla wcale się nie odmieni. Stawi się tu bowiem samo ze siebie następujące dylema. Zapatrując się na tę kwestyą ze łtonowiska praw naszych -i wiedząc o tem, że jw. pan za żadne poruszenia wojsk nie jesteś królowi odpowiedzialnym, jest rzeczą pewną, iż dopóki wyraźnego manifestu nie ogłosisz od siebie, to urzędownie nie możesz być żadną miarą za przeciwnika królewskiego uznany, czy z temi wojskami stoisz u Podkamienia, czyli u Tomaszowa, a choćby nawet i pod samą Warszawą. Jeżeli zaś król miał osobiste powody podejrzewać jw. pana o zamiar czynnej nieprzejaźni dla siebie, to już to podejrzenie ugruntował w swóm sercu natenczas, kiedyś jw. pan wojska zgromadził i w postawie wojennój stanął u Podkamienia. W jednym tedy wypadku i w drugim jw. pan osobiście na nic gorszego się narazić nie możesz nad to, co już się stało dotychczas, – a ponieważ sam nic nie tracąc, ani nie ryzykując, jednym marszem stanowczym możesz Rzeczypospolitój nieobliczone przynieść korzyści, a nawet wedle wszelkiego podobieństwa do prawdy błąkające się losy narodu sprawić z manowców na bitą drogę, – więc ośmielam się proponować,

ażebyś jw. pan ile możności bez żadnej zwłoki wojska poruszył i stanął z niemi u Tomaszowa.

A na to hetman:

– Nie chcę, nie chcę, dajcie mi pokój! Już mnie do tego ani żadne dylemata, ani rogate sylogizmy nie przekonają. Widzę że mądrze politykujesz, i tego honoru ci nie odbioram; ale ja mam moją własną konwikcją i tój nie porzucę. Zrobiłem dla narodu, co mogłem: a reszta już nie do mnie należy. Jestem pierwszym urzędnikiem królestwa a zarazem piórwszą podporą króla, a zatóm jakby kamieniem węgielnym, który dźwiga na sobie te obiedwie potęgi: Zamiast tedy je łączyć i godzić ze sobą, pięknażby była, gdybym je własną ręką rozrywał. Bo już mów ty sobie co chcesz, gdybym się teraz tylko o jeden krok ruszył, jak Bóg na niebie, byłaby wojna.

– Jw. panie, – zabrał znowu głos Ożarowski, zapalając się coraz więcej, – w takim razie, jeżeli jw. pan . z wojskiem się ruszysz, przez co dasz nieomylny znak narodowi, że sam jego sprawę prowadzisz, może tylko natenczas przyjsć do zajść krwawych, jeżeli jw. pan sam je rozkażesz. W przeciwnym zaś razie, choćbyś jw. pan nawet się cofnął z wojskami na dawne leże, wojna jest nieomylna i pewna.

– A jakto znowu? – zapytał hetmań, – któż ją podniesie?

– Naród, rzekł Ożarowski.

Więc hetman stał i patrzył przez chwilę na niego. A potem rzekł:

– Ot! co waść gadasz. Właśnie tóż w tym narodzie, tak przetrzebionym wojnami, morowóm powietrzem, głodem, jest komu stawać do wojny!

– Jw. panie! – rzekł Jerzy. – Przejechałem ja teraz tęgi płat kraju, widziałem województwa stawające do broni, liczyłem ludzie, opatrywałem zbroje, moderunki i. konie, badałem ducha w każdym powiecie: a ztąd powiadam z pewnością, że jeżeli jw. pan mądróm swoim postępowaniem nie powstrzymasz tój fali, to za kilka miesięcy, może już nawet za kilka tygodni, będziemy mieć wojnę niechybną: – wojnę krwawą, mściwą, zawziętą, w której tysiące trupów legnie na polu, tysiące domów zmieni się w zgliszcza i tysiące ubogich siórot pozostanie na zgliszczach!

Więc tedy hetman podparł się ręką pod brodę i jakoś się bardzo zamyślił.

A wtedy generał Dorpowski zabrał głos i mówiąc bardzo powolnie a zarazem dobitnie, tak rzecz swoją przedstawił:

– Otóż to jest materya, którą ja właśnie w tych czasach chciałem przedyskutować z panem hetmanem. Już to bowiem i dawniój przychodziło mi na myśl, że to te województwa poruszać rzecz niebardzo bezpieczna. Ta mała szlachta, po morach, głodach i wojnach, jeszcze zawsze niezmiernie liczna, nic prawie nie znaczy dopóki siedzi na swych zagonach w spokoju: ale kiedy

się ruszy, do osobliwego częstokroć dochodzi zuchwalstwa. Lichy z niój żołniór na długą wojnę; lecz uderzając raz, drugi, trzeci, niebezpieczniejszą, jest nawet od samego tatarstwa. Toż zwyciężywszy tutaj i owdzie, rośnie potem na schwał, małemi garściami na całkowite uderza brygady, a lubo się bije bez żadnych planów i reguł, już to natenczas trzeba osobliwego szczęścia, żeby ją w tych zapędach poskromić. Rzeczą tedy jest pewną, iż kiedy * niezmiernie jest łatwo owę szlachtę podburzyć, tak znowu zaledwie podobna wzburzoną w jakichbądź ryzach utrzymać. Aliści ledwie sobie tę arcy-pewną opinią zastosowałem do dzisiejszych okoliczności i zacząłem się potrochę obawiać, ażeby. to z tego obesłania województw nie wyniknęło coś bardzo złego, kiedy mnie zaraz zaczęły dochodzić wiadomości listowne, i ztąd i z owąd, W których mi donoszono: że zbiorająca się-szlachta ani się pyta o żadne materye status, tylko powiada poprostu, że idzie „Sasów bić, płoszyć." Roznoszono nawet wieść taką po województwach, jakobym ja z jmcją Rybińskim po to przyjechał do wojska, ażeby je spisać do związku „przeciwko Sasom." Nie przywiązywałem ja jeszcze zbyt wielkiej wagi do tych relacyj, bom myślał, że przecież nie będzie się dziać wedle opinii szlachty, ale wedle rozumu jój naczelników, a ci zapewne pojmują, jakie mamy zamiary i ja- kiemi środkami chcemy je uskutecznić* Aliści dnia* wczorajszego przyjeżdża jmc Kos do mnie, a ten mnie zawiadamia ze szczegółami, że to nietylko u szlachty takie wojenne są sentymety, ale Zarazem i u jej naczelników. Mianowicie zaś mają wicherzyć Potoccy, Jabłonowscy, Tarłowie et coeteri dawni szwedzcy stronnicy; tli straszliwie zarzewie po wszystkich krajach, a wszędzie jest opowiadana jako rzecz pewna: Generalna konfederacya a za nią Wojna.

Są nawet wieści, że już i w Litwie sentymety się burzą i biegają tajemne posły do Ledóchowskich, którzy stoją okryci wojskiem bardzo licznóm i arcy armatnem. A kiedy takie jest położenie rzeczy, zachodzi kwestya niezmiernie ważna, co też w tym razie dla wielkiej buławy jest lepiej: czy stanąć z boku i przypatrywać się temu wszystkiemu spokojnie? czyli też ruszyć naprzód

1 ująwszy ster nad tym ruchem, założyć jemu przyzwoite wędzidło? W pierwszym wypadku, rzecz to jest przewidziana, iż kiedy przyjdzie do konfederacyi i wojny, to my znajdziemy się w położeniu niemiłóm stawania z bronią przeciwko nieprzyjaciołom królewskim, a naszym braciom; w drugim zaś razie... hm! myśl -bardzo mądra, ale bardzo niebezpieczna impreza.

Tak generał Dorpowski, lubo niespodziewanie, poparł jednak Ożarowskiego; na co tóż zaraz Rybiński zabrał głos i rzekł krótko a Wężłowato:

– A co to znowu za tak wielkie niebezpieczeństwo! Idąc za radą naszego Sodalisa, ani nam włos z głowy nie spadnie. Manifestu nie ogłosimy żadnego,-z województwami zniesieni się pota

jemnie, a jak tylko król się przekona dowodnie, że mamy do dyspozycji jakieś sto tysięcy samej szlachty, prócz wojska, to i sejm zwoła zaraz i wszystko się jaknajpiękniej załatwi.

Więc tedy hetman, który stojąc słuchał tego wszystkiego, nic na to nie odpowiedział; tylko zamyśliwszy się jeszcze więcej, zaczął się z wolna przechadzać po izbie: Zdawało się, iż go nie te wiadomości, o których wiedział zapewne, ale te argumenta zmiękczyły i że mu już tylko kilku słów brakło, aby się do wypowiedzianych opinii przychylić. Tak też myśląc zapewne, wojewoda chełmiński zawołał raźnie po chwili:

– No, i cóż panie hetmanie? Niema się tu podobno co długo namyślać, jeno niech Ożarowski siada i pisze listy do komendantów województw, a my każmy otrąbić pobudkę i jutro rano marsz pod Tomaszów!

A hetman na to podobno zrazu sam nie wiedział co mówić. Stanąwszy w zamyśleniu na środku izby, patrzył na Rybińskiego przez chwilę jakby na tęczę; ale niebawem uśmiechnął się dosyć łaskawie, pokiwał głową i rzekł:

– Ej! stary, stary! a nie daćby cię za to do car ceresu? nie pojechałbyś za to do Koenigsteinu, gdyby król wiedział o tym, jakie ty przeciw niemu tkasz spiski? – No, ale dość tego; chce cię jeszcze zasiadać do flusa?

Słyszając to, Jerzy prawie na miejscu osłupiał. Toż i tamci obadwa, lubo byli do takich zwrotów zwyczajni, niepomału się zadziwili; bo jużci takie zlekceważenie rady poważnej było przecież nad ich spodziewanie. A że to nikomu niemiło groch rzucać o ścianę, rzecze więc zaraz Rybiński, powstając z miejsca:

– Wolne żarty jegomości, aleć to trudno we flusie znaleźć odpowiedź na tak ważne pytania, któreśmy ci postawili.

A hetman na to:

– Jakżeż, panie Jakóbie? czy i ty mnie do tego chcesz namówić, ażeby z hetmana poszedł na marszałka konfederacji?

Po Ożarowskim mróz przeszedł na tę lodowatą uwagę, a Rybiński wręcz odpowiedział, obracając się prawie plecyma do Sieńkowskiego:

– My jesteśmy gotowi życia naszego nadstawić, a jegomości w głowie, że marszałkowska laska mniejsza od wielkiej buławy. Ot! co za czasy! mierzym się łokciem i nieledwie już korcem! A dawnych lat pono nie ten był. większy, który wyżój siedział na ławie, jeno ten, który wyżej wyniósł się czynem. – Aleśmy o tym już zapomnieli. Jeden się boi szwanku na ciele, drugi zaś uszczuplenia swego honoru: a toż to nie wiem ażali król gdzie jest taki, któryby stracił co przez to, kiedyby stanął na czele narodu

1 poprowadził go do zbawienia! Ot! co tu robić po takiej nocy? chodźmy spać chyba, bo już to będzie najlepsza.

Nie uszłaby była nikomu taka ostra przemowa, lecz Rybin-

skiemu wolno było niemało; ba jeszcze hetman dbał nawet o niego tak bardzo, że przystąpił ku niemu natychmiast i rzekł:

– A cóż to 'znowu, panie Jakubie? | Ażalisz myślisz żeby mnie nie stać było wszystko poświęcić? ażaż nie dałem ci już tego dostatecznych dowodów? Ależ nie wymagacie tego po mnie, co się wam uroiło, a co riateraz jest nie dorzeczy. Jakoż powiadam wam to wyraźnie, że nietylko do Tomaszowa, ale i na samą Warszawę pociągnę, lecz wtedy, kiedy tego będzie potrzeba. Nie myślcieź proszę, żebym się od was dopióro potrzebował dowiadywać o potrzebach publicznych, boć je znam wszystkie na wylot; znam i potrafię im zawsze zadość uczynić; jakoż i z wojskiem niezawodnie się ruszę – ale jeszcze nie teraz...

Tu znowu duch wstąpił w Jerzego. Młody i prosty sercem, wierzył w to wszystko co słyszał: jakoż się porwał natychmiast i złożywszy ręce do Sieniawskiego, tak mówił:

– jw. panie! Zlituj się jw. panie! Położenie jest takie, że jeden dzień, jedna chwila może zepsować wszystko...^*

A hetman na to dosyć pochmurno: # – A to co znowu? Oóżto waść będziesz mnie błagał o rzeczy, do których ja jestem gotów bez ciebie! Proszę! jaki mi kwe- starz!

Ale wtem widząc Jerzego, że ciągle stał ze złożonemi przed nim rękami, nabiegł natychmiast gniówem, jakto mu się nierzadko zdarzało, i mówił wtedy, już coraz groźniej, mierząc go swemi przenikliwemi oczyma:

– Proszę! mędrzec francuzki! I to na adjutanta do mnie, takie burzliwe subjektum? taki konfederacki animusz?!... Żegnam –ę a jutro, albo do chorągwi, albo też z Panem Bogiem na służbę do tych, którzy lepiój kochają naród, niżeli jego hetman wielki koronny!

To rzekłszy głosem bardzo wzburzonym, skinął na generałów obudwóch i wyszedł z niini do przyległej komnaty.

A biedny Jerzy zaledwie wiedział, co się z. nim działo. Wybiegłszy prędko z tój fatalnej kwatery, poszedł do namiotu generała Rybińskiego i tam rzuciwszy się w krzesło, w bardzo głęboką zapadł zgrzyotę. – Tak płacą na świecie prawdę, – mówił do siebie. A potem myślał nad tem boleśnie.

I zdało mu się zrazu, że bardzo źle zrobił, iż do tego pomieszanego hetmana przyjechał. Przypomniał sobie słowa Bobro- wnickiego Jana, który mu tój służby hetmańskiej z całego serca, odradzał i mówił sobie: Święte były to słowa. Jakoż już teraz, zaczął tego serdecznie żałować i myślał: żeby mi tylko jaknajprę- dziej oświłto! Pojadę zaraz w moje Sandomierskie rodzime, a gdzie tam stoi mój miecznik kochany, gdzie kasztelan czermiński, gdzie- inni bracia poczciwi, tam i ja stanę. Nie zaświecą mi tam błyszczące splendory, nie poda się może sposobność do większych

«

czynów, ale przynajmniej będę służył poczciwie i ze spokojnym sumieniem.

A do świtu jeszcze było daleko.

A tymczasem przyszło mu na myśl, że przecież ten hetman nie musi być tak nieugiętym człowiekiem, żeby z nim nic zrobić nie można. Bo wszakże przez cały wieczór słuchał go cierpliwie, – i kto wió, ażali nawet i dzisiaj nie można było czegoś do- kazać na nim, gdyby się tylko było nie odzywać z taką prośbą natrętną. Jakoż tak sobie myślał, że cała wina tój fatalnej kon- fuzyi była w nim samym, a mianowicie w jego niecierpliwości i zbytńij chęci dokazania czegoś wielkiego odrazu. Już tedy te- raz nietyle żałował tego, że do 'hetmana przyjechał, ile że sobie począł tak zamaszysto odrazu, tak nieogłdnie i tak nareszcie niezręcznie...

A kiedy tak myślał, wszedł wojewoda pod namiot. Skon- fudowany młodzieniec zaledwie śmiał mu popatrzeć w oczy, –lecz wojewoda był wesół i mówił:

>.K – A co Sodalisie? a nie mówiłem? bo to taki jest człowiek ten hetman.

A Jerzy na to:

– Panie wojewodo! Jest to taka sprawa, że i trudno co o niej powiedzieć. Kiedy się zastfinawiam nad tórn dokładnie, co zaszło, to mi się zdaje koniecznie, że temu niefortunnemu zwrotowi rzeczy tylko ja sam jestem winien. Bo jakoś dziwnie gładko nam szło z początku. Jużem był pewny, jak Boga w niebie, że jutro będziemy w marszu. Więc żeby to było nie naciórać tak impetycznie, a rozłożyć tę rzecz na dni kilka, to kto wie?

– Otóż i ja tak myślę, – rzecze na to prędko generał, –bo doprawdy, że jegomość był dzisiaj miękkim nad podziw. Osobliwie te wiadomości o zamiarach konfederacyi i wojny, jeszcze do tego przez Dorpowskiego stwierdzone, bardzo go poruszyły. Aleś się waszmość potem pośpieszył.... No, ale to hic, jeszcze to jutro dzień także.

– Ba! -- rzecze Jerzy, ale nie dla mnie. *

– A to dlaczego? a cóż to myślisz, – że się hetman na ciebie zgniewał na wieczne czasy? Otóż to rzecz. A przecieżeśmy ciebie nie opuścili. Bądź tedy o to spokojny, bo jużesmy tam hetmana przebłagali dla ciebie. Już tam Dorpowski tak cię okadził, że gdybyś był za górami, toby po ciebie posłano. Jakoż i hetman, lubo gniówny na pozór, jednak tajemnie się w tobie zakochał. Więc tedy jutro sam cię do siebie zawoła; tak jak to myślę, i tak to będzie.

Wiadomość ta, jakkolwiek bądź, przecież uradowała Jerzego. Już sobie myślał, jakby to teraz postępować ostrożnie, żeby przecież hetmana do zajęcia się sprawą publiczną nakłonić. Wielkaby to rzecz była, ba największa w'tej chwili. Od niój to dzisiaj zależały losy narodu. Jakoż chciał jeszcze o tórn i to i owo z ge

neralem pomówić, – kiedy wtóm wszedł ordynans hetmana i zaprosił Jerzego .natychmiast z^ sobą.

Szedł tedy zaraz—a przyszedłszy do hetmańskiej komnaty, zastał ją pustą. Dopiero po chwili przyszedł Sieniawski w hała- dzajowym chałacie i zmierzwszy go dosyć surowo, rzecze do niego:

– A co to waszmość się tak zapomniał? Przecież lat kilka stawiłeś na naukach u jezuitów, toż drugie tyle we Francji: czy to tak cię uczono zachowywać się względem twych przełożonych? Piękna rzecz! przyjechałeś tu po to, ażeby stanąć przy moim boku, ergo aby mnie służyć: a tymczasem na samym wstępie zmówiłeś się z niespokojnymi duchami, aby mnie fomentować. Cóż to jest za początek?

– Jw. panie! rzekł na to Jerzy ulegle, – mogę jw. panu zaręczyć, że nie umawiałem się z nikim, – a co się stało, z danych okoliczności wynikło. Jw. rozkazałeś sam wyłożyć sobie moje widzenie rzeczy, com mówił, raczyłeś słuchać łaskawie; zdawało mi się tedy, że dla zyskania tóm większój łaski jw. pana dla dzisiaj- szój sprawy narodu, do argumentów wypadało mi jeszcze i prośbę dołączyć..

– No, to niechże ci rzecz taka, – rzekł na to hetman, – nigdy się odtąd nie zdaje. Możesz mi wszystko powiedzieć, co myślisz otwarcie, śmiało, a nawet całkiem poprostu, ale we cztery oczy; wdawać się w perory przy ludziach, raz na zawsze ci zakazuję. – Masz jak widzę kwalifikacją, masz i rozum ćwiczony, a za- tóm możesz mi być pożytecznym, ja zaś mam do rozdania i to i owo, i nie poskąpię, aleć to trzeba umiść na to zasłużyć. No, przejdźże sobie na tamtą stronę, tam ci dadzą kwaterę, a jutro rano się obaczmy.

Tak tedy Jerzy został już przy hetmanie.

Ostrzeżony tak zrozumiałe na samym wstępie, postępował już odtąd oględnie – a widząc jawnie, jakie szórokie pole się przed nim otwóra, starał się przedewszystkiófn o zaufanie hetmana. I to mu się udawało z jaknajwiększą łatwością. Sieniawski bowiem, nie mający do tego czasu innych przyjaciół krom tych, którzy chcieli z jego bogactw niezmiernych i wpływów korzystać, pochwyciwszy człowieka prawego a uzdolnionego tak wielostronnie, przycisnął go do siebie z całego serca. Jakoż już zaraz w dni parę dał mu rangę podpułkownika, obsypał podarunkami z właściwą sobie hojnością, wyszczególnił w swóm otoczeniu nad wszystkich, a przeświadczając się coraz dowodniój o jego niezmiernój dla siebie użyteczności, odrazu mu dał do poznania, że jeśli tylko pozostanie mu wiernym, to nie, da się to nawet w przybliżeniu oznaczyć, co on jest gotów uczynić dla niego z upływem czasu.

Dla młodego człowieka w położeniu ówczesnem Ożarowskiego było to zaprawdę szczęściem niemałym; – tysiące innych na

jego miejscu' byliby się nie posiadali z radości, byliby może urosli w dumę, zarozumienie lub zgoła pychę, tak często towarzyszącą nagłemu szczęściu, – ale ten zacyjny młodzieniec nie doznał z tego wszystkiego prawie żadnej pociechy. W tój chwili bowiem nie miał on wcale samego siebie" na myśli, ani swojego znaczenia, ani swojej przyszłości: on w tój chwili miał tylko myśl jedną, a ta była polityczna. Jej stanowczo dopomódz, dla niej zniewolić hetmana, – to była myśl jego, to jego najgorętsze pragnienie, któremu wszystkie swe siły poświęcał.

Lecz na nieszczęście, zacna ta praca jego żadnego nie odnosiła skutku. Uzyskawszy już niemal zupełne zaufanie hetmana i staw^rszy się jego prawą -ręką do wszystkich poważniejsz[^]ch zatrudnień, miał on codzienną, ba cochwilową sposobność wpływania na humor, usposobienie serca, nawet i na opinią tego kapryśnego człowieka. Jakoż w rzeczach pomniejszej wagi zniewalał go z wielką łatwością do pocziwych, wyrozumiałych a nawet i sprawie publicznej pod tym i owym względem pomocnych uczynków i postanowień: ale doprowadzić do tego, ażeby hetman ruszył się z całym wojskiem choć o mil kilka, nie mógł na żaden sposób. Sieniaw^Tski się wahał, kręcił, majaczył, usprawiedliwiał, a nawet czasem już obiecywał, – lecz mimo to leżał głazem na miejscu.

Widząc to, Jerzy był w niezmiernej obawie i prawic drżał nad skutkami, które ztąd musiały wyniknąć. A nie obawiał on się tego zupełnie, żeby do zawiązania konfederacyi, a ztąd do wojny nie przyszło, – ba? gdyby się mógł był tego obawiać, ale on musiał obawiać się właśnie rzeczy przeciwnej* to jest tego, ażeby ruch wywołany po województwach i ziemiach, nader słaby sam w sobie, a nie poparty jeszcze żadną możniejszą powagą ni siłą, całkowicie nie upadł. Zapobiegając temu, robił on z swojój strony niemało, ażeby dobrego ducha po województwach utrzymać, rozsyłając to wieści, to pisma, a nawet i kuryeróW tajemnych do osób, o których albo sam wiedział, albo tóż z pewnych ust słyszał, że im można zaufać...

Pomimo to jednak w niedługim czasie ta jego obawa zaczęła* się ziszczać pomału.

Wkrótce bowiem zaczęły nabiegać wieści, że wystawione siły województw, to tu, to ów^Tdzie, nietylko się nie zwiększają, ale przeciwnie coraz bardziej się chwieją. Później przyszła wiado-J mość, iż w kilku miejscach pozachodziły starcia pomiędzy Sasarnii i szlachtą, które wszystkie wypadły na korzyść Sasów. Aż teźl nareszcie przyszła relacya o zajściach w Sandomierskiem, a ta odebrała już resztę nadziei.

Tam bowiem, jak się już wspomniało powyżói, pod dowódcz-, twem kasztelana Czermińskiego zgromadziła się szlachta najliczniej i w krótkiej chwili doszła do liczby tysiąca pięciuset szabel. Tam tóż przedewszystkiem Sasi, aż nadfo dobrze o wszystkich poruszę-

niach zawiadomieni, obrócili swe siły. Generał Eksztet, zebrawszy siedem pułków saskich, w jednej połowie pieszych, a w drugich jezdnych, opatrzonego do tego w dostatek armat, przyczołgnął się milczkiem pod obóz szlachty i obiegił go prawie dokoła. Pomimo znacznie przeważającej siły nieprzyjacielskiej, bardzoby to była jeszcze wątpliwa bitwa, albowiem Sandomierzanie, silni rycerską fantazyą i uzbrojeni dostatnio, mieli bardzo zdolnego i szczęśliwego wodza w Czerwińskim; – ale nieszczęście chciało, że ten zacy mąż właśnie w wieczór przed oblężeniem umarł w obozie na apopleksyą.

Pozostali sami Sandomierzanie, acz otoczeni ze wszystkich stron nagle i pognębieni pierwszóm wrażeniem połączonego żalu ze zgrozą, byli-jeszcze gotowi do walecznego odporu: ale natenczas zjawił się między nimi hetman litewski Denhoff, który jako marszałek konfederacyi sandomierskiej, jeszcze zawsze trwającej, a podobno daleko prędzej jak pierwszy i najwierniejszy przyjaciel króla, był oczówiście pod ręką, i wraz z Morsztynem, wojewodą sandomierskim, w imieniu zebranej szlachty kapitulował. W dzień jeden potem postąpiło podobnie województwo krakowskie, a za niemi inne – a tak ten cały zamach skończył się na tem, iż zaczęto obierać nowych posłów do króla, mających już oczówiście, – zamiast się upominać o podeptanie praw i Pactów Conwentów, – zebrać tyfko „klemencyi pańskiej” o ulżenie ciężarów.

Tak natenczas i hetman, odebrawszy relacyą o tóm, a zarazem i o tem, iż zerwał się lament jednogłośny na niego, iż województwa sam do powstania pobudził, a potem ich przeniewierczo Odstąpił, – rozesał swoje wojska na dawne leże, a sam do Brzeżan wyjechał.

Z rozdartem od żalu sercem nad tym przewrotnym człowiekiem, który bez żadnej straty dla siebie mógł tak wiele sprawić dobrego a nie wiedzieć dlaczego nie chciał, pojechał z nim także i Jerzy. Widział on wprawdzie już teraz, iż z uporem i kaprysami prawie tak samo trudna jest sprawa, jak z dzikim i nieokiełzanym żywiołem, – lecz widząc także, jak znaczne już teraz pozyskał sobie u Sieniawskiego wpływy, zdawało mu się, iż obowiązkiem jest jego przy nim pozostać. Obowiązek ten czuł on na sobie tóm bardziej, ile że najważniejsza ówczesna sprawa publiczna, lubo się na teraz rozchwiała, jednakże jeszcze nie przepadła, a pozostawszy w zawieszeniu do dalszych czasów, zawsze jeszcze tak samo od usposobień hetmana zawisała, jak dotąd. Jerzy sobie przedsięwziął wszystkie swe siły ku temu poświęcić, ażeby tego pierwszego urzędnika korony całkiem dla sprawy narodu pozyskać. A gdyby nawet to mu się nie udało, toż tak rozumiał, iż i ową uboczną, a częstą pomocą, której za swoim wpływem na Sieniawskiego będzie mógł sprawie narodu z wszelką pewnością udzielić, przyniesie jej jeszcze zawsze daleko więcej pożytku, niżeli

gdyby, jako człowiek osamotniony i zresztą nic nieznaczący, służył jój kędy indziej.

Tak tedy wówczas powiązały się losy tych ludzi obudwóch z sobą – i jak to widać, powiązały się nawet tak bardzo, iż kto wió, ażali się kiedy rozwiążą.

. Tymczasem, gdy Ożarowski zawiąawszy tak blizkie ze Sie- niawskim stosunki, cały- był tem zajęty, aby z nich jaknajwięcój wyciągnąć dla dobra publicznego korzyści, – w owym zacnym zameczku nad Nidą plotło się życie jak zwykle, to z róż, to z cierni. Nie były wprawdzie ani te róże zbyt wonne, ani ciernie nazbyt kolące, ale przecież, jużto w ich skutku, już to z upływem samego czasu, dość znaczne tutaj pozachodziły odmiany.

I tak najpierw była w tem wielka odmiana, iż miecznik, skołatany owemi wikłaniami majątkowemi do ostatniego, postanowił nareszcie rzucić te troski o ziemię. A zniewoliła go do tego podobno najwięcej ta okoliczność, iż pomimo tak wieloletnich wojen i niepokojów nietylko nie zanosilo się jeszcze na spokój, ale owszem, na nową zanosilo się wojnę. Miał tedy po staremu pracować li tylko na to, ażeby karmit swych wierzycieli i jakby Przez nich zakupiony niewolnik nie brać żadnego udziału w sprawach krajowych, do tego jeszcze teraz coraz gorliwszych usług obywatelskich łaknących, – a toż wolał przy mniejszój zostać fortunie, mieć głowę wolną i pracować na pożytek ogółu. Kiedy mu się więc zapomocą przyjaciół udało, hetmana w. koronnego do nabycia dóbr jego Przemyskich, właśnie Pieniawie przyległych, zachęcić, to je sprzedał bez kwestyi, chociaż ta sprzedaż była dla niego tylko względnie korzystną. Sprzedawszy zaś jeszcze do tego jedną wioskę z dóbr swoich pilźnieńskich, na którą także na swoje szczęście znalazł takiego kupca, co jego przyjaciel saski mógł łatwo libertacyi od nieznośnych dla innój szlachty ciężarów dostąpić, to już się od najważniejszych kłopotów uwolnił i mógł prawie

całkiem swobodnie odetchnąć. Miał on wprawdzie jeszcze jeden ciężar dość dolegliwy na karku, ale na to miał jeszcze wieś Ja- i niewice na sprzedaż, na którą już się takte zgłaszali kupcy. Te j Janiewice z przyległościami kupił on niegdyś od swojej ciotki, sta-¹ rościny Janiewskiej, która wydawszy córkę za kniazia Woronieckiego i strwoniwszy na zabiegi o zięcia nie mało pożyczonych¹ pióńędzy, musiała wreszcie swoją fortunę sprzedać i wynieść się za córką zamężną gdzieś aż nad brzegi Dniestru. Kupno to było] owego czasu nadzwyczajnie dla miecznika korzystnym, wieś ta bo-1 wiem była nietylko tak bardzo jego zameczkowi przyległą, że ao jej obszernego murowanego dworu nie miał od siebie więcój jak kilka tysięcy kroków, ale jeszcze do tego, była to wieś w orne pola nadzwyczajnie bogata, a mając kilka należących do siebie przysiółków, miała i dostateczną pańszczyznę. Lecz podczas wojen szwedzkich zdarzyło się, iż na jój gruntach zaszła dość żwawa potyczka, która podobno na losy wojny ówczesnoj nie wywarła żadnego wpływu, ale w dziejach Janiewicz ważną na długie lata zostawiła pamiątkę, wypaliwszy chaty jój włościan do tego -stopnia, że ci biódacy, puciekawszy z swych siedzib natenczas, częścią nie powrócili już nigdy, a częścią z głodu powymiórali na zgliszczach. Zdarzenie takie było pod owe czasy nie piórwsze, a na nieszczęście i nie ostatnie, – nieszczęśliwi wieśniacy krwawo nie- < raz pokutowali za zmiany losów tego narodu, w którego dobrój doli prawie żadnego nie miewali udziału, – ale zdarzenie to dotknęło także bardzo boleśnie i zacnego miecznika. Straciwszy bowiem poddanych, tak jakby wieś stracił, z której już odtąd, nie mogąc jój ani zaludnić, ani własnymi siłami obrobić, żadnego nie miał pożytku. Tórn tóż i trudniej było o kupca na nią, zwłaszcza wśród ciągłych rozruchów. Jednakże teraz,- gdy już od lat kilku* trwał niby spokój, a nie. wszyscy ludzie byli tak przenikliwi, żeby z ówczesnych stosunków króla względem narodu umieli pewną wy wróżyć wojnę, już się o tę wieś ci i owi zgłaszali, a miecznikowi chodziło już o to, żeby z nich wybrać zarazem i najlepszego sąsiada i najkorzystniejszego nabywcę.

Tak tedy miecznik przyszedł już z tej strony do ładu i oswo- J bodził się z dawnych swoich kłopotów do tego stopnia, iż, jak się 0 tórn napomknęło powyżej, był jednym z piórwszych, którzy kasztelanowi Czermińskiemu podali rękę pomocną w celu zbudzenia Sandomierzanów ze snu i postawienia ich zbrojno pod Sieciechowem. Raźnie się rzucił natenczas Bobrownicki do działań-

1 praca jego w swych piórwszych skutkach nagrodziła mu się obficie; jeżeli bowiem jego województwo rodzinne w tak wielkój powstało liczbie, głównie to jemu miało do zawdzięczenia. Szedł tóż już o tórn i głos powszechny do dworu – a kiedy doszedł i do opuszczonego przezeń nateraz zameczku nad Nidą, wielką tam wzbudził pociechę. Cieszyła się żona tak powszechnie wielbionym mężem, cieszyły się dzieci tak zaszczytnie chwalonym ojcem, cie

szył się wreszcie dom cały, który tam po staremu od najniższego sługi do pana był jakby jedną rodziną. A taka to była największa z owych róż woniejących, która w tych czasach w życiu tego zacnego zameczku się wplotła.

Aleć nie brakło także na cierniach. A cień to była bardzo dolegająca wszystkim, że najweselsza dotąd tój rodziny duszyczka, owa tak słodka i tak ukochana Kostusia, od niejakiego czasu dziwnym jakimś napełniła się smutkiem. Kostusia przez te trzy lata znacznie jeszcze wyrosła; lubo zawsze dość szczupła i więcej blada fiiżeli zdrowo rumiana, rozwinęła się pięknie, ba nawet lśniących nabrała blasków. W ostatnim roku już się i sława jój osobliwszój urody dosyć szeroko rozniosła; już ci i owi zajeżdżali poczwórnice na oględziny, drudzy się zdała dowiadywali o zamiary rodziców, a trzeci, jako to śmielsi i swawolniejsi, kwietne wianuszki zawieszali na klamkach i pod jej, oknami przy lutniach śpiewali piosnki miłosne. Były już nawet i swaty, bo jmc Trojacki, człek już wprawdzie nie młody i po kolei o wszystkie panny konkurujący, ale dosyć zamożny i wielkie obiecujący zapisy, deklarował się przez dwóch swatcSw po lwszelkiój formie. I to nie dosyć na tem, rozgorzał on bowiem do niewysłowienia w piękności Kostusi tak uporczywym afektem, iż' lubo dostał lekką rekuzę, nie dał się przez to „zbić z tropu”. Lylko zajeżdżał ciągle, rączki całował, tańce wyprawiał, a kiedy na* to czasem nie pozwolono, to po całych wieczorach serenady wygrywał. Jednakże tak on, jak tóż i drudzy kawalerowie tacy ogniści, tylko na krotoczwilę służyli Kostusi; – bo już żeby tam był i nie w⁷iedzić jak zaszczycony konkurent przyjechał, toby mu była podziękowała. Już jój Jerzego •cale nie było zapomnióc. Jakoż przez ten czas cały nie było nawet do tego powodu. Wierny Sodalis bowiem pisywał regularnie z Paryża. Nie było wprawdzie przez blisko rok listu od niego, a to natenczas, kiedy był w wojnie nad Renem, – i było ztąd niespokoju niemało, –'ale potóm znowu list przyszedł, a tak niepokój ustąpił. Były te listy wprawdzie pisywane do ojca, aleć w nich zawsze się coś znalazło takiego, co przekonało Kostusię, że już to nie było do ojca, lecz do niój samój, a miało się cale inaczej rozumieć.

Czytała ona każdy list taki po kilkanaście razy i już tam każde słóweczko rozważyła gruntownie, a zatem rzecz to nie dziwna, że i wyczytała daleko więcej, niżeli wyczytał ojciec. A tak była szczęśliwą i zupełnie spokojną przez całe trzy lata. Ale teraz, i to już nie od dzisiaj, była wieść pewna, że Jerzy wrócił. Ksiądz gwardyan od bernardynów przywiózł tę nowinę z Krakowa i zaraz z nią do zameczka przyjechał.. Nie chciano mu zrazu wierzyć, taka to była wiadomość niespodziewana, ale i musiano dać wiarę nareszcie. Gruntowny ten człowiek bowiem sam był w pałacu księżny wojewodziny, gdzie jeszcze wtedy bawiła hetmanowa koronna, i tam się o tóm przekonała od ludzi; a żeby

stwierdzić jeszcze tę rzecz dokumentnie, poszedł i do gospody, w której stał Jerzy. Byłaby to bardzo radosna wiadomość, gdyby jednakże nie to, że gwardyan na tój gospodzie także się i tego dowiedział, iż pan Ożarowski dnia następnego do Podkamienia odjechał. Kiedy ta wieść do zameczka dobiegła, minął już cały tydzień od dnia bytności Jerzego w Krakowie – i do dnia dzisiejszego jeszcze go tutaj nie było. I oczewiście już go nie będzie, bo w takich czasach, kto do obozu pośpieszy, to nie powraca tak prędko. Wielki tedy Kostusią ztąd opanował smutek. Wiedziała ci ona • o tóm aż nadto dobrze, że kto w czas wojny bieży do służby, ten niepomału się śpieszy, – ani się tóż jój serce, lubo tak kochające, • z tem odezwało, żeby ona miała być pićrwszą przed obowiązkiem względem ojczyzny, – ale przecież jój się to w sercu nie mogło zmieścić, żeby Jerzy choć na oka mgnienie nie wstąpił. Zboczywszy z drogi, czyżby przez to zaniedbał swych obowiązków? I czemu przynajmniej choć nie pisał? – To tedy wszystko tak zasmuciło Kostusią, że biedna nie wiedziała już sama, co się z nią dzieje.

Widząc to, matka, lubo sama tem sfrasowana niemało, pocieszała ją w rozmaite sposoby. Wykladała obowiązki żołnierza, nagłość spraw wojennych i politycznych, stawiała za przykład ojca, a nareszcie tworzyła i te i owe pocieszające domysły, – osmu- cona Kostusia temu wszystkiemu wierzyła;* bo wszystko to było albo całkiem prawdziwe, albo bardzo prawdopodobne, – ale przecież jój serce nie mogło się tem rozweselić. I pograżyło się w smutek tak ciężki, jakiego jeszcze nigdy nie znało w tóm-życiu.

Trzebaż jeszcze, ażeby do tego przyłączyły się nowe powody do smutku. A były te powody nieledwie ważniejsze jak tamte. Od kilku dni bowiem były już pieści pewne, że zgromadzonej braci pod Sieciechowem cale się nie powiodło. I wiedziano tu

0 tóm daleko więcej, niżeli w obozie u Podkamienia. Jakoż nietylko tam szlachta została oblężona od przeważającój ilości Sasów

1 nietylko tyle wypłynęło ztąd złego, iż musiała kapitulować, lecz nadto jeszcze Sasi nie dotrzymali punktów kapitulacyi. Kapitu- lowiano tam bowiem pod tym warunkiem, ażeby Sasi aż do zwołania przyszłego sejmu nie brali więcej jak po dziewięć tyńfów z każdego dymu, a rozumie się samo przez się, że także pod tym, ażeby zebranój szlachcie wolno się było. rozjechać bez żadnój za to ze strony Sasów dolegliwości. Co do piórszego warunku nie można było dziś jeszcze wiedzióc, czyli go dotrzymają; ale drugiego zaraz nie dotrzymali. Ponapadali bowiem na te i owe roz- chodzącój się szlachty oddziały, poturbowali ludzi, pozabiorali koni, bagaże, działa, a niektórych możniejszych panów, jak np. Czermińskiego, kasztelana małogoskiego, który z wielkim taborem ludzi i amunicyi wystąpił, zrabowano do szczętu. Były tóż jeszcze i inne i jeszcze daleko więcej zatrważające wieści; powiadano bowiem, że raz w tóm, drugi raz w owym miejscu przyszło do krwa

wych potyczek; że główna część sieciechowskićj wyprawy przeszła za Wisłę, że pociągnęli na Ruś, że mają się tam łączyć z tamtejszą bracią i formalną zaczynać wojnę. A tu tymczasem pośród tych wieści miecznik nietylko jeszcze nie wrócił, ale nawet i wiadomości żadnój nie dał o sobie. Nowyż tedy ztąd smutek, ba, i trwoga po całym domu. Zniepokojona tem miecznikowa do najwyższego stopnia porozsyłała gońców na wszystkie strony, i ks. gwardyan wyjechał, i nawet stary jmc mostowniczy wyjechał, a ona sama, siedząc po całych dniach przed bramą zamkową przy drodze, zatrzymywała każdego szlachcica, każdego sługę, który przejeżdżał tamtędy, wpytując ze łzami w oczach o męża. Ale napróżno, wszyscy wracali, a o jój mężu nikt nawet nie wiedział.

Przecież nareszcie dnia jednego z południa, kiedy słońce paliło żarem, a niebo było jasnobłękitne bez chmurki, podniósł się tuman kurzu na dalekim gościńcu. Stroskana żona, siedząca w ustawicznych westchnieniach przy bramie, nie zobaczyła żadnego najdrobniejszego ruchu na całym widokręgu przed sobą. Jakoż dojrzała ten tuman kurzu, chociaż z początku tylko jak obłok żółtawy wznosił się nad drzewa dalekie na niebo. I widziała go potem bliżój, jako się spuściły na ziemię i sunął się jak wicher zamiatający' gościńce, coraz bliżój i bliżój. Już się dał słyszcć i tentent pędzących koni, już było widać w tój żółtej chmurze migające cienie rycerzy; stęsknionój żonie uderzyło serce gwałtownie, powstała z miejsca, ręce wyciągnęła przed siebie, wpatrzyła oczy w to majaczące zjawisko, modląc się przytem Panu Bogu z całego serca,— i Bóg wejrzał na nią łaskawie i rzeczywiście pocieszył. W tój chwili bowiem owa pędząca chmura kurzawy stanęła nagle przed zamkiem, a ulatując po części w górę, wreszcie się ścieląc po zie- nii, postawiła przed nią rycerza na koniu, w stalowej zbroi, w misiurce z kitą na głowie, w burce kudłatej na plecach, a otoczonego licznym zastępem szlachty, sług i luzaków. Już więc ani wiedziała, kiedy ten rycerz zeskoczył z konia i kiedy ona padła w jego objęcia. Nuż tedy przybiegły dzieci, wysypał się hurmem dwór cały; tamci ręce mu ściskać, ci płaczem, śmióchem, okrzykiem witać ukochanego pana. Tak więc po smutkach znów zawitała pociecha, — pomiędzy ciernie wplótł się kwiat woniejący.

Pocieszona odrazu we wszystkióm, nie wiedziała sama ta zacna kobióta, jak ma wyrazić swą radość. Opowiadała więc mężowi z kolei, ile to trwogi w czas jego niebytności przebyła, ile nocy strawiła bezsennych, ile łez wylała tajemnych, jak kaźden dzień upłyniony w coraz głębszą pogrązał ją boleść, jak kaźdy żołniórz powracający, a nie umiejący jej o nim żadnój dać wiadomości, napełniał ją prawie rozpaczą! Ale dziś już to wszystko minęło! A kiedy mąż jej powrócił, już ani umiała o czóm innóm pomyślcć i nie pytała o resztę.

' Ale pomimo tej wielkiej radości żony, miecznik był smutny. Siedząc z nią pod cieniem rozłożystego drzewa w dziedzińcu, trzymał

jój rękę w swoich dłoniach gorących i niby słuchał tego wesołego szczebiotu dość pilnie, lecz widać było po nim, że jego myśl była gdzieindziej. I mówił potem, odpowiadając na jej pytania, lecz jego słowa tak się plątały, że go zaledwie można było zrozumieć. Widząc to, żona prawie się przeraziła.

– Mężu mój drogi I – mówiła. ona, – cóż tobie ? Zdaje się, jakbyś miał jakiś ciężar nieznośny na sercu. Ani cię widok żony ucieszył, ani dzieci rozweseliły, ani sługi twe wierne, które cię z taką powitały miłością. A wszakżeż wszystko w dawnym jest ładzie, wszyscyśmy zdrowi, tyś między swymi skądże te ciężkie frasunki ?

– Dziecko moje kochane, – odpowiedział mąż na to, – nietylko tómsię frasować trzeba, co w naszym domu się dzieje, ale tóms jeszcze daleko więcej, co się dzieje za domem. I nietylko

0 to się troskać należy, co się już stało, lecz jeszcze więcej o to, co się ma stać na jutro. A zaprawdę powiadam tobie, że wielkie nas klęski czekają, jeżeli nie większe jeszcze ofiary. Lat kilkanaście przeżyliśmy w wojnie, która w ludziach, ich szczęściu i ich dostatkach, niepolichzone pożarła skarby, ale ta, która teraz nastąpi, pożre jeszcze daleko więcej. Za Boską pomocą, po jój skończeniu, może jeszcze będziemy szczęśliwi, – jeżeli wszakże życie w sióroctwie

1 na pustyni może być jakim szczęściem! Nie zrozumieliśmy się dzisiaj słowami – a tak już jutro tylko nam krew do zrozumienia pomoże.

Nie pojęła go miecznikowa zupełnie, ale teraz nie pytała o więcej. Dość było jej zresztą wiedzieć o tem, że mąż ma jakiś frasunek, aby go całym sercem podzielić. Jakoż zafrasowała się biódna kobióta także, acz jeszcze sama nie wiedziała dlaczego.

Jednakże w wieczór, kiedy cała rodzina po staremu się zgromadziła w baszcie narożnej, opowiedział jój mąż dokładnie swoje frasunki. I opowiedział jej, jako widział dziś sprawę publiczną- Nie rozumiała szlachta swojego właściwego położenia – iw tóms leżało całe nieszczęście. Gdyby je była rozumiała i wedle tego zastosowała swoje wystąpienie dzisiejsze, to byłoby mogło przyjść snadnie do załatwienia istniejących nieporozumień między narodem a królem na drodze zgodnej. Kiedy zaś to się nie stało, – to w dobrym razie takie nieporozumienie będzie niezmiernie wiele kosztować ofiar, – w złem zaś zmieni się forma Rzeczypospolitej do gruntu, a szlachta straci kardynalne swe prawa i przywileje." Oto więc owe frasunki.

Wysłuchawszy tego opowiadania, miecznikowa, a nie sięgając podobno dalej swym wzrokiem nad zakres działań swojego męża, przypisywała całą winę tego nieszczęścia, to niespodzianój śmierci kasztelana, to przewrotnym postępkom Denhoffa. Ale ją mąż wy prowadził z tego obłądnego widzenia rzeczy. Wyłożył jój bowiem najpierw, iż lubo upadek dzisiejszej sprawy zaczął się niby od województwa sandomierskiego, toż jednak losy *i ej wcale nie zależały

od niego. A gdyby nawet na województwie sandomierskim było zależało coś więcej, toż jego upadkowi ani winna śmierć Czermińskiego, ani kapitulacja Denhoffa.

Jak bowiem na miejsce Czermińskiego byli pod ręką inni dowódcy, tak znowu Denhoff w tym skłódcie rzeczy ową kapitulację nawet się Sandomierzanom zasłużył; wszakże w razie przeciwnym byłoby niechybnie przyszło do bitwy, nie mogącej się niczem innym zakończyć, jak bardzo bolesną klęską. Jeżeli by tedy tutaj, prócz gnuśnej szlachty wszystkich innych "województw, godziło się jeszcze kogoś obwinić, to tylko jednego Sieniawskiego hetmana, który sam to przedwczesne wystąpienie wywołał i tak haniebnie go potem odstąpił. Miecznik też rzeczwiście bardzo o ten postępek obwinił hetmana i opowiadał, iż oburzenie, jakie się teraz przeciwko temu człowiekowi po całym kraju rozniosło, przechodzi w wszystko, co o nim w najgorszych czasach tu i owdzie trzymano.

Ze wspomnienia o Sieniawskim, jako to było już blisko, przyszła rzecz na Jerzego. Miecznikowa tedy opowiedziała mężowi, co o nim dotąd słyszała. Ale miecznik już wiedział o tem, bo między Sieciechowem a Podkamieniem gęste biegały posły. Pytała go tedy żona, coby o tem rozumiał?

– A cóżbym o tem rozumiał? – odpowie miecznik, – jeszcze tu wyrokować nie można. W nagłej chwili śpieszył się na miejsce swych obowiązków i dlatego nie wstąpił. Trudnoż mu zganić ten pośpiech. A i o to go obwinać nie mogę, że przeciw moim perswazyom do Sieniawskiego pojechał: była to bowiem chwila, w której tylko dobrego spodziewano się po Sieniawskim. Trza tedy czekać; obaczmy co będzie.

– Ale że nic nie napisał, – zauważała matka, – przecież to byłoby go nie powstrzymało w pośpiechu.

– Nie miał jeszcze kuryerów na Swe rozkazy, – rzekł na to miecznik z uśmiechem, – a poczty w czasie wojny niepewne.

Wszakże to rzekłszy, jakoś się bardzo zamyślił. Niespokojna Kostusia patrzyła w twarz jego, jak w tęczę. – Spojrzał na nią ojciec i rzekł:

– I cóż, dziecko kochane?

– Ojciec dobrodziój wie o Łanu Jerzym coś więcej, – odpowiedziała córka.

– Może wiem i coś więcej, – powiedział ojciec, – ale czy można to wszystko zaraz powiadać niewiastom? U was z lada drobnostki zaraz wielka pociecha, a z drugiej znów wielka trwoga: nie lepiej że czekać w spokoju przyszłości?

– Już ani się cieszyć nie będziemy zbyt, ani też trwożyć, – rzekła Kostusia, – tylko niech nam tateczko powie, co to się stało?

– Ależ nic się nie stało, – odpowie miecznik, – tylko zaszła

pewna okoliczność takowa, z której można się trochę o nim oświadczyć.

– Miechże nam tatko powie tę okoliczność.

– Hm! – rzecze miecznik, – no, to -wam powiem, tyłkó nie chciójcie z tego dorozumiewać się czegoś więcej, niżeli to, czego ja sam się domyślam. Wiedzieć więc o tórn, iż w wigilią owego fatalnego oblężenia naszego obozu przez Sasów, przybiegł był do nas kuryerem oficer z Podkamienia. Krom Cr%edentiales, z Sieniawskiego podpisem, nie przywiózł on nam pism żadnych, ale natomiast dał nam ustną przestroęę, prosząc na wszystkie bogi, ażebyśmy się ile możliwości trzymali w kupie i pod żadnym warunkiem nie rozjeżdżali. Zalecał nam także, abyśmy unikali do czasu wszelkiego starcia z Sasami, a gdybyśmy o nich, nadciągających w liczniejszej sile słyszeli, to raczój nam zmienić dotychczasowe leże, raczój dać gonić za sobą choćby najdalej, niżeli do konfliktu dopuścić. Zmuszeni zaś taką okolicznością do ustępowania z pod Sieciechowa, mamy ciągnąć w kierunku Lwowa, a zatem i Podkamienia, izabiórać ze sobą komendy spotykane po drodze. Taki ordynans przywiózł nam kuryer, – co nas niezmiernie ucieszyło na razie, bo to nietylko zdała nam się rzecz dosyć mądra, ale jeszcze przekonywała nas o tórn, iż tam ci starsi panowie przecieź także czuwają. Jednakże w dalszój z tym kuryerem rozmowie zdziwiło nas to niemało, że nam cale nie chciał powiedzieć, ktoby go wysłał? A kiedy nieboszczyk kasztelan, który dnia tego żył jeszcze, bardzo na niego nalegał,- powiedział nam prawie te słowa: – „A co tam wm. panom na tórn zależy, z czyich ust wzięłem ten rozkaz? Widzicie przecieź dowodnie, że jest hetmański: więc czy mnie to poselstwo polecił pan hetman, czy kto inny za niego, już to jest jedno. Widzicie zresztą, jaki to rozkaz; mnie się zdaje, że najmądrzejszy jaki być może: cóż to więc na tórn od kogo idzie?” – Poczóm wyszedł niby na chwilę i już więcej nie wrócił. To nas jeszcze tórn więcej zdziwiło; jakoź radziliśmy o tórn z starszyzną, a jak to bywa zwyczajnie, tak tórn i tutaj rozdwoiły się nasze opinie. Więc jediii, zwłaszcza ci, którzy tego hetmana mają koniecznie za zdrajcę, widzieli w tórn jakiś zamiar zdradziecki – a znowu inni, przeciwnie, jaknajlepsze u Podkamienia względem nas chęci. Tegoź zdania byłem -i ja i kasztelan, ale że i my także nie mogliśmy tego przypuścić, ażeby ten kuryer tak bojaźliwy był wysłany od samego hetmana, więcemy wpadli na domysł następujący: hetman tam jeszcze się chwieje i na nic się zdecydować nie może. Ani mu jeszcze dzisiaj jawnie przeciw królowi wystąpić, bo nie widząc pospolitego ruszenia w pełni, słusznie się, zgubnych obawia skutków; ani mu się tórn cofnąć, zwłaszcza że sam tę burzę wywołał. Ale ludzie jego przyboczni chcieliby tak dla kraju, jak i dla niego, ażeby się ta impreza nie skończyła na niczóm. Porozysłali tedy bez jego wiedzy posłów do wszystkich województw i, jak się to pokazuje, z bardzo mądrym rozkazem.

Chcąc bowiem, ażeby się województwa pod żadnym warunkiem nie rozchodziły, pragną rzeczy najlepszej; bo jużciż w trzymaniu się szlachty w postawie groźnój cała ta sprawa nadzieja. Rozkazując zaś, abyśmy unikali konfliktów, także rzecz rozumiemy, bo przez wylanie krwi moglibyśmy odrazu na pole wojny przenieść tę sprawę, która się jeszcze może zakończyć obustronną umową. A jeśli wreszcie każą nam się cofać ku obozowi hetmana, toż i to jest rozumna, bo kiedyby się przed następującymi na nich Sasami województwa w tę stronę cofnęły, to opasałyby sobą z wszystkich stron obóz hetmana a w takim razie hetman, czyby już chciał, czyli nie chciał, musiałby stanąć po stronie narodu. Takeśmy to wywnioskowali. Ponieważ zaś z tych tam ludzi, którzy dziś otaczają hetmana, a których my przecież znamy, niomasz podobno ani jednego, coby się na taki czyn samowolny, wprowadzie bardzo szlachetny aleć i niebezpieczny, odważył: więcęśmy tak uradzili z nieboszczykiem Czermińskim, że już nikt tego nie mógł uczynić, jak Ożarowski. Na ten zaś wniosek wprowadził nas tenże sam kurier, który nam-opowiadał dosyć szeroko, jak to tam ten ntisz Jerzy wpadł tak odrazu w łaskę hetmana, że już jest prawą ręką u niego, za niego nlyśli, za niego pisze i zgoła wszystkióm zarządza... *

Tak tedy miecznik opowiedział rzecz' bardzo ważną, która prze de wszystkióm niezmiernie ucieszyła Kostusię. Jakoż nie wahała się ona zaraz powiedzieć, że tym sposobem Jerzy wszedł na samym wstępie na wielką drogę.

Przyznała to także i matka, lecz matka, daleko więcę troskliwa o dobro swojej rodziny niż każde inne, dodała jeszcze do tego:

– Daj jemu Boże, ażeby się wzbił jaknajwyżój, życzę mu też z całego serca, ażeby był jaknajpożyteczniejszym krajowi; ale zaledwie mogę utłumić w sobie obawę o to, iż im wyżój się wzbije, tem pewniój już u nas się nie pokaże.

Uwaga ta dziwnie jakoś zatrwożyła Kostusię, wpatrzyła się bowiem tak dużemi oczyma w twarz matki i tak przytóm pobladała, że się nieledwie całkiem zmieniła...

Miecznik zaś, przypatrzwszy się córce i pomyślawszy nad tómm przez chwilę, taką dał na to wszystko odpowiedź:

' – Tak mi się widzi, moje dziecko kochane, że ta obawa powinna być u nas ostatnią. Jużciż zrobiłem ja coś dla niego, za co mi się choć pokłon należy. I jeszcze robię, bo przecież gospodaruję na jego fortunie i ratuję ją od upadku, jak mogę. Są tóż pomiędzy nami i te i owe wspomnienia, które .u zacnych ludzi nie pozostają nigdy bez skutków. Ale..... jak z jednej strony ja pokłonów nie pragnę, tak znowu z drugiój dyspensuję natychmiast od tych tam skutków. Młode to było, ba, dziecko prawie: a któż zaś dzieci podchwytuje za słowa! Jakoż i wy tak rozumiejcie tę sprawę i wedle tego się rządźcie.

To rzekłszy, miecznik wytrzymał chwilę, a to dlatego, ażeby tem lepij spamiętano ten wyrok. Przykro mu to było i z jawnym bólem wymawiał, te słowa, – ale je wymówił dobitnie, jak mu to nakazywał surowy obowiązek ojcowski. A potem tak mówił dalej:

– Jakoż nie o to tu idzie i ani ja myślę o takowej obawie. Ale mam inną obawę, a to tę właśnie, ażeby mu ta protekcya hetmańska .nie wyszła na złe. Bo to najpiórwej łaska pańska na pstrym koniu jeździ i rzadko kto na nim gdzie daleko zajędzie. Zajeżdżali już wprawdzie i ci i owi do tych i owych celów, ale podobno wszyscy ci byli tacy, którzy pamiętali tylko o sobie. Jerzy, jak widać dotąd, zdaje ,się mieć całe inne zamiary; chwałę mu je, bo są szlachetne; ale kiedy się nad tem namyślę, to mnie to wcale nie cieszy. Jużci z pod skrzydeł tak wysoko latającego orła można uczynić coś więcej, niżeli z pod własnych skrzydeł husarskich lub z pod chorągwi pancernernej: ale tak myślę, że pod owemi skrzydłami, zwłaszcza też dla młodego człowieka, nie bardzo bezpieczne to stanowisko. Wyjedna on u hetmana i to i owo, tak dla siebie, jak i dla drugich; ale jeżeli hetman nawzajem coś i u niego wyjedna? On tego przewrotnego człowieka, jeżeli to tam już takie ma wpływy, może trochę poprawi; t ale "jeżeli przewrotny człowiek za to jego zepsuje? Stary się poprawia na chwilę, ale jeżeli młody się psuje, to już pewnie na całe życie.

A jestto bardzo podobne, bo na tym świecie, tak tu, jak też i owdzie, rzadko darmo co dają. Więc jak od Żyda nie weźmiesz złota, ażebyś z nióm nie wziął i żydowskiego brudu, tak od złego człowieka nie weźmiesz łaski, żebyś z nią razem nie wziął jakiego grzóchu. Dobra to rzecz, z niedostępnój dla-kogo innego kałuży wyjmować rzeczy drogocenne i czyste; ale jabym i perel się wyrzekł, gdybym je musiał zbierać na gnoju. A wszakżeż prawie tak samo uczy nas Pismo, gdy mówi, jeśli mnie pamięć nie myli, te słowa: – „Uciekajcie od namiotów ludzi nie zbożnych, ani się nie dotykajcie tego, co ich jest, abyście się, w ich grzechach nie zawinęli." A co powiada Pismo, to zaprawdę niemylnie. A ja jeszcze dodam do tego: Życie dworskie bez praktyk, praktyki bez niecnoty, służba pańska bez niewoli sumienia, łaska górna bez upodlenia, już to są cudy dziś między nami. Można to wprawdzie i pomiędzy te Scylle i Charybdy przepłynąć bez uszkodzenia swojego statku; ale.,, trzaby to także wliczyć pomiędzy cudy. Owóz o to.się boję– i nie bez słusznego powodu. Trzeba wam bowiem wiedzióć, iż nie skończyłem jeszcze mojej historii. Więc tedy ów tajemniczy kurjer odjechał sobie szczęśliwie, a myśmy zostali przy naszymi zdaniach. _ Aliści w nocy obiegli nas Sasi i obiegli nas taką siłą, że gdyby byli chcieli, to mogliby byli nas prawie podusić. Nazajutrz rano zjawił się Denhoff pomiędzy nami, uczynił koło, wy de-, monstrował nam cały stan rzeczy, a potem za nas kapitulował, na co też wszyscy przystali, bo i nie było co robić. Na tę chwilę

i dla nas partykularnie było to szczęściem niemalóm, co tóż powszechnie uznano; ale nie giożna tego zobaczyć, że nie jest to szczęściem dla całej sprawy. A jako to każdy w nieszczęściu rad- by miał kogoś, któremuby mógł przypisać winę, tak i tu znaleziono sobie hetmana i powalono wszystko na niego. Jak tedy Denhoff w oczach zebranej szlachty podrósł wtedy na chwilę, tak znów Sieniawski zmałał haniebnie, a jeszcze się i obrukał. Jakoż nic nie mam przeciwko temu, bo jest w tem racya z innych powodów; aleć to na tóm nie zakończono. Idąc bowiem dalej po tejże nici, przypomniano sobie zarazem i owego kuryera. A na co to był przysłany ten kuryer na oka mgnienie przed oblężeniem? oczewiście ha to, ażeby nas tóm pewniej w całym komplecie mogli ułować Sasi i wygubić do nogi. A ponieważ się już i to było rozniosło, jakoby ten kuryer miał być wysłany przez Ożarowskiego, – zdrajca więc hetman, zdrajca i Ożarowski. Otóż macie zaraz i konsekwencye. Nie dopuszczam, ja tego wcale, co sobie ubrdała szlachta, o zacności Jerzego ani na chwilę nie wątpię, jestem tóż pewny, iż wyszedłszy z takiej gruntownej szkoły i dawszy już tego dowody, czego go tam nauczono, w zacności swojej nigdy się nie odmieni; ale znów z drugiej strony, od czegoż młodość? Młodość to płochosć, mówili, starzy. A cóż dopiero, kiedy w takie popadnie sidła, gdzie sznury złote, wonnemi kwiaty zasypane przepaście, a nad przepaścią takie ładzące i w taką dal sięgające widoki? – Przyjdzie mi tedy tutaj powtórzyć, co zwykł był mawiać mój ojciec: – Nie unoś się nigdy miłością dla nikogo takiego, o którym jeszcze nie wiósz z pewnością, że się już nie odmieni, bo zaprawdę to lepiój nigdy nie kochać, niż zaszczepiwszy miłość lub przyjaźń w swem sercu, własną ręką ją potem wydzierać. – Ot! i takie to rzeczj'.

Kiedy miecznik skończył swoją perorę, głucho zapanowało milczenie.

Wkrótce też potem uderzyła godzina dziewiąta, a więc wszyscy pzli do kaplicy na modlitwy wieczorne. Kostusia była nie-' źmiernie blada i bardzo się gorąco modliła. Było nawet łzy wi- . dać w jój oczach, które po kilka razy jej spłynęły po licach. Oboje rodzice to ijważali i lubo pośród modlitwy, także sponsepniali niemało. Ale ojciec, pocałowawszy ją w czoło, spać poszedł; czego wszakże nie uczyniła daleko troskliwsza od niego matka. Jakoż poszła za córką .do jej komnaty i tam miała z nią długą rozmowę. Mówiono i tak i owak, jak to zwykle w okolicznościach takich, w których grunt niewiadomy. Nareszcie Kostusia rzekła: -ir Będę się Panu Bogu modlić i czekać. I na tem się skończyła ta dzisiejsza rozmowa. Nazajutrz rano miecznik wypytywał się żony, coby się działo z Kostusią? opowiedziała jak jest. Tedy się 'tóm zafrasował cokolwiek, a w końcu rzekł:

– Trzeba koniecznie starać się o to, ażeby jej wybić z głowy.

Poczóm już więcej o tóm nie wspomniał.

Widząc to, miecznikowa niezmiernie się temu zdziwiła. Znając jego dawniejszą troskliwość o najdrobniejsze rzeczy dotyczące rodziny, nie mogła nawet pojąć tej wrzekomój obojętności na rzecz tak ważną. Dziócić ich drogie, ba, prawie najulubieńsze ze wszystkich, miało tak wielką zgryzotę, – od wyleczenia go z tój zgryzoty, albo tóż skutecznego jój zaradzenia, zależał jego cały los przyszły, wieczne szczęście albo wieczna niedola, może nawet życie lub śmierć; – a tu tymczasem ojciec zaledwie chciał wiedzieć

O tóm. Cóż to się stało?

Stała się tu wszakże rzecz bardzo prosta. Oto miecznik, pomimo całej swój czasem nawet i chłodnój na pozór rozwagi, był to człowiek bardzo ciepłego serca i prawie rwących namiętności. Toż i fantazyi nie brakowało mu takiój, jaka zazwyczaj chodzi z gorącym sercem. W skutek takich przymiotów nie umiał on się do niczego brać przez połowę, ani się zginać przed przeszkodami. Życie mu było za nic, kiedy sobie przedsięwziął dostać się do ś. p. stolnika, – a kiedy postanowił jego syna do Francyi wyprawić, to już był gotów lichwiarskim długiem dobić majątek, chociaż mu do tego nie pomagały ani czasy, ani fundusze, jednakże tak się zamachnął, jak gdyby chciał pół Polski zakupić, – a dzisiaj znowu, kiedy się jego serce wzburzyło 'przeciw praktykom saskim, pragnął co najmniej połowę Polski wybawić. W zwyczajnych dobach publicznego żywota taki gorący a nieoględny człowiek nietylko rzadko przynosi pożytek, ale jeszcze częstokroć

1 sobie i drugim niemałe wyrządza szkody; ale są znowu chwile, gdzie jedna iskra serdeczna, im gorętsza, tóm lepsza i warta więcej, niżeli sto najgłębszych rozumów. A taka to chwila była właśnie w tych czasach. Wiedział o tem miecznik i dlatego był jeszcze o tyle gorętszym. Już mu więc teraz nie była w myśli ani rodzina, ani majątek, ani cokolwiekbądź, co należało do niego; stanąwszy pod sztandarem sprawy publicznej, już się jój oddał w całości, nie wyjmując dla siebie ani jednego oddechu. Toż napełniony tym nowym ogniem prawie we wszystkióm się zmienił. Gdzie dawniej żoną, dziećmi i domowymi sprawami niespracowa- nie zajęty, dziś ani pytał się o to. Prawie ciągle na wózku, rzadko u siebie, a kiedy się co wydarzyło, to już tam szlachty było u niego jak na sejmiku i sejmikowe się odprawiały narady. Przyćóm był krzepki, zdrów, wesół jak nigdy i mówił o sobie, że dopióro teraz żyć zaczął.

A tu obiedwie kobióty właśnie jak gdyby teraz zaczynały umiórać. Przynajmniej Kostusia była tak utłumiona i tak jakoś wybladła, jak gdyby ją w samój rzeczy zabijała trucizna. Dzielila z nią matka te smutki z całego serca, ale czyż mogła jój pomóc? Gdybyż choć od Jerzego przyszła jakaś stanowcza wiadomość 1 Ale i tój nie był. A tak trza było w ciągłej obawie, i niespo- koju czekać cierpliwie odsłonięcia tój tajemniczój kwestyi, którą

rozwiązać własnymi zabiegami lub pracą nie można było na żaden sposób. I był ten czas bardzo smutny w zamczku.

Wszakże niebawem potóm zjawiała się gościem pani stolnikowa krakowska. Był natenczas i miecznik ' i sam ją w ganku powitał. Przyjęto też zacną tą damę uprzejmie, ba, po staremu serdecznie. Miłoż im było widzieć choć matkę, kiedy nie mogli jój syna. A potem znano ją tu daleko lepiej, niż wszędzie indziej, toż i wiedziano, że co bądź na nią zmyślały złośliwe kumoszki po małych dworkach, przecież nikt jej nie widział czyniącej w złości, a na to miejsce wielka miłość była w jój sercu. Spodziówano się wreszcie od niój jakichś już wiadomości, a że się każdy rad tego spodziowa, czego sam pragnie, więc toż tóm bardziej się z tych odwiedzin cieszone i okazywano tę radość gościowi.

Aleć to cale niespodziwany obrót wzięły te odwiedziny.

Przede wszystkióm bowiem stolnikowa mówiła jaknajmniej o swoim synu. Wspomniała tylko jakby nawiasem, że Jerzy jest przy hetmanie, – że zaczyna zbierać owoce z tych prac i zabiegów, które ona podejmowała przez lat kilkanaście ku zbudowaniu jego przyszłości, – że ma już teraz piękną przyszłość przed sobą, – , ale że jeszcze to wszystko, w Boskici jest rękach. Oświadczała też przytóm imć miecznikowstwu winne od niego pokłony, i przepraszała, 'że nagłemi sprawami zajęty, nie mógł sam tego uczynić. Listu od niego im nie oddała, – zdaje się że musiała go zgubić, a wstydząc się tego zapewne, nawet i nie wspomniała, że taki list miała sobie oddany. Więc potóm znowu dziękowała miecznikowi za jego łaski, za zachody, za trudy, które podejmował około jego fortuny, – dziękowała mu za to nawet bardzo gorąco, nazywając tę jego przyjacielską posługę poświęceniem i chrześcijańską ofiarą. Ponieważ zaś nie powinno się od niego przyjmować takich kosztownych ofiar, tylko natenczas, kiedy jest tego konieczna potrzeba, a ta potrzeba z małością Jerzego się pominęła, więc dziękowała mu jeszcze po raz ostatni za jego opiekuńcze zachody i zaręczając, że Jerzy niczego więcój nie pragnie, jak co najrychłój go od nich uwolnić, prosiła o oddanie papierów.

Żądanie to było napozór niby w porządku, – lecz przecież miecznik bardzo się na nie zachmurzył.

Zrozumiał on całą donośność postępku – a to go bardzo ubodło.

Ale już nic na to nie mówił, – tylko poszedł na dół do siebie, papióry przyniósł i oddał je stolnikowój. I zachował się przytóm z jaknaj większą swobodą, a nawet z uprzedzającą grzecznością. Opowiedział jój krótko, co który z tych papierów znaczy, do jakiej się sprawy odnosi, jak ta sprawa dziś stoi i jak ją nadal prowadzić należy. Przedłożył przytem dotyczące rachunki, oddał zalegające pieniądze, objaśnił o stanie gospodarstwa – a życząc jej szczęścia, że się już doczekała takiego syna, który może sam swoje interesa prowadzić, – tak nareszcie tę nudną sprawą zakoñ-

czył. A kiedy to się stało, stolnikowa jeszcze raz mnóstwo wy" powiedziała grzeczności i pożegnawszy wszystkich serdecznie, opuściła zameczek.

Po jój odjeździe zrobiło się cichp w komnacie jak w grobie. Kwestya, która dotychczas była w zawieszeniu, rozjaśniła się teraz jawnie i niewątpliwie, – rozjaśnienie to zrozumieli wszyscy jednak, – a więc i nie mieli co .sobie o tóm wspominać. Jednakże jak to wszyscy radzi jeszcze choć małą chwilę nie dajemy wiary nieszczęściu, choć go już czujem na sobie, tak i obiedwie kobiety patrzyły jeszcze na miecznika ciekawie, co tóż on powie? – Bóg.

wielki! może tu jeszcze nie wszystko przepadło? Lecz dawny opiekun Jerzego stał oparty o głęboką framugę okna, patrzył nie- widomemi oczyma na szyby i milczał. Zwrócił się wreszcie i rzekł z głębokim smutkiem jakby do siebie:

– Kusi mnie diabeł przez całe życie, ażebym nic nikomu nie zrobił dobrego; no! aleć to próżna pokusa. Dla niewdzięczności ludzkiej nie godzi się odstępować przykazania Bożego.

To rzekłszy, uścisnął żonę, łzę uronił nad córką i wyszedł* W małą chwileczkę potem wsiadł na swój wózek niziutki i popędził gdzieś w nieznanym sąsiedztwo.

A obiedwie kobiety zostały same, zatrute gorzkióm uczuciem zawodu i bez żadnego widoku na przyszłość. I dopióróż to wtedy ciężki smutek zaległ ich serca i jakby młyńskim kamieniem przygniatał umysły. I na ten ból niewymowny nie było w niczóm pociechy, nigdzie żadnego ratunku. A tak już odtąd, za ową ehwilą ostatecznego rozczarowania wlokły się dnie jeden za drugim, jak zapłakane siórotki idące w ciężkiej żałobie za trumną swojego ojca.

Jednakże w czasie niedługim zaszła znów mała zmiana na tym zacnym zameczku. A stało się to w sposób następujący. Jednego dnia późnej już całkiem jesieni, kiedy o piórwszych popołudniowych godzinach cała ta liczna rodzina rozsypała się po- owój łączce nad Nidą, ażeby odetchnąć, jeszcze ostatniemi chwilami pogodnego powietrza, zajęchały w dziedziniec zamkowy jakieś dziwnie ładowne powozy. Landara wielka żółto-czerwona w sześć koni białych, tuż za nią druga arka podobna o czterech koniach, i znowu bryka okryta, i jeszcze ze trzy lub cztery wozy, wyładowane w górę, jakoby smagi kupieckie. Obaczywszy to, - dzieci już myślały, że znowu Denhoff zajeżdża, a ciesząc się do dnia dzisiejszego jego hojnemi darami, zanosły się wielką i rozgłośną radością. A miecznik, nie mogąc zdaleka dojrzyć dokładnie powozów, zwłaszcza naprowadzony na ten domysł przez dzieci, także był tego zdania; jakoż rzekł zaraz do żony:

– Jużci zapewne, że to nie jest kto inny, jak pan Stanisław. Chodźmyż go tedy powitać. Ale dlaczegóż z takim ciężkim ładunkiem? ^

A to mówiąc, szedł razem z żoną i dziećmi ku dziedzińcowi-

Ale tymczasem z owój pierwszój landary wysiadła dama. A była to dama bardzo pokainój powierzchowności. Niewiele więcej niż średnia wzrostem, była wszakże dosyć zażywna, a tak rozkoszna i pulchna, jak wielkanocne pieczywo. Przy włosach czarnych i oczach wielkich piwnego koloru, miała płeć białą jakoby mlćko, co jej okazałej figurze dodawało jeszcze niemało blasku. Po jćj twarzy okrągłej, także pulchnćj nad podziw, nie można było odgadnąć na pewno jćj wieku, bo była wybielona starannie, wymalowana ślicznie, a nawet i brwi miała dorysowane farbą tak pięknie, jakoby z rćki pierwszego mistrza, – lecz w każdym razie, dawszy jej lat między dwadzieścia pięć a pięćdziesiąt, trudno się było omylić. Jednakże jeszcze daleko więcej, niżeli te malatury, rzeczy całkiem zwyczajne u elegantek ówczesnych, zadziwiało jój strojne ubranie, zanadto ciężkie jak na osobę młodą, a zanadto bogate, jak do podróz}-. Miała ona bowiem na sobie suknię faldzistą z adamaszku krwistego, gors głćboko wycięty, a na szyi łańcuch złocisty w łuskę, jakoby pancerz rycerski; na rćkach atłasowe rćkawki, rzezane, drogiemi kamieniami wysadzone maneły, a na białych paluszkach brylantowe pierścienie. Na głowie tylko miała niby podróznią duchenkę z aksamitów błękitnych, ale znów za to zarzuciła na siebie gronostajowe futerko, które jej dodawało nieledwie już wspaniałości książęczej. Tak wysiadłszy z landary, rozpytywała przez chwilę | zamkowych ludzi, którzy wyszli na jćj powitanie, a dowiedziawszy się od nich, kćdy są państwo, obróciła się zaraz ku bramie. Widząc miecznikostwo jut wchodzące w dziedziniec, puściła się ku nim krokiem lekkim i prćdkim, a atłasowe wstęgi odl czepca i lekkie poły gronostajowego płaszczka szeleściły za nią w powietrzu.

Obaczywszy ją miecznik tak ku sobie pędzącą,, poznał natychmiast, jakoż zawołał do żony:

¹ – A tożto nasza jaśnie oświecona kniahini! Poczóm z serdecznym uśmiejem na twarzy otworzył swpje zamaszyste ramiona i pochwyciwszy w nie tę naddniestrzańską rusałkę, przycisnął ją z całej "siły do piersi. Pomimo gronostajowego futra, któróm'były okryte,- aż zatrzęszczały gorsetowe fiszbiny, taki to był. uścisk serdeczny. A uściśniętój kniahini aż się oddechy zaparły w piersiach.* Dopiero uwolniwszy się z nich i przycisnąwszy obćdwi rćce do lewego boku swojego gorseta, zawołała przeciągłym śpiewającym akcentem:

– Ach! kochany braciszku! jakże się cieszę, to nie uwierzysz. Tak mi serce dudni, jak gdyby się zestrachalo, a tu taka pociecha! Wybaczże mi, pani bratowo, żem piórwój zwitała brata, ale bo się tak serdecznie kochamy!

A to mówiąć, ścisłała już miecznikową: . –i Najukochańsza Zosieńko! jakaż ty zawsze przecudna! a taka śwież^a taka młoda, jak panienczka. Och! widać to zaraz po tobie, że ci nie dogryzają gorzkie frasunki wdowieństwa! – A toż

kto znowu?—zap3'tała kniahina, obracając się do najstarszej córki miecznika.

A miecznik na to:

– A któżby inny? Jużci Kostusia.

– Kostusia? bodajżeż ciebie! – zawołała kniahini, biorąc ją w swoje uściski, – patrzajcież ludzie, jak już wyrosła! a jaka śliczna, jak gdyby róża sułtańska! Och! tożto muszą usyschać za nią amanty! Ale dobrze im tak! brzydki to ród tych naszych mężczyzn. Miodowe słówka, obietniczk*, klęknięcia, palec na palec: Bodajbym nogi połamała! niechajże karku nakręcę!—a w sercu zdrada, jeszcze lepiej gotowa niż miłość. Perełeczko moja, aniołeczku niebieski! tak mi Boże dopomóż, że do matki nie wrócę, a do ciebie powrócę: a on jak czmychnie, już go i oko twoje nie ujrzy! Bardzo to ród przeniwierczy, ten mężki, i prawie całkiem zdradziecki.

Słyszając to, Kostusia zarumieniła się biedna jak pąs, a serce jej biło tak mocno, jak gdyby miało już pęknąć. Szczęściem jednakże dla niej, kniahini zaczęła tymczasem witać Marynię i inne dzieci, a miecznik mówił do siostry:

– A! wiemy my tu już, wiemy, moja pani siostrze, dlaczego to takie gorzkie łzy lejesz na mężczyzn. Cha, cha, cha! No, aleś to sama sobie podobno winna, bo któż toż wierzy rotmistrzom?

A księżna na to:

– Och! ten rotmistrz przebrzydły! proszę cię, już nie wspominaj mi o nim. Taki to zdrajca z niego wierutny!

Z temi słowami stanęli wszyscy na górze w owej pysznej komnacie, w której przyjmowano Denhoffa. Lubo kniahini już tę komnatę niejednokrotnie widziała, jednakże z zwykłej sobie do pochwał i uniesień skłonności, zaczęła nanoWo ją chwalić i unosić się nad jej ozdobami. Lecz miecznik, pochwał komnaty cale nie godzien, a natomiast ciekawy, jak to tam rzeczy stoją z jmc Wi- szowatym, przystąpił do niój i rzecze:

+ – Powiódzże, moja siostruniu, jak to tam z twoim rotmistrzem? czy cię już całkiem porzucił?

– Czy mnie porzucił?. – odpowiedziała kniahini, oczy spuszczaając ku ziemi, – lichoz go wie, mój braciszku! bo to wielki bałamut.

No, to jest jeszcze przecie nadzieja, – powiedział z uśmiechem miecznik.

Ł– Och! już bodajżeż to taka nadzieja! Ałe powiódzże mi, braciszku, – mówiła dalej kniahini, postępując z miecznikiem ku oknu, – tożto on był tutaj gdzieś w waszych stronach i to podobno niedawno. Mówiła mi o tó w przejeździe pani kasztelanowa wiślicka. Miał tu być kędyś u Ożarowskich, co to ona jest jego krewna^ a jej syn ma być po zrękowinach z waszą Kostusią. Pra- wdaż to jest, braciszku? Tak mnie rozpowiadała pani kasztelanowa wiślicka.

Więc na to miecznik niby się trochę zachmurzył, ale zaraz złagodniał i rzekł z uśmiechem:

–r"| Trzeba już, jak widzę, poprostować te wiadomości pani kasztelanowej wiślickiej. Więc najpierw wiedz o tó'm, że Ożarowski ani był, ani tóż jest, ani już nawet będzie po zrękowinach z Kostusią. Może tam kiedyś śniło mu się o tó'm cokolwiek i może myśmy byli tak prości, żeśmy tym snom uwierzyli; ale jeżeli twój rotmistrz potrafił umknąć, to i jego siostrzeniec nie gorszy.

– Doprawdy, Jasiu?—zawołała na to kniahini, — patrzajcież ludzie, co to są za męzczyz'ni! otóż to wszyscy już dzisiaj tacy, jak widzę! Biednaż nasza Kostusia! Och! jakżeż ja ją będę pocieszać! jakże będziemy tęsknić obiedwie! . . # -

– A co do rotmistrza, mówił miecznik dalej, tłumiąc śmióch w sobie co siły, — to także muszę sprostować pani kasztelan o wój wiadomość. Rotmistrz bowiem był tutaj istotnie, ale już dawno, później ugrzązł jak słyżkę u jmści Domaradzkiego, a nareszcie razem z nim zniknął jak kamień w wodę. Powiadano mi jakoby niedawnemi czasy miał bawić na dworze pana pisarza na Sędziszowie, ale że go pod Sieciechowem nie było, gdzie byli wszyscy Pisarscy, to wieih z pewnością. Gdzie tedy teraz przebywa, już to jest tajemnica.

Bardzo się tedy nad tem zamyśliła kniahini i kilkakrotnie westchnęła.

A miecznik na to: , — Zdrajca to wielki, ten rotmistrz, ale przecież za nim wzdychają.

i V- Ej! to nie za nim! — rzecze kniahini, — jak ciebie kocham nie za nim! Ot! miałabym tóż za czóm i wzdychać! Taki to z niego niewdzięcznik!

– No; ale tyś za to wdzięczna, moja siostruniu, i bardzo słusznie. Boć to przecie on, nie kto inny, nie dał cię wyrugować z nieboszczykowskiej fortuny.

– To tóż to jedno, co mi tam serce pociągnęło ku niemu,— zawołała na to siostra miecznika, — bo i coby innego? chłopisko grube, nos jak terlica, wąsy jak rogi, jeszczeż do tego i te kowane buciska, co jak idzie, to wszystkie ściany się trzęsą!

– A! — rzecze miecznik, j— tegobym nie powiedział, żeby to był mąż brzydki. Męzczyzna nie może być gładkim, a który nim jest, już to pewnie papinek. #Ani do tańca, ani do rózańca. Ani to z niego żołniórz, ani mąż jak potrzeba. A rotmistrz właśnie mąż sobie od ciemnoj gwiazdy. Figura jego, jakby ją kto z dębu wyciosał, ręka żelazna, noga fundamentalna, zahartowany na wszystkie prace i biedy, czego już dał dowody, siedząc przez lat trzydzieści w takiej pracy, którą wytrzyma i wyjdzie z niój taki sam, jako dzisiaj.

– No, tożto mi się także w nim podobało, — rzecze na to kniahini, — ale co to z tego wszystkiego, kiedy taki bałamut!

Więc tedy miecznik śmiał się serdecznie i znowu ścisnął swą siostrę, a mówił przytóm:

– Ej! wdówki, wdówki! już to podobno z was bałamutki daleko większe, niżeli wszyscy mężczyźni! . '

A tak żartowali jeszcze ze sobą czas mały, poczem kniahini rozweseliła się jako dziecko; bo też nad wszystko lubiła Weselość, chociaż wzdychała głęboko i smętnie. Jakoż niebawem rzekła do brata:

– Ale my się tu weselimy w najlepsze, a ja tymczasem takie ważne mam sprawy na głowie: Wieszże ty, Jasiu, pocom ja tu przyjechała? Nie sprzedałeś jeszcze Janiewic?

– Janiewic, – rzecze miecznik, – jeszcze nie sprzedałem, ale cóż to ciebie obchodzi? Chciałażbyś wrócić do twojój ojcowizny?

Tu tedy kniahini opowiedziała miecznikowi całe swe położenie. Mimo pomocy rotmistrza i wszelkich starań z jój strony, nie potrafiła się ona utrzymać przy mężowskim majątku i uzyskała tylko tyle, że jój część jakąś tego majątku gotowizną splecono. Zabrawszy tedy tę gotowiznę i swoje sprzęty, przyjechała tutaj i niczego więcej nie pragnie, jak Janiewice odkupić i w nich na- powrót zamieszkać.

Wiadomość ta z jednoj strony uradowała miecznika, był bowiem zdania, iż dostawszy choć mierną odprawę od Woronieckich, dostała ona osobliwego szczęścia. Właściwie wzięwszy, nic jój się nie należało krom funduszu na utrzymanie, a widoki jój musiały być jeszcze o tyle skromniejsze, o ile jako prosta szlachcianka -weszła w rodzinę książęcą i po staremu nie miała zbyt dobrych chęci tój że rodziny za sobą. Jednakże postąpiono z nią daleko szlachetniej, niżeli się można było spodziówać, co niezmiernie uradowało miecznika. Ale znów za to projekt nabycia Janiewic nie pomału go zniepokoił. Przedewszystkióm bowiem, jak się już aadmieniło powyżój, wieś ta była niemal w ruinach, a w żadnym razie nie była to taka fortuna, którąby mogła kobióta administrować korzystnie. Nie był zatóm ten wybór pod żadnym względem dla jego siostry szczęśliwym – a i dla niego samego nie był także szczęśliwszym, bo sprzedając wieś taką kobiecie, a do tego jeszcze i krewnój, musiał ją oczówiście oddać daleko taniój, niżeli wtedy, gdyby ją sprzedał któremukolwiek innemu zyskującemu kupcowi. Przewidując to, miecznik usiłował odwieść od tego projektu kniahinię. Ale zepsuta szci[^]ściem całego życia, a ztąd niemało kapryśna, wdówka uparła się koniecznie przy swojóm, powtarzając co moment:

– Już niech tam będzie co chce, już ja wezmę Janiewice koniecznie. A cobym ja zrobiła gdzieindziój? Taka jest ze mnie niezaradna kobióta, tak opuszczona sierota! A toż gdzie w cudzych stronach lada ktoby mnie wyzuł z majątku, – a przy tobie ja jestem pewna. Wolę już tutaj choćby biedować, niż rozkoszować gdzieindziój." |

A tak już nie było rady. Jakoż w dni kilka pozbył się miecznik Janiewicz, bardzo wprawdzie pośpiesznie, ale niebardzo korzystnie. Również pośpiesznie wzięto się także do restauracji ja- niewickiego dworu i potrzebnych budynków, a lubo to już zima była za pasem, pracowano pilnie i niezmiernie. Jednakże mimo pośpiechu, do którego nagliła kniahini, nie mogła się ta robota ukończyć tak prędko, a tak tymczasem wesoła ta wdówka pozostała gościem w zamczku. Bardzo też wtedy odmienił się dawny tryb życia tego poważnego domostwa. Żywa z natury i życia tylko pragnąca, siostra miecznika wywróciła cały porządek domowy na nice. Późne wstawanie, późne obiady, a po nich długo ciągnące się wieczornice, owóz piórwszą odmiana. A potem wszystko, co za tem idzie: muzyka-, goście, tańce, biesiady. Atak dom ten, dotychczas tak poważny i we wszystkióm taki umiarkowany, stał się natenczas jakoby karczmą zajezdną, w której się ciągle odprawiały wesela...

Z początku rada temu była miecznikowa, rad też cokolwiek i miecznik, a to dlatego, iż widząc ukochaną swą córkę tak osmu- coną, spodziewali się w tych ustawicznych zabawach bardzo skutecznej dla niej rozrywki., a za pomocą Boską może i gruntownego lókarstwa.

Nadszedł też zapust niebawem, a tak i czas był odpowiedni weselu.

Lecz kiedy zapust już minął, a mimo to gwar ten szalony nie ustał; kiedy rój gaszków rozmaitego kroju, przez nieprzeborną kniahinię .znęcony, już prawie nie ustępował się z domu, – kiedy wbrew postu nie ucichały muzyki, serenady, śpiówki wesołe, a już nieledwie w zupełną niepamięć zaczęły iść cowieczorne modlitwy, to się poważnym ludzióm i unudziło nareszcie to wrzekome na Kostusine frasunki lókarstwo, zwłaszcza że, jak się zdało, albo niewiele, albo żadnego nie przyniosło skutku.

Bardzo tedy to było na rękę miecznikowstwu obojgu, kiedy z upływem pierwszej połowy wiosny wesoła ta dama przeniosła się do odbudowanego już swego własnego dworu, – bo też z nią razem przenieśli się tamże i gaszkowie, i muzykanci, i wieczornice.

A k^dy to się stało, do poważnego Bobrownickich zamczku wróciła nazad dawna powaga i cisza. Lecz czy z nią wrócił także i dawniój widomy smutek, iuż to trudno było odgadnąć. Kostusia bowiem, owo jedne dotychczas źródło frasunków i niepokojojów dla wszystkich, tak się umiała zachować, że niczego się od niej nie można było dowiedzić. Jednak z niektórych okoliczności, a mianowicie z tego, jak przyjmowała młodzież o jój względy się starającą, można się było domyślać, iż swego Sodalisa nie zapomniała do dziś dnia i miała zamiar nigdy go nie zapomnić. A w takim razie zdało się rzeczą już pewną, iż powiedziała sobie: Jeśli mam cierpić, zacóż mam drugich czynić współnikami mych

cierpień? Jakoż choć twarz jej coraz to bardziej zapadała i bladła, chociaż jój kibić stawała się z każdym dniem wiotszą i cieńszą, z twarzy tej nigdy nie schodził uśmiał się swobody, a jój postaci nie brakło nigdy wartkiego ruchu i życia. Najbystrzejsze oko nie byłoby na niej dojrzało ani śladu boleści!

Kto umie cierpieć z powagą, wytrwałością i męztwem, już ten własnymi rękami plecie sobie wspaniałą za trud tego życia koronę, ale kto oprócz tego umiół tak starannie ukrywać swoje cierpienia, aby ich kolce nie dotykały drugich, kto zatón sam cierpiąc, cierpi zarazem za swoich bliźnich, ten jeszcze w swoją koronę wplata kwiat najpiękniejszy jakiego ręka ludzka może osiągnąć, kwiat przez Boga samego przesadzony z nieba na ziemię, kwiat chrześcijańskiój miłości i poświęcenia.

Nie wiem ja, wiele takich kwiatów kwitnie pomiędzy tą połową naszego rcdu, która, nawykła walczyć* wojować, odpierać,— ale pomiędzy tą drugą połową, którój udziałem tego gwarnego życia tylko miłość albo cierpienia, są tamtych kwiatów cichutkich całe ogrody. Nie widzi ich'oko pośpiesznego wędrowca, tak jak oko człowieka nie widzi rz.ók nurtujących pod ziemią, ani tamże zawartych pokładów sróra i .złota, ani kości 1 dziejów tych ty- siąców pokoleń, których nieprzeliczone warstwy leżą pod wierzchnią skorupą; ale je widzi oko naszego serca i sprawiedliwie się chełpi ową anielską postacią swojój niewiasty, której inne narody, chociaż bogatsze we wszystko, nig dy nie miały.

O! któż jój nie zna, tej cichój, skromnój, nieporównanej, kry- jącój powagę starca pod rumieńcami młodości, a chowającój wiosenną świeżość ducha i serca do grobu? Wschdździ ona na ziemię jako promień słoneczny, ażeby ły jój osuszyć i powrócić je niebu. I widzimy ją potem jako kwiat pełnój róży, zawieszoną nad krzakiem kolców i cierni, a dźwigającą na nowych liściach ciężkie ły wyplakane za wszystkich. A kiedy pod jój opiekuńczemi skrzy- dły rozwinięło się więcój kwiatów, zdolnych udźwignąć ły tego świata, jój już nie widać u góry, — znikła znowu cichutko, zostawiwszy po sobie tysiące listków różanych, rozsypanych pomiędzy ciernie, i woń czarującą, wznoszącą ducha osióročiałój rodziny. Przeszła przez ziemię tali cicho, jak gdyby anioł Boży przeleciał powietrzem,— lecz kędy ©rzeszła, spuścił się błękit na z\gmię i pozostały dźwięki hariy nietSeskiój....

Idąc -dalej kolejną wypadków, zajdźmy teraz na chwilę do Brzeżan. Tam to z owego fatalnego Obozu u Podkamienia poje • chał hetman wielki koronny, a z nim i. Ożarowski. Tam też możemy się bliżej przypatrzeć dalszym postępowaniom obudwu tych ludzi, którzy nam przedstawiają dwa odrębne kierunki. . Tam nareszcie obejrzym zbliżka i owe miejsca, nie dla każdego wówczas dostępne, a takie sławne, już rezydencją jedną z. najpiórwszych na całą Polskę rodziny, już przepychem i bogactwami, o których nietylko w Polsce, ale i dalej niepostrzeżone roznosiły się wieści.

Jakoż nie działo się to bez powodu. Same Brzeżany bowiem były natenczas jedncm* z najporządniejszych miasteczek Czerwoncj Rusi. Lecz co ważniejsza, były one jedną z najobronniejszych, a wprost najszczeńliwszą z forteczek polskich. Przez całe dzieje tak nieraz gęstych zagonów tatarskich i napadów tureckich, nie dostały się cne nigdy w nieprzyjacielskie ręce. Rzadkie to szczęście zaprawdę, – gdzie najsilniejsze fortece i zamki, w obec tak ustawicznych i tak gwałtownych najazdów, bywały tylko jakby chwilowemi dzierżawami swych panów, – gdzie ów przesławny swojego czasu Kamieniec nieraz przez długie lata przebywał w rękach Turków, – gdzie sam Lwów wreszcie, w ludność, -pić- niądze i mury tak znamienicie bogaty, po tyle razy gościł u siebie zbrojnych przybyszów i „od icji dłuższej gościny wykupywał się tylko pokorą i złotem.

Wszakże' daleko jeszcze sławniejszym niż miasto był starożytny zamek tutejszy. Była to silna, ciężka i, kolosalna budowa, która w pięknej leżała' równinie i była opasana dokoła nietylko

murem i wałem, ale zarazem i Złotą Lipą, rozlewającą się przed zamkiem na dwa ramiona, a za nim znów te ramiona łączącą. Przez te wody i mury i wały był tylko wjazd jeden, a to przez most żelazny, na łańcuchach zwodzony. Przy moście znajdowała się kolosalnej wielkości brama, tak jak i inne mury opatrzona w strzelnice do dział i rusznic, a na niej herby litewskie i polskie, unoszące się nad rodziną panów tutejszych Leliwów. Nad bramą zaś miały miejsce pomieszkania klasztorne, zajmowane niegdyś przez ojców Bartoszków, zwanych także komunistami, ale już teraz były one z woli ks. Lubomirskiej pannom miłosiernym oddane. Na dziedzińcu zamkowym wznosił się kościół pod inwokacją Naj- -świętszej Panny, budowa piękna, blachą okryta, pełna ofiar bogatych, a nade wszystko drogich marmurowych posągów, wystawiających z kolei niemal całą rodzinę Sieniawskich, których tutaj •chowano. Dopiero dalej sam zamek, tak obszerny i tyle oddzielnych mieszczący w sobie apartamentów, że i niepodobna ich wszystkich opisać. Wspomniąc więc tylko, iż całe lewe skrzydło zajmowała ogromna, ośmio-kątowa, a nad wysokość dwóch pięter podnosząca się baszta, która była jakoby piersią tej hetmańskiej fortecy. Baszta ta była zarazem arsenałem prywatnym Sieniawskich, mieszczącym w sobie tak obfite zapasy najrozmaitszych ryszunków i broni, że gdyby hetmanowi była przyszła fantazja czy to sztyftować nowe pułki piechotne, czy okrywać pancerne albo husarskie chorągwie, czy nareszcie wystawiać całkiem nowe baterie, to ten arsenał byłby się pewnie nie sprzeciwił jego fan- tazyi. W tej baszcie w środku, jako najpiękniejsza arsenału ozdoba, znajdowała się sala, w której w sztuczne figury była ułożona broń najpiękniejsza i starożytna, a na której ścianie poprzecznej odmalowany był pogrzeb Mikołaja Sieniawskiego, hetmana polnego, któremu w całej okazałości swojego majestatu towarzyszył król Zygmunt August, wyprowadzający ciało jego z miasta Lublina. Dalej za basztą szło dawne lewe skrzydło, a nareszcie sam korpus/ zamku, całość ogromna ale niejednolita, tylko z rozmaitych złożona części, zapewne według tego, jak ją w rozmaitych rozprzestrzeniano czasach. Jednakże prawe skrzydło przedstawiało już całość foremną, a nawet piękną. Była to także ogromna dwupiętrowa budow^Ta, pomyślana rozumnie, wykon[&]na starannie, ^ozdobiona przez wszystkie piętra takimi samymi gankami, opartymi na takich samych pilastrach, jakie się dają widzieć w zamku krakowskim. To też to skrzydło było wyłącznym pomieszkaniem tak samego hetmana, jak też i jego rodziny. Tutaj też znajdowały się najwspanialsze i najbogatsze komnaty. I tak na dole sypialnie jegomości, izby gościnne męskie, biura i biblioteki. Na pierwszym piętrze cały szereg komnat ogromnych zwany Pokoje wiedeńskie ozdobione malowaniami al fresco włoskiego pędzla, wystawiającymi kolejną całą wyprawę wiedeńską, a w perspektywie na dnie sarną bitwę Wiedniem. Więc znów na drugim piętrze także same

pokoje, nazwane złote: tu, miast obrazów, złote po ścianach obicia i najcenniejsze makaty, w gęstych framugach na wagę złota płacone najślawniejszych mężów posągi, koło nich sprzęty od hebanu i róży, perłowój macicy i złota, na posadzkach przepyszne wschodniej roboty kobierce, a na sufitach najpiękniejsze obrazy, pomiędzy któremi odznaczał się głównie w największej sali odmalowany pyśzny tryumf .Bachusa. —■ Taki był zamek — a za nim szły znowu inne dziedzińce, ogrody warzywne i owocowe i znowu mnóstwo budynków," mieszczących w sobie mieszkania dworu, rozmaite lamusy i kuchnie, nieprzeliczone wozownie i stajnie. Tak tedy dwór ten tego polskiego Krezusa zamykał w sobie jak gdyby drugie Brzeżany, co też inaczej nie mogło być, jak tylko ku służbie pań- skiój stawało w stajniach po kilkaset koni, kilkaset ludzi było sług stałych, kilkaset trwałój miiicyi, czasem po kilkaset osób w gościnie, a często całe chorągwie konne lub pułki piesze na zamkowej załodze.

Pomimo to jednak, — pomimo takich dostatków i bogactw i prawie niewyczerpanych źródeł dla wszystkich ludzkiego serca zapragnień, — było tu smutno na tem zamczysku. Jakiś kwas i znudzenie, jakieś nieukontentowanie pochmurne były widomą miazmą tutejszego powietrza. Na oko niby ład wielki, służbistość jakby w zegarku, powaga wielka, a wystawność jeszcze daleko większa, — lecz pod tem wszystkióm gnuśność ślimacza, fantazyja żadna, próżnia dla ducha i serca zupełna. W trwodze przed pa- nern, . który w swym domu rządy prowadził sułtańskie, był tutaj niby rygor* żołnierski, statek naoczny i moralność surowa, — lecz pokryjomu grasowały zato tylko jeszcze tórn lepiój' fałsz i obłuda, chytrość i przeniewierstwo, a nawet i bardzo głęboko nurtująca rozpusta. A i te wady jeszcze tutejszych dworzan nie pokazywały się w takiój postaci jako na innych dworach, — gdzie przebiegłość i chytrość była zaprawna dowcipem, a swawola, rozpusta albo zgoła hultajstwo nieprzebrane było w fantazyi, wszystko zaś ra'zem znało pewne granice, a nagradzane bywało wiernością, walecznością i gotowością do ofiar z siebie samego. Tu przebiegłość i chytrość była poprostu brzydką, a rozpusta występna. „Jaki pan, taki kram" — mówiło owoczesne przysłowie i sprawdzało się w całym znaczeniu na tórn hetmańskim dworzysku.

Jednak z początku nie zważał był tego Ożarowski. I nawet nie mógł był zauważyć, jak bowiem z jednej strony wszystko tutejsze złe było starannie okryte całkiem innemi pozory, tak znowu z drugiój on sam miał całkiem co- innego na myśli i zaraz z góry został zarzucony takióm mnóstwem rozmaitych zajęć i obowiązków, że mu wcale nie zostawało czasu do obserwacyj.

Przyjechawszy do Brzeżan, zajął on z woli hetmana najpiękniejszy apartament gościnny w środkowym zamku i został odrazu otoczony całym tym zbytkiem wygod i wystawności, które tu były zwyczajem. *Czy to z potrzeby opróżnionego i znudzonego

serca, czy z potrzeby zdolnego wyręczyciela, jakiego jeszcze nie miał dotychczas, kapryśny i niewstrzymany w swoich uczuciach Sieniawski tak się w nim zakochał gorąco, że kazał nawet osobne drzwi wybić ze swojego mieszkania do jego apartamentu, ażeby go mógł mieć każdego czasu pod ręką. Ale niepowściągliwie hojny w dowodach swojej miłości, był on zarówno hojnym w przydzielaniu mu zajęć. Jakoż Bóg - już sam nie wie, jakichto obowiązków nie zwałił na jego barki. I* tak najpierw zażądał od niego, ażeby mu jeden, pułk pieszy, zaopatrzone karabinami, wy- musztrował na sposób francuzki, – a jak był nagłym w swoich wszystkich zachceniach, tak tóż zapragnął, ażeby ten pułk mógł być gotów w czasie najprędszym, zaledwie już trzeba dodawać, iż tylko na to, aby się tą nowością mógł popisać przed królem. Prócz tego oddał jemu natychmiast swą kancelaryą urzędową hetmańską, biuro swoich spraw politycznych, a z niem razem i biuro korespondencyj prywatnych.

Że zaś z tómi wszystkióm powięzało się samo przez się mnóstwo zatrudnień innych, to drobniejszych to większych, nióma już co i wspominać, bo w takim razie główna komenda nad zamkową i miejską załogą, zarząd nad arsenałem i fabrykami należącemi do niego, odbióranie i odprawianie poczt i kurjerów nie mogło się opierać o kogo innego. Tak tedy Ożarowski został odrazu zaprzężony do takich prac, której zaledwieby mógł podołać człowiek wprawny i doświadczony, a nie dopiero młodzieniec, tylko co wstępujący w zakres pierwszych poważniejszych, zatrudnień! — Ale czemuż-to nie podoła chęć dobra i ów zapał młodzieńczy, który wytknąwszy sobie jakiś cel ważny, pragnie go choćby kosztem swojego życia osiągnąć? A jakieżto cel wspaniały i jak nieograniczony w swych dalszych skutkach ujrzał przed sobą dziś Ożarowski !

Już tedy najpierw samo położenie kraju, sam ów skrzywio-^{*}ny i zawikłany stosunek narodu do króla, był sprawą tak ważną i tak wszechstronnej pomocy potrzebującą, że ktokolwiek się do nió z zamiarem usług rzetelnych przybliżył, ten już zaprawdę niemały cel wytknął sobie. Sprawa ta wprawdzie już się w tych kilku tygodniach była cokolwiek zmieniła. Już tam teraz do króla wysłano jakieś posły z województw, już się był król skłonił do jakichś układów, już się tam nawet te^{*}układy toczyły: aleć to na tómi nie mogło być dosyć, albowiem każdy, kto wzrok miał tylko cokolwiek zdrowszy i głębszy, musiał przewidzieć, iż jakiegokolwiek z tychże układów wynikną skutki, to nie mogą one na żaden sposób zadowolić tak wielostronnie ukrzywdzonego narodu. Nie chodziło tu bowiem już teraz ani o ulgi w poborach, ani też w kwaterunkach albo przemarszach wojska, ale chodziło o to, iż kardynalne zasady umówionego przez Pacta Cofwenta rządu zostały zgwałcone – a więc to trzeba było przywrócić. A tego skutku nie mogły żadną miarą sprowadzić owe żebrzące klemencyi pańskicj

poselstwa, które się teraz odprawiały w Warszawie. Było to za- tórn rzeczą przewidzianą, iż sprawa dzisiejsza na tych poselstwach się nie zakończy i prędzej później zejść musi na drogę działania inną – a droga ta mogła być tylko dwojaką: więc albo sejm i zwykła dyplomacya sejmowa, albo konfederacya i wojna, a potóm co Bóg da, co przyniesie los wojny. Ożarowski, pomimo swojej rannej młodości, opatrzony powagą myśli i głębszern od innych pojęciem, nie był teraz za drogą piórwszą, a to naj- piórwój dlatego, iż przewidywał, że sejm w dzisiejszych okolicznościach mianowicie pod takim zalewem wojsk saskich zwołany, nie byłby rzetelną reprezentacyą narodu, a zatóm jeszczeby raczój nadużycia obecne usankcyonował, niby je miał poznosić – a powtóre dlatego, iż nawet w najlepszym razie sejmy terażniejsze były już środkiem zbyt kruchym i przy rozszerzającym się coraz bardziój pomiędzy górnemi warstwami zepsuciu dawały tak obszór- ne pole kabałom, iż nie można się było niczego po nich spodziewać. Był on tedy za konfederacyą – ale i tu miał trochę odrębne widzenie rzeczy od innych. Chciał bowiem konfederacya, lecz nie chciał wojny. Cheiał zatóm tylko, ażeby naród zbrojno wystąpił – a pod bronią ażeby przyszedł do skutku układy. – Ażeby się zaś to stać mogło tem pewniój i tórn skuteczniej, chciał aby odrazu po stronie konfederacyi stanęły osoby takie, któreby grozę Wpoity w króla i wlały weń przekonanie, iż próbować, czyli się nie uda dwudziestoma tysiącami Sasów opanować narodu, byłoby bezskutecznóm. Któz zaś do wpojenia w króla takiej grozy mógłby być skuteczniejszym, jeżeli nie ten, który dzierżył w swych rękach Wielką buławę całego wojska, który był piórwszym senatorem Rzeczypospolitej, a oprócz tego miał jeszcze takie arsenały i takie skarby swe własne? – Wiedział już wprawdzie ten zacny młodzieniec z doświadczenia, iż z tym człowiekiem próżnym, kapryśnym i takim nagłym w swoich zachceniach była sprawa nadzwyczaj trudna, – ale właśnie dlatego, że hetman miał jednocześnie tyle stron słabych, on miał jeszcze tórn więcej nadziei. Z czegóžto bowiem łatwiej korzystać, jak ze słabości? – A zresztą, jak się

0 tórn wspomniało powyżej, gdyby nawet hetmana do stanowczego czynu nie skłónić i gdyby go tylko do przybrania przyjaznych narodowi pozorów namówić, a przytóm z pod jego skrzydeł choćby li częścią tylko jego niewyczerpanych środków dobrej sprawie posłużyć, to i to byłoby rzeczą, którójby warto i to i owo poświęcić. Poświęcenie zaś to miał sobie Ożarowski jeszcze tórn bardziej za obowiązek, ile że on tylko jeden był w tórn położeniu, że mógł się tego zamiaru podjąć i dopełnić. Jakož był to cel bardzo piękny, –

1 jeżeli tylko z gruntu nie na omylnój zbudowany podstawie, – to rzeczywiście godzien wielkich i nawet największych trosk i poświęceń.

Jednakże oprócz tego zamiaru, który był tylko chwilowym, to jest do jednej tylko sprawy się odnoszącym, bujny fantazyą

i dla młodych sił swoich obszerniejszego pola do działań pragnący młodzieniec sięgnął swą czynną myślą jeszcze daleko dalej.

Takie to tedy były te bliższe i dalsze zamiary, które ten zacny młodzieniec miał względem hetmana, a których szczęśliwemu spełnieniu postanowił wszystko poświęcić. Jakoż poświęcił się im odrazu całą duszą i z całą swoją pilnością, a nawet, niechaj to będzie na tórn większą jego pochwałę, nawet i z przewidzeniem owych niepoliczonych trudności, jakie na tej niełatwej i w odległą dal sięgającoj drodze miał spotkać.

Czy on istotnie te wszystkie trudności przewidział i czyli je sprawiedliwie ocenił; czy nie unosiła go zadaleko jego bujna fan- tazyja, jego chęć dobra, zanadto wielka ufność w swe siły, a nadto mała znajomość ludzi: okazały to dalsze wypadki; nateraz to tylko była widoczna, iż z całym poświęceniem oddał się pracy.

Jakoż lubo powyżórn wspomniane, a narzucone mu przez* hetmana zajęcia prawie przechodziły możność jednego człowieka, on się wziął do nich z taką pilnością, że im dał radę. Tak wstawał on rano na czas jeszcze przed świtem i pobudziwszy puszkarzy* z nimi broń fabrykował dla uzbrojenia pułku pieszego potrzebną* O samym świcie już on z tym pułkiem znajdował się na zamkowych dziedzińcach i ćwiczył go w rozmaitych marszach i zwrotach- Potóm się w kancelaryi zamykał i załatwiał bieżące koresponden- cye, rozpisывał rozkazy do komend i przygotowywał dla hetmana raporty. O dwunastórn gorfiadzili się wszyscy domownicy i goście na śniadaniu w hetmańskich pokojach, – hetman natenczas spraw słuchał, rozkazy dawał i objawiał swoje częstokroć najdziwaczniejsze na dzień następny projekty, –* Jerzy się tam zawsze znajdował, lecz zabawiwszy chwilę, w ten moment zniknął, ażeby jak- najprędzej życzenia hetmana uprzedzić. Potem wszakże musiał się znowu pojawiać, ażeby być na służbie hetmana i z nim, czy to listy nadeszłe i gazety wertować, czy komendy objeżdżać, czy nawet mu towarzyszyć na' objażdżkę folwarków. Przed wieczorem dawano obiad, przy którym się znajdowali zazwyczaj wszyscy ho- noratiores miejscowi i goście, z nimi także i Ożarowski; lecz kiedy hetman pod koniec obiadu zaczął się zabawiać głośniejszą, kielik chami rozweseloną, rozmową, on znowu zniknął i do nowórn się pracy zaprzęgał aż do wieczora. W wieczór tedy dopiero jawił się w gal* na górnych pokojach i odtąd już nie odstępował od hetmana późnej, nocy. Ta też to była ze wszystkich najszczęśliwsza niego pora, albowiem wtenczas bywał hetman zazwyczaj w naj" lepszym humorze, najrozsądniejsze przychodziły mu myśli, najprzy- stępniejszym się stawał dla wszystkich, a nawet czasem i z swoich najwewnętrzniejszych uczuć się wypowiadał. Wtedy tórn Ożarowski był już jak jego -cień przy nim, opowiadał mu dzieje bież4^{ce}> wykładał swoje widzenie rzeczy, przedstawiał chwilowe i dalsz^e potrzeby, skłaniał go zwolna ku swoim widokom i niejednokrotnie dla tórn lub owej sprawy wyjednywał u niego pomoc albo poparcie-

•
Wszakże im częstsze i bliższe miał Ożarowski z tym wielo- władnym magnatem stosunki, tórn więcój się przekonywał, iż była to postać od swoich dziejowych wzorów jakoś dziwnie już wyro- dzona i nawet nie wiedzieć do czego podobna. Nie był to bowiem ani ów pan starodawny, pićrwszy znaczeniem, zamożnością i władzą, lecz także pierwszy światłem rozumu, miłością serca, krwawym trudem i poświęceniem; ani to był jakikolwiek człek nowy, wyrzekający się wszelkiój historycznój puścizny, ale natomiast przynoszący w swój piersi jakieś nowe ziarna żywotne. Miał on ci wprawdzie na sobie i te i owe starodawnego pana przybory, ale już nie miał ich ducha, nie posiadał w swóm wnętrzu ich treści. Był to zatóm jakoby posąg, przybrany zewnątrz w możność, powagę i władzę, lecz wewnątrz próżny, wypchany dumą, zmierzchem rozumu, zgnilizną serca i nudą.

Takie tóż było jego zachowanie się całe i takimi jego wszystkie czynności. Nie jako pan światły, rządzący z miłością swe posiadłości, siedział on na swym zamku; lecz jako basza jakiś turecki, jak gdyby sułtan znudzony. Toż kiedy wszystko mu było obojętnóm oprócz niego samego, kiedy nawet jego bogactwa niezmierne nie przynosiły mu żadnój pociechy, a jego włłasna rodzina była mu prawie jak obcą; ani on chciał, ani umiał się podnieść do zrozumienia tych obowiązków, które spoczywały na jego barkach. On się miał przede wszy stkióm za pana na swoich ziemiach, a że był przy tem hetmanem w. koronnym i kasztelanem krakowskim w Rzeczypospolitój polskiej, było to wedle niego prawie to samo, co gdyby był miał jakie tytuły albo urzędy w jakim państwie ościennem. W skutek takiego widzenia rzeczy nie poczuwając się do żadnych prac ani trudów, narzekał często, że mu są nieznośnemi te urzędowe ciężary – a kiedyindziój narzekał znowu, że przez brak skutecznego poparcia nie wziął sam polskiej korony. Tak rozprzężony w swóm włłasnem wnętrzu, łączył też w sobie zupełnie sprzeczne przymioty. Hojny czasem do zbytku, kiedyindziój był chciwy, pożądlivy cudzego dobra i skąpy. Trwonił nieraz na podarunki i chwilowe fantazyje sumy nieprzeliczone, a w swoich dobrach pozwalał cierpieć głód, nędzę i niedostatek. Tak znów przy błyskotliwym polorze i obyczajów gładkości, obudzały się w nim częstokroć dzikość i barbarzyństwo. Kazał natenczas ludzi niewinnych wrzucać do turmy i chłostać, stawiać pod pręgierz albo pod szubienicę – a potem wzruszał się nagle do głębi serca i płakał. Tak nareszcie i w rzeczach wiary; unosił się zwykle nad arianizmem, wyznawanym przez swoich przodków, rozumował z luterska i występłą wolnomyślnością przesadzał drugich; lecz przytóm pościł i suszył, surowe rekolekcyje odprawiał, z zakonnikami na kapituły się zjeżdżał i wielkie sumy zezwalał żonie wydawać na budowanie kościołów. Jakoż śród takich najsprze- czniejszych ze sobą uczuć i myśli, które jakoby zmiany morowego powietrza przelatowały koleją przez jego serce i głowę, miał on

tylko myśl jedną, która go nigdy nie opuszczała, myśl bardzo smutną i prawie melancholiczną, – a to myśl o tem, że nie miał syna i na nim się kończył ród znakomity Sieniawskich.

Takim był tedy ów hetman wielki koronny, w którego rękę spoczywał klucz niemal główny do dalszych dziejów Rzeczypospolitej polskiej. Smutna postać zaprawdę, zupełnie już strupieszala jednostka gnijącej w swych podwalinach całości!

Tak nieraz w lasach widzimy zmorszniały pień starożytnego dębu. Zabrawszy siecią swoich olbrzymich korzeni szeroki płat ziemi dla siebie, nie dopuścił on wzrostu żadnemu nowemu drzewku przy sobie, a sam, wyczerpawszy swe soki żywotne do reszty, czeka już tylko, póki za piórwszą burzą w popiół się nie rozsypie, zostawiając pustynię, a na niej grób olbrzymi po sobie. Wszakże tu inne widzimy zjawisko. Tu bowiem, około tego pnia zmorszniałego, szczęśliwemi z oddali przyniesiona wiatrami, wystrzeliła młoda latorośl, która rozbujawszy pędem młodego życia, objęła go swemi szerokimi ramionami i zapragnęła ona świeżym go rft- tchnąć oddechem, a choćby miała własne weń przelać życie, wskrzesić w nim ciepło i głowę jego choćby przed "samym grobem zieloną przyozdobić koroną.

Wszakże nawet nie wiedzieli, żali to przyjdzie do skutku. Nie wiedział o tem i Ożarowski. Jednakże tak mu się zdało, że nie powinien być tracić nadziei. Hetman bowiem, odkąd powrócił do Brzeżan, był ciągle smutny i czegoś niby trwożliwy. Nie wydawał się z tym, co mu dolega, lecz Ożarowski odgadł z łatwością, iż na teraz przecież chodziło mu o to, jakie też skutki weźmie jego tak nagłe odstępnie od Podkamina. Wierny swoim zamiarom, młody statysta starał się go napoić jeszcze tym większą obawą. I hetman istotnie stawał się coraz niespokojniejszym. Przyszło nareszcie do tego, iż się zerwał niespodziewanie i pomimo to, że był jeszcze w niezgodzie z królem, chciał do Warszawy pojechać. Ożarowski go pytał, coby przez to zamierzał?

– Pojadę sam, – mówił Sieniawski, – i już nareszcie pogodzę się z królem, ażeby tylko te tam ulgi żądane u niego wyjednać. Przecież ja więcej wyrobię, niżeli te posły, które nie mają żadnego legalnego znaczenia.

Była to bardzo prawdopodobna, że byłby on rzeczywiście coś więcej u Augusta wyjednać, ale to, coby nawet i on był wyjednać, mogło być tylko rzeczą bardzo mało znaczącą. O kilka groszy mniej z dymu, darowane kwitowe, sumienniejsze komisoryaty i kilka obietnic innych, nigdy się dotrzymać nie mających: owóż i wszystko czego się można było w najlepszym razie spodziewać. A czómżeby były takie ulgi nic nie znaczące w obec tego wypadku, że hetman przez to byłby się -znowu pogodził z królem? Jakoż poświęcił on wszystkie swoje zabiegi temu, ażeby hetmana od tej podróży powstrzymać; ale jak w każdej ważniejszej rzeczy, tak i tu trafił na upór i prawie tracił nadzieję. Jednakże właśnie

natenczas przyszła depesza z Warszawy i przyniosła wiadomość, że owe niby układy już się skończyły, i właśnie to pozwolonom zostało, czego się Ożarowski spodziewał. Ta tedy wiadomość uspokoiła hetmana i zatrzymała go w domu. Byłaby ona i Jerzego uspokoiła na teraz, gdyby jednakże nie to, że z nią jednocześnie przyszedł list do hetmana od króla, list bardzo dyplomatyczny, ale dlatego tylko tem więcej zamiarom Ożarpwskiego przeciwny. Król bowiem, ignorując zupełnie dawne z hetmanem zajście, a jego podstępianie do Podkamienia biorąc za zamiar stanięcia, w razie potrzeby, w obronie tronu, dziękuje mu za jego przychylność, zawiadamia o ulgach zezwolonych przez siebie, a powierzając jego troskliwej pieczy spokój wewnętrzny, żegna go tymczasowo, wyjeżdżając na zimę do Drezna.

List ten zmienił oczwście całe dotychczasowe usposobienie hetmana. Zadowolony zupełnie owymi wrzekomemi ulgami, które król narodowi poczynił, zadowolony jeszcze daleko więcej listem % .rólewskim, porzucił on odrazu wszelką trwogę i smutek, a natomiast stał się wesołym, odważnym jak mało kiedy i jeszcze sobie dworował ze wszystkiego i ze wszystkich.

– Widzisz! – mówił oh do Jerzego, – czy nie na mojom się stało? Zrobiło się wszystko, czego tylko pragniono, a bez hałasu i bez krwi rozlewu. Już ja to dobrze wiedziałem, jak sobie począć w tym razie. Gdybym był poszedł, aż pod Tomaszów, jak Bóg na niebie byłaby wojna; ba, nawet gdybym był dłużej postął u Podkamienia, to byłoby także do układów nie przyszło, boć ja znam króla i wiem, jak ón nie lubi oporu, a jak natomiast z szczonego serca nagradza postępowanie skromne i delikatne. Spodziewam się tedy, że już teraz nie będą gdórać po dworkach.

A Ożarowski na to, jakby mu kto dał zażyć piołunu. Jednakże zachowując sobie wypowiedzenie swego zdania o tój ma- teryi na czas dogodniejszy, rzekł teraz tylko:

– Jw. panie! radbym z całego serca, aby tak było. Ale z relacyi, jakie mam tu i owdzie ze szlachtą, zda mi się, iż ona cale nie jest zadowolona tómi, co się stało.

– Jeszcze nie jest zadowolona? — rzekł hetman, – a to już nie wiem, co się tam roi znowu po głowach. Ale ja o to już się najmnioj frasuję. W moich postępkach nie myślę wcale stosować Tsię wedle fantazyi szlachty, jeno wedle mojego sumienia. Nie chodzi mi tóż o to nareszcie, co tam mała szlachta i o mnie samym rozumió!

– Jw. panie, – rzekł Ożarowski, – szlachta to mała, niema wątpienia, ale jój dużo. •

. – No, to niechże jój będzie najwięcój, stanę ja sam za kilku!

Tu Ożarowski umilkł, bo już w tój chwili nie było pocco prowadzić dalej tój konwersacyi. Jakoż się tómi niepomału zasmucił Jednakże znów się pocieszył, dostrzegł bowiem niebawem, iż hetman, jak to zwyczajem u ludzi niepewnego sumienia, przecież się

dopytuje, jaka jest o tej tam sprawie podkamieóskiej opinia. Na tem się opierając, przedsięwziął sobie Jerzy koniecznie tą^ nieprzy- chylną opinią zniepokoić hetmana i na tój nici trzymać go w gotowości do naprawienia tego złego, które na nim ciążyło.

Ale tymczasem nareszcie i hetmanowa wróciła z córką, a z niemi i pani stolnikowa krakowska. Zdarzenie to spowodowało niemałe zmiany tak w samym Jerzym, jak i na całym zamku. A w Jerzym nawet z rozmaitych powodów. Najpiórwój tedy dlatego, że Zosia, owa bałamutka wierutna, jakimś dziwnym nabawiła go niepokojem. Kiedy ją ujrzał, to go potem jej obraz prześladował przez kilka godzin – a kiedy z nią rozmawiał przez chwilę, to potem przez cały dzień był do niczego, kiedy zaś z jednej strony jakby go coś ustawicznie ciągnęło ku niej, to znowu z drugiój jakiś głos potajemny mu szeptał, żeby dał temu pokój, że to nie dla niego, że, to kolóbka wiekuistych frasunków i przepaść zguby. Tak sam nie wiedział, coby miał począć i był rozdarty sam w sobie. Wielką to było przeszkodą dla jego prac i zamiarów.

A tu tymczasem i matka, jak gdyby z jego przeciwieństwami zmówiona, także go zrazu niepokoić zaczęła. Jak bowiem była pełną miłości dla niego i niecierpliwą, ażeby mu jaknaj prędszej dawno już obmyślane zgotować szczęście, tak jój się zdało, iż już niczego więcój nie trzeba, jak tylko jego własnych zabiegów, aby się z Zosią ożenił.

Nachodziła go tedy rano, w południe i w wieczór, dając mu rozmaite nauki, opowiadając co o tej a co o innój godzinie mówiła Zosia, co hetmanowa mówiła i jaką minę do tego zrobił sam hetman – a wreszcie jeszcze i w przytomności Zosi nie zaniedby—' wała mu być pomocną, to robiąc mu miejsce przy niój, to zagadując osoby obce, to mieszając się do rozmowy i wynurzając za Zosię rozmaite sentymety dla syna, a jej znów odpowiadając za niego. Jakie to nieraz wywoływało rumieńce u obojga młodzieży, nie trudno zgadnąć. Szczęściem jeszcze, że Zosia jakoś to chętnie znosiła i nie okazywała nigdy, żeby jej było niemiętem. Ale Jerzemu było to bardzo niemiłóm, ba, nieraz nawet nieznośnem. Umiał on wprawdzie sprawiedliwie ocenić to zachowanie się matki, nie wedle skutków, lecz wedle chęci; jednakże zawsze musiał o tem pomyśleć, ażeby się od tego swatania uwolnić. Jakoż dobrawszy sobie odpowiednią chwilę po temu, prosił ją bardzo, a nawet zaklął na wszystkie bogi, ażeby tę sprawę zostawiła jemu samemu i nic a nic się w nią nie mieszała. Trudno to bardzo było ją do tego uprosić, bo ona tak długo i z taką pracą uprawiała ziemię pod te zasiewy, a teraz, kiedy zboże już zoszło, miałażby je losowi zostawić? – Ale czegóżto dobra matka nie uczyni dla syna? Jakoż i ona dała się skłonić nareszcie, swoją bezczynność przyrzekła i z wyjątkiem chwil zapomnienia, dotrzymywała świącie.

Jednakże oprócz tego za hetmanowej przybyciem jeszcze jedna okoliczność się wywiązała, bardzo dla Jerzego znacząca, a przy-

tem i pożyteczna. Oto hetmanowa, nie wiedząc wcale, co właściwie hetmana spowodowało do odstąpienia od Podkamienia, przypisała zasługę tego Jerzemu i wielkimi go za to obsypywała łaskami. Przykro to było Jerzemu odbierać nagrodę za to, czego nietylko nie zrobił, ale czemu nawet przeszkadzał; kiedy mu hetmanowa składała dzięki, twarz jego była prawie pąsową, a oczy jak przykute do ziemi, – jednakże milczał, bo nie zdawało mu się żeby w tym razie obojętność dla prawdy mogła być grzechem. Nie szkodziła ona nikomu, a jemu wielki przyniosła pożytek, bo mu zyskała serce tój pani, która lubo mężowi zawsze na końcu ulegająca, wywierała jednak na niego przeważne wpływy.

W zamku zaś samym, zaludnionym nanowo w swojej osiéro- conój aż po te czasy połowie, zaszła ta zmiana, iż zbudziło się tutaj jakoby nowe życie i powstał ruch dzisiaj już głośny, a jeszcze więćój rozgłosu zapowiadający na przyszłość. Hetman bowiem \a wciąż przy najlepszój fantazyi, otworzył bramę swego zamku nst ścieżaj, przyjmował gości, polowania wyprawiał, biesiady dawał i zgoła hulał sobie, a hulał tak, jak pan takich skarbów i posiadłości hulać jest wstanie. Toż nic to tam wcale dziwnego nie było, kiedy przez cały tydzień dzień po dniu po sto osób siadało do stołu, kiedy na wszystkie sto osób wystarczało złotego naczynia. kiedy miasto win stołowych rozlewano sekt i małmazyę, a za każdym puharem bito z dział ogniem potrójnym.

Przez ten cały czas Ożarowski chodził już w pracy jak w pługu; Albowiem hetman, oddawszy się teraz rozrywkom, wszystko już zdał na niego i zrobił z niego jakby drugiego siebie. On tedy polowania urządzał, on wydawał rozkazy na cały zamek, on wojska przed gośćmi musztrował, on i gości musiał przyjmować i bawić, zwłaszcza gdy hetmanowi do jakiegoś tam panka albo zgoła szlachcica nie chciało się powstać z kanapy. A oprócz tego i jego zwykłe zajęcia pozostały na jego barkach. Korespondencye, raporty, dzienne rozkazy, depesze i co za tem idzie, musiały być załatwione o swoim czasie. Już tedy sam ledwie wiedział, jak mógł wydołać tój pracy, która nie zostawiała mu ani jednej chwili dla siebie. Ażaby dziwna to była, gdyby natenczas był zapomniiał choćby o najważniejszych rzeczach swych własnych?

Jakoż podobno wtenczas, całkiem on już o sobie zapomniiał. Lecz nie zapomniiał przecież o sumieniu hetmana, a kiedy tylko się zręczna do tego zdarzyła sposobność, zawsze mu zdaleka na- trącał o nieustających uciskach saskich, o wielkiój nędzy z nich wypływającój dla kraju, a coraz bardziej rosnącóm nieukontento- waniu narodu, jakoż i o nadziejach, jakie ten naród w swym hetmanie pokłada. Nie zaniedbał też napomykać od czasu do czasu, że Podkamienia nie zapomniano mu dotąd, że na tóim wspomnieniu bardzo wiele się uiszcza niechęci i że trzebaby koniecznie, żeby za daną sposobnością zatrzeć jakoś tę nienawistną historiją. Ale jak zawsze, tak tóż i teraz, odbijały się te kazania o uszy hetmańskie

jak groch o ścianę. – Sieniawski ich słuchał, czasem zaprzeczał, czasem przyznawał, a w tym i owym wypadku zawsze na końcu usypiał. Jakoż byłby on może nigdy nie przyszedł do zrozumienia swego właściwego stosunku do narodu i nigdy się nie dowiedział o prawdziwej opinii, jaka się teraz o nim rozniosła, gdyby się to nie było stało prawie samo ze siebie i nie zrobiło w sposób tak zrozumiały i jasny, że już mu nie mógł zaprzeczyć.

Owo więc dnia jednego, właśnie o takiej porze, kiedy po kil- kudniowój gościnie przycichł był rozgwar na zamku, zajechał na zamkowy dziedziniec jakiś człek obcy na koniu. Ożarowski, który natenczas był w swoich apartamentach, ujrzał tego szlachcica, a widząc w jego rękach coś jakby rulon papićru, wysłał ordynan- sa ku niemu z zapytaniem: kto? zkąd? i poco? – A kiedy ordy- nans wyszedł, Ożarowski znów widział za chwilę, jako ów szlachcic oddał mu ów rulon papićru, poczem wszakże natychciast spiął £onia i zniknął w oka mgnienu z zamkowego dziedzińca. Szczegół ten zadziwił trochę Jerzego, ale niebawem ordynans wrócił i zdał mu raport, że poseł ten przywiózł jakieś listy ze sobą, które rozkazał oddać samemu hetmanowi do ręki. Marszałek dworu nawinął się właśnie, i wziął je, aby je panu doręczyć. Takie po- sły zjawiały się codzień, a czasem nawet po kilku; toż Ożarowski żadnój na to nie zwrócił uwagi i rozkazawszy zapalić świece, stanął napo wrót przy swojóm biurze do pracy.

Tak minęła godzina albo może i więcej, Jerzy złożył pióro nareszcie i zaczął się ubierać, aby iść na pokoje, – kiedy wtóm dano mu znać, że go hetman zaprasza do siebie. Przyśpieszył tedy ubranie czempredzej i szedł na drugie piętro, w owe złote pokoje, które tak były pełne posągów i drogocennych sprzętów.

Kiedy wszedł, nie zastał tam jeszcze nikogo z obcych. Generał Baudycz, który stał załogą w mieście, Sas opity i zataba- czony, chociaż gość codzienny zamkowy, jeszcze był nie przyjechał, – zadzierzysty Granowski, wielki kostera i hulajdusza, grał jeszcze zapewne gdzieś w kości w jakioś miejskiej winiarni, – reszta zaś oficerów i domowników co znamienitszych bawiła się z sobą w obszernych salach przedwstępnych, nie zaproszona jeszcze przed pana. Więc w sali głównej była dopiero hetmanowa z damami, która siedząc w kącie odległym, słuchała opowiadania je- dnój z dam swoich nadwornych, przybywającej z Opola. A w innym kącie przy stole, płytą białego marmuru nakrytym, a oświeconym matową lampą z złotego przyświecającą podnóżka, siedział Sieniawski. Był on w tój chwili jakoś dziwnie zgarbiony, czuprynę miał rozburzoną, brwi naciągnięte, czoło zmarszczone, a trzymając przed sobą rozwinięty rulon papieru, patrzył weń zmrużonemi oczyma. Obaczywszy Ożarowskiego wchodzącego do sali, rzekł do niego:
– Chodźno tu, panie Jerzy.

Kiedy zaś Jerzy się zbliżył i stanął przy nim, rozwinął ów rulon jeszcze dokładniej, oddał mu go do ręki i dodał:

– Patrzajno, co to takiego.

Ożarowski tedy zasiadł u stołu, położył rozwinięty papier prząd sobą i zaczął mu się przypatrywać z uwagą. Jakoż rzecz dosyć dziwna, co tam obaczył.

Na tym papierze bowiem wymalowany był sam Sieniawski jakoby żywy, od stóp do głów i wcale proporcjonalnej wielkości. Ubrany był w kontusz i żupan, strój jego zwykły, ale kontusz tutaj odmalowany, był podbity i obłożony tchórzami. Do tegoż jeszcze żywych tchórzów moc na nim taka, jako na drzewie, kiedy je ptactwo obsiedzie. Jakoż gdy kilka tchórzów siedziało na jego karku, na ramionach i piersiach, to znowu inne wystawiały swe główki z za pasa, z wnętrza wylotów i z kieszeń. Hetman chce szabli dobyć, a tchórz siedzący na pochwie broni mu tego obydwoma łapkami i nie dozwala. Inny go chwyta zębami za rękaw i od szabliska odciąga... To była figura główna, za którą widać było w głębi obozu i chmury wojska jak gdyby makiem kto zasiał, bliżej zaś z jednej strony stoją oficerowie i tych i owych znaków, przypatrując się hetmanowi ciekawie, a znowu z drugiej klęczą na ziemi pany i szlachta, modląc się do hetmana i odpędzając biegające tchórze około niego. A już pod spodem tej malatury podpis wyraźny: „Hetman Sieniawski u Podkamina.”

Obejrzawszy to, Ożarowski bardzo był w duszy uradowany, bo prawie tego mu było potrzeba; lecz spojrzawszy z pod oka na Sieniawskiego i widząc, jak on haniebnie był zachmurzony, zaledwie wiedział na razie, coby miał mówić.

Tymczasem odezwie się hetman:

– No i co to ma znaczyć?

– Trudno to, jw. panie, tak odrazu wy łuszczyc, – odpowie-’ dział mu Jerzy, – rozumiem jednak, iż jeżeli to dzwirne poselstwo ma jakie znaczenie, to zapewne nie takie, jak je wyobrazili ci, •którzy to malowali.

A hetman na to:

– Tchórzem mnie już zrobili.

– Jw. panie!– rzecze mu Ożarowski,– nie tak to ma się ro- zumióć.

– Ot! co mi gadasz! tchórz tam stoi wyraźnie i to nie jeden.

To rzekłszy gniównie, porwał się zaraz z miejsca i założywszy ręce za siebie, zaczął się przechadzać w poprzek komnaty. Ożarowski zaś wtedy siadł sobie w kącie i niby bardzo się zafra- sował. Przechodzący się hetman ciągle na niego spoglądał z pod oka, lecz nic nie mówił, i tak to trwało przez małą chwilę. Poczem wszakże do niego przystąpił i rzekł:

– No i czemuż nie idziesz się bawić?

A Jerzy na to jakoby bardzo żałośnie:

– Ej! już mi teraz nię w smak i najlepsza zabawa.
– No, idźno, idź, – rzecze mu hetman, ^ damy tam na ciebie czekają. A nie wspominaj tam nic o tej swawoli, żeby się moja żona nie dowiedziała. Pogadamy o tó m później ze sobą.

A to mówiąć, wziął zarazem ów konterfekt ze stołu i złożywszy go gładko w kilkoro, schował go do kieszeni.

Ożarowski poszedł do dam i wmieszał się do tamtejszój rozmowy, a tymczasem weszli do sali generał Baudycz z Garnow- skim, toż i panowie inni, i zrobiło się ludno i rozgwarno na sali. Grano na klawicymbale i arfach, a pani starościna żydaczowska śpiewała. Poczóm jeden oficer saski grał na cytrze i śpiewał pieśni niemieckie. Ale Sieniawski na to wszystko ani spojrział. Przechodził się zawsze napoprzek sali, z głową spuszczoną ku ziemi i rękami założonemi za siebie. Widząc to, hetmanowa, zawsze o męża troskliwa, zbliżyła się do niego i rzekła:

– Cóż? jakiś smutny nam jesteś dzisiaj. Posłuchajno, jak ten oficer śpiewa prześlicznie.

A on na to:

– Ej! daj mi tam pokój z tymi Niemcami, bo już mi diable dopiekli. Któregobądź dnia jak się do nich zabiorę, to ich nietylko z mojego domu, ale z całego kraju porozpędzam na cztery wiatry! Niechże tam sobie wtedy śpiewają!

Widziała tedy hetmanowa, że go dziś znowu napadł ten humor, w którym nieraz byłby wstanie i cały zamek wywrócić, gdyby temu zawcasu nie zapobieżono. Były tu wszakże na to już odda- wna praktykowane sposoby. Jakoż i teraz jmc hetmanowa dała znak marszałkowi, co jest, więc żeby radził co temu. Marszałek toż się w ten moment zawinął i przedewszystkiem karły zawołał. Więc przyjechały dwa maleńkie karzełki na dwóch ogromnych ^brytanach i zaczęły po salach karuzel. Poczóm obadwa pospadali na łeb z swoich bachmatów i zaczęli się z niemi tarzać po ziemi. 1 psy i karły były już wyuczone do tego i było to widowisko bardzo zabawne, które czasem tak bardzo rozweselało hetmana, że aż się brał za boki od śmiechu i potóm sam własnoręcznie karmił psy mięsem, a karzełki cukrami. Ale dziś jakoś i to na nim nie skutkowało. Patrzył na tę krotochwilę przez oka mgnienie, ale wnet sam drzwi otworzył i tę chołotę wypędził. A kiedy widział, że go jeszcze czómś nowóm chcą rozweselać, zawołał na marszałka, ażeby dawano wieczerzę. Wjedném mgnieniu oka wieczerza stanęła na stole, a tak vvszyscy wyszli do sali jadalnój. Zasiadł z gośćmi także i hetman, ale nic nie jadł i ani kropli wina nie połknął, a kiedy Baudycz chciał go rozweselić rozmową, to go zmierzył od łysiny do pasa i ofuknął za to surowo, że mundur miał niezapięty. Zapiął Sas mundur na wszyst* kie guzy, a przytóm i gębę zapiął tak szczelnie, że już ani tchu z siebie nie puścił do zakończenia wieczerzy. Kiedy zaś wstano od stołu i wszyscy wrócili do głównój sali, Sieniawski się jeszcze

trochę pokręcił, tego potrącił, tamtego na nogę nadeptał, pajukowi - dał w kark i za drzwi i go wypchnął, a nareszcie sam zniknął. Uważał to wszystko Jerzy jaknajdokładniej i nie mało się tómu ucieszył: byłyż-to przecie znaki już nieomyłne, że się ta skała poruszyła w swej głębi.

Ale jak tylko wyszedł Sieniawski, do Jerzego stojącego samotnie na stronie zbliżyła się hetmanówna.

- Co to takiego mojemu ojcu, – spytała ona, – że taki kwaśny jest dzisiaj?

- Nie wiem, pani, – rzekł Jerzy, – pan hetman teraz nie rzadko bywa w niedobrym humdrze.

- Ej! pan wió, tylko mój pan nie chce powiedzieć.

- Nie wiem, pani, a choćbym wiedział, to czasem są rzeczy takie, o których lepiej jest nie wspominać.

- O! a jaki to pan nie dobry. Otóż powiem panu, że wiem i bez pana, bom uważała dobrze, jakżeście to tam przy stoliku oglądali obrazek, a ja wiem o istnieniu tego obrazka oddawna i widziałam go sama w Opolu. Jacy to są niedobrzy ludzie, co takie rzeczy malują.

- Nie masz wątpienia, że to są bardzo źli ludzie, aleć to w rękę jest pana hetmana nie dawać do takich manifestacyj po- *wodu.

Zosia milczała przez chwilę, a potem rzekła:

- Ej! bo pan siedzi i siedzi przy ojcu i coś tam ciągle robicie, a nie możecie już tego wyrobić, ażeby o ojcu inną powzięto opinią.

- Robimy wiele, robimy wszystko, ależ pani wiadomo, że -aby zrobić coś stanowczego, trza sposobności do tego. Była sposobność u Podkamienia, ale się ją opuściło, trza zatóm czekać cierpliwie na inną.

• – Ale ja myślę przecież, że nie trza będzie czekać zbyt długo. Czy pan Jerzy wió o tómu, co nam powiada pani sędzina, powracająca z Opola? •

- Nie wiem, pani.

- Otóż powiada, że tam wszędzie z pewnością na wiosnę spodziewają się wojny.

'- I ja się jej także spodziewam, – rzekł Jerzy, – ale jak z jedności strony ta wiadomość nie jest jeszcze zupełnie pewną, tak znowu z drugości i cóż to być może za wojna? Oto nie inna, jak tylko konfederacka – a w takićj nie wiem czyli pan hetman zechce się dać namówić do wzięcia udziału z tój strony, p_o której stojąc, pociągnie za sobą opinią.

- Czy zechce się dać namówić? – spytała Zosia porywczco, – a ja przecież rozumiem, że mego ojca do dobrej rzeczy nie potrzeba będzie namawiać. Przecież pan sam to widzi, jak on Sasów nie lubi. Toż zdaje mi się, że kiedy będzie konfederacja przeciwko Sasom, mój ojciec sam stanie na czele. I będzie pan Jerzy

.widział, jak sobie raźnie postąpi. Za kilka miesięcy wypędzicie Sasów do nogi. – A wtedy, tak się spodziewam, że i pan Jerzy będzie cokolwiek weselszym. ,

Jerzy się na to uśmiechnął, a hetmanówna dodała:

– I ja będę weselszą, bo znajdę w tym z wielu względów niewymowną dla siebie pociechę. Tylko to będzie niebardzo po- cieszno, że wtedy dziwna już jednostajność pomiędzy nami zasiądzie. Same długie kontusze po kostki., same głowy golone i wąsy sumiaste, to trochę nudno...

Na te słowa Jerzy dobył zegarek, spojrzął nań i rzekł z powolnym ukłonem:

Muszę być jeszcze dzisiaj u pana hetmana, a już godzina dziesiąta. Dobranoc pani.

^ Poczóm szedł zaraz prosto do apartamentów hetmańskich,, które, jak się to rzekło powyżej, znajdowały się wtóm samem skrzydle w przy sieniach...

Kiedy tam wszedł, zastał hetmana w wielkiój sklepionej komnacie, która służyła mu za sypialnię. Pusto w niej było i chmurno, bo na marmurowym gzymsie komina palił się tylko jeden kaganiec, słabe i czerwonego koloru rzucający światła. Ztąd było tutaj posępno i niby duszno, – na piórwszym wstępie zdało się jakby to nie była komnata, lecz podkościelny grobowiec, w którym za lada chwilę miano ustawić sarkofag. Tuż przy kominie, na którym ostatnie iskry rozłożonego ogniska wygasły, siedział hetman w głębokióm krześle. Był on nawpół rozebrany, miał twarz pomieszana, ręce założone przed sobą i chmurnym wzrokiem patrzył w ogromny krzyż Zbawiciela, wiszący w kącie nad jego łóżem.

Wszedłszy, Jerzy do tój komnaty, stanął opodal i milczał. Hetman spojrział na .niego i wstawszy, przeszedł się kilka razy bardzo chwiejącym krokiem. Poczóm stanął na środku komnaty , i, rzekł:

No i powiódzże mi, mój Ożarowski, co to poselstwo ma znaczyć?

– Jw. panie, – rzekł Jerzy na to,' – wedle mojego mniemania, ci ludzie chcą czego innego, a co innego wymalowali.

– Ba! ale jakże-to takie rzeczy malować!–zawołał hetman,– tchórzem ja jestem? ja?!... a jakióm-to prawem może mnie o to kto inkulpować? czyżto nie byłem sto razy w ogniu? czy nie nadstawiałem mojego karku tak samo, jak każdy żołnierz? czy nie byłem nawet ranny? Ale to nic, to wszystko nic u tój nienasyconój publiki, która już sama nie wie, czego ma wreszcie zapragnąć. Ale ja wiem, o! wiem i dobrze. Zginąć mi trzeba, miejsca ustąpić, a dopióro natenczas mnie wielkim okrzykną i uczynią!

– Jw. panie! – rzekł na to Jerzy, – tak. mi się zdaje, że jegomość w chwilowóm rozdrażnieniu nie tak te rzeczy bierzesz, jak są..

– No, to mówże • mi, – rzecze hetman, siadając napowrót w krzesło, – mówże, co ty rozumiesz. Ja już nic nie wiem, jam już zgłupiał zupełnie...

Tu Ożarowski zaczął wykladać swoje widzenie rzeczy, nadając temu wypadkowi takie znaczenie, które powinno było Sieniawskiego przekonać, że dotychczas całkiem fałszywie rozumiał swoje obowiązki względem narodu, a zatém, że mu trza odtąd na innem postawić się stanowisku, inaczej ocenić położenie sprawy publicznej i inne przedsięwziąć działania. Ażeby zaś nie rozniecać tórn większej nienawiści pomiędzy nim, a opinią publiczną, "starał się go przekonać, iż tym obrazkiem nie zamierzano go wcale o tchórzostwo obwiniać, – że hetman był człowiekiem odważnym i żołnierzem walecznym, któżby o tórn śmiał wątpić? – jakoż zamierzono tu tylko dać mu do zrozumienia, iż mu brak było odwagi cywilnej i dostatecznej determinacyi do wzięcia strony ukrzywdzonego narodu w obec nadużyć królewskich. Ożarowski wykladał te rzeczy obszórnie i szczegółórnio, i zgoła tak, jak gdyby miał przed sobą człowieka obcego, albo dopiero w świat wstępującego młodzieńca. Jakoż było tu rzeczą pewną, iż byłby go i ten i ów jaknajlepiej rozumiał; ale Sieniawski cale go nie rozumiał. Bo nie rozumie nas nigdy ten, który nie chce zrozumieć. Do tego jeszcze myślał on teraz podobno tylko o sobie, lecz nie o sprawie publicznej. Więc nim jeszcze Jerzy swoją perorę dokończył, on już wstał z krzesła i rzekł ze smutkiem:

– Bardzo to mądrze ty mi te rzeczy wykladasz, ale cóż to z tego wszystkiego, kiedy mi to całkiem nie idzie do serca! Wymagacie czegoś odemnie, czego ja nawet i nie rozumiem! Jużem się jakoś bardzo pomiędzy wami zestarzał! Ale nie frasujcie się o mnie. Ustąpię wam się, całkiem ustąpię: będziecie sobie rządzić, jak wam się będzie podobać!...

A na to Ożarowski:

– Jw. panie! tak mnie się zdaje, że zrozumienie tej rzeczy nie jest tak trudne, jeśliby tylko wola była po temu...

– A jakto? – rzecze mu hetman, – cóż-to ja mam rozumieć? Ja do opozycyi, do buntu przeciw królowi? ja hetman wielki koronny i kasztelan krakowski? Przeczytajże sobie historiją, jeśli to kiedy bywało!

– Jw. panie, – odpowie Jerzy, – niepotrzeba tu z tórn zwracać się do historii. Nie przeczę ja temu, boć i wiem z doświadczenia, że historiją jest fundamentem nauki status; ależ znów rzeczą jest niemniej pewną, że nie każda konjunktura polityczna

. jest taką, ażeby na nią gotowy przepis znaleźć w historii. Nie dowodem to zresztą, iż się coś dziać nie powinno, że się jeszcze nigdy nie działo: boć przecie tego nas uczy sama historiją, że każdy dzień coś nowego przynosi. Jakoż i tutaj, choćbyś jegomość tak sobie postąpił, jak sobie żaden hetman nie postępował, nie byłoby to wcale dowodem, żeś źle sobie postąpił. Owszem, prze

ciwnie, dobrze sobie postąpisz: i nietylko że się tem prawdzie posłużysz, ale jeszcze i prawą drogę wskażesz wszystkim hetmanom następnym, a zakasujesz tych, którzy dotąd bywali.

– Już mi tóż pleciesz, – rzecze mu na to Sieniawski, zawsze pochmurnie, ale nie bez nietajnego zadowolenia, – już mi tóż pleciesz co ci się tylko podoba. Już ci, jak widzę, ci francuziska wyrócili głowę na nice. A jakże to się da jedno z drugiom pogodzić?

– Hm! – odezwał się Ożarowski, trochę tó m ósmielony, – jegomość nie możesz pojąć, jak może hetman stanąć po stronie narodu, a przeciwko królowi: a jegomość już sam zajmowałeś to stanowisko, niepotrzeba i drugich.

– Ja? – zawołał prędko Sieniawski, – a to kiedy? może u Podkamienia?

– Mniejsza już o Podkamień, – odpowie Jerzy, – ale i piór- wej, a nawet nieraz.

– A toż znów kiedy?

Więc Jerzy na to:

– Przypominasz sobie jegomość te czasy, kiedy król August wyjechał był do Alt-Ranstad i tam abdykował. Abdykowawszy, przestał być królem; ale mieliśmy wtedy innego króla, który tak samo jak August był przez część narodu wprowadzony do kraju, tak samo jak on obrany i koronowany, a nawet i przez swego antecesorą uznany, boć mu przecie król August własnoręcznym listem powinszował dostąpienia korony. Kiedyśmy więc tego tak samo prawowitego jak tamten króla mieli w Warszawie, czyż jegomość z nim trzymał, czyli tóż z opozycją?

A hetman na to dość niecierpliwie:

– Ot! co mi gadasz! Taki to król był, ten wasz Leszczyński! A przecież ja za Augustem trzymałem.

– Ale także nie zawsze, – rzekł Jerzy; – toż trochę później, dozwoliwszy sobie samego ogłosić kandydatem do polskiój korony, stanęłeś jegomość w opozycji i przeciw Augustowi.

Więc na to Sieniawski pomilczał chwilę, a potóm rzekł:

– Pleciesz mi, pleciesz, a nie bardzo rozumiesz rzecz, albo tak jeno udajesz. Mądryż to jest polityk, który się jednéj opinii trzyma jak pijany płotu? he? Toż przecie każdemu wiadomą jest rzeczą, że kto chce dobrze służyć, musi ze zmianą okoliczności i swoje sprawy odmieniać...

– A to' tóż o to tu tylko chodzi! – przerwał mu Jerzy z radością, – ze zmianą okoliczności sprawy odmieniać, a która jest najpiórwsza potrzeba, tej służyć. Kochać więc Augusta, dopóki trzyma się Pactów; ale kiedy z nich występuje, to się o krzywdy upomnióc. A któż się piórwszy powinien, kto najskuteczniój może się o krzywdy upomnióc, jeśli nie ten, który najwięccj znaczy i największą ma siłę w narodzie? Tego tóż tylko wymaga naród po jegomości.

Więc tedy hetman przechodził się jakiś czas po komnacie i milczał. Zdało się, jakby myślał nad tym, co mu Ożarowski powiedział, albo też nad czym innym. Jakoż nie wiedziąc o tym istotnie, nad czym on myślał, mówił albowiem potem, przerywając sam sobie, w ten sens:

– Dziwnieź-to wy wykładacie obowiązki hetmana! Jakaś to ma być wedle was połowiczna albo też rozdwojona figura. I główna podpora Wewnętrznego porządku i burzyciel spokoju. I postument dla tronu, i robak zarazem, co strzyże nogi tronowe. Jako ów Janus z dwiema twarzami: jedną dla króla, drugą dla malkontentów. A jeszcze jedną trzeba mu mieć dla nieprzyjaciół postronnych... licha was już zrozumie!—A toż ja przecie nigdy nie byłem nieprzyjacielem swego narodu. Czyż podejmowałem kiedy sprawy takie, któreby były jemu szkodliwe? Miałem kiedy siebie samego, a nie dobro publiczne na oku? A toż gdyby mi było kiedykolwiek o mnie chodziło, gdybym był osobiste ambicje nad obowiązki przenośli, to byłbym przecie sam wziął tę koronę, która była bez pana. Jużci natenczas nic mi do tego nie przeszkadzało...

. Tu umilkł na chwilę, a potem mówił dalej: 1— Ale czy to chce wiedziąc kto o tym? czy mój postępek ówczesny, chociaż może wart więcej niżeli największe heroizmy u innycli, sprawiedliwie jest oceniony? Po koronę sięgał! buławę chciał na berło zamienić! — owóż co powiadają; jeszcze i nowa ztąd inkulpacya. Ale już mówcie sobie, co chcecie; ja milczę i to tylko dodaję, że kiedyś to stanie przed Bogiem, a tam obaczmy, kto działał według głosu swego własnego sumienia, a kto z jakich tam innych pobudek!... Toż tak samo i dzisiaj. Naród się upomina o krzywdy, o ciężary, o eksorbitancye królewskie: a czyż ja sta- wam narodowi na drodze, ażeby mu stało się dość? Już się nawet nie pytaę, żali to wszystko jest sprawiedliwe, co żąda: niechaj im król dozwoli jeszcze więcej wolności, niżeli mieli w najlepszych czasach: a co mi na tym? jeszcze i owszem. Za cóż więc takie rzeczy malują na mnie? he? Tchórzem ja jestem? ja!? Bodajżeby Bóg tego nie karał wedle jego zasługi, który mnie tak ciężko ukrzywdził!

A to powiedział z głębokim żalem i już prawie ze łzami, tak to go boleśnie ten obrazeczek był zranił.' * Lecz Ożarowski zaraz głos zabrał i tak mówił:

– Niech-no jegomość się tem nie frasuje. Niech się jegomość uspokoi, boć to i nióma czóm tak dalece się irytować. Nie jest ta malatura bez pewnego znaczenia, ale namalowana grubo, co toż trzeba przebaczyć. — Wiósz przecie jegomość, jakie jest oświecenie u naszój szlachty dzisiejszój, jakie twarde jój słowa, jak nie wyborne figury; otóż i takie malowanie. Ale my przecie nad to się podnieść potrafim, zapomnijmy in forma, a wzięwszy ducha, albo poprostu treść rzeczy myśmy już zrozumieli i wiemy przecie, że nie chcdziło tu o to szlachcie, ażeby swego hetmana obra

zić, jeno ażeby go do innego zachowania się skłonie. Naganiają Podkamień, a proszą, aby na przyszłość mogło się działać inaczej. Mają ważną sprawę przed sobą, nie chcą jćj prowadzić kosztem krwi i nowego zniszczenia kraju, widzą że może być doprowadzona do celu na drodze zgodnćj i chcą, abyś jegomość swoją powagą, wpływem i władzą im do tego dopomógł. Owóz jest rzecz i jćj treść główna, nad którą zastanowić się warto i trzeba: a że tę treść wyrażono niezgrabnie i grubo, a nawet i obraźliwie, niemasz co na to nawet zwracać uwagi. Nie stoiszże jegomość na takićj samej wysokości swoim umysłem i sercem, jak urzędem, fortuną i urodzeniem? nie potrafiszże na takie maleństwa spojrzeć z wysoka?

Więc tedy hetman trochę się wyprostował i spojrział na Jerzego z zadowoleniem. Poczmój już raźniój trochę przechodził się po komnacie i znowu myślał. A wreszcie rzekł:

– Niepospolitym ty jesteś człowiekiem, mój panie Jerzy. Taki młody, a takie już masz zdania wytrawne. I tak spokojnie się umiesz zapatrywać na wszystkie sprawy, czego nie umie nikt młody, a i starzy nie wszyscy. Jakoż mówię ci to otwarcie, iż mam sobie to za szczęście niemałe, żeś ty jest przy mnie. Bo ja gorączka, toż taki chłodnik bardzo mi jest potrzebny; nie o wszystkióm tóż wiedzióc mi zaraz, a ty już to tam jakoś wszćjstko wyszperasz. Ale w tój materji dzisiejszój to jeszcze kwesty a, bo jakoś mi się nie chce wierzyć temu wszystkiemu. Powiódźże mi wyraźnie, czy szlachta taki istotnie nie jest jeszcze zadowolona temi ulgami, jakie jej król poczynił?

– Jw. panie, – rzekł Ożarowski, – osądź jegomość sam, czy może się ona tóm kontentować?

– No, to zapewne, aleć to nie odrazu Kraków jest zbudowany- S&ća^

– Taki Kraków, panie hetmanie, jak ta sprawa, trza odrazu zbudować, bo inaczej nigdy się nie zbuduje. Paćła Cowuenta jalbo być muszą dotrzymane w całości, albo całkiem dotrzymane nie będą. Wyjątków żadnych robić nie można, bo wyjątek w umowie ze strony tego, który na nią nastaje, jest jako dziura w worku w którym jest zboże: i przez najmniejszą dziurę wszystko się zboże wysypie.

– No, to dobrze, – rzekł hetman, – to może nareszcie i prawda; ale dlaczegóż zaraz konfederacya?

– Jeszcze to konfederacya nie jest postanowiona, lecz do niój idzie.

– Więc tylko dopióro jest mowa?

– Tak tam, mowa. rozmowa, a przy tem te i owe przy go to- wania...

– Ja już nie wiem! – zawołał na to Sieniawski znowu pochmurnie, – już się kryją przedemną ze wszystkióm. Już mnie i tchórzem zrobili! Już mnie tóż może robią pomału i zdracją!..;

A to mówiąc, siadł znowu w krzesło, jakby był umęczony. - Po chwili zaś rzekł:
- Proszę cię tedy, mój panie Jerzy, już się tam o tem dowiaduj dokładnie. Pojedź i między szlachtę, kiedy uznasz tego potrzebę. A nie myśl przecie, choć ty przynajmniej, żebym był narodowi niechętnym. Pomyśl też o tóim, ażeby tak rozumieli także i inni, boć to rzecz przykra haniebnie... Nie zasłużyłem też na nią pod żadnym względem, i tak rozumiem, że nigdy już nie zasłużę. Będziemy tóż myśleć nad tem, ażeby to jakoś wyświecić i naprostować. A co do siebie, to już bądź pewny, że ci się ta praca nagrodzi. Nie byłem ja nigdy dla nikogo niewdzięcznym. Tobie zrobiłem mało, aleć to jeszcze i czas mamy przed sobą, i odtąd postąpimy już różniój. Jakoż zaraz jutro każę cię pułkownikiem obwołać, a generalstwo będę miał na języku. Dam ci tóż kwitek do mego skarbu, ażebyś, jak gdzie wyjedziesz, pokazał się odpowiednio twemu imieniu i nie potrzebował na to własnoój otwierać szkatuły. Przyjdą tóż inne rzeczy koleją, bo tóż Bóg widzi, żalibym więćoój kochał mego syna, niż ciebie: A teraz dobranoc ci, mój kochany; zostaw mnie już samego, niechaj się z tym robakiem przegryzę.

Więc tedy Jerzy bardzo się tem uradował nietyle rangą i obietnicami, – ile tem statecznem usposobieniem hetmana, którego źródłem była dziś wprawdzie tylko obrażona miłość własna i twoga o siebie samego, ale które przecież zdawało się świadczyć dowodnie, że i ten człowiek da się poruszyć, jeżeli tylko posłużą ku. temu stosowne środki. A tak kiedy hetman, męczony widmem owóej malarakioój manifestacyi opinii, tę noc strawił bezsennie, to i Ożarowski spać nie mógl, ciesząc się nadziejami, które mu jego bujna przynosiła fantazyja.

W kilka tygodni potćm, – a było to już pod sam koniec zapust, – zapowiedziany został na zamku brzeżaóskim wielki festyn z tańcami i maszkarami. Odprawiło się tutaj do tego czasu już kilka rozmaitych festynów, ale ten miał być najświetniejszym ze wszystkich, a to z tego powodu, iż miano na nim przyjmować dwóch znakomitych gości, z których jednym był Denhoff, hetman polny litewski, a drugim hetman polny koronny Rzewuski. Ponieważ zaś Sieniawski chciał przed nimi wystąpić z całym przepychem swojego dworu i nawet miał czas przygotować się do tego, bo ci goście zapowiedzieli się naprzód kuryerem; więc tśz i poczyniono przygotowania takie, na jakie stać było wówczas tylko chyba Sieniawskich i Radziwiłłów, a z panów innych mało którego, iiiiie wyjmując nawet samych Potockich, bo ci, lubo którzy z nich, jak np. wojewoda kijowski, jeszcze i przenosili fortuną Sieniawskich, jednak w ostatnich wojnach tak wielkie straty ponieśli, że było to znać nawet na ich posiadłościach. Nie myśleli tóż oni# w tych czasach o żadnych festynach, bo mając sumienia inne, byliby sobie mieli każdą takową rozrywkę i stratę grosza pośród ogólnych łez i niedoli za grzech śmiertelny.

Ale Sieniawski chciał się zabawić. Jakoż dla tego festu kazał otworzyć i przyozdobić starożytnie apartamenta w korpusie zamku. – Apartamentów tych od czasu wybudowania prawego skrzydła nie używano już wcale, a to dlatego, że niby z mody już wyszły. Byłyż to w samćj istocie gmachy i nadzwyczajnie obszćrne, i cokolwiek posępnne, a nareszcie i niestateczne, tak w swoim układzie wewnętrznym, jak i w przyozdobieniu. Obaczyć

tam można było i śmiało łuki łamanych sklepień, "1 rzeźbane pułapy sztukateriami ozdobne, a zwieszające się jak stalaktyty ku ziemi, i coś nakształt ambon po kątach, i rozciągające się przez całe ściany galerye. Tutaj więc wielka sala podłużna kończy się półokrągło, tam szereg kolumn biegnie w dal nieprzejrzaną, tutaj na barkach marmurowych olbrzymów wiszą misterne krużganki, tam znowu wschody, kręcone sztucznie, prowadzą w górę i na dół. Przy samych wschodach stoi ogromne smoczysko, rżnięte z hebanowego drzewa, a wykładane złotem i morskimi konchami; trzyma on w łapach przed sobą zógar ogromnego rozmiaru, a co minuta wyrzuca z paszczy rozwartej gałkę drewnianą; przy jego nogach siedzą dwa żywe kary i co minuta nazad tę gałkę wrzucają. Toż znowu w innej sali na samym środku postawiono ogromną konchę ze spiżu; spoczywa ona na barkach skrzydlatych gryfów, a obstały ją spiżowe delfiny i wlcwają w jej wnętrze strumienie wody. Takie fontanny widać także i w salach innych. Tym starożytnym fantazyom także stosowne ozdoby ścian, krużganków i kolumn, błyszczące tutaj czarnym marmurem, gdzieindziej rzeźbą i sztukaterią, a tam znów złotem, brązem albo kryształem. Stosowne także widać tutaj i sprzęty, wszystkie rzeźbione sztucznie, nasiąkane ciemnymi barwami albo złoczone, objane barwnymi safianami lub złotogłowiem, opatrzone herbami albo przedstawiające jakieś mitologiczne wspomnienia. Na to wszystko zaś przez wązkie, gotyckie, w pół malowane okna pada światło jakieś niby niepewne i chmurne, co tym ogromnym starożytnym przestrzeniom nadaje pozór jakiejś tak wielkiej powagi, że się z nią razem prawie odzywa smutek.

Ale podobno i to i owo nie działo się bez powodu; jeżeli bowiem widok tych komnat przedstawiał wielką powagę, to zapewne dlatego, iż ci, którzy takie siedziby budowali dla siebie, pomimo pozorniej niestateczności gustu, byli to bardzo poważni, a nawet wielcy swojego czasu mężowie; a jeśli razem obudzał się smutek, to znów dlatego, że już ci ludzie wszyscy odpoczywali w grobach, a zostawili po sobie potomstwo, bardzo już niepodobne do siebie. Tak to przynajmniej było na zamku brzeżańskim!

Ażeby te ogromne przestrzenie na dzień festynu odpowiednio wypełnić, kazał Sieniawski posprasać wszystką sąsiednią szlachtę, nawet i taką, która dotychczas nie bywała na zaniku. Każdego z nich zapraszano do woli, albo przybyć w stroju zwyczajnym, albo się złączyć z korowodem maszkar, który przysposabiali domownicy zamkowi. Lecz że tej szlachty sąsiedniej, już dla samój gęstwiny posiadłości hetmańskich, nie było wiele, a zatóm na przedce nie mogło jej się na żaden sposób tyle zgromadzić, ile do zapełnienia tych komnat było potrzeba; więc kazał hetman przyozdobić je w części drzewami. Drzewa te, jako to pomarańcze, cytryny, aloesy, cyprysy i drugie chaszczki zamorskie, poprzynoszotio z bogatych zamkowych cieplarni i poustawiano z nich w kątach komnat całe gaiki i kolomby, a tu i owdzie nawet i po środku..

Dla dodania tej fecie jeszcze większego przepychu, napełniono rezerwoary wodotrysków główniejszych woniejącymi wodami. Powymyślano prócz tego i inne podobne zbytki, jako to: wieńce z zielonych liści i kwiatowy transparenty malowne i z kwiatów poplatające figury, do czego to wszystkiego jak panom marszałkom konceptu, tak też i zamkowym sztukmistrzom materiałów nie brakowało. – Kiedy więc na to wszystko pozapalano tysiące świateł, składających się ze świec jarzących, kul szklanych i rozmaitych innych kolorowych kagańców, to znajdując się w owych komnatach, trudno już było wiedzieć; jest-li to jaki pałac zaczarowany, sprowadzony na ziemię z opowiadania piastunek, albo też sen porankowy, oświecony promieniem jasnego słońca? A cóż dopióro powiedzieć o owój niezliczonej służbie hetmańskiej, która mieniąc się co chwila to w ogromnych pajuków, to w matych Węgrów, to w kędzierzawych murzynów, migiała się przed oczyma istotnie tak jak w zaczarowanym pałacu? co powiedzieć o gościach kąpiących brylantami i złotem, a przeplatanych niewidzianymi dotąd figurami, w sukniach aksamitnych wyciętych i w białych wydmuchanych perukach? cóż nareszcie o owych dziwnych maszkarach, które naówczas trudno było widzieć gdzieindziej, jak w Warszawie albo Brzeżanach? Był też tam wtedy niejeden ubogi szlachcic z zagony, który całą noc strawił na samem opatrywaniu, a wyjechawszy ostatni z zamku, przez całe życie potomnym nie mógł opowiedzieć tego wszystkiego, co widział.

Takich festynów i innych zbytków podobnych, któremi ludzie mający więcej bogactwa niżeli rozumu zabijają swą nudę i dogadzają swym niestatecznym fantazyom, widział już Ożarowski w swoim życiu niemało, i ani go to bawiło, ani też zajmowało. Przeciwnie nawet, festyn ten nabawił go pewną niespokojnością, a nawet obudził w nim taką jakąś obawę, iż zdawszy sobie z niej sprawę dokładną, nietylko ją uznał za najprzykrejsze uczucie jakiego kiedykolwiek doznał w swem życiu, ale co gorsza, uznał ją nawet całkiem na swoim miejscu. Miał też on do niej istotnie bardzo słuszne powody. I tak najpierwszym powodem był ten, iż na tym festynie miał się znajdować Denhoff, a on tego człowieka do dnia dzisiejszego tak nienawidził, jak gdyby to był, Boże odpuść! sam zły duch włudzkioj postaci. Wiedział ci on aż nadto dobrze, iż taka nienawiść, zwłaszcza wypływająca tylko z osobistych powodów, jest grzechem, – jakoż spowiadał się z tego grzechu po kilkakrotnie, czynił pokutę, ofiarował się nabożeństwem osobniem swojej Niebieskiej Patronce i w ogóle bardzo gorliwie nad sobą pracował, ażeby ten chwast wykorzenił ze serca, – lecz smutne doświadczenie go nauczyło, iż nie miał do tego dostatecznej siły nad sobą. Butny ten panek, w chwili jego największego nieszczęścia, zadał mu ranę taką bolesną i owo zimne żelazo swego szyderstwa tak głęboko w jego otwarte serce zapuścił, że pozostała tam rdza z tego żelaza, której żadnym sposobem nie mógł

ani w sobie utłumić, ani na wierzchli wyrzucić. Otóż nienawidząc tak tego zimnego szydery, że na samo wspomnienie jego nazwiska stawały mu na pamięci ociekłe krwią zwłoki jego ojca, a ztąd i jego własna krew krzepła mu w żyłach, obawiał się teraz i słusznie, ażeby spotkawszy go osobiście i nie potrzebując już dzisiaj tak bardzo uginać się przed jego znaczeniem, nie dopuścił pomimo woli do jakiegoś takiego z nim zajścia, żeby to wywołało zgorszenie i skrzyżowało jego stosunki z Sieniawskim. Ożarowski na oko zdawał się dosyć być wprawnym w umiejętność panowania nad sobą, – jak o nim świadczyły dotychczasowe postęпки, – ale to zawsze krew młoda ma swoje prawa i rzadko to kiedy potrafi ją całkowicie ovladnąć rozum, nim przyjdą mu w pomoc przeżyte lata i doświadczenia. To tedy było jednym powodem jego obawy, a drugi miał znów swe źródło w tój ważnój okoliczności, iż mu się samo ze siebie nasuwało pytanie; poco właściwie ci panowie tu przyjechali? Jakoż najpierwój szła o tćm między dworzany wieść, jakoby Denhoff przyjechał tutaj na oględziny do hetmanównój, dając się swatać przez Rzewuskiego. Wieść ta, lubo jój Jerzy wcale nie mógł uwierzyć, bo ani mu o tćm wspomniał hetman, ani ten krok nie miał dotychczas żadnych antecedencyj, przecież go także zniepokoiła cokolwiek. Nie rozumiał on jeszcze siebie samego względnie do hetmanównój i gdyby mu ją było porwano z przed oczu, to może, zajęty daleko ważniejszymi sprawami, byłby i nie zapłakał; ale zawsze go to obeszło, choćby tylko dlatego, że tak nienawidził Denhoffa. Mówił więc sobie: niech każdy inny po nią posięgnie, to mu jeszcze sianę za družbę, ale nie Denhoff! – Jakoż było to rzeczą pewną, iż gdyby Donhoff jako konkurent do hetmanównej wystąpił, to byłby się Ożarowski na śmierć w niej zakochał. Taką jest ta ułomna ludzka natura, którą miał także i Ożarowski, a jeśli gdzie widać było tę ułomność na oko, to właśnie w tój nienawiści. – Wszakże co do przyjazdu tych panów zdawała mu się daleko podobniejszą do prawdy myśl inna, a to ta mianowicie, że przyjechali oni tutaj w politycznych zamiarach. Wiadomo bowiem było, że tak Rzewuski jak Denhoff byli przez wszystkie czasy wiernymi stronnikami Augusta, przeczuwali dziś nowe zamieszki, nowe położenia krytyczne, a może zgoła domową wojnę, bo i kto już natenczas nie przeczuwał tych rzeczy? chcieli więc widzić się ze Sieniawskim i namówić go do swoich zamiarów. A ta myśl, bardzo nawet prawdopodobna, jeszcze tóm więcej zniepokoiła Jerzego; i bardzo słusznie, bo w takim razie" jego zetknięcie się z hetmanem polnym litewskim stawało się dla niego jeszcze daleko drażliwszym i niebezpieczniejszym. Jednakże oprócz tego jeszcze go jedna trapiła obawa, a tą znów były maskary. Dowiedziawszy się Jerzy ó zamiarze tych maskar, natrącał hetmanowi po kilka razy, ażeby temu dał pokój. Osobliwie zaś o to jemu chodziło, ażeby nie dawano pozwolenia szlachcie postronnój przyjeżdżania na zamek w maskarach. Już

tu raz bowiem na tym zamku brzeżańskim takie maskary nie małego spletały figla. Pod ich pokrywą wślizgnął się nieprzyjaciół na zamek i już go był opanował na chwilę; odparty potem i wyrzucony, ale z wielkimi tak ludźmi, jak i zamkowych zasobach stratami,— o czym wszystkim jeszcze do dziś dnia żyła na zamku szczegółowa tradycja, chociaż to temu było już blisko półtora wieku. Dziś takiej zdrady nie można się było obawiać, ale po takim dosadnym obrazku, doręczonym hetmanowi nawet bez maskar, wielkie to było podobieństwo, że przy maskarach może się zdarzyć jakaś jeszcze daleko dosadniejsza manifestacja. Nie obawiał się Jerzy takiej manifestacji dlatego, iżby mu żal było hetmana, a wszakże kto lekceważy sprawiedliwą opinią publiczną sam sobie winien, jeżeli ta opinia coraz dotkliwszych dobićra do niego głosów, — ale chodziło mu o to, ażeby jakaś zbytecznie dotkliwa manifestacja nie oburzyła jego skruszonego sumienia i nie wskrzesiła w nim nienawiści dla szlachty, a ztąd i uporu. Takie to były tedy te jego wszystkie przedfestynowe obawy, które go taką napełniły goryczą, że kiedy mu przyszło ubićrać się już na ten festyn, to byłby był nie wiedzieć jak wiele dał za to, gdyby się mógł był od niego uwolnić.

- Ale takiego uwolnienia nie było sposobu i trza się było koniecznie ubierać. A więc ubierał się prędko, wdziewając na siebie buty żółte wysokie, żupan ze złotogłowiu białym przetykanego jedwabiem i kun tusz aksamitny ciemno-błękitny, złotemi bramowany sznurami, a opatrzony guzami z wielkich koralów, brylantami ozdobnych. Kiedy zaś jeszcze zapiął pod szyją spinkę, z kilkudziesięciu rozmaitej wielkości złożoną brylantów, zawiązał pas bogaty lioński, przypasał szablę drogiemi kamieniami sadzoną, a pod pachę wziętą czapkę aksamitną błękitną, z kitką z piórcza- plich złożoną, — to już był całkiem ubrany i mógł iść na pokoje. Jakoż szedł, nie zwlekając, i zaraz zjawił się we drzwiach sali przedwstępnej, napełnionej tłumami służby, dworzan i poprawiających swoje ubiory gości. A że był słuszny wzrostem i niemal o całą głowę najszlachetniejszych przenośli, do tego jeszcze tak błyszcząco ubrany, więc mu w ten moment rum uczyniono aż do sarnój komnaty głównej. Tak więc szedł próżną aleją pomiędzy dwoma szeregami różnobarwnego tłumu, kiwając głową uprzejmie za oddawane pokłony, łamiąc na sobie promienie wzroku ciekawych, a zostawiając za sobą ciche poszepty podziwu. Kto zaś go nie znał, pytał o niego, bo każdego musiała uderzyć taka świeżość młodzieńcza, połączona z powagą i wyniosłością postaci. A kiedy mu na to odpowiedzieli dworzanie: — to nasz Sodalis, — jak go powszechnie nazywano na zamku, to nie mógł się dosyć nadziwić temu, który tak młody, był już tak nieodstępny Sodalisem hetmańskim.

Tymczasem Jerzy doszedł już do komnaty głównej, w której przed woniejącą fontanną na otomanie, otoczoną zamorskimi plan

tami. zastał całą starszysznę festynu. Mianowicie zaś siedziała tam hetmanowa i Zosia, a przy nich Denhoff "z Rzewuskim, tuż zaś koło nich stał sam Sieniawski i niby także należał do ich rozmowy, lecz w rzeczy całą uwagę miał ku drzwiom zwróconą, aby być pogotowiu do przyjmowania gości. Widząc taką uprzejmość hetmana, bardzo się Jerzy nią uradował, bo mu ją sam po kilkakrotnie zalecał, jakoż mu już prawie żal było, że przy tej gospodarskiej usłudze nie był przy jego boku, chociaż to wyjątkowe zachowanie się jego na dzisiaj nie było wcale skutkiem przypadku, aje przeciwnie, skutkiem umyślnej woli nieprzed stawiania się światu w charakterze hetmańskiego dworzanina.

Widząc go hetman wchodzącego do sali, jak gdyby zgadywał jego najskrytsze myśli, wyszedł przeciwko niemu, jakby przeciw gościowi. I dał mu rękę i szepnął mu 'przytóm do ucha:

– Dobrze że już nareszcie przychodzisz. Właśnie o tobie tu mowa i to ci powiem, że masz w tych panach wielkich dla siebie przyjaciół. •

Lubo te słowa bardzo łagodząco na Jerzego wpłynęły, nie mógł on jednak się przewyciężyć, ażeby na widok Denhoffą przybrał choć postać łagodną; jakoż gdy spojrział na niego, zbladł cały, usta mu się ścięły . 1 czuł to, że trzeba mu całej swój siły użyć na siebie, ażeby się w przyzwoitych granicach zachować. Ale tymczasem Denhoff na widok jego zerwał się prawie z kanapy i sam przystąpił ku niemu. I dał mu rękę, mówiąc przytem z uprzejmością pełną słodyczy:

– Witam pana Ożarowskiego. Pochlebiam sobie przecie, że pan sobie mnie przypominasz, lubo to już tak dawno, jakeśmy się widzieli.

– Panie hetmanie! – rzekł na to Jerzy, z dosyć wybitnym chłodem, – miałbym to sobie za grzóch niemal śmiertelny, gdybym ten dzień, w którym miałem zaszczyt panu być przedstawionym, choć na chwilę zapomniał. Mogę też pana- hetmana zaręczyć, że go pamiętam tak dobrze, jak gdyby to był dzień dopióro wczorajszy... -

Wiedział tu Jerzy co mówił, a nawet wiedział, jak się wysłowił dobitnie; ale pomimo to Denhoff, który o owych swoich szyderstwach prawie zapomniał, a miał na myśli tylko wyświadczone mu wówczas przez siebie dobrodziejstwo, o którym wszakże , Jerzy jeszcze dotychczas nie "wiedział, całkiem go inaczej zrozumiał, jakoż rzekł zaraz, oczy spuszczaając ku ziemi:

– Oh! pan pułkownik cale niezastużony mi zaszczyt wyrządzasz. U ludzi mego stanu niejeden czyn, lubo przez nichże samych spełniony, wypływa często z daleko dalszych i całkiem od nich niezawisłych pobudek. Ale co to o tćm i mówić! Wolę natomiast zapytać pana o jego powodzenie, które mnie tak szcórze obchodzi, chociaż i o tóm już mi państwo Sieniawscy opowiedzieli tak wiele rzeczy dobrych i piękných i najpiękniejszych, że od pana

samego, znając już jego skromność, pewnoby z nich ani dziesiątej części się nie dowiedział.

• – Państwo Sieniawscy, – rzekł Jerzy, a nie było już wtedy hetmana przy nim, – są na mnie istotnie tak bardzo łaskawi, że tem wkładają dług na mnie nigdy podobno niewypłacony.

– A ja nie jestem takiego zdania, – rzekł Denhoff, – i właśnie wspomniałem panu hetmanowi o tćm, że jest cokolwiek za^skąpy dla pana o awansach. Generalstwo się panu już jaknaj- słuszniej należy, gdyby li tylko za to, żeś takie pożyteczne innowacye wprowadził, tak w jego biurze, jak i w praktyce dla piechoty. Trzeba tćż panu posunąć się na ten stopień tem prędzej, ile że będzie on panu pomocnym do uzyskania z rąk króla takiego urzędu, który już pana i osobistem znaczeniem zrówna z jego przodkami, a, czego tak bardzo jesteś nam godzien. Chcielibyśmy tćż przy tem, ażebyś, powołany obowiązkami wyższego urzędu, z ciasnego koła prac sw^oich dzisiejszych choć czasem na pole obszerniejsze wypłynął, a przez to owoców swych znamienitych zdolności i nam także udzielił, na co z największem upragnieniem czekamy.

Słyszając to, Jerzy był niezmiernie zdziwiony. Tyle łask i słodyczy od tego, w którym widział dotychczas jakoby samego szatana, nigdy się nie spodziewał. Pomimo to jednak jakoś szatan nie ustąpił jeszcze zupełnie z jego umysłu, a ták mimo woli przypomniła mu się jedna z najpićrwszych scen tego świata, w której pierwsza nasza rodzica stoi pod drzewem, a na drzewie wąż siedzi, podający jej jabłko barwiste i odurzającą nęcące wonię. Mimo to jednak chciał już Denhoffowi dziękować, i już się kłaniał, i nawet pićrwsze wymówił słowa, – kiedy wtćm przestąpił do nich Rzewuski i rzekł po staremu otwarciu:

– Mości Ożarowski! a niechże też i ja poznam waszmości..

Tu dał mu rękę, a kiedy Jerzy się kłaniał, on mówił:

– Już nam tu tyle napowiadano o waści, że bodaj czego nie przesadzono, czegobym jednak cale nie pragnął. Owszem, owszem, daj Boże! takich nam ludzi potrzeba, coby to przedewszystkiem z umiejętnością pielęgnowali sztukę wojenną. Bo to jedno rotmistrzom się zdaje, że na Wojnie wygrywa ręka. Jużci ja wprawnej ręki a walecznego serca nie lekceważę, bo to jest główny mate- ryal wojny; ale bez głowy, umiejętności, rygoru, ładu, mało wart i najlepszy materiał, jak to wiesz z doświadczenia, kiedy służyłeś w armii francuzkiej. Musiałeś też tam istotnie nie psować chlęba, kiedy cię hetman tak chwali; jeżeliż jeszcze do tego i w kwestye status nie lekkomyślnie zaglądasz, jak mi o tem powiadał Rybiński, to już się nam wcale kierujesz na męża, który nas kiedyś godnie zastąpi, a może tćż i przepisze, Czego życzę z całego serca.

A to mówiąc* zbliżył się razem z nim i Denhoffem do hetmanowej koronnej, albowiem tam stał Sieniawski i dawał mu znać ukłonem, że już czas do wieczery. Podał więc poważny Rzewuski

ramię pani Sieniawskiój, gospodarz domu kasztelanowej halickiej, Denhoff hetmanównie, - inni znów innym, i tak szli korowodem wspaniałym do sal jadalnych, gdzie dla świeżo przybyłych gości była przygotowana lekka wieczerza dla ogrzania się i obudzenia dobrój fantazyi. Jedzono tóż i pito z ochotą, bawiąc się przytćm ożywioną rozmową i słuchając dwoistój kapeli, która z galeryi wpół przytłumione rozwodziła symfonie.

Lecz Ożarowski ani jadł ani się nawet mieszał do konwersacyi, bardzo mu bowiem było to w głowie, co go dopióro spotkało. Takiego powodzenia w swych osobistych widokach nigdy się nie spodziował. Wiedział on wprawdzie, iż miał je głównie Sieniawskiemu do zawdzięczenia, a taki dowód afektu hetmana dla niego nie mógł mu być niemiłym; lecz jego skutki wcale go nie cieszyły, a to dlatego, iż najpierw protekcją taką ze strony tych właśnie dygnitarzy koronnych miał sobie za szczęście całkiem niezasłużone i ciężar ten już go i sam ze siebie ugniatał – a powtóre dlatego, iż mu się zdało koniecznie, że takich łask nigdy się nie doświadcza za darmo: a cóż, jeżeli sumienie nie pozwoli za nie zapłacić? albo i gorzej, jeżeli sumienie każe się czarno wywdzięczyć?...

Tak myślał, kiedy wtóm hetman polny koronny wstał z swego miejsca i przybliżył się ku niemu. Wstał także Jerzy, a natenczas Rzewuski wziął go pod ramię i idąc z nim w dalsze komnaty, w tej chwili prawie zupełnie puste, tak mówił:

– Przerzywam ci, mości pułkowniku, wieczerzę, ale widzę że nie jós, a chciałbym z tobą pomówić. Bardzo mi waści zalecił Rybiński, a tu już i sam widzę, że nasz pan hetman wielki koronny więcój patrzy oczyma twemi, niżeli swemi własnymi. Jest też dlatego tóm bardziój o czóm pomówić. Powiędz-że mi więc w swojój łasce, jakaż to tam fantazyja teraz jest u hetmana, bo jakoś trudno go nam wyrozumić, a owa podkamieńska. historia niemało dała nam do myślenia.

Widział tu tedy Jerzy, że się na ślizką zanosi rozmowę, więc mówił ślizko:

– Jw. pan, jak to widzę, przypisujesz mi daleko ważniejszą w obec pana hetmana pozycją, niżeli ją mam rzeczywiście. Jego biuro wojskowe jest w mojom ręku; na opatrzenie, kwaterunki, musztry i porządek wewnętrzny wojska, zostającego pod komendą pana hetmana, mam także wpływ bezpośredni; ale już jakiegokolwiek użycie tego wojska na zewnątrz całkiem nie do mnie należy. A cóż dopióro powiedzić o tóm, gdybym miał sobie przywłaszczać wpływy na polityczne opinie mojego wodza? Cokolwiekbydi tedy się dzieje lub się stać może na przyszłość, ani tam cień mój do tego się nie przyczyni, o czóm nawet podobno i wspominać nie potrzebuję, bo przecież nie może to być jw. panu niewiadomóm, jak nasz pan hetman jest niepodległym nikomu w opiniach i jak to nawet jest niemożliwóm wpłynąć na niego.

– No! – rzecze na to Rzewuski, – jeszcze to wieleby mówić, ażeby się w tym porozumieć. Czasem, kiedy się uprze, to go nic nie przełamie, a czasem lada mała drobnostka zmieni go % oka mgnienu do gruntu. Ot! to było niedawno! Zerwał się nagle i stanął przeciw królowi; trzy pacierze to trwało i znów odstąpił. Widzieliśmy zaraz, co go skłoniło do opozycji: a teraz wiemy już nawet, co go od nić odwiodło, bo nam pani Sieniaw- ska zakomunikowała tę tajemnicę gruntownie i autentycznie. Jakoż tak mówię tobie, że wielką to w tym masz zasługę. Postaramy się też o to, ażeby ta wiadomość doszła do króla i żeby była za to stosowna nagroda. Kiedy się do nas garniesz tak żwawą służbą, niechże i my ciebie przygarniem żwawą znowu wdzięcznością...

Ożarowski zęby zacisnął, a Rzewuski mówił tak dalej:

– Lubo to tedy pięknie jest z twojej strony, iż się twojemi zasługami nie pysznisz, nie myślże jednak, żebyśmy o nich nie wiedzieli, albo wiedząc zapominali. Nie myśl tóż także, żebyśmy nie potrafili być z tobą w dobrćm porozumieniu. Owóż jest zaraz wyjaśnienie tój kwestyi, którą i teraz powtarzam: cóż tedy hetman myśli na przyszłość?

– Jw. panie, rzekł na to Jerzy, – szczerze to panu powiadam, że jeszcze sam tego nie mogłem wybadać. Dziś mi się tak zdaje, jutro znowu -inaczej, jak to zwykle u pana hetmana. Uważam jednak, iż pan hetman daleko więcej teraz rozmyśla nad dolą narodu, niż kiedykolwiek. I to mnie bardzo pociesza, bo juźciż i pan hetman dobrodziej nie zechcesz tego zaprzeczyć, iż w chwili obecnej daleko mniej pomocy potrzebuje nasz król jegomość, niżeli naród. Czyż te skargi rozliczne, które są dzisiaj tak powsze- chnemi jak pacierz, nie są w większej połowie najsprawiedliwsze?

– A! co do tego, to ani słowa, – odpowie na to Rzewuski, – a któż to może zaprzeczyć? a tóż ja sam, jak tylko król nam do Warszawy powróci, będę jednym z naj piór wszy ch, którzy tę sprawę przedłożą. I będę mówił śmiało i nieogłędnie, bo tóż mam prawo do tego, jako także tak samo śmiały i nieogłędny jego obrońca. Ale widzisz waść, co innego powiedzieć, a co innego czynnie wystąpić. Pomiędzy nami mówiąc, lichy to jest statysta, który dyplomatyczną sprawę indukuje przy odgłosie surm i z rozwiniętymi sztandary. A potem któż to rozumny żartuje z ogniem? A tak to prawie zaczął swoją politykę hetman. Więc żeby to teraz znów się co podobnego nie wydarzyło. A byłoby to dziś daleko nie- bezpieczniejszem niż kiedykolwiek, bo przecież wiecie, że bardzo to tam wre w tem kole szlacheckiem, I jak nióma wrzeć, kiedy drwa^ noszą tacy Potoccy, Tarłowie, Jabłonowscy i inni? Juź z nich niektórzy z zapalonem biegają łuczywem. Rzecz tem dziwniejsza dla mnie, ile że dopiero niedawno szli do spowiedzi i łaska najjaśniejszego pana nie odmówiła im rozgrzeszenia. Więc żeby to teraz znów do spowiedzi nie przyszło, czego wszakże nie życzę, bo snać nie łatwaby była pokuta.' W^Tięc tedy na to trzeba wam

pilnie pamiętać, bo na was bardzo się oglądają. Jesteście jak chorągiewka na dachu, po której ludzie poznają, wicher ma być albo też cisza, i wedle tego rozporządzają swe sprawy. Nie wskazujcież na wicher, jak to było u Podkamienia, bo wywołać dzisiaj głośne niesnaski, to jakby wojnę wywołać, a wojna domowa to nie przelćwki. Będę ja o tórn jeszcze rozmawiał z hetmanem, ale zapewne mu wiele nie powiem, bo tćz już jutro was opuszczamy. Więc to tedy na tobie pozostaje cała ta sprawa. I nie miej sobie tego za małą rzecz, a niech ci się tak wydaje, jakbyś miał los twojej ojczyzny w twych rękach, bo też tak jest. Wiemy już, jaki masz wpływ na hetmana, a to jest, jakbyś sam dzierzył buławę. Sprawujże mądrze ten urząd, z pilnym względem na dobro narodu, ale nie na to dobro, które jest cackiem chwilowej fantazyi, lecz na to, które jest fundamentem wewnętrznego spokoju i dobrej doli na przyszłość. W czem niech ci Pan Bóg pomaga, a i my pomożemy gdzie będzie trzeba, boć tćz tak zawsze postępujemy z tymi, których mamy za swoich. .

Ożarowski chciał mu na to odpowiedzieć obszernie, bo końcem końców, konwersacya' z początku ślizka zrobiła się wreszcie aż zanadto wyraźną, – lecz w tym momencie skończyła się ta lekka wieczerza i zaraz zaczęły się tańce. Jakiemi parami przyszli na wieczerzę, takimi poszli i w taniec – a tak widziano trzech hetmanów jednego przy drugim, co wiejskiej szlachcie rzadko się kiedy zdarzało. Niejeden też z nich nawet i w taniec nie poszedł, stanąwszy natomiast przy ścianie i przypatrując się temu widowisku. – A że Ożarowski szedł zaraz za hetmanami, więc to także niemałą zwracało uwagę, jakoż byli i tacy, • którzy i jemu omino- wali buławę – a niektórzy już- nawet poszepty wali sobie wieść taką, jakoby Sieniawski miał się zrzec wielkiój buławy koronnej na korzyść Denhoffa, Ożarowski zaś po nim wziąć miecznikowstwo koronne, a z czasem buławę polną, a to wszystko' za to, że miał się wyrzec hetmanównój dla niego, o czóm już także i to nawet dość głośno brząkano. Domysły te były wprawdzie całkiem niepodobne do prawdy, lecz widać .z nich jakimi oczyma szlachta, mieszkająca w bliskości Brzeżan, patrzyła na Jerzego, co było bez wątpienia skutkiem jego własnoj zasługi. Jakoż bodajby był miał wszędzie tylko tak samo usposobioną dla siebie opinią, jaką o nim mieli ci, którzy zblizka patrzyli na niego! –ale podobno to bardzo daleko było od tego.

Po polskim nastąpiły tańce inne, to francuzkie, to włoskie, które trwały ze dwie godziny, – poczóm zaś wprowadzono maskary. Tu Ożarowski był trochę w trwodze, ażeby się jego przewidzenia nie sprawdziły, i stanął tuż przy hetmanie. Szepnął mu nawet z cicha, ażeby się z maskarami nie wdawał W żadne rozmowy; toż hetman, bardzo na takie rzeczy drażliwy, a do tego jeszcze niedawno co takim komplementem poczęstowany, zarył się między drzewa i ztamtąd przypatrywał się' błazeństwu. Ale

tymczasem nic się osobliwego nie wydarzyło. Szły te małpiarstwa Weneckie swym zwykłym trybem: Hiszpanie, Włosi, murzyny i inne Niemcy, nuż Turki, Tatarzy, cyganie. Więc znowu inni swoim własnym konceptem: tu żebraczyna jakiś w łachmanach, tam czarownica, tu czerwiec, tam pielgrzym, tu Żyd, a tam Żydowica. Ale najwięcej ze wszystkich podobał się jakiś szlachcic przysadkowaty, który udawał Tatara, jakoby chana jakiegoś lub murzę, a miał też z sobą garstkę tatarstwa, jakoby święte. Dziwnie on był podobny, właśnie jak gdyby prosto przyjechał z Perekopu lub Krymu, mieli tóż wszyscy na twarzach larwy haniebne, a co najdziwaczniejsza, że ten ich starszy mówił naprawdę z tatarską.

Hetman Rzewuski, który posiadał naukę wschodnich języków, bo też po dwakroć był posłem do Turek i nawet zawarł był owo sławne przymierze, w skutek którego Kamieniec, Podolski został Rzeczypospolitej zwrócony, sam z nim tatarskim językiem rozmawiał i tak się był temu zadziwił, że już się domyślał, żali to w'samej rzeczy nie Tatar? Ale się pokazało że nie, bo nabawiwszy się do syta z panem Rzewuskim, położył potem krzyż święty na piersiach i na przeproszenie Rzewuskiego, który się już był na niego za jakieś * przycinki pogniewał, zmówił z nim razem Ojciec nasz po polsku i regularnie jak jest w katechizmie. A tak dano mu pokój; ale się nim ciągle bawiono, bo szlachcic był krot«chwilny, mówił z węgierską i z włoską, z francuzką nic, ale zato znów po łacinie jak ksiądz. A że to owego czasu język włoski najbardziej był w modzie, bo go król lubił, najczęściej nim mówił, a listy prawie zawsze pisywał po włosku, więc potem znowu z hetmanem – i jak się z nim wdał w konwersacyę, to taki mu przyciął i raz i drugi, a ośmieliwszy się, dosyć mu się nagadał. Słuchał go hetman z początku cierpliwie i sam z nim żartował, ale nareszcie się zniecierpliwił i już mu chciał kazać larwę zdejmować, ażeby też wiedzieć, kto jest. Na szczęście wszakże Jerzy był przy nim, a więc go zaraz umitygował, a Tatarzyna grzecznie odprawił. Po jego odejściu rzecze Sieniawski:

– Dobrze że sobie poszedł, ale ja przecież dałbym konia •z rzędem na wybór, żebym mógł tego szlachcica rozebrać bez obrazy gościnności mojego domu.

– A na co to jegomości?—rzecze niu Ożarowski,— czy myślisz jegomość, że to który znajomy?

– Bóg go tam wie, aje ręczę tobie, że to szlachcic ten sam, który mnie wymalował z tchórzami,

, 7- A ja ręczę jegomości, że nie ten. ■

– A ja tobie powiadam, że ten i dają tę racyą, że oko w oko to samo daje mi do zrozumienia, co tam wymalował.

– A to nie racya.

– A czemu?

| – Bo każdy szlachcic będzie rozumiał to samo, co mu daje, opinia publiczna.

Zamyślił się nad tćm Sieniawski, a potem spytał: ' – A jakąż ty dajesz racyą na to, że to nie jest ów malarz?

– Bo taki malarz, ręczę ja jegomości, za nic się nie pokaże na zamku.

– A to może i prawda, bo taki on wió, że kiedy bym go dostał do ręki, to jużbym ja na nim odmalował konterfekt nie taki.

I tak się to zakończyło, a Ożarowski jeszcze był kontent z tych maszkar, bo mu ta rozmowa Tatarzyna z hśtmanem stała się nawet pomocą, utwierdzając go jeszcze lepićj w tćm samem, co mu zawsze powtarzał. Nie wiedział jeszcze nieborak, jaką sam będzie miał z tym tatarzem rozmowę...

Jakoż i o tćm nie myślał. A natomiast, jak tylko się cicho zrobiło około niego, bo tóż wszyscy poszli się przypatrywać tańcom', które rozpoczęły maskary, dziwnie jakoś posmutniał. A działo się to w ogromnój sali, która była podwójnym szeregiem kolumn przepierzona na dwoje: w tamtej połowie tańcowały maskary, a w tćj tylko ten i ów się przechadzał i było pusto na poły. Korzystał więc z tego Jerzy i zasunął się między cyprysy i pomarańcze, które stały przed oknem, a oparłszy się o kolumnę, został na chwilę sam z sobą. Przypomniała mu się też teraz jego z Rzewuskim rozmowa i myślał nad nią. A im więcej myślał, tem więcej się nią frasował, ba nawet burzył. Obrzydliwa rzecz! – rzekł on do siebie, – Sasi mi ojca zabili, a ci mnie uważają za saskiego stronnika! Pięknaż to o mnie się wyrobiła opinia! – Ta wiadomość, świćzo co otrzymana, oburzyła go w głębi serca, a nawet wcale niepokoiła. Ale gdy lepiej nad nią pomyślał, to się uspokoił cokolwiek. . Bo i kfcózto o nim tak myślał? oto sascy stronnicy. A lichu mi tam na ich opinii zależy! – mówił do siebie. Jeżeli mi na czyjej opinii zależy, to na opinii narodu, a naród tak przecie nie myśli. Jużci tam wiedzą, pocom ja przy hetmanie uwi- snął i nie może być, żeby mnie miano za odstępcę lub samoluba. Tak mówiąc, a mając do tego czyste sumienie, wprędce dał sobie radę z temi myślami. I już natenczas tylko tem się zajmował, co wynikało z Rzewuskiego rozmowy. A w tem znalazł niemałą pociechę. Przyznawaliż mu przecie i oni stanowczy wpływ na hetmana i przywiązywali niemałą wagę do tego. Rzewuski mu powiedział wyraźnie: masz los ojczyzny w twych rękach! czyż trzeba więcej? Więc tedy to, o czóm ciągle myślał i nad czćm pracował, nie było przecieź złudzeniem...

Tak sobie myślał, kiedy wtćm spostrzegł, że do tćj opróżnionej połowy sali wbiegła Zosia. Wyglądała ona dzisiaj bardzo czarownie.' Miała na sobie białą suknię w złoty haft delikatny i tak tu w niej zbiegła nagle, jak gdyby na chmurce majowśj spłynęła, którą olśniły promienie, słońca. Na nóżkach miała trzewiki niebieskie, na szyi lśniąće ubranie z turkusów, turkusowe manele na rękach, takież naramienniki, a w białych upudrowanych włosach z niebieskich kwiatów ubranie. Zdawało się tedy tak rze

czywiście, jak gdyby ją błękit otaczał, zabrany przez nią z nieba na ziemię. Wbiegłszy tak do tój połowy sali, zatrzymała się nagle, spostrzegła Jerzego stojącego pomiędzy drzewy i ujawszy rączką za wstążkę błękitną, która jój wiała u pasa, stała tak przez oka mgnienia, patrząc z główką spuszczoną na wstążkę. Obróciła się potém i wolnym krokiem odeszła, lecz okrążywszy kawałek sali, znowu wróciła i znowu rzuciła wzrokiem na schowanego młodzieńca. Wtedy już Jerzy, który ją z wielką obserwował uwagą, wyszedł ze swego schowku i zbliżył się do niej, a ona już go całkiem otwarcie dostrzegła i zaraz rzekła kapryśnie:

– Ej! bo pan Jerzy tak się chowa pomiędzy drzewa, jakby przed skwarem słońca, a my tu właśnie układamy taniec fran- cuzki.....

A Jerzy na to:

- Jestem na pani rozkazy i zaraz ułożymy ten taniec.
- Jeszcze maskary tańczą, – rzekła Zosia, zatrzymując się w miejscu.
- Któż-to zaproponował ten taniec? – zapytał Jerzy.
- Pan Denhoff.
- No i cóż tam ten Denhoff? jakże się pani podoba?
- Jak się mnie podoba? a czemu pan o to pyta?
- Tak... przez ciekawość.
- Może pan już co słyszał...
- Alboż jest co do słyszenia?
- Pewnie że jest.

Co takiego?

- Wió pan, po co tu Denhoff przyjechał?
- Nie wiem pani.

Cff Na oględziny, a pan Rzewuski go swata.

–• I to już pewna?

– Jak najpewniejsza. Pan Rzewuski już o tćm mamie nadmienił.

Jerzy się na to zimno uśmiał, bo też i wcale mu się zimno zrobiło, jakoż rzekł zaraz:

– No, to i ważna nowina. Ależ to jakoś prędko się stało?

– Gdzież tam, – odpowiedziała Zosia, – przeciwnie, bardzo pomału. Bo wió pan, co mi Denhoff powiedział? Oto to, że mnie widział na jarosławskim zjeździe i tam się mną tak zachwyił, że od tego czasu nie mogę mu wyjść z pamięci. Cha, cha, cha! śmiać się musiałam doprawdy, bo i co to za pamięć stateczną, co za zachwycenie gruntowne miewają ci hetmani litewscy! Ależ to i nie dziwna nareszcie, bo pan Denhoff przecież się dawniój jeszcze zachwycał królem i także jeszcze do dziś driia z tego zachwycenia nie wyszedł. Powiedziałam mu to, a on niby się tóm bardzo ubawił, ale przecież zbladł trochę, dołrfze to uważałam.

– Doprawdy? powiedziałaś mu pani?– rzekł Ożarowski i mi- mowoli zatarł ręce z radości.

– Powiedziała mu całkiem otwarcie, ^- rzekła Zosia, – i jeszcze mu coś, powiedziała.

| – Cóż tedy?

– Dałam mu do poznania, że przyjechali tutaj z'Rzewuskim po to, ażeby ojca burzyć przeciwko szlachcie i całkiem go już pozbawić tój miłości, której z powodu nieszczęśliwych zamieszek nigdy nie mógł dostąpić, a którą chciałby mieć choć na osłodę ostatnich dni tego życia, Bardzo mi się tedy Denhoff z tego wymawiał i uważałam, że był temu niepomału zdziwiony.

Jerzy milczał, ale nie był z tego zadowolony, bo mu się zdało, że Denhoff jest z tych ludzi, których w ich zaślepieniu nic nie potrafi oświecić. Tymczasem Zosia dodała jeszcze:

– I o panu-śmy także mówili.'

–7 Ach! nawet i o mnie.

– Nawet o panu, – odpowiedziała hetmanówna z uśmiechem, a z tój rozmowy dowiedziałam się, że pan masz przyjaciela w Denhoffie. Bardzo się nad panem unosił i mówił, że w listach, które

0 panu odbiórał od swoich przyjaciół z Paryża, nie można się pana nach walić.

– I On o mnie odbiórał listy z Paryża? – zapytał Jerzy z zadziwieniem.

– Tak, – rzekła' Zosia, – bo powiada, że bardzo się panem zajmował.

•– On mną? a! przyznam się pani, że to trochę zanadto...

– Tego już nie wiem, lecz mówił dalej, że teraz bardzo się panem zachwycił...

¹ – I mną się nawet zachwycił! – rzekł Jerzy z uśmiechem.

– I panem, – rzekła Zosia z żartobliwą powagą, – i dodał że teraz piórwyszim jego będzie staraniem, ażeby dla pana wyrobić urząd koronny.

– Dziękuję mu za tę protekcyą.

– Jakto? nie chcesz pan urzędu? a cóż to panu szkodzi? wszakżeż zdaje mi się przeciwnie, że to do wszystkiego pomaga.

– Nic ma wątpliwości, że awans zwykle pomaga, ale przecież nie z każdej ręki.

– Otóż widzisz pan, – rzekła Zosia, – był przy tem także

1 tatko, i rzekł na to te słowa: – Bardzobym się tem ucieszył, gdyby mój Jerzy kochany dostał urząd koronny pierwój, nim ja go na generała posunę, bo to czasem protekcyą pomaga, a czasem szkodzi. Niemasz tutaj wątpliwości, że moja protekcyą nie zaszkodzi mu w partyi królewskiej a u malkontentów i całej szlachty pewnie mu nie pomoże. Bo już mnie tam haniebnie omalowano w obec narodu! Boję się tedy, ażebym zamiast przysługi, nie wyrządził mu-jeszcze przykrości. Trzebaż na to pamiętać, że my Starzy, on młody, my już nielSWem odejdzem a on pozostanie; toż i król także odejdzie, a naród zawsze zostanie... A to rzekł bardzo posepnie, że mi aż łzy w oczach stanęły, bo mi się żal

zrobiło mego kochanego ojczyska. A Denhoff nic na to nie mówił, ale jakoś bardzo był zamyślony.

Toż i Jerzy się trochę zamyślił, ale wesola Zosia zaraz go obudziła, mówiąc:

– No, już dość, a teraz chodźmy (to tańca).

I przytóm podawała mu ramię. Jerzy się rozweselił, ale z przyjęciem ramienia trochę się zastanowił. Był on w tych rzeczach, teraz dla niego podrzędnych, nadzwyczajnie ostrożnym, i bardzo słusznie. Zrozumiała go Zosia, ale nie chcąc rozumieć, spytała:

– A to co znaczy?

Wtedy Jerzy natychmiast podał jej ramię, lecz odpowiedział:

– Boję się, abyśmy wchodząc tak nagle na horyzoncie starszyny, nie wywołali chmury na które czoła.

← Nic się pan nie bój, – odpowiedziała Zosia, – kiedy takie dwa słońca wzejdą odrazu, to wszystkie chmury się przed nimi rozprysną.

Tak tedy szli, Zosia | z jaknajlepszą fantazyą, a Jerzy trochę nieśmiało. Lecz kiedy weszli, to chociaż zwrócili wszystkich uwagę na siebie, wprędce się młodzieniec przekonał, że nie było się czego obawiać. Albowiem piórwszą postacią, którą spostrzegł, był sam hetman Sieniawski, który stał, patrzył na młodą parę z upodobaniem i jeszcze wąsa pokręcał. Na twarzy hetmanowej nie dojrzał on. także chmurki choćby najmniejszój – a jego matka spojrzała na nich takimi oczyma, jak gdyby rzeczywiście słońce w nich weszło. Wprawdzie Rzewuski patrzył na nich niby surowo, a Denhoff nawet z nieukrytem zdziwieniem, – ale có go tam teraz obchodzili Rzewuscy i Denlioffowie! – Tak tedy natychmiast złożono taniec francuzki, składający się z ośmiu par wyborowych i tańczowano go długo z wielkióm zadowoleniem dla siebie i po- dziwieniem szlachty, przypatrującej się bardzo ciekawie tym wymysłom niemieckim.

Po tym tańcu skończonym, Jerzy był oczewiście daleko wię- cój zadowolonym ze siebie, niż kiedykolwiek dotychczas. Tyle on się tu rzeczy pocieszających dowiedział, takich dowodów przyjaźni doświadczył od hetmanównój! Warte to było zastanowienia, warte i zapisania w księdze pamięci. Jakoż już dla tego samego, a'nareszcie dlatego, ażeby Denhoffa, którego uwaga może była już rozbudzoną, nie wprowadzać na ślad jakich dalszych domysłów, wyszedł on teraz z pomiędzy rozmawiającój za sobą w jednóm kółku starszyny i przeszedł znowu do owej piórwszój połowy sali, gdzie go niedawno znalazła Zosia. Tam w owój chwili tańczyły maskary, ^ ale już wespół ze szlachtą, bo też już podchmielono, fantazyja się ożywiła i był już huczek cokolwiek. Tam tedy zasunął się znowu pomiędzy cyprysy i pomarańcze i tak ukryty, patrzył na tańce i myślał.

Ale zaledwie się tam ulokował, zjawia się przed nim ów naj-

Tom xi.

znaczniejszy Tatarzyn, chan albo murza, bo i nie wiedzieć o tym na pewno. Stał, pokłonił mu się i rzekł:

– Czołem, panie, pułkowniku.

– Czołem, – rzekł Jerzy i nie mógł się nie uśmiechnąć, bo zabawna to była figura, – cóż tedy powiśsz?

– A cóżby? nic tak dalece, –* rzecze mu larwa, – przychodzę ci powinszować.

– Czegóż to mi wieszujesz?

– Dobrego zdrowia, łaski hetmańskiej, pułkownikowskiej rangi, przyjaźni saskiej, nowych amatorów, królewskiego respektu... a czy to mało?

Słyszając to, Jerzy zastygł cokolwiek. Rzecze mu tedy dość zimno:

– Nie podoba ci się to wszystko, jak widzę.

A na to larwa:

– Mnie? a cóż mnie na tem? Jam tu obcy w tych krajach i idę za powszechną opinią. Więc jeśli się to podoba Patronce twojej młodości, a nareszcie i narodowi, a to i mnie się podoba.

– Więc się to niepodoba? – rzekł Jerzy, czując gorycz jakąś na ustach.

– A dlaczego by nie? bardzo się to podoba. Wszyscy się z tego cieszą niezmiernie. A Bobrownicki jak się tam cieszy, a jego córka! to już i trudno powiedzieć.

Wstrząsł się Jerzy na tę uwagę i sam już nie wiedział co mówić. Pobiegłszy pomimowoli myślą do zameczku nad Nidę, był tu nieprzytomny w tej chwili i w tym zamyśleniu patrzył nie-¹ widomemi oczyma na Tatarzyna. Tak trwała chwilka.

Począł tatarzyn zbliżyć się krokiem do niego i rzekł bardzo poważnie:

– „Uciekajcie od namiotów ludzi niezbojnych, a nic się nie dotykajcie tego, co ich jest, abyście się, w ich grzechach nie zawinęli”

Pomyślał Jerzy nad tem i zrazu tylko się gorzko uśmiechnął i rzekł:

– Nie sądź a czekaj końca, bo zaprawdę powiadam tobie, że kto wątpi, ten będzie się z tego spowiadał.

Więc tu znów Tatar się po kolei zamyślił i rzekł powolnie:

– Owca, która wstąpiła w stado wilków, ażeby ich do pokuty namówić, nie nawróciła żadnego, a natomiast jej samój kły i pazury wyrosły i przedzierzgnęła się w wilka.

– Owca owcy nierówna; – powiedział Jerzy.

A na to larwa:

– Wszystkie są równe, bo wszystkie są słabe. Żadna do owiec nie wróci, kiedy się między wilkami wychowa i znajdzie u nich złote runo dla siebie. A gdyby i chciała powrócić, to czy ją owce przyjmą do siebie, kiedy ją ujrzą z wilczemi kły i pazury?

Powiedząż tu usta: bracie! które dopiero wołały: zdrajco!?

– Zdrajco? – powtórzył Jerzy i ciemno mu się w oczach

zrobiło! Musiał się oprzść o framugę plecyma, tak się zachwiał na nogach.

A kiedy , potem przejrzał cokolwiek, już tego murzy przed nim nie było.

Myślał więc sobie: jakiś to sen był czy przywidzenie. Był rozdrażniony cokolwiek, pił wiele wina, patrzył przez cały wieczór na same maskary – a w takim razie i o majaka nietrudno... Tak sobie myślał i w tym zamyśleniu szedł środkiem sali, sam dobrze nie wiedząc, dokąd ma zmierzać.

Ale wtóm hetman Sieniawski, otoczony drugimi hetmany, będący w gościnie, wszedł między szlachtę, a zniżywszy się do poufałego bractwa, co bardzo rzadko mu się zdarzało, pił z nimi na dobre, nie wymawiając się od żadnego kielicha. Już tam natenczas nie było żadnych politycznych opinij, ani uraz, ani preten- syj.

Wypowiedziano sobie przytćm i to i owo, ale bez żółci, bo popuszczono wodzów kochającemu sercu. Jakoż i wyściskano i Sie- niawskiego, chociaż się ciągle po całusach obcićrał, i Rzewuskiego, chociaż go nie lubiano najwięcej i bardzo im do uścisków przeszkadzała jego peruka. Przy tych afektach Ożarowski był także wesół, bo nietylko że także jemu dostało się ich niemiało, lecz co główniejsza, Sieniawski się, ze szlachtą pobratał, okazał dla nich otwarte serce i znacznie podrośł w opinii.

A tak minęła prawie noc cała, bo zapewne nie było więcej jak dwie godziny do dnia, kiedy się panowie hetmani na spoczynek wynieśli, aby nazajutrz rano stawić się w czasie na musztrę pieszego pułku, który im Jerzy miał prezentować.

Pułk, którego z woli hetmana dostał się pod wyłączną Ożarówskiego komendę, był to jeden z tych pułków, o których już dzisiaj nie można było wiedzieć z pewnością, jest-li to żołnierz kwarciany, albo własny hetmański? Albowiem przez kilkonasto-letni ciąg wojen z Szwedami, wojska te, którymi dowodził Sieniawski, składały się zawsze w części z kwarcianych, w części z jego wojsk własnych, a nareszcie z odnawianych co chwila zaciągów, o których także nikomu nie było wiadomo, czy były zaciągane na koszt lub rachunek Rzeczypospolitej, albo też z osobistej Sieniawskiego szkatuły. Taki gorliwy wojownik, jakim był wówczas Sieniawski, dbał przedewszystkiem o to, ażeby miał dostatek żołnierza pod ręką, a czy mu przyszło kwarciane wojska zapomagać groszem swym własnym, czyli przeciwnie, nie zastanawiało go to zupełnie. Kiedy zaś jeszcze do tego, skutkiem strat ponoszonych przez wojny, czasem dwa lub trzy pułki musiały być w jeden ściągnięte, a znowu czasem, przeciwnie, każdą osobną jednego pułku kompanią zapomocą nowych zaciągów w nowy pułk zamieniono; to i wszystkie te wojska, które były przy wielkiej buławie, Bóg sam wie tylko, czyją właściwie były w swych częściach własnością. Jednakże tego stanu rzeczy nie zmieniał jeszcze dotychczas Sieniawski, a to dlatego, iż był on mu z wielu względów nadzwyczajnie dogodnym. I tak najpierwej te wojska, dopóki były jeszcze jiierodzielone napowrót, żywił on wszystkie kosztem publicznym, a. więc oszczędzał przytem swoją własną szkatułę o tyle, o ileby musiał z niój opatrywać potrzeby tych pułków, które należały do niego.

Powtóre, żold oznaczony dla wojsk kwarcianych już od lat kilku zalegał w skarbie; tedy im więcej Sieniawski miał wojska, tern większe wykazać mógł zaległości. Potrzebie, w skutek dawnych traktatów należały się wojsku od Rossyi sukursy pieniężne, których część także jeszcze zalegała do dziś dnia, więc lubo zobowiązanie to nie zawisło wcale od ilości dziś stojącej, było to zawsze okolicznością do wywindykowania sum tych pomocną. Nakoniec jeszcze wpływała z tego stanu rzeczy ta najważniejsza dla het- mama dogodność, iż kiedy on, tam gdzie mu tego była potrzeba, wszystkie te wojska za kwarciane udawał, to znowu w obec największej części wojsk tychże mianował siebie Ich właścicielem, a mając dowód tego w swych ręku, bo. je na teraz zaopatrywał i żywił tylko swym własnym przemysłem, miał z nich istotnie jak gdyby armią swą własną, którą w każdym wypadku mógł rozrządzać do woli i czego niedawno jawny dał dowód, stając z nią w interesie swym własnym u Podkamienia. Taki stan rzeczy w armii był w samój istocie dla Sieniawskiego nadzwyczajnie dogodnym, – mąż zręczny i mający odwagę do czynów stanowczych, mógłby był z niego w czasach następnych wyciągnąć niezmierne tak dla dobra pospolitego, jak i dla własnej swej sławy korzyści; Ożarowski wiedział o tem i bardzo pilnie pamiętał, lecz czy Sieniawski z tego istotnie skorzystał, dopiero się niżej okaże.

Wspomniawszy o tćm, czego się nie godziło pominąć, wróćmy nazad do pułku Ożarowskiego. Owóż ten pułk, lubo niby także należał do ogółu armii, stanowił jednak od innych pułków wyjątek i to pod bardzo wielu względami. Był on pierwotnie kwarcianym i już natenczas znano go po tćm, iż w ogniu szaloną miewał fantazyą, prawie w każdej bitwie zabierał armaty, a już nie było nigdy takiój potyczki, w którójby on koniecznie czemić się nie obłowił. Ponieważjz początku tych wojen szwedzkich było jeszcze w tym pułku do kilkudziesiąt ludzi, którzy byli na wyprawie wiedeńskiej, więc ich natenczas zwano wiedeńczykami. Więc tedy u tych tam wiedeńczyków bywało zwykle jak na jarmarku: zegarków, pierścieni, rzędzików, szaberek, pistoletów i tym podobnych rzeczy, zwłaszcza po jakiej większój batalii, można było u nich dostać daleko pewniój, niżeli w sklepach, a kiedy razem z wojskiem leżeli obozem, to już kuchnia u nich bywała jakoby w mieście i nigdy na niczem im nie zbywało. Dziwili się nieraz temu inni żołnierze niemało, zkąd tóż to, kiedy pułki nie miały chleba, u nich gęsi, barany, a czasem i co lepszego, –aleć to taki był u nich sam hetman, a kiedy sam obóz odchodził, to zwykle przy nich się zatrzymywał, bawił się z nimi rozmową, bo dziwnie to byli krotochwilni hultaje, jakoż nawet niejednokrotnie im co darował. Wszakże szczególnie się do nich nie przywiązywał, bo mimo ich dobrój fantazyi w ogniu, zbyt na nich wnoszono skargi, a jakiegokolwiek w marszu popełniono hultajstwo, zawsze się pokazało w końcu, że to ich była robota. Więc też często kary na

nich spadały, i kary srogie, jakto zazwyczaj w wojsku, a jeszcze do tego w wojnie, a że tak ostrej aplikacji artykułów hetmańskich hetman nie lubiał, a jednak przez nich robić to musiał, więc tóż się bardzo w afektach dla nich hamował. Ale tymczasem w bitwie kaliskiej i wszystkich innych ówczesnych, w których król tak był wziął górę nad Szwedami, że mógł ich być może i zupełnie utłumić, lecz z czego tak dalece nie umiał korzystać, jak gdyby był zgoła o tem nie wiedział, – ci wieńdźczy tak się bili ognicie, że ich nie pozostało ani połowy. To tedy tak zniewoliło dla nich hetmana, iż im wszystkie hultajstwa zapomniał i tak ich ze serca ukochał, że ich z etatu wojsk kwarcianych, jako do nogi wybitych, wymazał, a ukompletowawszy nanowo, uczynił pułkiem swym własnym. Posprawił im także natenczas mundury błękitne, a kamizelki i pludry żółte – zkaąd tóż poszło, że ich od tego czasu poczęto także nazywać gwardyakami albo sieniawszczykami, a nareszcie i granowszczykami, a to znów z tego powodu, że Granowski miał nad nimi komendę. Odtąd znowu służyli tak samo jak dawniej, a że nie było natenczas wojny tak bardzo zawziętój, bo to już było po abdykacyi Augusta, więc się tóż dosyć w całości trzymali, – aż kiedy z początkiem roku 1709 poszli z Granowskim wstrzymać Szwedów, to znowu tak wyginęli, że ich nie pozostało więćój, jak bardzo mało coś nad pięćdziesiąt razem z oficerami. A wtedy, jakoś to właśnie po klęsce połtawskiej, posłał ich hetman na prezydyum do Lwowa i od tego czasu już ich ztamtąd nie ruszył. Tam tedy Granowski, który podtenczas już był komendantem tej ulubionej przez hetmana stolicy, znów ich ukompletował, a to do liczby dwóchset czterdziestu i czterech ludzi razem z oficerami. Taką liczbę głów miały wszystkie piesze pułki ówczesne, a każdy z nich był podzielony na cztery kompanie, które jednak nosiły miana chorągwi i miały tóż czterech chorążych, chociaż znów była osobna chorągiew pułkowa. Jednakże lubo ten pułk został uformowany z ludzi prawie zupełnie świeżych, bo starych było mało co nad pięćdziesiąt, jego fantazya i obyczaje pozostały te same, jakie się w nim wyrobiły za dawnych czasów. Nie było już wprawdzie wojny natenczas, a przynajmniej oni się nigdzie nie bili, więc tóż nie można było wiedzieć z pewnością, jakimi okażą się w ogniu; lecz co do reszty, wszystko było tak samo. Zawsze to u nich handel pozostał w modzie, zawsze facyendy, a co dziwniejsza, że pomimo spokoju, a więc i braku sposobności do jakiegokolwiek obłowu, zawsze po ich kwaterach było towarów pełno, jakby po sklepach. X już tam nietylko zawadzały się zógareczki, pierścionki, szabelki, ale dostał u nich i pasa litego, i złotogłowi lub innój materyi w sztuce, i czasem sróber stołowych, ba, i kontuszów, żupanów, szubek i czego kto tylko zapragnął. I już się tak wszyscy byli ozwyczaili z tym handlem żólnierskim, że kiedy było się w sklepie uskarżyć, że jaki towar niedogodny lub drogi, to sami kupcy odpowiadali: – Idź waszmość

do wiedeńczyków, u nich i większy wybór i towar tańszy. Który więc szlachcic niebardzo skrupulat a jeszcze do tego skąpy, to i szedł do nich i zakupywał. A. kiedy przecież poruszony obawą zapytał: – A zkąd to ichmość macie takie towarki? – to ci hultaje odpowiadali: – to jeszcze z wyprawy wiedeńskiej, cośmy się obłowili na Turkach i zachowali na ciężkie czasy. – Co tóż i śmiószno było drugiemu, zwłaszcza, gdy jaki kcntusz targował, bo tóż nikt nigdy nie" słyshał, ażeby Turcy chodzili w kontuszach. Jakoż i nietrudno się było domyślcć nareszcie, zkąd to się biorą u nich takie towary, – chodziły tóż o to częstokroć skargi do Granow- skiego, – ale Granowski, choć bardzo się na to wrzekomo gniewał, puszczał jednak te skargi per non stint. Zle to było od niego, ale i co miał robić nareszcie, kiedy na wyżywienie całego prezydyum, do którego jeszcze i inne należały chorągwie, miał przeznaczonych tylko dwieście złotych na tydzień, które i tak musiał to sztuką, to groźbą wydurzać od miasta, bo już to Bogiem a prawdą, mieszczanie lwowscy do skarg i lamentów zawsze byli gotowi, ale do jakiejkolwiek pomocy trzeba ich było gwałcić po wszystkie czasy. Nawet i własnych swych murów bronić nie chcieli, a kiedy się nie zdołali okupić, to się zawsze poddali, czy to był Turek, czy .Szwed, czy Tatar, czy król Stanisław, czyli król August, wszystko to u nich było na jedno. Pokłonili się pięknie każdemu i zapłacili co kazał; tylko wojskom koronnym albo konfederackim nigdy nic dać nie chcieli, a kiedy dali nako- niec trzy grosze, to zaraz potem z krwawemi łzami wysyłali posłów do króla. Toż nie lubiło ich za to wojsko, i nietylko to wiedeńczycy, ale i każdy inny pociągnął ich zawsze lepiój jak drugich, bo powiadano: kiedy dajecie Turkom, Tatarom, Kozakom, dajcie i nam. Jednak ci wiedeńczycy, choć wielu ludzi o nich myślało, że te swoje handelki prowadzą poprostu ze źródeł gwałtów albo kradzieży, nie byli nigdy o to przekonani dowodnie. Wprawdzie Granowski prawdziwe skargi Ormian i Żydów puszczał per non sunt, ale jak tylko skarga była o kradzież, gwałt albo grabież, to nawet bardzo pilnie dochodził. Jednakże nigdy się to nie pokazało na wiedeńczyków, – a kilka wyjątkowych wypadków pociągnęło za sobą ten skutek, że przeciwko winnemu zaraz się cały pułk deklarował i natychmiast go z między siebie rugował. Jeden zaś żołniórz, przekonany o kradzież, za którym Granowski się uparł i w pułku pozostawił, tak gdzieś zniknął bez śladu, że ⁿⁱgdy go potem nie odpytano. Dlatego ci wiedeńczycy, lubo za wielkich hultai miani, patrzyli śmiało każdemu w oczy, i nigdy się to nie zdarzyło, żeby którego z nich zbezeczczono otwarcie. Prawda, że ich obyczaje niosły za sobą rozmaite swawole, jako grę w kości, karty, pijatykę, hulki, a co jeszcze gorsza, niewyczerpane frantostwo; ale znów z drugiój strony znachodziło się u nich niezmiernie wiele poczciwości, tak względem siebie, jak tóż i drugich. I tak np. ze szczególnem zamiłowaniem kochali się w nabo-

żeństwie: po wszystkich kościołach służyli do mszy, ubierali Boże groby, trzymali przy nich z własną chęcią szyldwachy, towarzyszyli pogrzebom, chodzili nawet z kplei do pracy około budującego się wtedy trynitarzkiego kościoła bez żadnej za to nagrody; i było to już u nich jakby zwyczajem. Toż kiedy który z nich ksiądz napotkał, zawsze go w rękę całował, a którykolwiek klasztor zapotrzebował usługi, zawsze ją u nich znalazł gotową. Kiedy ktoś ukrzywdzony potrzebował pomocy albo ochrony, to oni już go mieli za swego, – wynikały ztąd burdy, czasem nawet i gwałty, ale nigdy ze stratą niewinnych. Tak samo także, ba jeszcze pięć-kniój, zachowywali się względem siebie: dopóki drudzy mieli, żaden z nich niedostatku nie cierpiał, bo pomoc wzajemna była u nich regułą, tem łatwiejszą do wykonania, ile że ich rachuby nigdy nie wychodziły poza dzień jutrzejszy, a grosz jako taki nie miał żadnej wartości.

Na tórn tóż gruntowała się u nich miłość wzajemna bezwarunkowa, jednostajność fantazy i owe wszystkie pYzymioty, które tak są nieprzepełacone w żołnierzach. – Tak tedy osobliwszym sposobem pomieszały się w nich i wielkie wady i wielkie cnoty ze sobą, – jak się to prawie zawsze zdarzało w ówczesnych chorągwiach i pułkach, – i jak się niejednokrotnie zdarzało u owocnych ludzi, którzy miłowali serca surowe, łatwo ku wszystkiemu się skłaniające i zazwyczaj gwałtowne, a przy tem głowy nieoświecone, nie umiejące uczuć ściśle ocenić, uporządkować i opanować.

Taki to tedy był pułk ten, który z woli hetmana przeszedł pod Ożarówskiego komendę, ażeby przezeń został zorganizowany i wyćwiczony wedle mody francuzkiej. Kiedy go Jerzy odebrał, nietrudno mu się było przekonać odrazu, że mu oddano do ręki doskonały materiał, ale że wiele tu trzeba będzie pracy poświęcić, ażeby się z niego zrobił żołnierz taki, jakiego obraz nosił Jerzy w swoim umyśle, O pojętność, spryt, zręczność, a nareszcie waleczność, nie potrzebował się bardzo turbować, bo to wszystko już było jakoby dziedzicznym w tym pułku; ale ład, rygor, moralność, inne pojęcie wojskowego honoru i całkiem inne sumienie, rzeczy niezbędne bo poprostu. fundamentalne, trzeba było dopiero wyrobić. Pamiętał o tem Jerzy, o czóm najczęściej zapominają dowódcy, iż mu oddano pod jego opiekę nietylko żołnierzach, ale także człowieka, a zatem i nim musiał się opiekować. Jakoż najpierwszą jego czynnością to było, iż rozpoznawszy wszystkich żołnierzach z osobna, wszystkich namiętnych kosterów, nałogowych pijaków i nieobiecujących poprawy hultajów pod jakim bądź innym względem wymazawszy z rejestru, dymisyonował. Potóm przyjął kapelana do pułku, którego sobie od swoich ojców nauczycieli sprowadził i postąpił w tem bardzo rozumnie, bo cobądź inni rozumieją o jezuitach, był to przecież podówczas prawie jedyny zakon w Polsce, który chował u siebie głębokie i prawdziwe pojęcie obowiązków kapłańskich, gorącą wiarę i nieskażoną moralność –

a zalecając się pośród powszechnój ociążałości zakonów innych bardzo skrzętną pracowitością, był on zawsze gotów do każdego rodzaju poświęceń i nawet poprostu nie było tak ciężkój i tak niskiój pracy, którójby on się nie podjął. A jacy-to byli z nich kapelani wojskowi, jacy spowiednicy i kaznodzieje w obozach, jacy gorliwi stróże ubogich ludzi podczas przemarszów wojska, jacy nieustraszeni opiekunowie rannych»i konających, nietrudno się o tem przekonać nawet i z opisanój historii. Takiego mu też księdza przysłano z Krakowa, – a był nim ksiądz Głęboszewski, Andrzej na imię, człek młody, krzepki, pracowity i świątły, a jeszcze do tego i towarzysz szkolny Jerzego, bo chociaż kilka lat starszy od niego, przecież z nim razem uczył się jeszcze włoskiego języka. Jakoż dostawszy tego upragnionego przez siebie kapelana, Jerzy swobodnie odetchnął, a porozumiawszy się z nim o co rzecz Chodzi, wzięli się zaraz obadwa do pracy. Z. początku zdawała się ta sprawa dość trudną, bo jak się powiedziało powyżej „t wiele było hultajstwa w tym pułku; ale znów z drugiój strony niemale było w tem ułatwienie, że ci ludzie chowali u siebie jakieś trady- cyonalne zamiłowanie do nabożeństwa. Kiedy więc za tę nić uchwycili, to i nietrudno im było nareszcie nawinąć ją na ten kłębek, na jaki powinna być nawinięta. Tym sposobem rozbudzili oni w nich wiarę rzetelną, a dając im coraz jaśniejsze o obowiązkach chrześcianina pojęcia, oczyścili ją zwolna z owych wszystkich przyborów, które z nią nie licują. Kosztowało to bardzo wiele pracy, a nawet i niemałych poświęceń, – Ożarowski musiał z początku karać, obyczajem drakońskim, co mu niemale przynosiło goryczy, ksiądz Andrzej zaś nie miał spoczynku ani w dzień ani w nocy, bo musiał nawet ich rozrywek pilnować, –ale te poświęcenia sownie się opłaciły. Żołnierze bowiem podnieśli się moralnie do niepoznania, przyszli do pojęć daleko zdrowszych i jaśniejszych, otrzęśli się z wielu przywar i błędów, a w nabożeństwie stali się tak gorliwymi, że nietylko w obowiązkach chrześcianina- katolika nie dali się nikomu wyprzedzić, ale nawet i w usługach około zamkowego kościoła, do których garnęli się na wyścigi. Przyszłoż do tego nareszcie, iż widząc, jak ich pułkownik jako Sodalis Ma- rianus odprawiał codzienne z księdzem Andrzejem nabożeństwo do Najświętszój Panny, uprosili swojego kapelana, ażeby i im wolno było to nabożeństwo odprawiać: co też uzyskali z łatwością, bo lubo z wyjątkiem jeszcze i tych i owych nieb8rdzo pewnych, jednakże wszystkim innym porozdawał Jerzy szkaplerze i postarał się o to, iż zostali wpisani do bractwa. Ztąd tćż to poszło, iż wówczas stracił teri pułk wszystkie swoje dotychczasowe, a już zachwiane nazwiska, a otrzymał natomiast miano „Sodalisów," jak go tćż nazywano powszechnie. – Tak tedy przed wszystkióm in- nóm został zmienionym duch tego pułku i to na jego korzyść widoczną, – a lubo pomimo tej radykalnćj odmiany jeszcze niektóre obyczaje dawniejsze przecież się w nim zachowały, to były one

już tylko zwykłą żołnierską swawolą, za ledwie w chwilach zapomnienia istotnie grzeszną. Tak pozostały u nich zwyczajem owe dawne handelki i facyendarstwo, wesole hulki, przy sposobności zabawa z kubkiem, ale były to wszystko wady już tylko mierne i zachowane w pewnych granicach. Wprawdzie i wtenczas je- I szcze zakraść się do jakiejś miejskiej piwnicy i wypić tam antał piwa lub miodu, złowić Żyda w pułapkę i wysmarować go sadłem, ochrzcić dziecię żydowskie, zwabić łyczaka lub chłopca bogacza do karczmy i wy tu manić od niego traktament, było u nich figłem codziennym: aleć to na to już nie było sposobu i trudno to było ■ karać surowo, kiedy nawet pan hetman patrzył na to przez palce, czasem się takim figłem do rozpuku ubawił, a nieraz ich jeszcze, niby za co innego, a przecież za to, obdarował jakim prezentem.

– Jw. panie! – mówił mu Jerzy natenczas, – jegomość psujesz żołnierzy.

– Dajno pokój, mój Sodalisie, – powiadał hetman, – nie trza nudzić żołnierza, a owszem i to i owo puścić mu płazem, boć to jedyny sposób, ażeby go utrzymać przy dobrej fantazyi. Żołnierz jak mnich, a mnich jak żołnierz, niewiele warci.

Jakoż i prawda, jednakże z tym dodatkiem, że dobry kapłan to także żołnićrz, chociaż inną wojuje bronią.

Wszakże oprócz tych odmian moralnych, zaprowadził Ożarowski jeszcze i inne odmiany w tym pułku, o które hetmanowi nawet daleko więcej chodziło, całkiem podobno nie dbającemu o tamte. Tak więc najpierwój został ten pułk pomnożony do trzechset ludzi i wynosił razem z swym pułkownikiem głów trzysta i jedną. Liczba taka nierówna była konceptem francuzkim, a właściwie przesądem, albowiem wierzono pod owe czasy we Francyi, że aby się wiodło batalionom, w które tam wtedy układano piechotę, trzeba koniecznie, ażeby liczył głów nie do pary. Taki pułk z trzechset ludzi złożony podzielił Jerzy na cztery bataliony, każdy po głów siedemdziesiąt i pięć, a więc znów nie do pary. Nie mogły się te jego bataliony ani porównać do owocnych francuzkich, które tam się składały z sześćset do osiemset ludzi, ale tóż był on w Polsce nie we Francyi i miał cale co innego na myśli. Więc tedy każdy batalion podzielił on znowu na trzy kompanie, każda po dwudziestu i pięciu ludzi, znów nie do pary. Rangi porozdzielał on także swoim konceptem: i tak pułkiem dowodził on, podpułkownika nie było, batalionem dowodził major, który był razem kapitanem w jednej z trzech składających batalion kompanii, a kompanią prowadził kapitan, który miał jeszcze dwóch poruczników, dwóch wachmistrzów i dwóch sierżantów pod sobą. Okazuje się tedy, iż każda kompania liczyła właściwie tylko osiemnastu żołnierzy, lecz nawet i ci nie wszyscy byli uzbrojeni karabinami, bo czterech z nich było muszkietierami, a jeden bębenistą. Uważając taki podział rang, zdawało się niektórym, jakoby tylko dlatego było tam tylu oficerów, ażeby do

godzić ludzkiej próżności, – chociaż Bogiem a prawdą, po innych pułkach bywało ich jeszcze więcej, jeśli nie łlfeczy/vistych, to tytularnych, – jednakże Jerzy miał w tym cel całkiem inny, a to ten mianowicie, iż tworząc pułk z taką pracą, chciał go zorganizować w ten sposób, ażeby w danym razie mógł się ukompleto- wać do tysiąca i dwuęshet ludzi i stawszy się doskonałą i prędką szkołą dla dziewięciuset głów nowego zaciągu, tak wspomozony liczebnie, mógł jakieś znaczące oddać dobru'pfcpolitemu posługi. I mógł on tego na zawołanie dokonać, bo z^Jjnawszy dziewięćset ludzi, rozdzieliwszy ich między swoje kompanie i posunawszy tylko wachmistrzów na poruczników, do czego też byli istotnie usposobieni, potrzebował tę masę tylko przez parę tygodni poćwiczyć, ażeby postawić do służby pułk taki, jakiego wówczas nie było. W tym tóż zamiarze wymusztrował on tak tych Sodalisów, że patrząc na ich manewra, zdało się widzieć potworę jakąś o trzystu głowach, ale nie trzysta jednostek; tak to ten kaźden krok, kaźden zwrot, kaźde poruszenie było dokładne, jednostajne i prędkie. Toż musztra pojedynczego żołnierza także: kaźdy Sodalis robił tak karabinem jak najlepszy gracz małą szabelką, i Bóg, juź sam nie wiś, czego oni nie dokazywali tą bronią, z której się tak naśmićwali nasi husarze i dworowali sobie z tej nowomodnej piechoty, mianując ich myśliwcami i wyprawiając na samy, a co naj więcej na dziki. Prawda, że Ożarowski był sam mistrzem w tój broni, i kiedy chciał swoim żołnierzom pokazać, co można zrobić bagnetem, to brał sam karabin do ręki i kazał najzręczniejszemu jeźdźcowi następować na siebie – a broniąc się mu, nietyl- ko nie dał mu się dotknąć, ale jeszcze go czasem i z kulbaki wyrzucił. Aleć to potem i kaźdy jego żołnierz potrafił.

Więc kiedy przy takim zaopatrzeniu swoich żołnierzy w umiejętność i sztukę, co ich także o wiele moralnie podniosło, dbał jeszcze o ich wygody, o piękną barwę i niezbyt ich pracą obciążał, to i pozyskał u nich szacunek i miłość taką, że się nawet sam nie spodziował, ażeby ci ludzie do tego stopnia go miłowali, jak to niżój się pokaże. Będąc nawet niejednokrotnie, osobliwie z początku, w tój położeniu, że musiał srogo ich karać, bardzo się o ich przywiązanie obawiał i mówił wtedy z ciężkiśm westchnieniem do kapelana:

– Ej! Jędruniu kochany, żeby mnie tylko ci ludzie nie zniecierpliwili ! Bóg widzi,, ile mnie to kosztuje, kiedy muszę ich karać, lecz muszę! tak mi każe sumienie i wzgląd nie na mnie, lecz na nich samych. A mieliby oni nie mieć dla mnie nawet tyle miłości, na ilem u nich istotnie zasłużył, to byłaby to dla mnie zgryzota taka, żebym jój pewnie nie strawił przez całe życie.

A na to zacny kapelan:

– Ale zmiłuj się, panie Jerzy, tylkoż sobie o tem nie śnij. Bo zaręczam tobie, że oni tak ciebie kochają, jak jeszcze nigdy nikogo. Na mnie to ten i ów krzywo spogląda, a to dlatego, iż

z obowiązku muszę się wdierać w ich tajemnice; ale ty, który ich
0 to ani nie pytasz się dzieje za służbą, jesteś u nich półbogiem. Jakoż wierz to mnie,
iż jak uważam po tobie i po nich, już wy się snadź nigdy nie rozdzielicie od siebie w
tem życiu, | chyba że Bóg was kiedy rozdzieli!

Więc tedy Jerzy z początku choć tćm się przynajmniej pocieszał. Lecz później,
kiedy już kary się przeredziły, a jednocześnie
1 w głowach tych Judzi trochę lepiej się rozjaśniło, to i nie brakowało mu na
tyOT*wnych dowodach istotnego przywiązania do niego. Jakoż natendra, s i on ich
jeszcze lepiej ukochał i coraz większą w nich znalazł pociechę, – co było zresztą i
rzeczą dość naturalną, bo w tych niepewnych i trudnych okolicznościach, w których
sam jeszcze nie wiedział, na czóm się jego rozmaite zamiary zakończą, ten pułk był
prawie jego jedynóm dziełem, które istotnie i z rzeczywistym pożytkiem doprowadził
do skutku. Toż nie miał on prawie większój pociechy nad tę, którą doznawał na-
tenczas, kiedy mógł jaką chwilę swobodną przegawędzić ze swymi Sodalisami. A
byli tam między nimi i żołnierze niezwykli, boć to około czterdziestu znajdowało się
między nimi, którzy odprawiali całą wojnę szwedzką od samego początku i było
jeszcze takich dziewięciu, którzy towarzyszyli wyprawie wiedeńskiej. Wszyscy ci
wiedeńczycy mieli rangi u niego, czterech było wachmistrzów, a jeden nawet
porucznik, choć tylko czytać umiał cokolwiek, a kiedy mu przyszło podpisać swoje
nazwisko, to potrzebował na to przydłuższego namysłu, bo mu się jakoś w pamięci
bałamuciły litery. Bywało, kiedy mu przyjdzie podpisać króciuchny raport, przez
bieglejszego cokolwiek w pisaniu napisany wachmistrza, to go czyta ze trzy
paciórzfe, a potem idzie do księdza i każe go sobie odczytać, bo i w czytaniu nie
bardzo sobie dowierzał. Więc potem siada, i umaczawszy pióro, tak się zazwyczaj
zamyśla, jak gdyby bieg jakich planet obliczał, a tu mu litery tak planetami obiegają
po głowie. Więc na to kapelan:

- No i cóż się waszmość namyślasz? podpisz i kwita.
- Ba! prawda, – odpowiada porucznik, – a jam się czegoś zamyślił.

Więc tedy już pisze i podpisze się zwykle: Se Bas ty on po Lifka, po, pi, pu, a
nareszcie nie wiedzieć co. Ale go sam Jerzy pomału wyuczył podpisywać się
regularnie: Sebastian Polewka, porucznik pieszego pułku Sieniawskich. Ale pomimo
to był to człek wiel- kiój zacności, pobożny nad podziw, żołnierz żelazny, a przytem
dziwnie spokojny, na pozór niby ponury, lecz przytem pełen dowcipu i przebiegłości.
Słuszny był, dosyć zażywny, głowę miał dużą, a na niój czuprynę posiwiałą i
rozpierzchnioną jak strzechę, twarz tłustą, a na niój wąsy obwisłe, lecz przytóm oczy
duże błękitne, a w nich uśmóch nigdy nie zachmurzony i poczciwość serdeczna.
Kochał też go Jerzy nad innych i we wszystkich waż

niej szych rzeczach na nim lubił polegać. On tóż był intendentem pułkowym, on głównym klucznikiem, on i podskarbin.

Jakoż i dzisiaj po owym festynie skończonym, ile że już nie było więcej jak dwie godziny do świtu, zamiast udać się na spoczynek, poszedł Jerzy do niego. Chciał on go zbudzić i rozkazać mu, aby zawczasu powydawał nowe mundury żołnierzom i coby jeszcze któremu z nich brakowało; ale go zastał już ubranego i majstrującego coś koło szabli.

– Jużes to wstał, mój kochany Polewka? – rzekł Jerzy do niego, – proszę cię, powydawaj że zaraz noVwą barwę żołnierzom i żeby wszystko było równo ze dniem gotowe.

A Polewka na to:

– Ot, szkoda gęby, panie pułkowniku, przecieżem nie przesłyszał. befelu.

– No, więc to wszystko już porobione?

– A jużci! a po jakie mużyby to było, żeby choć dziś o północy nie wstali? A stawał-to któren z nich kiedy do parady Przed trzech hetmanów? Jużem też im nagadał i proszę tak pana pułkownika, ażeby jak który co ehybi, obiecać mu sto bizunów¹ na pół roku do turmy. Bo to hultajstwo jeszcze sobie dworuje² tego popisu, myśląc jeno o tem, jaki to będzie za to traktament. A tu aż trzech takich wielkich rycerzy, trzech hetmanów, trzy buławy; mnie samego strach zbiera!

W5ęc tedy Jerzy musiał się mimo woli uśmíochnąć, boć wiedział aż nadto dobrze, że Polewka nie takich widywał hetmanów, zwłaszcza gdy był na owój sławnój paradzie pod Wiedniem. Wszakże nie wdawał się z nim już w dalszą rozmowę, tylko obiegł sam jeszcze w^rszystkie kwatery i obiecawszy żołnierzom zamiast proponowanych przez Polewkę bizunów, podwójną lafę za dzień dzisiejszy, rozkazał im, aby równo ze świtem stanęli już wszyscy pod bramą. I rozumnie to zrobił, albowiem hetmani, lubo tak późno udali się na spoczynek, o godzinie ósmój porannój już byli w kościele, gdzie słuchali mszy Św., odprawianej przez ks. Andrzeja. Zaczem zaraz szli na zamkową galeryą, wychodzącą na ten dziedziniec, na którym stał już pod bronią pułk Sodalisów. I Ożarowski stał już przed frontem – i zaraz zaczął swoje manewry. Jakoż było co Widzieć. Wszystko to bowiem, co było znane dotychczas piechocie i to, o czóm jej się jeszcze nie śniło, robił on z nadzwyczajną łatwością, a tak składnie i szybko, że się i trudno było nadziwić. Tutaj więc stoi zbity z swym pułkiem w czworobok jak warcabnica, aliści w mgnieniu oka już się rozwinął w linią tak długą, na jaką starczył dziedziniec; to znów się ściągnie w jakąś inną figurę i znowu się porozrzuca tak szybko, że i nie wiedzióć jak się to stało. Patrząc na to wszystko z zamkowej galeryi, zdawało się, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka, zawieszona w powietrzu, rysow^Tiała olbrzymiem piórem rozmaite figury po śniegu. Jakoż bardzo to się podobało hetmanom, a kiedy

Rzewuski, lubo taki pobożny, nie mógł ustać z niecierpliwości na miejscu, Sieniawski ciągle zaciórał ręce i mówił:

— A co? a co? panowie bracia! jeszcześmy tu podobno nie mieli takiego?

A na to Rzewuski: • <

m – Niechże ich ogień spali tych Niemców! bo i czegoż-to oni już nie wymyślą,

— Ale poczekaj-no, panie bracie,— rzecze mu na to Sieniawski, — boć to jeszcze nie koniec.

— A więc cóż jeszcze, — odpowie hetman polny koronny, —I chyba że będzie chodził po linach?

— Cha, cha, cha!—śmiał się Sieniawski,—ot, ledwieby i w to] nie potrafił z tym pułkiem.

A wtedy Jerzy kazał jeźdźcom najeżdżać na swoich piechu-] rów. I wyjechał jeden pancerny z koncerzem a drugi husarz z kot pią, jak zwykle na jedenaście stóp długą, a trzeci dragon niemiecki. I wszystkie te pojedynki odbyły się z wielką dla Jerzego | pociechą, bo ani jeden Sodalis nie dał się dotknąć jeźdźcowi, a ów, który walczył z dragonem, wysadził swojego adwersarza z kul- baki.. Byłby go zabił niechybnie, gdyby jednakże nie to, że na bagnecie miał nasadzoną kulkę drewnianą, która broniła od rany. Ale stało się jeszcze daleko lepiej. Sodalis bowiem, jako to frant kuty na cztery nogi, powaliwszy dragona na ziemię, przygniótł go pięknie kolanami i obdarł go w oka mgnieniu tak gładko, jakby na wojnie prawdziwój. A na dobitkę jeszcze mu i konia odebrał i przy nim stanąwszy, nastroił się znów do obrony. Dragon, który na nieszczęście był własny Denhoffa i z jego świty, lubo już nie miał na sobie tylko koszulę i buty wielkie palone, myślał jeszcze, że to są żarty i sięgnął ręką po konia. Ale Sodalis go wprędce przekonał, o ile się mylił, albowiem wzięwszy go w swoje dłonie żylaste, zwinął nim w górę i jakby piłkę, przerzucił przez żywy płotek, za którym się zaczynały ogrody. Wpadł dragon w gąszce róż i głógów i tym sposobem finalnie ustąpił z pola, zostawiwszy w rękach zwycięzcy cały rynsztunek i konia. — Śmiechu tedy ztąd do rozpuku, śmieli się oba hetmani koronni, śmieli się Sodalisi, aż huk głośny się zrobił pomiędzy ludem, zalegającym galerye. Tylko Denhoff się jakoś śmiać nie mógł, chociaż także gębę otwierał. Więc nabawiwszy się dosyć, Sieniawski, który sobie i na- dworował cokolwiek z denhoffowskich dragonów, rozkazał, ażeby Sodalis oddał rynsztunek .i konia, a dragonowi żeby dano traktament. Ale Denhoff nie pozwolił na to na żaden sposób, a zawoławszy owego Sodalisa przed siebie, wykupił owę zdobycz od niego, płacąc mu i za fanty i za konia w dwójnasób. Dając zaś tę garść złota, rzekł nawet dosyć wesoło:

— Dziękuję waści za tę naukę, a jeślibyś kiedy dzisiajszą służbę porzucił, zawitaj do mnie; przyjmę cię z chęcią, choćby

tylko dlatego, ażebyś mi moich wszystkich dragonów w taki sposób przetrzepał.

Tak owę fatalność zagładził sztuką 1 bardzo zręczne, co też i nie dziwota u niego, boć był to mąż pełen rozumu, wiekićj zręczności, a i niemałój ambi<?yi,*o tyle tóż większa to szkoda, że tę ambicyą swoją a z nią i wszystkie prace skierował na drogi tífkie, któremi chodziło maleństwo serca, zimne sobkowstwo i dbałość o własne korzyści. Winszował on potem jeszcze Jerzemu takich umiejętności wojskowych i perorował przytem ozdobnie i gładko, ale już to mu przecie jakoś nie szło ze serca, co tóż i wszyscy widzieli. To tóż w tym punkcie daleko lepiej się znalazł Rzewuski, bo ten poprostu kazał dać kiesę złota ze swojej szkatuły na ukontentowanie żołnierzy, a potem wyściskał Ożarowskiego serdecznie i rzekł mu ze serca:

– Świąci garnków nie lepią, ale jak ciebie Kocham, tak to nie garnfek, coś ty nam dzisiaj ulepił. Jakoż tak tobie mówię, że rzuć do djabła te pisaniny, na których czas marnotrawisz; w kan- celaryi hetmańskió – a siadaj na koń i przyjeźdź do służby czynnej. Ty wielkich rzeczy na tóm polu dokażesz, a my ci damy do nich sposobność. Co zaś do przedstawienia^ ciebie królowi, to już ja biorę na siebie, a oto masz moje słowo, że co się tam na wa- kansie pokaże, już to ciebie nie minie.

Dziękował Jerzy za afekt i obietnicę, ale podobno niebardzo wiedział co mówił, bo tak był rad z tego popisu, że mu aż serce drżało, a usta nie mogły się pozbyć uśmiechu. Bardzo to była godziwa ta radość, boć ona była mu najpiękniejszą i bodaj nie jedyną za pracę rzetelną nagrodą, – ale w tym razie kto wie, czy się z nią nie mieszała i druga radość, a to ta mianowicie, która się weseliła tryumfem nad przeciwnikiem. Jakoż tak było w istocie; Jerzy się nie mógł tem nie cieszyć, że jego żołnierz tak stłukł na miazgę denhoffowskiego dragona i pełen był tej radości. Patrzył tóż bardzo ciekawemi oczyma na tego polnego hetmana i dziwnie śmieszoną wydawała mu się w tój chwili jego kudłata peruka.

A. tak szli już na górę, gdzie było przygotowane śniadanie, a do którego zaproszeni zostali wszyscy oficerowie z pułku Ożarowskiego. Jerzy musiał ich nawet pojedynczo prezentować hetmanom. Kiedy więc przysła kolój na Sebestyana Polewkę i Je- rzy wymówił jego nazwisko, rzecze zaraz Rzewuski:

– A witajże Sobku! patrzajże, otóż cię znowu spotykam.

–• Jw. panie, – rzecze mu na to Polewka, – zwykle to rzeczy u ludzi, przecież nie są górami.

– No, ale ileż to lat już temu, jakeśmy się rozeszli!

I zaczął zaraz z nim długą rozmowę, z której się pokazało, że Połówka był Rzewuskiego poddanym, w jego milicyi rozpoczął służbę i długo służył w jego chorągwiach, z którei wszakże wyprawiany pod Wiedeń, po owej wojnie przeszedł do służby kwar-

cianój. Bardzo był kontent Rzewuski, że go oficerem obaczył i jak tylko się trochę posilił, zaraz się z nim od gwaru usunął, aby się z tym starym znajomym nagadać. Tak rozmawiali z sobą nie jak pan i poddany, ale jak dwaj żołnierze, przyjaciele i towarzysze. Rzecze mu więc nareszcie Rzewuski:

*— Sobku mój, Sobku! otóżeśmy i posiwili — a tak się to zdaje niedawno, jakeśmy mieli mlóko pod nosem. No, ja przynajmniej na starość jestem sobie dosyć swobodny, ale ty zawsze w pracy i zawisłości. Jeszczeż do tego teraz dostałeś się w takie ręce, że to tam praca być musi nielada. Ten wasz pułkownik trzyma was pewnie w kaducznych ryzach, kiedy was tak wyfry- cował?

— ■ Nicma co-mówić, — rzecze na to Połówka, — że ten pułkownik zna kordę żoJnićską na palcach: ale ja mówię, że chwała Bogu! Przecież choć raz ma człek pułkownika takiego, przed którym nie żal czapki uchylić.

— Otóż i ja tak mówię, 'bo mi się tóż to wszystko w waszym pułku bardzo podoba. Sztuczki to, sztuczki, ale i pożyteczne. A już te pojedynki z jeźdźcami nawet całkiem wyborne, jako się pokazało zwłaszcza na tym dragonie. Co mnie też, między nami mówiąc, i pocieszyło cokolwiek, bo już te Niemcy tak nosa w górę zadarli, że w obec nich nikt już nie ma rozumu. I już nie wiedzióc nareszcie, do czego to ma prowadzić?

— Chcą nas zniemczyć, panie hetmanie, zniemczyć z krete sem i podobno już nie daleką ta chwila, kiedy rozkażą żołnierzom na komendę tabakę zażywać.

Śmiał się tedy Rzewuski, że się trzymał za boki, bo i on pono nie bardzo miłował Sasów, a jeśli trzymał tak statecznie za Sasem, to jeno dlatego, że w utrzymaniu jego na tronie widział zarazem utrzymanie wolnój elekcyi królów. Trzymali się ci panowie tój zasady, jak pijany płotu, ale podobno bardzo się wtem mylili, boć to każda zasada jest jako naczynie, w które się zmieści i to i owo. A jużci lepiój ten robi, który pilnie zagłada, co mu nalano w naczynie, niżeli ten, który przestaje na tem, że mu podano takie same naczynie, z jakiego pijali jego ojcowie. Alboż się to już nawet teraz nie pokazało, że z tego samego naczynia, z którego ojcowie pijali wino wyborne, synowie przecież napili się kwasu? Wolno obrany Sobieski był mądrym, łaskawym i kochającym — a wolno obrany Sas chytrek i ciemżyciel! Owóż i rzec.

Aleć to o tóm i mowy nie było teraz. Rzewuski bowiem, naśmiawszy się dosyć, rzecze do Polewki:

— Lecz z drugiój strony, to ja znów nie bardzo kontent jestem z tój wiktorii nad denhoffowskim dragonem, bo chciałbym, ażeby ten wasz pułkownik miał jaknajwięcej przyjaciół, a obawiam się, aby mu tego Denhoff nie chciał pamiętać. A Denhoff to przecież prawa ręka, królewska!

– Nióma co mówić, – rzecze Połówka, – szkodaby była, *eby jmc Denhoff patrzył krzywo na jmc Ożarowskiego, aleć to pono między tymi panami bez lukty się nie obejdzie. Jakoż są
0 tóni już wróżby.

– A jakież to wróżby, mój Sobku? – zapytał ciekawie Rzewuski.

– Ot? to tam nasze hultajstwo tak sobie plecie! aleć i cza- ^m zgaduje.

– Cóż tedy mówią?

– Oto tak mówią, że pomiędzy tymi panami taki przyjdzie do lukty koniecznie, a koniec jej będzie taki, że jmc Ożarowski pana Denhoffa przemoże i jeszcze go z jego godności obedrze, tak Właśnie jak nasz Sodalis uczynił z jego dragonem.

Więc tedy Rzewuski jakoś się bardzo nad tym zamyślił, po- ttkilczał trochę, a potem rzekł:

– Nie wiem ja, o coby między nimi przyjść mogło do lukty...

1 tak to wróżą sobie żołnierze?

– Ot! tak tam sobie dziś pletli po mustrze, jako ich sam Właśnie słyszałem.

Więc tedy na tem już skończył Rzewuski swoją rozmowę z Połówką, poczem szedł między gości i widać było, że jakoś dziwnie ciekawie oglądał sobie Ożarowskiego. A frant Połówka, który wiedział o tórn, jak bardzo Rzewuski jest zabobonnym, a swoją drogą tak samo Denhoffa niecierpiał jak Ożarowski, jego znów sobie zdaleka oglądał, przyczóm mu jego błękitne oczy dziwnie się jakoś świeciły.

Ale tymczasem śniadanie, obstępione kilkudziesięcią wczorajszych gości, już się ku końcowi zbliżało. Więc tedy wszyscy trzej hetmani pomówili jeszcze ze sobą z pół godziny na stronie, a potóm już się kłaniali, zabiórając się do odjazdu. Prosił ich jeszcze Sieniawski, ażeby choć przez dzisiaj zostali, ale już to nie mogło być, – wizyta takich panów bywa krótka, – zabrali się tedy i odjechali.

Po ich odjeździe najwięcój Ożarowskiemu chodziło o to, czy tóż Sieniawski przez jakie potajemne namowy tych niebezpiecznych gości w swoim skruszonym sumieniu się nie odmienił? – Ałe nie było tego widać zupełnie. Owszem przeciwnie, dziś coraz częścíoć Wspominał o przeniewierstwie królewskim, o ucisku narodu, o nieładzie w Rzeczypospolitój i nieporządkach domowych. A Ożarowskiego już całóm sercem ukochał i odwołując się do niego w kwestyach nawet najmniejszych, składał mu przez to ustawiczne dowody, o ile mu ufa i jak go wysoko poważa. Było to tedy dla Jerzego wielką pociechą, *a lubo dotychczas podobno go do hetmana więcój przywiązywał interes, nizeli przyjaźń istotna, jednakże teraz zaczął się nawet sercem skłaniać ku niemu.

Tom XI.

Pomimo to jednak owego czasu zaszło pomiędzy nimi małe nieporozumienie, a to z następującego powodu. Pomędzy temi czterdziestą tysiącami wojska, które Sieniawski miał pod swoją komendą, znajdowało się, jak się o tem wspomniało powyżej, około sześciu tysięcy Sasów pod dowództwem generała Baudycza. Tych Sasów Sieniawski dotychczas trzymał prawie ciągle przy sobie; lecz teraz, czy to powodowany obudzoną w sobie przez Ożarowskiego niechęcią przeciwko Sasom, czy może tylko chwilowym kaprysem, rozkazał iść w województwo krakowskie i tam się rozłożyć. To się Ożarowskiemu nie podobało. Był on albowiem zdania, że na wypadek zbrojnego wystąpienia narodu, czego się już z tą wiosną spodziewał, lepiej to będzie, jeśli ci Sasi będą pod ręką, bo mając ich przy sobie, można ich będzie z łatwością czy nie dopuścić do akcji przeciwko narodowi, czy nawet w ostatnim razie rozbroić. Jeśli zaś będą daleko, to oczewiście że w chwili wybuchu pójdą w ogień za króla, ba i za siebie, bo tóż tu o nich chodziło. Ale Sieniawski się uparł przy sw'ojem, a tak Ożarowski, lubo z gorzką niechęcią, musiał sam ten ordynans napisać.

Jednakże druga kwestya była jeszcze daleko "ważniejszą, tyczyła się ona bowiem rozpołożenia wszystkich wojsk kwarcia-nych. – Wojska te były z woli hetmana rozrzucone dzisiaj po całej Polsce; jedna ich część była rozsypana w same małe komendy, to znowu druga stała aż na kresach. To także nie odpowiadało zamiarom Ożarowskiego, albowiem znał on usposobienie wojska i był tego pewnym, że nie byłoby nic łatwiejszego, jak przy naj- piórwszej wieści o wystąpieniu województw spisać je w związek i wysłać do boju przeciwko Sasom. Jakoż w tóim przewidzeniu Ożarow'ski się wcale nie mylił, żołnierz kwarciany bowiem był już od lat czterech niepłatny, nie dochodziły go wcale przeznaczone dla niego hiberny, nie dochodziła go barwa ani broń nawet, a żywność musiał sobie własnym zyskiwać przemysłem. Był zatóm głodny, odarty, nieopatrzony, a jeszcze do tego wystawiony na bardzo mu nieprzyjemną konieczność stawania się ciężarem dla ziemian, których kochał, bo był ich ziomkiem i bratem. Toż w samej rzeczy nie był on nigdy gotowym Ayięcej do związku jak teraz, – lecz związek mógł przyjść do skutku tylko natenczas, kie- dyby wojska kwarciane stały gdzieś razem, albo w blizkiem od siebie sąsiedztwie. W takióm zaś rozproszeniu, gdzie jedne pułki stały u brzegów Wisły, a drugie na Ukrainie, związek był nie- możebny. Widząc to tedy, Ożarowski usiłował koniecznie hetmana zniewolić ku temu, ażeby te rozpierchnione komendy pościągał ku Lwowu i jedną częścią obsadził miasto, a drugą rozkwaterował w jego blizkości. Ażeby Sieniawskiego do tego przekonać, wystawiał Jerzy blizkie niebezpieczeństwo, mówił o rozruchach z pewnością, a nareszcie nie wahał się nawet i tego natrącić, iż kiedy

tak będą porzucane te wojska, to na wypadek rozruchów naj- niezawodniój wszystkie połączą się z pospolitóm ruszeniem, a potem już ich Sieniawski nigdy nie zgromadzi pod swoją buławę. Namysłał się nad tóm hetman niemało i wcale tój argumentacji nie przeczył, – lecz czy to istotnie obawiając się związku, chociażby tylko zawiązanego w celu upomnienia się o zaległe hiberny, czy ze wstrętu do tych znacznych wydatków, jakieby w razie ^ciągnięcia wojska musiał ponosić, nie dał się Ożarowskiemu przekonać. A zresztą nie wierzył on wcale w możliwość powstania województw w tych czasach, a kiedy mu Jerzy mówił o tóm jako o rzeczy nieuniknionej, to odpowiadał:

– Bajki mi pleciesz, mój panie Jerzy. Dobrze to jest takie przewidywanie, ale ażeby coś przewidzieć prawdziwie, trzeba być starym. Wam młodym przy widuje się i to i owo, a wy zaraz we Wszystko wierzycie. Gdzie tam dziś szlachta może śnić o jakim odporze! Ona kontenta że żyje. Kiedyś, jak się odżywi z tój nędzy, jak się podźwignie nanowo, jak nowe pokolenie odrośnie, to się może i ruszy; ale dziś ani się jój śni o tóm.

Mówiły tu wprawdzie za tym domysłem niektóre pozory, ale mimo to taka argumentacja była fałszywą. Jakoż niemiłą była Jerzemu taka opinia hetmana, a wcale już przykrą dlatego, iż ^sWoję nieprawdę opiórała na takich faktach zbrodniczych i przez całą powszechność przeklętych. Tak tedy ta lukta trwała kilka tygodni, a nawet więcej, a Jerzy zawsze jeszcze trwał statecznie Przy swoim i usilnie nad Sieniawskim pracował, ażeby go do ^ciągnięcia wojska nakłonić. – Jednakże później rozmyślił się W tój kwestyi inaczej i dał temu pokój. I bardzo dobrze to zrobił. Wielkie tu bowiem zachodziło pytanie: co było lepszóm istotnie, ^a mianowicie co tóż pewniejszem? Zebrane wojsko mogłoby się Owiązać w spisek, lecz czy to pewna? Nuż temu przeszkodzą dowódcy, dbali o swoje rangi i stanowiska? ale może i sam Sieniawski przeszkodzi, wypłacając wojsku odrazu wszystkie zaległe żołdy? Takie rzeczy, jak przerzucenie się wojska na inną stronę, bywają zwykle dziełem jednej chwili—a któż za chwilę zaręczy?— Przeciwnie zaś, jeżeli wojska w rozproszeniu zostaną, a województwa staną pod chorągwiami, to można przewidzieć z pewnością, nie będzie takiój komendy, któraby chciała uderzać na własną krew^T i trupami swych braci ścielić sobie drogę do takiego hetmana i króla, którzy im od lat czterech nic nie płacili, morzyli ^odem, karmili ludzkimi łzami i własnych braci niedolą. Tak ^{wi}ęc Ożarowski umilkł nareszcie, a lubo hetman potóm nieraz sam napomykał, żeby może tę albo owę komendę do Lwowa ściągnąć, to on już to mijał i pozostawiał do dalszych czasów...

Skutkiem takiego stanu rzeczy nie miał hetman o wiośnie wię- ^cśj wojska w swójój bliskości, jak około tysiąca ludzi w Brzeża- ⁿach pod komendami Ożarowskiego, Granowskiego i Bekierskiego, ^ochrzczonego Turczyna, – a we Lwowie gdzie komendantem mia

sta był Campenhausen, tysiąc piechoty cudzoziemskiego zaciągu, pułk grenadyerów konnych pod dowództwem majora Brześciańskiego, parę chorągwi i cokolwiek Kozaków.

Ale tymczasem o wiosnie zaczęły się już sprawdzać pomalu te wróżby, w które hetman nie wierzył.

Już byli tacy, którzy myśleli, że nawet nic zgoła nie będzie a Weissenfeld księżę tak się tą ciszą pozorną ułudził, że spałspo- kojniój: ale tymczasem zjechała się szlachta na sejmik depUtackiój elekcyi do Wilna i tak się to jakoś zrobiło, że i wtedy jeszcze do tego nie przyszło, bo szlachta czekała pierwszego impulsu i wcale nie ufała swym własnym siłom; jednakże Pociój, hetman wielki litewski, jakoś się tak był natenczas rozognił, że sam dał impuls od siebie i całą tę sprawę wyforytował.

Kto był ów Pociój, niedługo trza opowiadać, bo jak w całym ówczesnym senacie obojga narodów nie było ani jednego Wielkiego, a przytem prawdziwie serdecznego człowieka, tak tóż i on nim nie był. Przeciwnie nawet, i jeszcze niegdyś jako podskarbi, i póiniój już jako hetman, dzierzył się ślepo saskiego stronnictwa, bez względu na to, czy narodowi tóm przynosi pożytek niezaprzeczony, bo nabiwszy monety fałszywój, ogromną na tóm zrobił fortunę, a na dobitkę jeszcze wziął wielką buławę; ale tóm nie położył żadnój około narodu zasługi. Jakoż nie miał on nigdzie ni serca ni oka i wcale żadnój nie przy więzy wano do niego nadziei. Ale czego na małych ludziach nie wymogą względy publiczne, to wywołają u nich częstokroć względy prywatne. Toż ¹ tu się tak stało, przyszło bowiem do tego, że w roku przeszłym Podrapał Pocieja król, a niegdy przedtóm podrapał gó Denhoff, – król przez to, że mu zamknął mennicę – a Denhoff przez zawiść ku niemu na sejmie r. 1712 buławę wielką litewską jak gdyby wę- ²żem opisał. – Bardzo to nierozumnie było ze strony tych naczelników partyi królewskiój, że sobie takiego potentata tak narazili;

on bowiem, namatawszy sobie na wąż te inwidje, czekał jeno okazji, ażeby za nie odplacić. Jakoż gdy szlachta się na ów sejmik przedtrybunalski zjechała, wystąpił zaraz z otwartą przeciwko uęiskom saskim perorą, a obiecując sam stanąć na czele, z jak- największą łatwością zebraną szlachtę rozbudził. I rozbudził ją nawet daleko lepiej, niżeli sam się spodziewał: rozbióglą się ona bowiem w ten moment po województwach i taki wszędzie rozniosła zapal, jakiego od najdawniejszych czasów nie pamiętano. Więc kto żył tylko i mógł szablisko udźwignąć, kto Jakąkolwiek posiadał szkapinę, a zresztą choć i pieszo, ten się sam stroił, jeździł po dworkach, po zaściankach i miastach, burząc drugich i niosąc między nich owę wieść wielką, która się na sejmiku wileńskim zrodziła. A tak w tym pobożnym zapale zjechała się szlachta bardzo liczebnie i uczyniwszy koło, zawiązała się w konfederacyą, którą marszałkiem uczyniła Pocięja, oddając mu sprawę powszechną w opiekę. Spisano tam także tój że konfederacyi instrument, w którym „obwarowawszy bezpieczeństwo osoby i godności kró- lewskiój, zobowiązano się życie swoje na szanę wystawić dopóty, dopóki by wszystkie wojska obce nie wyszły z granic Rzeczypospolitej.” A to sprawiwszy, zaczęto chorągwie okrywać i przyzwoicie szykować, czekając tylko ordynansu Pocięja, aby uderzyć na Sasów.

Jednakże Pocięj jeszcze się z ordynansem nie śpieszył. I miał on niby w tem racyą, albowiem pobić Weissenfelda nie było trudno, ale pobiwszy go, trzeba było być pewnym, że ze spokojnój jeszcze korony nowe siły nie nabiegną, a wtedy sprawa byłaby bardzo wątpliwą. Chciał tedy z tem uderzeniem przynajmniej dopóty się wstrzymać, dopóki by nie odebrał wiadomości z korony, że tam już także województwa stanęły pod bronią, a zatóm dopóki by nie był pewnym, że Weissenfeld ztamtąd nie dostanie posiłków. Ażeby zaś tę wiadomość mógł mieć tóm prędzój, wyprawił umyślnych posłów w rozmaite okolice nad Bug, Narew i Wisłę, i lada dzień się ich z powrotem spodziewał.

Wszakże jeżeli on wysłał posły do szlachty, to Weissenfeld wysłał znów swoich do króla – i na nieszczęście jemu odpowiedziano pośpiesznój. Król bowiem, mając przecie cokolwiek więcój respektu przed Litwą, niżeli go późnój dla korony okazał, wysłał natychmiast Szaniawskiego biskupa, ażeby poprostu rzecz tę załatwił z Pocięjem. Na czóm się tam oparło to załatwienie, pozostanie tajemnicą nazawsze; rzecz wszakże pewna, iż po rozmówieniu się ze Szaniawskim, Pocięj zmiękł całkiem i o uderzeniu na Sasów nawet już nie wspomniął.

Dziwna rzecz, jak ta szlachta ówczesna nie mogła się zebrać nareszcie do tej sprawy tak ważnej, chociaż już od lat kilku ciągle się do niój przysposabiła; dziwniejsza to jeszcze dlatego, ile że ucisk niemiecki już był doszedł natenczas prawie do najwyższego stopnia. Już tam natenczas Sasi gospodarowali po wioskach

jakoby swoich własnych, zabierali plebanom, szlachcie i ubogiemu ludowi wszelki dobytek bez żadnego rachunku, nakładali trybuty na wsie i na dwory, a wreszcie rabowali poprostu śpichrze i komory, wyprzedając porabowane towary otwarcie lub wyprawiając do Niemiec, czóm oczewiście kraj cały do takiej doprowadzili nędzy, że wtedy nie było dworu, w którymby można było napotkać choć najmniejszą weselość, nie było wsi w któnójby lud był inaczej ubrany jak w podarte łachmany, a po miastach wi- dzióć można było kupami ludzi opuchłych, podle siebie leżących, drudzy padali nagle w ulicach i marli, i nawet matki porzucały swe dzieci po drogach, nie chcąc widzieć własnymi oczyma ich śmierci głodowej, której nie mogły odpędzić. Jednakże kiedy tak szlachta nie mogła się jeszcze porozumieć ze sobą i ostateczny krok postanowić, Pan Bóg się nad nią zlitował i zesłał zdarzenie które skłoniło ją do decyzji. Był to cios znowu bolesny, ale na szczęście ostatni. Oto natenczas Sasi, nieznający już żadnych granic w swojej swawoli, napadli byli na dom szlachecki, i jak niegdyś Ożarowskiego," tak znowu teraz zamordowali Turskiego, pilźnieńskiego starostę, a przy nim i Belchackiego, kasztelana bieckiego. Zdarzenie to dało impuls stanowczy i już nareszcie

skuteczny Jakoż najpiórszy wzburzył się był Wielogłowski,

•czeńnik podobno rawski, lecz podgórzanin, szlachcic osiadły w ziemi sądeckiej. Ten uczuwszy najżywiej owo zbójstwo, a z nióm razem i wszystkie inne ciemstwa, rzucił się był pomiędzy szlachtę podgóorską i zwoławszy ich znaczną liczbę, napadł na sejmik przed- trybunalski, odbywający się w Proszowicach. Tam powiedział mowę gorącą, zgarnął siedemset szlachty, spisał instrument kon- federacyi partykularhój, a obrawszy Marcina Rybińskiego, chorążego łomżyńskiego, marszałkiem, zaraz stanął pod bronią. – Wkrótce tóż za nim ruszyło się całe Podgórze i zaczęło się ścierać pod Kraków. Za podgórzanami ruszyło się już, nie zwlekając, krakowskie, a tak ten kąt cały, i najludniejszy i najważniejszy ze

Wszystkich, stanął w mrugnieniu oka w płomieniach

"Wieść o tych czynach szlachty podgóorskiej rozniosła się zwolna po województwach, – nie mogła się ona roznosić prędko, bo właśnie w tycli stronach były rozlokowane najgęściój komendy saskie, które teraz jeszcze tóm skrzętniej utrudniały komunikacją; ale do Brzeżan, które z komendami saskimi stały w bezpośrednich stosunkach, lotem błyskawicy dobiegła. Kiedy ją Ożarowski odebrał, nietrudno się tego dorayśnić, jak żywą został przejęty radością. W piórszój chwili nie wiedział sam co się z nim dzieje: śmiał się głośno jak dziecko, mimo to łzy mu w oczach stawały. Porwał depeszę, chciał zaraz biec do hetmana i rzucać mu się na szyję... Ale się jeszcze zastanowił cokolwiek, a wtedy dostrzegł, postąpiłby sobie najgorzój, bo zapalem swoim, choćby też najgorętszym, on starego hetmana nie porwie, a natomiast krokiem tak impetycznym mógłby tego drażliwego człowieka do jakiej

niedorzeczności pobudzić. – Uspokoił się tedy, o ile miał w swo- jój mocy, a tak dopióro szedł do hetmana.-

A była to właśnie przedwieczorna godzina, słońce już się chowało, z rozbująłych roślin i krzewów, w pełnym kwiecie stojących, roznosiła się owa woń silna i świeża, którą po dniu gorącym dopióro wilgotna rosa z nich wydobywa. O tój godzinie hetman zazwyczaj bawił w ogrodowój altanie, lulkę tam palił, z ogrodnikami rozmawiał i kwiatami się rozweselał, których był znawcą i miłośnikiem. Czasem kazał kapeli wygrywać na zamkowej galery i powybiśrane przez siebie symfonie i przy nich dumał samotnie, a kiedyindziej brał z sbbą księdza, rozmawiał z nim o Boga szczodropliwości i Jego darach bogatych, które widać w wiosen- nój naturze, i skarżył się przytśm boleśnie, że Pan Bóg jest tak skąpym dla niego, iż nie dozwolił mu nawet doczekać się syna... Dzisiaj znajdował się hetman sam w tój altanie i ani się spodzió- wał, kiedy Ożarowski zjawił się przed nim tak nagle, jakby wyskoczył z pod ziemi i rzekł rilu:

– Panie hetmanie, mamy ważną nowinę.

– I cóż tam, mój panie Jerzy?–rzekł na to Sieniawski, podnosząc zwolna głowę ku niemu.

– Rzecz ważna, panie hetmanie, – odpowie Jerzy, – podgó- rzenie spisali się w konfederacyą i stanęli pod bronią.

A to mówiąc, patrzył w twarz jego ciekawie, a nawet- się trochę na stronę usunął, bo był pewnym, że hetman się zerwie z siedzenia, jak oparzony. Ale hetman tymczasem rzekł najspokojniej:

– Podgórzenie się znowu spisali? a zkdże ta wiadomość?

Jerzy się skrzywił cokolwiek na ten chłód taki nieznośny, lecz podał mu raźnie depeszę. Więc tedy hetman odebrał ten pa- piór od niego, a odczytawszy go zwolna, rzucił na stół niedbale- A potóm rzekł, jakby nic nigdy:

– Trudno to, jak ja widzę, u tpj szlachty o rozum. Rwą się i rwą się, a nie pamiętają na to, że od początku po koniec świata vanćTest sine mribus ira!

Usłyszawszy to Jerzy, zwiądnął jakby kwiatek, po pod który prześliznęła się żmija. – W piórwszym nawet momencie prawie się zachwiał na nogach, tak go ten oddech zgniły przeraził. Lecz odetchnąwszy, spojrział z gniewem na ten pień nieruchomy, oczy mu ogniem zabłysły i rzekł w duchu do siebie: – Pal cię sześć! a za jakiego ja licha będę się kwasiał przy tobie? Rób ty sobie co chcesz, a ja sobie pójdę tam, gdzie mi choć będzie weselój.

Jednakże hetman wdał się z nim potóm w długą rozmowę. Z początku nie mogli się oni całkiem zrozumieć ze sobą, bo tóż się całkiem różnili w ocenieniu tego wypadku. Jerzy przywiązywał zbyt wiele wagi do niego, a hetman żadnój. Jerzemu się zdało, że za parę tygodni stanie już najmnioj sto tysięcy pod bronią – a hetman znowu przypomniał mu pociejowską konfederacyą na Litwie. Jednak po dłuższej rozmowie zbliżyli się trochę do siebie:

i jeśli Jerzy przyznał nareszcie, - że taki rozruch partykularny nie musi koniecznie pociągnąć za sobą konfederacji generalnej, bo ta od całkiem innych figur zawisła: to znowu hetman przyznał nako- niec Jerzemu, iż przy dzisiejszem usposobieniu takich Potockich, Wiśniowieckich, Jabłonowskich, Sapiehów, a z nimi niemal całego kraju, pożar ten może się z łatwością rozszórzyć. I przypuszczenie nie to zniepokoiło trochę hetmana, co było znowu przykróm Jerzemu; jednakże to go znów pocieszyło, że hetman wcale się tem nie przestraszył. Owszem nawet, mówiąc i tak i owak, jak to czynił najczęściej, rzekł w jednej chwili:

– A zresztą, dobrze im tak, tym za włókom! I żeby ich przetrzepali i tu i owdzie, toby także nic nie szkodziło, bom tóż to mówił królowi i nieraz, że jak we wszystkiém, tak tóż i w tem, trzeba miarę zachować. Ale kto ma takich zaślepionych rajców przy sobie jak Flemming, ten zawsze na końcu tak wyjdzie.

Kiedy zaś żegnał Ożarowskiego przed ułożeniem się do snu, rzekł niby jak ostateczną decyzją:

– Bardzom ciekawy, co z tego będzie, jednak mnie głowa o to nie boli. Ja się całkiem w to mieszać nie będę... ,niech sobie robią, co chcą.

Tedy Ożarowski niezmiernie się tóim ucieszył i przespał noc bardzo szczęśliwą. Miał on przynajmniej to zapewnienie, że hetman, dysponujący armią stojącą i mający przecież nieobojętne W narodzie znaczenie, nie będzie konfederacji przeszkadzał: a to była zaprawdę rzecz nadto ważna, aby się nią nie ucieszyć. Robił on sobie zresztą dość niby prawdopodobną nadzieję, iż kiedy hetman za jego powodem stał się już obojętnym dla sprawy saskiów, to z czasem może się stać jój wcale przeciwnym. Mówiły tóż za tóim niemal wszystkie pozory i Ożarowski wierzył w ich prawdę tak szcórze, jak szcórze pragnął jój istotnego spełnienia.

Jednakże się nazajutrz wczorajsze usposobienie hetmana odmieniło trochę. – Albowiem zaledwie się dzień zrobił, kazał on prosić Jerzego do siebie i rzekł mu:

– Wiósz co, panie Jerzy, myślałem ja całą noc, nad tym rozruchem, a dziś czuję się niespokojnym cokolwiek. Diabeł nie śpi. gotowo się to rozszórzyć, a wtedy przyjdzie do wojny domo- Wój. I co tu począc w tym razie? Pościągać komendy? źle: bo ił tym wypadku nie można mi będzie zostać neutralnym, tylko

bić, a na krew własną nie mam ochoty uderzać. Pozostawić zaś te komendy w tem rozproszeniu? także niedobrze: bo wtedy °ne same znajdują się w konieczności uderzania na braci. Wprawdzie to jeszcze daleko do tego, ale zawsze mnie to niepokoi...

Ożarowski się musiał uśmiechnąć na to, że hetman był tak Pewnym swojego wojska; lecz milczał.

– A cóż waść na to? – zapytał hetman.

– Ja jestem zdania – rzekł Jerzy – że trzeba tymczasem

zostawić tę rzecz tak, jak jest. Wszakże pan hetman sam mówj, że jeszcze tu niómasz nic tak bardzo pilnego.

– Nie – rzecze hetman, – tak ja tój rzeczy nie pozostawię, bo od czegoż jestem hetmanem i senatorem? I wiem co zrobię. Oto pojedę do króla, wystąpię jako pośrednik i rzecz załagodzę, dopóki czas jeszcze.

Zamiar ten, lubo zdawał się świadczyć, że hetman przecież już teraz ma daleko .miększe sumienie, niż je miał dotąd, nie podobał się jednak Jerzemu. Nie obawiał on się tego, ażeby Sieniawski nie załagodził tój sprawy ze szkodą narodu, bo była to rzecz niepodobna, ale obawiał się tego, ażeby wlaższy pomiędzy tak zaślepionych i tak żarliwych stronników saskich, jakimi byli niemal wszyscy otaczający króla panowie, nie dał się im na ich stronę pociągnąć stanowczo i nie uczynił czegoś takiego, coby wielką przyniosło szkodę zawiązującej .się konfederacyi. Tą przepełniony obawą, użył całej swojój wymowy i wszystkich możliwych wpływów na Sieniawskiego, ażeby go odwieść od tego zamiaru. I powiodło mu się to nawet nadspodziewanie: albowiem nim wieczór nadszedł, hetman już znów się inaczej rozmyślił i postanowił jeszcze w tych czasach do Warszawy nie jechać – a gdyby później kiedy wyjechał, to dał Jerzemu najświętsze słowo, że w obec króla stanie z taką powagą, jaka pierwszemu senatorowi przystoi.

Jednakże tego samego wieczora jeszcze, nim noc zapadła, nadszedł kurjer z Warszawy, zapraszający hetmana na wielką radę do króla.

Wypadek ten zmienił oczówicie dotychczasowy stan rzeczy: albowiem hetman kazał natychmiast ładować powozy, a dnia następnego ze świtem do Warszawy wyjechał. Zmiana ta byłaby tego młodego statystę, który na sw^oich wrzekomych na Sieniaw^oskiego wpływach tak wielkie budował gmachy, mogła o rozpacz przywozić, – gdyby jednakże nie to, że go Sieniawski wziął w tę podróż ze sobą. A tak nietylko że przez to dotychczasowych swoich nadziei nie stracił, lecz jeszcze nowe sobie zbudow^oł. Nie miał on wprawdzie nadziei, ażeby sam był przedstawiony królowi, a tómi mniej jeszcze, ażeby sam mógł na owój radzie zabrać głos jaki: lecz mając już słowo od Sieniawskiego, że za narodem w obec króla wystąpi i mogąc go jeszcze w tómi dopilnować, był prawie pewnym, – że jeśli hetman tą swoj^o podróżą nie przyniesie narodowi pomocy, to przynajmniej mu nie zaszkodzi. Jednakże i ta podróż pociągnęła za sobą zupełnie inne. następstwa, niżeli te, które przewidział wszystko w różowych barwach widzący młodzieniec. Albowiem najpierw, o czem wcale nie myślał, Sieniawski zrobił mu tę niespodziankę,, iż mu wyjednał prezentacyą u króla. Kiedy ta łaska była już wyrobioną, a jeszcze do tego z tak serdeczną dla Sieniawskiego pocięchą, że niepodobna jej było nie wierzyć, to i nie mógł jój Jerzy nie przyjąć, lubo mu w jego położeniu

dzisiejszym żadniój nie przynosiła pociechy. Był tedy jeszcze przed rozpoczęciem owój pamiętnej rady przedstawionym królowi;....

I król go przyjął bardzo łaskawie, przydłuższą chwilę z nim z osobna rozmawiał, a znalazłszy w nim młodego człowieka gład- kiój i niepróżnój wymowy, wykwintnego poloru,- a nadto jeszcze biegłego w trzech ulubionych przez króla językach, to"mu nawet otwarcie okazał, że sobie w nim dosyć podoba. Wszakże nie dosyć na tó. Albowiem, lubo daleki od tego, ażeby mu to wyznał otwarcie, że się u niego śmiercią jego własnego ojca zadłużył, Wspomniał mu jednak dosyć domyślnie, iż znalazłby w tó. partykularną dla siebie przyjemność, gdyby go dalsze zachowanie się Ożarowskiego spowodowało do okazania mu, jak szcudrobliwie Umie nagradzać nawet i pomniejsze zasługi. Powiedziawszy mu zaś już całkiem otwarcie, że wió o tem, że będąc we Francyi, oddawał się z równą pilnością tak wojskowości, jak i nauce status, zezwolił mu być przytomnym na radzie jutrzejszój. Na tó. skończyło się posłuchanie królewskie, – ale zaledwie opróznione przez niego miejsce przed królem zajął kto inny, zbliżył się Fleming do niego. Przesławny Fleming, podówczas już feldmarszałek i alter ego królewski, człek mało grzeczny, ba szorstki nawet, bo też gwałtowny despota, mówił z nim wprawdzie mniój słodko, niżeli rycerski i lśniącym celujący polorem monarcha; ale dlatego właśnie tylko mu jeszcze lepiój to wszystko objaśnił, co król mu powiedział, oświadczając mu całkiem otwarcie: iż przyszły czasy, W których w tej zaśniedziałój od wieków Rzeczypospolitej musi być wiele rzeczy odmienionych do gruntu, iż dla wprowadzenia w życie form nowych, nowych tó. ludzi potrzeba, że zatóm dziś ludziom młodym stoją otworem wszystkie godności i wszystkie Urzędy... jaka zaś do nich prowadzi droga, nie potrzebuje mu o tó. powiadać.

Tak tedy wó. wczas na tego opuszczonego niegdyś siórotę zaczęły się walić coraz to nowe łaski, protekcyje i obietnice—rzeczy zaprawdę niemałe, kuszące bardzo i nawet w samej istocie do osiągnięcia nietrudne; bo któż tego .nie widzi, że dość mu było tylko rękę po nie wyciągnąć, aby je rzeczywiście otrzymać?

Jakoż trzeba tu było wielkiej pewności sumienia i mocy duszy, ażeby się nie dać porwać tym błyszczącym pokusom.

Lecz Ożarowski, lubo tak młody, prawie całkiem ubogi i całem sercem tak odznaczenia się, jak i szórszego pola do okazania swoich zdolności pragnący, miał już tak pewne siebie uczucia i przekonania, że nawet w obec tak niebezpiecznych pokus ani na chwilę w nich się nie zachwiał. Wiedział on o tem aż nadto dobrze, coby przy takióm usposobieniu^ króla, Fleminga i Sieniaw- skiego mógł zaraz dzisiaj dla siebie wyjednać; wiedział i o tó. , iż luboby się musiał do Sasów przygarnąć, nie potrzebowałby jeszcze przez to stać się koniecznie nieprzyjacielem narodu: ale to

wcale go nie wzruszyło, albowiem był przekonania, że ze złóm niómasz żadnój tranzakcyi. Kiedy rozmawiał z królem, a nareszcie z Flemingiem, to lubo go ich jedwabne słowa nadzwyczajnie* głaskały, nie stracił jednak ani na chwilę z przed oczu tak skrwawionych zwłok swego ojca, jak i tój nędzy bezmiernój, która się dzisiaj rozlegała po kraju... Dlatego tóż za łaskawe oświadczenia tych panów podziękował tylko ogólnikami – i na tóm skończył.

Nazajutrz rano odbyła się owa sławna narada, na którą król pozwoływał wszystkich tych dygnitarzy królestwa, na których wierność rachował – a z niój mógł się Jerzy przekonać natychmiast, jak rozumnie to zrobił, że się wczorajszym pokusom nie dał ułudzić. – Więc kiedy panowie radni, pomiędzy którymi znajdowała się większa' połowa oficerów saskiego wojska, zgromadzili się w sali tronowej, to najpiórw Fleming głos zabrał od króla i opowiedziawszy pokrótce, jakie rozruchy wszczęły się na Podgórze, zapytał panów: co rozumieją o tym buncie zdradzieckim? jest-li to sprawka znanych już burzycieli, którzy wszczynają rozruch dlatego, ażeby mogli choć chwilę burmistrzować po kraju? czy jest to początek nowego wzburzenia na korzyść Leszczyńskiego i Szwedów? Nakoniec zaś postanowił pytanie: ażali tóż, mając czterdzieści tysięcy wojska polskiego, dostatek Sasów (których liczby nie podał, bo tóż ich nigdy nawet przed przyjaciółmi nie wymieniano), a nareszcie i wojska sprzymierzone na zawołanie, jest się czego obawiać takiego rozruchu, czy nie? – Jednakże zamiast wyczekiwać odpowiedzi od panów, sam odpowiedział – a nie szcędząc jaknajdotkliwszych przycinków dla tych, którzy ten rozruch podnieśli, uznał go za burdę, wprawdzie bardzo zbrodniczą, lecz nic nieznaczącą, burdę poprostu taką, którą on sam swemi Sasami utłumi i wykorzeni tak radykalnie, że odtąd szlachcie nigdy już nic podobnego na myśl nie przyjdzie.

Kiedy Ożarowski tę przemowę usłyszał, mróz po nim przeszedł. Ani on miał dotychczas wyobrażenie, do jakiego stopnia zuchwalstwa niedbalstwo i zaślepienie piórwszych urzędników królestwa doprowadziło tych chytrych ludzi. A co go w tój przemowie oburzyło najbardziej, to to że Fleming, rozprawiając tak szóroko i pogardliwie o nadużyciach i bezprawiach narodu, o sprawowaniu rządów przez króla i o jego obowiązkach, o paktach, nawet i mimochodem nie wspomniał. – Widząc to tedy Jerzy ledwie mógł ustać na miejscu. Czegóżby nie dał był za to, gdyby mu wolno było głos zabrać i wypowiedzieć to wszystko, co miał w tój chwili na sercu. Lecz nie lża, jako wieszcz mówi, nie wolno mu to było i musiał stać tylko i słuchać. Patrzył więc tylko z tóm większą niecierpliwością na tych, którzy razem ze swoją młodością wyszli z pod jarzma utrzymywanego zaśniedziałym przesądem, a którym zatóm wolno było głos zabrać, gdyby tylko chcieli. Tak patrzył on na Rybińskiego Jakuba i Dorpowskiego, którzy tu byli przytomni, a nareszcie na Sieniawskiego, którego

głos właśnieby mógł zaważyć najwięcej, boć stał na czele całego Wojska. Ale wszyscy ci trzej milczeli. Ożarowski się zniecierpliwił do najwyższego stopnia.... ale wtóm przecież głos zabrał nareszcie Jan Szembek, kanclerz w. koronny, a starosta grudziąski. I począł dobrze, zwolna lecz z wielką powagą, z poszanowaniem dla majestatu ale z godnością, wywodząc jasno, rozumnie i zacnie Zabezpieczone prawa korony, ale zarazem i sprawiedliwe pretensye narodu. Wstąpiwszy wreszcie w kolój owych nadużyć i gwałtów, które naród znosił bezprzestannie, nie mógł już słów^Tek obwijać W bawełnę i mówił tak, jak się rzecz sama słowiła. Już tóż się Zarumienił cokolwiek, już jego oczy coraz jaśniejszym błyszcząły ogniem, już się i'zgromadzenie zaczęło trochę ożywiać, – ale w tej Właśnie chwili Fleming przerwał mu mowę i rzekł: iż wió o czem kanclerz chce mówić, iż to nie należy do rady, że sprawiedliwość rządu jest rzeczą królewskiego sumienia, za którą odpowie potomości i Bogu, ale nie nieposłusznym poddanym.... Tak kanclerz Umilkł – a po nim nikt się już liie odezwał. Zapytywał jeszcze potóm Fleming senatorów co poważniejszych, czyli nie mają jakich istotnych, ugruntowanych powodów do obawiania się tych rozruchów? – a kiedy i. z tem nikt się już nie odezwał, a nadto jeszcze Wszyscy zapewnili króla o swojej niezachwianój wierności, na tóm skończyła się rada. Szli potem wszyscy do królewskiego stoju, któren był arcy-wykwintny – a po obiedzie wyprawił król dla swych sług wiernych przepyszny festyn na kępie, przy którym grała poczwórna kapela, bito z dział i moździerzów i spalono ognie niemieckie i greckie. Nazajutrz zaś po tym festynie ubezpieczony O spokój domowy August zabrał niebezpiecznego kanclerza ze sobą i wyjechał do Drezna, zostawiając troski korońne na głowach feldmarszałka Fleminga i hetmana Denhoffa, podówczas pierwsz³'ch i najzaufańszych ministrów.

Kiedy po owym festynie Ożarowski powrócił razem z hetmanem na swoją kwaterę, dziwnie był smutny i tak rozstrojony, jak gdyby kto w nim wszystkie struny żywota potargał. Widać to nawet było po nim już na piórwszy rzut oka, albowiem siadł W kącie, milczał jak głaz i czasem tylko ciężkiem się ogłosił westchnieniem. Widząc to, hetman, który się także w tej komnacie ²najdował, lubo sam nie czuł żadnego do smutku powodu, jednak także posmutniał i nawet z dosyć wyraźnóm współczuciem na Je ■ rzego spoglądał. A to współczucie było w samój istocie w znacznej przynajmniej części 'serdeczne, bo już to hetman natenczas ¹ sercem się był przywiązał do tego zacnego młodzieńca i wreszcie ^{ta}k pracowite, rzetelne i pożyteczne miał z niego faćłum% że ^ni sobie to wyobrażał, jakby się mógł obejść bez niego. Domyśliwszy się z łatwością, co go tak osmuciło, a chcąc mu ulżyć tego ^{Ci}żaru, rzecze mu także z westchnieniem:

– Ot! takie to rzeczy! wszystko się psowa, maleje i pada, ^a niema, ktoby skuteczne podał na to lekarstwo.

Słyszając, to Jerzy wstał nagle i rzekł prawie porywczo:

– Bo panowie sami nie chcecie, ażeby temu poradzono skutecznie! A wszakże dobrych lekarzy jeszcze i dzisiaj nie braknie, ale czy zachowuje się kto wedle ich recept? Albo i na co tutaj lekarzy? Czyż, jak postępować, nie dyktuje każdemu jego własne sumienie? ale czy słucha kto tego sumienia? mieliśmy dzisiaj dowód tego najlepszy. Kanclerz sam nie mógł nic sprawić i musiał przed Flemingiem zamilknąć; ale gdyby się byli wszyscy senatorowie za kanclerzem oz wali, ciekawym bardzo, czy nie byłby musiał Fleming zamilknąć? A już jegomość to bardzo się wstrzeźliwym okazał; dlaczego tóż wszyscy się oglądali na jegomości i słusznie, bo to nie każdy może mieć tyle odwagi, co ten, który ma czterdzieści tysięcy do dyspozycji.

A na to hetman:

– Ej! mój kochany! tak to się gada! czterdzieści tysięcy łachmanów, wielka to rzecz przeciw trzydziestu tysiącom Sasów i kilkudziesięciu tysiącom wojsk' sprzymierzonych! Trzeba mieć przecie jakieś zachowanie, bo to wcinę wywołać i lada burda potrafi, lecz biada temu, kto ją woła li na to, ażeby świeżą krwią zalał niwy ojczyste. Nie przeczę ja temu, iż jest tu dziś taka po- zycya, że możnaby się i na to odważyć, – niepomąłu mnie tóż świerzbiała ręka, kiedym słyshał perorującego tak z piętra jmc feldmarszałka, lecz na to, pewnie mi sam nie zaprzeczysz, na to trza nie być hetmanem wielkim koronnym, trza nie być kasztelanem krakowskim i trzeba nie mieć z połowy lat tych, które ja noszę na karku. Starość już nie rozpoczyna, a jeno kończy; starość nie radość, mój panie Jerzy!

– Starość, starość! -7- zawołał na to młodzieniec, – otóż to cała tajemnica naszego status. Ta starość nas gubi i zgubi pomąłu. Ale nie myślcie panowie, żeby to była starość waszego wieku; bo jest to raczój tylko form starość, starość zwyczajów, które się' zamieniły w prawa, starość praw, które z upływem czasu stały się przesadami. Wieleby o tórn dziś mówić! lecz krótko powiem: weź jegomość najzdrowszą wodę kryniczną i zamknij ją szczelnie choćby też i w najczystszońm naczyniu, a za dni kilka zgnije ona koniecznie. Otóż tak także z nami. Zamknęliśmy się w naczyniu naszój dziadowskiój puścizny, i gnijem. Wszyscyśmy dzisiaj już starzy, nie wiekiem, nie rozumem, nie potarganą siłą fizyczną, aleśmy starzy duchem; zatęchniałym i przechodzącym w zgniliznę.

A to rzekłszy dosyć dobitnie i widząc, że hetman słyshał go niemal z zdziwieniem, przystąpił zaraz do niego, pocałował' go w ramię i rzekł:

– A jegomość się na mnie nie gniówaj, zem to tak gorzko powiedział; ale mnie bardzo dziś zakrwawiło się serce, a niepodobna rzecz dla mnie trawić w swóm wnętrzu krew taką zapiekłą! Jeżeli to zaś powiedział, to nie dlatego, ażebym się chciał

Jegomości uprzykrzyć, bo wiesz przecie jegomość, że go kocham Jak ojca i choćbym miał jaką truciznę na ustach, to ją raczój sam Połknę, niżelibym ją miał memu ojcu podsunąć.

Więc tedy hetman, lubo już się był¹ schmurzył cokolwiek, ²araz wyjaśniał, pocałował Jerzego w głowę i rzekł:

– Nie bądźże dzieckiem, mój Jerzy, i nie myśl proszę, żebym cię już nie poznał do gruntu i nie szanow¹ał wedle wartości. ^ toż i mówić ci- wolno, co się podoba, zwłaszcza kiedyśmy sami, Jakem ci to już nieraz powiedział. Tylko w tym, pozwólże mi, abym ci się sprzeciwił, że u nas wyższe urzędy i dostojeństwa Nabywają się tylko zasługą imienia, fortuny albo nawet kabały. Jużci i to się zdarza niekiedy, lecz zdaje mi się, że się na to nikt skarżyć nie powinien. A czegoż-to u nas potrzeba, by zasiąść W jradzie, albo urząd pozyskać? Oto trza być szlachcicem osia-
, i pełnoletnim. A że urzędy wyższe przychodzą dopiero
y wieku późniejszym, tożto rzeż naturalna, bo trzeba przecież jakoś na nie zasłużyć. Jednakże co do ciebie, to ja tak myślę, że mało kto u nas dostąpił w tak młodym wieku urzędów wyższych, Jak ty ich dostąpisz; miej tylko cierpliwości cokolwiek a, spuść się na mnie, już tóż ja o tóm pamiętam.

Więc tedy Jerzy już to pominął, zaczem Sieniawski znów mówił o tóm, jak to źle jest, że król teraz wyjeżdża i w chwili *ak ważnój -zostawia naród w sióroctwie.

ki -r Albo to źle jest, albo i nie źle. Król w naszym narodzie jest uświęconą, osobą, a już sama jego przytomność byłaby znanym hamulcem dla szlachty, upominającój się z bronią w ręku

⁰ swoje prawa, chociaż najsprawiedliwsze. Kiedy zaś jego nie będzie, trochę się śmielój zabiorą do tych panów ministrów.

Więc tedy hetman jakoś dziwnie popatrzył na niego, a na- Wet i ramionami wzruszył i rzekł:

– Mówisz tak, jakbyś już sam był konfederatem.

Jerzy umilkł. Zaczem znów hetman powiadał, że sam nie Wió co robić; czy pozostać jeszcze na chwilę w Warszawie? czy Powracać, do domu?

A Jerzy na to:

– A czego nam tu siedzióć w Warszawie, gdzie rządzą inni, ^a nas traktują jak obcych? czyż nie mamy miast takich, w których jesteśmy w domu, ba, i Sami rządzymy, że nas tam inaczej kśdą przyjmować?

Nie miał tedy Sieniawski nic przeciw temu, zwłaszcza że sam nie lubił w takich przebywać miejscach, gdzie był ktoś starszy niego. Tak więc nazajutrz, zaraz po wyjeździe królewskim do P*ezna, i oni wyjechali do Lwowa. Tam hetman zamki oglądał

¹ mury, wojsko przeglądał, zaopatrzył je w broń, żołd mu kaza? ^wypłacić, barwę odnowić, — osądził spraw kilka zaległych, jako tamtejszy starosta, dał suty obiad dla duchowieństwa, oficerów ¹ szlachty, — a nakazawszy Kampenhausenowi, aby się miał na

baczności i regularnie mu zdawał raporty, znowu do Brzeżan powrócił.

Ale tymczasem ów rozruch, za powodem zacnego Wielogłowskiego przez szlachtę podgóorską wzniecony, lubo do niego zuchwały Fleming żadnej nie przywiązywał wagi, zaczął się niby to zwolna, ale bardzo gruntownie rozwijać i rozprzestrzeniać. Zapomagani roztropną lecz szczerze życzliwą radą księcia Janusza Wiśniowieckiego, podgóorzanie przez długi czas jeszcze unikali starcia się ze Sasami; jednakże stojąc w polu pod chorągwiami, rozsyłali z wielką skrętnością posłów do innych województw i w ogóle wszelkimi możliwymi środkami wpływali na nie, ażeby nie odwlekając już nadal sprawy tak ważnej, poszły za ich przykładem. I dalsze województwa jeszcze się długo wahały, – ale Sandomierzanie, pobudzeni determinacją Morsztyna, swojego wojewody, a oraz gorącą wymową Bobrownickiego Jana. już w kilka tygodni także stanęli pod bronią. Małopolanie oglądali się bardzo na Sandomierzanów, – więc kiedy ci już się zgromadzili, a nawet po wszelkiej formie obrali marszałkiem konfederackim Stetkiewicza, kasztelana zawichostskiego, a substytutem Bobrownickiego, więc już i oni nie wahali się długo i zaczęli się wiązać kolejną i wstawać. Prócz tego zaszedł tu wszakże w tym kącie jeszcze inny wypadek, który już całę głośny i prawie decydujący dał plus tej arcy ważnej imprezie. Tu bowiem nad Wisłą, pod Pokrzywnicą miasteczkiem, stały kwarciane wojska w dość znacznej sile, które ich główny dowódca Brzuchowski, kasztelan lubaczowski, na odgłos rozruchów podgóorskich pościągał i tam się rozłożył. Brzuchowski, acz blizki przyjaciel hetmański, był jednak sprawie narodu przychylny i sam puszczał rozgłosy pomiędzy wojsko, iż powinnyby teraz uczynić związek i stanąć z narodem. Nie miał on wprawdzie dosyć odwagi, ażeby sam stanął na czele związku, lecz przygotował go dostatecznie; więc kiedy po jego śmierci, właśnie w tę chwilę zapadłój, Górszyński, Wielkopolanin, w spółkę z Janem Klemensem Branickim koło wojska się zawinął, to i związek stanął natychmiast i już bez żadnój odwołki. I związkowym marszałkiem został obwołany Górszyński, a vice-marszałkiem Branicki. Górszyński, jako człowiek serdeczny i jaknajprędzej popisał się chcący, mając jeszcze do tego Branickiego przy sobie, żołnierza zdolnego i wyćwiczonego w tój samój szkole co Ożarowski, lubo jeszcze natenczas nie miał o wiele więcej nad dwa tysiące żołnierza, wyciągnął natychmiast w pole – a napadłszy na pułkownika Howerbeka, który na czele pułku kirasyerów saskich i kilku kompanij piechoty stał pod Radgoszczą, dwa tysiące Sasów w pień wyciął, zabrawszy im konie, broń, wozy i kilkakroć sto tysięcy talarów. To nagłe i tak świetne zwycięztwo dało zaraz zupełnie inny rozgłos konfederacyi i przyniosło ze sobą ten skutek, że wszystkie drobniejsze komendy wojska, kunsystujące w pobliżu, natychmiast się poruszyły, a tłukąc po drodze Sasów, przerzy-

pały się do szczęśliwego marszałka,* przystępując do jego związku

¹ oddając się jego dowództwu. Tak wzmocniwszy swe siły, Górzyński natychmiast spotkał się z pułkownikiem Mierem, który Wyszedł przeciwko niemu we trzy tysiące Sasów i stoczywszy

² nią bitwę, tak dobrze przepłoszył, że ten napastnik, dwanaście mil jedną noc zrobiwszy, ledwie sam zdołał uciec i zamknąć się W murach Krakowa. Poczem zaraz Górzyński połączył się z szlachtą podgóorską i sandornióorską]3od Proszowicami i pociągnął na generała Baudycza, który na czele półtrzecia tysiąca Sasów stał W Nowem-Mieście Korczynie; tam go obiegł, żołnierz zabił, zabrał, rozproszył, a samego dowódcę tylko pod tym warunkiem Wypuścił, że póki życia nie będzie się bił. O czym gdy wieści się rozbiegły, zaczęto już wstawać po wszystkich miejscach, kon- federacye wiązać i wyciągać w pole.

Więc kiedy te rzeczy się działy, zuchwały Fleming, lubo już widział, że się w swoich rachubach omylił, jednakże wcale fanta- zyi nie stracił. Przedsięwziął sobie postawić czoło narodowi i siłą siłą odeprzeć, a w tóim przedsięwzięciu tak nawet się zacięła, że na oczywisty znak jego brodę zapuścił, dając parol najświętszy, 2e póty go nie ogoli, póki tego rozruchu nie stłumi. Obaczymy} poniżej, ażali parolu dotrzyma. Na teraz wszakże wziął się w sa- niój istocie gorąco do rzeczy i pobiegł najpierw do Wielko-Polski, gdzie pod zastoną generała Szeremeta (Szeremetiewa?), powracającego z wojskiem rosyjskióm z Pomeranii, zaczął zbierać porozrzucane tamże komendy saskie. Udawał on się nawet do cesarza Piotra Wielkiego, który natenczas zabawiał się w Gdańsku, z prośbą o pomoc, ale pan ten odpowiedział poprostu, iż na wolność sprzymierzonych ze sobą Rzeczypospolitej polskiej następować nie będzie, i ani co dał, ani też obiecał. Tak tedy Fleming sam został; pomimo to jednak był on jeszcze o tyle czynniejszym. Jakoż natychmiast wszystkie komendy swoje pozbierał, z miast pre- zydy pościągał, a z niemi zagarnął także i trzydzieści pięć chorągwi kwarcianych, które tamtędy konsystowały. Agitował się Wtedy wielkopolski trybunał, którego marszałkiem był Jakub Rybiński, generał-regimentarz a wojewoda chełmiński, którego gdy znalazł Fleming, wziął sobie go do pomocy. Z jakim tam sercem zacny pan Jakub stawał, przy boku królewskiego ministra, trudno Powiedzióć z pewnością, zdaje się jednak, iż tym razem wtłoczonych na siebie obowiązków nie bardzo gorliwie dopełniał, co widać ztąd, iż gdy z zabranemi wojskami szedł do Warszawy, to °we trzydzieści i pięć chorągwi kwarcianych, za powodem Górskiego, porucznika chorągwi husarskiój, namówiły się z sobą po brodzie i bez żadnej trudności do Górzyńskiego uciekły. Czyja W tem była wina, leżało już prawie na dłoni, ale pomimo to powożenie Fleminga było w tój chwili takie,* że nie śmiał nawet Rybińskiego za to strofować; owszem, przeciwnie, sam go usprawiedliwiał, zwałając winę na drugich, obawiając się i słusznie, ażeby

i on jeszcze go nie porzucił. Zaczóm już tylko jak mógł najpo- I spieszniej resztę wojsk saskich pozbióráł, a nagromadziwszy ichl przeciw przeszło szesnaście tysięcy, wszedł do Warszawy i tam I sobie główną, założył kwaterę. Ztamtąd tóż zaraz ogłosił ów du-] mą, i zuchwałością ziejący uniwersał, mocą którego ogniem i mie- 1 czem zagroził tym wszystkim, którzyby mu się poddać nie chcieli, I i w ten moment wyciągnął w pole, rozpoczynając kampanią.

Jednakże tak szczęśliwie zaczęta konfederacya wcale się tem I nie dała zastraszyć; owszem, jeszcze od tego czasu znakomicie i urosła. Jeżeli bowiem Górzyński nie odpoczywał i już to przez \ szczęśliwe batalie, już przez zręczne ściąganie wojsk kwarcianych I do siebie rósł w sprzęt wojenny, pieniądze i ludzi; –tóż znów i szlachta wstawiała sama i zaciągając z własnej szkatuły pachółków, tudzież garnąc do siebie ochotnika, pomnażała dzielnie siły i konfederacyi. Tak w owe czasy wstał był Kałdowski w woje- I wództwie kaliskióm i napadłszy na oddział saski, który był Mier | z porucznikiem Winklerem z Krakowa wyprawił, zniósł go i zabrał. Tak w ziemi wieluńskiej powstał na własną rękę Nagórski, i spotkawszy pod Wieruszowem dwornych ludzi królewskich, po- ! bił ich i rozbił. Tak wypłynął znowu naówczas ów przestawny Grudziński i rozbiwszy w Łęczyckióm kawalerów. kordegardy królewskiój f Gardę du Corps), urósł w ten moment ogromnie. Tak wreszcie zaczęli powstawać dotychczas jeszcze cicho siedzący panowie; najpiórwszy z nich pan Michał Potocki, pisarz polski koronny, który wyskoczył odrazu we trzy tyciące ludzi, w odwet za sędziszowskie i czerlenieckie pożogi wypłukał hetmanowi Sieniawę, a idąc ztamtąd, uścielił trupem trzy mile. W ślad za nim powstał brat jego Józef, podówczas starosta bełzki, Tarło, kuchmistrz koronny, Jabłonowscy, Wiśniowieccy i inni. Wszakże pod jesień powięzały się już i województwa, nieledwie wszystkie, i powystawiawszy znaczne chorągwie i poczty, poczęły się zgromadzać w północnój stronie województwo ruskiego, a mianowicie na ziemi lwowskiój. Stańto tam wtenczas województwo krakowskie pod marszałkiem Marcinem Rybińskim, sandomierskie pod Stetkiewi- czem, ruskie pod Rosnowskim, lubelskie pod Kossakowskim, wołyńskie pod Ledóchowskim, ziemia chełmska pod Romanowskim, przemyska pod Charczewskim, inne zaś pod innymi. Była to rzecz prawie jak umówiona, albowiem czy tu czy owdzie trzeba się było zgromadzić koniecznie, ażeby porozumieć się z sobą, obrać jakąś naczelną tój sprawy władzę, a nareszcie ogłosić światu, co ma ta sprawa na celu. Owo więc, kiedy się te wszystkie siły na ziemi lwowskiój znalazły i przypadkowym sposobem małe miasteczko Tarnogród otoczyły dokoła, więc tóż i to miasteczko obrały sobie za miejsce narad i tam powysyłały swoich pułkowników. Więc od województw stanęli ich marszałkowie, od wojska marszałkowie związkowi i główniejsi regimentarze, a oprócz nich jeszcze i rozmaici panowie, jako obadwa Potoccy, ksiązę Czarторыski

chorążych litewski, książę Janusz z Wiśniowca wojewoda krakowski, ^{Or}dynat Zamojski, Mniszech piarsz sanocki, Morsztynów dwóch, ■ [^]yszkpwski kasztelan sandomiński a Dębiński wojnicki, Ossoliński kasztelan połaniecki a Wolski przemyski i wielu innych, któ- ^rych tylko wiadomość o tym zjeździe dobiegła zawczasu. Byli [^]kże posłowie od ziem co bliższych, duchowieństwa cokolwiek, ^a szlachty, jak zwykle przy takich zjazdach, moc niezliczona. Ci Wszyscy zgromadzili się na dniu 26 listopada w tarnogrodzkim kościele św. Ducha i pod dyktando księcia wojewody krakowskiego rozpoczęli obrady. I nie trwała ta cała sprawa nad parę godzin, bo kiedy Morsztyn, starosta kowalski, z gotowym już instrumentem konfederacji w duchu jednoznacznej opinii spisanym Wystąpił, a po jego odczytaniu pisarz koronny Potocki Ledóchowski, podkomorzy krzemieniecki, na generalnego marszałka zaproponował, – to i na wszystko się od razu zgodzono i jednomyślnie przyjęto. I tak stała się owa konfederacja Tarnogrodzka mocą której „bezpieczeństwo królewskie, całość Państwa Cormentów i nietykalność praw narodowych” postanowiono, zaprzysięgając zarazem póty stać w polu i bić się, póki wszystkie pretensje narodu nie zostałyby zaspokojone. – Zaczem po dopełnieniu tego aktu, generalny marszałek konfederacji powyprowadził natychmiast posłów do Litwy, do oddalonych województw i starszych dygnitarzy koronnych, a sam bez zwłoki wyciągnął w pole, aby postawić Czoło zbliżającym się Sasom...

Przez Cały czas ten hetman Sieniawski bawił się nieprzerwanie w Brzeżanach. Wielkie tam Ożarówski musiał z tym niestępczym człowiekiem przechodzić terminy, ażeby go przez czas długi i tak burzliwy w nieruchomości utrzymać; ale już wtedy żadnych zabiegów, żadnych nawet poświęceń nie szczędził, byle tylko dokazać tego, co było rzeczą tak ważną. Pomagały mu Wprawdzie do tego celu - i hetmanowa i Zosia, – podobno więcej ² obawy o męża i ojca, ażeby się na nowe nie narażał niebezpieczeństwa, niżeli z chęci usłużenia tom dobru pospolitemu: – ale i ta Pomoc nawet byłaby się na nic nie zdała, gdyby nie jego własna czujność, przewidująca przezorność i dziwnie przebiegła zręczność, ^{za} pomocą której utrzymywał hetmana jużto w zupełnej niewia- doiności, już w nieprawdziwym rozumieniu zaszłych wypadków; ^a nareszcie gdyby i nie to, że już natenczas uzyskał sobie wpływ Prawie przeważny na niego, a to wpływ taki, że jeśli tylko nie Wymagał nadto, czego się wszakże strzegł bardzo pilnie, to zamsze swego dokazał. Tym też tylko sposobem mógł on wy- jnąć to na Sieniawskim, że dotychczas się wcale nie porozumiał ¹ Sasami, że w niczym zgoła nie zaszkodził konfederacji i że tak ² naczną część wojska, zostającego pod jego "komendą, przeszła bez ^{za} żadnej przeszkody do związku. Stało się nawet nareszcie, że i te ^ojska kwarciane, które konsystowały na kresach Podola i Ukra- ^{lny}, lubo z rozkazu hetmana sam Ożarow ^Tski wyprowadził do nich or-

dynans, ażeby przyszedł do Lwowa, przecież rozkazu tego nie wykonały, tylko Lwów pominąwszy, poszły do Górzyńskiego.

Jednakże takie apatyczne usposobienie hetmana, bardzo Jerzemu miłe, nie trwało długo. Jak tylko bowiem przysłała wiadomość o zbióranii się wszystkich województw na ziemi lwowskiej, (czego już niepodobna było utaić, bo te liczne zastępy przez cały kilka tygodni się tam ścigały), uspokojony lew zbudził się ze snu i nanowo wstrząsnął grzywą.

– Pojedziemy do Lwowa, – rzekł on raźnie Ożarowskiemu, – trzeba zbliżyć się temu przyrzeć.

Nietrudno się tego domyśleć, o ile się Ożarowski tój podróży spodziewał; ale znalazłszy hetmana dosyć upartym przy tym kaprysie, nie chciał nareszcie się bardzo opierać. Jak bowiem z jednej strony obawiał się swoim uporem jego upór, a za nim może i jakie dalsze i gorsze skutki wywołać, tak znowu z drugiej, wniosując z zaszłych wypadków, że hetman już dzisiaj nie może tak bardzo konfederacyi zaszkodzić, nie przywiązywał do tój podróży żadnego prawie znaczenia. Przeciwnie nawet, mając już jawne dowody swego nad Sienią wskim przewagi, spodziewał się, iż przy szczęśliwych okolicznościach podróż ta jeszcze ku czemu lepszemu posłuży.

Tak stało się, że Sieniawski zabrawszy z sobą znaczną część swego dworu, a z nią i Jerzego, pod koniec listopada wyruszył nareszcie do Lwowa. Przyjechawszy do tój stolicy swego starostwa, którą za swoją własną uważał, stanął na niskim zamku, zwyczaj swój rezydencyi, o której już wszakże powszechnie wiadano, a nawet i publicznie mówiono. Mówiono nawet i więcej, niżeli się potóm ziściło, jak to zwyczajnie o każdym ważniejszym zdarzeniu przesadnych wieści nie braknie. Kiedy te wieści doniosły się do hetmana, słuchał je pilnie, wypytywał się bardzo ciekawie; lecz na rzecz samą zdawał się być obojętnym. Mówił o tóm z Jerzym niejednokrotnie, a w tedy prawie zawsze powtarzał :

– Niechaj już robią co chcą, byle coś statecznego zrobili i żeby się to jakoś skończyło.

Takie usposobienie hetmana było oczywiście dla Jerzego źródłem niezadowolonej pociechy. Nie licowało ono wprawdzie cokolwiek z jego usposobieniem wczorajszym i niewiadomym mu był powód, dla którego Sieniawski tak nagle ku dobremu postąpił; lecz młody Jerzy rad mu uwierzył, bo zdało mu się, że hetman, przerobiony przez niego, już był tego samego usposobienia w Brzeżanach, tylko nie miał tam ani powodu, ani tóż sposobności tak dobitnie się z nim wyjawiać. Jednakże domysł ten był jaknajzupełniej fałszywym. Albowiem hetman, nietyko że w gruncie serca był zawsze konfederacyi przeciwnym, lecz teraz, widząc ją w takim rażnym posypie, jeszcze tóm więcej się przeciw niej wzburzył. Obudziła się nawet w nim żądza jeżeli nie szkodenia jej po

nieprzyjacielsku, to przynajmniej zwichnięcia jój rozszerzonych rozmiarów zapomocą jakiój intrygi albo podstęp. Jeżeli zaś z temi uczuciami tał się przed Jerzym, a nawet umyślnie wcale przeciwne usposobienie udawał, to czynił dlatego, iż jak z jednéj strony zanadto już uległ był przeważnemu wpływowi Jerzego, ażeby mógł być mieć odwagę do otwartój z nim wojny, tak znowu z drugiój przez wyjawienie swoich usposobień istotnych obawiał się zrazić dla siebie tego człowieka, który w owych czasach krytycznych był jedyną, ostatnią, a przy tórn tak dzielną podporą dla niego. Sieniawski więc, krótko mówiąc, bał się Ożarowskiego; bał się zniechęcić go dla siebie, bał się go stracić, bał się nareszcie nawet i zgryzotę mu przynieść, bo pomimo sprzeczności z nim w politycznych opiniach, o ile czuł rzeczywisty szacunek dla jego zdolności i charakteru, o tyle także miał i pociąg serca ku niemu tak silny, że ani chciał, ani mógł mu się oprzócć. Pomimo to Wszystko przeciw wkorzenione w jego umyśle i w nałóg, już zacienione polityczne opinie były tak silne, że jalf. tylko się po temu zdarzyła sposobność, to nie mógł się oprzeć żądzy uczynienia zadość swym nałogowym pochuciom. Jakoż natychmiast po Wyrozumieniu obecnego stanu konfederacyi, w największój tajemnicy przed całym światem, wyprawił Humieckiego, wojewodę podolskiego, do Tarnogrodu na zwiady, chcąc się dowiedzieć najpierw: czyli i na kogoby on tam mógł liczyć w tórn zgromadzeniu? ^a powtóre, czyliby w razie takim, gdyby sam zjechał do Tarnogrodu, ulgi w imieniu króla obiecał, a wojsku zaległe żołdy wypłacił, mógł konfederacyi przeszkodzić? Intryga ta, jak to samo ze siebie wynika, nie przyniosła żadnego skutku, a nawet upadła jeszcze przed rozpoczęciem; lecz lubo była najgrubszą tajemnicą okryta, przeciw z upływem czasu odsłoniła się choć w części przed bacznóm okiem Jerzego. Odkrycie to, o ile wcale pod owę porę niespodziówane, o tyle bardziej zniepokoiło Ożarowskiego i spowodowało go do tem pilniejszej na hetmana uwagi.

Jakoż niebawem zdarzyły się i dalsze do podobnój niespokojności powody. I tak bezzwłocznie po wyjściu w pole konfederacych zastępów, napadli Sasi na Górzyńskiego i dosyć znaczną zadali mu klęskę, a jak to nigdy o podejrzliwość nietrudno, tak ¹ na niego wszczął się hałas niezmierny i rozszórzył się wreszcie do tego stopnia, że ten dotychczas tak znamienicie waleczny i tak szczęśliwy generał musiał złożyć dowództwo, a nawet poddać się ³dowój odpowiedzialności. Wypadek ten, zwykłym postępnem podobnych rzeczy, rozniecił trochę nieporozumień, a nawet i cokolwiek popłochu; kto zacne miał serce, ten się osmucił, zniepokoił ¹ modlił się Panu Bogu, ażeby klęska ta naprawioną została, – ^a tymczasem Sieniawski właśnie natenczas był najweselszym, ba- [^]it się sobie w najlepsze, a nawet jawnie z tej wojny szlacheckiój dworował.

Toż znów następnie, kiedy Branicki, po Górzyńskim mar

szalek związkowy, w kilka tygodni utłukł kilka tysięcy Sasów i w ogóle z takim nieustającym szczęściem wojował, że aż go Sasil musieli prosić o rozejm,—hetman był frasobliwy i mawiał chmur-I nie:

— Już tych Sasów, jak widzę, powybijają do nogi, a nie wiem za co, chyba przez wdzięczność, że nie dali Szw^ędom zwojować Polski.

I tak odtąd było już prawie zawsze. Do tegoż jeszcze jaki, tylko Sas przybiegł do Lwowa, Campenhausen przyjmował go jak swego, dla chorych szpital urządził, wyzdrowiałych zaopatrywał i do komend wyprawiał, a piónieżnych wydatków na to nie podejmował przecież ze swojej szkatuły. Wszakże w następnym czasie zaszło jeszcze ważniejsze zdarzenie. Oto zdradziecki Fleming, uprosiwszy sobie rozejm na tydzień, zakradł się sztuką do Zamościa, wziął fortecę i miasto, wyciął załogę do szcztu i zrabował, tak tamtejszym mieszkańcom, jak schronionój tam szlachcie, do kilkunastu milionów. Miał ztąd Sieniawski nową dla siebie pociechę; lecz co ważniejsza, z tego zdarzenia wypłynął ten skutek, iż niektórzy panowie, stronnicy sascy, wróżąc ztąd dla konfederacyi! upadek, zaczęli najeżdżać hetmana, namawiając go, ażeby otwarcie jako naczelnik królewskiego stronnictwa wystąpił, ogłosił woj¹sku natychmiastową wypłatę, zaległych żołdów i tym sposobem koniec położył konfederacyi. Nie bardzo się wprowadził Sieniawski ku tym namowom skłaniał, bo nietrudno mu było przewi¹dzić, że konfederacyi, licząc już teraz bez wojsk kwarcianych około pięćdziesięciu tysięcy ludzi, nie dadzą się tak łatwo pokonać Sasom, nieliczącym już ani dwudziestu; ale zawsze ta myśl go za¹nadto żywo zajęła, ażeby Ożarowski nie zniepokoił się tem do najwyższego stopnia. Jakoż natenczas, zważywszy tak naglące oko¹liczności, pełne niebezpieczeństwa i dla konfederacyi i dla hetmana, a nareszcie i dla niego samego, zamierzył zrobić krok jakiś stanowczy i w tym celu zaczął najpierw Sieniawskiego nakłaniać do wyjazdu ze Lwowa. Ale hetman, zaledwie wyrozumiał o co mu chodzi, zamiast go wysłuchać cierpliwie, jeszcze się zburzył na niego, mówiąc porywczo:

— Dajże mi pokój! już mnie, jak widzę, chcesz całkowicie osiodłać, a ja przecież jeszcze żyw jestem i nie poskładałem urzędów!

Wszakże przyzwyczajony do takich wyskoków, Jerzy nie dał się tómu zbić z tropu i począł mu przekładać niebezpieczeństwa, mogące dla niego wyniknąć, gdy będzie siedział we Lwowie.

—; A co mi się tutaj stać może?—zapytał hetman.

— Ja nie powiadam, — rzekł Jerzy, żeby się coś stać miało koniecznie, ale człowiek przezorny ma oko nawet i na to, co jest tylko podobnóm. A więc najpierwójbardzo podobną jest rzeczą, iż jegomość, wystawiwszy się tutaj na widok publiczny, a nie pomagając niczóm narodowi, ściągasz na siebie tego narodu niechęć

która za czasem może się zmienić w nienawiść. Powtóre, lada chwila zdarzyć się może, że konfederatom zachce się Lwowa, a wtedy jegomość znajdziesz się w położeniu fatalnem, albo bicia się z braćmi, lub ustąpienia bez żadnój z tego czynu zasługi lub chwały. A nakóniec i to jest jeszcze podobnóm, że ten albo ów oddział konfederacki, uniesiony czy to wmówioną czy osobistą zemstą, wpadnie w dobra brzeżańskie, przemysłańskie i inne i poczyni tam jegomości daleko większe szkody, niżeli je poczyniono w Sieniawie. Wszystko to zdarzyć się może, kiedy jegomość będziesz siedział we Lwowie, – a jest wprost niepodobnóm, kiedy osiądziesz w Brzeżanach.

Trafiły te argumenty do przekonania hetmana, jakoż bardzo się nad niemi zamyślił. Następnie przyznał słuszność Jerzemu, a nawet powiedział, że istotnie najlepiej zrobi, jeśli przyjedzie do Brzeżan; ale na teraz puścił to jeszcze po staremu w odwłokę – a tymczasem zaszły nowe zdarzenia.

Fleming, wzięwszy w drugie święto Bożego Narodzenia Zamość, zyskał wprawdzie przez to moralnie, a nawet się wzbogacił piónieżnie, ale pomimo to szali wojny ani jeden cień nie nachylił ku sobie. Konfederaci bowiem pozostawili mu tę fortecę, na którą wcale nie zależało, a za to tylko o tyle lepiej tłukli go w polu. Kiedy więc w krótkim czasie kilka znaczniejszych odnieśli zwycięstw, a do tego jeszcze Litwini księcia Weisenfelda tak serdecznie ścisnęli, że także już nie mógł odetchnąć, to Fleming wreszcie spokorniał trochę i zaproponował marszałkom konfederacyi, ażeby wysłali od siebie posłów do Rawy ruskiej dla zawarcia traktatu. Przysłał był nawet gotowy już projekt tego traktatu, mocą którego saskie wojska miały wyjść z Polski, wziąć na drogę po dziesięć tyńfów z każdego dymu, konfederacya miała jeszcze trwać do tego czasu, dopóki jój sejm, przez króla się zwołać mający, nie rozwiązał. Były to tedy jak widać punkta, które można było i przyjąć, zwłaszcza że im w samój istocie nie brakowało więcej, jak tylko oznaczenia terminów, tak wyjścia Sasów, jak i zwołania sejmu; dlatego też Leduchowski dał się skłonić do zjazdu i posłów od siebie rzeczywiście wyprawił. Tak przyszło do konfederacyi w Rawie ruskiój, na którą zjechali ze strony Rzeczy pospolitój: Rosnowski, Czacki i Kos, sędzia chełmski – a ze strony Sasów⁷: Sapieha, pisarz polny litewski, Fleming i Goltz.

Dowiedziawsy się o tóm Sieniawski, zerwał się także, ażeby jechać do Rawy. Pytał go Ożarowski o cel ich podróży, odpowiadał, że chciałby do prędszego zawarcia traktatu dopomódz, – lecz w rzeczy samej miał zamiar odzyskania komendy nad wojskiem, którą de facto utracił. O ile pretensya taka była niedorzeczną w tój chwili, prócz tego śmieszoną, a nawet upadlającą, nie potrzeba powiadać. Odradzał mu tóż jój Ożarowski, – ale był to kaprys hetmana, a na jego kaprysy nie było żadnego lókarstwa. Jakoż w samej istocie pojechał do Rawy. Ale jak ów traktat

przez Fleminga proponowany, skutkiem przezorności Ledóchow- skiego, nie doszedł, tak i Sieniawski przyjechał z niczem. I wrócił dziwnie zdąsany, ba, prawie już jawnie rozjątrzony przeciwko konfederatom; powiadał że ubliżyli jego godności, że go za nic nie mają, że go sponiewiórali, a nawet i z tórn się odzywał, że ich przekona, iż mimo to przecież jeszcze coś znaczy. Trza było jeszcze .do tego, ażeby wracając spotkał w bliskości Lwowa i tu i owdzie błąkających się konfederatów – a to go tak rozgniówało, iż jak tylko stanął na niskim zamku, przywołał zaraz do siebie majora Brześciańskiego, który, jak się wspomniało powyżój, na czele pułku grenadyerów konnych stał załogą we Lwowie, i kazał mu, aby zrobił wycieczkę z miasta i całą okolicę na trzy mile do koła z konfederatów oczyścić. Słyszając to, Jerzy mógł się śmiać z tego rozkazu, bo znał Brześciańskiego i wiedział, że nie miał się z tój strony czego obawiać. Jakoż istotnie, Brześciański za mury wyszedł i błąkał się po okolicy przez dni kilka – a ponieważ nie znalazł nigdzie konfederatów, a natomiast napotkał Sasów, więc Sasów potłukł, położywszy trupem około tdwóchset i zabrawszy im moderunki. Kiedy się Jerzy o tem dowiedział, był pewnym że hetman za to we wściekły gniów wpadnie i Brześciańskiego każe rozstrzelać, o co u niego, jak i o każdy nawet gwałt mniój uprawniony, nie było trudno. Ale się stało przeciwnie: hetman bowiem na wieść o tórn zgromieniu Sasów prawie oniemiał i ani słowa o tórn nie wspomniał nawet przed samym Jerzym. Wnosił wtedy ztąd Jerzy, że hetman przecież nareszcie właściwe swe położenie zrozumiał i uznał, że jakkolwiek z jego strony ma- nifestacja przeciw konfederacyi nietylko jest zgubną dla niego, ale ze zmianą okoliczności staje się wprost niemożliwą.

Jadnakże prawie w ten moment potem zaszło zdarzenie inne. Generał Baudycz, potłuczony pod Nowóm-Miastam i znów przez Fleminga w wojsko zaopatrzony, z końcem miesiąca stycznia znów został zbity pod Haliczem na Rusi. Uciekwszy z pola z jakimś tysiącem niedobitków, przypadł do Lwowa a Campenhausen otworzył mu bramy i przyjął jak swego w gościnę. Co więcój, Baudycz przyszedł na niski zamek, doznał od Sieniawskiego jaknaj- lepszego przyjęcia i zyskał na samym wstępie nietylko pozwolenie uzupełnienia swoich rozbitków we Lwowie, ale nawet mu hetman kazał dać trochę broni i obdarował go zasiłkiem pióńężnym. Wszystko to zaś stało się tak nagle, jak nagle Baudycz potrzebował pomocy, zaczął także tak nagle, że Ożarowski się o tórn dowiedział jako o rzeczy już dopełnionój.

Wypadek ten, nie trudno się tego domyślić, przejął Ożarowskiego tak głębką zgrzyotą, jakiój jeszcze nigdy nie doświadczył na życiu. Cała jego budowa, klejona przez czas tak długi z takim mozołem i pracą, zawaliła się teraz w jego oczach prawie do szczętu. Wprawdzie tą pracą wiele on zrobił, – przez swoje wpływy na Sieniawskiego niezmiernie on wiele sprawie pospolitój

dopomógł, – ale czyż tylko taka cząstkowa pomoc była jego zamiarem? czyż zresztą mógł znieść to na sobie, jak hetman samowolnie się rzucał na dno nienawiści i jeszcze jego za sobą pociągał?

Dlatego też zaraz pobiegł do niego, a przedłożywszy mu Wszystkie skutki tego postępku, które prawdopodobnie przewidział, nie prosił już ale żądał, ażeby Baudycz natychmiast usunął się z miasta i żeby w ten moment coś zrobić takiego, coby tę czarną plamę zatarło.

Postawiwszy takie żądanie, był przekonany że albo się W tej chwili jego stosunek z Sieniawskim rozerwie, albo tóż hetman, uznawszy swoją nieudolność, podda się jemu i ster spraw swoich zda w zupełności na niego. Nie stało się wszakże jeszcze teraz ani jedno, ani też drugie; albowiem zaśniedziały w swójój jednostronności Sieniawski, mimo całej jasności wykładu, ani go na- Wet zrozumiał i odpowiedział mu tylko zgryźliwie:

– Nie wiem ja już doprawdy, coś ty sobie upatrzył do tego pocziwego Baudycza. Potłuczono go i rozbito, czyż to taka gościnność polska, żeby mu nawet nie dać u siebie wypocząć? A jeśli on. Sas, to mnie to cale nic nie obchodzi. Jam neutralny. Kiedy nie kładę tamy, ażeby się moje wojska biły z Sasami, jakżeż mogę zabraniać u siebie spoczynku Sasom?

Odpowiedź taka, niepotrzebująca żadnych objaśnień, struła Ożarowskiego do reszty. Powróciwszy do siebie i rozebrawszy całe swe położenie, dziwnie był z siebie samego, ze wszystkich spraw swoich i ze wszystkiego, có dotyczyło się stało, niekontent. Czynił sobie nawet wyrzuty i o wszystko siebie obwiniał. Ze Wszystkich dróg, jakie mu po powrocie z Francji stały otworem, obrał właśnie najgorszą. Zamiast pracować w dzień jasny i na roli otwartój, włożył w jakieś zakamarki ukryte, chcąc tam roznieść światło, gdzie ono już istnieć nie mogło, bo było na zawsze zgaszone. Zamiast dorabiać się zasług twardą rzetelną pracą, chciał się w nie ubrać za pomocą sztuk jakichś, wprowadzić nie niesumiennych, ale wcale niesmacznych. A gdyby nawet i dopiął był na tój drodze jakiegoś wyższego celu, to czyż na końcu końców nie musiałby się być jeszcze usprawiedliwiać przed światem ze środków, jakich użył do tego? A licha to warta- taka zasługa W tóim życiu, która nie jest jasną i zrozumiałą dla każdego prostaczka i którą trzeba dopiero komentarzami objaśniać? – Tak sobie mówił Ożarowski, – a lubo bez żadnój wątpliwości miał jak- najczystsze sumienie, gorzko mu jednak było i postanowił sobie, cobądź się stanie, zerwać te stosunki nareszcie. Takie zaś

Wziąwszy postanowienie, czekał już tylko sposobności do czynu

" A tymczasem skutki przyjęcia generała Baudycza we Lwowie, odrazu przewidziane przez niego, zaczęły się sprawdzać powoli. Wieść bowiem o tóim prędko się między konfederatów rozniosła i obudziła w umiarkowańszych dla Sieniawskiego niechęć, w go

rętszych zaś wcale wrzącą nienawiść. Usposobienie to znalazło nawet tak obszerne uznanie, iż nie tylko przyjęło się między szlachtą, ale udzieliło się także i duchowieństwu, udzieliło się także po części i starszyinie wojskowej. Widział to Ożarowski, – dojrzał także i hetman i bardzo się tym ufrasował. Nie mówił on o tym z Jerzym otwarcie, ale skarżył się przed nim coraz to smutniej, że niema serca u ludzi, że mimo tak . długoletnich zasług wszyscy o nim zapominają. Skargi te wszakże, lubo może istotnie bolesne, nie wpłynęły jednak na postanowienie Jerzego: jakoż jednego poranku napisał on prośbę o dymisyą ze służby wojskowej, zebrał wszystkie swe siły i poszedł do gabinetu hetmana.

A działo się to w miesiącu lutym, w ostatni tydzień przed dniami bachusowemi. Właśnie na kilka dni przedtym przyjechały były do Lwowa hetmanowa i Zofia i pani stolnikowa krakowska, które wszystkie trzy razem przepędziły część zimy w Opolu. Zamierzyły one przez resztę zapust zabawić we Lwowie i może nawet liczyły na to, że po spodziewanóm zawarciu traktatu w Rawie, będą je mogły przepędzić wesoło. Ale tymczasem ów traktat nie doszedł i nie tylko odsunął porę uciech do dalszych czasów, ale jeszcze i Sieniawskiego nabawił nowych frasunków. Zastawszy go pełnego tak niestrawionój goryczy, wszystkie trzy damy jaknaję silniój starały się o to, aby go rozweselić i prawie przez cały dzień go bawiły. Lecz Ożarowski wiedział o tym i umyślnie wybrał tak wczesną godzinę, aby go zastał jeszcze w sypialni lub w gabinecie, a zatem bez towarzystwa. Jakoż istotnie go zastał samego i zaraz, opowiedziawszy mu krótko swoje postanowienie, oddał mu swoją dymisyą.

Nietrudno się tego domyślić, jakie ta niespodziewana wiadomość zrobiła na Sieniawskim wrażenie. Wyzuty z władzy de facto, pozbawiony znaczenia, pbrzucony niemal powszechną niechęcią, był on w tój chwili opuszczony przez wszystkich; – teraz ostatnia dusza przyjazna odchodziła od niego. Jakoż tylko zrozumiał nareszcie, z czóm Jerzy przyszedł, zerwał się z krzesła i zawołał z nieutajonym przestachem:

– Aż toż co znów takiego?! cóż to? czy żarty? czy i ty mnie chcesz prześladować?

Lecz Jerzy odpowiedział na to spokojnie:

– Jw. panie! nie dozwalałem sobie nigdy żartów z panem hetmanem, a dziś już mi wcale o nich nie myślć. O prześladowaniu ani już nawet nie wspominać. Jeżeli zaś jegomość chcesz wiedzieć, dlaczego go opuszczam, to opowiem krótko. Służyłem jegomości, Bóg widzi, z poświęceniem i przywiązaniem takióm, na jakim się tylko mógł zdobyć; lecz teraz widzę, że służba moja na nic się nie przydała, ani się przydać nie może. Jesteśmy odmiennego widzenia rzeczy we wszystkim i całkiem różnój fan- tazyi, a ztąd zamiast cobyśmy mieli sobie pomagać, jeszcze sobie zaszkodzimy. Mielibyśmy zaś wreszcie doczekać się tego, co

jest rzeczą nieuniknioną, żebyśmy się pogubili nawzajem, a toż le- piój rozejdźmy się dopóki czas jeszcze i idźmy każdy swym własnym torem.

Hetman niby słuchał tój mowy, ale podobno nie słyszał; W ten moment bowiem załamał ręce i rzekł głosem rozdzióra- jącym:

– Mój Jerzy, i dlaczegoż ty mnie porzucasz?!

Słyszając ten głos taki bolesny z ust starca którego na igraszkę rozswawolonych losów zostawiał, a do którego przecież, choćby już tylko skutkiem nawyknienia, niemało miał przywiązania, Jerzy się zachwiał i uczuł, iż trzeba tu prędko kończyć tę sprawę, bo inaczej nie dokończy. Jakoż się przewyciężył i zamiast da- Szój litości, zaczął mu cierpkie czynić wyrzuty za jego postępowanie, przemawiając do niego nieledwie tym samym tonem, ja- kimby był w tym razie każdy konfederat przemawiał. Hetman go słuchał, – lecz na nieszczęście, nim go zrozumiał i miał się oburzyć, podobno zawiadomiona przez kogoś, wbiegła hetmanowa ze Zosią do gabinetu – a tak ta rzecz wzięła zaraz inny kierunek. Więc tedy hetman, jak tylko kobiety obaczył, zwrócił się zaraz do nich i zawołał ze smutkiem:

– Patrzcie-no, co się tu dzieje! Ożarowski i pułk swój i służbę i nawet nas samych purzucal!

Na te słowa Zofia spojrzała na Jerzego i zbladła jak ściana. W tę samą chwilę wbiegła i stolnikowa krakowska i patrząc okrą- głemi oczyma na syna, jak gdyby mu wcale śmierć lub choroba groziła, stanęła zaraz przy Zosi. Wszakże tymczasem już hetmanowa w rzeczywiście przestraszu przyskoczyła do niego i chwytając go za ramię, mówiła prędko:

– Przez Pana Boga żywego, panie Jerzy, cóż tobie? czy cię kto tutaj obraził? czy zamało pamiętamy o tobie? czy cię konfederaci zbałamucili? zmiłuj się, mów, a wszystko się to naprawi.

Dziwnie się skręcił Jerzy na taki nagły zwrot tój sceny, bo wiedział, że teraz trudno mu będzie się przy swoim utrzymać. Mimo to jednak zebrał się i mówił, lubo z widoczną niecierpliwością, wszakże dosyć spokojnie:

– Pozwólcież państwo, niechaj się wytłumaczę, bo wam się zdaje, że ja chcę odjechać z kaprysu," uporu, obrazy, gniówu lub czegoś podobnego, a tymczasem postanowienie moje jest wypływem bardzo długiego namysłu i ręczę za to, że wszystkim nam, jak tu jesteśmy, jeżeli nie przyniesie zbawienia, to przynajmniej z pewnością od strat nas uchroni.

Tu zaczął mówić, opowiadając swój do hetmana stosunek tak samo, jak się miał w samój rzeczy. Lecz chociaż umiał bardzo wymownie to wszystko wydobyć, co stawało w obronie jego postanowienia, jednak ile że innym także wymowy nie brakło, wywiązała się ztąd dysputa aż do znudzenia długa, osobliwie dla Zofii, która jak w każdój innój, tak i w tój sprawie miała swe własne

widzenie. Dlatego też Zofia przerwała tę dysertacją, a przystąpiwszy tio Jerzego i wzięwszy go za rękę, tak rzekła do niego.

– Co nam tam długie dysputy! porozumiejmy się krótko. Pan: Jerzy jesteś nieprzyjacielem polityki mego ojca, to ja pojmuję; lecz czy dlatego musisz zaprzestać być przyjacielem jego osoby, a nawet i naszym?

– A jakto, pani? – rzekł Jerzy, – wszakżeż tak nie jest.

– Nie jest – spytała Zofia, – a jakto?... Czyż się przyjaciół w nieszczęściu porzuca?...

Na te słowa niespodziewane Jerzy się cofnął o pół kroku, spojrzął na Zofię, zacisnął zęby i rzekł:

– Nie, pani. Zginę z wami, pozostanę.

Wielkaż tedy pociecha! Zaledwie mogli się wszyscy posiąść z radości i uspokoić – a kiedy hetman całował głowę Jerzego* figlarna. Zosia przystąpiła po niego i rzekła:

– A widzi pan Jerzy, jakem pana złapała.

Cieszyli, się wszyscy tym śmiałym dowcipem dziewczyny, który ich w jednej chwili wyratował z niebezpieczeństwa. Sam tylko Jerzy. patrzył na tę radość z pochmurnym czołem, jakoż rzekł zaraz do Sieniawskiego dosyć surowo:

i⁴– No, panie hetmanie, kiedy mam zostać, to nie traćmy czasu na próżno. Zginem to zginem, mniejsza tam o to, lecz żeby hańba nie wyrosła na naszych grobach!

– I czegoż ty chcesz znowu, mój Jerzy? zapytał hetman.

A na to Jerzy:

– Chcę pana hetmana bronić zdrowiem i życiem, ale nie chcę go bronić utratą czci i zacności. Dlatego proszę przede- wszystkim, ażeby Baudycz wyciągnął z miasta.

– Ale wyciągnie, wyciągnie i bez naszego rozkazu. Właśnie ma dzisiaj być z pożegnaniem.

– A jak tylko Baudycz wyciągnie, – mówił dalej Jerzy, – to i my się wyniesiem i pojedziemy do Brzażan. A czego jegomość masz siedzieć we Lwowie? czy chcesz koniecznie być ludzkim językom na celu? czy doczekać się pory, w której Fleming czegoś zażąda od ciebie i występki popelnisz? czy doczekać się tego, żeby konfederaci postawili jakie żądanie do jegomości i żebyś im ich odmówił?

– No, bądźno spokojny, – rzecze mu hetman, – bo już i ty mnie masz za nieprzyjaciela. Dla Fleminga nic ja nie zrobię, bo go tóż nienawidzę, a żebym coś zrobił dla konfederatów i jeszcze jawnie dotego, nie wymagajże proszę odemnie, bo to nie mojarzecz. A zresztą, czyż-to nie dosyć już tego, co ty dla nich robisz?...

-y Co ja dla nich robię? – zapytał Jerzy, – nie wiedząc sam, jak ma to rozumieć.

Ale hetman się na to uśmiechnął i rzekł:

– A ty myślisz, że ja nic nie wiem?

Uśmiechnął się także i Jerzy, lecz dodał z powagą:

– Ej! lichoby stała podobno ta konfederacja, gdyby każdy dla niej tylko tyle uczynił, co ja.

W – A! tego nie wiem, bo trzaby o to pierwiej wyegzaminować komendy, – powiedział hetman z uśmiechem i zaraz dodał: – Ale już tam rób sobie jak chcesz, co mi tam na tóć! Jeżeli to tylko tobie pomoże, i owszem.

– Nie mnie to, panie hetmanie, pomoże, ale krajowi.

– A mnie? – zapytał hetman.

– I jegomości pomoże, i pomogłoby jeszcze daleko więcej, gdyby się jeszcze więcej zrobiło.

– Jeszcze więcej! – rzekł hetman i dodał po chwili, – już ja cię, jak widzę, nie rozumiem zupełnie. No, ale niech już tak będzie, kiedy nie można inaczej. Nie idzie mi o twoją politykę, jeno o twoją osobę; przyjdzie czas, że i w polityce się może zgodzimy.

Jerzy westchnął na to z głębi serca i rzekł:

– O! gdybyśmy się zgodzili choć w części!

– To coby było? – zapytał hetman.

– Byłoby to, – odpowiedział Jerzy z zapalem, – że do dwóch tygodni skończylibyśmy tę krwawą wojnę domową, a potem, po przywróconym spokoju, stanęlibyśmy pierwsi na tej jedynój drodze.

Słuchał go hetman z dosyć przychylną uwagą, a pomyślawszy, rzekł:

– Może ty masz w tóć i racją, bo rzeczywiście nic tam Zrobić nie można, gdzie siły są w rozstrzeleniu. Ale mióćno tylko cierpliwość; niechaj te wichry się uspokoją, to może i my pomyślimy o czemś takim, coby po nas zostało.

Wszakże z tych zacnych myśli, jak to prawie zawsze bywało u niego, wpadł znów na siebie i zaczął się skarżyć, że śród tych zawichrzeń domowych nietylko ściągnął na siebie nienawiść pewnój części narodu, ale nawet i przyjaciele najbliżsi, jako Potoccy, Lubomirscy, Wiśniowieccy i inni, także go opuścili. Ujęty tą serdecznością, Jerzy jak mógł tak go pocieszał i zaręczał mu, że aby tylko zmienił swoje dwuznaczne postępowanie, to się z nim naród bez trudności pogodzi, i przyjaciele powrócą i wszystko się zmieni na dobre.

A kiedy tak hetman miał już zapowiedzianej zgryzoty znalazł w Jerzym jeszcze nową pociechę, to i chciał mu ją wynagrodzić; jakoż dnia jeszcze tego samego przyniósł mu sam do jego kwatery patent na generalstwo i szkatułę z darami w klejnotach i złocie. Patent pozostał, bo już był ogłoszony rozkazem dziennym, ale szkatuły Jerzy nie przyjął, prosząc hetmana jaknaj-nsilniój, ażeby to zostawił na później. Przykro to było Sieniawskiemu, ale mu Jerzy powiedział wyraźnie:

■ – Niech tylko generał Baudycz do jutra, a my do dni kilku Wyniesiemy się ze Lwowa, to będzie to dla mnie dar najcenniejszy.

Jakoż Baudycz istotnie nazajutrz rano wyciągnął ze swojóm wojskiem ze Lwowa, a hetman postanowił sobie niezmiennie wyjechać do Brzeżan we wstępną środę. Lecz lubo ten termin wyjazdu był już tak blizkim, jednakże trudno zaręczyć, ażali w tych naglących okolicznościach nie okaże się jeszcze zapóźnym.

Albowiem już dnia tego samego, kiedy generał Baudycz wyciągnął z miasta, pojawiło się na ulicy Krakowskiej jakichś dwóch ludzi. Dzień się już chylił ku wieczorowi i śnieg padał wielkimi płatami, przysypując wyslizganą gołoledź, a więc i niebardzo ich można było rozpoznać; jednakże już na pierwszy rzut oka nie trudno się było domyśleć, że nie byli to ludzie miejscy, lecz obcy. Obadwa bowiem mieli burki kudłate na sobie, buty wysokie z ostrogami na nogach; a na głowach czapki futrzane z uszami. Jeden z nich był słuszniejszy, nos miał potężny i wąsy jak rogi jelenie; drugi zaś niski, straszliwie brzydki, z głową ogromną i barkami przygarbionymi tak bardzo, że jak garbaty wyglądał. Kto tedy bliżej im się przypatrzył, a znał ich kiedy, to i poznał nareszcie: że ów słuszniejszy był to jmc Piotr Wiszowaty, a ten przygarbiony, jmc Jan Domaradzki, co to go zwano Murzą tatarskim. Tak tedy szli, podpierając się czekanami, bo chociaż mieli buty kowane, jednak się bardzo ślizgali – a szli pod mury, zatuliwszy w burki, nic się nie oglądając ani mówiąc do siebie, właśnie jak gdyby się obawiali, ażeby ich kto znajomy nie poznał. Lecz kiedy doszli do trynitarzkiego kościoła, który się właśnie wtedy jnurował, rotmistrz przystanął, zatrzymał Murzę, obejrzał się po kamienicach i rzekł:

– Kamienica Bakerowa, o trzech kondygnacjach, trzy pkien z frontu, a nadedrzwiemi Baranek Boży z kamienia. Otóż jest! jeśli to tylko baranek...

– Jużci baranek, – odpowie Murża.

Zaczm przeszli obadwa na drugą stronę, obejrzeni kamienicę

dokładnie, a znalazłszy ją wedle opisu, weszli do sieni. Tam przy-1 stanąwszy w ciemnicy, rzecze rotmistrz do Murzy:

– No, idę ja do majora, a waść między Tatary. Tylko się i tam rozmów z nimi finalnie i weź od nich jurament na wszystkie bożki tatarskie, bo to naród zdradziecki. Zaczóm tóż nie zapomnij i reszty i o Kozaków się dobrze wypytaj, a kiedy się da co zro-| bić, to zrób i przyprowadź kilku ze sobą...

– Jużci ja o tóim pamiętam, – odpowie Murza.

– Terazże zasie pamiętaj, – mówił dalói rotmistrz, – że się zejść mamy u Dominika, jak tóż i o tóim, że ja od majora pójdę do sufragana; więc choćbym tak prędko nie przyszedł, to niómasz się czego obawiać...

– Już ja i o tóim będę pamiętał, – powiedział Murza, – ale trafiszże waść do Dominika? być to już dawno we Lwowie nie bywał.

– Ale o! przecie trafię. Przy tój połaci rynku, pod którą się idzie ku bramie halickiój, trzecia kamienica od rogu: Dominik Grzybek.

– Otóż tak jest, – rzecze Murza i na tóim się zaraz rozeszli. Murza poszedł w stronę Leibliausu, kędy stały chorągwie tatarskie – a rotmistrz na piórwsze piętro, gdzie mieszkał jmc Brze- ściański, major dowódca grenadyerów konnych.

Domacawszy się z wielką biedą wschodów i wydrapawszy się po nich na górę, musiał tam znowu drzwi macać, ile że ciemno było w tych sieniach, jak w garnku. Jakoż byłby się może i nie domacał, gdyby nie to, że w krótkiój chwili ktoś drugi wyszedł za nim na górę, a słysząc tę macaninę, zawołał:

– A kto tam się tłucze, jak Marek po piekle?

– Albo co waści do tego, – odpowie rotmistrz, przecie nie złodziej.

– Hój! czy nie Piotruś? – zawoła głoś na to.

– A jużci Piotruś. A to ty Stasiu?

– Jużci ja, jeno cicho, – odpowie major, bo i on to był w rzeczy.

Jakoż zaraz sam poszedł naprzód, otworzył drzwi od swojój komnaty, a wpuściwszy za sobą rotmistrza, zamknął je na klucz; poczóm wykrzesał ognia, zapalił świecę i pokazał się swemu gościowi we świetle. A był to chłopek prawie maleńki, jeszcze nie stary, ale barczysty, twardo stojący na nogach, jakoż i zadzierzysty, jak to zazwyczaj bywają mali. Więc obaczywszy się wzajem, zaraz się wzięli w ramiona i uściskali serdecznie, a major rzekł:

– Patrzajże, jak to dobrze zem przyszedł. A byłem na kompanii u naszego sędziego i bardzośmy się pięknie bawili; ani mnie puścić nie chciano, bo to tam imieniny: ale mnie tak cos swędziło, żeby koniecznie wrócić do domu. Otóż i wiem teraz dlaczego. Siadajże sobie, kochany Piotrusiu, a opowiadaj co jest,

bo my tu ledwie wytrzymać możemy. Stanęłaż jaka decyzja pomiędzy wami, albo tóż riie?

Na to zaś rotmistrz:

– Siadać nie będę, bo mi się śpieszy do sufragana, do którego mam poselstwo od pana Michała. Potóm tu wrócę i opowiem wszystko co zechcesz, jeszcze i ciebie o to i owo wypytam, bo nam się trzeba namówić. Teraz więc krótko. Decyzja jest. Idziem na Lwów, a za Bożą pomocą odprawim razem dni Bachusowe.

– No, chwałaż Bogu! – zawołał major, trąc ręce, a nie mogąc ustać na miejscu z radości, – a cóż z hetmanem?

– Hm! – rzecze rotmistrz, – siłaby mówić, a nie mam czasu. Jeszcze więc lukta jest o to, ale jakem Piotr Wiszowaty, napróz- no! Bo już tak jest: albo ja jego, albo on mój, na tom uczynił ślub w Częstochowie i na dno piekła mi iść, kiedy go nie dotrzy- mam. Ale z tętn cicho nateraz. Powiadajże mi, kędy mieszka sufragan?

» – A to Rupniewski?

– Jużci Rupniewski.

– Chodź, ja cię zawiodę, – rzecze mu Brześciański, – z czernie ty idziesz do niego?

– Jak wrócę i to ci powiem.

– A kiedyż wrócisz?

– Prosto od niego.

– Chodźmyż więc prędko, jeno się strzeż tytułować go su- fraganem, bo został przecie biskupem.

– A jakim?

– Jakim tam... już nie pomnę, bo to gdzieś w ziemi murzyń- skiój. Łykopolskim podobno, czy Nikopolskim, czy jakoś tak; ale biskup rzetelny, nominowany przez Ojca Św., samem mu przecie Winszował.

A tak mówiąc, byli już na ulicy, a Brześciański prowadził rotmistrza na plac katedralny, gdzie w jednej z kapitulnych kamienic mieszkał ks. sufragan Rupniewski. Tam się tymczasem żegnali, a major rzekł:

– Bądźże zdrów, mój Piotruniu, a nie baw się długo, ja tu zaczekam na ciebie przed kamienicą. A kiedybym umarł, to pobiegnę do domu...

– Słuchaj Stasińku, – rzecze mu rotmistrz, – a nie mógłbyś ty pójść sobie do Dominika i tam na mnie zaczekać? Przyjdzie tam także i Murza...

– I Murza tam będzie? – zapytał major, radbym ja poznać tego Murzę, bom już niemało się o nim nasłuchał, a rzeczy dosyć ciekawych. Ale się boję, żeby on tam nie naprowadził rozmaitego ^ołniorstwa, z którymi mi się fraternizować nie godzi, zwłaszcza ^ tak delikatnój materyi. Ja swoje zrobię jak Bóg na niebie,

parol to parol; ale jakby się rzecz wydała przed czasem, więcby I to zasię było trochę paskudztwa.

– Et! śmieję się z tego! – odpowie rotmistrz, – właśnie tóż 1 czas jest się obawiać, zwłaszcza takiemu, co ma cały regiment 1 pod sobą.

Pomyślał tedy major nad tóć i rzekł:

– No to cię czekam u Dominika, lecz nie w winiarni, tylko w jego własnóm mieszkaniu.

A tak się zaraz rozeszli.

Kiedy się rotmistrz wywindował po wschodach na górę i wszedł do antykamery, miał trochę kłopotu z marszałkiem dworu, który na nieszczęście się znalazł w antykamerze i nie chciał go wpuścić, zwłaszcza że rotmistrz taił swoje nazwisko. Powiadano mu, że ks. biskup się teraz ubióra, bo ma wyjechać do pana sędziego w gościnę. Przecież nareszcie po odwołaniu się do samego biskupa, który choć o północy był dla każdego przystępnym, wpuszczono go do pokojów. A tak zaraz wszedł do wielkiój komnaty, obwieszonój ciemnymi obrazami i kotarami do koła, bardzo poważnej, a oświeconej dwiema jarzącymi świecami.

Lecz ks. sufragan stał już na śródku komnaty, – a był to mąż słuszny wzrostem, dosyć otyły, bo tóż i wiekiem także poważny. Twarz jego była pociągła, nos równy, oczy duże jasnego koloru, usta prawie wciąż uśmiechnione, toż i wejrzenie dziwnie łagodne i ujmujące. Na sobie miał szubę lekką z czarnego atlasu, pięknem futerkiem podbitą i obłożoną, na głowie małą piuskę, a w ręku trzymał rożek z tabaką, którą namiętnie zażywał. A tak nietylko poważnie, ale nawet wspaniale wyglądał.

Obaczywszy tedy jmc Wiszowaty taką personę przed sobą, pokłonił się nisko i rzekł:

– Niech będzie pochwalony Pan Jezus.

– Na wieki wieków, – odpowiedział sufragan, przypatrując mu się ciekawie, a widząc, że to ktoś nieznamy, zapytał zaraz:– kogóż mam honor powitać?

A rotmistrz na to:

– Półtrzecia kriyia a pióro.

Więc tedy biskup zaraz się na to uśmiechnął i rzekł trochę raźniej:

– A witajże mi waszmość! otóż to mi gość pożądany. A już tóż czekam na was w naj^większój niecierpliwości. Ale to waść zdrożony, a spragniony, a głodny. Hej! mości marszałku!

A to mówiąc, szedł ku drzwiom; ale rotmistrz mu drogę zastąpił, sumitując się, że nie jest ani spragniony, ani tóż głodny:

– A zresztą, – mówił, – jeszcze czas będzie na to.

A to może choć wina kubeczek, – przerwał gospodarz uprzejmie, – to nie zaszkodzi, owszem, pomoże. Otl wiósz waszmość co, kiedy mi tak zacny gość przybył, to i ja się napiję, byle czego

dobrego; a przecież to zapust kończymy, daj Panie Boże szczęśliwie!

Więc się zaraz do marszałka obrócił, który już przyszedł i rzekł:

– A przynieśno nam waść buteleczkę koadjutora i ten piernik toruński do tego, co[^] mi go dzisiaj przynieśli panowie miejscy. A drzwi proszę zamknąć i już nie wpuszczać nikogo...

Więc w oka mgnieniu przyniesiono opleśniałą butelkę wina, z której gdy biskup sam własnoręcznie nalał i swój kubeczek do Ust przytknąwszy, odjął napo wrót, rzekł do swojego gościa:

– I A to jest wino, którem sam sobie sprowadził* kiedy jeszcze byłem wikarym w Krakowie i dałem na przechowanie do piwnicy ks. koadjutora. Jakże smakuje?

– Jw. panie, – odpowie rotmistrz jako znawca prawdzi- Wy, –specyalik to sobie nielada. Powiedziałbym, że już najmióję. z pięćdziesiąt lat teniu, kiedy jegomość byłę wikarym, a już i wtedy musiałeś mieć z pięćdziesiątkę, kiedy umiałeś taki wybór Uczynić.

Śmiał się tedy sufragan i mówił:

' i– Cieszę się bardzo, że waszmości w smak trafił, zwłaszcza że to zapewne nie lada żołnierz ba i człowiek być musisz, kiedy cię pan Michał z takim poselstwem przysyła. Jakoż pogadamy sobie uczciwie.

To mówiąc, posadził zaraz rotmistrza w krzesło wygodnóm, a sam siadłszy naprzeciw niego i patrząc pilnie w twarz jego, tak się odezwał:

– Powiedzże mi waszmość najpiórwój, kogóż to tedy pan pisarz takim zaufaniem obdarza?

A rotmistrz na to:

– Jestem Wiszowaty, herbu Roch, a rotmistrz jeszcze za króla Jana. Mam też jakąś posiadłość nad Dniestrem, ale tymczasem od lat trzydziestu pan na kulbace.

– Wiszowaty? –rzecze mu zacny prałat z uśmiechem, a czy nie brat to będzie waszmości, który miał Moskorzewską? W takim razie waszmości Piotr będzie na imię.

– A jużci tak.

Więc tedy kiskup spojrział na niego, uśmiechnął się i pogroziwszy mu palcem, rzecze mu to:

– Ej! panie Piotrze! wielki to z waści bałamut Były tu skargi u mnie na waści.

– A to za co? księżę biskupie.

– Za co? – odpowie biskup i otworzywszy rożek, zaczął zażywać tabakę. A zażywając, przypatrywał się rotmistrzowi, czóm mu niemałe zadawał męki, lubo się przytóm uśmiechał. Jakoż po chwilce dopiero rzekł: – Była u mnie, powracając do swojej ojczyzny nad Nidę, .Woroniecka kniahini, co to z domu Janie wska, ^a krewna Bobrownickiego Jana. Czy znasz jegomość tę damę?

Więc tedy rotmistrz jakoś w ziemię się wpatrzył i milcząc, wąsów sobie poprawiał. A biskup na to:

– Już tedy wiósz, o co chodzi.

– Jużci wiem, – rzecze rotmistrz, – aleć to jak widzę, dziwnie jest niecierpliwie kobieta!

– Cha, cha, cha! – rozśmiał się biskup i mówił, – a toż to panie bracie, ni fallor, dziewięć lat czeka~na ciebie!

A rotmistrz na to:

– Prawda to, jw. panie, że się ta sprawa odwleka, ale jakem człowiek uczciwy, tak nie moja w tem wina.

A tu -się zaraz usprawiedliwiał tómsamem, co niegdyś gwar- dyanowi mówił na drodze, kiedy jechał do Murzy. A potóm dodał:

– A nareszcie i to trzeba uważać, że zawsze to sprawa publiczna jest piórsza, niżeli wszystkie kniahinie. Czekam ja, niech tóż i ona zaczeka.

– No, toż ja o tem nie mówię – rzecze mu biskup, – co się stało, nie twoja wina. Jenoto chcę powiedzieć, że ta konfедера- cya kiedyś się przeciw za łaską Bożą zakończy, a potóm już nie będzie żadnej przeszkody, bo przeciw brat waszmości odebrał już posag od Moskorzewskich, a wieś jest już prózną. Więc żeby to na to, panie bracie, pamiętać. Z czóm obstaję niekoniecznie dlatego, że jójmość księżna jest mi powinowatą, ale że widzę z jój listów, jak serdecznie tęskni za tobą i jak żywo pragnie, ażebyś się do niej powrócił.

– Doprawdy? – zawoła rotmistrz, – pisała o tóms do jegomości?

– Mogę pokazać listy.

Więc tedy rotmistrz bardzo się nad tóms zamyślił, a jako był miękki na sercu, tak się tóż spłakał zaraz jak bóbr. Poczóm rzecze jeszcze przez łzy:

– No, tożto w rzeczy pocziwe są babska te nasze, jeno my tacy hultaje, że i spojrzeć na nas nie warto!

Widząc to prałat, lubo miał twarz uśmiechniętą, jednak się tóms rozczulił i zaraz wstał i pocałował rotmistrza w głowę. A tak już wiedząc, z kim ma do czynienia, zabrawszy napowrót dawne swe miejsce, tak zaczął: ■

– No, idźmyż teraz do naszój sprawy. – Więc tedy pan pisarz już się zdecydował, co widzę ztąd, że mi przysłał waszmości, jak było umówiono pomiędzy nami. Jakżeście teraz postanowili?

A na to rotmistrz:

– Już to nie myśmy postanowili, jeno sam generalny marszałek, jak to pismo przekona.

A to mówiąc, wydobył z swojej czapki futrzanej zwitek pa- pióru, który podał sufraganowi. Ten go odebrał, rozwinął zeń cały arkusz, po którym zaraz poznał, że to był urzędowy ordynans

marszałka konfederacji, jakoż go z wielką uwagą odczytał. Za- czem go położywszy na stole, pomyślał trochę, a potem rzekł:

– „Zdobyć Lwów i wziąć w areszt hetmana!” – Na pierwsze zgoda bez żadnej kwestyi, bo trzeba wziąć tę .spelunkę, gdzie się tak ustawiczne knują przeciwko konfederacyi spiski, ale nad drągiem godziłoby się zastanowić cokolwiek...

– Dlaczegoż to, księżę biskupie? czy dlatego że hetman? *

–.Hetman to mniejsza, – odpowiedział sufragan, – ale to przecie i kasztelan krakowski; zawsze ja się obawiam, żeby to nie szkodziło. Powiódźże mi waść, proszę, czy jest na to zgoda w radzie pana pisarza?

– Prawdę mówiąc, powiedział rotmistrz, – są też i sprzeczni, a najbardziej brat pisarzowski, starosta bełzki.

– Cóż mówi?

– Ot! jak to on. sobie zwyczajnie! Powiada że się obawia, ażeby to kiedyś nie utrudniło zawarcia umowy, więc żeby za to przy spisywaniu traktatu nie trzeba zapłacić czem droższóm. Broni tóż jmc starosta hetmana, – powiadał dalej rotmistrz, patrząc uważnie w twarz sufragana. Ale sufragan przerwał mu zaraz, mówiąc:

– Ja go nie bronię, uchowaj Boże! i świadczę się Bogiem, że go bronić nie mogę. Z początku było to jeszcze jako tako, zwłaszcza do tego czasu dopóki Ożarowski miał jakie takie wpływy na niego, ale...

– Powiódźże mi jegomość, – przerwał tu rotmistrz porywczo, – cóż to ten Ożarowski?

– Ożarowski? – powtórzył prałat, – Ożarowski jest moim krewnym, bo rodzi mnie Ożarowska –

– I moim także jest krewnym, – rzekł rotmistrz, – bo przecież jego matka jest mi stryjeczną, ale mimo to ja powiadam, że Wielki to zdrajca ten mój krewniaczek.

– A ja tego nie powiem, – rzarzucił biskup; – nie mogę ja Wprawdzie wytłumaczyć niemylnie, co go tam trzyma przy tym Sieniawskim, bo mi się nigdy z tego nie wypowiedział, ale to różne być mogą powody. Chęć usłużenia krajowi z pod skrzydeł buławy wielkiej, widok na prędszą za jój pomocą promocją, a wreszcie może jeszcze co nadto i to podobno najpewniej...

– Jegomość myślisz o hetmanównie? – zapytał rotmistrz.

† Oh! ja nie myślę, – odpowiedział sufragan, zażywając tabakę, – ale on może myśli.

Więc tedy rotmistrz roześmiał się na to serdecznie i ścisnąwszy za kolana prałata, rzekł:

– A jegomość sobie krotochwilny troszeczkę, jako Pan Bóg pocziwym ludziom przykazał. Hej! i jam to był krotochwilny niegdyś i jeszcze będę, niechno się jeno te ważne sprawy pokończą. Ale i tak nie trza tracić fantazyi, bo przecież jakoś to będzie.

I zaraz na to połknął cały kubeczek wina. A potem rzekł:

– Ożarowski, widzisz jegomość, może to w gruncie serca i niezłe jakie chłopczysko. Potłukł on w miazgę Fleminga, kiedy jeszcze był pacholęciem, i tak rozumiem, że wiele grózków będzie mu za to odpuszczonych u Pana Boga. Ale potem wyprawiono go w kraje zamorskie, a zamtąd rzadko kiedy co podobnego powraca. Mówiłem ja to zaraz natenczas: albo człek z niego wróci jak trzeba, albo i diabłą niemieckie. Otóż i tak to podobno się stało. Jeszczeż do tego jak wpadł w ręce swojój matuli, a potem w pazury hetmana, tak mu i łeb wywrócili na nice. Jaćbym go jeszcze bronił, moja to krew, ma mieć rozum wy szlifowany jak brzytew, powiadają że z owych tam Granowszczyków taki pułk wysztyftował, jakiego jeszcze nie było, a potem, kiedyż się ma człek bałamucić, jeżeli nie za młodu, ale co to pamoże! ja nie starszyzna, a u starszyzny już tam inny dekret zapadł na niego. A kiedy dekret, to i przepadło. Ja go i óstrzedz nie mogę, ba gorzej, bo i sam spełnię ten dekret kiedy rozkażą.,, bo co służba, to .służba.

– A cóżeście tam zdeklarowali na niego? – zapytał nie bez obawy sufragan.

– A cóżby? nic. Pójdzie w niewolę z hetmanem, a kiedyby się chciał bronić, to i głowę się utnie.

– No, – rzecze na to biskup, – wątpię ja, żeby się tam kto bronił na zamku. A zresztą obaczmy to jeszcze. Pomówmy piór- wój o tem, jak to myślicie wziąć się do Lwowa? boć to rzecz główna.

– Otóż o to tu chodzi najwięcój, – odpowie rotmistrz, – bo tóż i po to mnie tu wysłano do jegomości. Jest więc i w tórn pewna niejedność. Pan pisarz chce, żeby się dostać sztuką do miasta, opanować je nagle, a hetmana wziąć gołą ręką; zaś jmc starosta, lubo tak młody lecz rygorysta surowy, przeciwi się temu. Tedy pan pisarz za swoim votum daje tę racyą, iż tym sposobem jaknajmniej krwi się przeleje, o co jako katolikowi bardzo mu chodzi. Starosta zaś mówi, że gdzie jest wojna, tam krew płynąć musi, a wzięcie miasta sztuką jest zdradą, którą on chce mieć w obrzydzeniu do śmierci. Tak tedy lukta jest w samym wnętrzu naszego koła, bo jedni trzymają z starostą, a drudzy zasię z pisarzem. Jużesmy tóż tę sprawę puścili byli na vota, ale cóż jegomość powiesz na to, paritas padła. Siedem za starostą, siedem za pisarzem, co tóż i dziwna jest rzecz. Otóż nie mogąc tego rozsądzić, a nie chcąc obciążać niczyjego sumienia, uradziliśmy posłać z zapytaniem do sług kościoła, oddając się im pod sąd. Tak więc wysłano mnie z tórn do jegomości, jako ■ naszego wypróbowanego już przyjaciela i dobrodzieja, a jak tam w Imię Boże rozkażesz, tak i zrobimy.

Więc zacny prałat, wysłuchawszy go z w^Tielką uwagą, tak odpowiedział:

– Bardzo waszmościom dziękuję, nie za to, żeście mnie na

sędzię obrali, lecz za to, żeście po staremu tacy nabożni i nie chcecie obciążać waszego sumienia bez rady tych, którzy od Boga postanowieni jego stróżami. Jakoż ztąd tuszę, że wam Bóg nie odmówi swej łaski i w tój imprezie poszczęści.

Weźmiecie Lwów – i ledwie kilka kropelek krwi padnie! Ale trza iść za moją decyzją. A ja decyduję, że pan pisarz ma rację. Ja już wiem, jaki ma projekt pan pisarz, bo mi o nim powiadał, kiedyśmy się widzieli w Rawie. To nie jest zdrada, a jeśli który ma ją za taką, to ja mu naprzód daję absolu. I jeszcze więcej. Albowiem od dnia jutrzejszego każę odprawiać nabożeństwo po wszystkich kościołach, ażeby się ta impreza udała i żeby się przy niej jaknajmniej krwi katolickiej wylało. A to waszmość zanieś panom braci odemnie i pokłoń im się i powiódź, że w niedzielę czekam ich ze mszą Św., potem z obiadem, a na nieszpór już oni sami zadzwonią.

Więc tedy rotmistrz był bardzo kontent, bo tóż sam był takiego zdania, jakoż już zaczął biskupowi dziękować, a biskup na to:

– Ale poczekaj no waszmość, bo jeszcze tu trzeba o tem pogadać. Zrobiliście już co z żołnierzami? bo żeby to potem nieporozumienia nie było, z czego by mógł wyniknąć jeszcze daleko większy krwi rozlów, niżeli przy samym szturmie do bram i na mury. No, Brześciański jest wasz, o tóm wiem, a Tatarzy?

. – I Tatarzy są nasi, i Kozactwo także jest nie od tego, o czóm Właśnie dziś będzie mowa.

– No, to zostaje sam Campenhausen. Ten się namówić nie da, a ma przecież około tysiąca ludzi.

– Jw. panie! – rzecze mu na to jmc Wiszowaty, – z Campenhausenem nie będzie tak trudna sprawa. Bo najpierwój jest tam u niego dwie chorągwi husarskich, które są nasze. Powtóre jeden Pułk pieszy z jego komputu stoi na niskim zamku i jest pod komendą Ożarowskiego. Nie pozostanie mu tedy więcej jak pięćset ludzi, a ci jeżeli odrazu broni nie rzucą, to dostawszy w kark raz i drugi, prędko się do tego namyślą.

– Raźnie to waść wojujesz, – rzekł na to prałat, – no! aleć to tak się dzieje. Jakoż i ja w to wierzę i jestem całkiem spokojny. Jedna rzecz tylko jeszcze mnie smuci i tak rozumiem, że trzeba to jakoś koniecznie

A to mówiąc, wstał z miejsca, wziął ów ordynans Ledóchowski powtórnie do ręki i jeszcze raz go odczytał. Poczóm w milczeniu przechodził się po komnacie, a po chwili tak mówił:

– Pan Ledóchowski człek mądry, nie mnie się z nim mierzyć rozumem. Pan Ledóchowski mąż zacny, złożył już tego monumentalne dowody. Pan Ledóchowski więc co zamierza, kiedy każe wziąć w areszt hetmana. Ale przecież ja śmiałym powie- dzióć, że niekoniecznie tam trzeba aresztu, gdzie może i lżejszy środek wystarczyć. Hetman jest człowiek śledzienny, przytóm lekkiego sumienia, a nakoniec i niestateczny, to wszystko prawda; ale

przecież należałoby się spodziewać, że dawszy parol, możeby go dotrzymał...

Słyszając to, rotmistrz zerwał się z miejsca; jednak w oka mgnieniu się zreflektował, usiadł napowrót i tylko węża poprawił. A jako frant był kuty na cztery nogi, rzekł na to:

– No, toż to czas jeszcze będzie o tórn pogadać, wszakże będziemy u jegomości w niedzielę.

Ale znający ludzi sufragan poznał się zaraz na tem franto- stwie i pogroziwszy mu palcem, zauważył z uśmíochem:

-7- Ej! panie Piotrze! a wać podobno jeszcze bardziój na hetmana zajadły, nizeli pisarz.

A rotmistrz na to:

– Prawdę mówiąc, mości księżu biskupie, obaśmy sobie z panem pisarzem w tórn równi.

rr- Ja tórn to widzę, – rzecze mu biskup, ale powiadam waści otwarcie, że tego nie chwale. Bo najpierwój się boję, ażeby takie rzucenie się na piórnwszego senatora nie dało złego przykładu na potórn, i żeby zasię z takich przykładów nie wybująy kiedyś podobne sprawy, jakim w niedawnych czasach Angielczyk Krom- well przewodniczył w swym kraju. A powtórn, lubo wiem o tem, że chwilowa niewola hetmanowi nic nie zaszkodzi a naszój sprawie pomoże, przecię się boję, ażeby przy samem przyłożeniu ręki do jego osoby nie przyszło do jakiej krwawój herezyi, którąby potórn na nasz karb zapisano w historyi.

– Jw. panie! – powiedział rotmistrz, – człek robi co powinien, a już sam Pan Bóg kieruje skutkami.

– Widzisz wać, widzisz, – zawołał biskup, – jak mnie tem niepokoisz! A jeszcze to tam przytem będzie i nasz Ożarowski A ja tobie ręczę, że Ożarowski jest najgorliwszym przyjacielem konfederacyi. Mówiliśmy o tórn niejednokrotnie i sam na to patrzyłem, jak on hetmana od tych i owych dla nas szkodliwych kroków odmawiał. Wiem nawet z pewnością, iż o przyjęcie Bau- dycza porórnził się ze Sieniawskim i miał mu w tych dniach podziękować. Żebyż go Pan Bóg natchnął i żeby to zrobił! A tu bióda z tem wielka, że trudno go nawet o tórn niebezpieczeństwie uprzędzić

– Jw. panie! – zawołał rotmistrz, – czy nie myślisz tylko jegomość doprawdy Ożarowskiego uprzędzić? A toby było! Jego- mośćbyś może jednego chłystka uratował z niewoli, w którój i tak długo siedzieć nie będzie, a pogubiłbyś ludzi tysiące. A przecię ja także jestem mu krewnym, ale ani mi się śni o tórn.

Więc tedy sufragan chodził po komnacie przez chwilę i myślał. Bardzo tórn przytem często zażywał tabakę i piuskę poprawiał, widać że myślał mozolnie i niecierpliwie. . Lecz w końcu rzekł:

– Nie. Taki masz waszmość racyą. Bo chociaźbym ja jemu

^{co} do hetmana zaufał, to znowu hultaj kocha się w Zosi, a tój by ^{to} pewnie powiedział.

Zaczem rotmistrz swobodnie odetchnął – i więcej już o tem mowy nie było. Potóm więc rozmawiali jeszcze przez chwilę o sa- mój konfederacyi, z której szczegółów nowszych rotmistrz zdawał ^sprawę sufraganowi; lecz przypomniawszy sobie, że jego koledzy pękają u Dominika, a to już było około godziny dziewiątej, zaczął ^{si}§ żegnać z prałatem.

– Więc tedy, – rzecze prałat, – i bardzo proszę, aby oszczędzać krwi ile możności, a że za taką sztukę gróchu nie będzie, Ja ręczę. Jakoż czy tam za pozwoleniem hetmańskiom, czyli bez Pozwolenia, jeżeli inaczój nie będzie można, czekam was ze

mszą

w niedzielę.

A rotmistrz, na to:

– Że nie omylimy, to pewna, jeno za dzień nie zaręczam, bo to już zależy od samego pana Michała. Dzisiaj mamy już piątek, nie wiem tedy ażali zwinem się do niedzieli, bo jeszcze jest do zrobienia i to i owo. Może tedy aż w poniedziałek.....

– No, to niechże będzie i w poniedziałek, a choćby nawet ^e wtorek, byleby się to stało jak orzech zgryzł, czego życzę ² całego serca.....

Tedy rotmistrz jeszcze raz się pożegnał i odszedł.

I szedł prosto do Dominika. Błąkał się po katedralnym placu Jakby po puszczy, bo ciemno było choć oko wykol, raz więc był koło kościoła, to znów koło domów: przecież nareszcie domacał ^{si}ę do rogu rynku, a ztamtąd i nietrudno było mu trafić, bo była to trzecia kamienica od rogu, wisała przed nią wiecha z cho- ^{ln}y, a przy niej barwista latarnia. Wszedł tedy do sieni, a ztam- ted do izby szynkownój, gdzie przy szynkwasiu siedział Dominik grzybek, mąż otyły i ciężki, niegdyś sługa pisarzowskiego domu, Potóm żołniór w jego chorągwi i towarzysz jego wygnania; dziś ^eżeniony z mieszczką bogatą, szynkarz winny najpiórwszy, ba ¹ mieszczanin stolicy. Znał go rotmistrz od niepamięci, a lubo od bitwy pułtawskioj stracił go był z oczu, toż temi czasy znów go odszukał, bo od czasu zawiązania konfederacyi, Dominik często do obozu swego dawnego pana przyjeżdżał i zdając mu relacye, co dzieje we Lwowie, załatwiał czasem niektóre sprawy pomniej- ^{Sz}e. Zawitał go tedy rotmistrz jak swego i rzekł:

– Jak się masz, panie łyczaku! ej! toż to wjr^rglądasz za tym ^{Sz}ynkwasem, jak Bachus na beczce. A snadna to rzecz żołniórzowi ²amienić szablę na miarkę?

– Panie rotmistrze dobrodzieju! – odpowiedział Grzybek, – Piknie służy się szablą, ale na czas można też nieźle posłużyć Przy miarce.

– Prawdę mówisz, – rzekł rotmistrz, – kto ma serce pocziwe, może zewsząd dobrze posłużyć. A są tam moi?

- Są, panie rotmistrzu, i bardzo niecierpliwie na waszmość czekają.
- Prowadźże mnie do nich co prędzej.

Tedy go Dominik zaraz i wprowadził na wschodki, a po nich do izby dosyć obszórnej, w której już zastał tych wszystkich, których się spodziewał, ba i nadto coś jeszcze. Oprócz bowiem Brześciańskiego i Murzy, był Ułan rotmistrz tatarski i drugi Tatar znaczniejszy, dwóch oficerów kozackich, Rzeczycki kapitan od piechoty i porucznik Sołomka, Radomicki porucznik chorągwi husarskiej, tatarów namiestnik i Borejko chorąży, a oprócz nich jeszcze i mniejszych cokolwiek, całóm sercem konfederacyi przyjaznych i rotmistrza, jak zbawcę swego wyczekujących. Pili wino pomiernie i naradzali się milczkiem; lecz kiedy rotmistrz wszedł do nich, głośnym go powitali okrzykiem, bo wszyscy go szanowali i prawie jak drugiego pisarza kochali, chociaż niektórzy znali go tylko z imienia. Więc tedy rotmistrz zasiadł zaraz pomiędzy nimi i rozpoczynszy bardzo poważną i szczegółową naradę, aż do północy ich wszystkich zatrzymał.....

Poczóm wraz z Murzą, odprowadzony przez jednego z kolegów za bramę krakowską, wsiadł zaraz na koń i jeszcze tój samój nocy popędził do obozu Potockich.

Tymczasem Jerzy, ubezpieczony nowymi obietnicami hetmana ^{co} do jego zachowania się względem konfederacyi, był prawie całkiem spokojny. Mając już pewność, że Sieniawski we wstępną środę wyjedzie do Brzeżan, a zatém że już przynajmniej nie będzie szkodliwym konfederacyi, cieszył się tórn nateraz i w tój chwili o niczóm dalszóm nie myślał. Tak minęła sobota –a w niedzielę miał być obiad u Sieniawskiego, na który był zaproszony ks. Berleam Szeptycki, biskup unicki, i kilka osób z starszizny duchowieństwa ruskiego.

Ale tymczasem w niedzielę rano, ledwio co Jerzy się ubrał, Przyszedł do niego Ułan rotmistrz tatarski i rzekł mu:

– Panie pułkowniku! mury koło bramy bosackiój spękały ^ mrozach, a teraz na tej wilgoci zaczynają się rozsypywać. Zara- portowałem to panu Campenhausenowi, -a ten kazał mi iść do ^mpana i zaprosić go, ażebyśmy pojechali tę lukę obejrzyć.

Ożarowski, który jakoś niebardzo rad był temu zajęciu, rzekł ^{na} to dosyć niechętnie:

– A co tam w tój chwili na tych murach zależy! Przecież ^{nie} mamy nieprzyjaciela obcego w kraju, a konfederaci nie będą także na nas napadać.

– Kto to wió? panie pułkowniku, – rzecze zdrajca Tata- rzyn, _ konfederaci miówiają rozmaite pokusy, ot jak to swawolący zwyczajnie. A zresztą pan hetman lubi, ażeby wszystko było w porządku. Pań Campenhausen czeka już na wmpana W swojóm mieszkaniu. Dzień mamy piękny, a niedaleka to droga.

Więc tedy Jerzy, jako szef kancelaryi hetmańskiój, nie mógł

nareszcie dawać do niedbałości przykładu i kazawszy sobie dala konia, pojechał z Tatarem do Campenhausena, ztamtąd do bramy bosackiej, potem i na przedmieścia, gdzie wszędzie przemyślny Tatar umiał ich czemiś zabawić, – dość że ich na tój przejażdźce zatrzymał ze trzy godziny.

A była to już rzecz umówiona. Albowiem właśnie natenczas,] kiedy Ożarowski z Campenhausenem zabawiali się oglądaniem murów koło bramy bosackiej, – do bramy krakowskiej zbliżył się pisarz koronny z garścią wojsk swoich i zameldowawszy się oficerowi stojącemu na straży, prosił o wpuszczenie siebie na kilka go' dzin do miasta. Oficer (nie mógł go wpuścić bez ordynansu, ale że także należał do znowy, wpuścił jego rotmistrza z kilką żołnierzy, ażeby jechał do miasta i prosił sam o to hetmana. Tak tedy wjechał jmc Wiszowaty na nizki zamek i kazał się zameldować hetmanowi.

Hetman pod owę porę już był ubrany i czekając nim jego żona się zbierze, ażeby razem iść na mszę św. do zamkowej kaplicy, siedział tymczasem w głębokim krześle i czytał sobie z książeczki modlitwy. Przychodzi na to oficer dyżurny Gwozdecki i opowiada co jest.

– Pisarz podszedł pod miasto! – zawołał hetman, – zrywając się z miejsca, – prośże mi prędko pana Ożarowskiego.

Dopiero oficer, zawiadomiwszy go najpierw, że Ożarowski na małą chwilę do Campenhausena pojechał, wyjaśnił dokładniej sprawę, opowiadając, że pan pisarz przyjeżdża tylko w gościnę i przysłał tu swego rotmistrza, który się sam chce hetmanowi pokłonić. Więc tedy hetman zachmurzył się na to i znowu spytał: >(t – A gdzie Ożarowski?

A potóm rzekł:

– No to wpuść wasze tego rotmistrza, niechaj się dowiem, czego odeinnie chcą.

Tak więc za chwilę wszedł rotmistrz, ubrany bardzo paradnie, w lśniącym pancerzu ze swoim Rochem we złocie, i stanąwszy niedaleko odedrzwi, bardzo się nizko pokłonił.

– Czegóż to pan Potocki żąda odemnie? – zapytał hetman, nie ruszając się z miejsca.

Na to zaś rotmistrz z wielką konsyderacją:

– Jw. pisarz koronny przesyła jw. panu swój nizki pokłon i prosi uprzejmie, ażebyś jw. pan raczył mu łaskawie pozwolić wstąpić na chwilę do miasta.

– A czegóż pan pisarz chce tutaj w mieście?

– Jw. panie! ot jak to zwykle we wojnie. Obdarliśmy się cokolwiek, chcielibyśmy się trochę nanowo ogarnąć.

– Dużożto ludzi macie ze sobą?

– I nie warto powiadać, jw. panie. Nióma i trzechset.

– O! trzysta ludzi!–rzecze Sieniawski, to mała rzecz? A czy nie macie tylko jakiej zdrady na myśli?

– Wolne żarty jw. pana, – odpowiedział frant rotmistrz ² pokłonem, – a tożto jw. pan mógłbyś nas wszystkich czapkami Sług swoich zarzucić.

▼ – No, ja się was tam nie boję, jeno to mówię dlatego, że konfederaci to swawolnicy zazwyczaj, a czasem droższa u nich Jest woda, niż krew. Nie myślę przecież, żeby pan pisarz miał Jakie niepocziwości na myśli, chociaż sieniawskie włości dosyć [^]i czysto popłukał.

– Jw. panie! mogę jw. panu jaknajsolennie zaręczyć, że nie stalo się to z ordynansu pana pisarza. Jeno to ludzie nasi, sędziowskie parobki, z przeproszeniem jw. pana, pamiętni tego, jak ^{to} niegdy regimenty wielkiój buławy swawoliły po Sędziszowie, Myśleli że czego wielkiego dokażą, kiedy się pomszczą na Sieniawach. Ot, i tak się to stało..,

– No, już tam o to porachuję ja się kiedyś z panem pisałem, a co do tego wpuszczenia... no! ale czegoż to chce właściwie pan pisarz? bo przecież po buty i hajdawery dla swoich żoł- ⁿⁱerzy nie jechałby sam do Lwowa?

– Jw. panie, mówiąc szczerą prawdę, ma on i drugi interes, ^a to daleko ważniejszy. – A to jest ten. Oto ta długa konfederacyą już nam się uszyma przelewa. Pan pisarz chciał, aby jej koniec położyć w Rawie; pan Ledóchowski się temu sprzeciwił. Przyszło ztąd między tymi panami do nieporozumień, a następnie lukty. Zaczął nareszcie pan podkomorzy traktować pana pisaka jako swego podkomendnego – a to nie może tak być. Bo ani ^styszał kto kiedy, ażeby podkomorzy dysponował pisarzami ko- ^ronnymi, ani tóż Potocki nie dowodzi wojskami konfederacyi, jeno ⁵Wemi własnymi, których na trzy tysiące z swój szkatuły wy- stawił. Więc się to tedy panu pisarzowi już uprzykrzyło i postanowił porzucić wreszcie tę tam konfederacyą, a nazad pogodzić ^{si}ę z królem. A ponieważ do takiej medyacyi nie może nikt być ^{na}d jw. pana, który u króla jegomości jesteś w takiój konsyde- ^{fac}yi, więc sobie tuszy pan Michał, że jw. pan, jako dawny jego Przyjaciel, a do tego i blizki powinowaty, nie zechcesz mu tej łaski mówić i wyprowadzisz go sam na tę drogę, na którejby się rad Odział co prędeej.

– No! tożto mi waszmość, jak widzę, ważne przynosisz nowiny, – rzecze na to hetman. – A czy ja tego nie mówię zawsze?

to te wojny konfederackie! gdyby nie wiedzióc jaka była waleczność, zawsze na końcu niezgoda rozerwie wszystko. Ale to ^{te}mu nikt wierzyć nie chce, aż póki się sam- nie przekona. Więc J^edy lukta już jest między jmc Ledóchowskim, a panem Michałem? poczekajcie no waśc jeszcze cokolwiek, będzie to tego i wię-

Ciekawym tóż, co poczną panowie konfederaci, jak utracą Pisarza...

– O! że go utracą, to pewna. – rzekł rotmistrz, – jeżeli mu tylko jw. pan nie odmówisz swej łaski.

– A czemu bym tego odmawiał? I owszem, i owszem, bardzo rad podam mu rękę i że zrobię wszystko najłatwiej, nióma co wątpić. No, ale czemuż-to pan pisarz sam do mnie nie zajechał?

– Jw. pan wiesz, – rzecze rotmistrz, – że i pomiędzy panami jeszcze droga nie gładka. Myśli tedy pan pisarz poprosić ks. sufragana, do którego już dwór swój odesłał, ażeby mu wstęp do jw. pana wyrobił, a tak potem i sam się postawi.

– Panie bracie! – zawołał na to Sieniawski, – a na co to tego wszystkiego? Przecież mi bliższy pan pisarz, niż ks. sufragan, chociaż go także poważam. Powiódz waść tedy panu pisarzowi, że drzwi u mnie dla niego otwarte i że go czekam z obiadem.

A na to rotmistrz:

– Dziękuję jw. panu imieniem pana pisarza za łaskę, ale nie ręczę za to, czyli pan pisarz będzie mógł służyć na obiad, bo go hultaj woźnica wyrzucił na drodze, a tak trza mu się będzie wysmarować i cokolwiek poleżyć. Ale tak sądzę, że będzie służył jw. panu albo po obiedzie, albo tóż przed wieczorem.

– No, to go czekam o każdój porze i proszę mu się odemnie pokłonić.

A rotmistrz na to!

– Więc tedy za łaską pańską ludzie nasi mogą wejść także do miasta?

–» Hm! – rzecze Sieniawski – ale bo to coś dużo macie tych ludzi, a nie wiem czy ich trzymacie w rygorze, bo to konfederaci.

– Jw. panie! sama to jest hołota, a nawet całkiem bezbronni. Ledwie że jakieś szabłeta mają przy sobie, a i to jeszcze nie wszyscy. Toż połowa z nich ranni, a drudzy i gorzój, bo zbió- dzeni i głodni. Pan pisarz nawet kazał mi prosić jw. pana o parol dla nich, bo prawdę mówiąc, trochę się pana Campenhausena boimy. Toż i Tatarstwo tutejsze, jak słyszę, bardzo jest rozjedzone na konfederatów...

A hetman na to:

– A cóżto waść myślisz, że tu pan Campenhausen rozkazuje, albo zgoła Tatarzy? Mości Gwozdecki! pojedziesz waść z tym jegomością do bramy i każesz wpuścić pana pisarza wraz z jego ludźmi. A waści żegnam i proszę pokłonić się panu pisarzowi odemnie, z tym wyraźnym dodatkiem, że go oczekuję u siebie.

Tak tedy skończyło się posłuchanie, – a wpół godziny potem pięciuset ludzi pisarzowskich było już w mieście, a drugich pięciuset pochowało się po przedmieściach^

Kiedy Jerzy powracał od bramy bosackiój, już przy haupt- wachu dowiedział się o tóim, że pisarz koronny wszedł z wojskiem do miasta. Wiadomość ta uderzyła go mocno, a lubo mu opowiadano, jak się to stało, zaledwie mógł temu wierzyć. Biegł

tedy jaknajprędzej do zamku, ażeby się z samym hetmanem rozmówić.

Jednakże daleko więcej się zdziwił, kiedy go hetman zwitał Wesolo i rzekł:

– Patrzajże Jurciu, jak ja już postąpiłem w twojej nauce. Bratam się z konfederatami w najlepsze, a nawet takiego koronnego herszta jak pisarz zaprosiłem do siebie w gościnę.

I śmiał się hetman z całego gardła, bawiąc się Ożarowskiego zdziwieniem. Ale daleko przezorniejszy od niego Jerzy wcale się nie śmiał, jeno natomiast wypytywał się jaknajpilniej, jak się to stało. Opowiedział mu hetman swoją rozmowę z rotmistrzem, nic nie ujmując, ani dodając. Zrozumiał już wtedy Jerzy, jak się to stało; ale pomimo to, tego osobliwego zdarzenia wcale nie mógł zrozumieć! Nie mogło mu się to bowiem żadną miarą pomieścić w głowie, ażeby pisarz, prawie najpierwszy filar konfederacji, najgorliwszy, dla jakichś prywaty, dla jakichś nieporozumień chwilowych, mógł w tak gorszącą kłótnię zająć z Ledóchowskim. I jeszcze z kim zaszedł w kłótnię? z Ledóchowskim, – mężem nieskazitelnym pod każdym względem i tak dalece błyszczącym przymiotami rozumu i serca, iż go sam pisarz obrał na kierownika. Zdarzały się wprawdzie wypadki, iż o obrażoną ambycją pojedynczego człowieka rozbijały się czasem największe sprawy, – pisarz koronny był prawdę mówiąc także nie w zimnej wodzie kąpany, – JUż raz pod Brzeżanami w obozie niezmiernie gwałtownie sobie Postąpił, – mógł on tedy i teraz się unieść i także zgrzószyć prędkością; ale przecież to wszystko jeszcze nie mogło Jerzego prze* ciwko pisarzowi przekonać i niepodobna mu było temu dać wiary. Cóżkolwiekbydź, z drugiój znów strony nie mógł i temu uwierzyć, ażeby w tóim poselstwie pisarza była jakaś zasadzka: i to być mogło, ale i to mu się zdało niepodobnym do prawy. A tak sam nie wiedząc coby miał myśleć, był smutny i niespokojny, lecz milczał.

Zauważył to hetman i pytał go, coby o tóim rozumiał? Lecz on odpowiedział:

– A cóż tu można rozumieć? Wiemy dopiero połowę; jak się pan pisarz zjawi na zamku, dowiemy się reszty.

Ale hetman był niecierpliwy, jak zazwyczaj natenczas, kiedy o nowego miał w głowie, – niecierpliwy widzieć czempredzej pisarza, wymyślać z nim razem na konfederacją, dworować sobie z wojny szlacheckioj, a wreszcie konferować z nim o pogodzenie go z królem. Dlatego, lubo mu rotmistrz powiedział wyraźnie, że pisarz nie może się stawić na obiad, bo jest potłuczony, napisał Przecież do ks. sufragana karteczkę i prosił niby to tylko jego samego na obiad, ale dodał dość zrozumiale, iż jeżeliby miał przeszkodę z jakich gości, to i dla gości znajdzie się miejsce u jego stołu.

A zacny sufragan był właśnie wtenczas w jaknajwiększym kłopotcie i nietrudno odgadnąć, z jakiego powodu. Oto pisarz już wtedy gościł u niego i w krótkiej rozmowie oświadczył go o swoich wszystkich zamiarach. Nie trzeba tu już dodawać, że zamiarami temi były raz wzięcie Lwowa, a powtóre wzięcie* hetmana. Jakoż na piórsze zgadzał się w zupełności sufragan, ale na drugie zgodzić się nie mógł; pomimo bowiem wszelkich argumentacji pisarza, był on niewzruszony w mniemaniu, iż targnięcie się na wolność pierwszego senatora Rzeczypospolitej nie jest na swoim miejscu. Nie przeczył on wprawdzie tego, iż zabezpieczenie się od dalszych kłopotów Sieniawskiego jest dla pospolitego dobra potrzebne, a nawet prosto konieczne, lecz chciał ażeby to zabezpieczenie osiągnąć bez rzucenia się na wolność osobistą obywatela, a jeszcze do tego i senatora. – Chcąc tego dopiąć, perswadował on pisarzowi całą mocą swojej wymowy; ale nic nie mógł na nim wyjednać. Pisarz bowiem był niesłychanie na Sieniawskiego zawzięty, na samo wspomnienie jego imienia węs targał i iskrzył oczyma, jakoż nareszcie rzekł ks. sufraganowi:

– Mów sobie jegomość co chcesz, nic mnie to nie poruszy. Wezmę go, w dyby zakuję i do konfederacji odstawię.

Tak tedy nie było co nawet mówić z Potockim, a to niezmiernie zafrasowało biskupa. W tem położeniu rzeczy myślał sobie: – Gdybym przynajmniej mógł być natenczas na niskim zamku, kiedy pisarz tam wpadnie. Ale to było niepodobieństwem

Aż tu tymczasem właśnie w tę chwilę przychodzi owa od hetmana karteczka. Pomyślał nad tym roztropny prałat i widział, że nie bardzo to rzecz bezpieczna znajdować się wtedy na zamku, kiedy szturm będą przypuszczać do niego, ale tak bardzo chodziło mu o to, ażeby sprawa konfederacji była zabezpieczona od dalszych kłopotów hetmana, a mimo to godność senatorska nie poniżona i pogwałcona w obec rozhukanego tłumu, iż za nic sobie miał bezpieczeństwo swojej osoby i postanowił pójść do hetmana na obiad. Ale jak tu w tym razie postąpić sobie z pisarzem, którego miał gościem u siebie? – Po krótkim wszakże namyśle pokazał mu prosto sufragan ową karteczkę i rzekł niby z niechcenia:

Zaprasza nas hetman do siebie na obiad. No, wspan, panie Michale, pewnie nie pójdziesz, ale i ja też nie pójdę.

– A. to dlaczego? – zapytał pisarz, – właśnie trza iść jegomości. Tym bowiem sposobem okryjesz jeszcze lepiój naszą tajemnicę, osłabisz go w podejrzeniu, jeśli ma jakie, a wreszcie i mnie przed nim usprawiedliwisz, potwierdzając podanie rotmistrza, że jest potłuczony. Tylko się tam nie baw zbyt długo, bo ja już nie jestem panem wybuchu; jak skipi, to nie mogę garnka odstawiać od ognia, jeno muszę uderzać.

Tegoż samego zdania był także i rotmistrz, trzymający z pisarzem, i tego samego starosta bełzki, trzymający tajemnie ze

sufraganem. Więc "kiedy go jeszcze wszyscy zaczęli prosić, ażeby szedł do hetmana, - to i dał się nareszcie namówić i pojechał na zamek.

Tak tedy, jak tylko się trochę nachyliło z południa, pojeżdżali się goście do Sieniawskiego. I przybył biskup unicki Szeptycki z jednym ze swoich kanoników, ks. sutragan Rupniewski i kilka osób z szlachty miejscowej. Był także i Campenhausen, i Breściański, i kilku innych wojskowych: jedni nic zgoła nie wiedząc, a drudzy, lubo wiedzieli, jaknajpiękniejszy spokój i swobodę umysłu udając. Dano obiad – a przy obiedzie rozmawiano najwięcej o panu pisarzu, który niespodziewanym przez nikogo sposobem przyszedł do miasta, a nie wiedziąc w jakich zamiarach. Przeworny jmc ks. Szeptycki wyraził z tego powodu niejaką obawę, Campenhausen go bardzo popierał i wedle swego zwyczaju mówił dosyć surowo. A kiedy ks. Rupniewski zrobił uwagę, iż nie godziło się braci odmawiać przytułku, zwłaszcza kiedy są ranni, głodni i prawie nadzy, on nawet z gniewem powiedział:

– Otóż to rzecz! jeszcze będziemy nieprzyjaciół wspomagać! Niech chodzą nago, niechaj ich głód nawet wymorzy, ani mnie głowa oto nie zaboli! Potrzebny tóż tutaj ten pisarz, jak dziura w moście!

Lecz hetman śmiał się, a nawet jeszcze z niego dworował, mówiąc:

– A jegomość dobrodziej masz sobie mnie widzę już całe za nic. Właśniebym też ja wpuszczał pisarza do miasta, gdybym naprzód nie wiedział, poco do mnie przychodzi!

Poczóm i opowiedział wszystkim o owej wrzekómój kłótni pomiędzy Potockim a Ledóchowskim i znowu dworował sobie z konfederacyi.

Tak minął obiad, po którym powynosili się goście pomniejsi i pozostali tylko oba biskupi, Campenhausen i Ożarowski. Hetman był dobrój myśli i kazał przynieść starego wina ze swoich sławnych piwnic zamkowych, którem częstując hojnie swych gości, Wesołą z nimi prowadził gawędę. Zabawa ta przeciągnęła się do godziny czwartej i była wtedy jeszcze zupełna cisza, jak na zamku, tak i w jego bliskości.

I była jeszcze natenczas cisza po całym mieście, – lecz ta już długo nie trwała. Albowiem właśnie pod owę porę przed odiach ratusza, obsadzony piechotą cudzoziemskiego zaciągu, nadeszła sobie niby w przechadzce garsteczka pisarzowskich żołnierzy. Ciągnęli oni w nieładzie, niby przypatrując się miastu, a na ich czele szedł jmc Domaradzki, co to go zwano Murzą tatarskim. Miał on dzisiaj burkę kudłatą na sobie, a na głowie tę samą czapkę uszatą z futrem, którą miał wtedy, kiedy tu był przed kilką dniami z rotmistrzem, lecz dziś, zamiast czakana w ręku, miał szablę potężną, u boku, pistolet turecki na smyczy, a do tego jeszcze i garłacz ogromny przewiesił sobie przez plecy. Tak ubrany

kosmato, kudłato i prawie dziwnie, ucbrojony arcy armatnie, po staremu zgarbiony, i brzydki haniebnie, śmiesznie tóż dosyć wyglądał; ale podobno chciał tak wyglądać i nie bez powodu. Albowiem kiedy przed odwach nadciągnął, gdzie jak zwykle rozmawiając ze sobą, stała kupka wolnych od warty żołnierzy, to on się zatrzymał i zaczął się im przypatrywać, wskazując na nich palcami i robiąc przytem najrozmaitsze grymasy. Skutek ztąd ocze- wiście wyniknął taki, że się żołnierze zaczęli śmiać z niego i jeden mówił to, drugi owo. Rzekł któryś nareszcie:

– A to co za straszidło? Otóż to tak wyglądają konfederaci !

Odpowiedział na to Murza jak mógł najdosadniej. Ztąd tedy opór, zaczął kłótnia, coraz grubsze wyrazy, głośnie pogrożki, a nareszcie i rwanie się do szabel. A jak tylko i ci i owi dobyli broni, Murza zdjął garłacz ze siebie i palnął prosto w tę kupę hetmańskich, a jako to był garłacz prawie jak śmigownica, tak tóż i głos jego rozniósł się jak wystrzał armatni po mieście.

To oczówiście był sygnał.

Jakoż istotnie w ten moment powypadali pisarzowscy ze wszystkich kamienic i wzięli odwach jak orzech zgryźł. Zaczóm natychmiast pod sprawą rotmistrza ustawili się w szyk bojowy przy jednej połaci rynku, czekając gdzieby im wypadało uderzyć. Do nich zaczęli się zbiegać konfederaci inni, konni i piesi, szykując się razem z nimi wedle swoich kompanij.

A kiedy to się działo przy .jednej połaci rynku, po pod drugą przeciwną przebiegł pędem na koniu sam Campenhausen, poleciał w okolicę leibhausu, tam zebrał około pięciuset ludzi i ruszył z nimi na rynek. Wszakże nim jeszcze doszedł do rynku, około bramy halickiej dały się słyszyć strzały armatnie. Tam bowiem teraz wrzała już także bitwa. Na strzał usłyszany w mieście druga część pisarzowskich żołnierzy, która była po przedmieściach ukryta, zbiegła się przed bramę halicką i sprawiwszy się w szyk bojowy, zawołała na oficera tam stojącego na straży, ażeby się poddał. Gorący jakiś młodzieniec, miast odwołania się do starszyny, lubo miał tylko trzydziestu i kilku ludzi, dał do nich ognia z śmigo- wnic. Więc pisarzowscy rzucili się na to do szturm i w oka mgnieniu tę bramę zdobyli.

Usłyszawszy tedy Campenhausen te strzały i widząc już oczówiście, że konfederaci także i zewnątrz uderzają na miasto, pomyślał sobie: że mniejsza już teraz o tych, którzy są w mieście, bo tych jako nie bardzo licznych, nie trudno będzie utłuc i późniój; ważniejsza to jest daleko, ażeby świeżych nie wpuścić do miasta. Zaczóm już nie szedł w rynek, tylko pobiegł bramie halickiój na odsiecz; zastawszy zaś. tam pisarzowskich już w wnętrzu miasta, a zmierzyszy ich okiem, że jego sił nie przenoszą, uderzył na nich z wielką fantazyą. I byłby ich może i przemógł i wyparował z miasta na powrót, bo szła tam tylko głowa na głowę,

^a trudno Campenhausenowi tego odmówić, że był dowódcą zdolnym i osobiście Walecznym.

Ale tymczasem na ów strzał Murzy wypadł także, i pisarz ¹ objął zaraz nad swymi ludźmi* stojącymi na rynku, komendę. Wypadł także starosta bełzki i stanął na czele chorągwi konnój, która rozmaitemi bramami, gdzie straż trzymali oficerowie z konfederacją zmówieni, wprowadził milczkiem do miasta. Usłyszawszy tedy te strzały przy bramie halickiej, zebrał pisarz swe wojska

¹ pobiegł pędem na miejsce bitwy. Więc kiedy Campenhausen zawzięcie się tłumił z tamtym żołnierzem i osobista swą walecznością usiłował przechylić na swoją stronę zwycięztwo, szybki jak błyskawica Potocki wziął mu tył niespodzianie, zbił go w mrugnięciu oka na głowę, stokilkadziesiąt ludzi położył trupem, resztę Rozpędził, a jego samego wziął jeńcem. Poczem w ten moment sprawił swe wojska, pułkownika Garbowieckiego, gorącej fantazyi Sołnierza, postawił z pułkiem piechoty na czele i pociągnął bez zwłoki na nizki zamek.

A cóż natenczas działo się w zamku?

Otóż gdy hetman przy starem winie jaknajswobodniój zabawiał się z swymi gośćmi gawędą, nagle dał się strzał słyszyć na tynku. Słabo już tutaj pomiędzy murami było słyhać ten strzał

² garłacza, ale przecież go Jerzy dosłyszał i jakby ze snu zbudzony, zerwał się nagle ze swego miejsca. Zerwał się także i Campenhausen i obadwa pobiegli ^do okna, a tam usłyszeli już całkiem Wyrażnie szcęk broni i hałas na rynku. Była to rzecz jeszcze niepewna, bo słuch omyła, a nic nie widzieli; lecz w takich razach

^czynniejszym bywa instykt niż oko. Więc Campenhausen na- biegł zaraz krwią cały i do hetmana zawołał:

T Pnp7pm się zaraz do Jerzego, ohrócił rzekł mu pędko te słowa:

P^{^s}:=[^]\[^]d[^]is[^]widziszJegomość, to twoje głupstwo!.-)

ZbieTz waść pułk pieszy i obiedwie "chorągwie kozackie ¹ Wystąp z nimi przed ganek, a gdzie będzie potrzeba, przybywaj *ni w sekurs.

A ledwie tych słów domówił, już w drzwi uderzył i zamknął.

Co się stało z Campenhausenem, już wiemy.

Tymczasem w komnacie zrobiło się zamieszanie, jakby w dzień Sądny. Ksiądz Szeptycki, wystraszony niezmiernie, zerwał się z krzesła i piochwiawszy się chwilę na miejscu, wyślizgnął się nĄczkiem z komnaty. Oficerowie domowi, dworzanie, słudzy, biegali tędy owędy, jak oparzeni. Wpadły w ten moment kobiety, damy dworskie, fraucymer, wszystko to w jaknajwiększym popłochu. Jeden tylko sufragan siedział nieporuszony na swoim miejscu i przypatrując się temu wszystkiemu ciekawie, zażywał ²e swego misternego różka tabakę.

Hetman zaś na tę wieść, cale przez siebie niespodziewaną, zrazu poprostu oniemiał. Obejrawszy się zaś po wszystkich, podobno sam nie wiedząc co mówi, rzekł do Ożarowskiego te słowa:

–,Ale co wam się dzieje! to nie może być!

A Ożarowski na to patrząc mu w oczy:

– A jeśli jest?!

Tu hetman zadrgnął, a potem powiedział prędko:

– To proszę ciebie to stań z wojskiem przed bramą.

Przecież do zamku szturmować nie będą. A jeśli miasto mi wezmą...

– Miasto już wzięli,–przerwie mu Ożarowski gwałtownie,– ale jeżeli na zamek uderzą!?

A wtedy hetman porwał się oburącz za głowę i rzekł:

– To ja już nie wiem, to rób co chcesz

Słyszając to nieobojętny Jerzemu sufragan, zerwał się raźnie z miejsca i pośpieszył ku niemu, zapewne ażeby mu jakąś inną dać radę, – w tój chwili także hetmanowa, stolnikowa i Zosia podniosły lament i rzuciły się ku Jerzemu, zapewne każda z nich w rozmaitych zamiarach, – jednak w tój samój chwili i Jerzy, usłyszawszy te rozpaczliwe słowa hetmana, rzucił się ku drzwiom i wybiegł prędko z komnaty.

Co się tam działo w nim teraz, trudno opisać, bo i gniew, i trwoga, i rozpacz razem go owładnęły i zaledwie mu zostawiły przytomność. Przejrzał on teraz w mgnieniu oka, "nad jakie urwisko go ta przyjaźń hetmańska zaprowadziła, a to go już prawie dobiło. Mimo to wszakże zbiegł błyskawicą w dziedziniec, zebrał w ten moment pułk pieszy, zebrał obiedwie chorągwie kozackie i wyszedł z tóim wszystkim przed £ramę zamku. Tam pozostawił konnicę po obu skrzydłach, a piechotę zbił w silny cokolwiek podłużny czworobok i postawił ją prawie przed samą bramą. Sam zaś, wzięwszy karabin, broń swoją najulubieńszą, stanął przed frontem.

Tak stał i myślał, ale dziwnie gorzko mu było. Widział on teraz w skupieniu całą naturę tój drogi, jaką obrał dla siebie, i musiał sobie powiedzieć: probatum est. Ale co gorsza, miał on taraz przed sobą to bagno, w które go ta droga zaprowadziła, a jak z niego wybrnąć, cale nie wiedział. O miasto zupełnie mu nie chodziło; jeśli go wezmą, i owszem. Ale jeżeli na zamek uderzą, co wtedy?–Złożyć broń i poprostu zdradzić hetmana?–3 nie jest podobna. Bić się z rodzoną bracią?–jakióm sumieniem?– Zdawało mu się tedy, iż nie można tutaj postąpić inaczej, jak tylko, kiedy się zbliżą konfederaci, wysłać do nich parlamentarza i kapitulować. Oddać im miasto, oddać i zamek, a gwarantować tylko całość osoby hetmana. Jeżeliby zaś warunkiem kapitulacyi i to jeszcze mióć chciano, ażeby konfederacyą od dalszych praktyk hetmana była zabezpieczoną, to myślał i na to nawet zezwolić i dać im parol za Sieniawskiego, że natychmiast wyjedzie do Brzeżan i do końca konfederacyi ztamtąd się nie ruszy. Tak tedy, – lubo mu dziwnie przykro było parlamentować z konfederacyą ze strony przeniewierczego hetmana, – pocieszył się jednak

W tej ciężkiej chwili tą myślą i począł mieć nadzieję, że wszystko to jeszcze się dobrze zakończy.

Wszakże za ledwie sobie ten projekt ułożył w głowie, już nad brzegami Pełtwi w oddali zaczęła się jawić konfederacka piechota. Waleczny Garbowiecki, choć nie uczony we Francyi, nie wahał się także karabin wziąć w rękę i niosąc go jakby piórko w swoich żelaznych dłoniach, postępował raźnie na czele swojego pułku. Obaczywszy go, Ożarowski kazał swoim żołnierzom złożyć do nogi broń, i tak oczekiwał jego przybycia. Garbowiecki się zbliżył ku niemu o jakie dwa stajania i tam się zatrzymał. Tak przybiegła do niego starszyzna na koniach, rekognoskowała przez oka mgnienie ilość wojska i pozycyą Ożarowskiego i znowu od niego odbiegła. W tój chwili Garbowiecki zakomenderował swoimi, złożył ich po staremu w klin, sam stanął na czele i ruszył tak na Jerzego. Wszakże do tego czasu Jerzy już wysłał parlamentarza do niego, który właśnie w tój chwili, kiedy Garbowiecki miał ruszać z miejsca, zjawił się przed nim. Nie zastanowiło go to przewież ani oka mgnienie, jakoż zaraz zawołał do niego:

– A czego waść do mnie biegiesz? nióma tu czasu "do rozj goworów.

Mimo to jednak, zbliżając się coraz bardziej do Ożarowskiego, Widocznie sam zwalniał kroku, a kiedy się zbliżył na jakie dwadzieścia kroków, prawie się całkiem zatrzymał. Czy to uczynił dlatego, że chciał istotnie dopuścić do rozmowy? czy tylko dla tego, ażeby się owocnym zwyczajem wzajemną przymówkąm lepiój zagrzać do boju? rzecz niewiadoma. Widząc to wszakże, Jerzy wystąpił naprzód o kilka kroków i zawołał do niego:

– Mości pułkowniku! będę to sobie miał za zaszczyt niemały, jeżeli mi przyjdzie z tak zacnym żołnierzem spotkać się na ostro; ale nie o nas tu chodzi. Proponuję zatem, czylibyśmy się naprzód nie mogli z sobą rozmówić?

Lecz Garbowiecki pokręcił węża i rzecze na to: , – A cóż to ma być za rozmowa, mój paniczyku? francuzka albo tóż włoska, łacińska albo tóż zgoła niemiecka?

– Nie, mości panie! – odpowiedź Jerzy, – rozmówim się z sobą po polsku.

A waśćże umiesz jeszcze po polsku? – spytał go Garbowiecki.

Widział tedy już Jerzy, że nie będzie podobno tu z kim rozmawiać; jakoż zacisnął zęby i nie dbając już zresztą o siebie, rze-^{Cz}e mu prędko:

– Żarty na "stronę, mój panie! boć tu nie idzie o dowcip, jeno o krew braterską.

Garbowiecki zaś na to:

– No, to ja powiem waści bez żartów: rzuć broń na ziemię, Puść nas do zamku, a potom się rozmówimy o resztę.

- Jakto? – zapytał Jerzy z niecierpliwością, – na łaskę i niełaskę ?
- A niby tak! – odpowiedź konfederat, patrząc mu w oczy surowo.
- A! mości panie! – zawołał na to Jerzy, – zda mi się, że jeszcze jest godzin

jakiś innó • transakcyi.

A Garbowiecki na to:

- Jakom żyw, jeszcze nigdy nie wchodził w żadne tran- zakcy z zdrajcami.
- Z. zdrajcami!? – zawołał Jerzy i nabiegł krwią cały, a ledwie sam wiedząc co się z nim dzieje, porwał karabin i jak lew postrzelony rzucił się na oszczercę.

Za nim rzucił się zaraz pułk jego i dosyć dobrze uderzył, – lecz Garbowiecki jeszcze lepić uderzył i sieniawszczyków jako płot kruchy, przełamał.

Piórwszy pomiędzy nimi padł Jerzy.

Za nim się pościelili pomostem inni – a nad nimi podniósł się zgiełk, hałas, chrzęst broni, huk armat, jęk rannych, łomot ^upadających, – pośród czego wszystkiego konfederaci strzaskali bramę, i jakby fala morska niepowstrzymaną niesiona burzą, w zamkowy wpadli dziedziniec.

A kiedy to się działo, właśnie w tój chwili, gdy Ożarowski padł pod gwałtownym ciosem Garbowieckiego, niewiasta jakaś, która z okna piórszego piętra, zawieszona nad żelaznym krużgankiem, przypatrywała się wystraszona tej bitwie, wyciągnęła w powietrze ramiona, wydała z piersi rozdartój jęk przeraźliwy i wypadła przez okno w krużganek. Była to nieszczęśliwa Jerzego matka, stolnikowa krakowska. Na jój szczęście dojrzały ją dziówki służebne, wyglądające z drugiego okna, i w oka mgnieniu do niój przybiegły. Znalazły ją one bez przytomności, poczęły trzeźwić, lecz nie mogąc jój przytomności powrócić, wzięły na ręce i zanosły do gynecium. Tam ją złożyły na łóżku i znów trzeźwiły, i dotrzeźwiły się jój nareszcie do tego stopnia, że otworzyła oczy, – ale była tak osłabiona, jój wzrok tak złamany, a umysł tak nieprzytomny, iż trzeba się było obawiać, że już do zdrowia nie wróci, a jeśli wróci, kto wió, ażali odzyska dawną przytomność umysłu.

Tymczasem hetman, bawiący ze swymi gośćmi w górnój komnacie, kiedy się bitwa zaczęła pod bramą, dziwnie był niespokojny. Otworzył okno i zachęcał swych ludzi do żwawój obrony. "Widząc, że pieszy pułk dał się przełamać, na Kozaków zawołał, ażeby na Garbowieckiego natarli z boków. A zarazem kazał dać ognia ze zamkowych śmigownic. Ryknęły działa i przeniosły tłumiącą się w bramie piechotę, poparzyły chorągwie konne rotmistrza i starosty bełzkiego okrótnie. Rozgniewany tem rotmistrz rzucił się ze starostą na hetmańskich Kozaków i zgniół ich pod samemi murami. Zrobił się zgiełk jeszcze tóm większy, aż sam

pisarz się rzucił ku bramie, zeskoczył z konia i potoczył się z szablą za Garbowieckim. Wtedy tóż pękła brama, konfederaci wpadli w dziedziniec i zaczęli szturmować do drzwi samegoż gmachu.

Widząc to hetmanowa i Zofia i słysząc ten szturm już ostatni, podniosły lament rozgłośny i chwytając się męża i ojca, czy chciały go unieść ze sobą, czy własnymi zasłonić pierściami, same podobno już nie wiedziały. Nie mogąc znieść tego, Sieniawski wziął je obiedwie, wyprawił do drugiój komnaty i drzwi zamknął za niemi. Sam zaś powrócił i stanął na środku sali, gotów na przyjęcie pisarza. , 3

Jakoż prawie w tej chwili otworzyły się drzwi podwójne z łoskotem i wpadli przez nie najpierw pisarz, za nim starosta beł- zki i rotmistrz, a dalej oficerowie inni.

A pan Michał Potocki, lubo już pięćdziesiątki dochodził, piękny jeszcze był człowiek. Wysoki wzrostem, zbudowany potężnie, twarz miał pociągłą, oko duże błękitne, nos rzymski i wąs, chociaż siwy, pielęgnowany starannie. Miał tóż stłową lśniąca koszulę na sobie, pas pozłocisty, burkę rycerską na plecach, heł- mik przystojny na głowie i szablę skrwawioną w prawicy. Tak wpadł i stanął, za nimi stanęli inni.

– Mości hetmanie! – rzekł groźnie, – biorę cię jeńcem.

A hetman na to wziął się obiedwiema rękami pod boki, przymrużył oczy, i przygiąwszy się całą piersią ku niemu:

– Tak, pisarzeńku? – zawołał? – tak to ty sobie począłeś ze mną? To ja ciebie jak brata kazałem wpuścić do miasta, abyś się popasał i wysmarował, a ty mi ludzi mordujesz, zdradą dobywasz miasta i jeszcze po mnie samego ręce wyciągasz? he? Taki to parol kawalerski u ciebie? zdradą to już wojujesz?...

Ale pisarz mu przerwał i rzekł:

– Dajno pokój tym swarom, bo to babska robota. Biorę cię jeńcem, oddaj mi szablę.

Więc hetman na to" zaraz się wyprostował, jeszcze lepiój oczu przymrużył i spojrzał dumnie na niego, poczóm w ten moment szablę odpasał odr boku i podał mu ją z daleka. A była to szabla niewymownie bogata, cała jój pochwa, rękojeść i pendent były sadzone perłami i brylantami; wartość jój była ogromna. Jakoż podając mu tę broń drogocenną, rzekł dumnie:

– Tu masz taką szablę, jaką mam właśnie przy boku. Będziesz miał za nią drugi Sędziszów i Czerlenicę i nie zapłaczesz pewnie, żeś wziął jeńca chałakal

A pisarz na to:

– Nie chcę tój szabli. Schowaj ją sobie i za jej cenę odbuduj Sieniawę i Przemyślany, a mnie daj szablę żelazną.

Więc tedy hetman spojrzał łagodniój na niego i rzekł mruklawie :

– Lichoż mi wniosło takiego zdobywcę, którego nawet i ująć nie mogę dla siebie!

– O! mnie nie ujmiesz j – rzecze mu pisarz, przystępując do niego, – choćbyś dał nawet Brzeżany.

Tedy Sieniawski spojrział na Potockiego z uwagą, a wreszcie rzekł całym innym tonem:

← Co ja tobie winien, panie Michale, że ty tak na mnie nastajesz? czym ja zasiadał kiedy na ciebie? czylim cię zdradził? – jestemże ja całkiem obcy już tobie? nie jesteśmyż sobie szwagrami?

Na te słowa tak miękkie pisarz się z lekka uśmiechnął, – ale w tój chwili dał się słyszcć wielki zgiełk w zamku. Konfederaci rzucili się na wewnętrzne komnaty i chcieli je prawem zwycięzców przetrzebić. Drudzy poczęli się już wdziórać nawet i tutaj, wołając, ażeby im wydano zdrajcę hetmana, którego chcieli rozsiekać. Słyszac te głosy, Sieniawski zbladł jakby ściana. Wszakże w ten moment zerwał się ks. sufragan, który dotychczas po staremu siedział w swem krześle i zażywając tabakę, przypatrywał się temu wszystkiemu, i przystąpiwszy do pisarza, rzekł mu te słowa:

– Panie Michale! jeśliś katolik, radźże co temu, bo o rabunki ci przecież nie idzie!

Więc tedy pisarz wysłał natychmiast rotmistrza i pułkownika Garbowieckiego, ażeby to uśmierzyli* Ale rotmistrz, wąs kręcąc, rzecze mu na to:

– A gdyby się trochę pobawiono na zamku? Przecież za taki trud należy się jakaś nagroda.

– Zbierz waść żołnierzy!–zawołał pisarz do niego surowo,– i żeby mi tu ani jeden guzik nie zginął! Nie na zabawęśmy tu przyjechali, jeno po służbie.

Zaczóm i jego i oficerów drugich prawie sam wywiódł do sieni i drzwi zamknął za nimi.

Więc tedy hetman trochę się uspokoił. Ale tymczasem pan Michał obrócił się zaraz do niego i rzekł:

– A waszmość, panie hetmanie, kaź sobie zaraz zaprzęgać, bo mamy podróż przed sobą.

Tedy Sieniawski znowu się wzdrygnął i rzekł:

– A cóż ty myślisz? taki mnie zaraz zabierać? mióǳe przecież sumienie.

– Jużci sumienia mi pewnie nie braknie, bo nawet na grzeczności nie zbywa, jakoś dopióro widział. Ale co służba, to służba.

– No, toś mnie już wziął! – rzecze na to hetman, – wzięteś i zawieziesz, gdzie chcesz. Ale gdziebądź mnie transportować zamyślasz, przecież nie będziesz mnie z domu zabiórać po nocy.

A na to odezwał się sufragan:

–.. No, jużci i słuszna to prośba. Kiedy jeniec jest w bezpieczeństwie, to dosyć. Wyrządzona mu przykrość byłaby grzechem

– Michasiu! – rzecze znów hetman, – przecież nie jesteś

skąłą, boś i nigdy nie był na życiu. A czy to tak wielka rzecz dać mi się przenocować?

A na to pisarz już miękko:

– Jużci ja twojej przykrości nie pragnę... ani się mścić chcę na tobie, lubo Bóg widzi, że byłoby za co. Ale dany mi rozkaz wypełnić muszę, chociażbym był twoim bratem.

.. – No to go spełnisz! – zawołał hetman, – a co to, albo ja się tak boję? Przecież głowy mi nie urwiecie, chociażbyście mnie mieli i na sądzie konfederackim.

– Głowy ci nie urwiemy, – odpowiedź pisarz, – ale cię dobrze będziem spowiadać. Boś ty nam hetmanieńku nabroił, że aż się przez wiórzch przelało.

– No to mnie będziesz spowiadać! to się wypowiadamy! A tymczasem siadź, proszę, przecież przez to cię nie ubędzie.

A to mówiąc, nalał mu puhar wina, a drugi nalał staroście i posadził ich naprzeciw siebie przy stole. Więc tedy pisarz przyjął puhar z najlepszą myślą i rzekł:

– A cobym się nie miał i napić z tobą? Wždyśmy już nieraz pijali, chociaż w innych okolicznościach.

A tak się zaraz .do siebie napili, pisarz po trudach, hetman zaś na frasunek. Rzecz więc hetman najpiórwszy:

– Powiódźże ty mi, panie Michale, bo mi się to i w głowie pomieścić nie może, co ja tobie takiego zawinił, że ty tak ze mną postąpił? A jużbym piórwiej się był śmierci spodziówał, niżeli takiój gościny od ciebie. Bo czyż my to się nie znamy od dziecka? czyśmy się nie bijali w palcaty? czym ci nie krewny? czy moja żona nie jest ci siostrą? A ty na mnie najechał jak Szwed albo Tatar, Sieniawę mi spalił, Przemyślany wyniszczył, jeszcze i na mnie napadł nareszcie, miastoś wysłizgnął zpodemnie, ludziś mi pobił, ba, i mnie bierzesz w niewolę! Ej! panie Michale! żeby to za to nie trzeba ciężko odpowiadać przed Panem Bogiem!

A pisarz na to:

– Ot, pleciesz sobie, panie Adamie, jako Piekarski na mękach. Kochaliśmy się pacholętami, krewniśmy sobie, Sieniawę ci spalił, Przemyślany wyniszczył, Lwów zabrał i ciebie, – jakto ty pięknie powiadasz! Ażeś mi ty Sędziszów wypalił, żeś Czerle- nicę zrabował, że przez lat kilkanaście trzymałeś z Sasami, że jeszcze teraz praktyki czynisz, to nic?

– A jakie to ja praktyki czynię? – rzecz mu hetman, – ej pisarzeńku! złych szpiegów macie, co jeno plotki w'am niosą! Na- pij-no się ze mną, a ja ci wszystko opowiem.

– A ty mnie chcesz spoić, mój hetmanieńku, – odpowie pisarz, – a potóm mi się wysłizgnąć. Ale to z tego nie będzie nic. Bo ja tu z tobą i całą beczkę wypiję i kiedy mi ta fantazyja przyjdzie, puścić cię zechcę; a ty przecież nie wyjdiesz, bo już tu tak jest obsadzony ten zamek, że ani mysz się ztąd nie wysłizgnie.

A to mówiąc, pił sobie, pił też i hetman i mówił:

– • A jak cię kocham, tak ani mi to powstało w głowie. Wzięłeś mnie, to mnie trzymaj. I zawieź mnie potem do konfederacyi na sąd, jeszcze i owszem! bo tam dopióro się to pokaże, coś ty zrobił dobrego, żeś się targnął na koronnego hetmana i kasztelana, i tam się także zaraz już nareszcie pokaże, że ten hetman nie jest taki człowiek, jakim go jego oszczercy malują. Złamaliście wy ową kardynalną zasadę naszego status: Neminem captivabimus; to mi przecież choć ust nie zamkniecie, kiedy zechcę się bronić. A już ja będę wiedział, co mówić. Jakoż mi o to nie chodzi. A jeno

O to mnie chodzi i dziwnie serce mnie boli, że kto na mnie nastąpił, to mój krewny i brat.

A pisarz na to:

'– Pleciesz i pleciesz, niby to z serca, a przecie nic nie rozumiesz. No, ale mów dalej. O cóż to jeszcze serce cię boli?

• , i– Boli mnie serce i o to, że ty się mścisz na mnie, Michale! PotrzebiJem ja twoje posiadłości, to prawda, mozem ci przez to 1 nie małe szkody poczynił; ale czyś ty się za to na mnie nie odbił?. A kto mi splukał Sieniawę i Przemyślany? Więcbym to na tem powinno było być dosyć, ,bo już to zawsze w tym naszym stanie rycerskim jest takie prawo, że jeno taką samą bronią się odpowiada, jaką z nami poczęto. Ale tyś sobie postąpił inaczej, bo ty za chłopskie stodoły, za chałupy, za gumna, bierzesz się do mnie samego, jeszcze mnie jako zdrajcę traktujesz, bo mnie tóż jako zdrajcę chcesz transportować na sąd. Powiedzże sam, mój Michasiu, żali powinien tak postępować szlachcic taki jak ty, a do tego jeszcze własny mój krewny i brat?

Więc tedy pisarz napił się na to i tak odpowiedział:

#– No, nagadałeś mi się, co ci się podobało i to tak czule, żeś aż na mnie zapłakał. A ja nie lubię, żeby na mnie płakano, więc ci też i odpowiem. Mszczę ja się na tobie¹ za jaką prywatę, albo też nie? Otóż ja tobie daję parol, że nie. Tobie w głowie Sędziszów i Czerlenica, boś ty jest Sieniawski, ale mnie nie, bom ja też sobie Potocki. A ty wiósz jakto jest u Potockich. Za nic im ziemiska fortuna, kiedy idzie o dobro publiczne. Już tóż i bez butów^f wracali z wojen, na które posprzedawali swoje wioski ostatnie. . Nie wiem tóż, któryby to z naszych przesiedział na jednym majątku przez trzy pokolenia! Sieniawscy siedzą na swoich dobrach od-stworzenia świata i już do końca dosiedzą, bo ich pewnie nie stracą; ale my nie! Albom ja taki krwi mojej odstępcą, żeby na to zapłakał, że mi tam kilkanaście wsi spalono? A jakem pisarz, tak nie. I ty mnie o to nie w.inuj, bo mnie tem Przywidzisz i fałsz zadajesz tej Polsce całej, która mnie przecież zna i cale inaczej o mnie rozumie. Więc mnie też nie obwiniaj o prywatę przeciwko sobie, ano raczój tak powiedz: Michał mi jest przyjacielem, bo kiedy na mnie zapadł dekret w konfederacyi, aby mnie wzięto, to on się sam podjął tego i sam wziął, ażeby mnie też nie wziął kto inny, coby mnie poturbował, a może nawet

i skrzywdził. Tak sobie mów, bo tóż tak jest. Żebyś zaś nie myślał, że ci to mówią moim własnym konceptem, to tutaj masz, poczytaj sobie na tym papierze, a wtedy się też przekonasz.

A to mówiąc, wydobył papier jakiś z zanadru i podał mu go przez stół. Był to zaś ten sam dekret konfederacyi, co go rotmistrz miał z sobą, kiedy był w wieczór u sufragana, a w którym stało wyraźnie: „Zdobyć Lwów i wziąć w areszt hetmana.” – Więc tedy hetman to czytał, a pisarz patrzył na niego; przeczytawszy zaś, oddał mu ten papier napowrót i rzekł:

– No, to taki i prawda. Nie kłamałeś ty nigdy, jako cię znam, toż i teraz nie kłamiesz. Jakoż i nióma co mówić. Kiedy już miało na mnie koniecznie spaść takie nieszczęście, to i lepiej się stało, że tobie poruczono tę egzekucyą, niżeli komu innemu. Bardzo to są braterskiej krwi chciwi ci panowie konfederacyi! No, ale przecież ty, mój Michasiu, nie postąpiłeś sobie tak ze mną, jakby to Potockiemu przj[^]stało

– A jakto? – zapytał pisarz.

– Powiódzże, rzecze hetman, – zdradą to wojowali kiedy Potoccy? zdradą-to dorobili się takiej sławy, że im nikt nie wyrówna? – Jużbym był nie miał nareszcie żadnego żalu do ciebie, gdybyś był po staremu obiegł żołnierzem miasto i zdobył. I żebyś był zamek tak obiegł i wziął go razem i ze mną, to także nic, bo taki jest w wojnach obyczaj. Aleś ty wśliznął się do mnie jakoby wąż! Chorym jest, głodny, odarty, jeszcze i potłuczony, chciałbym się popaść, ogarnąć trochę i wysmarować, a tyś się popaść moimi ludźmi, ogarnęłeś się miastem, a wysmarowałeś się zamkiem, ba i mną samym nareszcie! Jam ciebie wpuścił do mego domu przez kawalerską kortezyą, a tyś mnie za to w samo serce ukąsił! Powiódzże sam, żali to sprawka rycerska i żali to mnie nie ma zabolóć! Bo to i nie dość, żeś wydarł miasto z podemnie i mnie samego do kulbaki przytroczył, zaczóm powiedzą: Niedołęga jest hetman, bo przegrał; ale jeszcze powiedzą: Głupi ten hetman, co się dał na miodowe słówka ułować. – A to mnie boli, tak za siebie, jak i za ciebie.

Więc tedy pisarz był na to trochę markotny, ale to pokrył ale napiwszy się znowu, śmiał się i mówił:

– Ej! toż to ty teraz maleńki, Adasiu, prawie już płaczesz! A nie tak to było niedawno. Pomnij no, jaki ty byłeś rok temu, jaki dwa lata. Tyś natenczas wąż kręcił, z piętra rozmawiał z posłami i mówił: A co mil Niech szlachta siedzi cicho i niechaj będzie kontenta, że tak jest, bo jeszcze i gorzój być może!

– Ja to powiadał! – zawołał hetman, – a! już to jest wielkie oszczerstwo! bo jakom żyw, jeszcze nigdy z ust moich takie słowa nie wyszły.

– Poczekajno, panie bracie, – przerwie mu pisarz, – bo będzie tego jeszcze i więcej. Więc ty mnie zdradę wyrzucasz względem zapomnianego hetmana, którego wziął z woli narodu, a któżto

i kiedy nazdradzał więcej, niżeli tenże sam hetman? Powiedzże, jakże ty się sprawiłeś u Podkamienia? Zwołałeś naród do broni, porozsyłałeś kuryerów, ażeby wszystko kołek w kołek wstało, ba nawet sam księciu Januszowi posłałeś kilka na sukurs chorągwi, a kiedy naród wstał, toś ty go w błocie zostawił i oddał Sasom na rzeź!

A na to hetman zerwał się z miejsca i zawołał:

– A toż co znowu takiego? Michasiul jeżeli Boga kochasz, tak nie mów, bo mnie zabijasz! Poczekaj, ja ci to wytłumaczę.

Ale mu pisarz znów przerwał, mówiąc:

– Dajże mi się wygadać. Więc potóm, czegożeś ty trzymał z królem, kiedyś już widział, jakie uciski jego wojska roznoszą pomiędzy braci? Czyś ty był ślepy natenczas? Nie twojaż to rzecz była się ruszyć, kiedy rabowano domy braterskie, a ich samych zabijano jak bydłęta? A tyś co robił natenczas? Libertowałeś dobra twoje, twoich sług i przyjaciół od tych ciężarów, a szlachtę niechajby byli i wymordowali do nogi, to nic? Toś ty nie zdradzał natenczas, he?

V- Ej! panie Michale! – zawołał hetman, ocierając pot z czoła, – krwawo ty mnie obwiniasz, a jak mnie Bóg miły, niesprawiedliwie.

– Czekaj-no jeszcze, – rzecze mu pisarz, – ty wiesz przecie, jaki jest tenor tarnogrodzkiego aktu. Powiedziano tam jest wyra- inie, iż się ubezpiecza nietykalność osoby i korony króle wskiój a wstaje się tylko pro securitate et immunitate Pactorum. Więc cóż tobie przeszkadzało stanąć po stronie narodu, chociażś hetman i kasztelan krakowski? A tyś gdzie stanął? he. Jako zwykle, po stronie Sasów; jeszcze ich karmisz i poisz propno aere, ażeby lepiój, uderzali na braci!

– Panie Michale! – zawołał hetman, – jak mi Bóg miły, tak nie wytrzymam. Pozwólże, niech ci się wytłumaczę. Nie stanęłam ja razem z konfederacją, bo powiadaj ty sobie co chcesz, taki to mnie się nie godzi. Ale żebym ja był jej kędy szkodliwym, tego mi nie dowiedziesz. A jeszcze jój nawet dopomógł, choć milcz-kiem tylko, bo tóż inaczej nie było można.

† – A jak ty jój znowu dopomógł? – zapytał pisarz, – ciekawym wiedzieć.

– A jużem jój pomógł. Bo powiódz sam, cora ja z urzędu mogo powinien był zrobić, kiedy się Podgórzanie zburzyli? Nie powinienem był moich chorągwi kwarcianych pościągać? A po- ściągałem je? he? A cóż się stało z temi wojskami? poszły do związku. I one to, one, a nie Podgórzanie, ani też inna szlachta, ufundowały konfederacją i one ją w górę podniosły. Bo któżby to pobił Howerbeka pod Tarnowem? nie Górzyński z Branickim? Kto pobił Miera, Baudycza i innych? nie Górzyński z Branickim? a któż oni są? Moi oficerowie. A czóm oni wojują? Memi wojskami. A idźże dalej. Nie miałem ja jeszcze prócz tamtych, kilkanaście

tysięcy wojsk moich na Podolu i Ukrainie? nie mogłem ja ich pościągać i Lwowa niemi obsadzić? nie powinienem był tego uczynić? A com ja zrobił? Ot tak patrzyłem przez palce, jak ich

Ożarowski powysyłał do związku.

– Więc to Ożarowski ich powysyłał do związku?—przerwał mu pisarz.

– A jużci nie ja,—odpowie w prędkości hetman.

– Cha, cha, cha!—rozśmiał się pisarz,— o! że nie ty, to jest pewna.

– No, nie ja sam, — poderwał znów hetman; — ale czy on, czy ja, to na jedno, bo przecie nic on nie mógł uczynić bez mojej wiedzy

– Ej! przyznaj się, panie Adamie, — rzecze pisarz dworując sobie,—bo już to pewnie zrobił Ożarowski bez twojój wiedzy.

– No, to niechże będzie bez mojej wiedzy. Lecz idźmy dalej. A nie mamże ja jeszcze garści wojska w Brzeżanach? nie mógł- żem wziąć jej choć dla własnoj obrony do Lwowa? a wziąłem ją? nie. A kogom tu wziął? Campenhausena, któregom trzymał obie- dwiema rękami, aby się nie szedł bić z wami, i Brześciańskiego, który jeszcze z mego ramienia potłukł Sasów u Kulikowa.

– Cha, cha, cha! — śmiał się pisarz, trzymając się obie- dwiema rękami za boki. Ale hetman nic na to nie zważał, tylko mówił dalej z pośpiechem:

—* A samem tu siedział jak u Boga za drzwiami, myśląc przecież, że macie oczy i widzicie co robię; ale wyście oczy zamknęli na to, a widząc tylko Podkamień i jakieś tam kompozycye oszczerców, jeszczeście zdradę uknuli podemną, aby mnie oplugawić w oczach narodu!

Więc tedy na to, tak ks. sufragan, jak i. starosta bełzki, którzy obadwa, jak się już o tem wspomniało powyżój, nie byli za aresztowaniem hetmana, bardzo się tóm ucieszyli, że hetman tak się gorąco bronił; jakoż mu zaraz kiwali głowami, zachęcając go, ażeby się tak samo bronił i dalój. Lecz pisarz jakoś to jeszcze rozumiał inaczej, bo się podparł obiedwiema rękami pod brodę, wpatrzył się śmiejącemi oczyma w hetmana i rzekł:

– Mądrze ty perorujesz, panie Adamie, kręcisz się jako liszka, kiedy ją charty ścigają; ale to wszystko nic nie pomoże. Bo ja, kiedym cię dostał już nareszcie do ręki, to cię nie puszczę, jeno, jak sam powiadasz, do kulbaki przytroczę i do Ledóchow- s kiego odstawię.

Na to zaś odezwał się dosyć łagodnie starosta bełzki:

– Nie jest to rzeczą tak łatwą, pójść przeciw wyraźnemu ordynansowi konfederacyi, ale ja myślę, że tę obronę pana Adama trzebaby przecież jakoś uwzględnić...

Zaczóm zaś zaraz głos zabrał sufragan, mówiąc w ten sens:

– Trzymam i ja tóż z moim kochanym panem Józefem i jeśli mi się odezwać godzi, to tak powiem: Co tam winien jmc Sie-

niawski, tego ja nie wiem, ale to wiem, że ten Sieniawski jest hetmanem i kasztelanem krakowskim, a takich osób nie godzi się aresztować. Bo żeby to z takiego nasienia jakie chwasty za czasem nie wyrosły, jako nam przykład tego dała niedawno Anglia. Kanfederacya a rewolucya to jest wprawdzie nie jedno, ba jeszcze do tego na czele naszych konfederacyj Stają zazwyczaj mężowie zacni, rozsądni i zaufani: ale kiedy jedna konfederacya da z siebie zaraźliwe exemplum, to druga za nią może snadnie utracić swój starodawny ' charakter; niechże natenczas weźmie jej berło nie Ledóchowski lecz jaki Kromwell, to już nietylko hetmani, ale i pisarze, i starostowie, i sufragani pójdą do turmy, albo i szyje oddadzą pod miecz. Tak ja to mówię i sądzę, że rzecz ta godna zastanowienia

Więc tedy pisarz obrócił się do nich obudwóch i rzekł z uśmiechem:

– A jużecie się ichmość na mnie zmówili. No! jużci ja nie kamienny i sambym rad co uczynić dla niego. Przecie mi krewny i brat. Ale co w tem, jakoby przez uwięzienie hetmana dawał się zły przykład na potóm, to się z jegomością nie zgadzam; bo jak cię kocham, biskupie, tak- to dobry jest przykład! No, jeno takich nie dawajcie przykładów, bo to jest gorsza od angielskich Krom- welów! A co do niego, to i niema co mówić, bo ja mam rozkaz wyraźny i wypełnić go muszę.

A to rzekłszy, patrzył znowu na Sieniawskiego, który mówił :

– Czyń, jak ci każe sumienie. Sumienie, mówię, ale nie rozkaz, bo rozkaz pana podkomorzego no"! ale co mi tam na tóm.

Wybióracie sobie starszyznę sami, toście z niój i kontenci.

Więc pisarz na to jeszcze raz spojrział na Sieniawskiego i trochę głową pokręcił, bo go to zabolalo, że hetman z lekceważeniem o Ledóchowskim wspomniał, mężu wielbionym powszechnie, ^a j^eg^o przyjacielu serdecznym. Ale już umilkł, a zamiast tego rzekł:

– Ale ja przecież postąpię z tobą wedle mego sumienia i co mogę, to zrobię

Jakoż się zaraz obrócił do starosty i rzekł: I Idźże, kochany Józefie, do pani hetmanowej i panny Zofii, bo tam te damy pewnie już umierają ze strachu, zwłaszcza, że warta stoi koło nich. Uspokójże tedy najpiórw naszą panią siostrę i powiedz jój, że sambym to rad uczynił, ale nie mogę, bo wyniknęłoby ztąd zawiele czułości, której muszę unikać, zwłaszcza zem nie przyjechał tu jako brat na siostrzyne uściski, jeno jako marszałek konfederacyi w urzędowaniu. Pomimo to jednak upewnij ją, że się o męża nióma nic zgoła obawiać, bo w moich ręku ani mu włos z głowy nie spadnie. Wziętem go i do Lubomli odstawię, bo taki jest rozkaz; jednak i tam mu głowy nie zdejmą, ano się z nim rozmówią i jako tako go ubezpieczą, aby na przyszłość nie

igrał. Jednakże gdyby i to się pani siostrze nie podobało i gdyby chciała, żeby jój mąż zbyt długo w konfederackiej detencji nie pozostawał, to niechaj sobie każe zaprzęgać i niechaj jedzie prędko do księcia Janusza i prosi go, aby nam dał za niego rękojmię, a wtedy już się to jakoś u pana Ledóchowskiego wyrobi, że tę rękojmię przyjmie i pozwoli mu tę detencyą do skończenia konfederacyi kędy indziej odsiedzieć. A to powiódz tym damom i pokłoń im się odemnie.

Rad tedy bardzo, pobiegł zacny starosta do dam, ażeby je jaknajprędzój uspokoić i do księcia Janusza wyprawić. Ale Sieniawski, który się zapewne spodziewał czego innego, skrzywił się na to i z zachmurzonym czołem zaczął się wolnym krokiem przechodzić po tej ogromnej komnacie, która dość słabo, bo tylko kilkoma była oświetlona świecami. Nie uważał jednak pisarz tego usposobienia hetmana i rzekł do niego:

– No, mój Adasiu, powiódzże tedy, czy konfederacy są tak bardzo krwi chciwi, czy nie tak bardzo?

A hetman na to dość obojętnie:

– Ani ja tam konfederatów obwiniam, ani też ciebie. Jestem w twoich ręku, a co mam mówić? Widzę, żeś na mnie łaskaw choć trochę, tedy ci za to dziękuję i mówię, niechaj ci Bóg to nagrodzi.

Poczóm się zaczął śpieszniój po komnacie przechodzić, milcząc i sapiąc. Zauważył już wtedy pisarz, że jeszcze nie zadowolił hetmana, a jak to i on, obyczajem rodzinnym Potockich, nie lubiał nikomu być dobrodziejem na połowę, tak rzekł zaraz do-niego:

– Powiódzże, panie Adamie, bo się coś chmurzysz jak widzę, małom ja zrobił dla ciebie? czy można więćój?

– Ja tego nie wiem,—rzecze mu hetman,— bo tóż i nie znam praw waszych konfederackich

A pisarz już na to niecierpliwie:

– Chodźno tu, panie Adamie, i usiądź ze mną za stołem. Bo ty jeszcze mi płaczesz, a ja nie lubię, żeby na mnie płakano. Chodźże tu, napij się ze mną, a pogadajmy.

Więc hetman siadł, napił się znowu na teh ciężki frasunek i rzekł:

– Ot! co tu .gadać! rzecz już skończona. Zrobiłeś co. mogłeś, a na więćój cię nie stać. Cóż ci więc powiem? chyba to tylko, co zrobię, kiedy mnie do konfederacyi zawieziesz.

– No, cóż ty zrobisz?

– Co? złożę zaraz buławę i kasztelanią zrzucę ze siebie! Jak mnie tu widzisz żywego, tak ani jota nie chybi. Albow ja głupi dźwigać na sobie urzędy, które przez całe życie tylko trud krwawy mi niosą, a jeszcze w końcu obudzają zawiść do tego stopnia, że mnie aż w dyby chcą kować? A na co mi tego wszystkiego? Na co mi być zawistnym sługą- po obcych krajach? Nie mam ja kraju mego własnego, gdzie mnie nikt kontrolować nie może i gdzie

jest panem, jak każdy drugi? Późno to, późno mi to doświadczenie przychodzi, ale za Boską pomocą jeszcze zawsze dość wcześnie, abym je mógł wykonać, łże je święcie wykonam, możecie być pewni.- Podzielcie się temi urzędy, którychem nawykpiwał, jak powiadacie, u króla, i będziecie je sobie piastować, jak długo wam się podoba. Ani wam ich zawidzić nie będę. I owszem, daj Boże szczęście!

– No, toś ty gotów jeszcze pomyśleć, – rzecze pisarz, kiwając głową, – że albo ja, albo tóż Leduchowski, dlatego ciebie chcemy uwięzić, aby się potem poubiórać w twoje urzędy. Ej! dzieckożto z ciebie, hetmanie, a dziecko stare, na któreby się już i pogniówać można, jeśliby tylko serce było po temu. Ale ja się nie gniewam, a w dowód tego ani już mówić o tó m z tobą nie będę! A co mi na tó m! Jarn zrobił swoje, a ty myśl sobie o tó m co chcesz.

A to rzekłszy, odwrócił się zaraz od niego i rozparł się w krzesle. Ale Sieniawski, widząc zapewne, że tędy jakoś nie idzie, przystąpił zaraz ku niemu i rzekł:

– Mój Michasiu! nie bierzże mi tego za złe, że m jest taki pochmurny w mym własnym domu. Ale i nie dziw się temu, bo też i trudno mi być wesołym, kiedym popadł w niewolę, w któ- rójem nigdy jeszcze nie bywał.

– No, ale czegoż u kata na mnie się dąsasz? – zawołał pisarz, porywając się z miejsca, – jam to jest winien temu, żeś ty popadł w niewolę? czy ja ci tę niewolę opieprzył, a nie osłodził ?

A w tej właśnie chwili powrócił starosta bełzki i zawiadomił swojego brata, że pani hetmanowa bardzo mu wdzięczna za podanie jój środka tak zbawiennego przeciw konfederackiój niewoli, poleciwszy swojego męża jego braterskiój opiece, wyjechała w ten moment do księcia Janusza. Starosta sam odprowadził ją do powozu i dał jój konwój z konfederackiój konnicy.

– Jeszcze i konwój dał twojej żonie, – zawołał pisarz, kon- tynuując rzecz swoją do Sieniawskiego, – ażeby się o tó m dowiedziano w konfederacyi i żeby mnie jeszcze pomówiono o zdradę! I czegoż ty jeszcze żądasz odemnie? mogąć ja zrobić co więćój?

– Nie, mój Michasiu, – odpowie hetman niby trochę swobodniej, –jak ciebie kocham, tak niczego więćej nie pragnę... chociaż mi trudno tego zataić, że jabym przecieć dla ciebie uczynił "więćój i kiedy była pora po temu, tom się wcale nie wahał.

– Tyś dla mnie co zrobił? – zapyta pisarz, – a kiedyż to było?

– Nie lubię ja tam, – rzecze mu hetman, – wypominać wła- snemi usty, com kiedy komu zrobił dobrego, ale gdy o tó m mowa, to cię proszę, ażebyś- sam sobie przypomniał.

– A ja nic nie pamiętam, choćbyś mnie zabił.

– No, tó ja tobie przypomnę. Było to w r. 1698. Król wtedy

ciągnął z Sasami i kwarcianymi na kampanię turecką i stanął obozem pod Brzeżanami

– A! – rzecze pisarz, – to mi ty to przypominasz, żem wtedy uderzył obuchem Przebendowskiego No, ale powiódźże sam, żalim nie dobrze to zrobił?

Tu się obrócił do sufragana i tak mówił:

– Słuchaj no, księżę Stefanie, jak to tam było. Bo to ten Przebendowski, który dopiero co został był wtedy wojewodą malborskim, już się tak był uczeplił króla i tak tam praktykował u niego, że niech się schowa dzisiejszy Fleming. Ciągnie król wtedy na kampanię turecką, pozapraszał nas wszystkich, idziemy. Ale jakeśmy zaczęli iść do Krakowa o wiosnę, takeśmy na jesień •ledwie dociągnęli do Brzeżan. Bo to ta rzecz cała była wymyślona, żeby jeno mieć pretekst trzymania Sasów in msceribus regni i po staremu rabować dwory, kościoły i chaty, właśnie tak jak i teraz. Więc kiedyśmy stanęli u Brzeżan, a tu już zima i ocze- wiście z tój tam kampanii nic, i jużesmy przeniknęli królewską sztukę, powiadamy jemu: Nie bałamuć ty, panie królu, a zabierz precz twoich Sasów, jako jest w Padach, A Przebendowski, kochanek króla, coby nam był miał do tego dopomódz, jeszcze się na mnie oburzył i bluźnierstwo powiedział na szlachtę; więc ja go za to obuchem! Hej! zrobił się popłoch w obozie, że aż królewskie namioty poobrywano! bo frant Przebendowski wpadł był do króla

i rzekł mu, że gas czynią na niego w obozie cha, cha, cha! –\ i śmiał się z tego wspomnienia swojój młodości pan Michał.

A hetman na to:

–.. Prawda to, tak tam było. Ale dodaj że jeszcze, że za to wzięto się potem do ciebie. I krucho już było koło pana Michała

– A i to prawda. Chcieli mnie Niemce ciągnąć na sąd, żem broni dobył w obozie, jeszcze tóż i pod bokiem królewskim...

– No, – rzecze hetman, – ale się zdarzył ktoś taki, który dał sam za ciebie rękojmię i wcale cię nie odsyłał do księżęcia Janusza. A byłem ja wtedy także z partyi królewskiój, a ty z malkontentów, jak zawsze, i byłem ja także odpowiedzialnym przed królem za ciebie, jako ty jesteś odpowiedzialnym za mnie w obec konfederacyi, ale pomimo to wcalem się ja nie wahał dać porękę za ciebie i pótym deptał, pókim cię nie wydeptał i sprawa poszła per non sunt!

A na to zaraz ozwał się ks. sufragan:

– A! panie Michale! jeśli tak jest, tożto rzecz jasna, że trzeba oddać dobre za nadobne. Chyba że tak nie było..fc.

Więc pisarz na to wstał z krzesła i przechodząc się po komnacie, tak mówił:

– Jużci tak było... niema co mówić... Ale to inna rzecz była natenczas...

– A jaka inna? – zapytał hetman.

Tom XI.

– A jużci inna. Bom ja był czysty, tak wobec Boga, jak i narodu, a tyś haniebnie nabroił

– Słuchaj Michale! –r zawołał hetman z pośpiechem, – powiem ci krótko. Są w narodzie dwie partye, jedna trzyma za królem, a druga za swoją własną fantazyą, obiedwie się wzajem nazywają zdrajcami; ale która z nich ma prawdę, jak ciebie Kocham, rzecz niewiadoma, bo jeno Bóg to wió jeden, który nas kiedyś osądzi. A jeśli tak jest, a,co to wiedzióć, który z nas czysty, albo też który z nas więcej nabroił jak drugi?

A pisarz na to wciąż w zamyśleniu: •

–r Dajcieno i.chmość pokój, bo znów się zacznie dysputa, a ta między wami jest do niczego. Cóż powiadasz, panie Michale?

: – „Albo ja wiem? – rzecze Potocki, – jużcibym rad się Adasiowi wypłacić, bo długów nie cierpię, ale cóż ja z nim zrobię?

A hetman na to:

– Rób, jak ci każe sumienie.

– No, słuchajże ty człowieku sumienny,– rzecze już niecierpliwie pan Michał,– pojedziesz ty ztąd prosto do Brzeżan i będziesz tam siedział do skończenia konfederacyi?

– Jużci pojedę.

– Parol?

– Parol.

No, to nie płacz na mnie i każ sobie zaraz zaprzęgać.

Ledwie tych słów domówił pisarz, kiedy starosta bełzki wybiegł natychmiast w dziedziniec, ażeby w ten moment zajeżdżały powozy.

A tymczasem Sieniawski omal się nie rozplakał. Jakoż objął zaraz pisarza za szyję, całował go po bratersku i mówił:

– Dziękuję ci, mój Michasie, a niech ci Bóg za to zapłaci, bo mnie też wiele oszczędziłeś zgryzoty.

A pisarz na to:

– Ja ci już wszystko robię, i to co mogę, i to czego nawet nie mogę. A słuchaj, Adasiu! jeżeli ty mi ztąd nie pojedziesz prosto jak strzełił do Brzeżan, albo w Brzeżanach będziesz knuł jakie spiski przeciw konfederacyi to pamiętaj ty sobie! Już ja natenczas sam nie przyjdę po ciebie, jeno takiego ci diabła poszlę, że ani zębami go nie ugryziesz. A to sobie zapisz dobrze w pamięci, a na mnie nie płacz, bom już występek popełnił, ażeby tobie dogodzić. A teraz łóż prędko w twoję szubę sobolą i jedź.

Jakoż natychmiast zaczęto z jaknajwiększym pośpiechem Sieniawskiego ubiórać. Już i starosta bełzki i uspokojony o nietykalność senatorskiój godności sufragana dopomagali hetmanowi jak mogli, ażeby się ubrał czómprędzej, a jak go tylko opapuzyli, prowadzili go zaraz poboczriemi drzwiami do sieni. Wszakże we drzwiach samych jeszcze się raz Sieniawski obrócił i rzekł do pisarza:

– Mój Michasiu! zróbże jeszcze to dla mnie i puść mi Ożarowskiego.

A pisarz na to:

– Otóż masz! Jeszcze czego nie stało!... Jedźno, jedź prędko, a oglądaj się, żeby jeszcze i ciebie nie nawrócono!

' Zaczórn już sam wziął hetmana pod ramię i wyprowadził go aż na dziedziniec, gdzie go już zaprzężone oczekiwały powozy.

Za chwilę potem Sieniawski już był za miastem, – na niz- kim zamku i w całym mieście grobowa zapanowała cisza, –i tylko w piwnicach zamkowych było jeszcze cokolwiek głuchego gwaru, gdzie konfederackie żołniorstwo wysuszało do reszty popuszczane z łańcuchów antały.

Tak tedy hetman, umiając zręcznie korzystać z ambicyi i poczciwości pisarza, wydobył się nateraz z nieszczęścia, w które był popadł; lecz uczyniwszy wszystko dla siebie, dla swego najwierniejszego przyjaciela nic nie uczynił. – A tymczasem Ożarowski, jeżeli w swóm życiu, to teraz właśnie najbardziej potrzebował pomocy, bo tóż i dziwnie smutne było to położenie, w które go wreszcie zaprowadziła łaska i przyjaźń hetmańska.

Owo więc, kiedy przez szczęśliwego Garbowieckiego uderzony po dwakroć bagnetem, padł był przed bramą, to jeno ziemia się pod nim zatrzęsła, jakaś burza straszliwa przeszumiała nad jego głową, w jego oczach zrobiło się ciemno, a wreszcie odstąpiła go cała przytomność. Jak długo leżał bez zmysłów i co się z nim działo natenczas, sam już nie wiedział

Kiedy po raz piórwszy przejrzał cokolwiek i poczuł się jakby przez sen w istnieniu, to go mrowie przeszło po całym ciele i bodajby był raczej nigdy do przytomności nie wracał! Zdało mu się bowiem natenczas, że miał dwie rany na sobie, jedną w piersi, a drugą na głowie, a to go piekło, jak gdyby go kto co chwila rozpalonóm dotykał żelazem. Przyćóm gorzało mu w głowie jak w hucie, usta miał suche, język spalony i pragnął tak, że byłby dał resztę życia za jedną kropelkę wody. Rozejrzał się koło siebie i zdało mu się jakoby był w jakiejś wielkiej komnacie, murowanej, sklepionej, lecz dziwnie strasznej. Ściany jój bowiem były całkiem szczerbiałe, w niektórych miejscach u dołu wilgoć ściekała strugami, w innych zamarzała i lśniła srobrnymi gwiazdkami do światła. W komnacie tój była wskroś kamienna posadzka, dwa

okna wysokie gotyckie otyle jasne, żeby przy nich ciemność obaczyć, a zresztą żadnego sprzętu, oprócz drewnianego tapczana na którym leżał i żelaznego pieca, który pomimo zmroku sam wpadał w oczy, bo miał gęste szczeliny po sobie, a przez nie było widać płomień gorejącego w nim ognia. I była cisza w tej wilgotnej samotni. Tylko przy jednej ścianie dawał się słyszeć szum ustawiczny, jakby tamtędy przy fundamentach, albo rżożS pod nimi, płynęła rzóka. Obejrzawszy to wszystko, chciał my- ślóc, ażeby sobie przypomnieć gdzie jest? co się z nim dzieje? co to za komnata? czy był w niej kiedy? – Ale miast myśli, zaczęły mu się jawić rozmaite widziadła Zaledwie już miał tyle przytomności,- że wziął skaplerz do ręki, który znalazł nietknięty na swo- jój piersi; a tak miejsce widziadeł zajęły mu sny błogie i miłe, w których prędko utonął, tracąc z przed oczu komnatę, jój ściany wilgotne, jój okna gotyckie, a nareszcie i siebie samego z pamięci

A kiedy po raz wtóry się zbudził, to znów się znalazł w tójże samój komnacie. Ale teraz noc była – a u stropu paliła się lampka stłuczona, jaką często przed obrazami w uboższych zawieszają kościołach. Jakoż i koło niego stał już teraz stolik drewniany, na którym postawiono dzban wody, porozrzucano kawałki płótna i silnie woniejące dryakwie. Widać tedy było, że już tu ktoś dbał

0 niego, a nawet i o ranach jego pamiętał. – Jerzy poczuł się w sobie i znalazł, że mu te rany już nie dokuczały tak bardzo, ale mimo to czuł się tak osłabionym, że nie mógł poruszyć ręką

1 zaledwie miał tyle siły, ażeby utrzymać już otworzone powieki. Będąc niby cokolwiek przytomnym, chciał sobie zdać sprawę z tego, co się z nim stało i jeszcze wciąż dzieje, ale i to było nad jego możność.. Albowiem sen go mroczył ustawny i plątał w nim wszystkie myśli do tego stopnia, że był jak pijany i posiadał zaledwie cień przytomności. Leżał tedy spokojnie i słuchał, chociaż nic do słyszenia nie było. W komnacie bowiem cisza była

, grobowa, tylko ów szum wody podziemnoj szeleścił ciągle, wzmagając się czasem pluskaniem, z kąd się zdawało, że owa woda musi wzbierać zapewne, nowe ze sobą przynosząc fale. Pośród tej ciszy dawały się także słyszóc zdaleka jakieś stłumione wołania, jak gdyby warty zamkowój. Te głosy znał Jerzy oddawna i z nich się domyślał jakby przez sen, że się znajduje na niskim zamku i jest zapewne w niewoli. Późnij znów zegar usłyszał, który uderzył jedenastą godzinę i zdało mu się, jakoby to był dzwon starodawny ratusza. Wszakże już dalój nic nie dosłyszał, a skołysany jednostajnością szumiącój wody, poczuł zapadać w senność, która mu znowu zaczęła snować rozmaite widziadła Tak w tym pół- śnie pół-jawie przeleżał może godzinę albo i więcej, kiedy wtóm nagle usłyszał jakieś ciężkie stąpanie po kamiennój posadzce. Już sama myśl o tóm, że w tój podziemnej samotni prawie o samój północy* ktoś go nawiedza, przejęła go dreszczem, ale ten dreszcz

DZIEŁA ZYG. KACZKOWSKIEGO.

wystąpił mu zimnym potem na czoło, kiedy tuż przy swera łożu jakąś postać obaczył. A była to postać straszliwie brzydka i prawie przerażająca. Mąż niski wzrostem, mocno barczysty i niele- dwie zgarbiony, z głową ogromną, skrajaną twarzą i siwą brodą strzępiastą. Miał na sobie burkę kudłatą, a na głowie czapkę futrzaną z uszama, w którym to stroju jeszcze dziksza miał fizyogno- mią. Tak stał i patrząc swemi szklistem i oczyma na niego, trzymał palec na ustach. Na piórwszy widok tego zjawiska Jerzy zdrzał w najgłębszem wnętrzu, byłby się rzucił, gdyby był miał snę po temu; ale jak był bezwładny, zimnym oblany potem, tak tylko patrzył wystraszonemi oczyma na niego. Wszakże po małej chwili, przypatrzwszy mu się cokolwiek lepiej, znacznie ochłonął; zdało mu się bowiem, że znał tego człowieka, że go widział gdzieś modlącego się bardzo gorąco, że nawet sam z nim odprawiał pokutnicze modlitwy. W tej samej chwili, jako to myśli ludzkie zjawiają się jedna po drugiej jak błyskawica, znów uczuł wstręt do tego człowieka, bo wtedy już mu się zdało, jakoby ten człowiek przecież na niego kiedyś szatańskie zastawiał sidła. Ale za jedno oka mgnienie znowu się uspokoił, albowiem wtedy dostrzegł jeszcze drugiego człowieka za piórwszym, a kiedy twarz jego obejrzał, to jakby mu kto balsam przyłożył na ranę. A była to twarz także duża i pełna, a nad nią włosy siwawe nastroszone jak strzecha, lecz na niój oczy duże błękitne, jasne i tak pocziwe, że Jerzy aż się roześmiał w głębi swej duszy i nawet widomie się do nich uśmiechnął.

I

Silił się tóż koniecznie, ażeby coś do nich przemówić, lecz nie mógł, –tylko westchnął z głębokiej piersi i zdało mu się, jak gdyby odżył. Ci zaś obadwa ludzie zdawali się tylko czekać na to westchnienie, albowiem zaraz poszeptali coś z sobą pocichu i coś szeptali do niego, ale ich nie rozumiał. Oni nie zważali wszakże nic na to, tylko się wzięli do niego i poczęli go w koce obwijać, spowijając mocno jakby niemowlę. Dziwnie to było Jerzemu; miał niby jakąś ufność bezwiedną, że się to nie dzieje na jego szkodę, a przecież go silna obejmowała obawa. I ta obawa musiała się zwiększać za każdą chwilą. Przybysze ci bowiem, spowiwszy go całkowicie, wzięli na swoje barki i precz z komnaty wynieśli. I nieśli go potem kędyś, jakby pomiędzy jakieś wilgotne i chłodne mury i wreszcie zatrzymali się z nim w ciemności. Jerzy to tylko pamiętał, że pośród tego gorzój nizeli pogrzebowego pochodu, ów szum płynącej wody stawał się coraz głośniejszym, a nareszcie już go tak słyszał wyraźnie, jak gdyby się znajdował nad samą rzóką. Tam go ci ludzie złożyli z barków na ziemię i zdało mu się, jakby przez jakiś wyłom w fundamentach lub murze rozmawiali z jakimiś innymi ludźmi, którzy tam na nich czekali. Poczóm natychmiast znowu go wzięli na ręce i bez żadnego wątpenia przez wyłom muru spuścili na dół do rzeki. Co się dalej z nim działo, już nie

*nógł wiedzióc, albowiem w tój rzóce chłód go owionął tak mocny, że zdrętwiał cały i w zupełności stracił przytomność....

Wszakże z tój niepamięci, która znów trwała Bóg wie jak długo, obudził się po raz trzeci, – ale było to już zupełnie inne zbudzenie! Albowiem wtedy znalazł on się już w bardzo pięknoj, jasnej, wesolój i nawet wcale bogato przyozdobionej komnacie. Leżał na łożu wyniosłem, pościel miał czystą i cienką, na sobie kołdry jedwabne, na ścianach pyszne haftowane kobierce. A i ludzi już tutaj nie brakło i jeszcze jakich do tego! Przy głowach łoża siedziała matka jego, u nóg najulubieńszy jego porucznik, zacny Sebastyan Połówka, a przy nim medyk nadworny hetmański, – na kanapie zaś trochę opodal mieścił się ks. sufragan Rupniewski, a przy nim znowu blizki przyjaciel Jerzego, bogobojny ksiądz^x Andrzej. Kiedy chory wszystkie te tak ulubione przez siebie osoby swojemi już znacznie rozjaśnionemi oczyma ogarnął, jakże to wielką radość uczuł w swóm sercu, jak niewymowna błogość rozpostarła się w jego zbołałej duszy! Jakoż lubo był jeszcze osłabiony tak bardzo, że zaledwie mógł ręką poruszyć, to i tę rękę ku nim wyciągnął i powitał ich takim jasnym, wesołym, rozpromienionym uśmiechem, jakim mieszkańcy stref lodowatych po kilkomiesięcznej nocy witają piórwszy wschód słońca. Wszakże jeżeli on się tak bardzo ucieszył otaczających go osób widokiem, to one, obaczywszy jego oczy otwarte, a na jego twarzy uśmiech taki wesoły, ucieszyły się jeszcze daleko więcój. Jakoż w tój chwili wszyscy się raźnie z miejsc swoich porwali i otoczyli go kołem, a iego matka tak się uniosła porywającą radością, że się rzuciła na kolana przy jego łożu i porwawszy synowską rękę, tak silnie ją do ust swych przycisnęła, jakoby jój nigdy już nie miała wypuścić. Nie mniejszą radość okazali i drudzy, albowiem kiedy rzucający się medyk coś ustawicznie szwargotał językiem włoskim, to równie ucieszony kapelan prawie go jeszcze zagłuszał; sam ks. sufragan, wyrzuciwszy pomimowoli szczyptę tabaki z pomiędzy palców, już coś opowiadał Jerzemu tak żywo, jak tego nigdy nie miał w zwyczaju, – jeden tylko Połówka nie umiał słów znaleźć w swojóm głębokiem Wzruszeniu i tylko lży gęste ociórał z rozpromienionej twarzy.

Scena ta, której głębszego powodu Jerzy się tylko jak gdyby przez sen domyślał, trwała wszakże tylko małą chwileczkę, albowiem on sam, wiedząc dobrze, komu się z każdój radości najpierwsza godzi ofiara, przerwał ją prędko, zanosząc do ks. Andrzeja prośbę, ażeby był łaskaw odczytać mu jaką stosowną do tego momentu niodlitwę. Bardzo uradowany tą myślą pobożną, ks. Andrzej wydobył zaraz brewiarzyk z kieszeni i począł czytać w nim głośno, – a tak wszyscy natychmiast umilkli, składając ręce i powtarzając za nim wymawiane przez niego modlitwy. Najzarliwiój ze wszystkich modlił się Jerzy, – ale pomimo to nie mógł nie zauważyć, iż jego matka tak całą duszą zatopiła się w modłach, a na jej twarzy odbił się tak głęboki wyraz pokory i skruchy, że Cała jej po

stać przypomniawszy mu jakby żywo owe pokutnice natchnione i święte, które od lat pacholących tak dobrze były mu znane z ksiąg ks. Skargi, a które później niejednokrotnie z zachwyceniem oglądał na obrazach włoskiego pędzla. Widok ten, trudno tego zataić, jeszcze go silniej w tój chwili pocieszył, niżeli jego własna modlitwa; a wszakżeż wiedział on o tój, a co gorsza, czuł to po wszystkie czasy, jak powierzchowną tylko wiarę chowała w swem sercu ta najdroższa dla niego niewiasta, jak wiele ztąd niepowodzeń wywiązało się dla jego rodziny i jak to niezbędnie tak dla niej, jak i dla niego samego było potrzebnem, ażeby się ten niedostatek jój serca wypełnił. Myśl ta od czasu jego powrotu z Paryża trapiła go ciągle, a lubo ta sprawa była tak drażliwą i delikatną, że ledwie śmiał o niej pomyśleć, pracował, jednak nad nią, o ile tylko dozwalały tego względy synowskie; ale dotychczas ta praca jego żadnych nie przynosiła skutków. Miałyżby tedy teraz same zdarzenia sprawić to w jednój chwili, czego i ojciec i syn nie dokazali przez całe lata? Tak ta myśl przebiegła Jerzemu przez głowę jak błyskawica i dziwnie głębokie sprawiła na nim wrażenie; ale nateraz nie mógł on się nią dłużej zatrudniać, albowiem zaraz po skończonój modlitwie poczęto mu opowiadać z kolei te wszystkie wypadki, które zaszły podczas jego nieprzytomności, a których było tak wiele!

Jakoż dowiedział on się podówczas dosyć ciekawych rzeczy.

Najpiórwój tedy o nim samym powiedziano mu ten szczegół zadziwiający, iż jego rany nie były nigdy ani śmiertelne, ani tak bardzo ciężkie, jeżeli go zaś opanowało osłabienie tak wielkie, że aż musiano zwątpić o jego życiu i dopióro dziś piórwsza zabłysła nadzieja, to miał on to do zawdzięczenia tylko żołnierskiemu fel- czerstwu. Kiedy go bowiem konfederaci z pola bitwy do więzienia zanieśli, to chcąc go ratować, sami mu krew puścili, będąc zaś z łaski piwnic hetmańskich podochoceni bez miary, i krwi mu upuścili bez miary i to do tego stopnia, iż tylko łaska Boska mogła go uratować od śmierci. Jakoż byłby tam Jerzy śmierć znalazł pewną, bo lubo może na ratowania go chęciach nie brakło, jednak ówczesny stan zamku, wazące się w nim wypadki i zresztą wszystkie inne okoliczności były tego rodzaju, że wśród nich jakiegokolwiek pielęgnowanie chorego było niepodobieństwem. Okoliczności zaś te były następujące:

Kiedy się pisarz koronny nazajutrz rano po wzięciu zamku i wypuszczeniu hetmana ze snu obudził, to rozpatrzywszy się w tój, co się stało, bardzo był frasobliwy. Nie, mógł on bowiem tego nie uznać, iż rozgrzanóm sercem, rozgrzaną troszeczkę głową, a wreszcie uniesony szlachetną chęcią okazania dowodnie, że konfederaci nie są tak zawzięci i mściwi, za jakich ich mióć chcieli stronnicy sascy, - dał się poprostu unieść prywacie. Wprawdzie powiedzióć tu trzeba, że bodajby po wieczne czasy tylko taka się pojawiła prywata, która bliźniemu nie szkodzi, ale owszem pomaga:

jednakże ta prywata mimo tej dobrej strony miała i złą, bo wypuszczenie hetmana mogło przynieść sprawie publicznej szkodę. Potocki nie powinien był pod żadnym warunkiem Sieniawskiego uwalniać. Jakoż uczuwszy to pan Michał w swoim sumieniu i wiedząc, że się z trudnością z tego postępu przed niecierpiącą Sieniawskiego konfederacją usprawiedliwi, chciał przynajmniej wszystkich innych swych obowiązków z taką ścisłością dopełnić, ażeby wypływającymi z nich korzyściami dla konfederacji tamtą niekorzyść choć w części zatrzeć i wynagrodzić. W tym celu, jak tylko wstał rano, rozkazał jaknajściślej obwarować jeńców, a sam się rzucił na miasto, ażeby pozabióranych hetmanowi żołnierzy do swoich powcielać chorągwi, broń pozabiórac z zbrojowni, mury opatrzyć, bramy osadzić i zgoła wszędzie pożądanym zaprowadzić porządek. Do tego wszystkiego nagliła go jeszcze i ta okoliczność, iż lada chwila mógł się spodziewać napadu na miasto, albowiem generał Baudycz, który dopióro parę dni temu wyszedł ze Lwowa, mógł się nawrócić i popróbować szczęścia u jego murów. Tak tedy, zajmując się temi pracami, dopiero w wieczór powrócił pisarz na niski zamek; a kiedy wrócił, zastał ważną nowinę. Przed chwilą bowiem przyleciał był kuryer od Ledóchowskiego z rozkazem, ażeby pisarz dostawił w ten moment hetmana do niego. Odebrawszy takową depezę i widząc z nią jeszcze tórn jawniej, jak wielką niedorzeczność popełnił wypuszczając hetmana, zniecierpliwiał się nią do najwyższego stopnia i wpadł w gniew niesłychany, chociaż właściwie prócz niego samego nikt tu nie zawinił. Wszakże w tym gniewie sam nie wiedział co robić, bo Sieniawski od czasu jak wyjechał ze Lwowa, mógł już trzy razy zajechać do Brzeżan, fortecy jeszcze nigdy nie wziętój, bo jej wziąć było niepodobieństwem. Jednakże jeśli z owego uwolnienia hetmana był tak nie- kontent marszałek konfederacji, to jeszcze daleko więcej byli tórn zniechęceni sami pisarzowscy żołnierze, którzy w chwili zwycięstwa daleko więcej cieszyli się wzięciem hetmana, niżeli zdobyciem miasta i zamku. Pomiędzy tymi wiódł rej jmc Piotr Wiszowaty, konfederat ognisty, jak to już wiemy, nieubłagany wróg Sieniawskiego.

On od lat kilku wzięcie hetmana, w czasie spodziewanój przez siebie od dawna konfederacji i pozbawienia go tak szkodliwój y jego ręką buławy, położył sobie za cel wszystkich prac swoich i wszystkich tak mozolnych zabiegów; on nawet uczynił na Jasnej Górze ślub potajemny, że się musi rozprawić z tym, jak go nazywał, zdrajcą wielkim koronnym; on może wreszcie, tak Ledóchowskiego, jak Potockiego i innych, najskrzętniej do tego kroku namawiał, a może i on ich do tego postanowienia ostatecznie nakłonił: – a tymczasem Potocki, mając już tego senatorskiego jeńca w swych rękach, ni ztąd ni zowąd, sam go wypuścił! Szczęściem to było dla Sieniawskiego niemałóm, iż w owę chwilę, kiedy ze zamku wyjeżdżał, tryumfujący ze zwycięstwa rotmistrz

bawił się właśnie w podzamkowych piwnicach, bo gdyby nie to, jak Bóg na niebie, byłby go własną ręką zatrzymał i z swymi stronnikami raczej gwałt zrobił, niżeli na uwolnienie zezwolił. Lecz dowiedziawszy się o tym wypadku dopióro nazajutrz, wpadł tylko w gniów piorunowy i uniósł się był nawet cokolwiek w obec pisarza, lubo wkrótce na przeprosinach ten wybuch swój żarliwości zakończył. Owo więc, kiedy nazajutrz w wieczór przybiegł ów kuryer od Ledóchowskiego i pisarz już sam nie wiedział, jakby miał sobie w tym fatalnym wypadku postąpić, to zawezwał do siebie rotmistrza i jemu ten frasunek powierzył. A rotmistrz, któremu to uwolnienie hetmana jak głąz piekielny ciągle ciążyło na sercu, wcale długo się nie namyslał, tylko rzekł pisarzowi:

– A to mnie więcej nie potrzeba, jak tylko takiego rozkazu. Wezmę tedy garstkę ludzi i pójdę za nim, może ja go jeszcze dostanę.

A pisarz na to:

– Choćbyś go nawet nie dostał, to i na tem dość będzie w tym razie że pójdiesz, bo będziemy mieli czem się usprawiedliwić przed Ledóchowskim!

"– A cobym go nie miał dostać! – zawołał rotmistrz, – przecie mi jeszcze konceptu do wzięcia Brzeżan nie braknie!

Tak zaufany w swój dowcip i doświadczenie wojenne, wziął sobie dwie chorągwie pancerne, a do nich trochę piechoty na wozach z kilką armatek i wy ruszył jeszcze tój samój nocy do Brzeżan.

A kiedy to się działo na zamku, ks. Rupniewski, jako już nieodstępny doradzca pisarza, był sam temu przytomny, jakoż niezmiernie się tą nową decyzją sfrasował. Miał zaś do tego frasunku powód jeszcze o tyle ważniejszy, ile że w skutek swoich pilnych relacyj prawie wiedział na pewno, że hetman jeszcze dotychczas nie dojechał do Brzeżan, tylko wstąpiwszy do Przemyślan po drodze, tam po tych zgrzyotach i trudach, które czy to w swej naiwności, czyli w zarozumieniu, uważał już za skończone, tymczasowo spoczywał. Było tu tedy rzeczą nieledwie pewną, że rotmistrz zgoni go w Przemyślanach, a że go z nieochronnego dworu weźmie i pewnie z swych rąk nie wypuści, nie mogło być ani wątpienia. Sufragan tedy przestraszył się tój decyzji, a ponieważ już teraz, wbrew powtórnemu rozkazowi generalnego marszałka, nie mógł się jej sprzeciwić, hetmana zaś choćby dla samój zasady ratować koniecznie pragnął, więc się sam zebrał czómprędzój i do Przemyślan popędził. Ta jego ciągła o hetmana obawa, zakończona nareszcie podróżą, stała się powodem, że i on nie mógł o Ożarowskim pamiętać, – i nikt natenczas nie mógł o nim pamiętać, bo kiedy matka jego leżała sarna w bezprzytomności na nizkim zamku i w całym mieście był taki rozgwar i popłoch przez ten dzień cały, że gdyby był Jerzy nawet i konał to byłoby nie było, ktoby mu był sprowadził księdza.

Mimo to wszystko przecież znalazł się jeden taki człowiek poczciwy w mieście, który w tej chwili fatalnej jego sobie przy-

pomniat. A nie był nim wcale kto inny, jak tylko ten dziwny szlachcic, który był niegdy przyjacielem jego ś. p. ojca, a którego zwano Murzą tatarskim. On bowiem, lubo był jednym z najskrzętniejszych współzawodników konfederacyi, na dniu tym właśnie znalazł się bez żadnego zajęcia. Co było mu poruczonóm do dnia dzisiejszego, on już wszystko wykonał – a pamiętny słów swego mentora: że ze skalanemi występkiem rękami nie godzi mu się przystępować do głównego ołtarza spraw czystych i wolno mu tylko sprawować usługi podrzędne, – do tego wszystkiego, co się działo u góry, całkiem się nie mieszał. Wszedłszy już zresztą na tę drogę, na której przedsięwziął sobie, miast bierną skruchą i Utrapieniem, pokutować za grzechy swoje poczciwemi czynami, tak był tych czynów spragniony, tak niemi, nigdy nienasycony, iż ledwie co jednój dopełnił pracy, już łaknął drugiój, a dzień, w którym nic dobrego nie zrobił, był dla niego prawdziwem męczeństwem. Chodził natenczas jakby owca zbłąkana, nudził się, gderał, majaczył i póty szukał i szperał, póki koniecznie kogós takiego nie znalazł, komu się mógł stać pożytecznym. Owóz naza-jutrz po wzięciu Lwowa miał on także dzień taki: wszyscy byli szczęśliwi, a między szczęśliwymi nigdy on miejsca dla siebie nie szukał. Wpadł tedy na myśl, ażeby iść tam, kędy mają opatrywać rannych i grzebać umarłych – a tam wszedłszy, przypomniał sobie wprędce Ożarowskiego. Myśl ta prawie jak słońce weszła mu w oczach: bo przecież ojciec Jerzego był jego przyjacielem W czasach dla niego najgorszych, – ten ojciec, i kto wić, może Właśnie z jego przyczyny tak nagle zszedł z tego świata, – do tegoż jeszcze Jerzy był takim blizkim Bobrownickiemu i Droho-jowskiemu, którzy jeszcze zawsze wedle jego zdania mieli w swych rękach jedyny klucz od bram jego zbawienia! – Pobiegł on tedy czómprędzej na nizki zamek, ażeby Jerzego odpytać. I odpytał go łatwo, a nawet, jako tak wierny i wszystkim znany konfederacyi sługa, zyskał wstęp do niego bez żadnój trudności. Oba- czywszy go wreszcie, jakże się zdziwił, znalazłszy go już po puszczeniu krwi prawie bez duszy, ba, i bez najmniejszego ratunku, ^obiegł tedy w ten moment sam do pana Michała i opowiedziawszy mu rzecz, prosił go bardzo, ażeby mu zezwolił wziąć Ożarowskiego do miasta, wygodnie go gdzieś umieścić i pielęgnować w chorobie. Ale trafił on w chwilę jak można było najgorszą. Bo właśnie wtedy kurjer ów już był nadjechał, a pan Michał ^b był w takim gniówie, że nawet nie chciał rozmawiać z Murzą. Jednakże Murza tómsię nie zraził i nazajutrz dzień przyszedł znów ^oo pisarza. – Przyjął go teraz pan Michał cokolwiek grzeczniój, nawet za wczorajszą odprawę przeproszał, ale ku jego prośbie Przecież się nie przychylił, a w to miast rzekł:

– Znam ja ciebie, mój panie, zacnyś jest człowiek i wielkie yiam oddałeś przysługi; aleś ty równo ze mną ludzkiego serca i jak ja Sieniawskiemu, tak ty Ożarowskiemu pokrewny. Już tedy

wiesz, na czómby się ta kuracya skończyła, a ja na to zezwolić nie mogę. Wypuściłem już jednego, a ten mi stanął tak w gardle, że teraz już ani bębniasty żadnego nie puszczę!

Napróżno Murza dawał swoją fortunę w zastaw, ba, głową swoją zaręczał, że Ożarowskiego po wyzdrowieniu sam odprowadzi na zamek; pan Michał był niewzruszony, a nawet w jego przytomności najsurowszy dał rozkaz Garbowieckiemu, ażeby tego szlachcica ani wewnątrz zamku nie wpuszczał. Więc tedy Murza dziwnie się tórn ufrasował. Lecz jako był namiętnym we wszystkim, czego zapragnął i bardzo przytóm upartym, – a oprócz tego i wierzył jeszcze, że jest jakiś niedobry duch przy nim, co mu do wszystkich dobrych uczynków przeszkadza i przeszkadza tórn upornój, im który uczynek ma być zbawienniejszym dla niego, – tak tą odprawą pisarza nie dał się wcale zachwiać w swóm przedsięwzięciu, owszem, nawet przeciwnie, jeszcze tórn gorętszój nabrał fantazyi. A tak się rozgrzawszy, postanowił sobie, niechaj się potórn stanie co chce, wykraść Jerzego ze zamku. – Ale jak tu się z tego postanowienia wywiązać? – Sam go dokonać nie mógł, a choćby był mógł znaleźć we Lwowie ludzi, którzyby mu się do tój imprezy byli najęli, toż przedewszystkióm trzeba tu było kogoś takiego, ktoby znał zamek tak dobrze, żeby i w nocy mógł tam trafić z łatwością, gdzie zechce. Jednakże jak jedno, tak też i drugie okazało mu się wprost niepodobnóm, jeżeli bowiem do podobnych przedsięwzięć zawsze o współników nie łatwo, to w położeniu ówczesnem miasta, zwłaszcza tórn przy tak groźnóm usposobieniu pisarza, już samo zwierzenie się komuś z takim zamiarem było dla roztropnego człowieka niewykonalnóm. Murza tedy się kręcił, szperał, nurkował po wszystkich kątach, ale wszystko napróżno. Wszakże natenczas, kiedy z niecierpliwości był już prawie blizkim rozpaczy, przyszedł mu na myśl ów pułk wiedeńczyków dawniejszych, a dziś Sodalisów, którzy przez całych lat pięć bez przerwy konsystowali we Lwowie i zawsze trzymali strażę na zamku, a często nawet przez zimę w nim wraz z Granowskim mieszkali. Ci ludzie znali oczówiście zamek daleko lepiej niżeli ten, który go wymurował, ci ludzie byli od najdawniejszych czasów na żołdzie hetmana, a Ożarowski był także hetmańskim, ci ludzie wreszcie już od półtora roku pod komendą Jerzego, Jerzy z nich zrobił prawie najpiękniejszy pułk, dał im rozgłos i sławę i cały byt ich polepszył; nie mogło być tedy na żaden sposób (tak się Murza domyślał), ażeby oni nie byli za to wdzięczni swemu dowódcy, ażeby go nie kochali i w razie jego nieszczęścia nie potrafili się za niego poświęcić. Tak sobie to rozmyśliwszy, nie zastanawiał się ani jednego momentu, tylko wziął furkę i popędził do Brzeżan. I trafił tam w chwilę najlepszą. Podórnczas bowiem tylko co była dobiegła wiadomość o tem, co się stało we Lwowie, a w skutek tego wszyscy Sodalisowie, jak ich było okragło trzysta, byli jak struci.

Nie trąła ich tak dalece ani niewola hetmana, ani zdobycie Lwowa, ani zabranie zamku, – wszyscy oni bowiem jak byli, lubo nie bardzo się zagłębiali w materje status, daleko więcój i duchem i sercem licowali z konfederacją, niżeli ze stronnictwem królewskim, ale wzięcie Ożarowskiego bardzo boleśnie ich zgryzło. A że to byli także nie łątki drewniane, jeno ludzie ciepłego serca i do czynów gotowi, więc tóż miast próżnych żalów, poczęli radzić gorąco, jakimby tu sposobem wydobyć swojego ukochanego pułkowniczka z niewoli? –I radzili tak i inaczej, jak to zwykle się dzieje, gdzie gęsto ludzi. Aż tu tymczasem właśnie na samą naradę wpadł do nich Murza. Trafił on do Brzeżan z łatwością, – a wszakże był już tutaj po dwakroć: raz jako poseł od chanów perekopskich i krymskich, a drugi raz z swoim własnym do Jerzego poselstwem, które odprawił w noc owego festynu i maszkar. Wprawdzie obadwa razy był pod postacią Tataru i to mu tutaj drzwi otworzyło; ale teraz przychodził z poczciwym czynem do ludzi poczciwych, a to jest daleko lepsza i pewniejsza przepustka, niżeli naj misterniej sza maskara. Jakoż Sodalisowie nie tylko że mu drzwi otworzyli do siebie, ale i serca mu otworzyli. A tak w ten moment i narada się gładko odbyła i postanowienie stanęło. Więc tedy Sodalisowie, którzy istotnie znali najskrytsze zakątki nizkiego zamku i komnatę tę w oka mgnieniu odgadli, którą im Murza opisał, powiedzieli mu zaraz, że z tój komnaty Wychodzą drzwi na mały korytarz, w którego rogu znajduje się Wyłom w murze nad samą Pełwią, a którym możnaby Pan Bóg nie wie co wynieść ze zamku. – Znali oni ten wyłom jaknajdo- kładniój, bo przezeń wykradali się zwykle na ponocne hulanki, – a kiedy jeszcze i o tóm zawiadomili Murzę, że właśnie z tój strony zamku nie masz ani strzelnic, ani żadnego krużganku, zaczóm i straż tam nigdy nie bywa; więc już nie było co długo się zastanawiać nad sposobami uwolnienia Jerzego, bo ta rzecz prawie sama się układała. Tak tedy już nie zwlekając, wybrali oni sami z pomiędzy siebie dwunastu ludzi co najsprytniejszych i najwięcój zdeterminowanych, którzy tóż pod komendą Polewki, a w towarzystwie Murzy, wyjechali natychmiast do Lwowa, – a co tam sprawili, niepotrzeba już opowiadać.

Kiedy się Jerzy o tóm wszystkióm dowiedział, uczuł się rozrzewnionym do głębi. Jakże tu w tóm zdarzeniu ręka Bożka była widoczną! Jakże on blizkim był śmierci i to najlichszój, śmierci, jakiej się nawet w najgorszym razie nie mógł spodziować, i jakim dziwnym sposobem został od niój wyratowanym! Jakże to wiele poczciwych ludzi znajduje się po zakątkach tój ziemi, na którój, przypatrując się z wysoka, tyle się widzi zdrożności! Jakże to ■ często nawet i ludzie tacy, których nielitościwi ich bracia odsadzili od czci i wiary, stają się z woli Bożej sprawcami zacnych i pożytecznych uczynków! – Tak myślał Jerzy i mówił w swój skrusze:

– Nie spodziewałem się nigdy, ażebym był godzien tak wielkiej łaski u Pana Boga.

A z tych słów trza się domyślać, że razem z przytomnością odezwały się w jego sumieniu jakieś cierpkie myśli, a może nawet wyrzuty.

Wszakże w tój chwili, jeżeli go to zadziwiło niemało, że takim cudem został wyratowany od śmierci, to jeszcze daleko więcej go zadziwił sam sprawca tego cudownego zdarzenia. Człowiek ten bowiem, lubo go Jerzy przedewszystkióm ztąd zapamiętał, że się modlił z nim rażeni w kapitulazju, był jednak figurą taką, do którój nie czuł żadnej sympatyj. Jego rozmowa z nim w Bobro-wnickich zameczku nad Nidą, pozostawiła mu po sobie nawet pe- wne obrzydzenie do niego., Zkądże tedy ten człowiek poczuł się teraz w obowiązku nietylko ratowania go z jego niewoli, ale ratowania go z takióm poświęceniem, z takim niebezpieczeństwem dla siebie?... I gdzież nareszcie jest' w tej chwili ten człowiek? Nie mając nadziei żadnej innej za swoje poświęcenie nagrody, czemuż się nie chce wynagrodzić przynajmniej przekonaniem na- ocznym, że jego trudy požądany odniosły skutek? – myśląc nad tem, Jerzy zapytał o to przytomnych, ale wszyscy milczeli. Dopiero po małej chwili zabrał głos sam ks. sufragan i rzekł:

– Ażeby ci na to odpowiedzieć dokładnie, wieleby trzeba mówić. Zachowanie się tego człowieka i mnie zadziwiło niemało. Prawdę mówiąc, gdy przyszedł do mnie z propozycją, że ciebie chce wykraść, więc żebym cię potóm przyjął do mego mieszkania, tom mu i wierzyć nie chciał, że nie jest ci żadnym krewnym, ani tóż przyjacielem, a do tego jeszcze takim gorliwym sługą konfederacyi, że słyszę już o nim od roku. I byłbym mu pewnie nie uwierzył, gdyby nie to, że przyszedł do mnie powtórnie z zacnym ks. Andrzejem, który mnie o nim zapewnił. Więc tedy potóm już i ja się spisałem z nimi ku twojemu zbawieniu i z całego serca otworzyłem mój dom na twoje przyjęcie, co tóż i niezbędnie było potrzebnóm, bo gdzieindziej nie mógłbyś być bezpiecznym. Kiedy to wszystko już się zrobiło, a dalsze troski o ciebie wzięła na siebie czcigodna matka twoja z ircć panem lekarzem, byłem ja bardzo tego waszego Murży ciekawy, a to jeszcze tóm bardziej dla tego, ile że ledwie cię oddał do rąk twój matki, zaraz się żegnał i na odchodném jaknajusilniej mnie prosił, ażebym nigdy tobie nie mówił, że i on się po trosze do twego wyratowania przyczynił; jeżelibyś się zaś o tóm dowiedział zkądinąd, ażebyś mu nigdy tego nie przypomniał i nie dziękował. A to mnie jeszcze tóm więcej pociągnęło ku niemu. Jakoż wzięwszy go później na kon- fesaty, wyjaśniła mi się potrosze ta dziwna dusza, w którój, że już to muszę powiedzieć otwarcie, objawił się Pan Bóg w całej swój cudowności. Nie dziwna to bowiem obaczyć Boga w jasnych promieniach słońca, w wzniosłym błękicie nieba, w niewyczerpa

nej urodzajności ziemi, bo pochodzenie ich z ręki Bożej jest nam tak jawne, żeśmy przestali już temi cudami myśl naszą krzepić i serca nasze budować; lecz ujrzyć, jak z Jego woli wszechmocnej dziki i niczóm nieokiełznany duch swawolnego człowieka korzy się w prochu, ujrzyć jak skała przedtem nieporuszona chwiać się zaczyna i płacze rzewnymi łzami, jak za jedným Jego spojrzeniem zbrodnia się rzuca na pokutniczą pielgrzymkę, jak sumienie to samo, które się przepełniło występkiem, dla jednego uśmiechu Jego cuda robi ze siebie i z błotnistej kałuży wydobywa najkoszowniejsze perły i najczystsze brylanty, – to nas wzrusza do głębi i choćbyśmy byli czystością naszej wiary nie wiedzieć jak wysoko wzniesieni, przecież nas jeszcze wyżej podnosi. A takie-to widowisko przedstawił mi ten twój wybawca szanowny, za co mu tóż jestem niemało wdzięczny, bom spędził z nim chwilę życia tak drogocenną, że ją drogo będę pamiętał. Staralem się tóż wypłacić mu się za to ^edle mojej możliwości i tak rozumiem, że jeśli pójdzie za moją radą, to kiedyś i on sam, a przy nim może i inni, będą mi także wdzięczni cokolwiek.

Tyle dowiedział się na teraz imć ks. sufragana, a lubo Jerzy, tóm więcej rozciekawiony o swojego wybawcę, dawał mu jeszcze i te i owe pytania o niego, jednakże nic się już nie dowiedział. Natomiast zaś zacny prałat zaczął mu dalsze opowiadać wypadki, tak dotyczące hetmana, jak i konfederacyi. A były to rzeczy o tyle więcej dla niego ciekawe, ile całkiem niespodziewane.

Owo więc hetman, jak to wcale prawdziwie doniesiono su- fraganowi, wyrwawszy się z rąk pisarza, w samój istocie nie pojechał do Brzeżan, tylko zatrzymawszy się w Przemyślanach, tam się rozłożył i jak gdyby nic nigdy, najswobodniej sobie spoczywał. Postępek ten tak już dosadnie przedstawia charakter tego zepsutego magnata, że odtąd już żadnych nie potrzebuje objaśnień. Strupieszwały na duchu starzec i lekkomyślne dziecko zarazem, owóz ostatni potomek gasnącego rodu Sieniawskich! Ale nieubłagana logika konieczności, kierująca losami ludzi i świata, nie szanuje ni starców ni dzieci, choćby dziecinność lub starość nie wie- dzióć jak ich uniewinniły. Takiój tóż wynikłości koniecznej uległ także i hetman, – albowiem już dnia drugiego wieczorem po jego uwolnieniu z nizkiego zamku zgonił go jmc Piotr Wiszowaty i zastawszy w otwartóm przemyślańskiom dworzysku, wziął, jak to mówią, jakby kota we worze. Obaczywszy dwór otoczony żół- nierstwem, a w tejże chwili takiego srogiego rotmistrza przed sobą, który nietylko dosyć niegrzecznie własną ręką sięgnął mu do kołnierza, ale jeszcze i gębę swoją wąsatą tak groźnie nad nim rozziawił, jak gdyby go chciał połknąć razem z safianowemi butami, hetman skoczył .jak oparzony. – A co to? – zawołał gniewnie, – a jak waść śmiósz ? a gdzie jest verbum? – A gdzie jest "uerbuml – odpowie rotmistrz, biorąc się pod boki, – a gdzie jest wrbuml .he? a przecież miałeś jegomość jechać prosto, jak strzelił,

do Brzeżan, a pojechałeś? No, toż się nie dziwuj temu, że cię biorę jak swego, a że cię wezmę i nie wypuszczę, tak mi Boże dopomóż! – Dopióroż wtedy spostrzegł się hetman, co zrobił; jakoż wziął się natychmiast do innych środków/ – Lecz lubo już natenczas pojawił się był ks. sufragan, i gubernator dóbr przemyślańskich, i kilku innych dworaków, trudna to była sprawa z rotmistrzem. Dobierali się oni do niego ze wszystkich stron, perswadowali mądrze, prosili bardzo, hetman mu obiecywał to patent na generała, to wieś jaką sobie wybierze, to sto tysięcy w gotówce, a dworzanie przynosili do tój rozmowy co najprzedniejsze sekty i najcięższe malagi, ale wszystko to na nic się nie przydało. Pan Piotr bowiem, lubo pił sobie z niemałym smakiem, jednak mu trunek nie szedł ani do głowy, ani do serca, jakoż i odpowiadał z kolei: – A co mi tam jegomość wypłacasz! Gdyby kto inny na mojem miejscu, toby się za to obraził, ale ja nie. Bo i o co się gniować? Każdy tentuje swojego szczęścia jalf może. Ale to na mnie tentacye próżne, bo już ja jestem taki człowiek z rodu, że wszystko to co się świeci na wiórzchu, nie stoi u mnie ot! i za kubek malagi. Generalstwo? głupia rzecz... salvo honore jegomości. Byłbym dawno je miał, gdyby mnie tentowało. Dobra wieś, to jest lepsze, ale i ona mnie nie tentuje.' Mam ja tóż także jakąś tam wieś, i nie najgorszą, tysiąc korcy się w niój wysiowa, a przecież na niój nie siedzę. Sto tysięcy, to jeszcze lepsze; ale mam ja ich więcój, a przecież z nich nie mam pożytku. Bo i co począć z gotowizną takiemu, który na kulbace zamieszkał? trza rozpoznać, a potem z tego ani prowizyi, ani tóż kapitału. Więc i to mnie też nie tentuje... Zniecierpliwiał się na to hetman i rzekł: – A cóż u diabła waści tentuje? – A rotmistrz na to, pokręcając wąsików: – Óto to mnie tentuje najbardziój, żebym jegomości wziął co najprędziój i złożył pięknie w ręce konfederacyi. – Gniwał się na to hetman, burzył i kipiał, ale z tem wszystkióm ledwie tyle wymógł na statecznym rotmistrzu, że mu się przespać pozwolił; lecz jak tylko oświtło, zabrał bez ceremonii, zapakował w karotę i wyciągnął z Przemyślan. Chcąc go zaś już z pewnością do Ledóchowskiego dostawić, a obawiając się, ażeby pisarz, jeżeliby go jemu wpiórw oddał, znowu się nie dał wzruszyć prośbami, przedsięwziął sobie nie iść na Lwów, tylko z pod Lwowa posłać milczkiem po jedną jeszcze lub dwie chorągwie i polowemi drogami wprost do Ludomli pociągnąć. Jednakże nie tak się stało, jak sobie rotmistrz ułożył. Albowiem pisarz, przepędziwszy z niespospokojności o skutek wyprawy rotmistrza noc całkiem bezsenną, nazajutrz rano wstał niespokojny do tego stopnia, że zebrał wszystkie swoje wojska i zostawiwszy Karczewskiego tylko z dwomasęt ludźmi na załodze we Lwowie, sam za rotmistrzem pociągnął. Obawiał się Potocki zapewne, ażeby rotmistrz, przy bezskutecznym szturmie na zamek brzeżański nie wytracił powierzonych mu ludzi napróżno, flbo ażeby na wypadek dopę-

dzenia hetmana przed Brzeżanami, nie dopuścił do jakich scen gwałtownych i krwawych, któreby potem opinia publiczna zapisała albo na rachunek konfederacji, albo wprost na rachunek imienia Potockich. Słuszna to była obawa, lecz oczówicie się nie sprawdziła, albowiem pisarz już w drugiój mili spotkał wziętego powtórnie hetmana, czóm też uradowany niezmiernie, zaraz go do rąk swoich odebrał i pod okryciem wszystkich sił swoich sam poprowadził do głównego obozu konfederacji. Tak hetman, dostawszy się z własnoj winy powtórnie w ręce konfederatów, został nareszcie istotnie doprowadzonym aż do Lubomli, gdzie został wzięty w detencyą. Jakoż istotnie zrazu żył on tam w bardzo ści- słoj a nawet i nieogłędnoj klauzurze. Jednakże wkrótce zjawiła się tam jego zapobiegliwa małżonka i przywiozła ze sobą najzacniejszego księcia Janusza, który pomimo najsprawiedliwszych do Sieniawskiego żalów, dał zaraz za niego rewera od siebie i wziął go do swoich dóbr Czartoryskich. Tam też z całą swoją familią siedzi dotychczas, oczekując od generalnego marszałka konfederacji przeznaczenia dalszych swych losów.

Tak opowiedział sufragan Jerzemu dotychczasowe koleje hetmana, do czego wszakże dodał ten ważny szczegół, iż właśnie dzisiaj znowu nadbiegły wieści, jakoby księżę starał się o to jak- najusilniój, ażeby hetman za tymże samym jego rewersem mógł się przenieść do Brzeżan; ma tóż już być i nadzieja, że Ledóchow- ski, nie chcący mieć żadnoj innej do Sieniawskiego pretensyi, jak tylko ażeby konfederacya była ubezpieczoną od jego intryg szkodliwych, nawet i na to zezwoli.

Wysłuchawszy tego opowiadania, Jerzy się jakoś dziwnie zasmucił. Co czuł, co myślał, trudno odgadnąć; zdaje się jednak, że były tp bardzo trzeźwe już myśli, które teraz mu przychodziły, bo rzekł na to jakby do siebie:

– A czyż mi się śnić mogło, ażeby hetman do tego stopnia był niedołącznym!

Po chwili zaś mówił dalój:

– Aleć tak jest! I niechaj kto dzisiaj mówi o nim co chce, ja już nic nie zaprzeczę, tylko to sobie w'aruję, co tóż wiem pewnie, iż jeżeli on winien, to wina jego nie wypływa z tych źródeł najbliższych, które są dla każdego widoczne, ale z daleko dalszych...

Z tego się wywiązała przydłuższa o Sieniawskim - dysputa – a ks. sufragan twierdził, iż jakkolwiekby go . sądzono, jest rzeczą pewną, iż jest to człowiek w gruncie serca zepsuty, spaczzonego sumienia, pełen sobkowstwa, zarozumiałości i pychy. Ożarowski temu się wprost nie przeciwiał, ale całkiem inaczój się zapatrywał na niego.

Wedle jego zapatrywania się tedy Sieniawski był człowiekiem nietyle złym, ile poprostu strupieszalym w swóm wnętrzu ¹ dziedzicznie przeżytym. Duch rodziny Sieniawskich, zasklepiony °d wieków w pewnych i tradycyjnie nieodmiennych formułkach,

przeżył się, spleśniał; zgnił w sobie samym, stał się bezpłodnym i bezużytecznym. Ostatni tej rodziny potomek, duże to jeszcze i bogato przyozdobione naczynie, ale niestety próżne... a raczój napełnione nektarem takim, którego przez długoletnie zamknięcie skwaśniał, dawną moc stracił, a słodczyzmiel w truciznę. Dziwnym zrzędzeniem Bożym, jest on tóż rzeczywiście ostatnim. Strawił resztę moralnej puścizny po ojcach, a sam nic nowego nie nabył: zaczął nie mając już co przekazywać, nie miał także i komu... •

W taki to sposób zapatrywał się Jerzy na Sieniawskiego i tę myśl rozwijał dosyć obszernie, stosując ją do daleko ważniejszych rzeczy, niżeli żywot jednej rodziny. Wszakże sufragan, lubo bezsprzecznie należał do najświetlejszych mężów owego czasu, jakoś go nie bardzo rozumiał. Co widząc, Jerzy obrócił się do niego i tak zakończył:

– .Jegomość dobrodziej może nie całkiem się zgadzasz na moje rozumowanie, ale zgodzisz się pewnie, jeżeli wypowiem nareszcie tę niewzruszoną zasadę, z której te wnioski wywodzę. Tą zasadą zaś jest: iż wszystko, co tu żyje na ziemi, nie może ani chwili stać w jednej mierze, tylko albo się w górę podnosi, albo też na dół upada. Jest to prawo niezbité tak dla rzeczy pomniejszych, jak tóż i większych, zaczął tak samo dla pojedynczych rodzin, jak dla społeczeństw, jak też i całkowitych narodów. Jakoż z tych wszystkich, ten tylko niesie w sobie warunki dalszego bytu i dalszej użyteczności, kto żywot swój karmi nietylko samą puścizną ojcowską, lecz przy niej także i własnymi nabytkami rozumu, zasług i pracy. Kto zaś się zasklepia tak myślą jak czynem w ja- kiós formie z góry mu danej i wciąż nieodmiennej, to choćby w tej formie był duch najszczytniejszy przed czasy, kiedyś musi się zużyć nareszcie, spleśnieć, zgnić i stać się bezużytecznym. Mniejsza tu o Sieniawskich, którzy w swoim duchowym zamknięciu strupieszeli i giną, –ale ważniejsza to, iż jak mi się zdaje, cały nasz naród idzie torem Sieniawskich i także się w swoich spleśniałych formułach zasklepił. Było nam dosyć alwara, praw przerabianych z łaciny i pospolitego ruszenia dotychczas, – ale dziś nie wiem ażali tem wyżyjemy. Nie wskrzesiwszy nauk z uśpiania, nie napisawszy praw nowych, nie postawiwszy armii stałój, ani mi pojąć, jak żyć będziemy pomiędzy narodami, które to wszystko już mają. Zamknawszy się w ojcowskiej komnacie i nie przypuściwszy do niej świeżego, zbawienie nam niosącego powietrza, musim wreszcie strupieszec i w proch się rozsypać. A toż największe stawy zamieniają się w trzęsawiska i wysychają, jeżeli do nich świeże nie przypluwają wody, – i same morzaby wyschły, gdyby ich ciągle nie dopełniały rzóki!

Powiedziawszy to Jerzy dosyć boleśnie, musiał pomimo woli odpocząć, bo był jeszcze tak osłabiony i wycieńczony, że męczyła go nawet rozmowa. Tymczasem zaś ks. sufragan, obracając

w ręku, lśniący swój rożek z tabaką i przypatrując mu się z swoim zwykłym, łagodnym i spokojnym uśmiechem, tak na to mu odpowiedział: ^ .

'A 'waś<5, panie generale,; jesteś sobie daleko gorętszój fan- tazyi, niżelim się mógł tego spodziować. Z jednej strony muszę ci to pochwalić, boć to nie żartem musi ci leżyć dobro ogólne na sercu, kiedy za ledwie z tak ciężkój choroby się obudziwszy, najpierwój o nim rozmyślasz. Lecz z drugiej strony uważam, żeś nam nie z próżną głową przyjechał z Francyi, a opinie w tym kraju nabyte nie ladajako ci przylgnęły do serca, kiedyś się W nich nie ochłodził nawet tak długim pobytem przy boku hetmana. Myśmy cię mieli za Sieniawczyka duszą J ciałem—.< a ty, jak widzę, kiedyby przyszło do czego, jeszczebyś i najburzliwszych konfederatów przepisał. Jednakże, jak mi się zdaje, to nawet i konfederacya twoich projektów akceptować nie będzie. Nauki wskrzesić? na to się zgodzę, bo też i wszyscy o to wołamy. Ale już prawa odmieniać, kiedy są dobre, – a na co? A-cóż dopiero powiedzieć o tój tam armii stałej! Inne narody ją trzymać muszą, bo się składają tylko z małej garsteczki szlachty, a zresztą z ludu pospolitej kondycyi, który nie jest żołnierzem: ale nam, którzy mamy na zawołanie sto tysięcy żołniórza albo i więcój, na co nam armii stałej? Chyba że na to, aby nam wioski płukała i spichrze.

Tak w krótkich słowach odpowiedziałem tobie na twoje zdanie, a kiedy na siłach się wzmożesz, przyjmę i dłuższą dysputę. Jednak rozumiem, że do tego nie przyjdzie, bo jak tylko się z po za murów brzeżańskich w sprawach krajowych rozpatrzysz, to i sam przyznasz, że co zbawienne dla Francyi, to czasem zgubne dla Rzeczypospolitej. Chwalić Pana Boga, wiarę chować ojcowską, pilnować praw i urzędów, fakcyj nie robić, ekscesów się nie dopuszczać, – owóz i suma tych obowiązków, k'tóre do nas należą. Jakoż tak się sprawując, ręczę ja tobie, że całe wieki przeżyjem.

Tak się zapatrywał, niestety! na owoczesne położenie kraju ks. sufragan Rupniewski – a był to bezsprzecznie jeden z najswiatlejszych mężów owego czasu.

Słyszając to, Jerzy jeno ręką machnął nieznacznie–i umilkł.

Jakoż nie mówiono o tój już więcej, a natomiast opowiedziano Jerzemu, co się ze Lwowem stało dotychczas, boć i tu zaszły zmiany niemałe.

Otóż gdy pisarz koronny, pociągnąwszy ze swoim jeńcem do Lubomii, tak ogołocił miasto z załogi, że w niem tylko paręset ludzi zostawił, to konfederaci, trzymający prezydium we Lwowie* Wdzo za to na niego sarkali. Mówili oni: – Doprowadzić hetmana na miejsce można było i kilkuset ludźmi, a Lwowa obronić^{la}dajaką załogą nie można. Jakoż obawa ich była najsprawiedliwsza, było bowiem rzeczą łatwo domyślną, że generał Baudycz, który dopiero przed kilką dniami wyszedł był ze Lwowa, nie

może być jeszcze daleko, zaczął wprędce o zaszych we Lwowie wypadkach się dowie – a że w takim razie, mając zwłaszcza ze sobą do dwóch tysięcy ludzi, z drogi powróci i weźmie pomstę za Sieniawskiego, nie można było wątpić ani na chwilę. Wszakże tego samego zapewne domyślał się także i pisarz; lecz wybierając z dwojga złego mniejsze, wolał Lwów stracić nareszcie, niżeliby miał ze wstydem dać sobie odbić hetmana. I doświadczenie pokazało, że pisarz trafniej się umiał domyślać. Albowiem Baudycz, dowiedziawszy się w Jarosławiu o zajęciach lwowskich, rzeczywiście się wrócił; ale ceniąc razem z Potockim daleko wyżej hetmana niż miasto, Lwów minął, a za pisarzem pogonił. Jednakże pisarz, będąc już na to przygotowanym, był tak przezornym, że się dogonić nie dał – a tak dopióro wtedy Baudycz się zbliżył do Lwowa i przysłał do Karczewskiego parlamentarza z wezwaniem, aby się poddał. Karczewski, lubo miał bardzo mało żołnierza przy sobie, jednakże siedząc w mieście obronnym i mogąc się posługiwać milicją miejską, mógł się być bronić przynajmniej dni parę, a za ten czas nietrudno mu się było doczekać odsieczy od niedalekiej konfederacji; lecz będąc zgóry już tym sfrasowany, że mu Potocki tak mało ludzi zostawił, niewiele licząc na niewa- leczne mieszczaństwo lwowskie, a nadto jeszcze wiedząc dowodnie, że Baudycz miał dwa tysiące żołnierza, wszedł z nim w układy. I co mógł najgorszego zrobić, to zrobił. Albowiem Sasi, swoim zwyczajem, wszedłszy do miasta, ani wiedzieć chcieli o żadnych układach; jakoż nietylko zabrali wszystkich konfederatów razem ze samym Karczewskim w niewolę, ale jeszcze prócz tego, mszcząc się na samym mieście za przyjaźń z konfederacją, pogospodarowali po jego domach tak dobrze, że uczynili na parę milionów szkody. Nie dosyć na tem, oprócz konfederatów pobrali oni w areszt i wiele osób prywatnych, a postępując koleją, napadli także i na dom sufragana. Na szczęście jednak już tam był Jerzy natenczas, z czego korzystając przytomny sufragan, odwołał się do generała Baudycza, tłumacząc się przed nim listownie: że nie musiał on trzymać z panem Michałem Potockim za jedno, kiedy wykradzionego z konfederackiej niewoli Ożarowskiego, generała wojsk regularnych i prawą rękę hetmańską, przechowywał i przechowuje u siebie. I tłumaczenie to okazało się tak skutecznym, że Baudycz nietylko wydał natychmiast cedulę bezpieczeństwa sufraganowi, ale niebawem sam był u niego z atencją. Chciał także i Jerzego osobiście pozdrowić, ale go niedopuszczono do niego, bo był jeszcze wtedy tak osłabionym, że nawet przytomności nie posiadał zupełnej.

Bardzo się tedy Jerzy ucieszył, gdy się dowiedział, że zacny sufragan za swój pocziwy względem niego uczynek został tak prędko i jakby za jego własną, choć mimowolną, przyczyną wynagrodzony; lecz za to odwrotna strona tego zdarzenia jeszcze o tyle więcej go sfrasowała. – Tak on był powszechnie miany

za saskiego stronnika i jako tako szanowany do tego stopnia, iż samo jego nazwiska wspomnienie było dostatecznym do wyrobienia u Sasów protekcji. Ta myśl, która od niejakiemu czasu już dosyć dotkliwie mu się przypominała, tak go teraz strapiła, że nawet twarz jego przybrała wyraz chmurny i bolejący... Dojrżeli tego wszyscy, a przypisując ten wyraz boleści jego zwątlonym słabością siłom, dopióro teraz się spostrzegli, że na pićrwszy raz zanadto wielką ilością drażliwych nowin go zarzucili, ażeby tonie miało wyrzucić szkodliwych wpływów na jego zdrowie. Jakoż od tego momentu postanowiono sobie nadal jaknajoszczędniej używać konwersacyi podobnych i przedewszystkióm chorego utrzymywać w pokoju.

Starano się też wszelkiemi innemi sposobami o to, ażeby Jerzy mógł jaknajprędzój wrócić do zdrowia. I starania te odnosiły najlepszy możliwy skutek, – jednak z powodu owego swawolnego opustu krwi szło to bardzo pomalą. Przez kilkanaście dni jeszcze, lubo jego rany już się całkiem zgoiły, nie mógł powstawać z łoża – a potem chociaż już wstał, był tak słabym i wiotkim na siłach, że tylko przy pomocy Polewki mógł się przechodzić po izbie. Najczęściej też siedział w głębokim krześle, nikogo z obcych nie przyjmował u siebie, i nawet mało rozmawiał, jednakże widać to było po nim, iż wiadomości politycznych łaknął z niecierpliwością i bardzo wiele przy tem rozmyślał.

A miał on teraz istotnie nad czóm rozmyślać. W ostatnich dniach kilkunastu tyle i takich ważnych zaszło wypadków, tak się tu teraz wszystko około niego zmieniło, tak wiele nowych nabył doświadczeń, w tak całkiem nowóm znajdował się położeniu! Jednak jakkolwiek to wszystko bardzo statecznego wymagało rozmysłu, przecież, w tej chwili nic go tak żywo nie zajmowało, jak jego matka. Uważał on ją bardzo pilnie, – lecz im więcej uważał, tórn więcej się jakoś niepokoił. Pani ta bowiem w tym krótkim przeciągu czasu zmieniła się prawie do niepoznania, tak zewnętrnie, jak i moralnie. I tak z niestarój jeszcze niewiasty dobiła się prawie już całkiem sędziwą matroną, twarz jej się zmarszczyła, oko przygasło, a włosy, dotąd czarne jak węgiel, zesiwiały zupełnie. Powiadano, że w owój chwili, kiedy ujrzała syna upadającego pod bagnietami konfederatów, tak posiwiała w jednym momencie. Wszakże jeszcze daleko większa zmiana zaszła w niej samej. Dawniej wesoła, ciągle rozmowna, a czasem nawet i trzpiotowała cokolwiek, dzisiaj się stała poważną, milczącą i tak osępną, jakby jój nic już rozweselić nie mogło. Patrząc na syna¹ widząc na jego twarzy znaki wracającego zdrowia, czasem się wypogodziła na chwilę; w ten moment bowiem brała książkę nabożną do ręki, zasuwiała się w jakiś kącik odległy i oddawała się modłom. Zdawało się, jakby w usposobieniu dzisiejszem nie chciała sobie nawet dozwolić najsprawiedliwszej pociechy. Prócz tego² jeszcze miewała czasem chwile, w których była jakby zdrętwiałą, –

a kiedy indziej znowu bez żadnej przyczyny łzy jej stawały w oczach i płakała jak dziecko...

Uważając to, Jerzy dziwnie się tym zasmucił. Były to wprawdzie dowody odmiany na dobre, ale zdawało mu się, że jest tych dowodów zanadto. Ptał on wprawdzie oddawna, ażeby jego matka zaczęła się inaczej na świat zapatrywać i ażeby się niektóre uczucia jej serca zmieniły; ale tu mu się zdało, że ona, zamiast się zmienić naturalnym sposobem, przerzuciła się z jednej ostateczności w drugą. Nie trudno mu się było domyślić, jaki wypadek stał się tego powodem; ale to go zmartwiło jeszcze tym bardziej. – Chcąc tedy jakoś to naprostować, albo przynajmniej wyrozumieć gruntowniej, rozmawiał on z nią jak mógł najczęściej i najobszerniej. Ale jakoś nie bardzo ona była pochoptą do zrzucenia tego ciężaru z serca. Z wielkich boleści i istotnie głębokich smutków wszyscy nieradzi się spowiadamy – a jeżeli czasem co o nich powiemy, to tylko nawiasowo i zawsze pomimowoli. To też i ona raz tylko jeden, jakby się zapomniała, powiedziała synowi te słowa:

– Oh! jakże to wszystko poprowadził Pan Bóg inaczej, ni- żelim sobie marzyła! Zamiast ci drogę uścielić do szczęścia, otworzyłam ci wrota do śmierci. Resztę życia oddałabym za to, gdyby tylko to nie gniołło mego sumienia!

Widział tu tedy Jerzy już oczówiście całą głębię jój duszy i nie potrzebował się więcej niczego domyślać. Jakoż odtąd ca- łóm jego usiłowaniem było przekonać ją ile możności dowodnie, że jeszcze się tu nic tak bardzo złego nie stało, za łaską Bożą wkrótce *się zmieni na dobre. Mniemania jój, jakoby źródłem wszystkich doznawanych nieszczęść były jego stosunki z Sienią w- skim, jej ©ie odbiórał, i owszem, nawet dawał jej często do zrozumienia, że droga ta, na której począł swą służbę, była całkiem fałszywą i odtąd trzeba mu będzie iść drogą inną.

Jednakże przy tych rozmowach, zajmując się więcej jój niżeli swoją własną przyszłością, nie zapominał ciągle jój natrącać zda- leka, że nie zostaje dla niój nic innego na teraz, jak wrócić do siebie na wieś i tam zamieszkać w spokoju.

– Mieliśmy tam szczórych i wiernych przyjaciół, – mówił on wtedy z westchnieniem, porzuciliśmy ich niewdzięcznie i podobno to za to najwięcej Pan Bóg nas tak dotkliwie strofuje!

Tak mówiąc, nadmieniał także o ich fortunie, która jeszcze za życia ojca znajdowała się w stanie niedobrym, a cóż dopióro teraz, kiedy przez tyle lat tak mało się nią zajmowano? Okoliczność ta mogła nie mieć znaczenia natenczas, kiedy przez obiecujące stosunki z Sieniawskim miał całe inne widoki przed sobą; ale teraz widoki te się zmieniły, a w skutek tego pozostawiona przez ojca fortuna stała się tak dla niego jak i dla matki jedynym środkiem do życia na przyszłość. Trzebaby tedy koniecznie pilną na to zwrócić uwagę, pojechać tam, rozpatrzeć się w interesach

¹ pilnować na miejscu, ażeby przynajmniej nie rozszarpano jeszcze tych resztek, które tam pozostały. Poruczając zaś matce już wprost to zajęcie, prosił wypróbować i pewnie zawsze jeszcze gotowej Bobrownickiego pomocy.

– Pisałem ja wprawdzie do niego przez ten czas kilka listów, – mówił on wtedy, – na które mi ani razu nie odpowiedział; ale rozumiem, że musiała być temu jakaś inna przyczyna, nie zaś gniew albo niechęć, do której mu żadnego nie dałem powodu. Jeżeliby zaś mego położenia przez ten czas nie rozumiał i z powodu mniej częstych pomiędzy nami relacyj, i niżeli się spodziewał, miał do mnie jaką pretensją, to proszę go tylko o cierpliwość, wszystko to się wyjaśni i usprawiedliwi. Boli mnie serce o to niemało, że takim torem poszły te rzeczy, ale kto wie, ażali ja sam winien jestem temu wszystkiemu.

Przy tych słowach matka go ujęła za rękę, prosząc go, aby Więcój już o tem nie mówił, przyczem gorące łzy jej się puściły z oczu.

Po chwili wszakże sama zaczęła mówić, skarżąc się rzewnie na niewdzięczność Sieniawskich i przyznając Jerzemu z szczonego serca, że nie pozostaje już nic, jak na w^Tieś pojechać i nigdy się już światu nie pokazać. Jakoż zdecydowała się jechać choćby natychmiast. Chciała tylko, ażeby Jerzy także z nią jechał i na zawsze oddalił się od tych ludzi, których wrzekoma przyjaźń nie warta najmniejszych w^Tzględów. Jednakże Jerzy sprzeciwił się temu stanowczo i jak z jednój strony zapewnił matkę, że nie myśli wcale zawiązywać nanowo już rozerwanych stosunków, tak znowu z drugiej przekonał ją, że dawszy się poznać światu na nieszczęście swoje li jednostronnie, za najważniejszy obowiązek sobie to ma, zanim na wsi osiadzie, dać się poznać w całości. I perswazyja ta jaknajpożądańszy odniosła skutek, albowiem pani stolnikowa namyślała się jeszcze ze dwa dni, a potem nie chcąc się odtąd już w niczóm sprzeciwiać woli synowskiej, zabrała się z całym swoim pakunkiem i pod koniec miesiąca marca wyjechała do swoich wiosek rodzinnych nad Nidą. ? *

Tymczasem Jerzy, lubo udawał przed matką, że już praw^Tie całkiem wrócił do zdrowia, w samej istocie jeszcze bardzo był Wątlym na siłach i od zupełnego wyzdrowienia bardzo jeszcze dalekim. Medyk powiadał, iż trzeba na to koniecznie wiosny, świeżego powietrza, a w każdym razie parę miesięcy czasu. Ożarowski tedy po staremu siedział we Lwowie, wyczekując z niecierpliwością tego momentu, w którym znów na świat wyleci i korzystając z odebranój od przewrotnego losu nauki, jakąś nową rozpocznie kary erę. I czekanie to byłoby dla niego najnieznośniej- szą męczarnią, gdyby jednakże nie to, że był wciąż otoczony przyjaciółmi takimi, z którymi mógł otwarcie o wykonaniu tych planów rozmawiać. Wprawdzie ks. Andrzej, nie mogąc swoich swawolnych Sodalisów tak długo pozostawiać bez siebie, odjechał

a z nim także i zacny Sebastyan Połówka; lecz na ich miejsce przyjechali w ten moment oficerowie drudzy, a po nich znów trzeci, bo z natchnienia ks. Andrzeja już sobie ci pocziwcy tak ułożyli, żeby zawsze ich kilku było u generała na ordynansie. Bardzo to było na rękę Jerzemu osobliwie dlatego, iż chciał, aby jego dawna z tym pułkiem relacja trwała bez przerwy, o co mu teraz jak o zbawienie, chodziło.

Wszakże prócz tego miował częstokroć gości z miasta i z po za miasta, a wreszcie towarzystwo ks. sufragana, z którym się nigdy nie nudził. I ks. sufragan także się nigdy nie nudził, owszem, bawił się bardzo. Do tego czasu bowiem poznał on go gruntownie, i jeżeli z powodu jego nauki i wiadomości pełen był poważania dla niego, to dla jego głębokiej wiary i wielkój dla ludzi miłości całe się w nim rozkochał. Co go zaś prawie już bez pamięci przywiązało do niego, to to, iż się przekonał, że Jerzy, jakkolwiek konfederaci mieć mogli o nim opinią, służbę około pospolitego dobra pojmował tak czysto i nieskałanie, iż w nim nawet myśl nie powstała, ażeby tą służbą coś zyskać dla siebie. Toż w tem przywiązaniu do niego, zacny prałat niezmiernie frasował się o to, ażeby Jerzy mógł jaknajprędzej taką opinią pozyskać w konfederacyi, na jaką i przymiotami swemi, i dobrymi chęciami, a wreszcie i dokonanemi potajemnie czynami rzeczywiście zasłużył. Dlatego tóż bardzo często, bardzo ciekawie i niespokojnie wybady- wał Jerzego, coby mu teraz, wedle jego zdania, należało uczynić, ażeby dotychczasowej opinii kłam zadać, a na jej miejsce inną sobie sporządzić. Niecierpliwy z powodu gorącej swój życzliwości, a z natury dość ruchliwego umysłu, poddawał on mu najrozmaitsze do tego służyć mogące projekty, a żyjąc w tak blizkich stosunkach z naczelnikami konfederacyi, gotów był zaraz sam ścielić drogę do ich wykonania.

Ale dziwnym dla niego obyczajem, Jerzy ani tych obaw, ani tóż rozmaitych projektów rehabilitacją jego mających na celu, wcale nie dzielił, – a nawet nie lubił o tym przedmiocie rozmawiać. W ogólności był zdania, że same słowa bez czynu u ludzi czynu i w czasach czynów nie mogą mieć żadnego znaczenia, dlatego też zawsze więcej myślący, niżeli rozmowny, kiedy sufragan począł o jego przyszłości rozprawiać, był zupełnie milczącym. Słuchał z uwagą, czasem jakiemuś zdaniu zaprzeczył, inne sprostował, lecz coby sam myślał, nigdy nie mówił. Kiedy go zaś zniecierpliwiony prałat przyparł czasem tak mocno, że musiał mu coś odpowiedzieć, to rzekł spokojnie:

– A co się tutaj tak bardzo tą przyszłością turbować? Rzeczą jest pewną, że jak powrócę do zdrowia, pocznę znowu być czynnym; ale na jakiej drodze, któż to dziś może odgadnąć? Niema tóż sobie co głowy kłopotać tą drogą, bo jest ich dosyć, a jak tylko jest pewność, że wybiorę drogę uczciwą i na niej będę postępował do celów uczciwych, to czegoż potrzeba więcej? Że tam

ten sobie myśli o moich postępach tak, drugi inaczej, a trzeci je może w swój złościwości przekręca, to może być czasem przy- króm, ale znów nie tak bardzo, żeby aż nad tóm rozpaczać. Ja się radzę mojego sumienia, a jak tylko tam się opinia o moich postępach nie dwoi, jestem o siebie spokojny i wcale się o to nie boję, ażebym się na nich omylił, albo tóż stracił:

„Prawda a praca, ta nie utraci, „Ani omyli, w najgorszej chwili.”

Na tem zaś zdaniu Herburta, które, ten sławny mąż swego czasu kazał wyrzeźwić na kolumnach jednej z komnat dobromilskiego zamku, kończyły się wszystkie podobne Jerzego ze sufraganiem rozmowy. Podobał się z jednej strony doświadczonemu prałatowi ten spokój, z którym tak krwawo dzisiaj zraniony i prawie całkiem ze swego toru zepchnięty młodzieniec patrzył w swą przyszłość, lecz z drugiej strony przecież zdawało mu się, że Jerzy, znajdując się tak wedle jego mniemania, jak i w samej istocie, w okolicznościach trudnych, „ślizkich a nawet i niebezpiecznych, zbyt obojętnie swe położenie ocenił!..”

O ile to ^podejrzenie prałata było . spr a wiedli wóm lub nie, tylko przyszłość okazać może. Rzeczą wszakże jest pewną, że Jerzy podczas swojej choroby już bardzo dobrze i wszechstronnie przemyślał to wszystko, co należało do niego. I wiedział już o tóm dokładnie, w czóm jego dotychczasowa prawda omyliła i: na czóm jego praca straciła. I wiedział o tem nareszcie, że tę prawdę trzeba gruntownie sprostować, a pracę również gruntownie od strat ubezpieczyć. Ale właśnie dlatego, iż jego zamiarem była taka gruntowność, dopóki jeszcze był słabym, a do tego wcale nie Wiedział, jaki właściwie zwrot wzięły jego stosunki ze Sieniaw- skimi, nie chciał nic postanowić. Jakoż w istocie rzeczy położę- nie jego dzisiejsze było tego rodzaju, iż mógł tylko w bezczynności wyczekiwać swojego wyzdrowienia, a w takim stanie dopiero, namyśliwszy się stanowczo i prędko, dalsze rozpocząć czynności.

Ale tymczasem, kiedy jeszcze wcale był słabym, zaszły po części przeczuwane przez niego,- po części zaś całkiem nieprzewidziane zdarzenia.

1 stało się to nadzwyczaj nagle. Już bowiem w dni kilkanaście po wyjeździe stolnikowej krakowskiej, ks. sufragan odebrał pisaną gazetkę, w której mu donoszono, że hetman wielki koronny Podobno nie długo już będzie siedział na Czartorysku.

Wprawdzie pan Ledóchowski, powiadała gazetka, nie chce ⁿa jego wyjazd urzędownie zezwolić*, ale jak słyhać, dał on księ-- ciu Wiśniowieckiemu politycznie do zrozumienia, iż jeżeli Sieniawki cichuteńko do Brzeżan odjedzie i będzie tam siedział do skoń- czenia konfederacyi, to on to minie milczeniem i całą tę sprawę

hetmańską puści per non sunt. Miał się zaś Ledóchowski skłonić ku temu dlatego, iż na ten gwałt piórwszemu senatorowi zadany panowie polscy, tak królowi jak i konfederacyi przychylni, dosyć nie wstrzemięźliwie sarkali, a niektórzy z nich nawet się odgrażali, że się o to przy sposobności bardzo surowo upomną, – co wprawdzie dzisiaj, dopóki jeszcze trwa wojna, jest obojętnóm, ale przy zawióraniu układów, o które konfederacyi daleko więcej niżeli Sasom chodziło, mogłoby bruździć niemało. Inne gazetki tłumaczyły znowu tę sprawę inaczej, – ale wszystkie się na to zgadzały, iż lubo ogół konfederacyi, jako zwykle gorętszy, bardzo jest uwięzieniem hetmana uradowany, to przecież jój naczelnicy, zwłaszcza ci, którym przedewszystkióm o Rzeczpospolitę a nie

o pomsty lub kary nad osobami chodziło, chcą tego, ażeby ta sprawa hetmańska usunęła się jakoś gładko na stronę.

Ted}' nie można było jeszcze wiedzióc z pewnością, co z tego wyniknie, a Jerzy ze sufraganiem najrozmaitsze wyciągali ztąd wnioski, – kiedy wtem nazajutrz rano dano im znać, że pani hetmanowa koronna przyjechała wczoraj wieczorem do Lwowa

1 nocowała- na niskim zamku.

Wiadomość tę przyjął Jerzy całkiem na pozór spokojnie, – ale natomiast sufragan, lubo zazwyczaj był dosyć chłodnym, tak się nią zniepokoił, że aż wstał z miejsca, a przechodząc się po izbie, co moment to piuskę na głowie poprawiał, to tabakę zaży*wał. A było to zwykle znakiem wielkiój u niego niecierpliwości.

Zauważył to Jerzy i dziwiąc się temu, zapytał:

- A co jegomości?
- Hm! – rzecze biskup, – mamże powiedzióc otw⁷arcie?
- Bardzo o to proszę.
- Otóż ci powiem, – rzekł na to biskup, że się obawiam, ażeby te odwiódziny pani krakowskiej nie stały się nową pastką dla ciebie. Bo i czego ona tu chce?

Hetman jest jeszcze na Czar- torysku, pewnie się ztamtąd nie może wydobyć, pani się kręci za praktykami i jak Bóg w niebie znowu się tobą zechce posłużyć. Jedna posługa, rzecz mniejsza, ale przez nią zawiążą się na nowo twoje ze Sieniawskimi relacje– a to się stanie zgubą dla ciebie.

Jerzy wysłuchał sufragana z uwagą i UŚmióchnął się zlekka lecz milczał.

- I cóż ty na to? – zapytał sufragan, nie uważając uśmióchu.

Jerzy pokręcił głową.

– Jakże? – zapytał prałat, domyślając się jego mniemania, – to nie zgadzasz się ze mną? nie jesteś zdania, że nowe relacje ze Sieniawskimi tylko ci szkodę przyniosą?

–r- Dlaczegoż koniecznie szkodę? – rzekł Jerzy, niecierpliwiąc się trochę, – ja sędzę przecież, że mogą mi właśnie przynieść pożytek.

- Pożytek!? – zawołał zatrwożony sufragan, – przez Pana

Boga żywego! panie Jerzy! cóż tobie? Poczekaj-no, trza nam⁰ tótm pogadać.

To mówiąc, przybliżył się ku niemu, chcąc przy nim usiąść * zabrać się do dłuższoj dysputy; ale w tój chwili Jerzy wstał^z miejsca, ujął go za rękę i rzekł głosem stanowczym:

– Bądź jegomość spokojny, ja wiem co' myślę i wiern co robię. Stosunki moje ze Sieniawskimi dotychczas się tylko przypadkowo przerwały; pozostawione w tym stanie, w jakim są dzisiaj, odzywałyby się do mnie przez całe życie; chcąc się ich pozbyć na zawsze, trza je rozerwać rozumnie i przyzwoicie. To jedno. A po wtóre, czy wiesz jegomość, że ja mam pułk cały, wy- musztrowany, umontowany i taki, jakiego nióma w całej konfederacyi? ten pułk mnie się należy i muszę go mieć przy sobie koniecznie, ten pułk jest dzisiaj w Brzeżanach, mamże go ztamtać Wykradać?

Nad tótm tłumaczeniem o tyle krótkiem, ile niespodziewanem, sufragan się zastanowił cokolwiek i właśnie miał się zabierać do odpowiedzi, kiedy wtóm przed jego kamienicą na bruku dał się słyszeć tentent jezdnych i turkot ciężkiego powozu. Zamiast dal- szojo rozmowy, obadwa prędko wyjrżeli przez okno, ale jakież , ich było zdziwienie, kiedy przed pomieszkaniem sufragana obaczyli karótę hetmańską, którój tak po barwie sług, jak i otaczającej ją konnojo milicyi Sieniawskich, nie mogli na pierwszy rzut oka nie poznać. I widok ten do tego stopnia ich zdziwił, że oniemieli obadwa. Otaczająca karetę milicya była oczówistym dowodem, że znajduje się w niej albo hetman, albo tóż hetmanowa; pomimo to jednak żaden z nich nie mógl temu uwierzyć. Któż bowiem nie znał etykiety dworu Sieniawskich, równającoj się prawie we Wszystkióm etykiecie dworów królewskich? Pani Sieniawska (bo nie przypuszczali hetmana) z wizytą u sufragana lwowskiego, albo nawet u generała wojsk swoich własnych, zdawało się być pro- stóm niepodobieństwem. Mimo to wszakże tak było. W tej chwili bowiem wbiegl rękodajny dworzanin do komnaty Jerzego, zapowiadając, że jw. hetmanowa koronna chce .widzieć pana Ożarowskiego, – a zaledwie Jerzy miał czas wrzucić mundur na siebie 1 przypiąć szablę do boku, pani Sienią wska sama stała już przed nim w komnacie.

W ten moment też całe dotychczasowe położenie Jerzego Wzięło obrót zupełnie inny.

Nie winni temu byli Sieniawscy, – powiadała mu hetmanowa, – że musieli o nim zapomnieć w tak nagłej chwili i pozostawić go jego własnemu losowi. A wszakżeż sami znajdowali się Wtedy w położeniu tem samćm. I gdyby byli nawet chcieli, to nie mogli o nim pamiętać, bo przecież w pierwszej chwili po wzięciu zamku byli już rozstrzeleni: hetmanowa w podróży do księcia Janusza, hetman na zdradnojo drodze do Brzeżan. Wydobywcy się z niewoli w Lubomli i zamieszkawszy na Czartorysku, ja-

kichże wszystkich nie używali środków, ażeby Jerzego także na wolność wydobyć; ale nie można tego było za żadną cenę wyjednać. Ileż ztąd zgrzyot miał hetman, ile było smutku w ich całym domu! Dowiedzieli się potem, że Lwów został odebrany przez Sasów, zaczęli i Jerzy uwolniony z więzienia; ileż ztąd pociechy by to znowu, ile w ich całej rodzinie radości! – To wszystko opowiedziała Jerzemu prawie jednym tchem pani Sieniawska, a w końcu dodała, iż jak tylko się wreszcie skończyły te fatalności, któremi nie wiedzieć za jakie grzochy Pan Bóg ich dotknął, mają sobie za obowiązek najpierwszy okazać Jerzemu dowodnie, jak dalece są jego poświęceń pamiętni i jak gorąco pragną za to wszystko mu się wywdzięczyć.

W dalszym ciągu rozmowy opowiadała hetmanowa Ożarowskiemu, że jej mąż został już uwolniony z detencji i z Czartoryska pojechał prosto do Brzeżan. Wyjeżdżając na dłuższy, a może już nigdy odmienić się nie mający pobyt do Brzeżan, nie pragnął on niczego goręcej, jak aby sam mógł wstąpić po Jerzego do Lwowa i osobiście go zabrać ze sobą; ale jak z jednej strony te nieszczęśliwe ostatnich czasów wypadki tak go zmęczyły, że nawet zapadł znacznie na zdrowiu, tak znowu z drugiej, okoliczności towarzyszące jego uwolnieniu były tego rodzaju, iż go zniewalały do jaknajprostszej drogi do Brzeżan. Jednakże nie mogąc sam tego uczynić, wyręczył się w tym swoją żoną; jakoż pani Sieniawska nie ma żadnej innej sprawy we Lwowie, oprócz tój jednej, ażeby Jerzego zabrać ze sobą na zamek brzeżański. V

To rzekłszy, nie pozwoliła mu nawet nic odpowiedzieć, a traktując go prawie jak matka swe własne dziecko, a w niektórych zwrotach swojej rozmowy jak pani, mająca prawo do rozkazywania, dodała w końcu:

– Spiesz się tedy, mój panie Jerzy, i każ twoje rzeczy natychmiast pakować, bo wszystko już do podróży gotowe. Jest powóz osobny dla ciebie, ten, sam, którym tu przyjechałam, są ludzie, są nawet i konie rozstawione po drodze, bo chciałam koniecznie, żebyśmy jeszcze dziś byli w Brzeżanach. Ja widzę, żeś ty jeszcze słaby cokolwiek i przedewszystkióm potrzebujesz spoczynku, ale właśnie dlatego trza nam się śpieszyć tóm bardziej.

Gdzież bowiem możesz mieć więcej spokoju, pielęgnowania, opieki jak w wnaszym domu, a jeszcze do tego w tych czasach, kiedy my sami nie pragniemy niczego więcej, jak odciąć się od tego rozburzonego świata i bodajby już nigdy nie wchodzić z nim w żadne stosunki? Spiesz się tedy, mój Jerzy, bo jeżeli dzisiaj nie dojedziemy do Brzeżan, to mój mąż pewnie całą noc strawi bezsennie, porozsyła kuryerów na wszystkie strony i jeszcze jutro gotowiśmy zastać go w łóżku.

Tak nagły i wcale niespodziewany projekt podróży do Brzeżan był w samój istocie Jerzemu trochę nie na rękę; nietylko bowiem był on jeszcze tak słabym, że całodzienna podróż mogła

jego zwątlone zdrowie o bardzo wiele pogorszyć, ale jeszcze do tego, jakiegokolwiek miał zamiary, tak względem zerwania stosunków ze Sieniawskimi, jak względem dostania w rękę swojego pułku, nie zdawała mu się jego osobista podróż do Brzeżan konieczną. Jakoż był w samą rzecz jakiś głos .w nim tajemny, który mu tój podróży odradzał. Ale cóż może jakiś głos cichy przeciwko pociągowi poruszonego serca?— Trudno albowiem tego zaprzeczyć, że hetmanowa tym swoim postępkim tak ludzkim, °twartym, a nawet rzeczywiście serdecznym, dziwnie go pochwyciła za serce. Widząc tę panią, o wszystkie czasy i we wszystkich okolicznościach zakutą w pancerz zimnych i sztywnych form swego świata, naginającą się dzisiaj z macierzyńską miłością ku niemu i dla obowiązków człowieka zapominającą w;szystkich obowiązków względem swójój godności i swojego imienia, — Jerzy się Wzruszył do głębi serca i już ani pomyślał o tem, ażeby mógł jej się sprzeciwić.

Przeciwnie nawet, i jak to zwykle się zdarza u ludzi młodych, zawsze skłonniejszych do uczynienia zadość pragnieniom serca niżeli chłodnój rachubie, zamiast dać posłuchanie odzywającym się w nim obawom, jeszcze sam sobie wynalazł i te i owe powody, dla których ta podróż miała mu być potrzebną i bez żadnego wątpienia powinna się stać pożyteczną. Kiedyż jeszcze do tego hetmanowa nie dała mu wcale czasu do dłuższego namysłu, ^a nawet zawsze najtkliwszych serdeczności nie szczędząc, sama go póty nie odstąpiła, póki do jego podróży nie było wszystko gotowem, to zamiar jój został bez żadnój trudności dopiętym, — Jerzy wsiadł do karóty i z przywołanym lekarzem odjechał natychmiast do Brzeżcin.

Tak stało się to, czego się najbardziój obawiał sufragan. dziwnie tóż zafrasowany a nawet z dosyć wyraźną goryczą żegnał on swojego gościa, — ale zajęty podróżą, a może już nawet Jakimi rozkosznemi marzeniami, młodzieniec zdawał się tego nie Widzióć. — Odjeżdżał on z całą swobodą umysłu a nawet tak wesół jak nigdy. Rzecz naturalna, nie wiedział o#n bowiem natenczas, ani się nawet domyślał, jak niebezpieczne sidła, jak ciężkie Próby i doświadczenia oczekiwały go na zamku brzeżańskim.

Przyjechawszy na zamek brzeżański, Jerzy zastał już tam Sieniawskiego, – ale zastał go tak odmiennym, że za ledwie go poznał

Wypadek ten był dla niego zdumiewającym, ale pomimo to wcale zwyczajnym, zwłaszcza też w czasie takim jak ten, w którym się działy te rzeczy. Czas ten bowiem był chwilą gwałtownego wstrząśnienia, epoką przejścia, a prawie każdy czas taki ma to do siebie, iż jednych ludzi wydobywa na wierzch z nicości i ubiera je w sławę, znaczenie lub' władzę, a znowu drugich, aż dotąd stojących na wysokości, strąca w dół i tratuje kołami swego nieubłaganego rydwanu. Dziś jednym z tych, którzyby mogli, a może nawet powinni byli na wierzch wy płynąć, był Ożarowski, a takim, który już w samej rzeczy spadł z swego tronu, a nawet w swoim własnym sumieniu do niepoznania podupadł, był hetman koronny Sieniawski. Jakoż istotnie, kto zapamiętał tego oligarchę z tych czasów, kiedy pełen ambicyi, potęgi i sławy, sięgał po polską koronę dla siebie, – kto go widział na jarosławskim zjeździe, goszczącego pod swojemi namioty z królewskim przepychem i swoich i cudzoziemskich monarchów, – kto go jeszcze pamiętał choćby tylko u Podkamienia, kiedy stojąc na czele czterdziestu tysięcy wojska, mógł w mgnieniu oka kraj wzburzyć, króla zrzucić, rząd zetrzeć i nowy ład zaprowadzić w Rzeczypospolitej polskiej, – ten, obaczywszy go teraz, aniby mógł przypuścić, że jeszcze tego samego człowieka ma przed oczyma. Już on się wprawdzie od samej podkamieńskiej historii zaczął być znacznie odmieniać i jak to łatwo można było uważać, prawie co chwila

kłonił się coraz niżój; ale te ostatnie parę miesięcy tak go głęboko dojęły, że czego nie dokazały lata i lat dziesiątki, to prawie jedna sprawiła chwila. Jakoż na samo wejście był to już starzec zupełny: zgarbił się, zsiniał, twarz mu się pomarszczyła, oko opadło, usta wybladły, a całą duszę jego dziwnie czarne oblały chmury. Siedział w krześle głębokim, a koło niego ksiądz, kapelan zamkowy, który z brewiarza czytał mu głośno modlitwy. Tak

²astał go Jerzy

Pierwsze chwile terażniejszego pobytu Jerzego w Brzeżanach Przeszły na wzajemnem opowiadaniu doznanych smutków, zawodów i cierpień, jak niemniej na rozpamiętywaniu ich zdarzeń, które wstrząsając Rzeczpospolitą w jój najgłębszych posadach, nie Wahały się nawet targnąć na wolność osób i sponiewiórać nietkniętą dotychczas godność najznamienitszych urzędów. Jakoż byłby to był w samój rzeczy bardzo obszerny i zajmujący przedmiot do konwersacyi, gdyby jednakże nie to, że hetman o tyle tylko pojmował i oceniał tę całą masę dziejowych zdarzeń, o ile one osobiście go dotykały. Doświadczywszy na samym sobie dotknięcia rewolucyjnej ręki, tak głęboko to uczuł i tak się tego Przemiaszył, iż zapomniawszy o wszystkióm innem, widział w około siebie tylko gwałt, bezrząd i, najrozpasańszą ambycją. Nie mogąc zaś jednostronnym swym wzrokiem dojrzeć innego końca i celu tych gwałtownych zaburzeń, jak tylko rozprężenie i ostateczną zagubę, ugiął się pod tą myślą i upadł na duchu i zwątpił nareszcie o wszystkióm.— Ztąd zamiast konwersacyi rozumnej i nau- Czającój na przyszłość, nie można było słyszeć z ust jego nic prócz skargi, najczęściej cichój i głęboko bolesnój, rzadko kiedy się żywszą unoszącój rozpaczą, a zawsze próżnój wszelkiej dla siebie nadziei i próżnój jakichbądź jeszcze czynnych ze swojój strony zamiarów. Nadaremnie go Jerzy usiłował przekonać, że jak jego widzenie rzeczy jest zupełnie fałszywem, tak i jego terażniejsze Usposobienie serca tylko z chwilowych wy płynęło powodów, albowiem burza ta prędko przemienię, w końcu końców żadnych szkód nie zostawi po sobie, a oczyściwszy swemi gromami, parne i zagęszczone powietrze, na długie czasy najpiękniejszą zabezpieczy Pogodę. Nadaremnie go nawet pocieszał co do własnój jego osoby, ^uPewniając go, że gwałt jemu zadany minie niepostrzeżony, a zachwiane jego godności z wracającym spokojem same powrócą do niego; hetman na to powiadał:

– Szczęśliwy ty jesteś, mój Jerzy, że możesz jeszcze mieć takie myśli, że możesz mieć jeszcze nadzieję! Jakoż żyj sobie tem szczęściem, ja nie przeszkadzam; ale mnie nióm nie częstuj, bo to nie dla mnie potrawa. Zanadto ja długo żyłem na świecie, zanadto zbliżka . przypatrywałem się sprawom narodu, ażebym się nie znał na znakach, przepowiadających jego wzrost lub upadek. Jakoż dopóki się burzono w celu ulżenia sobie za przesadzone Uznanych ciężarów, dopóki tylko grożono wojną, ażeby króla tem

prędnój do układow zniwolić, jam nie miał nic przeciwko temu, bo były to sprawy, wynikające ze złych wprawdzie, ale z dawnych obyczajów narodu; ale kiedy już zgotowane układy w Rawie wprost odrzucono, kiedy się bić zaczęto naprawdę z sługami prawowitego pana, kiedy władzę wydarto z rąk namaszczonego, a oddano ją samowolnym hersztom rokoszu, kiedy kraj cały rozburzono od granic do granic, zalano go gwałtem, krwią i pożogą, a wreszcie nieprawem nogami zdeptano najpiórwsze narodowe godności i najznamienitsze urzędy; ja już nie mogę nie wiedzióc, co tó wszystko ma znaczyć i dokąd ono prowadzi! Bywały wprawdzie i dawnioi, _konfederacje_ i bunty, burzyli się Zebrzydowscy, Lubomirscy i inni, ale tego nie było co dziś jest. Nie brała wtedy swawolna szlachta najpiórwszych dygnitarzy jak prostych jeńców w niewolę, nie wodzono ich od Annasza do Kaifasza na sądy, nie plugawiono ich na pociechę rozhulanemu pospólstwu! A co ty myślisz? mnie jakiś szlachcic chodackowy z nad Dniestru sięgnął ręką za kołnierz i mnie do więzienia wrzucono w Lubomli i jak Bóg w niebie, takby mi głowę był kazał uciąć ten polski Krom- well, gdyby mnie ksiązę Janusz był nie wyprosił!...., Dlatego ty mi już nic nie powiadaj o Polsce, – kończył spokojnie hetman, – boć ja wiem dobrze, na czóm to wszystko się skończy. Będziecie mieli kraj nowy, rząd now' y i całkiem nowy porządek, będziecie sobie gospodarować, jak wam się tylko podoba; ale mnie już porzućcie, i zapomnijcie, i dajcie mi cicho dożyć dni moich na państwie w Brzeżanach.

W dalszym ciągu tych rozmów przekonał się Jerzy dowodnie, że takie rozpaczliwe usposobienie- hetmana, czy ono być miało tylko chwilowem, czy już nigdy odmienić się niemającym, nie było wcale urojonóm, tylko prawdziwóm. Sieniawski już dzisiaj istotnie niczego więćój nie pragnął, jak tylko ażeby mógł żyć spokojnie na swoim zamku, a otoczywszy się najbliższymi przyjaciółmi swojego serca, i o świecie zapomnióc, i światu dać o sobie zapomnieć. Widząc to, Jerzy już mu się nie przeciwiał nareszcie, owszem przeciwnie, kiedy już musiał mówić koniecznie^ to mu tym samym tonem wtórował. Zdawało się bowiem, iż jak z jednej strony nawet najwymowniejszym wykładem nie potrafi go o nieprawdziwości jego przywidzeń przekonać, tak znowu z drugioj wcale to żadnoj nie przyniesie nikomu szkody; jeżeli tak strupieszały na duchu hetman koronny usunie się od spraw publicznych na zawsze. Jakoż tak było w samó istocie.

Jednak ten dźwięczny odgłos własnego serca, słyszany ciągle z ust najbliższego przyjaciela, zaczął osieroconego hetmana przy- więzywać do Jerzego jeszcze tó bardzioj. Węzeł, wiążący tych dwóch ludzi ze sobą, zaczął się odtąd ze strony hetmana ścieśniać coraz widocznoj. Przyszło do tego nareszcie, że jak dom stary spróchniały, nie mogący ustać o swojej sile, wali się całym ciężarem na podstawione pod jego ściany podpory, tak i ten starzec

bezsilny powalił się całą siłą na swego młodego towarzysza, oparł^{sl} o niego w swój bezwładności i tak go silnie objął swemi ranionymi, jakby go nigdy nie miał wypuścić. Jakoż istotnie coraz to gęściej powtarzał:

– Bardzo ja tobie wdzięczny jestem, mój Jerzy, że mnie ty nie opuszczasz w moim sieroctwie. Tak mi jest lekko przy tobie, ^{ta}k wiele doznaje ulgi i tak łatwo zapominam o moich zgryzotach W twem towarzystwie, iż mi się zdaje, że gdyby mi dzisiaj koronę płożył na głowę, tobym w niój nie znalazł tyle pociechy, jak wtopię. Chciałbym też o tem jakoś rozumnie pomyśleć, ażebyśmy ^odtąd pozostali ze sobą na zawsze

A co nam po tym świecie przewrotnym, który za nasze trudy i poświęcenia tak czarno nam się wywdzięczył? czy my go Potrzebujemy? i co on nam dać może nareszcie? Jakoż tak myślę, ^{ze} najlepiej uczynim, jeżeli się w obrębie naszego własnego państwa tak urządzimy, ażebyśmy mogli sami sobie wystarczyć i do naszego szczęścia, o ile go nam Bóg jeszcze dozwoli, nie potrzebowali nikogo. A do takiego szczęścia, mój Jerzy, jakiegokolwiek nas losy spotkały, na tym burzliwym świecie, mamy jeszcze zapasów aż nadto i trzeba tylko, ażebyśmy potrafili z nich umiejętnie korzystać

Tak mawiał hetman naówczas. Lecz lubo jego słowa miały daleko donośniejsze znaczenie, niżeli na piórwszy rzut oka zdradzały, Jerzy za ledwie zwracał na niego uwagę. On czuł tylko W tój chwili, że mu ten ciężar stetryczalego starca, którego z całym zapasem hipokondryi i złości dźwigał na swoich barkach, dziwnie był ciężkim, i czuł zarazem, iż gdyby mu przyszło jeszcze Przez jakiś czas dłuższy tak go ponosić na sobie, to raczój samby ugiął i omdlał pod jego ciężarem, niżeliby miał swóm młódóm tchnieniem jego zamierającym siłom dać nowe życie. Wiedział on ^o tóm, iż jak tylko do zupełnego zdrowia powróci, to tym czy owym sposobem z pewnością się od tój służby duszącej uwolni, ^ale nateraz pomagało mu to niewiele; ciężar jej bowiem tak go W niektórych chwilach tłumił nieznośnie, tak jego duszę i myśli

¹ całą jeszcze także zbolełą istotę przygniatał, że mu się duszno zrobiło, a czasem nawet poprostu brakowało powietrza. Jakoż natenczas wymykał on się z objęć hetmana i szukał kędy indziej ^oPokoju, odetchnienia, rozrywki. Na szczęście swoje nie potrzebował jej szukać daleko

Albowiem najpierw, lubo kancelarya hetmańska była na te- ^faz jaknajzupełniój rozbitą i Jerzy nie myślał wcale przyprowadzać ę. do dawnego porządku, urządził on jednak, tak zapomocą gubernatorów porozrzucanych po całej Polsce dóbr Sieniawskiego, J^ak zapomocą komend milicyi hetmańskiój, po tychże dobrach konsystujących, bardzo gęstą i regularną korespondencyą, z której się dowiadywał o wszystkióm, co się działo w konfederacyi. Wiadomości te były niezmiernie liczne, przynosiły jak zwykle da-

Tora xi.

leko więcej bajek niż prawdy i było to pracą dosyć mozolną czytać te hieroglify ręki żołnierskiej, albo głęboko-ciemne polityków wiejskich gazetki; ale ponieważ to wszystko razem przecież nakoniec malowało bardzo dokładnie postęp konfederacji, więc było to dla Jerzego niezmiernie zajmującą, a nawet i pożyteczną rozrywką.

Powtórę, konsystował naówczas w obrębie murów zamkowych cały pułk Sodalisów. Poczciwi ci ludzie byli zawsze jedna-i kową miłością przywiązani do swego pułkownika, a teraz generała, i nie byli nigdy szczęśliwsi jak wtedy, kiedy go mogli widzieć przed sobą. ~ Jeszcze zawsze wątpy na siłach, zwlekał się do nich Ożarowski o kiju i jak mógł tylko najwięcej czasu trawił pomiędzy nimi. Często jego obecność przy nich była mu nawet z wielu względów potrzebną. Albowiem przed wszystkim innóm chodziło mu o to, ażeby się ciągle utrzymywali przy tej zręczności w robieniu bronią, jaką im nadał swoją umiejętnością i pracą, a której przez czas jego nieobecności w Brzeżanach już byli zapomnieli cokolwiek. W tym celu przyszedłszy do nich nieraz równo ze świtem, zasiadał w ganku pod kolumnami i kazał im musztry przed sobą wyprawiać. Tym sposobem w przeciągu kilku tygodni przypomniał im z największą łatwością to wszystko, co zapomnieli, obudził w nich chętkę do takich ćwiczeń i nauczył ich przywiązywać wagę do tej umiejętności, która, jak mówił, dotychczas wprawdzie im nie wiele przyniosła, ale w danych okolicznościach mogła sporządzić im wziętość, znaczenie, sławę, a nawet kto wie jak głośne imię w narodzie. Dalej chodziło mu o to, ażeby ich przywiązanie do siebie jeszcze bardziej umocnić i tak ich wreszcie zespolić z sobą, ażeby odtąd nie umieli nawet pojmować swego istnienia bez niego i jakiegokolwiek go spotkały losy, ażeby ich miał na każde skinienie przy sobie. Jakoż nad tem nie potrzebował on wcale pracować. Jeżeli bowiem ich miłość dla niego była zawsze tak ciepłą, że każdy z nich byłby dał życie swoje za niego, to wszyscy razem, jak się powszechnie zwali Sodalisami, albo nawet poprostu Ożarowskimi, tak też istotnie myślą, uczuciem, opiniami, nadzieją byli jakby nim samym. I tak się już byli przyzwyczaili do tego, tak pod jego przeważnym wpływem zrosli się z jego istotą, że zdawało się, jakby się wszyscy swoich osobistości wyrzekli i byli tylko pojedynczymi członkami swego ukocha-ego dowódcy. Zabawnie też czasem było posłuchać ich rozmawiających ze sobą o swoich losach pospólnych, o terażniejszej swój bezczynności, o nadziejach i widokach na przyszłość, które od niejakiego czasu coraz więcej ich obchodziły.— Kaduk nas zaniósł do tego nienawistnego Lwowa, — mówili oni, — a już chyba sam nieczysty podał nam koncept stawać w obronie hetmana. Pięknaż tam teraz opinią mają o nas konfederaci! Już my tam pewnie* jeszcze czarniejsi w ich oczach, niż sami Sasi. Godziłoby się, ba trza koniecznie, przekonać ich o nas inaczej; ale nam jakoś jeszcze

nie idzie do tego! Nuż kiedy zaczniesz coraz to częściej zasiadać² panną w altanie, a kapela nam będzie przygrywać melancholijnie, a hetman będzie przy nas usypiał, tośmy się jeszcze gotowi¹⁰ zamorować na piękne, ba, i ożenić nareszcie! – Ale nie tacyśmy⁵⁰bie prości, jak się komu wydajem, – mówili znowu kiedy indziej, " – przycupnęliśmy teraz cichutko, jak zając pod miedzą, lecz jest w tym racja. Chwieją się nogi pod nami, ręka nie może udźwignąć pałasza, a co by po nas było na wojnie! Ale nieclino się Wzmogłem na siłach, niech staniam twardo na nogach, hej! świfniem sobie którego ranka z pomiędzy tych murów tak gładko, że jeno pamięć po nas zostanie! – Jakoż istotnie były to wszystko Uczucia i myśli, jak gdyby wprost wyjmowane z serca Jerzego.

Ale tymczasem było to także prawdą bezsprzeczną, że Jerzy Przepędzał nieraz całe godziny z hetmanówną w altanie. Tak było,] była to także jedna z jego rozrywek. Kiedy go hetman swo- j^emi śledziennymi rozmowy do tego stopnia umęczył, że mu pot Występował na czoło i zaczynało oddechu brakować w piersiach, a musztra z Sodalisami była już ukończona i gazetki b3¹ty już Przeczytane, – to szedł natenczas do kwiatowego ogrodu, dochodził do winogradowój altany i tam zazwyczaj zastawał Zofią. Wtedy zasiadał przy niój, patrzył przez chwilę w milczeniu w jój^o smucone oczęta, potem padało słówko z tej strony i małe słoneczko z drugiój, a na końcu z tych słówek nieraz tak żwawa Wywiązała się rozmowa, jak gdyby po długióm niewidzeniu oba- Czyli się dziś po raz piórwszy, albo jak gdyby dzisiaj mieli się na długie czasy pożegnać. Te tak rozgłośne i wesołe rozmowy, które dawniej nie miewały nigdy miejsca pomiędzy nimi, były znakiem bardzo niedobrym, ale co jeszcze na daleko donośniejsze naprowadzało wnioski, to to, że taka wesoła rozmowa, niewiedzióć zkąd i dlaczego, potóm nagle się urywała i pomiędzy winogradowemi ścianami najgłuchsze zalegało milczenie. I siedzieli wtedy^oboje smutni, jako wierzby płaczące, i wezbranemi oczyma pa-¹²rzyli w ziemię, i nie mogli słowa znaleźć dla siebie, – aż póki się^{2e} zamkowej galeryi nie odezwała kapela i póki hetman się nie fjawiał pomiędzy kwiatami, zazwyczaj z kapelanem po lewym boku¹² murzynem lub karłem za sobą, który niósł lulki jv rękę i sor- bety na tacy. I wtedy znowu bywało wesoło.

Jednakże czasem, za ledwie Jerzy wszedł do altany i jeszcze błędził oczyma pomiędzy Zosi twarzyczką, a stojącemi przed nią krosnami, zjawiała się przy nich hetmanowa z robótką w rękę. Wtedy był dzień bardzo nudny, na żaden sposób nie mógł się znaleźć przedmiot do zajmującój rozmowy, a z chmurek przelatujących po niebie, z ich postaci i barwy, wróznono deszcz niezawodny.

' Ale za to znów czasem hetman, nudząc się jak pień po obiedzie, zawołał do siebie Jerzego, przywabił Zosię, rozmawiał z nimi chwilę a potem rzekł:

– Chodźcie dzieci do kwiatowego ogródka, jakoś tu duszno w komnatach.

Wtedy szli wszystko troje tak wesoło i raźnie, że sami nie wiedzieli, kiedy przebiegli sto jeden wschodów i trzy kury tarze. Zosia przybiegała natenczas do altany najpiórsza, albowiem niosła w swych własnych rączkach aksamitną poduszkę, zapomocą której uścielała dla ojca na darniowej kanapie jakby sułtańskie siedzenie. Jak tóż usiadł małmazyą nalany hetman na owe darnie i puchy i jak mu jeszcze do tego na nutę melancholiczną zagrała z ganku kapela, tak w ten moment usypiał snem ludzi najsprawiedliwszych, choć niezupełnie spokojnym. Albowiem w tym śnie rzucał się ciągle, ruszał ustami, mruzczał jakieś niezrozumiałe słowa, a czasem nawet kwilił dosyć wyraźnie: – Michasiu! co ja tobie zawinił? czego ty czego ty się mścisz na mnie tak krwawo? – To znowu wołał: – Mości rotmistrzu! a co to? a zasie wa- ści! czy to waść nie wiesz?... Precz! precz! kto w Boga wierzy ratujcie! – Widać ztąd, że pana Michała i jego rotmistrza nie mogła strawić nawet małmazyja. – Kiedy zaś nieraz młodzi, rozchulawscy się z sobą, zanadto głośny podnieśli hałas, stary się budził, zrywał się ze snu, stawał na równe nogi i wołał: – Hej! a co to takiego! – Poczóm wszakże, oczu przetarłszy, mówił spokojniej: – Śniło mi się, że na mnie znowu napadły konfederaty. – Ale nakoniec uspokajał się całkiem, a przystąpiwszy do obojga młodych z uśmiechem, całował ich w czoła i mówił: – Bawcie się, dzieci, bawcie, to nic. Tyle mojej pociechy, ile doznają jój przy was.

A wtedy już wszystko troje bawili się razem wesoło, a zabawa ich dochodziła czasem do tego stopnia pustoty, że młodzi dworowali sobie delikatnie z staruszką, jakoby się już tak przeląkł konfederatów, że nawet ich we śnie widuje. Z czego sam hetman rad się uśmiechał, mówiąc potem z westchnieniem: – Tak to podobno nam wszystkim idzie na tym świecie. Dopóki człek młody, wygrałby sprawę niejedną, lecz myśląc skromnie o sobie, niema do gry odwagi: a jak się zestarzeje i wzrośnie w znaczenie i siłę, znowuby wygrał, ale już wtedy grać mu się nie chce. A to sobie pamiętaj, mój Sodalisie, i pókiś młody, kuś się o wszystko, bo nióma rzeczy, któraby była niepodobną dla ciebie... Po takich i tym podobnych słowach Zofia spuszczała oczy ku ziemi, a Jerzy rzucał na hetmana spojrzenie ukradkiem i wracał w zamyśleniu do dworu.

W takim stanie rzeczy minęło kilka długich tygodni prawie całkiem niepostrzeżenie. I minęła już piórsza połowa maja, i poczęły się dni spokojne i ciepłe, zapowiadając długotrwałą pogodę. Parę tygodni takiego powietrza postawiły Ożarowskiego prawie już całkiem na nogach.- Już się mógł najswobodniej przechadzać o własnej sile, już broń udźwignął i robił nią nienajgorzej, już nawet konia dosiadał i przedsiębrał kilkogodzinne przejażdżki bez

Unięczenia. Jakoż czując się tak blizkim powrotu do zupełnego zdrowia, począł coraz ciekawiej wczytywać się w polityczne gazetki, a zarazem rozmyślać, jak, którą drogą i w którym miejscu byłoby mu najłatwiej przystąpić do tych, do których wołały go głosy kochającego serca i obowiązki sumienia. Tak myśląc, rozważał także, jakimby sposobem najłatwiej rozprawił się nareszcie z hetmanem. Była w tym trudność nielada, albowiem nie tylko chodziło mu o to, ażeby po zerwaniu stosunków obecnych zachować dla siebie zawsze niezmiennie wiele znaczącą przyjaźń Sieniawskich, ale także i o to, ażeby przenosząc się teraz z jednego obozu w drugi, nie przyjść tam z gołymi rękami i skutkiem tego nie znaleźć się w położeniu zmazania tego wszystkiego, czego się dobił dotychczas, i rozpoczynania rejestru zasług nanowo. W najgorszym razie był on wprawdzie zdecydowany wejść choćby tylko z szablą u boku do szeregu walczących, – był on jeszcze zanadto młodym i zanadto ufał swym siłom, ażeby i w takim razie o swoją przyszłość rozpaczał; – ale, jak z jednej strony wiedział o tem aż nadto dobrze, że cały pułk wyćwiczony, umonto- Wany i do boju gotowy, nie może być i dla największej armii obojętnym nabytkiem, tak znowu z drugiej strony swoich, tak wiele trudów a zresztą cierpień i bólów zrzucić umyślnie w paszczę zapomnienia i nie wziąć przynajmniej ich rachunku ze sobą, uważał za nieroztropność chłopięcą, której by nigdy sobie nie mógł przebaczyć. Widząc tę trudność i widząc zarazem dzisiejsze usposobienie hetmana, przy którym ona jeszcze się o wiele zwiększała, zakłopotany Sodalis sam czasem nie wierzył, ażeby się tak dziwnie spleciony węzeł dał spokojnie rozwiązać, – miewał też czasem chwile, w których był pewnym, że się to nie zakończy inaczej, tylko poprostu wymarszem bez pożegnania; – jednakże nimby przyjść miało do tej ostateczności, ufał jeszcze swojej wymowie, swej obrotności, a nareszcie i przywiązaniu hetmana do siebie, i miał jaknajlepszą nadzieję. – Jakoż odtąd zaczął już coraz pilniej śledzić hetmana, korzystając z każdej swobodnej chwili, ażeby go stateczną o sprawach publicznych rozmową przygotować do przyjęcia jego zamiarów.

Ale tymczasem, prawie nim jeszcze zaczął swą propagandę, dostrzegł pomimo woli, że na zenicie domowego firmamentu Sieniawskich jakoś się konstelacja zmieniła. Nie mógł on zrazu odgadnąć, co jest, ale widział wyraźnie, że pomiędzy hetmanem i hetmanową jakiś wicher niespokojny przewionął i harfę ich małżeńskiego pożycia, dotąd zawsze tak strojną, jakoś dziwnie roz- troił. A musiał to być jakichś wicher nie chwilowy, ale ciągle trwający, bo nieporozumienie widoczne pomiędzy małżonkami wciąż trwało i dochodziło chwilami nawet do tego stopnia, że hetman przez cały wieczór ani jednego słowa nie przemówił do żony. Jednego wieczora nawet dopuścił się takiej nieoględności, że w obec wszystkich domowników przy wieczerzy zebranych tak się

głęboko zapędził w rodzinno-historyczne badania, iż dowiódł jakby na dłoni, że Lubomirscy są taką samą szlachtą, jakiej tysiące jest ' w Polsce i nic ich wcale nie upoważnia do pomiatania innymi. I Poczóm jakby od założenia do wniosku przeszedł do Ożarówskich, ' a wyliczywszy zasługi i koligacje ich domu, wróżył im wielką świetność w przyszłości.

– Bo to tak u nas jest w Polsce z rodami! – powiadał het- 'j man. – Wielkość i świetność i sława kolejną idą i przy nikim się I nie trzymają bez końca. Wyniesie się który, zabłyśnie, zalśni, 1 aliści w oka mgnieniu już go i nióma – a na jego miejsce powstaje drugi, o którym dotąd ani słyhać nie było. Wyjąwszy jednych Potockich, którzy się stale trzymają i jeszcze nie tak prędko się skończą, bo jest ich wielu, któryżto wielki ród starożytny już i nie zaginął albo teraz nie ginie? Gdzież są Górkowie, Kmitowie, 1 Łascy, Tęczyńscy, Herburtowie i tylu innych? Niómasz ich – « a i Sieniawscy już idą. A kiedy tamci kwitnęli, któż słyssał 0 tych, którzy dziś błyszczą u góry? A między tymi Ożarowscy niepospolite zajmują miejsce. Bo nietylko że żwawo prą naprzód 1 oczówicie się wyprą wysoko, ale jeszcze do tego należą do takich, o których już i dawniej wiedziano. Miałebym tedy pomiędzy ludźmi wybierać, to bez wątpienia wolę takiego, który, pełen siły i życia, ma jeszcze cały świat zasług i sławy przed sobą, niżeli którego z takich, co się już wyczerpali, ostatkami dziś gonią i-lada dzień także się skończą... A chociaż tego nie może pojąć rozum niewieści, mniejsza z tórn; wiedział Bóg dobrze, dlaczego dał berło świata mężczyznom!

Na te słowa wypowiedziane nietylko z pewną goryczą, ale , nawet bardzo dobitnie, pani Sieniawska przytknęła chusteczkę do | ust, wstała poważnie z miejsca i odeszła powolnym krokiem do bawialnój komnaty. Za nią powstał dwór cały i damy wyszły za hetmanową, – mężczyźni zaś pozostali w sali jadalnój, oczekując rozkazów hetmana. Jednakże tak tam między damami, jak i tu między mężczyznami, panowało jakieś dziwnie naprężone milczę- I nie, albowiem wszyscy tak rozumieli, że owe słowa powyższe het- i mana, wypowiedziane w obec całego dworu, były stanowczym \ wstępem do nadzwyczaj ważnego zdarzenia. Jakoż wszyscy pa- | trzyli na Jerzego takimi oczyma, jak gdyby go widzieli dzierżącego już w ręku wielką buławę i panującego już na zamku brze- żańskim. Niektórzy nawet poczęli sobie szeptać coś o tórn lub ' dawać znaki oczyma, – tylko on jeden stał niewzruszony a oparł- I szy się prawą ręką o krawędź stołu, zdawał się być nieprzytomnym i nie wiedzióć, co się z nim dzieje...

Tymczasem hetman siedział jeszcze przy stole i patrzył za- chmurzonymi oczyma w te drzwi, którei hetmanowa odeszła. Tak patrzył przez małą chwilkę, – poczóm wszakże obrócił się i spojrział na swoich dworzan, a widząc ich wszystkich na nogach, rzekł do nich:

– A wy czego powstali? kobietom czas, bo to spad idzie z kurami, ale my się jeszcze możemy zabawić.

Jakoż kazał dać wina i przepił zaraz do Granowskiego i Bekierskiego, dwóch najweselszych przyjaciół, jakich miał na swym dworze. Posiadali wszyscy, siadł także i Jerzy, lecz czuł to, że go w tej chwili jakoś dziwnie gniół mundur i było mu duszno przy tej biesiadzie. Zaczóm po małej chwili wstał z miejsca, poprosił hetmana, mówiąc, że jako inwalid potrzebuje, wczesnego spoczynku, i wyszedł z biesiady. Kiedy powstawał, uważał to, że się wszyscy dworzanie z miejsc swoich podnieśli, a kiedy wychodził, kilku z nich uprzedziło go przy drzwiach, ażeby mu je otworzyć. Respekt ten, nigdy dotąd niedoświadczony, jeszcze go tem więcej Uderzył, – jakoż w nieinałem zamyśleniu wrócił do swojej kwatery. Tam przyszedłszy, przechadzał się przez czas długi po swojej wielkiej komnacie i myślał. Ale widać że myśli te w niczem go jeszcze nie oświeciły na pewno, albowiem po całogodzinnej przechadzce rzekł sam do siebie: – Coś mi się przywidziało. Trzeba to przespać... i z temi słowy udał się na spoczynek.

Nazajutrz rano zamierzył sobie Jerzy tak wziąć na oko całą ludność zamkową, żeby go ani jedno słóweczko, ani jedno mrugnięcie oka nie ominęło niespostrzeżenie. Jakoż przyszedłszy wczas na pokoje, dziwnie był wstrzeźliwym ze swojej strony, a natomiast pilnie uważał wszystkich. Ale mimo to w nikim prawie żadnej nie dostrzegł zmiany. Hetmanowa była poważną, mało mówiącą, ale tóż i uprzejmą jak zwykle: hetman w humorze codziennym; tylko Zofia zdawała mu się niby trochę weselszą dzisiaj niżeli w dniu inne, a w niektórych momentach zdradzała usposobienie takie, jak gdyby albo już jakiś tryumf odniosła, albo go odnieść miała niebawem. Nie zmieniło to wszakże w niczóm zwykłego porządku rzeczy, tak samo przeminął ranek jak codziennie, tak samo obiad i piówsze poobiednie godziny. Jerzy wrócił jaknajspokojniej do siebie, czytał przez całą godzinę gazetki i porządkował sobie wy czerpane z nich wiadomości o wzroście, ruchach i dalszych jak zwykle zmiennych kolejach konfederacyi, – poczóm rozmyślając o tych zdarzeniach i prawdopodobnych ich skutkach, Wyszedł do kwiatowego ogródka. Cały zajęty wojennymi i politycznymi wnioskami, ani uważał tego, że w winogradowej altanie siedział już hetman ze Zosią i dosyć żwawą wiodł z nią rozmowę. Obaczywszy Jerzego, uciszyli się trochę, wymienili ze sobą jeszcze słów kilka, poczem Zęsia, zostawiwszy ojca samego, wyszła w ogródek.

Spotkawszy Jerzego, stojącego nad krzakiem róży i skubiącego listki w zamyśleniu bezwiednym, spojrzęła mu w oczy z uwagą i rzekęła:

– I coż tam konfederacya? czy poraż siedemdziesiąty odniosła zwycięztwo, – czy siedemdziesiąte ją spotkało nieszczęście?

Jerzy spojrzęł na nią z uśmiechem i rzekęł:

– Czy ja już nie mogę o czym innym myśleć, oprócz konfederacji?

– Tak mi się zdaje, że nie, – odpowiedziała Zofia, – przeciwko czemu zresztą nic nie mam, tylko jestem zdania, że wyszłoby to na jedno, czy byś pan Jerzy myślał o tem, czy nie.

– Dlaczegożto, pani?

– Jaki pan zamyślony! Oto dlatego, że już tam są inni, którzy myślą za pana, myślą i robią razem.

– To prawda! – z westchnieniem odpowiedział Jerzy–wszyscy coś robią! tylko ja jeden" skazany jestem na bezczynne myślenie!

– Mnie się zdaje, rzekła na to Zosia' z figlarnym uśmiechem, – że już takie pana Jerzego jest przeznaczenie. Ale to niekoniecznie jest źle. Wiele myśleć, a innym dać zrobić za siebie, to nie jest zły wynalazek.

. Jerzy spojrział na nią z uwagą i rzekł:

- — Nie rozumiem zupełnie, co mi pani chcesz przez to powiedzieć...

Ale Zosia się śmiała:

– Co ja chcę przez to powiedzieć? nic. A czy pan nie wiesz, dlaczego mówią kobiety? Aby im się mówiło; na wiatr! jak powiada mój ojciec. Ale idź pan do ojca, bo jak uważam czeka na pana, a hetman nie powinien czekać na generała.

Jeszcze więcej zamyślony niż dotąd, wszedł Jerzy do wino- gradowej altany. Istotnie tam hetman czekał już dosyć niecierpliwie na niego jak rzekł zaraz:

– Siadaj-no, siadaj, a nie susz sobie głowy napróżno. Bióda to z ludźmi, którzy w niczem nie znają miary–ani nawet w skromności. Powiadają o królu Michale, że już z rok nosił koronę na głowie, a jeszcze temu nie wierzył, że istotnie jest królem. Może to pięknie świadczyło o jego sercu, ale nie było to dobrze, ani dla niego, ani tóż dla narodu. Gdyby był tylko trochę lepiej rozumiał o sobie, byłoby to było bez kwestyi pożyteczniej dla wszystkich...

Słyszając Jerzy te słowa, siedział jak na niemieckim kazaniu. Jakoż rzekł, prosto odpowiadając na zdanie:

– Jan Olbracht dobrze rozumiał o sobie, ale nie przyniosło to także pożytku* nikomu.

– To prawda, – odpowiedział Sieniawski, – ale można nie wynosić się do zuchwałstwa Olbrachta, a mimo to przecież nie kisać w nieruchomój skromności Michała...

Po tych słowach pomiędzy rozmawiającymi głucho zaległo milczenie. Obadwa spojrzeli sobie po kilkakrotnie w oczy, ale nie wiedzieli dlaczego nie mogli sobie dotrzymać wzroku ani na chwilę. Co myślał hetman, nie wiedzieć, – Jerzy zaś wpadł był zrazu na domysł, jakoby hetman odgadł już, tak jego chęci względem konfederacji, jak tóż i jego zamialry, a zniecierpliwwszy się wreszcie,

Ze mu Jerzy tych rzeczy nie wypowiedział już dotychczas otwarcie, tym tajemniczym wstępem chciał go do tego ośmielić. Czego pragniemy, tego się spodziewamy, tak stało się w pierwszej chwili ¹ z Jerzym. Ale niebawem mimo tego domysłu, odezwało się w nim jakieś tajemne przeczucie, które nietylko nie kazało mu temu domysłowi dowierzać, ale zarazem napełniło go jakąś taką niespokojnością, że mu serce zdrząło. Coby miał myśleć i czego się w tój chwili spodziewać, nie wiedział; ale czuł to wyraźnie, że mu się teraz coś zdarzy takiego, co nie będzie po jego myśli i wszystkie jego plany skrzyżuje. W takiój niespokojności z jednej, a zapewne i z drugiój strony minęła długa chwila milczenia. Aż nareszcie Sieniawski ruszył się niecierpliwie na miejscu, spojrzął na Jerzego z pod oka i tak zaczął:

– Powiódźże mi, mój Jerzy, czegoż ty mnie tak męczysz? Wiódz bowiem o tóm, że to twoje milczenie w tój chwili wielką mi przynosi zgryzotę. Czyż ja to się nie domyslałam już dawno, co tobie ciąży na sercu? czyż mi tego nareszcie nie powiedziała Zosia? Czemuż nie postąpisz sobie ze mną jako syn z ojcem? czyż ja przynajmniej na to nie zasłużyłam sobie u ciebie?...

Na te słowa Jerzy zdrzął pomimo woli, duszno mu się zrobiło, zaczerpnął pełną piersią powietrza, – lecz milczał. Tymczasem zaś hetman prowadził rzecz swoją dalej:

– Po części ja ciebie usprawiedliwiam z tój nieśmiałości. Ty sobie myślisz: Zawysokie to progi na moje nogi. Ty sobie mówisz: Pukał tu już niejeden, który daleko jaśniej błyszczał odemnie, a przecież jemu nie otworzono. I pukałoby ich jeszcze daleko więćój, gdyby nie wojna, a wielkie to jest pytanie, ażaliby i któremu z tych otworzono?. – I prawda. Nie otworzyłem jeszcze drogi do mojej córki nikomu i ilu jest w całej Polsce młodzieńców, żadnemu z nich nie otworzę. Spytasz mnie: czemu? Odpowiem prawdę: Zanadto dumnym jestem przeciw tym ludziom, ażebym ich tak blisko przypuścił do siebie – nietyl dumny imieniem i bogactwami Sieniawskich, ile dumnym chcę być w mojom dzisiejszóm nieszczęściu. Mój rozum mi to nakazuje: ja znam tych ludzi! każdy z nich przyjdzie do mnie na palcach, będzie się łasił koło mnie, kłaniał do kolan i powiadał najniższym sługą, przed intercyzą i ślubem – a potóm!... stare miotły w kąć się rzucają. Zdeptał mnie naród nogami i rzucił w kąć jak miotłę plugawą, – zapomniał król o mnie i odepchnął od siebie, – mamże jeszcze dopuścić do tego, ażeby i własny zięć zamiótł mną swoją chatę i potóm także odrzucił? ażeby mnie karmił z innemi pochlebstwami w oczy, a wypiórał się mnie przed światem? ażeby się ubrał w odziedziczone po mnie godności i głosił światu, że je własną zdobył zasługą? ażeby błyszczał i hulał za moje złoto, a mnie zostawił na pastwę mojej zatrutój starości w Brzeżanach? A takby było, bo ja znam ludzi. Ale tak się nie stanie, bom ja na to za mądry. Nie wezmę panka, aby go na pana przerobić, bo chcę

mieć zięcia – i zięcia nie chcę, bo chcę mieć syna. Bardzo mnie Pan Bóg pokarał, nie dawszy mi go z swój ręki, ale jeszcze mnie całkiem nie opuścił, kiedy dozwala mi go przysposobić. A tyś powinien był wiedzieć o tóim, mój Jerzy, i pewnieś wiedział: dla-
czegoż przy twojóm przywiązaniu tak szczerem nie byłeś jeszcze na mnie tak
łaskaw, żebyś mi swoje serce w całości otworzył? Uczyniła to Zosia i wielką mi tem
sprawiła radość, o ileż jeszcze byłbym szczęśliwszym, gdybyście byli tak samo
uczynili oboje!

To rzekłszy, hetman spojrział znów na Jerzego, który siedział schylony, z oczyma
spuszczonemi ku ziemi i w dziwnej niespokoj- ności. Widać to było po nim wyraźnie,
albowiem ręce, które zacisnął przed sobą, drżały jak w febrze, oddychał ustami tak
pracowicie, jak ryba na ląd wyrzucona, a twarz jego do dziś dnia jeszcze zawsze tak
blada jak z wosku, oblała się takim silnym rumieńcem, jak gdyby lada chwila miała
krwią trysnąć. Jakoż jak tylko zamilkł Sieniawski, on zerwał się z miejsca, ujął starca
za rękę i tak mówił:

– Panie hetmanie! czuję to w głębi mojego serca, że powinien w tój chwili
rzucić się tobie do nóg za łaski, któremi mnie chcesz zarzucić tak hojnie. Zabito mnie
ojca, ty mi go chcesz powrócić, – ubogim jestem, ty mnie chcesz zrobić bogaczem, –
maluczkiem jestem, ty mnie chcesz zrobić możnym i wielowła- dnym, – siórotą jestem
błąkającym się w samotności po świecie, ty mnie chcesz rzucić w objęcia wiernej i
kochającoj rodziny! O! czyż można osiągnąć, zapragnąć, a choćby tylko zamarzyć
coś więcej! Przynajmniej ja z mojoj strony, tak mi Boże pomagaj przez całe życie,
nigdy się tego nie spodziował. Ale właśnie dlatego, że to szczęście tak wielkie, tak
hojne, tak lśniące, spada na mnie jak gwiazda z zachmurzonego nieba, właśnie
dlatego nie jestem w stanie go objąć, nie jestem w stanie nawet wyrazić tego do-
kładnie, co czuję. Jestem wzruszony nad moje siły, olśniony, odurzony wielkością
tego, co mnie w tej chwili spotyka. Dlatego jeżeliś jegomość istotnie jest łaskaw na
mnie, to puść mnie teraz od siebie. Niechaj ochłonę cokolwiek, niech się ochłodzę i
zbiorę w sobie te wszystkie siły, których mi do godnego przyjęcia takiego szczęścia
potrzeba. Jutro mamy dzień także – a nióinasz w tóim nic tak nagłego!

Ale hetman się na to tylko uśmiechnął i odpowiedział spokojnie:

– Siadajno, panie Jarzy, koło mnie i rzuć o ziemię te niepotrzebne wzruszenia.
Jutro mamy dzień także, to prawda, ale i dzisiaj dzień jest – a bardzo nieroztropnie
ten czyni, kto i jedną godzinę swojemu szczęściu wykrada. Takie to życie jest krótkie,
tak mało szczęścia w niem prawdziwego! – Otóż ci powiem naj- pierw, że zanadto
ty wielką przywiązujesz wagę do tego, czem ja ci chcę twoje pocziwe serce dla
mnie nagrodzić. – Nie przeczę temu, dają ja ci tych dóbr doczesnych niemało. Z
ziem moich,

które się kiedyś wszystkie w twoje ręce dostaną, możnaby nowe utworzyć królestwo, – z moich ludzi i skarbów możnaby daleko większą wystawić armią, niżeli ją ma konfederacya razem z Sasami, – dla córki mojej mógłbym śmiało poszukać męża nawet pomiędzy ukoronowanemi głowami. Mając to wszystko, a do tego młodość, chęć i fantazyą, można dość głośno burmistrzować po świecie, a w danym razie jeszcze i więcej osiągnąć. Ale co to jest wszystko! Mam ja te dobra w mych ręku od urodzenia, i używałem ich całą gębą, i znano mnie z tego po świecie, –miewałem chwile, w których mojemu bogactwu cmiłem księżęta i króle, kiedy indziej trząłem całą Rzeczpospolitą jak gdyby garścią mych własnych wiosek, a wreszcie, gdybym był chciał, mógłbym być sam włożyć sobie na głowę koronę, – ale cóż z tego wszystkiego?

Czasy świetności, przewagi, władzy, minęły jako sen młodociany, – a kiedy serce ostygło, fantazyja zwiędła, głowa się pochyliła a ziemia zaczęła się głośno upominać o dług swój, to bogacz świata, dziedzic wielkiego imienia i niezwalczony hetman rycerstwa, poszedł tak samo na pacierze do kruchty, jak ów nieznany nikomu pacholek, który pod czarną urodził się strzechą. Jakoż dzisiaj, przypominając sobie z kolei, jak byłem wielkim, możnym i łśniącym, i widząc znowu, czóm jestem teraz i w co się może już jutro obrócić, zaledwie wierzę, ażeby mogła zajść taka zmiana – a kiedy zasza istotnie, to mówię, że ledwie warto czómś być i coś znaczyć w tym życiu! Bo tóż i dziwnie marna to kolój, w którą nas tutaj puszczone. Wszystko co dobre, przyjemne sercu i oku miłe, mija jak cień i nie zostawia śladu po sobie, – vanitas Danitatum et ctmnia vanitas! – tylko starość, jadąca na wozie zmartwień, zawodów i bólów, jak gdyby rozpalonóm żelazem dnie swoje znaczy i po każdym z nich niezatarte zostawia ślady. A kiedy wreszcie tak się już zbliży do ciebie, że usłyszysz głos: Prochem jesteś i w proch się obrócisz! – to wtedy koniec już z tobą. Naj- obszörnniejsze włości, największe skarby, a choćby władza nad całym światem nie są wstanie zagłuszyć tego uczucia marności, które się odtąd w twojóm sercu rozkłada i z całym zasobem sił i możności w bezwładne cię rzuca nicestwo. Szczęśliwy ten jest, komu Pan Bóg dał syna, bo ten się może łudzić przynajmniej, że chociaż sam w proch się rozsypie, to przecież jeszcze jakąś cząsteczką żyć będzie dalej i trwać w nieskończoność: ale komu Bóg wreszcie i tego nawet odmówił... ot! dajmy pokój! nie znam łez w mojm życiu, a nad tódm mógłbym płakać jak dziecko. Jestem najędźniejszym żebrakiem pomiędzy ludźmi. Na oko pan można- władny, bogacz najpierwszy w kraju, władca nad całą armią żoł- niórz i ojciec miliona rodzin – a w rzeczy samój starzec upadający na siłach, bankrut który utracił wszystko, tułacz błędzący pomiędzy kołące ciernie i głogi, siórota którego wypędzono z pogardą -z własnego kraju, a wreszcie jak występniaka na uwięzienie

skazano! Oh! mój Jerzy kochany! jeżeli myślisz, że jeszcze jest więcej szczęścia przedemną, niżeli się po was, po dzieciach moich, spodziewam, toś ty nigdy nie pojął, co się dzieje w mój sercu! Pustka wierutna, ruina, cmentarz, grób otworzony, któren ty tylko jeden możesz jeszcze okryć zielenią i garstką kwiatów umaić!...

Wysłuchawszy tych najskrytszych tajemnic hetmana, z którego wreszcie człowiek twarz swą pokazał, Jerzy wyciągnął ręce przed siebie, opuścił głowę ku ziemi i zaczął mówić jakby do siebie:

– O! czyż się kiedy mogłem spodziewać, ażeby we mnie tak wielkie pokładano nadzieje! Ja, takie wiotkie stworzenie, takie niemowlę między mężami! A wreszcie, czyż to rzeczy podobne? Gdzież laki mistrz na tój ziemi, gdzie cudotwórca, któryby mazał wyroki narodów, groby zamieniał w mieszkania i umarłym powracał życie! Był czas, kiedy tój śmierci można ustąpić z drogi, – ja sam podawałem na to sposoby, – ale dziś... Przeklętym jest czyn dokonany, – brama zapadła i nikt jój już nie otworzy!

Hetman słuchał Jerzego ze smutkiem, ale i z wielką uwagą. Jakoż usłyszawszy słowa ostatnie, zadrżał, przestraszył się wymalował na jego twarzy, a z jego ust zwiędłych dało się słyszyć pytanie:

– Jakże ty myślisz, mój Jerzy? czy dla mnie istotnie już niema ratunku? czy to jeszcze nie koniec? jaki to wyrok? jaka śmierć? cóż to ma znaczyć?...

Na te słowa Ożarowski zerwał się z miejsca:

– Ratunku? – mówił jakby bezwiednie, – wyrok? śmierć? czy ja mówiłem co o wyroku i śmierci?... Przepraszam jegomości, ja już sam nie wiem co mówię.

Po tój odpowiedzi hetman milczał przez chwilę i myślał. Poczóm wszakże mówił spokojnie:

– Siadajno Jurciu, bo się burzysz czegoś straszliwie, a niepotrzebnie. Gdybym nie był tak starym, a do tego Sieniawskim, byłbyś mnie mógł przestraszyć. Byłoby to nawet nie dziwno, gdybym się był istotnie przestraszył, zwłaszcza że i we Lwowie, a osobiwie w Lubomli już nawet i takie nasyłano na mnie straszydła. I było się nawet czego w samój rzeczy obawiać. Polska wprawdzie nie Anglia, a Ledóchowski nie Kromwell, ale w takich okolicznościach wszystko być może. – Jednakże czego się można było obawiać, siedząc pod kłódką w Lubomli, tego się nie potrzeba obawiać w Brzeżanach. I ja tak myślę, że chociaż sobie tam na mnie jeszcze wciąż zęby ostrzą konfederaci, chociaż mnie naród podeptał, król mnie odtrącił, a nareszcie i wszyscy mnie odstąpili, – to mnie drwić sobie z tego na końcu, bo Sieniawski zawsze Sieniawskim, a kiedy siedzi na swoim zamku, ani mu włos z głowy nie spadnie.

Tych kilka słów otrzeźwiło trochę. Jerzego, jakoż rzekł na to:

– Co tóż jegomości nie przychodzi do głowy! Poniosteś klęskę ogromną i daj to Boże! ażeby rany w niój odebrane nie jątrzyły się aż do grobu, ale żeby z tego poAvodu śnić o Kromwellu i Anglii...

– No, to ja też o tóim i nie śnię, tylko mi to tak mimowoli się nasunęło,—przerwał mu hetman, a potem mówił dalej ze smutkiem: – Ale i z tego możesz widzióć, mój Jerzy, do czego ja to na starość przyszedłem. I możesz widzieć naocznie, wiele to warte przy ostatecznym rachunku te bogactwa, te ziemie i wszystkie inne marności, które ja tobie oddaję. Weźmiesz, ubierzesz się W nie, pobłyszczysz trochę, pohłasujesz tędy owędy, gdzieś jaką bitwę wygrasz, trochę Szwedów nabijesz, albo Turków, albo Tatarów i może zresztą przy szczęściu doczekasz się jakiego małego tryumfu; lecz w końcu końców wszystko to minie, zwiędnie i zniknie jak cień. A kiedy starość ci barki przygarbi, krew ci zakrze- knie w żyłach, zdrewnieją członki, a przed oczyma taki sam grób, się otworzy, jaki czeka na twego giermka, który nigdy nic nie miał i nic nie zrobił: to dopiero natenczas przekonasz się 0 tem jaką marnością były te wszystkie dobra, z których ani jednego strzępka nie zabierzesz z sobą, i jaką. to lichą okruczę dał ci kiedyś Sieniawski.

Przez ten czas Jerzy patrzył na Sieniawskiego z uwagą, ale jeszcze daleko uważniej myślał niż patrzył. Jakoż po chwili, przechadzając się w zamyśleniu po wążkióij a długiej altanie, rzekł na to:

– A! panie hetmanie, nie takie to marne są rzeczy, które jegomość masz do oddania! Nie jest to wcale tak drobna okrucza, jak się jegomości wydaje. Tysiące włości, tysiące ludzi, całe piwnice naładowane złotem, całe gmachy wyphane bronią, a do tego jeszcze to wszystko, co odziedziczyć musi zięć Sieniawskiego, to nie marność, to nie okruczy!

Tu stanął, rozpromienił się cały, a patrząc wprost na hetmana, tak dalój mówił:

– To nie jest nic, które się kończy na niczóm. To jest ogrom, to cały świat! Gdybym ja miał to wszystko, słuchaj jego- mość, gdybym ja miał to wszystko w mych ręku, ja wiem cobym z tóim zrobił. Umarłychbym nie wskrzesił, alebym chorych uzdrowił, konających bym wrócił do życia i dałbym im siły i zdrowie olbrzyma! W zatechłej i wilgotnej ciemnicy zapaliłbym światło takie jak słońce. I kiedybym starcem zgarbionym w racał na spoczynek do Brzeżan, tobym się pewnie Panu Bogu nie skarżył, że nie mam syna i wszystko ze mną umióra. A kiedybym prochy moje oddawał ziemi, a duchem moim odchodził precz, tobym nie płakał na to, że nic nie zabióram ze sobą, bobym wziął z sobą najpiękni^szą treść tego wszystkiego, cobym tutaj zostawił! – Je

gomość nie mów mi tego, że to co masz w twoich rękach, to nic: to ogrom, to cały świat!

Jerzy mówił bardzo pomału, głosem jędrnym i niezmiernie dobitnym, ale pomimo to ważne te słowa nie sprawiły na Sieniawskim tego wrażenia, jakie sprawić były powinny. Albo zwątpił już tak dalece o wszystkióm, że w możliwość takich czynów nie wierzył, albo już był tak zakrzepłym na umyśle i sercu, że mówiącego prost nie rozumiał. Jakoż widział on teraz podobno tylko jego wzburzenie gwałtowne, na które wprawdzie patrzył z zajęciem, ale jeszcze z daleko większem zajęciem patrzył na Zofię, która właśnie przed chwilą nadeszła i stanęła we drzwiach altany. Jerzy Zofii nie widział, bo stał na środku i był obrócony twarzą do Sieniawskiego, teraz zaś, wyrzuciwszy ze siebie najskrytsze myśli i najgorętsze żądze swojego serca, przytknął dłoń do gorącego czoła, jak gdyby go tam gdzieś pod czaszką ognie paliły piekielne, które chciał dłonią ugasić. Tymczasem hetman, wymieniwszy kilka niezrozumiałych spojrzeń ze Zosią, rzekł spokojnie do niego:

– No, to kiedy tak jest, mój Jerzy, to o cóż chodzi? Jeżeli czujesz w sobie tak wiele siły, iż jesteś pewnym, że przy tych środkach jakie ci wniesie dziedziczka fortun i imienia Sieniawskich, wielkich rzeczy dokazesz, to jeszcze o tyle lepiej dla wszystkich. Podajmy sobie ręce na zawsze i zakończmy tę sprawę. Panno Zofio! prosimy bliżej!

Usłyszawszy to imię, Ożarowski zwrócił się nagle, a obaczywszy Zofię na własne oczy, stanął jak skamieniały. Patrzył na nią szeroko rozwartymi oczyma, lecz patrzył tak, jakby obaczył upiora. Zosia zaś, obaczywszy twarz Jerzego jakby we krwi skąpaną, włosy wzburzone, oczy zbłąkane i całą postać tak skołataną, jak drzewina wśród burzy, jeszcze daleko więcej się go przestraszyła i zawołała, składając ręce:

– Przez Pana Boga żywego, co panu? Pan, zawsze tak spokojny jak posąg, dziś w takióm strasznym wzburzeniu! Pan musisz cierpieć nieznośnie. Cóż to jest? mów pan. Ojczy! co to takiego?

– To nic, – rzekł na to Jerzy, – niech pani będzie spokojną. To mała rzecz, nie warto mówić. Ale kiedy pani chcesz wiedzieć koniecznie

Tu ujął Zosię za rękę i dalej głosem niby napozór spokojnym, ale dziwnie dobitnym i przenikliwym, tak mówił:

– To słuchaj pani. Wieża maryacka... Pani wiesz, jaką jest wieża maryacka? Otóż wieża maryacka zwała się na mnie, siedzi na moich barkach i żąda odemnie, abym ją zmienił na Wawel. Ja czuję w sobie dość siły, mam odwagę po temu i wiem, żebym tego dokazał. Ale jakiś głos straszny, przeraźliwy, świszczący, zwołuje ludzi i woła za mną: To zdrajca! on kościół kradnie! On nie zaniesie tej wieży na Wawel, on ją zachowa dla siebie, ażeby nią swoją zbrodnię zasłonił! A na ten głos zbiegają się ludzie mi-

licny, pędzą przy moich nogach, szarpią mnie do krwi i wszyscy krzyczą: To zdrajca! on kościół kradnie! on się przed nami zasłania! – Cóż pani sądzisz? czy pośród takich okrzyków będę ja W stanie odnieść tę wieżę na Wawel ? i nie upuścić jej w drodze? 1 nie zagrzebać się pod jój gruzami?

Umilkł na chwilę, poczem zerwał się prędko i rzekł:

– A teraz puśćcie mnie! puśćcie mnie choćby tylko do jutra! Jutro dzień także, i pozajutro, i wciąż!

– Idź pan! idź pan! – odpowiedziała Zosia z wyrazem wielkiej boleści, – ja już wiem wszystko! Idź pan do swoich apartamentów i nie pokazuj się dzisiaj nikomu. Pan Bóg niech będzie z panem – i zdrowy rozum – do jutra!

– Pan Bóg i zdrowy rozum, – powtórzył Jerzy, – tak pani.

Poczóm ścisnął Zosię za rękę i bryzgnął tak nagle z altany, jak gdyby się ziemia pod nim zapadła.

Po jego zniknięciu Zofia się zbliżyła do ojca, usiadła przy nim, ale milczała, oczy spuściwszy ku ziemi i drżąc jak listek na drzewie.

– Cóż to było takiego? – zapytał hetman, który się tylko ciekawie przypatrywał Jerzemu, – rozmawialiście się ze sobą jakimś wcale niezrozumiałym językiem. Coś o wieży maryackiej, coś o Wawelu; cóż to było takiego? jakieś zagadki, czy hieroglify?

– O! to nie hieroglify, mój ojczu! – odpowiedziała Zosia ze Smutkiem, – ja to wszystko rozumiem. Nieszczęśliwy ten człowiek Wystąpił z bronią przeciw konfederacyi i nazwano go zdrajcą natenczas. Otóż dziś to słowo straszliwe bezustannie szumi mu W uszach, trapi go, trawi i pali, nie dając spokoju we dnie, męcząc nielitościwie po nocach. Jemu się zdaje, że to słowo straszliwe stało się głosem narodu, a ztąd wyrobiło się w nim przekonanie, że nie potrafi go inaczej zagłuszyć, tylko dowodząc otwartemi czynami, że był i jest przyjacielem tej sprawy, przeciwko której pozornie wystąpił, a głos ów był tylko lekkomyślnem oszczerstwem. Dziwną i niepojętą zaprawdę jest drażliwość jego sumienia, ja ją znam dawno, – ale dzisiaj dopióro widzę, jak daleko ona jest Wstanie go zaprowadzić.

– A! jeżeli tóż Ożarowski jest nieprzyjacielem narodu, – odpowiedział Sieniawski, – to już nie wiem doprawdy, kto mu jest przyjacielem. A wszakżeż to człowiek, któryby sobie dał wszystkie żyły wypruć. Nie rozumiem tóż wcale, jak można sobie jakąś tam plotkę wziąć tak bardzo do serca! – Ale bądźno mi o to, moje dziecko, spokojną. Do jutra inaczój on się namyśli i uspokoi z pewnością. Taka fortuna Sieniawskich i taka Zosia są wstanie wszystkie głosy zagłuszyć, jakie są tylko na świecie.

Zosia zamyśliła się nad tómi i zdawało się, jak gdyby nie zupełnie chciała temu wierzyć, ale wtóm weszła hetmanowa w altanę. Weszła spokojnie i z zwykłą sobie powagą, lecz przypatrzy w

szy jój się uważnie, nie trudno było odgadnąć, że wewnątrz sie-] bie nie miała w tej chwili tyle spokoju, ile go chciała okazać, i Przeciwnie nawet, zanadto mocno była jój twarz pomieszana I i nadto żywo błyszcząły jój oczy, ażeby się. nie zdradziła, że nie fl sam tylko przypadek ją tu przyprowadził. – Jednakże wszedłszy, I siadła spokojnie opodal, a zmierzwszy przenikającym wzrokiem I męża i córkę, zapytała na pozór chłodno:

– Cóż tu państwo robicie? czy się co stało? widzę was w roz- I targnieniu i prawiebym powiedziała, w jakimś serdecznóm wzru- 1 szeniu.

Na to Sieniawski spojrział z pod oka na żonę, uśmiechnął się 1 gorzko-lodowatym lecz przytóm i tryumfującym uśmiechem i rzekł: I

–TJA! rzeczywiście tak jest. Jesteśmy do głębi serca wzru- I szeni, albowiem w tój właśnie chwili spełniły się nasze najgorętsze I życzenia. Pan Ożarowski, najznakomitszy młodzieniec, jakiego ma dzisiaj Polska, w dwudziestym trzecim roku życia generał, a lada chwila hetman polny koronny, deklarował się nam o rękę Zosi; I no! i rzecz oczewista, żeśmy go otwartemi rękami przyjęli.

– Już! – zawołała na to hetmanowa, podnosząc się nagle, jakby ją co ukłuło z kanapy; ale w ten moment siadła napowrót I i odpowiedziała spokojnie:

– Bardzo się cieszę z tego, chociaż się to stało bezemnie. I Cieszę się i życzę z całego serca, ażeby rzecz rozpoczęta została doprowadzona do skutku; nie mogę jednak tego zataić iż się obawiam, że moje życzenie omylonóm zostanie. Powiem nawet i więcój: albowiem wiem to z pewnością, że to szaleństwo nie będzie mogło na żaden sposób, nie powiem być uwieńczonóm koroną I skutku, boby to była nieprawda, ale ubranóm być w ową czapkę uszatą z dzwonekami, którą macie gotową dla niego. Wiem o tem pewnie i powiadam dlatego, ażebyście w tój komedyi nie zapędzili się tak daleko, zkąd powrót do rozumu i-obowiązków byłby zanadto kosztownym.

– Fi! to nieżarty! – rzecze na to Sieniawski – zrazu obawa, J potem już pewność, a nareszcie i groźba. – Obawy tój nie dzielimy, groźby się nie boimy, ale przecież byłoby nam przyjemnie wiedzióc, zkąd taka pewność? Bo żeś od tego momentu, w którym ci powiedziałem o moich względem Jerzego zamiarach, rozwinęła swą dyplomacją ze wszystkiój siły, że nie chcąc zrobić ofiary z twego kaprysu dla zapewnienia mi szczęścia na starość, wdałaś się w jakieś konszachty z Czartoryskim, Opolem, Wiśniowcem i Bóg nie wió z kim jeszcze, – że kuryery latają, listki biegają, baby się burzą i noszą plotki po całej Polsce, –o tem my wiemy. Ale to jeszcze wcale nie daje żadnej pewności, że się w naszym postanowieniu złamiemy. A wszakżeż wszystko mamy w swych rękach: jest pan niłody i panna młoda, jest nasza wola po temu, – a ksiądz niedaleko!

– Ksiądz niedaleko, to prawda, – odpowiedziała na to het-

łanowa z ironią, – ale pan młody jeszcze niema kuntusza w któ- rymby mógł iść z Sieniawską do ślubu. Sieniawski, hetman wielki koronny i kasztelan krakowski, lubo mu przyszedł szalony kaprys do głowy, przecież tego nie zniesie, ażeby jego córka jedyna przed ołtarzem ukłękła z stolnikowiczem krakowskim, a generałem jego własnoj milicyi. Jeszcześ ty twojej buławy wielkiej w ręce Rzewuskiego nie złożył, jeszcze Rzewuski swej małej twemu zięciowi nie oddał, a jeszcze nawet kwestya to wielka, czyli król na te facyendy zezwoli. A nadto wszystko jeszcze być może i kwestya o to, czyli przy rządach dzisiejszych konfederackich i ty i Rzewuski będziecie mieli na co facyendować ze sobą? – Zanim się tedyl jakiś kontusz do ślubu dla pana młodego uszyje, jeszcze ty się rozmyślisz, a już ja sobie tę łaskę u Pana Boga uproszę, że do rozumu powrócisz. Do tego czasu bowiem dowiesz się o tem* co to po całej Polsce o tój szaleństwie gadają* Przekonasz się także, że ani cię naród podeptał tak bardzo, jak ci się w twojem Usposobieniu kapryśnem wydaje, ani cię król odepchnął od siebie, ani cię nawet przyjaciele rzucili. Więc kiedy' obaczysz nareszcie, że narodowa ani się śni teraz o tobie, że król o tobie pamięta jeszcze daleko lepiej niż kiedykolwiek, a przyjaciele tak samo cię poważają jak zawsze, – kiedy się po dawnemu poczujesz w sobie i staniesz znowu na własnych nogach, – to wtedy prędko ci te śledzienne fantazyje wylecą z głowy i sam się sobie nie będziesz niógł dosyć wydziwić, jakeś mógł upaść tak nisko, ażeby * swoją córkę jedyną użyć na miejsce plastru na urojone swe rany i dla tej córki szukać zięcia po kordegardach milicyi 1 – Bawisz się, mój hetmanie, Ożarowskim tak samo, jak się bawisz czasem twemi karłami. Większą miałeś zgryzotę, większego wybrałeś karła. Ale pamiętaj o tój, że taki karzeł na psie nie odjedzie, kiedy cię Wreszcie unudzi. Pamiętaj zresztą i o tem, że Ożarowski jest ze Wszech miar zacnym i szlachetnym młodzieńcem, że jest człowiekiem który ma serce i czucie, że jest nareszcie szlachcicem', czy^ jącym żywo obrazę, jak wszyscy, – a z takim człowiekiem tak lekkomyślna zabawka nietylko jest grzechem śmiertelnym w obec &oga i ludzi, ale jeszcze na końcu – może cię drogo kosztować!

To rzekłszy z wielką powagą i pogroziwszy palcem mężowi, Wyszła hetmanowa z altany.

Po jej odejściu hetman jak gdyby ze snu się zbudził i rzekł do córki:

– Bardzo rozumną masz matkę, Zosiętko, szkoda tylko, że jest kobietą. Kobioty nie mogą nigdy żyć bez nadziei, a jeśli nie mają jój na czóm oprzóc, to jakieś sztuczne tworzą dla niój oparcie. Ztąd tój ich rozum zawsze taki zawodny i z samego rozumu tyle niedorzeczności

Poczóm umilkł i siedział prawie bez myśli. Ale tymczasem Zosia coś bardzo pilnie przewracała w swej główce, a wpatrzywszy się swemi dużemi oczami w jeden punkt "nieruchomie, zdawała

się tonąc w jakichś wnioskach albo marzeniach. Obaczywszy ją tak zamyśloną, zapytał hetman:

– Cóż ty tak myślisz, kochanie?

– Prawdziwe to jest nieszczęście, – odpowiedziała Zosia wciąż w zamyśleniu, – że ojciec nie zrobił go generałem zaraz z początku. Potóm na zjeździe warszawskim można mu było wyrobić z łatwością czy obozieństwo czy mięcznikowstwo, czy jakibądź urząd koronny – i teraz byłoby wszystko już dobrze. A tak

'– Ale nie frasuj-no się o to, dziecino, – rzekł na to hetman, – ja dla siebie już nic nie wyrobię,, ale dla Ożarowskiego, któremu ojca zabili Sasi, a który ■ potóm tyle ran poniósł w walce z konfederacją, co mi się przyśni, to zrobię.

– To prawda! prawda! – zawołała Zosia z radością, – jemu król nic nie może odmówić, a zwłaszcza..... A! ale co się tam teraz z nim dzieje!' On wyleciał ztąd jak szalony. Niech ojciec poszle kogo do niego!

To mówiąc, wzięła ojca pod rękę i wyprowadziła z ogrodu.

Był to późny już wieczór. Na zamku brzeżańskim już wszystko światło pogasło, – starożytne, zczerniałe murzyska zaległa cisza grobowa, pokrzepiający sen objął wszystkich w swoje żelazne ramiona, – i nawet straże, porozstawiane po krużgankach i murach, powtarzając coraz to ciszej wywoływane hasła, powsuwały się w ciasne swoich strażnic, schronienia i umilkły nareszcie. – Przebiegła północ, przelatując powietrzem i niosąc w jednej ręce zagaszoną pochodnię, a w drugiej róg obfitości napełniony zacząro- Wanemi kwiatami, zbióranemi w oryencie, trąciła połą swój czarnej szaty o szczyty dachów zamkowych, poruszyła zógary, zbudziła duchy – i poleciała dalej na zachód. Dotknięty usypiającym jój szat powiewem, cały zamek w jeden gład się zamienił, nieruchoma go na wskroś przyjęła martwota i stał się jako owe niedostępne nikomu królów egipskich grobowce, które z całym błyszczącym dawnego życia zasobem, od niedotkniętych pamięcią wieków spoczywają w objęciach śmierci.

Ale czy wszyscy śpią takim snem nieruchomym w tym chwilowym grobowcu? T>leż to szczęścia mieszka w tych murach, tyle spokoju w sercach, taka pewność dnia jutrzejszego w sumieniach, że ani jedna dusza, budzona trwogą o przyszłość, nie czuwa nad nią i w nocy?... Oh! przecież nie! Posnęli ci, którzy nie umieją dnia stworzyć dla ducha, kiedy się skończył dla ciała, posnęli drudzy, co uznawszy siebie za małoletnich, zdali troskę o swoje losy na swoich ojców przybranych, pogasili nareszcie światła i tamci, którzy ufni w swoje bogactwa i wyniosłe godności, w nich pragnęli mieć tarczę przeciw złym losom, ale ja wiem komnatę, w której światło

jeszcze nie zgasło, a sen, zgromiony pracującą myślą człowieka, opuścił swoje skrzydła tęczowe, uciekł i schował się w oddalonych ciemnościach. I musiał uciec, – albowiem między temi ścianami duch ludzki, przygnieciony zagadką życia, zacieka się w jój głębiny, szamoce się, walczy, kipi i pryska, ażeby się przebić pomiędzy prądy, zatoki i skały i na spokojne wypłynąć morze.

Tam serce ludzkie, darte żądzami wielkości, zasługi, sławy, a zakłęte miłością i wspomnieniami młodości, kuszone blaskiem wiekopomnego posągu w szczęściu, a trwożone ohydą Vzgardy w upadku, drze się na dwoje i pęka, nie wiedząc samo na którą ma się przechylić stronę. Ten tułacz ziemski, który dopióro co wzmógł się na siłach i opatrzony w potrzebne do dalekiej podróży skarby, wyruszył w drogę, zbłąkał się w puszczy straszliwej i nagle obaczył przed sobą dwie drogi, jedną wymurowaną szeroko, wiodącą w górę wyniosłą, na której wyobraźnia maluje wspaniałe mury i miasta, kąpiące się w jasnych promieniach słońca – a drugą wąską i niską, kręcącą się skromnie po zielonej murawie, lecz w żywych oczach otoczoną najpiękniejszymi krzewami i kwieciem. Obaczywszy te drogi, stanął – a w jego r sercu straszliwa obudziła się walka. Chciałby i tamtą pójść drogą i dobyć owe miasta wspaniałe – i tejby nie chciał porzucić, na której widzi tyle spokoju, zieloności i woni. Tak rozdarty na dwoje, nie wió co począc, – tu go rwie serce, tam rozum, – tu tęsknota i miłość, tam żądza nieśmiertelnych zdobyczy, – a tu tymczasem za nim ciemna noc pędzi na stokonnym rydwaniu, zwierż żarłoczny poryka, burza się zrywa łamiąc gałęzie, druzgocąc drzewa i całe pnie wrywając z korzeniem, pioruny biją, ognie się wznoszą i żrący płomień już go prawie dosięga. Jeszcze jedna chwileczka – a srogi żywioł, koniecznością niesiony, już go dosięgnie i porwie ze sobą bez jego woli i poniesie kto wió którądy – a wszędzie jak rzecz nieruchomą, bez żadnej za to zasługi i bez nadziei nagrody!

I gdzieżto jest ta komnata, w której tak późną nocą, wśród takiej ciszy dokoła, tak dziwne dzieją się rzeczy? – Jest to komnata, Jerzego. Wysoka, wielka, wysklepiona u góry i ciemna jako izba klasztorna. A i w dzień musi tu bywać pochmurno, bo tylko dwa wąskie gotyckie okna patrzą przez kraty żelazne na kościół i główną bramę zamkową. Pomiedzy oknami stoi klęcznik obszerny szerokim okryty kobiercem, nad nim na ścianie wisi obraz Matki Najświętszej, a przed obrazem, w kagańcu z drutu, płonie lampka oliwna. Słaba ta lampka, tylko widoczny symbol wiecznie płonącej miłością dla tój niebieskiej patronki, skąpe rozrzuca światła po obszernój komnacie, tylko jój środek jest oświetlony cokolwiek, odległe kąty toną w pochmurnój ciemności. Ale właśnie na środku stoi żołnierz, ostatni żołnierz czuwający na zamku.

Tak stał jeszcze przed chwilą, pięść zaciśnioną trzymał u czoła i patrzył nieruchomemi oczyma przed siebie. Jego twarz była czerwona, krwi pełną, usta gorączką spieczone i do połowy otwarte,.

Włosy wzburzone, mundur na piersiach rozdarty, a cała postać tak silnie zebrana, ściśniona w sobie, że zdało się, jakoby tak Zdrewniał w swojej bolesti i płonął ogniem powolnym, i miał się W węgiel zamienić, albo w popiół rozsypać powoli. Tak silny duch jego zestrzeliwszy wszystkie promienie swoje w jedno ognisko, ścisnął swoją mocą wszechwładną posłuszne ciało. Wszakże teraz się zatrząsł, uderzył silnie nogą w posadzkę i krzyknął:

– Precz! precz odemnie, szatanie! Za skarby całego świata, za nieśmiertelność na ziemi, nie będę dźwigał dłużej tój strasznoój klątwy na sobie! Jestem zdrów jak zwierz dziki, silny jak olbrzym, dziś mogę ruszać, jutro się bić i zwyciężać! Precz! precz ty pokuso odemnie! – Po tych słowach odetchnął z głębokiój piersi, zbliżył się ku ścianie i siadł w miękkie krzesło, złożoną obite skórą. Tak siedząc, nogę wyciągnął przed siebie, rozplomienioną głowę oparł na dłoni i zdawał się wpadać w zamyślenie spokojne. Jakoż istotnie teraz więcój pracował rozognioną głową, niżeli uspo-kojonóm cokolwiek sercem, przyczem wszakże rozkołysana wyobraźnia dziwnie łudzące mu przynosiła obrazy.

– Oh! czemuż jest człowiek na tój nieszczęsnoój ziemi! – mówił on głosem bolejącym do siebie, – czemu jego duch nieśmiertelny w tóm niemowłecem spowiciu! Duch ten tak wielki, silny, wielmożny, jakżeż on gęstą sióć kajdan dźwiga tutaj na sobie! Jak każda chwila ważniejsza z przyszłości ciąży na nim nieznośnie! Jakis marny szął wzburzonego serca za młodu, jedno ściśnięcie ręki w zapale, jedna garsteczka złota nieopatrznie przyjęta, jedna krwi kropla niepotrzebnie wylana, jedno słowo przebrzmiałe w powietrzu, – wszystko to zmienia się w kule żelazne, które na ciężkich łańcuchach się na nim wieszają, ciągną go, szarpią, przypinają do ziemi i z orła mogącego polecieć w słońce, czynią go płazem, muszącym wić się przez całe życie na ziemi. W tak ciężkiój zależności od krwi twego ciała, od ust łaknących żywności i trwożonego każdem wspomnieniem sumienia, w takiój niewoli serca, rozbryzgującego się w miłości, wdzięczności, nienawiści i tysiącu innych uczuć drobnutkich, – duchu człowieczy! gdzież twoja wolność, wszechwładna siła i niezwalczona potęga?... Ty ją masz, – aleś ją oddał w zastaw na ziemskie życie. Tyś ją dał w zastaw – i stałeś się marnóm stworzeniem, pełzającym po ziemi i przeznaczonóm tak pełzać aż do dnia wyjścia z niewoli. Napróžno tóż ty spoglądasz w górę, gdzie mieszka Wielkość, – możesz ją wi-dzióć, ale dosięgnąć – nie możesz. Bo tyś jest prochem tak powiązanym z prochami ziemi, że rozbrat z niemi jest niepodobnym dla ciebie. Oh! aby być wielkim, – trza sobie wydrzeć serce z pod żeber: aby być wielkim, trzeba to serce wznieść tak wysoko, ażeby jego światłem i ciepłem całe kraje ogarnąć, ale, ażeby go

* żaden śmiertelny własną nie dotknął ręką. A czy to można, jeżeli to serce już jest dotknięte? – Można!

Tu umilkł, oparł się plecyma o poręcz krzesła, milczał przez długą chwilę, a potem tak mówił dalej:

– Oh! gdybym to mógł, jakże wielkich dokazałbym rzeczy? Takie włości obszorne jak całe kraje, tyle w nich ludzi, tyle miast, zamków obronnych i złota, – to cały świat! Gdybym to wszystko miał w moich rękach, gdzież jest natenczas ten człowiek, któryby się śmiał oprzeć moim zarftiarom? gdzie ta potęga, którąbym nie przełamał? gdzie ta skalista zaporą, którąbym nie przekuł powoli? Tu mocą cudowną prawdy i pocziwego serca zapalem, tam siłą rozumu i złota, a kiedyindziej tą cierpliwością, której wzór Ty nam dałeś, o Boże! – musiałbym wreszcie dobiec do celu!—^Z początku... miałbym do przewalczenia niemało przeszkód. Niedołę- gąbym był, nie mężem, gdybym z takich cnót wielkich nie potrafił skutecznie korzystać. A uderzając za każdym krokiem w te dźwięczne struny i postępując pod ich' stalowym puklerzem do celu, czyż mógłbym mieć kogo więcej przeciwko sobie, oprócz jednego szatana? Bo szatan tylko mógłby spoglądać z zawiścią na to, gdybym szkółki zakładał, szkoły podnosił, akademie fundował i szó- rzył zamiłowanie nauk i pracy. Któżby mi się stawił oporem, je- żelibym miasta podnosił, rękodziela wspomagał, kształcił rzemiosła i ruchliwemu handlowi, owemu głównemu tętnu pracą zaprzątnio- nego życia, nowe otwierał kierunki? Któżby mi wreszcie sam nie przyszedł z pomocą, jeżelibym wiejskich kapłanów do skrzętnój zachęcał pracy, prawników budził ku rozmyślaniu nad ich nauką. O! nie! takim zamiarom niktby się nie śmiał przeciwzić, – taką pocziwą pracę musieliby wszyscy wspomagać! Gdzie dzisiaj dymne snują się chaty, a głód i nędza wespół z niewolą wspaniałą twarz wolnego człowieka jak płaz plugawy przycisnęła do ziemi, tamby pozasiadały wsie zaludnione, dostatnie, możliwe, człowiek swobodny jadłby swobodnie swój chłób codzienny, a pod zasłoną wojska i prawa będąc bezpiecznym owoców swojego trudu, orałby swoją skibę z pieśnią nadziei na ustach. Wygnane na wieki wieków owe pieśni rozdierające serce, z ruin i zgliszczy wykwitłel, owe dumy żałobne i krwawe, które do dziś dnia jeszcze płaczą za dusze i jeńców tatarskich! zapomniane na zawsze wszystkie inne modlitwy oprócz dziękczynnych! bo tylko starzec bezzębny otoczony dziatwą pyzatą na przyzbie chowałby jeszcze wspomnienia przecierpianój niedoli w bajkach swych! – Gdzie dzisiaj nędzne, ubogie miasta, jak gromady grzybów błotnistych, poprzysiadały do ziemi, domy się wałą, a między ich dziurawymi ścianami niezaradne lenistwo kiśnie w kałuży zgłodniałego ubóstwa, tamby się białe wyciągnęły ulice, w parządnie zabudowanych domach nie- spracowane wciążby szemrały warsztaty, sklepy pełne towarów, wozy ładowne przed niemi, widać ruch, pracę, życie, a grosz przyplęwa strugami, do najciaśniejszych się dociskając izdebek.

Wieczorem dziatwa wraca ze szkoły i zamiast tarzać się \y prochu ulicznym, albo z hałasem okrążyć szlachty przyjezdnoj

landary, bieży z pośpiechem do domu, gdzie ich rodzina z gotową oczekuje wieczerzą, słuszną za przyszłość nagrodą. Siada do stołu także i syn najstarszy, już ksiądz, już żołnierz, albo na własną rękę rzeźnik, – a mały żak szkolny patrzy na niego z podziwem i widzi w nim własną przyszłość przed sobą. – Gdzie dziś po dworach szlacheckich jegomość siedzi z biesiadnikami za stołem, wysusza kufle i dzbany, każe przygrywać kapeli i puszcza się w płąsy na dziwowisko gawiedzi, – gdzie potem z głową dymiącą dosiada konia, ażeby zajazd zrobić na brata, lub na sejmiku poburmistrzo- Wać do woli, albo nareszcie i szabli dobyć w obec przynajświęt- szego obrazu, zgoła gdzie dzisiaj w nieprzedartój ciemnicy rycerska chrobrość zamieniła się z zaściankowe junactwo, wesołość życia w pijaństwo i biesiadnictwo, tamby nanowo zasiadła poważna skromność i owe wszystkie nieporównane cnoty, które tutaj już dawniej mieszkały. Mruczałby może starzec na niepojęte przez siebie nowinki, a lecąc pamięcią w czasy swojej burzliwój młodości, gdórałby na myśląc powagę młodzieży; ale przecież nakoniec, ^rzawszy jednego syna wracającego z pięknym zasobem nauki z akademii rodzinnój, drugiego sprawującego urząd ze sławą dla swojego imienia, trzeciego zajmującego piękny stopień wojskowy w armii, z daleko jeszcze piękniejszymi widokami na przyszłość, – przecieżby się uderzył w piersi i zawołał wesoło: Pan Bóg niech będzie pochwalony na wieki! Lepszych dożyliśmy czasów! – Tak znikają powoli wszystkie- zabijające skutki ciemnoty – a na ich miejsce osiada praca, wytrwałość, dzielność, miłość dla ■ prawdy i zgoła ład i porządek we wszystkich. Przy wzrastających siłach mnożą się środki, garną zasoby, wzrasta zamożność, gromadzi narodowe bogactwo, coraz potężniej się wzmaga i budzi coraz gorętszy zapał dla lepszój przyszłości we wszystkich warstwach narodu! Przejęte duchem wiary i dziejowój mądrości, szórzy się światło coraz dalej i dalej, a ogarniając sobą wszystkie miejsca, Wciska się w najciaśniejsze zakątki. Pod jego dobroczynnym promieniem gładzą i czyszczą się obyczaje, wzrastają cnoty, poprawiają się prawa, kształcą się rzędu zasady, sprawiedliwość przenika sądy. Takim wiedzione duchem roją się wsie ludem pobożnym, pracowitym i skrzętnym, rozszerzają się dalej i całkiem nowe powstają osady, wzrastają miasta pełne rękodziel i rzemiosł, twórczy przemysł otwiera coraz to nowe źródła bogactwa a zespoliwszy się z czynnym i przedsiębiorczym handlem, tworzy nowe dla siebie gościńce, zaludnia rzóki statkami, buduje porty po morskich brzegach i puszcza się okrętami na morze. Precz! głupie serce! że tam kochanka!... że miecznik jakiś!... że ów oszczerca!:... A gdybym przez całą wieczność miał dźwigać taki grzech na sumieniu! I gdybym potem Precz! precz odemnie! muszę rękę przyłożyć do tego dzieła! Muszę, –tu się świat zrodził w mej piersi, – który mnie pali, – serce mi wzdyma, – mózg mi rozpiera

Przy tych ostatnich słowach wpatrzył się w obraz wiszący na ścianie, wyciągnął rękę, podbiegł ku niemu i rzucił się przed nim na klęcznik...

I umilkł, drżąc tylko na całym ciele i chyląc się coraz niżój ku ziemi.

Za chwilę potem lampka oliwna zagasła – a wśród ciemności cisza zaległa komnatę...

Ale jemu się zdało, jakoby było jasno koło niego. I widział jawnie, że się znajduje w kościele, w którym po obu stronach przy ścianach stały szeregiem marmurowe grobowce Sieniawskich: grobowce czarne, czerwone i białe, a na ich wiekach wspaniałe, wzniosłe, wciąż przejmujące posągi. Ten kościół zna on jak swoją własną komnatę; ale tak jeszcze go nigdy nie widział. Albowiem teraz noc była, a od rotundy sklepienia spuszczał się siedmio-ramienny kaganiec, który silnie czerwone rzucając światło, napełniał kościół jakąś atmosferą nieziemską. Wspaniałe to były blaski, ale groźne zarazem, – jasne to światło, ale gorące, odurzające, piekielne. I była cisza jeszcze w tój chwili, – ale czuć było w tej ciszy jakoby szmer jakiś podziemny, jakąś woń zagrobową, jakby poprzedzającą zbliżanie się duchów oddawna niemieszkających na ziemi. Jerzy to czuł i był pełen przerażającej trwogi. Wiedział on o tem, iż przyszedł tutaj, ażeby uklęknąć przed ołtarzem ze- Zosią – ale teraz dopióro przeczuł, jacy to goście weselni mają być na tój uroczystości przytomni! Jakoż istotnie za małą chwilę silny wicher zawiał przez kościół, zadrżały marmurowe grobowce, a na środku kościoła z&częli się jawić starożytni rycerze, starcy poważni w deliach, młodzieńcy w strojach hiszpańskich, francuz- kich, włoskich, matrony w sztywnych robronach, niewiasty młode w aksamitnych kaftanach, długich sukniach jedwabnych i czubach. Widok tych twarzy na pozór żywych a przecież tak śmiertelnie wybladłych, tych oczu niby błyszczących, ale jakimiś dziwnie straszonymi blaskami, tych całych postaci zresztą ruszających się, stąpających po ziemi, a przecież jakoby bez krwi i ciała, przejął go takióm drżeniem wewnętrznem, że się zachwiał na nogach, rękę do czoła przyłożył i sam nie wiedział, ma-li iść naprzód, albo we drzwi uderzyć i zniknąć. Już tam pomiędzy tymi weselnikami z za grobów stała cała rodzina Sieniawskich* już hetman sam kłaniał mu się z ich środka i ręką zapraszał ku sobie, już Zosia stała u jego boku wystrojona w kwiaty i kwefy weselne, już nawet ołtarz rozplonął światłami, biskup stał przy ołtarzu i z chóru odezwały się w kilka tonów organy – a on jeszcze się wahał i chwiał się, patrząc przed siebie grozą napełnionemi oczyma. Nareszcie wstrząsł sję, zrobił krok jeden i drugi, – lecz nagle stanął. Jakiś przedmiot uderzył go z boku tak silnie, że się musiał zatrzymać. Obrócił się ku tój stronie, przypatrzył się bliżój – i dziwnk rzecz, co tam obaczył. Ściana kościoła z tój strony całkowicie wypadła i było widać w tóm miejscu ogromną przestrzeń, nikoną

W dali. Przestrzeń ta była zalana jakoby mgłą przedświtową, czuć było rześwe poranne powietrze, a wdali niebo się rumieniło, jakoby pochód jakiegoś wojska, jakby zalatujący zdaleka szcęk broni, parskanie koni, wianie sztandarów w powietrzu. Jerzy rozpatrzył się jeszcze lepiój – i ujrzał najpiórw występujące dwie jaknajlepiój sobie znajome postacie. Był-to rotmistrz Piotr Wiszowaty i jego nieodstępny przyjaciel, tak zwany Murża tatarski. Obadwa mieli burki kudłate na sobie, czapki konfederackie na głowach i szabliska u boku, – byli widocznie zmęczeni i uznojeni, jakoby po jakimś trudzie najcięższym, ale stali tak prosto i sztywnie, jakoby także dopiero co zestąpili z grobów. Jednakże oba- czywszy Jerzego oczy obrócone ku sobie, podnieśli razem swoje prawice, grożąc mu niemi po kilka razy w powietrzu. Widząc to, Jerzy zadrżał i osłupiał na chwilę, – ale wtóm rotmistrz zaprzestał grozić, a wtomiast wskazał mu ręką we mgłę. Jerzy poszedł oczyma za jego ręką – i jeszcze daleko dziwniejszą rzecz tam obkczył. Albowiem już się te mgły poranne przeredziły cokolwiek, a z nich wystąpił cały pułk Sodalisów, zbity w silny czworobok i ubrany tak, jakby był gotów do marszu. Nad błyszczą- cemi bagnetami szeregów powiewał sztandar z obrazem Matki Najświętszój –a przed frontem stał koń osiodłany, którego za cugle trzymał sam własną ręką Połówka. Widok ten, na którego ostatnióm tle coraz jaśniej rumieniło się niebo, obiecując za lada chwilę wschód słońca, tak pochwycił młodzieńca za serce, że już się rzucił ku niemu i zrobił jeden krok naprzód, – ale w ten moment znów się zatrzymał. Zdawało się, jakby go owe czerwone światło zawiąło, odurzyło mu zmysły i zamieniło go w posąg kamienny. Jednakże właśnie w tej chwili Połówka z koniem ustąpił Ha bok, pułk Sodalisów rozpruł się środkiem na dwie połowy i otworzył jakoby szpaler przejrzysty. Jerzy spojrzał w ten szpaler i obaczył tam dwie całkiem nowe postacie. Mąż jakiś dosyć sędziwy prowadził za rękę jakąś postać niewieścią i postępował Wolnym krokiem ku niemu. Mąż ten miał kontusz i żupan na sobie jak wszyscy, ale twarz miał dziwnie zapadłą i wynędzniałą, a do tego ranę otwartą w piersi, z której krew się lała strumieniem, brocząc czerwonymi plamami jego poważne szaty. Niewiasta była ubrana w bieli i miała wieniec zielony na głowie: cyprys czy mirty? nie można było rozpoznać.

Była wszakże tak piękną i tak błyszcząca w całej pełni rozkwitłą, zachwycającą urodą, że mogła raczój samę śmierć zbudzić i powrócić, do życia, niżeli wnosić na ziemię chociażby tylko wspomnienie grobów. Tak szli oboje wprost na Jerzego – a kiedy starzec wyciągnął rękę ku niemu, jakoby mu chciał podać szka- plerzyk, który w niój trzymał, – mgły się już całkiem rozstały nad nimi i słońce wzejszło na niebie, rozsypując całe bogactwo swych blasków po ziemi... Obaczywszy te dwie postacie w promieniach słońca, poznał je Jerzy natychmiast: był to jego ojciec

nieboszczyk i zapomniana przez niego Kostusia. Jakoż, jak gdyby jakaś nadziemska siła nim zawładnęła, rzucił się zaraz ku nim, pochwycił szkaplerz ojcowski i upadł w jego objęcia...

I rzucił się tak gwałtownie i silnie, że te wszystkie straszliwe widzenia zniknęły nagle z przed jego oczu, jak gdyby się w ziemię zapadły – a on stał na środku komnaty, był tak samo ubrany jak wczoraj, tylko w swój rękę, konwulsyjnie ściśniętej, trzymał swój własny, zawsze na piersiach noszony szkaplerzyk. Rozejrzył się koło siebie, –była to jego własna komnata, dzień już był wielki, a jasne słońce grzało w obadwa okna tak skwarnie, jak gdyby już było gdzieś niedaleko południa. Jednakże nim się otrzeźwił zupełnie i mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo przez całą noc, – ujrzał przed sobą swego wiernego Połówkę, który przed małą chwilką wbiegł do komnaty, zatrzymał się niedaleko odedrzwi i patrzył na niego dziwnie wystraszonemi oczyma.

– Czego ty chcesz, mój Połówko? – zapytał Jerzy.

– Panie generale! – rzekł tenże, – co panu? wmpa spałeś przez c?Jy ranek pod obrazem Matki Najświętszej, a teraz się zerwałeś tak nagle, jak gdyby cię żmija ujadła?

• – Na ziemi spałem? – powtórzył Jerzy, przykładając rękę do czoła i zamyślając się nad tó.

– Ot! szkoda gęby! – odpowiedział Polewko, – juźci na ziemi, Ale to jeszcze nic. Bo ja tu siedziałem przez całą noc' w antykamerze i patrzyłem na wmpana przez szklane drzwi. Słyszałem tóż prawie każde słóweczko, coś jegomość rozmawiał ze sobą. Pan Bóg łaskaw na wmpana, że tego nikt inny nie słyszał, bo i kto wie, coby juź o tem gadano. Aleć ja to rozumiem. Jakieś pokusy przyszły na wmpana – a z tem to i trudno się nie rozmówić. I rozmówić się z niemi, to mniejsza: aleć to zawsze potóm zwykła przychodzi choroba. Jegomość chory jesteś, mój generale.

– Chory – powtórzył Jerzy, patrząc z uwagą na porucznika; ale w ten moment odszedł od niego i zaczął się przechodzić w zamyśleniu po izbie. Poczem wszakże znowu przystąpił do niego i mówił:

– Tak, rzeczywiście, ty masz słuszność, Polewko. Ja jestem chory istotnie. Ale czy wiesz ty, jak się ta choroba nazywa? Ona nazywa się: młodość. Młodość krwi i fantazyi, serca żywego młodość, młodość gorącej duszy, która wre, kipi i pryska i chciałaby lecióć na pola, ale się z więzów wyrwać nie może! Oh! ileż ja się nie namęczyłem z sobą, ażeby tę młodość burzliwą okiełznać ażeby spokój uzyskać.... spokój ów jasny, pogodny i niczem nie- zamacony, który się umie podnieść nad wszystkie burze, silną dłonią je ująć, do milczenia zniewolić i przejść przez nie nianaruszony, jak dobry okręt przez morze! Ale napróżno, mój kochany Polewko, napróżno! Młodość to jest straszna choroba! Nie umiera się na "nią, ale nim ona minie, jest się szkaradnym kaleką!

Polewka słuchał go z wielką uwagą, ale zarazem i z grozą. Przemowa ta jakąś dziwną mu się zdawała. Myślał już rozmaicie o Jerzym, lecz milczał.

Tymczasem Jerzy znowu przystąpił do niego i rzekł:

- Cóż tam jeszcze, Połówko?
- A cóżby? nic. Chyba to, że od wczoraj wieczora plotki chodzą po zamku.
- Jakież-to plotki?
- Powiadają że wmpan jesteś z jmc hetmanówną po słowie.

Na te słowa cofnął się Jerzy o krok od Połówki; ale rzekł zaraz surowo*

- Głupcy są, którzy to powiadają! Kto może coś wiedzieć o tóm bezemnie?
- Mówią tak, – dodał odważnie Polewka, – że hetman chce żenić wmpana z swą córką...

– Że on mnie chce żenić! – zawołał Jerzy, – a cóż to ja jestem? fant, czy niewolnik, czy sługa?

– Ja też także tak myślę – odpowiedział porucznik, – na co to wmpanu? Nie służy tu jegomości na zamku. A potem, na co to jegomości tej łaski? Łaska, to ciężar na całe życie. Kto ma dwadzieścia i parę lat i już jest generałem, jużci ten będzie sam kiedyś hetmanem, a wtedy prędzój sam komu łaskę wyrządzi, ni- żeliby jój miał potrzebować. – Wprawdzie kto ma złota wiele, ten może i zasług mieć wiele; ale Bogiem a prawdą, to zawsze lepsza jest mniejsza zasługa a taka, która za sobą prowadzi złoto, niżeli większa a taka, która się wlecze za złotem...

– Bardzo rozumnie mówisz, mój stary, – rzekł na to Jerzy, patrząc w oczy Połówce, – ale teraz idź sobie, zostaw mnie w samotności i powiedz, aby tu nie wpuszczano nikogo.

- Jeszcze jest jedna nowina, – powiedział Polewka, – mamy gości na zamku.
- Gości? któż to przyjechał?

X– Właśnie co zajechali przed chwilę jw. Denhoff z jw. Rzewuskim.

• – Denhoff przyjechał! – zawołał Jerzy, odskakując na cały krok od Połówki.

– Jużci przyjechał – i z wielkim dworem. Siedem powozów ma z sobą, pięćset szabel samój rajtary i całą sotnię kozaków. Otóż z jego przyjazdem rozeszła się zaraz po zamku wieść, jakoby pomiędzy wmpanami dopiero teraz miała się począć wojna na piękne.

– Denhoff przyjechał! – zawołał Jerzy powtórnie, to nabiegając krwią cały, to bledniejąc z kolei. – Denhoff przyjechał! cha! cha! cha! mój Polewko! Jego szatan tu przyniósł w tój chwili. Szatan mi go oddaje do ręki, ażebym pomstę wziął nad nim za tę ranę piekielną, którą mi zadał przed 'laty! Ażebym pomstę Wziął nad nim za siebie, za ojca mego. Cichoż mi teraz, Polewko!

Nic nie powiadaj nikomu, tylko otwórz oczy i patrz, bo czegoś jeszcze nigdy nie widział, to teraz obaczysz! Widziałeś, jak on tu przyjechał: patrzajże teraz, jak będzie odjeżdżał. Ale tymczasem cicho! Idź do żołnierzy i nakaż im, ażeby żadnych a żadnych plotek nie nosili po zamku! Z denhoffowskimi żadną a żadnej relacji! Czas niech będzie jak w grobie... a teraz idź i czuwaj nad nią przez dzień i noc.

Ale Połówka mimo to jeszcze nie odszedł.

– I czegoś jeszcze? – zapytał Jerzy po chwili.

– Myślę tak sobie, – rzekł na to przebiegły wiarus, – że dziwnie-to miła jest rzecz dostać takiego szelmę pomiędzy palce, który nam niegdy doskwierzył ale...

– Ale co? – spytał Jerzy, patrząc na niego bez myśli.

– Ale na co to jegomości? Zemsta, niekatolickie to jest rzemiosło.

Przeszedł się Jerzy kilkakrotnie w zamyśleniu po izbie i rzekł:

– Niekatolickie, mówisz?

– Jużci niekatolickie. A zresztą nie wiem, ale ks. Andrzej będzie o tem wiedział najlepiej. Prosił mnie też ks. Andrzej, kiedym tu szedł, ażebym go zameldował panu generałowi. Czy iść po niego?

Połówka wyszedł – a za małą chwileczkę wszedł ks. Andrzej do komnaty Jerzego. Wszedł on z wielkim pośpiechem, – widać że już był uprzedzony o wszystkim, – przystąpił wprost do Jerzego, ujął go za klapę munduru i popatrzył mu w oczy. Jak tylko Jerzy spotkał się z jego wzrokiem, tak pełnym miłości i niebieskiego prawie spokoju, chociaż dość ożywionym w tój chwili, zaraz mu twarz złagodniała, a nawet uśmiech się na niój pojawił.

– Ach! mój Jędrusiu! – rzekł on do swego przyjaciela, – jakże mi ciebie w tój chwili potrzeba!

– Ja to widzę, – rzekł na to kapłan, – że mnie tutaj potrzeba, jakoż mam w Bogu nadzieję, że ci się stanę usłużnym. Ale nim przystąpimy do rzeczy, pozwól mnie, panie Jerzy, abym cię o coś zapytał. Wiem o tóym, że przez całą noc spałeś pod obrazem Matki Najświętszej: ale kiedyś się zbudził, czyś odmówił modlitwy?

– Nie jeszcze, – odpowiedział mu Jerzy, ale odmówimy je teraz.

– To proszę ciebie,, klękniemy zaraz, bo bez tego niepodobna nam będzie rozmowa.

To rzekłszy, ukłękli obadwa razem na obszórnym klęczniku i zaczęli odmawiać swoje zwyczajne do Matki Najświętszój modlitwy.

Tymczasem, kiedy w komnacie Jerzego, w niezamąconój ciszy, burzliwa młodość klęczała w pokorze przed Bogiem, – na całym zamku brzeżańskim panował ruch niezwyčajny. Denhoff z Rzewuskim zajechali tak hucznie i ludno, takim hałasem, roz- gwarem i brzękiem napełnili mury zamkowe, że ta poważną, starożytną siedzibą, która w ostatnich czasach prawie w klasztorną zapadła ciszę, obudziła się nowera życiem w najodleglejszych zakątkach. Cieszył się hetman, cieszyła się hetmanowa, cieszył się z nimi dwór cały, że przecież się ktoś zlitował nad nimi, ocucił ich z pleśniejacój martwoty i choć na chwilę dawne, wesołe przywrócił czasy.

Jakoż istotnie hetman, który już myślał, że opuszczony i pogardzony przez swoich przyjaciół najbliższych, będzie musiał w pokutniczej żałobie dokwasić resztek swojego życia, kiedy obaczył nagle tak świetnych i znamienitych gości na zamku, prawie się nie mógł posiąść z radości. Wybiegł sam przeciw nim aż na "Wschody, ścisnął, całował i mówił im bez ogródki: •

– Ale sam Cicero tegoby nie potrafił powiedzieć, ile wam Wdzięczny jestem za tę braterską łaskę! Będę waszym dłużnikiem przez całe życie! Umiórać będę a niezapomnę, jakieście na mnie byli łaskawi w dniach mojoj niewoli.

Słyszac to, hetmanowa była uradowana jeszcze tem więcej, ^a niemniój także byli uradowani i goście, którzy tóż nie oszczędzili uścisków wymowy i najserdeczniejszych oświadczeń, ażeby Utrzymać hetmana w jaknajlepszym humorze.

Wszakże nie dosyc na tórn, – przywieźli oni bowiem ze sobą

nowiny, które go miały jeszcze daleko więcej ucieszyć. I tak naj- J piórwój oddał mu Denhoff list własnoręczny od króla, list, który, a już hetman trzymał w swych rękach, a jeszcze mu nie mógł uwie- rzyć, bo czytał przecież na własne oczy, jak król się skarży przed nim na te nieszczęścia, które zatrzęsły spokojem kraju, przyprą-] wiły go o stratę tylu walecznych ludzi i jego przyjaciółom najlepszym tyle przynosiły zgryzoty. Dalej boleje monarcha sercem najtkliwszóm nad niewolą samego hetmana, nad krzywdą do nieba wołającą o pomstę, którą mu wyrządzono i wyraża przytóm nadzieję, że takie zbrodnie przecież nie ujdą bezkarnie. W każdym zaś razie prosi hetmana o cierpliwość i rezygnacyą do czasu, daje mu pewną otuchę, że ta anarchia już długo potrwać nie może, jakoż go prosi nareszcie, aby się nie poddawał zgryzotom, utrzymywał przy siłach i był w pogotowiu do wkładania napowróć na swoje barki tych obowiązków, których wiedziony wiernością dla tronu i miłością narodu tak znakomicie dopełniał dotychczas. Tak go poleca Bogu i mieni się jego życzliwym nazawsze.

Kiedy Sieniawski ten list odczytał, założył ręce przed siebie spojrzął na Denhoffa z rozczuleniem głębokióm, a łzy mu strumieniem się potoczyły po twarzy. Widząc łzy męża, rozplakała się także i hetmanowa, – i Denhoff także przytknął chusteczkę do oczu, – była to bowiem scena tak bardzo rozczulająca i tkliwa, że aż Rzewuski się od niój odwrócił, podszedł ku oknu i zaczął bębnić palcami po szybach. Dostrzegła tego pani Sieniawska i była tódm niepomału zgorszóną. Jakoż nie mogła tego przenieść na siebie, ażeby mu późniój w żartobliwej rozmowie nie wyrzuciła, dodając również żartobliwą uwagę, że jakkolwiekby, przecież w nim siedzi konfederat ukryty. Ale Rzewuski wziął to na sery o i rzekł:

. – Moja mościa pani! Ja już t^k wiele się napłakałem za tego króla nad nieszczęściami narodu, że ani jedniój łzy nie zostało mi w oczach dla jego listów.

Jednak otarłszy łzy, hetman jeszcze tem więcój był wesół, a lubo nad niezgłębioną dobrocią króla z wielką się rozszórzał powagą, widać to było pó nim, że tylko siłą się powstrzymuje od głośnych wybuchów radości. Tymczasem po owym liście oddanym, Denhoff zaczął składać Sieniawskiemu pokłony od wszystkich jego przyjaciół, a razem i stronników królewskich, zapewniając go o ich niezmiennej dla niego przyjaźni i opowiadając szeroko, jaka w tych kołach panowała żaloba podczas jego nieszczęścia, ' jak żywe się dla niego objawiało współczucie, ile to listów to z prośbą to z groźbą otrzymał natenczas ów niepoczciwy konfe- derački marszałek, który do tego stopnia się rozzuchwalił, że się nie wahał rzucić na osobistą ^Iność pierwszego w kraju .urzędnika i dygnitarza! Wszystkie fte wiadomości dziwnie łechtaly ;serce hetmana i dziwne tózn na/nim sprawiały po kolei wrażenie. Jednakże lubo raz wzdychał a drugi raz śmiał się, to łzy ociórał,

to znów brał w objęcia Denhoffa, w gruncie serca był rozradowany nad podziw i tak szczęśliwy, jak jeszcze nigdy w tym życiu. Przystąpiono nareszcie do postępów i działań konfederacyi – a lubo te nie były tego rodzaju, ażeby mogły stronników królewskich zbyt wielką napełnić radością, – jednak wymowny Denhoff umiał je tak Sieniawskiemu przedstawić, jakoby konfederacya już szybkim krokiem zbliżała się do końca, a koniec ten w żadnym razie nie mógł być innym, jak tylko zgodnym z wymaganiami partyi królewskiej. Ta ostatnia wiadomość, do której jednakże hetman w tój chwili daleko mniej przywiązywał znaczenia, niżeli się Denhoffowi zdawało, dopełniła nareszcie miary szczęścia dnia tego, który spadł na zamek brzeżański jak z nieba, odrazu wszystkie chmury rozpędził i napełnił go taką radością, jakiej już od wielu miesięcy nikt się tu nie spodziewał.

Tój radości tak się oddali wszyscy, że nieobecności dotychczas zawsze tak niezbędnego Jerzego nikt wcale nie czuł.

Jerzy wszedł na pokoje aż przed samym obiadem. Był on daleko bledszy w tej chwili niż kiedykolwiek, i widać było na nim jak gdyby jakieś zmartwienie, ale tych uczuć gwałtownych, tych żądz i pokus i namiętności, które dopióro co wrzały w jego wzburzonym sercu, nie pozostało na nim ni śladu. Owszem przeciwnie, objawił się w nim taki spokój stateczny i tak uroczyta powaga, że wszedłszy w grono osób unoszących się wesołością i gwarem, pomimo woli jakby im milczenie nakazał. Pośród tego milczenia hetman najpiórwszy zerwał się z miejsca, pobiegł ku niemu, ujął go raźnie za rękę i rzekł:

– Patrzaj-no, mój Jurciu kochany, ile my tu mamy pociechy! Moi przyjaciele mnie nawiedzili, król jegomość przysłał mi list z kondolencyą a i konfederacya ultimis spirat, jak mówią nasi kochani goście!

Jakie wrażenie sprawiła na Jerzym ta osobliwsza radość hetmana, nie trudno zgadnąć, jednak na szczęście jego przystąpili zaraz do niego Denhoff z Rzewuskim, a tak nie potrzebował się o to kłopotać, coby miał Sieniawskiemu powiedzieć. Jakoż zajęty szumem mnemi komplementami, któremi go obrzucił hetman polny litewski, i serdecznością otwartą, z którą go witał Rzewuski, w piórwszym momencie nie mógł objąć dokładnie tej wielkiej zmiany, jaka z dzisiejszym porankiem zaszła w całym usposobieniu hetmana; zrozumiał ją wszakże niebawem jaknajzupełniej, a wtedy nietrudnym mu było wcale przybrać ten sposób zachowania się, jaki w dzisiejszych okolicznościach uznał za najwłaściwszy. Od tój tóż chwali stał się na pozór swobodnym, dosyć rozmownym, a nawet ile możności wesołym, lecz co do wszystkich rzeczy ważniejszych tak wstrzemięźliwym, ażeby każdy mógł się wszystkiego o nim domyślać, ale wiedzieć na pewno nic zgoła. Natomiast zaś sam otoczył wszystkich tak pilnie śledzącym wzrokiem, ażeby żaden najmniejszy szczegół, którego się można było dowiedzieć z roz-

ióo

mowy, nie uszedł jego uwagi. Takie zachowanie się Jerzego stało się oczywiście dziwnie drażliwą zagadką dla całej rodziny Sieniawskich, a skutkiem tego zniewoliło wszystkich jej członków do obwinienia się także w szatę tajemniczości; kiedy zaś duch ten, wiejący od głównych ołtarzy zamku, musiał się także i gościom udzielić, to i oni obadwa, jeszcze o tyle więcej niż inni, musieli się cofnąć w wnątrz siebie i zachowywać się raczej odpowiednio okolicznościom, niżeli swoim zamiarom. I tak się poczęła natenczas owa arcy ciekawa komedia na zamku, w której każdy pomimo- woli stał się aktorem, każdy grał jakąś rolę, każdy z kolei był wszystkim, ale nikt nigdy sam sobą.

I komedia ta trwała przez trzy dni. Umyślnie ją Jerzy utrzymywał w niezmiennym stanie tak długo, bo nimby jój miał nadać jakiś zwrot nowy, potrzeba mu było zgłębić dwie tajemnice, bez czego nie mógł postąpić ani o jeden krok dalej. Mianowicie zaś chodziło mu o to, ażeby najpierw rozpoznać niemy Inie rzeczywisty, bezwzględny, ludzki stosunek Zosi do siebie, – a powtóre, ażeby się przekonać dowodnie o rzeczywistych zamiarach Denhoffa. Wszakże z upływem trzech dni niespełna tajemnice te już mu się wyjaśniły. – Ciekawe to było zachowanie się hetmanów- nej. I tak pierwszego dnia, jak tylko Jerzy zjawił się na pokojach, była ona czegoś tak pomieszaną, tak siebie niepewną, tak nie miała odwagi ani Jerzemu, ani ojcowskim gościom śmiało po- patrzeć w oczy, jak gdyby miała jaki śmiertelny grzech na sumieniu. – Objaw ten, dostrzeżony na każdej innój dziewczynie w jej położeniu, byłby sam Jerzy wziął za ów najpiękniejszy srom dziewiczego serca, które przyszedłszy do świadomego poczucia się w swojej miłości, napełnia się jakąś niezrozumiałą dla siebie trwogą, lęka się wzroku ludzkiego i nawet w samotności drży samo nad sobą. Ale to była Zosia. U niej ten objaw nie mógł być owym "dziócięcym, lęklwym sromem, mającym, źródło swe w czystej i niczóm jeszcze niezamaconój krynicy serca, a mógł być tylko sromotnym wstydem, zrodzonym w głowie, obliczającej dokładnie różnice światowe pomiędzy ludźmi. Odwrócił się Jerzy natenczas od niej, zaczął jój zręcznie unikać, a kiedy nie mógł uniknąć, prowadził takie rozmowy, w których objawiał całą swą godność człowieka, a ile możności i wyższość nad owych ludzi, w których o tyle tylko widać człowieka, o ile na nich lśni złota, drogich kamieni i nie ze- wszystkióm przez siebie zasłużonych zaszczytów.

Jednak tej gry subtelnej nie zrozumiała Zofia, a widząc to tylko, co widziały jej oczy, poczęła nawzajem Jerzego unikać, unikać jawnie, dumnie, a czasem nawet mniej grzecznie, – dając zaś Denhoffowi coraz to szersze pole do grzeczności i nadskakiwań, przysiadując się samowolnie do niego i trawiając z nim nieraz całe godziny w wesołój i rozgłośnój rozmowie, doprowadzała czasem

swą żądzę zemsty nad Jerzym do tego stopnia, że mu nie oszczędzała nawet przycinków i złościwości.

Kiedy zaś Jerzy tym wymownym manifestacyom, które mu coraz jaśniej odkrywały ten zagadkowy dotychczas dla niego charakter, nie tylko nie kładł przeszkody, ale owszem, jeszcze im dopomagał, to dnia trzeciego wieczorem dopełniła się miara jego doświadczeń tak dobrze, że uspokoił z tej strony swoje sumienie jaknajzupełniej.

Do tego czasu i zapomocą prawie tych samych środków, Przekonał się także dowodnie o istotnych zamiarach Denhoffa, – przez zręczne i uważne rozmowy z nim i Rzewuskim dowiedział się mniej więcej, jak i ich skrzętne zabiegi biorą wedle ich rozumienia kierunek – a w końcu, przez cierpliwe i pilne badanie hetmana i hetmanowej, nietrudno mu było zrobić sobie pewne wyobrażenie o tem, jakie w danych okolicznościach z tego wszystkiego mogą wyniknąć skutki. Mając to wszystko, zakończył wreszcie pierwszą połowę komedyi i postanowił sobie nazajutrz przejść Wstępny bojem do drugiej.

Tymczasem, kiedy Ożarowski, mało co doświadczony na polu intryg, dzierżył tak silnie w swym ręku główną nić sprawy rodzinnej, toczącej się obecnie na zamku: hetman polny litewski, dworak piórszego rzędu, niezrównany mistrz na tym polu, znajdował się w jaknajwiększym kłopotcie. Denhoff przyjechał – teraz istotnie za stanowczym zamiarem uderzenia o rękę Zosi. Myśl tego zamiaru powziął on jeszcze niegdyś na Jarosławskim zjeździe, a ponieważ tę myśl natenczas poddał mu mimochodem Rzewuski – jakotóż sobie upatrzył na swata. Z nim, jako swatem, był on już tutaj, jak wiemy, przeszłego roku; ale natenczas sprawa ta tak dalece im poszła niegładko, że Denhoff zachwiał się całkiem w swoich zamiarach i możeby był do nich już nigdy nie wrócił. ,2ał mu ich było serdecznie, przypominał je sobie często i może nawet nieraz o nich rozmyślał; ale już to dlatego, że się na samym wstępie wziął do nich tak nieszczęśliwie, już nareszcie dlatego, że potem nastąpiły czasy zamiarom takim jak można najmniej Przychylne, odłożył je był całkiem na stronę i na teraz przynajmniej znowu ich podejmować nie myślał. Ale tymczasem, parę tygodni temu, otrzymuje on wcale niespodziewanie list od pani Sieniawskiej, zapraszający go nie tylko uprzejmie, ale nawet dość natarczywie do Brzeżan. Jaki był właściwy powód tego nagłego listu, czy hetmanowa chciała tylko temi odwiedzinami swego stryżatego i na niemile dla niej koncepty wpadającego męża rozerwać? czy widząc coraz wyraźniej, do czego dąży przyjaźń hetmana dla Jerzego, chciała tym rzeczom zapomocą Denhoffa choć chwilową położyć przeszkodę? czy może nawet istotnie miała zamiar na złość mężowi forytować Denhoffa do Zofii? – rzeczy to nawet nam niewiadome: toż tem mniej jeszcze mogły być wiadome memi dawnemu prezydentowi do ręki Zofii. Bądź co bądź wszakże,

odebrał list taki od hetmanowej, w którym go ta pani bardzo gorąco zaprasza do Brzeżan, przyznaje się, że go zaprasza bez wiedzy męża i prosi otwarcie, ażeby przywiózł ze sobą jaknajliczniejszy zbiór wiadomości takich, któreby mogły hetmana z jego melancholii wyleczyć, obiecując mu za to wszelką możliwą wdzięczność ze swojej strony. – Denhoff, jakkolwiekby list ten zrozumiał, nie mógł tego nie dojrzieć, że jest to najlepsza sposobność uchwycenia nanowo swoich zamiarów i doprowadzenia ich raźnie do skutku. W tym celu uzbroił on się we wszystko, co do tego było potrzebne, dojechał do Rzewuskiego i przybył z jaknajwię- kszym pośpiechem do Brzeżan. Jadąc tu ;i rozważając po drodze z Rzewuskim wszystkie okoliczności tej chwili towarzyszące, a z jego punktu widzenia w samej istocie takie, że nie mogły być nigdy szczęśliwsze, był pewnym jak dwa a dwa cztery, że tylko dni kilka zabawi na zamku i odbędą się zrękowiny.

Jakoż istotnie wjazd jego na zamek i pierwsze chwile na pokojach strawione nie zostawiły mu nic do życzenia. Hetman był jakby odrodzony przez niego, hetmanowa w złotym humorze, a Zofia jaknajżywiej tem wszystkim zajęta...

Ale jak tylko wszedł Ożarowski i godzinę pobawił, postać rzeczy się zupełnie zmieniła. Nie uszło to uwagi w'prawnego oka Denhoffa – a ledwie druga godzina minęła, wiedział już niezawodnie, że w rodzinie Sieniawskich dzieją się jakieś rzeczy takie, o których jemu się dotąd nie śniło...

Grał dobrze swoją komedią niewprawy Jerzy, ale grał ją jeszcze daleko lepiej wprawniejszy od niego Denhoff – i jeśli Jerzy do dnia trzeciego dowiedział się rzeczy takich, które się końcem końców same ze siebie wydać musiały, to on nie potrzebował także więcej niż trzech dni na to, ażeby odgadnąć rzecz taką, która była z powodu wstrzeźliwości Jerzego jaknaj staranniej ukrytą. Nie omyliły go nawet wcale przeciwnie świadczące pozory, –jakoż istotnie dnia trzeciego wieczorem wiedział on z wszelką pewnością, że między Jerzym a Zosią zachodzi jakiś bliższy stosunek i to stosunek taki, którego nie jest tajemnicą w rodzinie. Więcej samemi tylko oczyma dowiedzieć się nie mógł, – ale mimo to wcale nie tracił nadziei, że używszy stosownych środków, dowie się niebawem wszystkiego. Jakoż zaraz dnia tego samego udzielił Rzewuskiemu swoich podejrzeń, a wyłożywszy mu wszystkie wiążące się z niemi domysły, rzekł wreszcie:

– Ja z mojej strony zrobiłem wszystko co mogłem –a teraz kolej na wmpana dowiedzieć się reszty.

Rzewuski, mąż więcej rozumny niż sprytny, nie robił sobie nadziei, że potrafi w tym swemu przyjacielowi usłużyć tak, jakby to może potrafił kto inny, rzekł tedy na to:

– Jużci ja może się czegoś dowiem; ale trzeba koniecznie, ażebyś waść miał cierpliwość, boć to tak prędko stać się nie może.

Denhoff cierpliwie przyrzekł, – ale mimo to nie mógł jój s^obie nakazać. Jakoż z jego powodu ten wieczór ostatni minął fiłfł takióm naprężeniu wszechstronnem, tak się nudzili wszyscy i tak nie umieli tych nudów ani rozpędzić, ani nawet utaić, że się podchodzili na spoczynek tak wcześnie, jak się to jeszcze nigdy nie zdarzyło na zamku...

Wszakże zato nazajutrz ożywili się wszyscy w dwójnasób. Rzecz się poczęła w pomieszkaniu Denhoffa. Była to jeszcze dość • Wczesna przedpołudniowa godzina, hetman polny litewski jeszcze tte wyszedł był z swoich apartamentów, jeszcze nawet i toalety zupełności nie skończył, kiedy wszedł do niego Rzewuski.

– Cóż tam? cóż tam? – zawołał do niego Denhoff, wrzucając prędko suknię aksamitną na siebie. Jegomość tak rano u mnie, - lo peAvnie już z jakąś nowiną.

– A jużci z nowiną, – odpowiedział Rzewuski, zabierając miejsce na skórzanej kanapie, – bom się też zchodził już dzisiaj niemało. No, ale przynajmniej nie próżno. Byłem u hetmanowej na jednej czarce winnej polewki, a u starościny Zydaczowskiej na

^ęugiój, ot! i wylazło to wszystko, jak szydło z worka.

– Cóż tedy? – pytał hetman litewski, stojąc nad wojewodą Podlaskim i patrząc mu w oczy z niecierpliwością.

– A cóżby! Każ waszmość zaprzęgać i jedźmy, bo się to Wszystko na nic nie zdało.

– Już nawet zaprzęgać? cóż tedy jest?

– Jest rzecz krótka, lecz węzłowata. – Właśnie na jeden dzień przedtem, nimeśmy tu przyjechali, Ożarowski deklarował hetmanowi i został od niego przyjęty.

– Już? – zawołał na to Denhoff, odskakując o dwa kroki od niego, – i to jest pewna?

– Jaknaj pewniej sza, – odpowiedział spokojnie Rzewuski.

Denhoff spojrział raz jeszcze na niego i zaczął się wzamyśle- niu przechadzać po izbie.

– Patrzajże waść, – mówił po chwili Rzewuski, – co się to Porobiło. Ani ja, ani waść, ani nikt w całej Polsce nie mógł się tego spodziewać...

A na to Denhoff:

– Po Ożarowskim można się było tego spodziewać, bo jest Człowiek młody, niewiele jeszcze ma do stracenia, a całą przyszłość Przed sobą. Nic też on tutaj nie ważył, bo co za wstyd dla takiego młodzika dostać odkosza od jedynaczki Sieniawskiej! Ale ażeby hetman...

– Otóż widzisz waść, – przerwał mu wojewoda, – że właśnie rzecz ma się przeciwnie, a przynajmniej tak powiadają. Nie miał odwagi do tej deklaracji, a może nawet nie myślał o niej jmc Ożarowski, ale go sam hetman ciągle do tego ośmielał, co się działo w obec całego dworu i o czóm też można się łatwo dowiedzieć u dworu...

– Ale gdzie tam nie miał odwagi! – zawołał Denhoff, – wiedział on dobrze, co robi. Wiedział on, czemu się dał porąbać przed niskim zamkiem. Jeżeli zaś doprowadził do tego hetmana, że go sam w deklaracji uprzedził, to tylko dowodzi jeszcze tem większój zręczności jego do intryg, i przyznam się, że zaczynam mieć respekt dla niego. No, a cóż Zosia?

– Zosia była tój deklaracji przytomną.

– Przytomną była! – zawołał Denhoff, dziwna rzecz, co to jest za stworzenie! – A cóż hetmanowa? przecież przynajmniej ona....

– Hetmanowa, – rzekł wojewoda, – powiedziała mi bardzo niewiele. Ona oczywiście rozumie, że co się stało, jest tajemnicą, a przynajmniej w tajemnicy musi pozostać przed nami. Ale rzecz oczówista, że Ożarowskiego nie lubi...

– No, to jest rzecz oczówista, ale i ważna niemało. Powiódzże mi jegomość, czy deklaracja ta urzędowa doszła już także do hetmanowój, czy nie?

– O ile mnie mogła w tój starościna oświecić, to zdaje się, że jeszcze nie, a jeśli doszła, to hetmanowa albo się wprost temu oparła, albo nateraz od odpowiedzi się wykręciła. Wszystkie domysły są za tój, że ta rzecz stała się in camera caritatis pomiędzy hetmanem, Ożarowskim i Zofią, i dopiero nazajutrz miała się wytoczyć przed hetmanową, ale tymczasem myśmy przyjechali i przeszkodzili. No, ale cóż to pomoże! Panna jest za nim, ojciec dał słowo, czy potrafi temu przeszkodzić matka? Czyż to waść nie znasz uporu hetmana?

– Ej! cóż tam upór! – zawołał Denhoff, mają upór i inni! a upór innych może trwać dłużej niż jego. Jakoż możnaby tu jeszcze nie tracić nadziei, ale cóż! Na nieszczęście sprawa jest z Ożarowskim!

– Czy z tym, czy z owym, – powiedział na to Rzewuski, – ja nie widzę wcale, jakby tu można mieć jeszcze jaką nadzieję. A wszakżeż po danóm słowie wszystko jest w jego ręku. Gdyby tak nie było, to możnaby ofiarować coś za odstępnę; ale tak, któż odstąpi dukata za złoty?

– To prawda: ale jeżeli się okaże, że dukat jest jeszcze za ręką, a złoty może być zaraz na ręku?

– Hm! – rzekł na to Rzewuski, – niema co mówić. Ale nie zdaje mi się, ażeby Ożarowski...

– Otóż to jest najgorsza, że to właśnie z nim sprawa! Bo trzeba jegomości wiedzieć, że mnie z nim wiążą jeszcze i dawne stosunki...

Tu przysiadł się Denhoff do Rzewuskiego i opowiedział mu swoje pierwsze spotkanie z Jerzym w Bobrownickiego zameczku. I opowiedział mu wszystko ze szczegółami, tak jak się istotnie zdarzyło.

– Jakby przeczuciem jakimś wiedziony, – kończył Denhoff

swoje opowiadanie, – naprawiłem to potem i naprawiłem rzetelnie. Posyłałem mu na ręce Bobrownickiego pieniądze przez cały czas jego pobytu we Francji. Powinno być przecież było zatrzyć żal jego do mnie zupełnie. Ale cóż! trzeba nieszczęścia, że on

o tem podobno nie wie do dziś dnia. Patrzajże tedy jegomość, co to jest za zdarzenie fatalne. Człowiek, któremu dobrodziejstwo zrobiłem największe, któryby mi powinien być wdzięcznym przez całe życie, nietylko staje dziś jako współzawodnik przeciwko mnie, ale jeszcze do tego, gdyby się nawa. t okoliczności na moją korzyść zmieniły," będzie mi szkodził w dwójnasób, i jako rywal, i jako Wróg osobisty. Dziwna jest zaprawdę ta ręka, która kieruje losami ludzi!

A na to Rzewuski:

– Zapewne, zdarzenie to dosyć jest dziwne. Ale ja rozumiem to inaczej. Ja widzę tu Boską rękę tak dobrze, jak wszędzie, jak nareszcie we wszystkim, co się tu dzieje na ziemi. Waść dokuczyłeś boleśnie Ożarowskiemu, mając go za nic; otóż on teraz waści ma za nic i oddaje wet za wet. Sprawiedliwość to Boska, nic więcej. A jeżeli tam waszmość kiedyś dopomogłeś jemu jakimiś pieniędzmi, toż to pieniądze nie główna rzecz na tym świecie. Panu Bogu niech będzie chwała, nie okupi się u nas jeszcze nikt złotem, jeżeli kogo obrazi!

W tym sensie mówił Rzewuski dalej, biorąc prawie widocznie stronę Ożarowskiego i dając do zrozumienia swemu przyjacielowi, że o ile się zdaje, jest to sprawa, w której głównymi czynnikami są czyste, rzetelne, a nawet dosyć gorące uczucia serca, sprawa poprostu miłości, – a w taką sprawę mieszać się, psuć ją i niszczyć dla własnych korzyści, jest rzeczą nieprzyzwoitą dla zacnego człowieka a nawet i niesumienną.

Ale nie słuchał tych uwag Denhoff i przechadzając się po komnacie, był wciąż zajęty swymi własnymi myślami. Jakoż po dłuższym cokolwiek namyśle przystąpił do wojewody i rezultat swych myśli tak mu wyłożył:

►. Nie! tak być nie może! Ja nie odstąpię od mego zamiaru J nie dam się tak łatwo odsądzić przez jakiegoś młokosa, na wstyd

¹ pośmiewisko całego świata! Jakoż nie widzę wcale, dlaczego bym jnż teraz miał odstępować. Słuchaj jegomość, rzeczy te, jak mi się zdaje, tak stoją obecnie. Hetman znudzony swojemi fatalnemi losami, przygarbiony przedwczesną starością a w końcu opuszczony przez wszystkich, wpadł w błędne koło myśli tak czarnych, że niemi sobie nietylko całą swą przyszłość, ale i terażniejszość zastonił. W tórn położeniu miał w Ożarowskim jedyne go człowieka, w którym Znachodził podporę, ulgę, pociechę, rozrywkę ¹ wszystko, do czego w swej melancholii mógł mieć jeszcze pre- tensyą. Jednakowo z hetmanem był usposobiony dom cały, i nie mogło to być inaczej, bo przecież jegomość wiesz o tem, że Sieniawski był zawsze sułtanem w swym domu. Ożarowski umiał

z tego stanu rzeczy w rodzinie korzystać i doprowadził hetmana wreszcie do. tego, że mu swoją osobą cały świat zakrył. Z hetmanową nie udało mu się ta sztuka, – a co do Zofii, to tę młodą dziewczynę, zamkniętą w takim dusznym więzieniu i z obcych mężczyzn ograniczoną tylko na niego, jemu, mającemu za sobą młodość, piękną światową ogładę i tak bezwzględna miłość ojca za sobą, nietrudno było wcale pozyskać dla siebie o tyle, ażeby był pewnym, że kiedy ojciec jej swoją<-wolę objawi, ona mu się sprzeciwić nie będzie. Tyle zro.biwszy, a nie mógł najniezawodniej zrobić nic więcej, przystąpił do deklaracji i tę od ojca pozyskał. Zapewne, jest to już wiele, ale jeszcze nie wszystko. Bo gdyby on nawet z kąd inąd żadnej już nie doświadczył przeszkody, to zawsze jeszcze w samej hetmanowej, która się na to wszystko zapatruje zdrowi oczyma, znalazłby taką walną zaporę, że kto wie, ażaliby ją zwalczyć potrafił tak prędko. A cóż dopiero po- wiedzióc o tem, kiedy już i z kąd inąd nawinęła się dosyć walna przeszkoda? A tą przeszkodą my mu jesteśmy, – nie jako współzawodnicy do panny, o czóm jeszcze nie było mowy, lecz jako ci, którzy otrzęśli hetmana z jego melancholii, powrócili mu jego dawnych przyjaciół, zapewnili o trwałej łasce królewskiej i zgoła zamknięty dotychczas .przed nim świat cały na ścieżaj mu otworzyli. Przez nas hetman się zbudził, poczuł się znowu Sieniawskim i ręcę za to, że już sam widzi, jaką niedorzeczność popełnił, jeżeli się danem Ożarowskiemu słowem spętał ze swoim adjutan- tem tak blisko. Tak jest i inaczej nie może być. Z tego tedy położenia my znów będziemy korzystać – a %o w sposób następujący* Jak jegomość sam powiedziałeś, my każemy sobie zaprzęgać. Hetman, który przy nas nowera odetchnął życiem, który pragnie tem życiem oczewiście żyć dalej a do którego to życia tylko ja jeden mam klucz w moich ręku, nie zechce nas puścić. My się będziemy upierać, on tego uporu nie będzie mógł pojąć, a może nawet się go przestraszy i będzie jeszcze tem więcej nalegał, – a wtedy jegomość weźmiesz go sobie na stronę i powiiesz mu: że ja miałem zamiar konkurowania o Zofią, lecz widząc, jakie tymczasem zaszły okoliczności na zamku... nie chcę nikomu stać na przeszkodzie i usuwam się jaknajprędzej na stronę. Przyjdzie ztąd oczówicie do dokładniejszych tłumaczeń–a wtedy jegomość mu powiiesz otwarcie o zasłyszanej przez nas deklaracji Ożarowskiego. Co na to odpowie hetman, będziemy widzieć. Ale ja je* stem pewny, że się wyprze Ożarowskiego, jak Piotr Pana Jezusa. Czy to uczyni/rzetelnie, czy tylko w'rzekomo, tego ja nie wiem, ale wiem pewnie, że się go wyprze przed jegomością. Nie może on się przyznać do tego i tem przyznaniem mnie odprawić ze zamku, bo przecież wie, że ja mam jego cały los w ręku i kiedy zechcę, to go mogę wszystkiego pozbawić. A jak tylko Ożarowskiego się wyprze, a przeto nas zatrzyma na zamku, to o resztę już mniejsza. Ożarowskiemu się zamknie, a nam otworzy pole do

działań, na którym przy pomocy hetmanowej, Lubomirskich, a wreszcie choćby samego króla, jakoś się to pomału przerobi. Cóż waszmość na to, mój wojewodo?

Ale Rzewuski na to tak odpowiedział:

– Jużci to trudno zaprzeczyć, że wzięwszy się do sztuk takich i tym podobnych, możnaby wreszcie Ożarowskiego wysadzić. Ale jeżeli waść myślisz brać się do tego, toś sobie we mnie lada- jakiego wzięł czeladnika. Bo to ja stary, od pacholęstwa tylko do bitych gościńców zwyczajny, a po manowcach nawet i chodzić nie umiem....! Nie miałbyś w tem zemnie żadnego pożytku i chyba jeno przeszkodę. Więc chcesz abym się deklarował, to dobrze, – i jeśli chcesz, abym się rodziców zapytał, czy waści o pannę konkurować pozwolą, to i tę zrobię; ale już potem, czy tak odpowiedzą czy owak, ja tu waści zostawię, a sam z Panem Bogiem pojedę. Nie mojój to trzeba głowy do takich praktyk subtelnych: raczójbym jeszcze co popsuł, niżelibym miał naprawić!

Patrzył na niego Denhoff z dziwnie zmienionym wyrazem na twarzy, ale rzekł jeszcze dosyć spkojnie:

– Więc mnie jegomość opuszczasz?

– A jakto? – rzecze na to Rzewuski, – do czegom się zobowiązał, tego też dotrzymuję. Ależ znów trudno, ażebym ja z memi siwemi włosami

– Ale jegomość mnie w błocie zostawiasz! – przerwał mu Denhoff z niecierpliwością, – cała Polska wió. o tó, po com tutaj przyjechał! Mamże odejść, jak pies odpędzony przez żaka, ze spuszczonego ogonem i nie zbliżywszy się nawet do kotła?

i– No, to już waści zadeklaruję.

– Deklarować nie można.

r– No to się spytam, jak tam sam chcesz.

– Ba, cóż mi z tego, jeżeli mnie potem odjedziesz? Cóż ja tu sam zrobię, w obec Ożarowskiego, który jest panem na zamku, w obec takiego dworu, który bezwątpienia jemu przychylny może już dziś szydzić ze mnie, w obec tych ludzi wszystkich, z których w każdym znajduje sto przeszkód, a ani w jednym pomocy? Nie od dziś żyję na świecie, ażebym się samowolnie napędził na taką szklistą ślizgawkę. Mówiłem przecież już jegomości, że nietylko rywala mam w Ożarowskim, ale jeszcze i wroga, który żadnej sposobności nie puści, ażeby się na mnie nie mścił i nie prześladował

– Ha!–rzecze ne to Rzewuski, –to ja już temu nie potrafię zaradzić.

– Dziękuję za otwartość przynajmniej, – powiedział Denhoff.

Patrzył na niego Rzewuski z pod oka przez małą chwilę, a potem rzekł rzeczywiście otwarcie:

– No, ale czegóż to waść -u djabła się tak przy tó, upió- rasz? Młokos-to jesteś, któremu zapaliło się serce i nie może go

żadną miarą ugasić? czyś tak podupadł już na fortunie, że się musisz aż wianem ratować? Mądraż-to rzecz jest nareszcie gwałcić swój los, chociażby z szkodą drugiego, a przeciwko wyrokowi Boskim, czyż rozumiesz, że ci się takie szczęście na coś zdać może, któremu się widocznie sam Pan Bóg sprzeciwia? Mój panie Stanisławie, ja cię tu wcale już nie poznaję! Zawsześ był taki rozumny, żeś jeszcze drugim rad udzielał: a teraz... trzebaby cię, jak widzę, wziąć w kuratelę.

– Nie, tego nietrza,– rzekł sucho Denhoff,– rzecz już skończona i nie mamy o niej co mówić. Zjemy obiad, a po obiedzie odjedziem. Odjedziem z kwitkiem, jak na ludzi rozumnych przystało. Odjedziem korni przed wyrokiem sprawiedliwości Boskiój,– jak na zacnych przystało. Pozwolisz mi tylko jegomość, ażebym w pierwszej kaplicy, którą znajdziemy na drodze, złożył podziękowanie Panu Bogu za łaskę, że mi dał taką piękną sposobność do pokuty za grzech mój. Bo przecież to jest rzecz jawna, że jeślim kiedy Ożarowskiego choćby najkrwawiej obraził, to jużem teraz odpokutował za to solennie. Już mi oddał wet za wet tak suto, że bodaj czy się teraz jeszcze mnie nie zadłużył!

To rzekłszy, siadł w swoim krześle i patrzył na wojewodę, który jednakże tak był z tego wszystkiego niekontent i tak zachmurzony, że nawet nie miał odwagi spojrzeć mu w oczy.

Tak siedzieli ci obadwa panowie w milczeniu, kiedy wtóm wszedł marszałek Denhoffa i zapowiedział, że jw. generał przyszedł z wizytą i prosi uprzejmie o wstęp.

– Jaki generał?–zapytał Denhoff. '

– Pan Ożarowski.

– Pan Ożarowski?–powtórzył Denhoff i oka mgnienie przemilczał, ale rzekł zaraz:–A! oczewiście! proszę bez kwestyi i bardzo nawet się cieszę, że mnie tak pilnie chowa w swojej uprzejmej pamięci.....

Za małą chwilkę wszedł Ożarowski. Miał on w tej chwili na sobie mundur Sodalisów pułkowy, granatowy kolet z żółtymi wyłogami i połami na sposób francuzki poodwracanemi do góry. Do tego zwykły generalski kapelusz pod pachą, lecz zamiast szpady, szablę bojową u boku. Tak niby dosyć wojskowo, a nawet groźnie wyglądał. Mimo to jednak twarz jego, podczas choroby wy- blichowana i już nanowo świeżym rumieńcem okryta, niosła na sobie uśmiech dziwnie łagodny i słodki, a wąsik młody, wesóło pokręcony do góry, i włosy długie w naturalnych kędziorach w tył zarzucone nadawały jej wyraz owej lekkiej, pogodnej, roz- promienionój swobod)^r, którą tylko chmurka majow⁷a, kwiatek wiosenny i sama miłość mieć może.

Nie zwrócił wszakże na to uwagi Denhoff, tylko widząc mundur i szablę, rzekł zaraz przy samym wstępie:

– Pan generał wchodzisz tak zbrojno, jak gdybyś wojnę przynosił do mnie...

– A czyżbym się na to poważyl? – zapytał Ożarowski z uśmiechem, – pięknyby koniec był wojny żoiniórza z szeregu z hetmanem polnym!

Po tych słowach wszczęła się zwykła rozmowa, wśród której Denhoff był zimno-grzecznym, ostrożnym, jakby chodził po węglach i nadzwyczajnie mało "wymownym", a Ożarowski swobodnym, niezmiernie słodkim, a nawet i żartobliwym. Wojewoda siedział w oddali, słuchał tej rozmowy ciekawie, ale nie brał w nią żadnego udziału. Po chwili pochylił się Jerzy ku Denhoffowi i rzekł:

– Ja przychodzę do pana hetmana w sprawie nadzwyczaj Ważnój i to jeszcze do tego wpana hetmana własnej. Czy nie masz żadnej przeszkody?

Odsunął się na to Denhoff trochę od niego i odpowiedział, z ironią wprawdzie, lecz nie bez trwogi wewnętrznej:

– Oh! pan generał masz tyle czasu, że się możesz zajmować nawet cudzemi sprawami!....

– Zdarzyła mi się sposobność stać się panu hetmanowi pożytecznym i nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, abym z nią nie korzystał.

– Pan mnie pożytecznym? – zapytał Denhoff z uprzejmością Udaną.

– Ja panu, – odpowiedział tak samo Jerzy, – jednak nie idzie za tem, ażebym przez to chciał koniecznie uzyskać prawo do wspan. pana wdzięczności. Owszem, przeciwnie, chcę tylko panu z dawnego uiścić się długu

Spojrzał na niego Denhoff z uwagą i rzekł:

– Słucham pana.

– Przystępuję tedy do rzeczy, – rzekł Ożarowski, mówiąc ²awsze powolnie, niby łagodnie, ale dosyć dobitnie. — Pan hetman przyjechałeś tutaj z zamiarem starania się o rękę panny Sieniawskiej. Czy tak?

Rzucił się na to Denhoff, brwi zmarszczył i spojrzał groźnie na niego; ale on mówił dalej:

– Pan hetman nie chcesz mi odpowiadać; nie sądzisz mnie być godnym tak blizkich zwierzeń. Ale to nic. Ja pana uwalniam ^od odpowiedzi i idę dalej. Wspan. przyjechałeś tutaj z zamiarem starania się o hetmanównę i trafiłeś na walne dla siebie przeszkody. Tak jest w samój istocie. Z powodu rozmaitych nieprzewidzianych kolei losu, zaszły w rodzinie Sieniawskich pewne ważne ^odmiany, po nich nastąpiły zdarzenia, a z tych wyniknęły nieporozumienia tak wielkie, że się z tego wszystkiego splątał węzeł tak zawiły, którego już niepodobna rozwiązać. Rozciąć go także nie można, bo jest zatwardy. A dopóki ten węzeł trwa w swojej Więzi, wspan. się starasz napróżno: możesz tylko czas stracić, ale celu osiągnąć nie możesz. Jakoż bardzo rozumnie to robisz, że zaczynasz tracić nadzieję i chcesz porzucić tę sprawę na teraz. Mógłbyś ją nawet porzucić na zawsze, bo w tym stanie rzeczy jest ona

zupełnie nieprzystępną dla pana... Ale tu w moich ręku jest kluczyk, który tę zagadkę otworzy, węzeł rozwiąże i zaprowadzi pana bez najmniejszej trudności do celu.

Jakoż przychodzę do pana ofiarować HIU moje usługi

– Panie Ożarowski! – zawołał na to Denhoff, powstając z miejsca, – co to ma znaczyć... • Czy pan jesteś takim wesołym, że po tem wszystkim, co się już stało, chcesz jeszcze odegrać jakąś komedią?... Ja muszę panu zrobić tę trzeźwą i-konieczną uwagę, że są swawole, z których nawet i młodość usprawiedliwić nie może!

Uśmiechnął się na to Jerzy i rzekł spokojnie:

~r~ O! panie hetmanie! jakże pan jesteś nieufny! Ja wmpana zaręczam, że przychodzę z chęcią pomocy rzetelną. Powiadam to panu jasno i zrozumiale, – czy mi pan jeszcze nie wierzysz?

Denhoff stał w osłupieniu przez chwilę.

– Hm! – rzekł nareszcie, – czy mogę ja panu uwierzyć? jakież pan mieć możesz do tego powody, ażeby skarb, który już trzymasz w twych ręku, oddawać komuś drugiemu?

– Jakie powody? – rzekł Jerzy, – a czyż to wszędzie trzeba koniecznie powodów? czyż człowiek nie jest o tyle przynajmniej wolnym, ażeby mógł zrobić coś bez powodu, dla dogodzenia sercu, albo dla fantazyi? Czyż to świat stoi na takich skarbach? Jam jest człowiek bogaty, mam skrabów wiele i jeden z nich daję panu, bo widzę żeś go zapragnął. Czyż to rzecz niepodobna? '

– Nie, panie! – rzekł na to Denhoff, – to jest nieprawda! Złapałem pand. Pan pod powłoką słów swoich kryjesz myśli zupełnie inne. Pan nie przychodzisz mnie zbawiać. – Rozzuchwalony szczęściem, które pana spotkało, pan chcesz się mścić na mnie za jakąś tam dawną urazę, pan mi chcesz naigrawać; pan mnie chcesz wywieść na jakieś pole, gdziebyś mógł ze mną jakąś wielką wyprawić komedią! Ale dość na tem! Rzuciłeś mi pan rękawicę, ja ją podnoszę – i'odtąd pójdziemy z sobą o lepszą!

Na to wstał Ożarowski i mówił odtąd cokolwiek żywiej:

– Ha! kiedy tak, to cóż robić! Muszę się przyznać panu z wszystkiego. Tak, panie! ja przychodzę się zemścić na panu. Nie mścić się, jak pan rozumiesz, jeno się zemścić raz nazawsze, raz i nic więcej. Ale patrzaj pan, w jaki to sposób! pan mi wepchnąłeś nóż obosieczny pod żebra, pan serdeczną krwią moją obryzgałeś swe ręce, pan się zmaszałeś krwią słabego sieroty, któremu ojca zamordowano i który się został sam, sam jak najnędnieszy robak na świecie! Długom ja czekał nim chwila zemsty nadejdzie. Z trucizną w sercu, którą pan tam naląłeś, z nieugaszoną żądzą wylania jój napo wrót na pana, z grzechem nieodpuszczonym mi na wszystkich spowiedziach, czekałem tak całe lata. Przyszła nareszcie. I ja znajduję pana leżącego-na ziemi, wijącego się w bólu pod ciosami niebezpieczeństwa, tarzającego się w kale kabały i smarzącego w głowie zamiary Bóg sam wie jakich plugawych intryg, – do

syć mi nogę podnieść, ażeby pana rozetrzeć, dosyć mi zaśmiać się głośno, ażeby pana wystawić na pośmiewisko całego świata. Lecz cóż ja robię? Oto podnoszę pana ze ziemi, goję pańskie boleści, otrząsam z kału, ochraniam od dalszych brudów – i zenię pana z kochanką serca twojego i raijpierszą dziewicą w całej Rzeczypospolitej. Takiej zemsty przecie mi pan dozwolisz nad sobą – a sądzę wszakże, że i sam Pan Bóg mi jej za gróch nie poczyta!

Kiedy to-mówił Jerzy, Denhoff stał w kącie komnaty jak- najdalej od niego, patrzył na niego ze zdziwieniem, lecz milczał.

I była cisza przez oka mgnienie.' Poczóm wszakże znów zabrał głos Ożarowski i rzekł:

– I czegoż się pan namyślasz, panie hetmanie? A wszakżeż nic tu więcej nietrzeba, jak tylko przyjąć ten rodzaj zemsty odemnie. Nic, tylko przyjąć,..– więcej nie potrzebujesz pan zrobić ani jednego kroku. Ja już wszystko sam zrobię, – pan będziesz patrzył, słuchał i milczał, a do wieczora będzieg^z już tylko sam jeden konkurentem o Zofią. Do wieczora może już nawet odbędą się zrękowiny...

Patrzył jeszcze na niego Denhoff przez chwilę, poczóm się ujął ręką za czoło i rzekł, chodząc po izbie:

– Ja już sam nie wiem, co się tu dzieje... Albo to człowiek szalony, albo też święty, który' się zbłąkał na ziemię.

-7- Hm! – odpowiedział Jerzy z uśmiechem, – pan hetman tak wiele miałeś już do czynienia z ludźmi, a tak mało znasz ludzi! No, ale to późna godzina. Za małą chwilę zaproszą nas na pokoje. Czy pan tedy przyjmiesz tę moją zemstę okrutną, czy ją nielitościwie odrzucasz?

Milczał Denhoff przez chwilę, a potóm rzekł:

– Jeżeli pan zamiar swój rzeczywiście uważasz za zemstę, to się krwawo mścisz na mnie!...

– Och! jakże krwawa to zemsta! – przerwał mu Ożarow^ski, – mściciel zamienia się w sługę i staje się pańskim naj- uniżeńszym podnóżkiem. Czyż i to jeszcze panu się nie podoba?.. Ależ nie traćmy ^czasu na próżno. Może się panu istotnie taki zwrot rzeczy nie ze wszystkióm podoba, ależ tu niema wyboru. Jestto jedyna droga, która może pana zaprowadzić do celu. Pan o tóm wiesz – i przecież jej nie odrzucisz. Daj mi pan tedy rękę – i niechaj będzie zgoda pomiędzy nami.

To mówiąc, ujął go raźnie za rękę i dodał:

– Żegnam tedy pana hetmana ---a do wieczora 'spodziewam się, że pan innemi będziesz na mnie patrzył oczyma.

Z tem już odchodził; ale wtem Denhoff, jak gdyby ze snu się zbudził, dobiegł do niego do drzwi i rzekł mu jeszcze te słowa:

– Panie Ożarowski! pan odegrałeś tu ze mną jakąś kome- dyą, którą ja, przyznaję się panu otwarcie, nic a nic nie rozumiem. Lecz nie przeszkadzam; graj pan ją dalej. Pamiętaj pan tylko na

to, com już pierwej powiedział, że są swawole, z których nawet i młodość usprawiedliwić nie może!

– Pan hetman jesteś zawsze tak o mnie troskliwy! – rzekł na to Jerzy z uśmiechem i zniknął prędko za drzwiami.

Kiedy Denhoff do komnaty powrócił i przechodząc się po niój, dopióro teraz zaczął rozmyślać nad tóim, co się stało, – Rzewuski, który przez cały ten czas siedział na kanapie zgarbiony, podniósł głowę do góry, spojrzął zpod oka na niego i .rzekł:

– Co to było takiego?

– A czy ja wiem? – odpowiedział z niechęcią Denhoff, – czas to dopiero pokaże. Na to zaś wojewoda, powstając z miejsca:

– Ale ja wiem, a nawet powiem. Już teraz pewnie nie odjedziemy ze wstydem, ale tak mi się zdaje, że zostaniemy ze wstydem.

» – Mój wojewodo! – rzekł na to prędko hetman litewski, – każdy z nas ma swój rozum i nim się tylko kieruje. Ja wiem co robię. Kiedym był młodyrti, postępowałem także tak samo jak Ożarowski; lecz zestarzawszy się, umiem dokładnie rozróżnić, co ma swą wartość realną a co urojoną. Pozwól mi tedy jegomość, ażebym postępował tak, jak rozumiem – a wszakżeż, jeżeli z tego wyniknie szkoda, to tylko mnie dotknie samego.

– To prawda, – odpowiedział mu na to Rzewuski, porywając za klamkę, – ale kiedy tak, dlaczegóż waszność mnie obióra- łoś za swata?

To rzekłszy, wyszedł natychmiast, zostawiając Denhoffa w samotności w komnacie. Po jego odejściu hetman litewski zrozumiał całe to położenie, w jakim się w tój chwili znajdował. I jakoś dziwnie mu się wtedy zrobiło. Poraż piórwszy w swem życiu upadł on tak nizko, że wśród tak żywo agitujującej się kabały, w której sam niepoślednie zajmował miejsce, skazał się na beczynność i stał się piłką, podrzucaną przez drugich. Poraż piórwszy w swem życiu naraził się na niebezpieczeństwo podwój- nój i niesłuchanie sromotnój przegranoj. A wszakżeż Ożarowski mógł go doprowadzić do tego, żeby jeszcze być musiał świadkiem jego własnych zaręczyn! – Wprawdzie jak z jednój strony nie mógł tego na żaden sposób dopuścić, tak znowu z drugioj zamiar otrzymania ręki hetmanównój był w jego oczach tak wielkim, że nie wahał się wcale dla niego nawet na klęskę narazić. Jednakże zawsze klęska taka dosadna była tóim, na co nie był przygotowany zupełnie. Jakoż wzburzony niespokojnością do najwyższego stopnia, wybiegł czemprędzej z komnaty i poszedł na górne pokoje, aby w najgorszym razie mógł przynajmniej przejrzeć zawczasu, czego się ma spodziewać i coby można odwrócić... ■

Jednak natenczas Jerzy już toczył dalej rozpoczętą przez siebie kabałę. Do tego czasu właśnie wyrobił sobie posłuchanie u hetmanowój i urządził to tak, że ją zastał samą w jej gabinecie.

Idąc tu, mógł on jeszcze daleko mniej wiedzieć, jak mu się jego zamiar powiedzie, niżeli wtedy, kiedy szedł do Denhoffa. O Denhoffie wiedział przynajmniej to z wszelką pewnością, że miał zamiar starania się o hetmanównę, – a tu tylko się tego domyślał, że hetmanowa jest jemu samemu przeciwną. To było zaprawdę zanadto mało, – ale zawsze dość, aby hetmanową w tę kabałę uplątać. Mając zaś na początek tę pewność, nie frasował się już tak bardzo o resztę, zwłaszcza że wiedział już z doświadczenia,

O ile może liczyć na swoją zręczność i znajomość tych ludzi, z którymi miał do czynienia. Tak wszedł swobodny i wesół do hetmanowej i tylko się zlekka uśmiechnął, kiedy ta pani spojrzała na niego ze skwaszoną miną, obejrzała go pierwaj dokładnie a potem dopiero spytała:

– I cóż cię tu przyprowadza, mój Jerzy? ■

– Jw. pani, – odpowiedział on na to półgłosem, przybliżając się do niej i zabierając miejsce na najbliższym krzeselku, – ja jestem w jaknajwiększym kłopotcie i jeżeli mi pani swój dobroczynny nie podasz ręki, to sam, nie wiem doprawdy, jak się z tego wywinę.

– Cóż z takiego, mój Jerzy? – spytała znów hetmanowa, odsuwając się trochę od niego.

– Mniejsza tu o mnie, – mówił on dalej, – bo cóż tam ja! Ale to gorsza, że tu chodzi o pannę Zofię, o los jej całego życia, ba nawet o los całej rodziny Sieniawskich.

– Ja ciebie nie rozumiem, mój Jerzy.

– Zaraz się to wyjaśni, niech mnie tylko pani hetmanowa raczy wysłuchać cierpliwie. Będę mówił prędko i zwięźle, bo tóż

1 niewiele mam czasu. Otóż najpierwej, pani wiesz przecie, co się pomiędzy panem hetmanem, panną Zofią i mną, stało przed czterema dniami w altanie?

– A wiem, niestety! – odpowiedziała pani Sieniawska, spuszczać oczy ku ziemi.

– Niestety! – powtórzył Jerzy, – tak jest, rzeczywiście niestety! Bo któż się mógł tego spodziewać, ażeby pan hetman w swej melancholii doszedł aż do tego stopnia zwątpienia i rezygnacji! Winna tu temu trochę i panna Zofia, bo moje obowiązkowe grzeczności, jak się o tym na moje nieszczęście przekonałem zapóźno, brała za jakieś... sam nie wiem już za co. Ale tak było, niestety!

----Mój Jerzy, cóż to ma znaczyć? – zapytała go hetmanowa, patrząc mu w oczy z zdziwieniem, – coś mi mówisz takiego... Czy mnie się śni? czy tobie żarty jakieś się roją?

– Jakto żarty? – zapytał Jerzy, – przecież pani hetmanowa nie będziesz rozumieć o mnie, ażebym ja stał się umyślnym do tego powodem. Przecież nie jestem z rozumu obrany, ażeby mi się przyśniło, wyciągać rękę po jedynaczkę Sieniawską!

– Jerzy! – zawołała, hetmanowa, zrywając się z miejsca, –

prawdę ty mówisz!? Ty mnie przytomności pozbawiasz! Może to być... może to być... żebyś ty...

– Ale dlaczego pani temu się dziwisz? czyż to nie jest rzecz naturalna? Pani nawet mym własnym słowom nie wierzysz?

– Oh! ja ci wierzę, ja wierzę... Tak, ty nigdy nie mogłeś mieć myśli takich szalonych! Ty jesteś, ty zawsze byłeś takim rozumnym! Ale...

– Ale cóż, pani?

– Ale... ach! w głowie mi się mąci, doprawdy! Oh! ja tyle nad tem się nacierpiałam! tyle nocy strawiłam bezsennych! tyle, tyle doznałam zmartwienia!... Ale, ale cóż to ja miałam powiedzieć? Ah! ale proszę cię... ja temu wierzę, żeś ty nigdy nie miał tej myśli. Ja bardzo wierzę. Ale dziś, kiedy mój mąż, kiedy nawet i Zosia... cóż ciebie powoduje do tego,, że ty takie dobrodziejstwo odrzucasz? Mój Jerzy! ty jakiś święty musisz być człowiek! albo

– Albo co, pani?

– Nic, ja już nic nie wiemU..^

– No, to ja pani to powiem. Ja nie jestem tu niczem więcej, tylko, jeżeli mi to powiedzióć wolno, rozsądnym. Widzi pani, ja sobie to tak obliczyłem, że lepiój być dobrodziejem, niżeli tym, który dobrodziejstwa odbiera...

– Oh! to prawda! to święta prawda, mój Jerzy! Ty jesteś najrozsądniejszym z ludzi! Ty-jesteś moim dobrodziejem takim, jakiego nigdy nie znalazłam w^f tem życiu! Ja tobie tego nigdy nie zapomnę, ja tobie będę wdzięczną do śmierci. I obaczysz, jak ty na tem dobrze wyjdiesz na końcu, – jak ciebie Bóg błogosławić będzie, – jak ci się ten uczynek szlachetny wypłacać będzie przez całe życie!

– Mniejsza tu o mnie, – rzekł na to Jerzy z uśmiechem, – już ja sobie przy Boskiej pomocy dam jakoś radę ze sobą. Ale to niedość na tem; bo cóż my teraz poczniemy? 4

– Jakto, co my poczniemy? A wszakżeż tu tylko o to chodziło. Kiedy ty odstępujesz, to rzecz skończona...

– Ale nie pani. Jeszcze to nie skończona. Posłuchaj mnie pani. Powiedz mi pani, co ja mam zrobić? Zostać? ■ – to moja rezygnacya pozostanie bez zskutku. Odjechać? – czy pani nie znasz uporu, z jakim się młode serce zawsze z przeciwnościami boryka?

– O! to prawda, to prawda, mój Jerzy! Tyś poznał Zosię dokładnie. Będziemy my z nią mieli jeszcze niemało kłopotu...

– I ja tak myślę. Dlatego też jestem zdania, że jeżeli chcemy temu złemu zaradzić, to mu zaradzmy gruntownie. Czy pani nie- masz pod ręką jakioj podobnoój rady?

– Jaby m wiedziała, coby tu można zrobić. Jest tutaj Denhoff... Alei.^

– Cóż pani o Denhoffie rozumiesz?

– Ja pierwiej o nim rozumiałam inaczej... ale dziś jest to najlepsza partya, jaka się może znaleźć na całą Polskę dla Zosi.

– A pan hetman?

– Mój mąż... i cóż ty chcesz dzisiaj od mego męża? Ale jak się wytrzeźwi, jestem przekonaną najmocniej, że przyjmie otwar- temi rękami Denhoffa. Gdyby miał rozum taki jak dawniej, toby nawet dziś jeszcze to zrobił, bo pomyśl tylko, w jakim on dzisiaj jest położeniu – i pomyśl sobie, czy prócz jednego Danhoffa może mu kto inny wrócić to wszystko co stracił?

– Tak, pani. Tak to jest rzeczywiście. I teraz dopiero możemy mieć tę rzecz za skończoną...

– Jakto, mój Jerzy? Czyż ty rozumiesz, że Zosia...

– Ja tak rozumiem. , Ale powiadam pani, że tylko dziś da się to zrobić. Dziś, albo nigdy! Dlatego idź pani teraz jaknaj- prędzój do Zosi, a ja będę się starał rozmówić ostatecznie z panem hetmanem.

–*,Ale poczekaj-no jeszcze, mój Jerzy. Czyż ty jesteś pewnym, że Zosia...

– Niech pani idzie do niej, to się pani przekona Ja już

Wszystko przygotowałem; kilka słów jeszcze od pani dokona reszty.

– Oh! mój Jerzy! coś ty za człowiek! Idźże, idź prędko do mego męża – a ja biegnę do Zosi. Bóg ciebie błogosławić będzie przez całe życie!

Z temi słowami hetmanow^ra wybiegła czemprędzój z komna« ty, -ę-H a Jerzy, nie mogąc się powstrzymać od uśmiechu nad skwa- pliwością, z jaką ci ludzie drą jego szaty i dzielą się niemi pomiędzy sobą, poszedł powolnym krokiem na pokoje, które już teraz były otwarte i przystępne dla wszystkich.

Tam też już zastał zgromadzonych hetmana, Denhoffa i Rzewuskiego, a przy nich i tych i owych co przedniejszycli dworzan hetmańskich. Komedia, rozpoczęta przez niego, grała się dalej, – ale już przeszła widocznie w nową fazę swego rozwoju. Niektórzy aktorowie pouchylali swych masek w połowie, inni już zrzucili dawne a wzięli nowe. I tak Rzewuski stał obrocony plec[^]ma do Denhoffa i rozmawiając z Granowskim, Bekierskim i innymi oficerami o losach konfederacyi, chwalił ctwarcie mężtw^o Branickiego, Wytrwałę trudy Potockich, roztropność Ledóchowskiego i zgoła wszystkich naczelników tej sprawy. Denhoff siedział przy Sie- niawskim najgłębszą okazując mu rewerencyą; siedząc, zaledwie się rogu krzesła dotykał, a mówiąc, składał ręce, pochylał głowę a czasem nawet, zasłaniając się zręcznie chusteczką, w lewej ręce trzyma- ną, prawą za kolana go ściskał. Sieniawski zaś, siedząc W wysokim krześle jakby na tronie, trzymał obydwie ręce założone na brzuchu, lecz przytóm skłaniał się często ku Denhoffowi, Uśmiechał się dosyć łaskawie, a wodząc przymrużonemi oczyma Po twarzach swych gości, zdawał się chcieć zwrócić uwagę wszystkich na siebie. Kiedy Jerzy wszedł do tej komnaty, Sieniawski

ani spojrzął na niego, – lecz co ważniejsza, za ledwie także spojrzeli na niego dworzanie. Już tam wiatr jakiś nowy i pomiędzy nich wionął, – Jerzy go dostrzegł i musiał się znowu uśmiechnąć. Wszakże patrząc w gromady dworzan, dojrzał on rzeczy jeszcze daleko ważniejszój. Oto dwóch Sasów stało pomiędzy nimi i jeszcze ktoś, jeszcze ktoś trzeci, – któż" to? – oto najukochańszy generał Baudycz w swojej własnej osobie. Kruki poczuły zór nowy dla siebie i zaczęły się już zlatywać pomału. Zapewne niedaleko gdzieś około zamku krążyły ich już całe stada. Lećcie, krążcie, zlatujcie się, pomyślał Jerzy w milczeniu, – za małą chwilę znajdziecie tu czyste pole dla siebie. Lecz jeszcze chwilę. Dajcie mi skończyć moją robotę, zrzucić więzy do reszty, uderzyć w skrzydła i wznieść się swobodnie po nad te mury, których bodajbym nigdy nie widział na życiu.

Niebawem potem dano obiad. Przy obiedzie grała się jeszcze tem lepiój i jeszcze daleko ciekawioj rozpoczęta komedia. Wystąpiły już tutaj wszystkie osoby razem, przybyły nawet i nowe. Przybył jeszcze i chór starożytny, złożony z całego dworu hetmana i hetmanowój. Główny węzeł kabały, toczącej się w górnych warsztatach populacyi zamkowej, nie był już niewiadomy nikomu, – czegoż-to nie odgadną dworacy! Ale jak stoją do siebie obadwa współzawodnicy, – na którą stronę przechyla się Zofia, – jakie są chęci rodziców, – było pozostawione domysłom. Ileż ztąd wróżb i obaw i niepewności! ile' uśmiechów niewczesnych, pochlebstw rzuconych napróżno, przymileń śmiesznych i niedorzecznych! Ile zdradzieckich zmian w sercach – a ile fałszów na ustach! A wszystko to Jerzy widział jaknajdokładniej, – on tylko jeden pragnął zakończyć czempredzej. Ale obiad się ciągnął długo, aż do znudzenia. Hetman, który podobno najmniej brał udziału w komedii, był dzisiaj w złotym humorze, nalewał się hojnie mał- mazyą, niewolił gości i zgoła tak się zrósł z kielichem i krzesłem, jak gdyby wcale nie myślał kończyć tego obiadu, który był męką nieznośną dla jednych, ciekawą krotoczwilą dla drugich, a dla Jerzego zwierciadłem, w którym niestety dziś po raz pierwszy oba- czyli serca tych ludzi w ich naturalnej postaci, z którymi tyle lat strawił w takich blizkich stosunkach.

Skończył się wreszcie ten obiad, a biesiadnicy rozeszli się po komnatach. Jerzy już tylko pilnował hetmana, aby go mógł gdzieś pochwycić na osobności. Trudno to było z początku, bo jakby na złość w ciągłym był oblężeniu. Przecież nakoniec pozostał przy nim tylko sam Baudycz, który nie zważając nic na to, że hetman kiwając się na tę stronę i owę, już tylko jednym okiem patrzył na niego, prawił mu jakąś długą oracyą niemiecką. Biednego Niemca, który przez cały przeciąg konfederacyi był jakby bębniem bitym i rano i wieczór, zapewne teraz znowu gdzieś potłuczono, prosił więc prawdopodobnie swego dawnego dobrodzieja o zapomogę i ztąd miał tak wielką cierpliwość, że lubo go hetman

nic a nic nie rozumiał i ciągle mu kazał rzecz rozpoczynać na- nowo, on rozpoczynał i wciąż opowiadał. Tak się Jerzy domyślał, a może zwolna, słuchał. Jakoż widząc to, najpierw odszukał Denhoffa-i dał mu znak potajemny, że mu chce coś powiedzieć. Ale wtóm jakby się oba zmówili, bo Denhoff także go szukał w tej chwili. Jakoż on piórwszy chwycił go skwapliwie za rękę i rzekł mu:

– Kochany mój generale! przepraszam pana stokrotnie za moją ranną nieufność. Mówiłem z panią Sieniawską w tej chwili i wiem już o wszystkióm. Wiem nawet mniój więćój, jak pan postąpiłeś ze Zosią. Cha, cha, cha, pan jesteś mistrzem nieporównanym. Wszystko co mam, oddałbym za to, aby się panu wywdzięczyć; ależ mój panie Jerzy! śmiósznymby tylko był w oczach pańskich z moją dla pana pomocą. Nam wszystkim, jak jesteśmy u steru państwa, terminować u pana.

– Wieleby się dało o tóm powiedzieć, –przerwał mu Jerzy ale nie czas potemu. Trzeba to skończyć, bo jak pan widzisz, samo idzie pięknie ze siebie.

– Czy teraz kończyć? jakże to pan rozumiesz? a wszakżeż to potrzebuje czasu.

– Cha, cha, cha! panie hetmanie! zbiierz się pan lepiój, bo cię nawet i do terminu nie przyjmę, Idźże pan prędko do Zosi i pal pan deklaracją formalną, a to w ten moment i bez żadnego namysłu. Ja jednocześnie przy hetmanie zasiądę, a kiedy ja od niego odejdę, – uważaj pan, kiedy ja od niego odejdę, niech moje miejsce zajmie pan wojewoda i niech powtórzy hetmanowi to samo, co pan masz do powiedzenia Zosi. Co się potóm dziać będzie, nie moja rzecz, potraficie już przecież skończyć bezemnie.

To rzekłszy, odstąpił prędko od Denhoffa i zbliżył się do Baudycza, siedzącego wciąż przy hetmanie, a schyliwszy się nad nim, rzekł głośno:

– Ej ! męczysz też generale pana hetmana bez najmniejszój litości. A godzi to się?

Zbudził się na to hetman i westchnął:

– Och! co mnie męczy, to męczy! A żeby mnie zabił, tak ani mi się śni nawet, o co mu chodzi.

Wstał tedy Baudycz i westchnął sobie z kolei., Ale go Jerzy pocieszył, szepnął mu zaraz do ucha:

– Bądź-no generał spokojny. Sukursy będą, ja je sam panu Wyrobię, tylko się trza z tóm zatrzymać do jutra rana.

Tak się go pozbył w ten moment i sam zasiadł na jego miejscu. Chciał hetman zapewne zatrzymać dopióro teraz na dobre, lecz widząc, że Jerzy siedzi i patrzy na niego, zapytał go:

– Cóż tam, mój Jerzy?

– Jegomość sobie drzómiesz w najlepsze, rzekł na to Jerzy Półgłosem, nachylając się trochę ku niemu, – a tutaj ważne rzeczy się dzieją.

– Cóż tam takiego? – zapytał Sieniawski, otwierając oczy nie bez pewnego przestraszenia.

– Czy jegomość wiesz, po co tu Denhoff przyjechał?

– Denhoff?... – powtórzył hetman, – Denhoff? No, przywiózł mi listy od króla.

– Ale prócz tego?

Odchrząknął na to Sieniawski, wyprostował się i rzekł pomału:

– Jużci ja niby się trochę domyślam. Ale

– Ale cóż?

– No, czyż to nie wiesz? przecież ja nie śpię a main zwyczaj pamiętać dobrze, com komu przyrzekł.

– Cóż to? cóż to? Ej! czy tylko jegomość nie myślisz jeszcze raz mego rozumu próbować! Ale nic z tego nie będzie. I nie radzę nawet wdawać się w takie próby.

Przecież jegomość wiesz dobrze, że ja znam się na żartach....if

– Na żartach? – zapytał hetman, – a czyby to żarty być miały, cośmy pomiędzy sobą postanowili w altanie?

– Ale daj-no jegomość pokój! i nie mówmy już o tórn. Do- czego to prowadzi? Ot! raczój pomyśl jegomość nad tem, co masz uczynić, bo zdaje mi się, że lada chwila przyjdą tu z deklaracją do pana.

Umilkł na to hetman i rzucając od czasu przenikliwemi oczyma na Jerzego, myślał przez chwilę. Poczóm, potrząc przed siebie, odpowiedział spokojnie:

– Jużci w tym razie nie miałbym długo się nad czóm namyślać. Jeżeliby Zosia nie była temu bardzo przeciwną, to ja nic wcale. Jeszcze to jeden jest człowiek, na którymby się mógł oprzeć i któryby mnie dotrzymał! Ale dlaczegóż ty taki hardy, mój Jerzy?

Uśmiechnął się na to Ożarowski i rzekł:

– Proszę jegomości, nie mówmy o tem. Jest to rzecz, która mi nawet nigdy nie powstała w głowie. Zważ tylko pan hetman sam, coby to była za nedorzeczność?

– Sery o to mówisz? – zapytał trochę żywiej i weselej Sieniawski.

– Jak pana hetmana kocham. A co to? do czegooby to było podobne?

– Otóż teraz dopiero widzę, mój Jerzy, – zawołał na to hetman, – że jesteś człowiekiem rozumnym i że nas kochasz, jak swoją własną rodzinę. Nie chodzi ci o fortunę i marne jakieś splendory, tylko o szczęście prawdziwe. A nie byłoby go w tym razie, jak Bóg żywy, ani dla nas, ani dla ciebie 11 Coby nas sama żona moja natruła, a co dopiero inni! Może nawet i Zosia za czasem... No, ale cóż to będzie? co powie Zosia? Mój Jerzy, zmiłuj się, kiedyś już tak łaskaw... albo nie! ja sam się rozmówię z Zosią.

To mówiąc, wstał i chciał odejść, aby poszukać Zosię, – ale wtóm Zosia sama się pojawiła u drzwi komnaty, idąc śpiesznym

krokiem ku ojcu. Była ona w tej chwili zarumianiona tak mocno, jak może nigdy, – co się w jój sercu działo, nieodgadniona to jest zagadka, – ale na pozór była wesołą i tak swobodną, jak gdyby wszystko się działo podług jój życzeń, a nawet miała jój przynosiło pociechę. Jerzy się wpatrzył w nią pilnie i może pierwszy raz dzisiaj uczył pewien niepokój.

– Mój ojczel! – zaczęła ona, przystępując do Sieniawskiego i nie zważając wcale na siedzącego w krześle Jerzego, – przychodzę do ojca z bardzo ważną nowiną.

– Cóż to jest, moje dziecko.

– Pan Denhoff mi się oświadczył.

– Pan Denhoff ci się oświadczył? no, więc cóż... cóżeś mu na to... – pytał ojciec z niespokojnością.

– Jam mu nic jeszcze nie odpowiedziała, • bo chciałam przecież...

– Cóż, moje dziecko? Tfel jak tu gorąco!

– Cheiałabym przecie słyszeć wolę rodziców.

'– Rodziców? a! oczówiście! no to dobrze... ale cóż mama? mówiłaś z mamą?

– Mama jest oczówiście za tem.

– No, a ty? a ty? moje dziecko.

– Ja? – rzekła Zosia, rzucając śmiałymi oczyma na Jerzego, a potem je spuszczać ku ziemi, – ja nie pragnęłam nigdy niczego więcej. , ♦

– Al no to i ja, naturalnie! – zawołał hetman i w ten moment rzeczywiście uczuciem wybuchnął, biorąc Zosię w objęcia i wołając ze łzami w oczach: – oh! moje dziecko kochane! ileż ty mi przynosisz pociechy 1

Tak trwała malutka chwilka milczenia, wśród której Zosia utuliła głowę na piersiach ojca. Wszakże w ten moment wyrwała się z tego objęcia i biorąc ojca za rękę, zawołała wesoło:

% .7- Chodźmyż więc, chodźmy, mój ojczel! matka nas czeka z niecierpliwością.

Ale wtem jednocześnie rzuciła wzrokiem na stojącego w milczeniu Jerzego i zawołała:

– Panie Jerzy! a panu co jest takiego? Cóż to! pan tak zbladłeś, tak smutny... Ach! doprawdy! jeżeliby to być miało, co mnie na myśl przychodzi... Ale nie! to być nie może! Pan przecie wiedziałeś dobrze, że to był żart tylko, któryśmy sobie z panem zrobili.

Jakkolwiekby, tego przecie się Jerzy nie spodziewał. Jakoż osłupiał na chwilę. Ale w ten moment rozśmiał się całą gębą i zawołał:

– Cha, cha, cha! bodaj też panią! A za "kogóż mnie pani miała?... Dajże mi pani tę złotą rączkę, niechaj ją ucałuję!

To mówiąc, ujął ją rzeczywiście za rękę i tak w wesołości rozgłośniej szli wszystko troje do hetmanów.

Ale tymczasem Denhoff, Rzewuski i hetmanowa szli już na przeciw nim, a kiedy się z sobą spotkali, nie potrzebowali już słów dla zrozumienia się wzajem, bo cała rzecz była jawną dla wszystkich.

Zaraz też w całym zamku głośna zapanowała wesołość, uderzono z dział z wszystkich strzelnic i murów, na basztach zamku zagrały huczne kapele, a kiedy cały dwór hetmański nie potrzebował więcej jak jednej chwili, ażeby się rzucić w galę świąteczną, to i zamek hetmański ubrał się w ten moment w to wszystko, co było potrzebne do wspaniałego i rozgłośnego festynu.

Widząc tę nagłą i tak upragnioną zmianę około siebie, hetman wpadł w złoty humor i otworzył serce swoje na ścieżaj. Jakoż posłał w ten moment sto wołów i sto beczek rozmaitych napojów dla miasta, wszystkich co mogli się zmieścić na jego pokojach kazał zaprosić do siebie, oświecił zamek od szczytu wieży do fundamentów jarzącymi światłami i wydał ucztę tak wspaniałą i hojną, na jaką się tylko mógł zdobyć, ucztę Heliogabala. I powróciły czasy dawnej świetności nańowo. Trysnęły znowu' wo- niejącymi wodami pozasychane fontanny, otworzyły się zardzewiałe zamki piwniczne, wino się rozlało strumieniem, pogaszone księżycy i gwiazdy rozgorzały stubarwnemi światłami, a cały zamek zaniósł się tańcem, wesołością, swawolą. Sam hetman, jak gdyby odrodzony nańowo, z dawną fantazyą rej wodził wszystkiemu. Trzymając w ręku lśniącą od pereł i złota, drogocenną czarę z koralu i napełniając ją wonnym jak promień słońca pło- mieniem nektarem, obchodził wszystkich kolejną, głosząc zdrowie królewskie, jego wiernych przyjaciół, pana młodego i jego swata i wszystkich gości zamkowych. Tak przyszedł także i do Jerzego, który stał pod zasłoną cyprysów i sam jak cyprys stęskniony gwałtem wyrwał się z gwaru tój ucztę pogańskioj, lecąc na owe pola dalekie, gdzie wsie i zamki oświócano pożarem, biesiadowano przy pieśniach kruków obnażających kości poległych, a trud i praca zastępowała tańce i swawolę.

– Jerzy! mój Jerzy drogi! – zawołał do niego hetman, – chodź, niech cię do mego serca przycisnę! Tyś to jest sprawcą mojego szczęścia, tyś mi wydał tę wielką ucztę, jakiej nie miałem jeszcze na życiu! Tyś moim zbawcą, – ja, gdybym mógł, włożyłbym tobie koronę na głowę. Ale słuchaj! 'Co mogą dać moje państwa, co się znajduje w moich komorach i skarbach, – bierz, ile ci się podoba. Nie mam dzisiaj do odmówienia dla ciebie! Chodź, niech cię do mego serca przycisnę!

To mówiąc, rzucił koralową czarę na ziemię, że się rozbry- zgnęła w kawałki, dzban kryształowy wyrzucił z ręki, a jego wziął w swoje objęcia.

– Panie hetmanie! – rzekł na to Jerzy po chwili, – jest-to niezmierną dla mego serca pociechą, że pana widzę znowu w takiej radości. Widok ten jest tak wspaniały dla mnie nagrodą, że

mi nic więcój nie trzeba. Ale kiedy pan hetman tak hojny jesteś w .tój chwili, to będę przecież z tego korzystał i jedną łaskę sobie wyproszę.

– Mów, co ci się przyśni. Wszystko się stanie, jak chcesz!

– Ja chciałbym jutro odjechać, – rzekł Jerzy.

– Odjechać?... a dokądże to? Przecież mnie nie zechcesz porzucać ?

– Oh! o tóm nie myślę. Lecz odebrałem listy, że matka moja ma się niedobrze.

– Matka twoja? Ha! to jedź! Weź sobie koni i ludzi, ile ci trzeba, nabierz pieniędzy na drogę; chciałbym przecież, żebyś się w twojój ojczyźnie pokazał jakoś po ludzku. Bierz! bierz, ile zechcesz a powracaj nam prędko.

– Z tego wszystkiego, – rzekł na to Jerzy, – ja na teraz nie bardzo będę korzystał, bo mało co mi potrzeba. Ale kiedy pan hetman zostawiasz mi wolną wolę zabrać co mi się będzie podobać, to jedną rzecz przecie wezmę ze sobą.

– Weź! weź choćby dziesięć! wszystko ci wolno... Im więciej weźmiesz, tóm mnie więcój ucieszysz.

To mówiąc, wziął go pod ramię i zaprowadził w wir szalejącej swawoli, w którój tóż utonęli obadwa.

Wszakże niebawem potóm wysunął się Jerzy milczkiem z tego rozgwaru i pobiegł śpiesznie do swoich komnat. Lubo już zrzucił ów główny ciężar ze swego serca, duszno mu jednak było pomiędzy ludźmi, – trzeba mu było samotności, swobodnego oddechu, powietrza. Toż zatrzasnąwszy drzwi swojej komnaty za sobą, stanął na środku, otrząsł się jakby z zimnój kąpieli i zawołał do siebie:

– Ha! rzecz skończona nareszcie! Zmiotłem ze siebie tę pleśń cmentarną, która mnie już o mało nie pochłoneła całego: jestem wolny i odrodzony na nowo! Witaj mi, złota swobodo, z twojóm wiosennem słońcem i orzeźwiającóm powietrzem! Wróciłaś do mnie trochę zapóźno, oh! ale to tylko moja w tem wina!..

Tu się zamyślił na chwilę, a potem znów mówił:

– Oh! bo i cóż to za myśl była nieszczęsna, spuszczać się w groby z żądzą wskrzeszenia umarłych? chcióc obudzić do życia tych, których już tak cuchnąca roztoczyła zglinizna? zapalać światło, gdzie coraz grubsza zapada ciemność? rozniecać ciepło, gdzie iskry mroźne wystąpiły na zewnątrz? – Precz! precz odemnie, i niechaj pamięć tego zaginie, żem kiedyś miał takie złudzenia! Umarli mogą tylko śmierć przynieść ze sobą; żywych potrzeba, aby usłużyć życiu! Dalój pomiędzy żywych!

Tak stał jeszcze przez chwilę i patrzył zamyślonemi oczyma w obraz Matki Najświętszój, który wisiał przeciw niego na ścianie Zbudził się wreszcie, przystąpił blisko do niego, ukląkł na ziemi, a złożywszy ręce w pokorze, zawołał sercem wezbranóm:

– Tobie to winien jestem, o moja Matko Najświętsza! żem

nie utonął w tych mętach, które złotem otaczając mnie snami, zagrażały mnie coraz głębiej i głębiej w sióć pleśniej ącój martwoty. Nigdybym bez Twojej opieki nie był zrzucił tych więzów, które mnie już kusić zaczęły swymi perłami i złotem! O! nie wypuszczajże mnie i nadal z Twojej świętej opieki! Moją pracę i prawdę którą i tutaj nie porzuciłem ani na jedną chwilę, trzymaj wciąż w Twojej obronie i prowadź – prowadź mnie dalej w to trudne i tysiącami pokus najeżone życie, które od tego czasu im tylko niech będzie poświęcone na wieki!

Z temi słowami upokorzył się jeszcze niżej i zapadł w ową czystą, spokojną i świętą modlitwę, która dawnymi czasy służyła na niego codziennie, lecz którą błogość od dwóch lat dziś po raz pierwszy uczuł całkiem świadomie.

Tymczasem pod ową porę już i gwary uciech zamkowych zaczęły powoli przycichać, a wkrótce potem wyczerpana swawola ustąpiła swojego miejsca, ciszy i spoczynkowi. Uszczęśliwiony hetman spał jak zabity, – lecz kiedy nazajutrz rano się zbudził, to przecież przed wszystkimi innymi o Jerzego zapytał. Ale Jerzego już nie było na zamku. Był tedy hetman nadzwyczajnie ciekawy, jak tóż skromny Sodalis z jego hojności skorzystał i począł się rozpatrywać, czego tóż razem z nim brakło na zamku. Ale wszystko było na swoim miejscu, – tylko całego pułku Sodalisów nie było.

XXIV.

Nim potrafimy odszukać Ożarowskiego, który ku wielkiemu zdziwieniu całego dworu hetmana zniknął tak nagle ze zamku, – powróćmy na chwilę do przerwane go opowiadania dziejów konfederacyi.

Ostatnim faktem, przez nas wspomnionym, był zjazd w Rawie ruskiój, mający na celu zawarcie traktatu pomiędzy walczą- cemi stronami i położenie ostatecznego końca tój wojnie.« Traktat ten, jak się o tóm już także napomknęło powyżój, skutkiem przezorności Ledóchowskiego, nie doszedł, – po zamknięciu narad usiłował Fleming wyjednać przynajmniej zawieszenie broni do końca maja, ale i na to nie zezw^olono, – a tak konfederacya znalazła się w położeniu rozpoczęcia działań wojennych nanowo, rozpoczęcia ich nawet z podwojoną energią, a przytem i poczynienia wszystkich tych kroków dyplomatycznych, które jój nakazywał słuszny wzgląd już na powagę i znaczenie zewnętrzne, już na każdą możliwą przyszłość tak ważnój sprawy.. Tym końcem został przed wszystkim innóm nanowo zredagowany manifest do wszystkich panów Europy, w którym opowiedziano dokładnie tak po- Wody, jak i zamiary tego powstania. Przy wyłuszczeniu powodów rozszórzono się nawet tak bardzo, że nie ominiono najmniejszych złościwości wyrządzonych, czóm się usprawiedliwiono aż nadto z samego czynu, mimo to jednak nie zapomniano i tego wypowiedzieć wyraźnie: że ponieważ konfederacya niema nic więcój na celu, jak tylko przywrócenie świętości wierze, spokojności Rzeczypospolitej i bezpieczeństwa jój członkom, to byle tylko król chciał napowrót wstąpić w granice pactów i konstytucyi, ona jest

każdą chwilę gotową do uczynienia pierwszych kroków do zgody. Manifest ten tedy był, jak to widać na pierwszy rzut oka, napisany bardzo roztropnie: jak bowiem z jednej strony ubezpieczał konfederacyi w obec całego świata godność jej przynależną, tak znowu z drugiej dawał niejako rękojmię dworom, że tylko przywrócenie powagi praw, bez żadnej chęci uwłóczenia powadze tronu, jest jej zamiarem. Z tym manifestem wyprawił Ledóchowski natychmiast posłów do wszystkich dworów Europejskich. Niektórzy z nich wszakże, prócz tego aktu, otrzymywali jeszcze i polecenia szczegółowe. I tak np. Romanowski i Trezer, wysłani do cesarza Piotra Wielkiego, bawiącego podówczas w Gdańsku, mieli rozkaz prosić tego monarchę o pośrednictwo pomiędzy konfederacją i królem. Prośba ta, w samą istotę rzeczy, nie mogła sobie obiecywać na-, tychmiastowych skutków. Po zachowaniu się feldmarszałka Fleminga na zjeździe w Rawie i po otrzymaniu prawie w tym samym czasie na ręce Ciechońskiego pisemnej odpowiedzi królewskiej, było rzeczą aż nadto widoczną, że stronnictwo królewskie nie straciło jeszcze wcale nadziei stłumienia konfederacyi siłą i w skutek tego jest jeszcze bardzo dalekiem od rzetelnych chęci zawarcia zgody.

Lecz niemniej przeto była ta prośba krokiem bardzo roztropnym, już to dlatego, że zawartą przeszłego roku umową w Gdańsku pośrednictwo tego monarchy było oddawna już przewidzianem, już nareszcie dlatego, że takiego pośrednika, który miał sto galer pod Gdańskiem a osiemdziesiąt tysięcy żołnierza na granicach Polski i patrzył ciągle z niedowierzaniem na wzburzoną Rzeczpospolitą, trzeba było wciąż przekonywać faktami, że ta konfederacya nie ma żadnego współnictwa ze Szwedem, o co mu głównie chodziło i co jedynie mogło go utrzymać w neutralności względem tej sprawy. Prócz tego Morsztyn, starosta duninowski, wysłany z tymże samym manifestem do Wiednia, miał polecenie prosić chrześcijańskiego cesarza o dyplomatyczną interwencyą do króla, – Bekierski zaś, wyprawiany do Carogroda, zlecenie zawiązania przyjaznych stosunków pomiędzy skonfederowaną Rzeczpospolitą a Portą. W tych Wszystkich aktach dyplomatycznych konfederacya mianowała się już, „skonfederowanemi stanami Rzeczypospolitej polskiej”⁴ – który to tytuł, przyjęty na miejsce skonfederowanych województw, dał nietylko jej samą pod każdym względem daleko donośniejsze znaczenie, ale zarazem delikatnie do zrozumienia królowi, iż gdyby się uparł przy swoim i nie pomyślał zawczasu o zgodzie, to konfederacya byłaby w stanie nawet przeskoczyć granice swoich dotychczasowych zamiarów.

Jednocześnie z tak bardzo ważnym postępowaniem, dokonanym na drodze dyplomatycznej, przystąpiono do działań wojennych. I wzięto się do nich z taką energią, na jaką tylko można się było zdobyć w tej chwili. Jakoż istotnie, w kilka tygodni po ostatecznem zerwaniu

zamierzonego traktatu w Rawie, konfederacja podniosła się z całą siłą nanowo i rozpoczęła wojnę odrazu na wszystkich punktach.

Litwa znudzona bezbarwnym usposobieniem Pocięja, który ją najrozmaitszemi środkami do bezczynności zniewalał, zjechała się powtórnie do Wilna pod koniec marca i obrawszy Sulistrowskiego, chorążego oszmiańskiego, nowym generalnym marszałkiem, nową też zawiązała konfederacją. Skonfederowano się teraz jaknajzupełniej na wzór Małopolanów, zamknięto trybunał i wszelkie sądy, złożono natychmiast po 16 złotych z każdego dymu, a wystawiwszy bezzwłocznie dosyć potężny zastęp z armatami i artylerią, ruszono w pole. Jakoż istotnie jeszcze za śniegu przetrzepano po kilka razy generała Ekszteta i przepłoszono aż w województwo krakowskie, a po uporaniu się z nim, wzdęto się bez zwłoki do Weissenfelda i rozpoczęto z nim wojnę zawziętą...

Tymczasem, kiedy się to działo na Litwie, Gniazdowski, wyprawiony do Ledóchowskiego na czele dwóch tysięcy żołnierza, już był w pochodzie na Wielkopolskę. Wielkopolskie, lubo konfederacja ta trwała już prawie pół roku, a od tego czasu, jak podgórzanie ją rozpoczęli, minął już rok całkowity, nie dali jeszcze żadnego znaku życia. Byli oni bezwątpienia wcale nie gorszych chęci niż wszyscy inni, ale znajdowali się w trudnych okolicznościach. Korpus obserwacyjny pod dowództwem generała Szerepietiewa stał tam niedaleko, a często i w ich granice zaglądał, – król August II chronił się do Poznania i zasiadł tam pod zastoną kilku tysięcy wojska i wszystkich zamków swoim osadzonym żołnierzem, – a wreszcie, trudno tego zataić, że i stronnictwo saskie było tam najsilniejsze, a duch antykonfederacki rozprzestrzeniony tak bardzo, że nawet i pomiędzy partykularną grasował szlachta.

Na czele tego stronnictwa stał Radomicki, wielkopolski generał, człowiek rozumny, energiczny i zręczny, a ten, nawspół ze swymi braćmi i koligatami, czuwał tak pilnie nad wewnętrznym spokojem kraju, że nie tylko dotychczas do uczynienia żadnego publicznego aktu na korzyść konfederacji nie dopuścił, ale nawet i pojedyncze wybuchy tu i owdzie zdarzone utłumiał po kolei w samym zarodzie. Była tam tedy niełatwa sprawa w tej Wielkopolsce – i dlatego też Ledóchowski posłał tam Gniazdowskiego, człowieka walecznego po szalonemu, pełnego determinacji rzadko napotykanego, a nawet i gwałtownego cokolwiek. Taki też tylko człowiek mógł podołać temu zadaniu, które przez wielu naczelników konfederacji było wprost uważane za niepodobne. Może i on nawet byłby mu nie podołał, gdyby jednakże nie to, że sobie naprzód uścielił drogę do niego. Jakoż wyrwawszy się z swymi doborowymi ludźmi, z Lubomli, wpada on na jęcio w na Sasów pod Ryczywołem, bije ich niespodzianie, odwraca się w ten moment na Piotrków, i bije ich pod tym miastem powtórnie. W Piotrkowie dowiaduje się, że Fleming, przestraszony po części tym nowym wybuchem konfederacji, po części zaś już poodbieranymi wiado-

mościami o klęskach Baudycza i Weissenfelda, o których się dowie poniżej, pędzi na radę do króla bawiącego w Poznaniu i znajduje się właśnie w tój chwili w Wolborzu. Wpada tedy Gniazdowski na Wolbórz, bierze to miasto, oblega kolegiatę do której schronił się Fleming i już ma wziąć jeńcem tego głównego wroga, a nawet piórwszego instygatora tej wojny, – jednak przebiegły Niemiec goli tymczasem brodę, przebiera się w habit dominikański, wymyka się pod tą larwą z osaczonego miasta, a zarazem i z rąk Gniazdowskiemu. Dostał się wtedy Fleming jeszcze tem prędzój do Poznania i połączył się z królem, lecz nie bez wstydu pokazał się królewskiemu dworowi bez brody, której nie miał ogolić aż po wytępieniu konfederatów, a przytóm napełnił dwór króla i niemałym popłochem, którego powody dla usprawiedliwienia siebie samego musiał jeszcze podwajać. – Zmartwił się niepomatu Gniazdowski, kiedy nie znalazł Fleminga, ale choć tóm się pocieszył, że mu brodę ogolił, jakoż go potem „Golibrodą” nazwano i pozostało mu to imionisko do śmierci. – Nie bawiąc się jednak zbyt długo ani smutkiem, ani pociechą, wrócił bez zwłoki ■ do Piotrkowa, kazał milczeć trybunałowi, zamknął sąd ziemski, a zabrawszy ztamtąd cokolwiek ludzi, poszedł do Częstochowy, wszedł do niej, opatrzył jój środki obrony i na małą chwilę wypoczął, ażeby ubrać i umontować prawie drugie tyle ochotników, którzy się pozbiegali do niego. Skończywszy wszakże w lot to zajęcie, wypadł znowu z fortecy, dał walną bitwę Sasom pod Kozięgowami, a odniósłszy nad nimi świetne zwycięztwo, rzucił się za Eksztetem, zastępującym mu drogę i szarpiącym go uporczywie po nocach. Wszakże i z tym udało mu się uporać: w części go potłukł, a w części tak szczęśliwie przepłoszył, że się go pozbył nareszcie – i wszedł do Wielko-Polski, poprzedzony najpierwój popłochem zanesionym tam przez Fleminga, a oprócz tego i własną sławą. Były to tedy okoliczności bardzo szczęśliwe, które towarzyszyły jego zamiarom; jakoż z nich korzystając bez zwłoki, zawołał szlachtę pod Kościan w celu zawiązania konfederacyi. Mimo to jednak jeszcze się nie obeszło bez uporczywych sprzeczności. Agitacya Radomickich wybujala już w tak dojrzałe owoce, że się sprzeciwiono Gniazdowskiemu wśród koła. Sprzeciwiono się otwarcie i śmiało konfederacyi, a jeden z szlachty uniósł się nawet do tego stopnia, że obrzucił tę sprawę całym potokiem obelg i krzywdzących zarzutów. – Gniazdowski wszakże, zniecierpliwiony tem, a nareszcie i obrażony do żywego, unosi się także, porywa za pistolet i tym gwałtownym czynem ratuje szczęśliwie swą sprawę .w chwili największego niebezpieczeństwa. Jakoż jeszcze dnia tego samego zawiązała się konfederacya Wielko-Polska, której marszałek Skórczewski, dawny generał króla Stanisława, wziął się do rzeczy tak raźnie, że do kilku tygodni Wielkopoleanie wystąpili tak ludno, jak mało która prowincya, a miasta powystawiały rajtarye umontowane tak pięknie, że je miano za najpię

kniejsze w całej konfederacji. Po dopełnieniu tego aktu wysłano zaraz Radzyńskiego, Mielżyńskiego i dwóch Ponińskich posłami do konfederacji, poczem bezzwłocznie ruszono w pole, wzięto Wschowę, Osieczną i zbito Sasów pod Leszmem.

Śród takich powodzeń na Litwie i Wielko-Polsce, wcale nie mniejsze robiła konfederacja postępy w Małopolsce, na Wołyniu i Rusi. Wszyscy dawni dowódcy tutejsi powstałi z wrzącym zapalem – a oprócz nich wystąpili jeszcze i nowi. Tak zjawili się wtedy na scenie wojny Kołaczkowski, Zagwojski, Wyżycki, dał się poznać rozgłośniej Jan Bobrownicki, wodzący w zastępstwie Stetkiewicza Sędmierzanów, rozniosły się także wieści o Ożarowskim. Ten ostatni, jak powiadano, miał wyprowadzić z Brzeżan cały pułk infanterji i tórn się najpierw odznaczył, że napadł na Przemyślany, konsystujących tam dwustu Sasów wyciął do nogi, milicją hetmańską zabrał, wcielił do swego pułku i poszedł ztamtąd na Zborów. W miasteczku tórn zastał pułkownika Fleischmana, prowadzącego kilka wozów łupów i kilkunastu jeńców konfederackich z Wołynia do Lwowa. Uderzył na niego w samo południe, właśnie gdy stał z całym swoim taborem na rynku, zbił go, jeńców odebrał, a jego samego i łupy odesłał Ledóchowskiemu. Z tego zdarzenia powzięto o nim pewną i dość pochlebną wiadomość w generalnym kole konfederacji, jakoż Ledóchowski posłał zaraz kuryera do niego, chcąc go sprowadzić do siebie i użyć wedle jego zdolności; ale kuryer już go nie zastał w tój okolicy. Znalazł tylko wieść o nim, jakoby się gdzieś koło Złoczowa rzucił dość nieopatrnie na znaczną komendę Sasów i poniósł klęskę od nich niemalą.

Nie uległ wszakże, wiedziano bowiem, że z pod Złoczowa poszedł na Brody, wyparł z tego miasteczka załogę saską i udał się potóm w głąb Wołynia.

Opowiadano później, że się połączył

z Wyżyckim i wywarł przeważny wpływ na bitwę, stoczoną przez tego wodza pod Począjowem, w której 600 Sasów poległo, – jednak następnie miano go widzióc pod Oleskiem, nocującego we Wsi, a w kilka dni później rzecz była pewna, że wpadł do Glinian, jakieś niedobitki saskie tam zabrał i pociągnął ztamtąd w okolice Lwowa. Były to tedy same piękne rzeczy, które się o nim nosiły – zwrócono tóż na nie tórn bacniejszą uwagę, ile że to był konfederat prawie najświówszy ze wszystkich, działający bez Porozumienia się z Ledóchowskim i skutkiem swojej przeszłości jaknajmniej przewidywany. Jakoż sława jego byłaby się bez żadnych kwestji rozszórzyła po całej Polsce, gdyby jednakże nie to, że inni, opatrzeni daleko większemi siłami, jeszcze daleko głośniej

odznaczali od niego.

I tak Jan Bobrownicki, wstawszy także nanowo, przerznął się z zebranemi przez siebie siłami bardzo walecznym marszem z Sandomiórskiego na Wołyń i na wspórn ze Stetkiewiczem stoczył pod Wiśniowcem jedną z najznamienitszych bitew owego czasu.

W tej bitwie odznaczył się taką przytomnością, znajomością sztuki wojennej i osobistą odwagą, że powinien był ztąd odrazu rozgłośną uzyskać sławę i jaknajszersze pole do dalszych działań. Ale właśnie z powodu tój bitwy zaczęło się pomiędzy nim a marszałkiem konfederacji sandomierskiej, chociaż blizkim mu krewnym, nieporozumienie tak wielkie, że dla uniknienia dalszych podobnych zgorszeń Bobrownicki musiał dopuścić do rozdzielenia się z swoim kolegą i działać dalej na własną rękę, skutkiem tedy małodusznej zazdrości drugich, zamiast coby się miał stać jednym z najpiękniejszych bohaterów tój sprawy, musiał on się z małemi siłami na bardzo małe zacisnąć pole, ciężkie ponosić trudy, niebezpieczne przedsiębrać prace, a pomagając innym do rozmnożenia się w sławie, sam poprzestawać na bardzo skromnej, bo tylko w własnem sumieniu znachodzonój nagrodzie. Strawił on jednak tę boleść w sobie i bez skargi na ustach walczył ze swoją garstką wytrwale, a mając tylko dobro pospólne na celu, za doświadczoną obojętność "od drugich, wszystkim się najczynniejszym wywzajemniał udziałem.

Taki był los dotychczasowy miecznika.– Równym natchnieni duchem, a szczęśliwsi od niego inni, odnosili tymczasem -coraz to głośniejsze zwycięstwa". Tak Kołaczkowski, uwijający się rzeżko po Litwie, napadł pod Świerżem na Sasów i wzięwszy generała w niewolę, całą jego komendę wyciął do nogi, – Wyżycki, położwszy u Poczajowa sześciuset Sasów, puścił się w pogoń za resztą i prawie wszystkich wyłowił, –toż prawie w tym samym czasie Sokolnicki stoczył walną bitwę pod Bełzem i siedemset trupów nieprzyjacielskich pozostawił na polu. Za ich przykładem poszli i inni pomniejsi, a kiedy wrzeszcie wrząca zawziętość wzięła z obu stron górę nad spokojną bohatorską odwagą, zamieniły się owe czasy w najstarszliwszy sąd Boży.

Jednakże najsilniejszy ze wszystkich, najdzielniój się popisywał niezmordowany Michał Potocki. Za wzięcie i zrabowanie Lwowa mając przed wszystkim generała Baudycza na oku, gonił on za nim bez odetchnienia już od pierwszych dni marca. W celu tem pewniejszego złowienia tego nienawistnego Niemca, który oprócz wierności swcjemu panu, niczem innem się nie odznaczał, rozłączył on się ze swoim bratem, starostą bełzkim, i każdy z nich chodził swym własnym dworem. Przez czas niejaki i ta podwójna zapobiegliwość nie przyniosła skutku, a niecierpliwy pisarz musiał tymczasem tłuc Sasów innych, nieraz dó zadziwienia piękne staczając bitwy, a w^każdój z nich odznaczając się osobistą odwagą, pogardą trudów i wytrwałością, służącą wszystkim za wzór niezrównany. Przeworność tylko nie miała podobno miejsca pomiędzy jego cnotami. Młodszy od niggo i jeszcze daleko gorętszy starosta, miał wprawdzie daleko więcój spokoju, a ztąd i dalej sięgający wzrok w radzie; lecz z szablą w ręku dziwnie był niecierpliwym i jeszcze daleko nieprzeworniejszym od niego. Jakoż

i wtenczas, chcąc koniecznie Baudycza, siedzącego we Lwowie, Wywabić na czyste pole, stanął pod Winnikami i ztamtąd mu rozmaite wyrządzać psoty. Wypatrzył Baudycz sposobną chwilę, Wypadł na niego i tak potężną zadał mu klęskę, że go wszystkich pozbawił ludzi. Starosta sam tylko ręczością swojego konia Umknął pewnej niewoli. Na szczęście wszakże brat jego, jakby przecuciem wiedziony w tę stronę, złączył się był właśnie po, drodze z Zagwojskim*, opatrzonym w piechotę, której sam nie miał, i szedł ku Lwowu. Napadł też zaraz na olśnionego i zuchwałego świeżem zwycięstwem Baudycza, i tak dosadną wziął nad nim pomstę za brata, że mu piechotę w pień wyciął, armaty zabrał z kretesem, a z całego pułku dragonów, wynoszącego tysiąc czterysta koni, tylko sześćdziesiąt szabel zostawił. Tak haniebnie skonfundowany Baudycz, nie śmiejąc już oka pokazać swoim, udał się po sukursy do Sieniawskiego, – pisarz zaś, także może cokolwiek więcej uradowany swoim zwycięstwem niż było trzeba, zamiast wziąć zaraz Lwów i swoim go osadzić żołnierzem, rozłączył się ze Zagwojskim, a sam poszedł ku Litwie, gdzie księżę Weissenfeld uporczywie się bronił porozstrzelanym na małe garstki Litwinom." Za nadejściem pisarza, wzięto tego uporczywego księcia jakby w dwa ognie, wszakże i to jeszcze nie zbiło z tropu tego bez żadnej kwestyi najwaleczniejszego z saskich dowódców, który tóż, mając około pięciu tysięcy ludzi, ani myślał ustąpić z pola. Jakoż istotnie Unikając stanowczych bitew, majaczył on przez całą wiosnę tak zręcznie, że wprawdzie nie uniknął strat i niepowodzeń koniecznych, ale się trzymał ciągle, a za doznawane kolejną klęskę nieraz się nawet sownie odwdzięczał. – Przyszło przecież z początkiem lata do tego, że się nareszcie umęczył, zmałał do trzech tysięcy ludzi i podupadł widocznie, – wszakże natenczas wydarł się marszem odważnym z tych kleszczów i poszedł podwójnym krokiem na Lwów, które-to miasto, jak się wspomniało powyżej, było w rękach komendy saskiej. Spostrzegł się wtedy dopiero Potocki, jak nieopatrznie sobie postąpił, że nie odebrał Lwowa zawczasu, – teraz tam Weissenfeld odebrane rany w swojej kampanii litewskiej mógł tam najbezpieczniej wygoić....

Osmucony temi wydarzeniami pisarz i pragnący ten błąd swój naprawić, przybiegł trop w trop za Weissenfeldem, ale go nie doścignął przed Lwowem. Zasiadł tedy tymczasem w Żółkwi, aby się namyślić, co tu począć w tym razie. Nie brakło mu na doświadczonych doradcach, był przy nim jego waleczny regimentarz Wapowski, był Trojanowski, Wiszowaty, Peplowski i inni żołnierze starzy: nie brakło mu także na silach, miał trzy tysiące ludzi przy sobie, wielki wprawdzie brak infanteryi, ale armatki i porządku, – mimo to jednak rada tu była niełatwą. Weissenfeld bowiem miał nietylko także trzy tysiące ludzi swych własnych, i osiemset głów dobrze utrzymanej piechoty garnizonu lwowskiego, przynajmniej z tysiąc niedobitków, którzy się w czasie okor

licznych utarczek tam pozbiegali, a nareszcie i mury, opatrzone armatą. ^Przypuścić tedy szturm do tak opatrzonej fortecy, zwłaszcza przy braku piechoty i artylerii stosownej było rzeczą tak hazardowną, że trudno się było po niej spodziewać chwały, a wy-, wabić Weissenfelda z bezpiecznych murów na czyste pole zdawało się prostym niepodobieństwem. Zaczóm cała nadzieja pisarza opierała się zrazu li na tem, że książę, odpocząwszy i zasiliwszy się w mieście, sam wyjdzie w pole, ażeby dalszą prowadzić wojnę. Domysł ten zdawał się wprawdzie dość niepodobnym, a to dlatego, że w owę porę już się były zaczęły nowe przedwstępne kroki do rozpoczęcia traktatów, – mógł tedy Weissenfeld mieć już rozkaz wyraźny pozostania we Lwowie; – jednakże wtedy były już także wieści, jakoby król do Janowca przyjechał, pościągał wszystkie komendy swoje pod Gołąb, kazał powstrzymać ze swojej strony dalsze kroki wojenne i postępować miał do układów, – można się tedy było spodziewać, że i Weissenfeld także do tego obozu pociągnie i na tem opierała się cała nadzieja pisarza. Cóż-l kolwiekby, postarał on się o to przed wszystkióm, ażeby o ile możności wzmocnić swe siły i porzysłał kurierów na wszystkie strony, zapraszając każdego kto w Boga wierzył do siebie. Słyszając o tylu rozmaitych dowódcach, kręcących się po tych stronach, był tego pewnym, że co najmniej to swoje siły podwoi. Ale nie było to tak łatwym w takiej wojnie dowolnej i podjazdowej. Przyciągnął wprawdzie do niego Jan Bobrownicki z trzema setkami konnych i przetrzebioną jedną kampanią piechoty, w parę dni po nim przybiegła garsteczka Litwy, na dobrych koniach i uzbrojona dostatnio; ale potem przez cały tydzień nikt się cej nie zjawił. Wysłał był pisarz także swojego brata do Ledóchowskiego, przedstawiając mu, że Weissenfeld stanowi dzisiaj jakoby główną siłę królewską, że on tylko trzyma się jeszcze tu i owdzie komendom otuchę, zaczóm gdy on ostatecznie zwyciężonym zostanie, będzie to prawie jak koniec wojny; prosił tedy Ledóchowskiego na miłość Boga o sukurs, o wszystkie wojska, jakimi tylko dysponować może w tej chwili* "a. gdyby nic nie mógł osiągnąć tak prędko, to żeby mu przysłał bodaj ze cztery chorągwie, bodaj nareszcie li jeden tysiąc piechoty, który ma przecież przy sobie.

Poleciał starosta z tą depeszą na dzień i noc, zmieniając konie po dworach i pędząc bez odetchnienia, – jakoż niebawem przysłał mu bardzo obszerne sprawozdanie na piśmie, ale wojska nie przysłał. Z tej depeszy dowiedział się pisarz, że Ledóchowski g° jaknajzupelniój zrozumiał, zgadza się z nim, każe koniecznie bić Weissenfelda, pragnie jaknajgoręćój odniesionego nad nim zwy- ciężstwa, bo toby niemiernie ułatwiło układy, ale sukursów mu posłać od siebie na żaden sposób nie może; najpiórw dlatego, iż w obec zbierającego się pod Gołąbiem obozu, nie może sam pozo

stać bez stosownego okrycia, a powtóre dlatego, iż preliminaria do układów zaszyły już tak daleko, iż niepodobna mu jest własną ręką przycichłą wojnę zapomagać nanowo. Działo się to podobno już w sam dzień podpisania rozejmu. Mimo to wszakże starosta pozostał jeszcze przy Ledóchowskim, spodziewając się, że może przecież jeszcze coś zyska i choćby milczkiem jakiś sukursik z tak potrzebnej, ba nawet niezbędnej dla pisarza piechoty uprowadzi od niego; ale przy tej nadziei nie zaniedbał dodać uwagi, iż sprawa powszechna teraz tak stoi, że nie godzi się już żadnemu dowódcy grać gry niepewnej i narażać się lekkomyślnie na straty: „lepiej dziś wcale pozostać bezczynnym, niżeli odnieść nawet zwycięstwo, a drogo za nie zapłacić.”

Właśnie co za nadejściem wieczoru zasiadł był pisarz w refektarzu u Bazylianów ze swoim sztabem do rady, kiedy mu tę depezę oddano. Odczytał ją, rzucił na stół z niechęcią i rzekł:

– Otóż i poseł! Nic nie zrobił, dał się przekabacić kon- szachtowiczom i sam ugrzązł pomiędzy nimi! Jeszcze do tego i mnie się ze swoją radą narzuca! Bodajby diabeł wziął taką robotę!

To rzekłszy, sapiąc mocno, od gniewu, zaczął się wielkimi krokami przechodzić po refektarzu. Wzięli tymczasem ową depezę drudzy, przeczytali ją i zaczęli się nad nią naradzać półgłosem. Co do'szczegółów rozmaite tam były pomiędzy nimi zdania, ale w ogóle prawie wszystkim się zdało, że starosta pisał bardzo rozsądnie, bo kiedy preliminaria zgody zaszyły już tak daleko, - że rozejm już podpisany, albo lada dzień ma się podpisać, a wysłannicy obu stron już się zbierają w Lublinie, to na cóż dalszą prowadzić wojnę, zwłaszcza w okolicznościach takich, gdzie się nie ma sił odpowiednich po temu? A wszakże czy do stu bitew stoczonych przybędzie jeszcze jedna, czy nie, nic na tórn już nie zależy; a czyż to nie dosyć krwi wypłynęło dotychczas? Nawet gdyby mieć pewność zwycięstwa bez żadnej szkody dla siebie, to i natenczas jeszcze bitwa jest niepotrzebną: przecież i Sajsi są ludzie i nie o ich krew tutaj chodzi. – Tego zdania był przedewszystkiem Wapowski, a za nim także i inni; tylko jmc Wiszowaty spojrział na niego z pod brwi zmarszczonych i rzekł po.swojemu:

– Tfu! mości Wapowski! jaszczem się tego nie spodziewał po tobie! Taki jest żołnierz waleczny z ciebie, że ja sam mam się przy tobie za chłystka, a dajesz rady dziadowskie!

Uśmiechnął się na to spokojnie regimentarz pisarza, w samej istocie jeden z n aj waleczniej szych bohaterów tej sprawy, i odpowiedział na to łagodnie:

– Bić, bić i bić się do końca, chociaż tam może i spokój już podpisany w Lublinie? Ej! panie Piotrze! czasby też mieć jakieś zastanowienie.

– A na co żołnierz? – zapyta rotmistrz.

Uśmiechnął się na to jeszcze lepiój Wapowski, lecz odpowiedział z powagą:

– Ja nie wiem na co ty jesteś, panie Piotrze, żołnierzem i dlaczego się bijesz; ale ja biję się na to, abym spokój uzyskał.

Wszakże w tej chwili przystąpił pisarz do niego i rzekł niecierpliwie:

– Panie Karolu! nie rozumiesz tój rzeczy. Jużci my wszyscy się bijem dlatego, ażebyśmy spokój zyskali; ale tak do spokoju nie dojdziem. Co tam te rozpoczęte traktaty! czy to je po raz piórwszy rozpoczynają! Król gromadzi swoje zastępy pod Gołąb i niby się skłania ku zgodzie; ale ja głowę moją dam w zastaw, jeżeli on, zgromadziwszy ich z jakie dziesięć tysięcy, nie rozpocznie wojny nanowo! A potem, co to? Żeby ja tutaj przybiegł za Weissenfeldem mil tyle, głodu się namarł, nędzy się najadł i krył się przez tyle czasów po tych tu dziurach, ostrząc zęby na niego, a potem odszedł, odwołany traktatem? a co to? zginę – a muszę zajrzeć mu w oczy! Nie wylezie mi sam z tój jamy, to szturm przypuszczę do niego, choćby tam już Te Deum śpíówano w Lublinie! Niech choć ja jeden dam głośną salwę, kiedy inni pomilkli; może tóż przy odgłosie tej salwy pójdą im lepiój traktaty! A co panie Janie, nie mam ja racy i?

– Hm! – rzecze na to miecznik stężycki, – jużci zapewne, że byłoby to i pięknie i pożytecznie, gdybyśmy albo Lwów wzięli na Weissenfeldzie, albo go przynajmniej tak przetrzepali, żeby nie taki piękny przyszedł pod Gołąb, jak się we Lwowie ustroi, aleć to zawsze trzeba się nad tóim zastanowić statecznie, bo jak zwycięztwo nasze przyniosłoby niezawodne korzyści dla traktujących w imieniu naszóm, tak znowu klęska nasza przyniosłaby takie same korzyści traktującym ze strony króla...

Tak radzono nad tóim odtąd już trochę spokojniój, – kiedy wtóm dano znać obradującym, że jakiś szlachcic na oko polski, który się wszakże powiada się być Murzą tatarskim, zajechał na dziedziniec klasztoru i prosi o wstęp.

– A to Domaradzki! najniezawodniój! – zawołał pisarz, – prośże go prędko i przyprowadzaj w ten moment. Ciekawa rzecz z czem on przyjeżdża? a jużci pewnie nie darmo.

Na tę wiadomość Bobrownicki i rotmistrz zerwali się z miejsc swych, a wtóm Murzą wszedł do tej klasztornej komnaty.

– Panie Janie! – zawołał miecznik, – przez Pana Boga żywego, powiadaj prędko, co tutaj robisz? Wszakże z nad Nidy przyjeżdżasz? Tam się pewnie stało coś złego?

– Bądź-no spokojny, mój panie Janie! – rzekł prędko Murzą, – nic się tam złego nie stało.

– Nic? pewnie nic? Ale cóż cię znów oderwało od skiby? a wszakżeż miałeś się opiekować...

– To też się opiekuję... Ale pani stolnikowa krakowska do

wiedziała się, że Jerzy uciekł z Brzeżan i uprowadziwszy wojska hetmańskie ze sobą, zniknął kędyś bez wieści. Tak się tóż tóm przestraszyła, że musiał wybiedz, aby go gdzieś odszukać i przywieść jój wiadomość od niego... "Jakoż go odszukałem szczęśliwie, a ponieważ to niedaleko, wstąpiłem tu, aby się tóż i z wami obaczyć. Zdarzyłoby się może przy^{tem} co pogawędzić około dobra pospolitego...

Na tę wiadomość Bobrownicki już umilkł i czy to umyślnie, czy mimowoli, odsunął się pomału od niego, przypatrując mu się zdaleka. Tymczasem zaś rotmistrz rzekł:

- Cóż tam, mój Murzo? jakże tam kolo ciebie? dawnośmy się widzieli.
- No, chwała Bogu! przecie choć coś...
- Byłoby więcój, gdybyś się był nie czópiął głupich z respektem konceptów. Trza ci to było Ożarowskiego wykradać? Byliby mu tam Sasi łba nie urwali.
- A czy to źle się stało? nie mamyż z niego pożytku?
- Ja tam nic nie wiem jeszcze o tych pożytkach...
- Nie bijeż się równo z wami?
- Równo? może i równo, ale przecież niebardzo. Srogi zwycięzca jeńców, niedobitków i chorych, ale żeby gdzie zdrowych uporał, jeszcześmy nie słyszeli. Sam też jest zdrów z całym swym pułkiem i powiadają, że aż błyszczący od złota...

– Błyszczący od złota?! – zawołał Murza, – idź tóż idź, panie Piotrze, a nie baw się plotkami jak baba. Powiem ja tobie prawdę, jak jest.

Tymczasem i pisarz do nich przystąpił i rzekł:

- Czołem, mój panie Murzo, jak cię tam nazywają. Myślałem, że po staremu służyysz pocziwój sprawie i przywozisz mi jakie nowiny ważne: a tyś, jak widzę, puścił się na jakieś kwerendy...
- Jwł panie! – rzekł na to Murza, – jużcim nie przyszedł tu z prózną ręką. Znajdą się i nowiny, jeno niech trochę odetchnę. Odszukałem Ożarowskiego dla siebie, ale znalazłem przy nim coś i dla pana pisarza, boć to także nie. próżny człowiek ten Ożarowski. Ot! co mi pomoże! aleć to wielka szkoda, że on się pierwej nie złączył z konfederacją...

Zawzięty rotmistrz machnął na to ręką i rzekł:

- Milszy wprowadzie jest Bogu, jak mówi Pismo, jeden grzesznik nawrócony, niżeli stu sprawiedliwych, aleć to tylko Bogu! My, ludzie prości, zawsze wolimy takich, którzy od początku są przy nas. Czy tak, panie mieczniku?

Pokręcił na to wąsy poważny' miecznik, ale nic mu nie odpowiedział, a natomiast sam pisarz rzekł prędko:

- A! tego nie mów, mój panie Piotrze. Wiem ci ja także coś o tym młodzieńcu i powiadam wam to wyraźnie, że wielkie ^on ma zasługi. Trza było słyszyć, co opowiadał o nim Branick[^]

Ledóchowskiemu. No, ale cóż to mi tam przywozisz od niego, mój panie Janie?

Tedy siadł między nimi Murza i opowiedział o Jerzym to wszystko, co się już nadmieniło powyżej. I opowiadał szeroko, opisując każdą jego potyczkę, każdy trud jego, każdy marsz prawie ze szczegółami; jakoż rzekł w końcu:

– Wiele to ja już poświęcenia i rezygnacyi i trudów ludzkich około pospolitego dobra widziałem, – Pan Bóg mi choć na starość dozwolił widzieć tę piękne rzeczy na własne oczy, – ale przecież taką żarliwość w służbie i takie pirzy tem zapomnienie o sobie samym, dopióro poraż pierwszy u niego ujrzałem.

– No, to wszystko już dobrze, – rzekł na to pisarz z uśmiechem, – jużeśmy zrozumieli i nie spióramy się o to: ale cóż nam od niego przywozisz?

– Otóż Ożarowski, – powiadał dalej Murza, – przez całą tę swoją kampanią nie mógł przenieść tego na sobie, że Lwów jest w ręku nieprzyjaciela. Zawsze też myślał o tórn, ażaliby go nie można jakim sposobem odebrać. Jakoż przybliżył się przed kilkunastą dniami pod miasto, zasiadł milczkiem w Krzywczycach, co to jest wioska pod samem miastem, i zaczął ztamtąd chodzić pomału około tego...

– Jakto? – zawołał na to miecznik stężycki, – Ożarowski chciał Lwów wziąć swemi kilkuset ludźmi? cha, cha, cha! panie Murzo! nie dziwię się Ożarowskiemu, boć to nie pierwszy potłobny koncept, który się zrodził w jego francuzkiój głowie...

– Ale poczekaj-no, panie bracie! – zawołał na to Potocki, – święci garnków nie lepią. I myśmy kiedyś Lwów odebrali, mając ludzi niewiele więcej. Bo to przy braniu fortec zawsze więcej popłaca sztuka, niż siła. Powiadaj dalej, mój panie Murzo: cóż tedy zrobił?

– Otóż on, mając przy sobie cały ów pułk wieńczyków, co to niegdy przez kilka lat ciągiem konsystowali we Lwowie, a franci są, kuci na wszystkie nogi; otóż on począł ich milczkiem wysyłać do miasta i tam pomału buty szyć Sasom między mieszczany. Tak też i myśmy niegdyś robili. Lecz jemu było jeszcze daleko łatwiej, bo się tam tym ludziom dobrze już dali Sasi we znaki, więc chcieliby się ich pozbyć koniecznie. Tak tedy szyjąc pomału a zręcznie, doprowadził nareszcie do tego, że już tam jego Sodalisowie liczą na tysiąc ludzi spisanych, jest tóż i broń między nimi, a w pierwszój chwili będzie zaraz arsenał. Owo więc myśli on wślizgnąć się milczkiem z całym swoim zastępem do miasta, huknąć w nocy zniecka...

– Przednio! wyborne! – zawołał na to Potocki, – tego nam tylko potrzeba! Nieopłacony¹ jest Ożarowski. Słuchajże mnie, mój Jasiu...

– Pozwólże mi jegomość, – przerwał 'mu Murza, – niechaj się sprawię z poselstwa. Otóż jmc Ożarowski przysyła mnie tu

do jegomości z zawiadomieniem, że cała ta planta w mieście już jest gotowa. Byłem i ja też we Lwowie, aby się o tem przekonać; jakoż tak jest. Byłem też sam u jmc sufragana, rozmówiliśmy się uczciwie i jest to już rzecz nieodmienna, że na dzień oznaczony także i szlachty się coś zgromadzi. Jmc ksiądz biskup dodał nawet jeszcze i swoją własną plantę do tego... Chce on wybrać do tego jakiś dzień świąteczny rzetelny, a gdyby go pod tę porę nie było, to go udać, owóz na mały czas przed tó pójdzie on sam do księżęcia, z którym w dobrój jest komitywie, i będzie go prosił o pozwolenie uczynienia procesy do którego kościoła za mury miasta, gdzie niby ma się znajdować jaki obraz cudowny. Księżę na to zezwoli, bo go też już sufragan naprzód o to wymacał; wtedy więc za tą procesją wwali się tęga garstka szlachty, mogłoby się i wślizgnąć trochę ludzi jegomościńnych...

– Już, już, już cię rozumiem, – zawołał pisarz, – walny jest Ożarowski! mądry tóż i sufragan! tylko ja jeden taki z respektem... prostak, zem nie wpadł sam na ten koncept! No, ale kto się tam tego spodziewał, żeby się dało coś zrobić między mieszczany. Na- trącał mi tu cokolwiek mój Grzybek, no! ale jakoś mi się to nie zdawało. Czekażte tedy, mój Murzo, i złóżmy to jakoś do kupy. Więc ty pojedziesz mi zaraz do Ożarowskiego i powiesz jemu...

– Nie tak, nie tak, panie pisarzu! – zawołał rotmistrz, – róbmy to trochę po w olej. Niech Murza najpierw Ożarowskiego tutaj sprowadzi...

– Tak, niech go zaraz tu przyprowadzi, masz racją, trza nam się ustnie namówić.

– A ja pobiegnę do sufragana...

– Ty sam do sufragana? a jakże? przecie cię znają jak zły szeląg.

– Już ja się tam jakoś tak opapuję, że mnie i diabeł nie pozna.

– Poczekajcież panowie! – zawołał na to miecznik – to kiedy już tak wierzymy Ożarowskiemu, o czóm ja jeszcze sobie wąpić pozwalam... to już ja chyba wślizgnę się jako podróżny do Lwowa i ja to ze sufraganem ułożę.

– No to tak. Tak nawet lepiej, – rzekł prędko pisarz, – Waszmość jesteś mniój znany, a przytem i od nas wszystkich chłodniejszy. Niecierpliwością można tu bardzo nagrószyć. Rozwaga jest tu niezbędną. Jakoż i nam się trza jaknajdokładniej porozumieć ze sobą, bo żeby to potem na jakim bałamuctwie nie utknąć. Jednakże najpierw po Ożarowskiego! Ale kogo tu? chyba ty, Murzo...

– A jużci ja. Ktoby tam trafił? wszystko to pochowane po chatach...

– Ba! ale boś ty nam i tu potrzebny. Jeszcze nie wiemy Wszystkiego...

– Hm! – mruknął na to jmc Domaradzki i wszyscy nad

tem się zamyśliłi, – a wtóm jaknajmniój spodziewany w tej chwili wszedł do refektarza dawny sługa Potockich, a dzisiejszy winiarz we Lwowie, Dominik Grzybek.

- Cóż tam, mój Dominika? – zawołał pisarz, – jest coś no-, w ego?
- Jw. panie! – rzekł Grzybek,* – ważna nowina. Sasi wychodzą jutro ze Lwowa.

-> Jutro wychodzą?! jutro? co ty powiadasz?!

,Tak panie, jutro. Jest tu i kartka, – rzekł Grzybek i oddał mu małą karteczkę do ręki.

Pisarz stał w zamyśleniu przez oka mgnienie, poczem silnie uderzył nogą o ziemię:

- Jutro! bodaj ich jasne pioruny spaliły! Jakiś diabeł im służy...

Pobiegł wszakże w ten moment z ową karteczką do świecy, odczytał ją i rzekł głosem powolnym, jak gdyby zwiądnął nagle na całym ciele:

Jutro wychodzą...

Przez małą ciwilę trwało powszechne milczenie, – smutek na twarzach, gorycz osiadła na wszystkich ustach.

Ale to nic! -7- zawołał pisarz z determinacją po chwili, – i tak dobrze. Spróbujemy się w polu.

Poczm się zwrócił do swoich towarzyszy i rzekł:

- Słuchajcież tedy. Weissenfeld idzie pod Gołąb do królewskiego obozu.

Pociągnie tedy. Damy mu więc bitwę pod miastem. Jak to zrobimy, trzeba nam się naradzić. Przedewszystkiem wszakże, ty, panie Karolu, porozsyłaj mi natychmiast kuryerów po wsiach i każ, aby wszystkie komendy tu pościągały przed świtem. Panie mieczniku, zrób tam porządek między tworoimi. Trojanowski, Peplowski, do swoich! A ty, mój Murzo, leć mi w skok do twego Ożarowskiego i przyprowadzaj mi go w ten moment. Słuchaj! jam mu nie starszy i nie mam nic do rozkazu; ale powiedz mu, że mi brak całkiem piechoty. Wiósz co piechota! On mnie zbawi, jeżeli na czas przyciągnie. Biegnijże prędko, a kiedy mi Ożarowskiego z tym pułkiem przyprowadzisz do rana, będziesz mnie miał dłużnikiem na całe życie. Piechoty! piechoty! na miłość Boga, piechoty!

A kiedy to mówił pisarz i wszyscy już byli gotowi, ażeby jego rozkaz wypełnić, Murza już nawet był wyszedł: Wapowski stanął naprzeciw niego, założył ręce i rzekł dziwnie wzruszonym głosem:

- Panie Michale! na co nam teraz tej bitwy!

– Mój Karolu kochany! – zawołał na to Potocki, rzucając niu się na szyję, – zrobię dla ciebie co chcesz, tylko mi się w tem nie sprzeciwiaj! Ja muszę się bić z Weissenfeldem! Jabym umarł, gdybym się nie bił!

- Ha! to się bijmy! – odpowiedział na to jak gdyby mar

twym głosem Wapowski i Wyszedł smutny, prawie ze łzami w oczach.

Nie uważał tego Potocki, lecz zauważał rotmistrz, jakoż rzekł zaraz:

– Panie pisarzu! cośbyś powiedział...

" – No, cóż tam jeszcze?

– Tak mi się zdaje, jakby Wapowski przemówił teraz nie swoim głosem.

Słyszałem raz w Wołoszczyźnie, jako umarli rozmawiali ze sobą, i właśnie taki głos mieli. Dziwnie tóż on się przytem odmienił...

– No to cóż? – spytał pisarz z ironią, – chyba się nie bić?

– Nie! – rzecze rotmistrz, – bijmy się! ja już sam nie odstąpię! ale Wapowski niech pozostanie w obwodzie. Ostatnia to jest gałązka takiego pięknego rodu!

– Idź też, idź, babo stara, z temi gusłami! – zawołał nareszcie otwarcie pisarz, – iużbym ja był zginął sto razy, gdyby podobne rzeczy miały coś znaczyć. Zestarzał się na kulbace. uwę- dził się w dymach wojennych i nie policzyłby może tych bitew, które odpraw^Tił, a jeszcze mu strachy na myśli?

– Mnie strach na myśli? -r zawołał rotmistrz, kipiąc już cały, – mnie!? No! daj że mi Panie Boże doczekać jutra!

To rzekłszy, wybiegł jak strzała z komnaty. Za nim wybiegli inni – i bawili blisko godzinę. Przez ten czas pisarz, sam w refektarzu zostawszy, przechadzał się w zamyśleniu po izbie. Widać było po nim, że myślał o czómś bardzo mozolnie. Można go było nawet posądzić, ażali się nie chwiał wtedy w swojóm postanowieniu. Ale podobno nie, – albowiem kiedy wrócili tamci, już ani mowy nie było o tem, czyli? tylko jak ma być stoczona bitwa? – Jakoż narada nad tórn trwała do samej północy...

Nazajutrz rano, ledwie oświtło, pisarz koronny był już na nogach. Stał on z całym swym sztabem na koniu na głównym rynku, oglądał, gromadził i szykował swoje chorągwie, które z sąsiednich wiosek ściągały po kolei do miasta. Zgromadziły się wszystkie nareszcie, – a wtedy pisarz podzielił tę całą siłę na trzy prawie równe oddziały. Nad jednym z nich, złożonym z tysiąca koni z okładam, objął komendę Wapowski i miał nim stanowić skrzydło prawe. Drugi, równy na liczbę piórwszemu, a składający się w jednej części z ludzi Bobrownickiego, w drugiój z Litwinów, a w trzeciój z pisarzowskiój konnicy pod dowództwem Trojanowskiego, został oddany pod naczelną komendę miecznika, i to miało być skrzydłem lewóm. Resztę zaś, składającą się z czterech chorągwi wyborowych o trzechset koniach pod buławą Wiszowatego, z trzechset piechoty dowodzonej przez Peplowskiego, sotni kozaków przybocznych i kilkunastu armatek, pozostawił pisarz przy sobie, a to miało stanowić korpus środkowy razem z re-1 zerwą. Tak podzieliwszy swe siły, wyprawił on zaraz Bobrownickiego na lewo we wschodnią stronę miasta i kazał mu się ukryć między domami; tak samo Wapowski odszedł na prawo i rozłożył się po przedmieściu; pisarz zaś sam pozostał w mieście, postawił armaty na środku gościńca u samego wstępu do miasta, piechotę rozrzucił tymczasowo po bokach, a postawiwszy chorągwie konne w pobliżu siebie, sam z swoim sztabem i kilkunastą kuryerów stanął na wzgórk, oczekując z niecierpliwością przybycia gości.

Rozrządziwszy tak swemi siłami, rozumiał pisarz, że uczynił jak można było najlepiój; na każdy bowiem wypadek miał je

prawie pod ręką i mógł nimi wedle potrzeby zadysponować inaczej. Zdało się wszakże, że nie będzie tu inna dyspozycja potrzebna. Dwa tylko mogły tu zajść wypadki. Więc albo Weissenfeld całkiem nic nie wio o tój zasadzce i podejdzie jaknajspokojniej pod samo miasto, albo jeżeli wio, to zatrzyma się na równinie opodal od miasta i przyjmie bitwę porządną, której raz dla błót zostawionych za sobą, a powtóre z powodu swego odosobnienia od całej potęgi saskiej, zgromadzonej już pod Gołębim, ani będzie mógł, ani zechce uniknąć. W pierwszym wypadku pisarz miał zamiar dać ognia do niego ze wszystkich armat, kazać się rozstąpić armatom i uderzyć sam całą siłą na niego; korzystając ze sprawionego tym niespodziewanym przez niego atakiem zamieszania w jego szeregach, obadwa skrzydła miały się jaknajszerszym półkolem rozwinąć, Weissenfelda o ile można okrążyć i uskutecznić co Bóg da. W drugim zaś razie pisarz mógł w ten moment wystąpić przeciwko niemu, odrazu stanąć w jaknajlepszym szyku bojowym, a mając już siły rozporządzone, zawsze jeszcze daleko prędzej uderzyć na niego, niżeliby on miał czas ułożyć swoje zastępy w jakibądź szkiełku bojowy porządnym. Ponieważ zaś jeszcze do tego wiedziano z całą pewnością, że Weissenfeld ma tylko trzy tysiące konnicy i ośmset ludzi pieszych, zaczęło wcale imie przenosiły siły konfederackiej, więc byli wszyscy najlepszej myśli, wesoło rozmawiali ze sobą i cieszyli się naprzód niezawodnym zwycięstwem. Sam tylko pisarz był milczący i zamyślony, a kiedy się zbudził, to mówił z niecierpliwością:

– Czemu ja nie mam choć pięciuset, choćby tylko jednego pułku piechoty! Hej! piechotę mi dajcie za plecy, wiem, cobym tu pozostawił z tego hardego księcia!

To znowu pytał:

– A gdzie ten Ożarowski u katedry! Już niezawodnie nie przyjdzie! Nie można spuszczać się na nikogo

Jakoż patrzył co chwila przez lunetę na drogę, wyprawiał kuryerów porzebieżających z szlachecką aż do zakrętu drogi, wyprawiał sługę po kilku razem na Haraj – ale o Ożarowskim ani wieści »nie było.

Tak stali wszyscy w największej niecierpliwości. Słońce już się podniosło wysoko, zaczęło sypać żary piekielne na ziemię, rozpalały się ciężkie misurki rycerzy i gniotły im czoła nieznośnie, kroplisty pot lał się po twarzach ludzi, na koniach pękała skóra, przepuszczając krew rozpaloną, do tego wietrzyk zrywał się od chwili do chwili z południa i zamiast chłodzić, miotał im całe tumany pyłu w oczy i zapiórał swoim płomiennym powiewem oddechy, – stójka na takim skwarze zamieniła się w mękę piekielną, ale trza było stać, choćby się spalić na miejscu. Przyszło nareszcie południe, – ziemia zaczęła już prawie gorzeć płomieniem, – wiatr ustał i zrobiła się cisza tak martwa i jednostajna, że nawet listek nie zaszeleścił na drzewie. Tómi większy za to niespokój

obudził się w sercach, – wszyscy kipią jakby na ogniu, – bodajby przegrać, byle już zacząć tę bitwę! sam pisarz nawet nie może siebie pokonać, kręci się na kulbace, gryzie wąsy i mówi:

– Ej! panie sędzio! jeżeliś ty mnie zabawił plotką!... Ej! panie sędzio!

Tylko jeden Wapowski stoi nieruchomy jak posąg wraz z koniem z jednej wylany sztuki; wpatrzył się swemi dużemi błękitne- mi oczyma w niebo, ścisnął w rękach różaniec i odmawia modlitwy. Skończył nareszcie, schował różaniec za pancerz, – lecz znowu ręce założył na kuli i znowu wpatrzył się w niebo. Po jego wybladłej twarzy dziwna się jakaś rozlała tęsknota, jego otwarte oczy jakby się łzami zamgliły. I jak mu tutaj nie tęsknić, kiedy go twarda powinność przykuła jak gdyby rozpalonym łańcuchem na miejscu – a czułe serce unosi go gdzieś w kraje dalekie, gdzieś na tę piękną ziemię przemyską, gdzie dwór jego bieli się w wieńcu ogrodów, kwitnąca lipa rozłożyła szórokie konary w dziedzińcu, a pod jej cieniem ślicznej urody Litwinka oparła swoją główkę sierocą na dłoni i także tęskni i płacze. Było to takie samo lato jak teraz, kiedy jój mąż, jój kochanek, przywdział pancerz na siebie, przycisnął ją do swej piersi stałową, gorącą łzę jój zostawił na licu i jakby anioł marzony we śnie zniknął w dalekich błękitach. Od tego czasu jesień zwarzyła liście i krzewy, zapadły śniegi i roztajały, i wiosna przyszła z kwiatami, i znowu lato okryło ziemię zielenią – a jego niema i niema. Dwór opustoszał, klasztorna cisza zamieszkała komnaty, pająki przędą po wszystkich kątach swe szare tkanki – a z niemi coraz szarzej i szarzej przędą się dniе gorzkiej tęsknoty. Wróciż on kiedy, wróci mój ulubiony? – O! onby dał całą sławę swoją, wyrąbaną tak krwawym trudem, i miłość wszystkich przyjaciół, dałby w tój chwili może połowę życia, gdyby mógł do niój zlecieć na skrzydłach, przycisnąć ją do swój piersi, spojrzeć jój w oczy, choćby na oka mgnienie, – może, ażeby powiedzióć ostatnie: Bądź zdrowa! Ale już późno.

Aż oto ruch jakiś nagły zrobił się między Wodzami, spięli konie, skoczyli na najwyższą wyniosłość pagórka i wpatrzyli się wszyscy w gościniec. Ocknął się zamyślony młodzieniec, rzucił się 'ku nim: a co to? – Punkt jakiś daleki zaczął się ruszać na drodze, zamienił się w tuman kurzu, zaczął się zbliżać, zbliżył się wreszcie, zamienił się w jeźdźca na koniu, osadził się przed Potockim tak nagle, że aż' koń przysiadł do ziemi.

– Weissenfeld idzie!

– Dobra nasza! – zawołał pisarz, zwrócił konia i pobiegł, ażeby oblecieć chorągwie. Zniknęli z nim razem jakby zapadli pod ziemię, Bobrownicki do swoich i Wapowski do swoich.

Kiedy pisarz wrócił na dawne miejsce, już cały gościniec zaległy nieprzejrzane tumany kurzu, kłębiąc się najpiórw między sobą przy ziemi, a potóm unosząc się powoli ku niebu. Również powoli

zaczęli z tych tumanów występować pułki nieprzyjacielskie. Pisarz patrzył z natężoną uwagą, trzymając lunetę przy oku. I stał tak nieruchomy, jak głaz. Patrzył i rotmistrz przez swoje szkiełko, i czy to dojrzał lepiej, czy był niecierpliwszy, rzekł pierwszy:

– Żle, panie pisarzu. Stanęli.

– Stanęli, powtórzył sucho Potocki.

– To piechota, – rzekł rotmistrz po chwili, – sprawia się na gościńcu... Wiedzą o nas... Kawalerya się wysunęła na prawo... i na lewo. Żle, panie pisarzu!

– Cicho waść, – rzecze pisarz i patrzył jeszcze przez chwilę. ^y Poczóm wszakże spał konia, rzucił się sam do swych armat, stał tam przez oka mgnienie, mówił coś z komendantem, pokazywał mu ręką – i wrócił pędem na swoje miejsce. Zaledwie wrócił, całe miasto się wstrzęsło jak gdyby weń uderzyło sto gromów odrazu, – konfederackie armaty dały ognia do nieprzyjacielskiej piechoty, która właśnie w tej chwili zmieniała front ku wschodowi, jak gdyby się chciała puszczać w marsz po za miasto. Ogień ten ją powstrzymał i zmieszał w kłęb, jakby kipiący w swera wnętrzu.

– Tak stój, wraży synu! – rzekł pisarz, patrząc wytężonemi oczyma w nieprzyjaciela* Po chwili zaś rzekł:

– Chciał mnie obejść Nie ma ochoty do rozmowy....

Pilno jemu pod Gołąb Dobra nasza!

A wtem jego armatki dały ognia raz, drugi i trzeci: Weis- senfeldowska piechota rozstrzeliła się na boki jak mrówki, kiedy kamień wpadnie w mrowisko, i poczęła się w¹ić boleśnie na miejscu, jak wąż na dwoje rozcięty. Znowu się zbiegła do kupy i znów rozpruła przez środek, – z tego rozporu podniósł się tuman kurzu ogromny, – a w tejże chwili błysło po kilkakroć w tem. samym miejscu, kilkanaście róż białych wykwitło jakby z pod ziemi, r^z- winęły się do góry, lecz w oka mgnieniu huk straszny się rozległ do koła, uderzył w miasto, odbił się o lasy i wrócił nazad, pędząc po ziemi drżącój, jak gdyby w napadzie zimnicy. Jednocześnie z t^om wszystki^om łomot i trzask najstraszliwszy rozległ się u nóg pisarza, – jego armatki, jak gdyby miotłą zmiecione, zniknęły nagle z gościńca, – kilka domów runęło w gruzy, – ludzie podnieśli lament rozgłośny i zaczęli uciekać do miasta. Powtórzył się ten ogień raz jeszcze i jeszcze kilka dachów runęło, – ataman kozacki padł rozdarty na dwoje, – ale w ten moment, jak gdyby nożem Uciął, ucichło. Wszakże w tem oka mgnieniu dał się słyszeć, jakoby z tyłu za ową piechotą i armatami, przeciągły ogień karabinowy, – okrzyk głośny się podniósł, – gwar potem jak gdyby W ulu i tłum.

– Co to? – zawołał pisarz, – tam się biją.

Podsunał się rotmistrz ku niemu, spojrział wytężonemi oczyma lecz nic nie widział. – Jakoż w samej istocie trudno było co wi- dzić, albowiem dymy pomieszane z kurzawą uformowały gęstą, nieprzezroczystą chmurę, która się rozłożyła na ziemi i wszystko

sobą nakryła. Widać w niej tylko było migające błyski, to lśnią- cój broni, to pojedynczych tu i owdzie wystrzałów.

– Tam się biją, – zawołał pisarz, – lecz któż to?

Jakoż rzucił w ten moment oczyma na prawo i na lewo, czy który z tych już nie okrążył Weissenfelda i nie uderzył z tyłu na niego. Ale nie. Bobrownicki na lewóm skrzydle zwał się już z prawem skrzydłem nieprzyjaciela i bił się. Wapowski wyciągał się naprzeciwko rajtaryi o błyszczących kirysach, formującój się z flegmą do boju.

– Bądź co bądź, – rzecze pisarz, – Peplowski niech na piechotę uderza. Kozacy za nimi! Jeszcze chwila – a ja sam tam polecę! Niech chorągwie postąpią!

Pobiegli kuryerowie z temi rozkazy – a rotmistrz rzekł:

– To Ożarowski uderzył! Patrz jegomość! Sasi zmienili front; biją się oczówicie z piechotą.

Pisarz patrzył i mówił:

– Jeżeli to Ożarowski trzysta ma on, trzysta Peplowski, sto kozaków do tego, to dosyć!

– Nie dadzą rady, – rzecze rotmistrz, – nie wiesz jegomość •co niemiecka piechota?

– Cicho waść! jeszcze chwila, pójdziem i my. Gdzież sam księżę u diabła?

To mówiąc, biegł ciągle lunetą po całóm polu, – podobno chciał Weissenfelda dopatrzeć i na niego się rzucić z całą swą siłą.

Ale wtem przybiegł kuryer na spienionym bachmacie:

– Na lewym skrzydle Trojanowski tył podał, – Litwa stanęła mężnie, ale złamana, – Bobrownicki trwa, ale się chwieje!

– Pójdę ja 1 – rzecze rotmistrz.

– Stać, – powie pisarz, – do tysiąc diabłów! – i zazgrzytał zębami. Poczóm rzekł: – Kąkolnicki i Strasz miecznikowi na sukurs!

– Ej! w łeb temu zdrajcy, co uciekł 1 – rzecze rotmistrz.

A wtóm drugi kuryer przybiegł z prawicy:

– Wapowski nie wytrzymał natarcia! Zdrada! Drabanci wypadli z poza lasu i uderzyli z boku na niego!

– Miljon diabłów, co to takiego? – zawołał pisarz. – Walewski i Borejko do Wapowskiego!

Wszakże zaledwie wymówił te słowa, drugi kuryer przybiega:

– Wapowski zginął! Weissenfeld tam się sam zjawił. Wa- powczyki klękają!

A wtedy pisarz już nic nie mówił, tylko spiął konia, rzucił się razem z rotmistrzem na czoło trzech pozostałych chorągwi i runął boczną ulicą Wapowskiemu na sukurs.

Po jego odejściu w mieście już ani jeden żołnierz nie został. Tylko podruzgotana artylerya pociągała ż ruderami swych armat na rynek i nawoławszy kowali, kołodziejów, ślusarzy, zaczęła się

tam restaurować. Pozbiegało się tam mnóstwo ludzi koło nioj, przypatrując się tój robocie, trzeźwiąc omdlałych, opatrując rannych i znosząc po olei umarłych. Inni powychodzili na wzgórk, powyłazili na kominy i dachy, przypatrując się bitwie toczącój się pod miastem. Ale nie wiele widzieli. Bobrownicki zniknął zupełnie z placu; powiedziano że Sasi się przedarli przez niego i popędzili na północ; miecznik, dostawszy dwie nowe chorągwie, poszedł w pogoń, za nimi. Na skrzydle prawóm trwała bitwa jeszcze przez chwilę, ale także niedługo; stało się tu podobno to samo, co na lewóm skrzydle. Wnoszono ztąd, iż Weissenfeld nie miał wcale zamiaru bić się, tylko się przedrzeć i uciec, co mu się prawie całkiem udało. Zapłacił wszakże za to piechotą, która jeszcze do tego momentu stała na dawnóm miejscu. Wzięta jakoby w kleszcze przez Ożarowskiego i Peplowskiego, ciężką podobno tam miała przeprawę. Warto było widzióć bój tak zawzięty, ale była to niepodobna; zawsze bowiem nie można było dojrzeć nic więcej, jak tylko ogromny tuman dymów i pyłu wywracający się na gościńcu i rozpluwający po polach. Czasem z tój żółtój, jasnymi promieniami słońca oświeconej kurzawy, wyskoczyło kilku lub kilkunastu kozaków, pobiegli w pole i znów wrócili, i utonęli w jój falach, a nad nią podnosił się tylko głuchy szcęk, łoskot i jęki, które jak gdyby szumy niestatecznego wichru dochodziły do miasta

Tak minęła godzina, a może nawet i więcój.

Poczém wszakże dał się słyszeć rozgłośny tentent na północ- cnera przedmieściu, dobiegł do rynku i tam przycichł cokolwiek. Były to cztery chorągwie konne, a na ięh czele starosta bełzki. Przybiegł nareszcie z sukursem, ale niestety! zapóźno. Dostrzegł on tego zaraz, obaczywszy artylerią w tym stanie. Dobiegł do komendanta:

– Na Pana Boga, co jest?

– Co wmpan widzisz, – rzecze komendant zgryźliwie, – stało się zadość fantazyi pańskiej i koniec.

Zacisnął zęby starosta i rzekł:

– No, że się wam nie udało, to widzę; ale gdzież tamoi?

– Ot! już pomału wracają, który z nich jeszcze powrócióć może!

Jakoż istotnie w tój chwili wszedł boczną ulicą na rynek Bobrownicki z swoimi ludźmi i Litwą. Podbiegł zaraz starosta ku niemu:

– Panie bracie! co się stało?

– Ot! co się stało! – odpowiedział miecznik spokojnie, a nawet z lekkim uśmíchem, – brat wmpana trochę jest niecierpliwy, a to nieosobliwy przymiot na wodza. Nie potrzeba nam było tój bitwy... .

' – Przez Pana Boga żywego, – mówił prędko starosta, –

powiódzże mi waszmość wyraźnie, co jest. Ze Weissenfeld przeszedł, wiem już, ale wielkąż wam zad^ł klęskę?

– Eh! – rzecze miecznik, – o klęsce ani tu mowy. Ot! moi ludzie! ale bez strat pewnie się nie obejdzie

Odetchnął trochę starosta, wszakże znów spytał:

– Gdzież jest Michał? może poszedł w pogoń. I jabym za nim poleciał

– Ale gdzietam! Byłbym i ja to potrafił, ale pan Michał już wraca...

–i Wraca już? ha! to niema co robić, – odpowiedział starosta i zaraz zsiadł z konia. Zsiadł także i Bobrownicki, ale ten mówił, o glądając się niespokojnie po rynku:

– Nie wiem jednak, co się tam stało z piechotą?...

Wszakże ledwie tych słów domówił, wpada pisarz na koniu spienionym, nie wita się z nikim, tylko pyta z wrzącą niecierpliwością:

– A co się tam stało z piechotą? gdzie kozacy? czy nie wrócili?

– Nie wiemy.

– Ej! panie bracie! a gdzie to pamięć waszmości! – zawołał pisarz, nanowo spiął konia i pędem wyleciał na wzgórek. Spojrzał ztamtąd na ów gościniec, patrzył przez chw^Tilę, – poczóm natychmiast odkomenderował dwie chorągwie pancerne i posłał je Peplowskiemu na sukurs. Sam zziajany i umęczony, jakby wychodził z łaźni, wrócił nazad ku miecznikowi i bratu i także zeskoczył z konia.

– Patrzajże, mój Michasiu, rzecze do niego starosta, – co to za wypadek fatalny! Ja pędzę przez dzień i noc

– Wszystko nic! wszystko nic, – odpowiedział mu pisarz, – strat niema, owszem nawet okażą się znaczne korzyści. Ale śmierci mojego kochanego Karola ja nie odpłacę przez całe życie!

– Wapowski zginął? – zawołali razem starosta i Bobrownicki.

Pisarz milczał, tylko dwie łzy gorące spłynęły po jego licu. Poczóm uderzył się w piersi i rzekł:

– Mea culpa! Omen było wyraźne..... Ale co to! czy mógłem ja na to uważać? czyż to jest rzecz chrześcijańskiego rycerza wierzyć gusłom i przepowiedniom?

To rzekłszy, umilkł, patrząc nieruchomemi oczyma w ziemię. Drudzy także milczeli, – tylko rotmistrz spoglądał z pod oka na niego, wąs kręcił, poruszał głową i zrazu zdało się, jakby chciał pisarzowi czynić o Wapowskiego wyrzuty; widząc wszakże jego żal taki szczóry, pocieszył go jeszcze i rzekł:

– Ha! co szkoda, to szkoda! Ale Boska w^ł tem woła. A może tóż i nióma czego żałować? Ot, już ta wojna nasza się kończy, kto wió czy tak prędko zdarzy się druga; miałby tedy gdzieś umrzeć cicho za piecem? – Jap go przeżył, ale kiedy sobie po

myślę, że tam już piszą owe traktaty, więc co by tu począć ze sobą, jak je nareszcie podpiszą jak mi Bóg miły, zaraz bym się sam rzucił na owe weissenfeldowskie drabanty, aże bym tylko tak pięknie zginął jak on! Jak mi Bóg miły tak prawda. Co wojna, to życie, a już dziadowskie to życie choćby i w złotym spokoju!

– Prawdę mówisz, mój panie Piotrze! – rzekł na to pisarz – a toż i ja, kiedy pomyślę o tych konszachtach, bodajże bym sam był tu zginął! A co to? nie stać to nas było na to, aże byśmy wojnę kordem zaczęłą skończyli kordem? Ale to owe przemądre głowy rozumieją inaczej!

Tak narzekali wodzowie na oględniejszą od nich starszyznę konfederacji, – kiedy wtém nadbiegł kuryer z pewną już wiadomością o bitwie stoczonej przez piechotę na owym gościńcu. A była ta wiadomość wcale zadziwiająca. Każdy bowiem, od samego pisarza począwszy, był pewnym, że pozostała tam tylko jakaś część saskiej piechoty i co można z nią było w tem położeniu stoczyć najwięcej, to jakąś drobną utarczkę, a tymczasem stoczono tam bitwę tak zawziętą i krwawą, jakiej drugiego może nie znaleźć w całej konfederacji.

Owo więc Ożarówski, lubo wten moment zawiadomiony przez Murzę, nie mógł jednak na żaden sposób zdążyć przed bitwą do Żółkwi, jak skoro wiedział, że tegoż dnia Weissenfeld ma wymaszerować ze Lwowa. Puszczając się bowiem w tę drogę choćby jeszcze przed świtem, zawsze on się narażał na to, że go Weissenfeld może doścignąć i oczwiciście zabrać z kretesem. Nie pozostało mu tedy nic innego, jak puścić się manowcami ku Ku-likowu, tam się przez szpiega o Weissenfeldzie dowiedziąc i w każdym razie znów manowcami ciągnąć do Żółkwi. To wszystko zabrało mu tyle czasu, że Weissenfeld, musiał go koniecznie uprzedzić. Nie pozostał jednakże mimo to Jerzy, a idąc prawie trop w trop za Sasami, przyszedł pod miasto i tam ukrywszy się w lasu, czekał co się stanie. Weissenfeld uprzedzony o jakiej zasadzce, zatrzymał się na polu przed miastem i jak się zdało, chciał zmienić front i ominąć tę pastkę, chcąc zaś nieprzejścieli, który zapewne patrzył na niego z miasta, widokiem całej swojej siły zastraszyć, rozwinął się w poprzek tak, aby mógł być w całości widzianym. Jakoż już się był zaczął rozwijać, tylko rajtaria jeszcze została, kiedy wtém pisarz przywitał go armatkami, a w ten moment zaczęli występować przeciwko niemu Bobrownicki z jednej strony, a z drugiej Wapowski. Czy Weissenfeld był przekonany, że to jest cała siła konfederacka, którą dojrzał na skrzydłach, czy się tak bardzo przestraszył, że postanowił, dla ratowania swojej konnicy poświęcić piechotę, rzecz niewiadoma; pewna jest wszakże, że uderzył na obadwa skrzydła w ten moment i uderzał tak, jak gdyby się tylko chciał przerznąć, okrążyć miasto i uciec. To rzeczywiście uczynił, ale piechotę swoją zostawił w szeptu. Poradziła ona sobie w pierwszym momencie i data ognia z zabranych

ze Lowa śmigownic,—ale widząc to, Ożarowski wypadł w ten moment z lasku i uderzył na nią niespodziewanie. Uderzenie to było nadzwyczajnie odważne, można nawet powiedzieć szalone, — bo nietylko on wiedział o tem, że piechota saska trzy razy jego siłę przenosi, ale także i o tórn, że pisarz ma wszystkiego niespełna trzysta piechoty przy sobie, i przy najlepszej chęci, po zaczętej już bitwie na skrzydłach, nie może mu przysłać silnego sukursu. Nie wiedząc o nim naprzód, mógł nawet przez cały czas bitwy

o nim nie wiedzieć i żadnego mu nie posyłać sukursu. Było to natarcie tedy dziwnie odważne i hazardowne, ale tak sobie Jerzy ułożył i tak uczynił. Skutek ztąd oczywiście był taki, że Sasi, lubo napadnięci niespodziewanie, dali się zmieszać zaraz po uderzeniu, jednak się prędko sprawili, a mając tak bardzo przeważającą siłę, postawili Jerzemu tak silny opór, że o mało już całkiem nie uległ. Na jego szczęście przybiegł mu po chwili na pomoc Peplowski, ale jak tylko można było najnieszczęśliwój. Albowiem nie uderzył na Sasów niespodziewanie, dojrżeli go oni zdaleka, odwrócili się w jednej połowie ku niemu, a widząc niebezpieczeństwo tak groźne, z taką wściekłością mu się oparli, że Peplowski padł zaraz piórwszy, a z nim wńęćj niż trzecia część jego ludzi. Reszta zrzuciona bagnetem z gościńca, podała tył i uciekła do lasu. Wtedy znów Jerzy miał do czynienia z wszystkimi — i wtedy zażarta rozpoczęła się bitwa. Pierś się zwiórała z piersią, każdy krok naprzód trzeba było opłacać walecznością niemającą przykładu, każde uderzenie chybione opłacało się śmiercią. Jakoż nie bitwa to już była natenczas, ale rzeź najstraszliwsza.

Wytrzymał ją Jerzy z całą odwagą młodzieńca, przytomnością osiwiąłego wodza, a pracą wyczerpującą ostatnie siły. Sam walcząc z bagnetem w ręku, dawał ze siebie przykład tak dzielny, że nawet ranni, już prawie upadający, rzucali się z nową siłą na Sasów, przenosząc zaś wszystkich swoim wyniosłym wzrostem, był okiem wszędzie 1 gdzie go tylko było potrzeba, niezawodnie nie chybił. Jednakże ta przytomność i waleczność i poświęcenie, przez długą chwilę żadnego nie przynosiły skutku. Padali Sasi jak snopy, ale i Sodalisy padali; a gdyby nawet dwóch i trzech Sasów było padło za jednego konfederata, to i to jeszcze nie mogło Jerzemu zapewnić zwycięstwa.

Tak wszakże nie było, a było gorzój. Niedość tu bowiem, że Sasi ciągle w podwójnej liczbie walczyli przeciwko niemu, lecz jeszcze nadto co chwila odrzucali się w dwóch lub trzech setkach na stronę, formowali zastęp osobny, dawali ognia do uprzykrzających się im kozaków, a potem zachodzili Ożarowskiemu z tyłu i jakby świeżo odebrany sukursem uderzali na niego. Odrzucał się i on uderzał na te zdradzieckie zastępy, zrzucał je albo garnął do wspólnej bitwy, ale to wszystko tylko go jeszcze wyczerpywało tórn więcej i tórn pewniejszy zapowiadało upadek! Jakoż była już taka chwila, że mu pot zimny wystąpił na czoło, ręce omdlały, zaczął się chwiać odrazu na kilku miejscach, kapi

tan jeden rzucił broń i uklęknął, a drugi przebił się aż ku niemu i zawołał: -¹- Generale! szaleństwo! wszyscy zginiemy! – Natenczas śmierć już stanęła przed oczyma Jerzemu; poddać się niepodobna, trza zginąć. – Wszakże w tój samej chwili pomoc mu się zjawiła, jak gdyby z nieba. Książdz jakiś z krzyżem wzniesionym w górę przypadł na spienionym bachmacie na pole bitwy, stanął jak wryty i zawołał donośnym głosem:—Za małą chwilę sukurs przybędzie! Był to ks. Andrzej. Jakoż istotnie w tóm oka mgnieniu wypadł Połówka z owemi Peplowszczykami, którzy uciekli, a których on wraz z ks. Andrzejem połapał z blizkiego lasu i jak grom z pogodnego nieba uderzył najpierw na taki właśnie zastępik Sasów, który się uformował na boku, ażeby znów niespodzianie na Jerzego uderzyć. I uderzył na nich tak szczęśliwie i silnie, że ich złamał odrazu, rzucił z pagórka i zamieszał jak w garnku. Przerażeni tóm Sasi, nie wiedząc nawet zapewne, co się to stało, podali tył i w rosypce uciekli. Toż w oka mgnieniu wszystko się odmieniło. Oparli się Niemcy z wściekłością, – zaczęli rzeź rozpaczliwą na nowo, – ale już bożka ich zwycięstw nie było przy nich. Przestraszeni świeżą pomocą, słabsi o wiele, padali jako drzewa podcięte, ustępowali z placu, szli w rozsypkę i uciekali. Kiedy zaś jeszcze niebawem Polew¹ka wrócił i uderzył na nich od tyłu, – to i bitwa nie trwała dłużej jak trzy pacierze. Kiedy chorągwie pisarzowskie przybyły, już było po wszystkiemu; Ożarowski był panem placu, czterech śmigownic i kilkudziesięciu jeńców. Połapali ich jeszcze kozacy i pancernicy cokolwiek więcój i dopełnili do setki a w¹tedy Ożarowski ułożył to wszystko w szyk przyzwoity i pociągnął ku miastu.

Kiedy kuryer przybyły opowiedział dzieje tój bitwy stojącej na rynku starszyźnie, to nie można się temu nadziwić, a pisarz rzekł w zamyśleniu:

– Wszystko tu poszło jakimś dziwnym porządkiem...

Wszakże zaraz się zbudził i dodał żwawo:

– Chodźmyż tedy przyjąć Ożarowskiego. Jedyne to tryumfator dnia dzisiejszego, jakoż bardzo się cieszę, że mu to powiem "Własnymi usty, bom mu też winien i to i owo od dawna"¹

Zaczem szli zaraz na środek rynku i tam stanęli. Pociągnęły za nimi chorągwie, ażeby także obaczyć zbliżka tych niespodzianych zwycięzców, o których waleczności i mężstwie już nie od dzisiaj słyszały.

Za chwilę potóm nadciągnął Ożarowski w swoim tryumfie –

¹ był to widok imponujący. Przez cały przeciąg dzisiejszej wojny nie widziano nic podobnego; nawet najstarsi żołnierze nie mogli sobie przypomnieć, ażeby kiedykolwiek tak wyglądali zwycięzcy...

Najpiórwój tedy, jak słusznie, nadciągnął dawny pułk Sodali- sów. Powiadam wyraźnie dawny, bo go już prawie nie było.

2 trzechset ludzi okładem pozostało ich tylko siedemdziesięciu sześciu w całości. Na ich czele szedł Jerzy; lecz serce wszystkim

zadrzało, gdy go obaczyli, jak w tej chwili wyglądał. Odarty tak, że na całej jego postaci tylko kawałki wypłowiałego munduru wisiały, gdzieś tam nawet nie miał czym okryć nagiego ciała: z podartego obuwia, na którym krew dopiero co skrzepła, zaledwie ślad został na nogach. Ogorzały jak mulat, był on tak wy-wędzony trudem, ogniem wewnętrznym i głodem, że z wiosennego młodzieńca zamienił się w szkielet prawie przejrzałego już męża; na zapadniętej twarzy nos się wyciągnął, usta wybladły, broda się zaostriła i tylko oczy jasnym, promiennym gorzały blaskiem. Widać tu było na pierwszy rzut oka, przez jakie prace olbrzymie, przez jakie nędze musiał ten człowiek przechodzić, kiedy w tak krótkim czasie tyle krwi młodyj wyczerpał. Mimo to wszakże duch jego tylko o tyle wyżej wzniósł się i zmęzniał. Jakoż choć tak wyczerpany na siłach i zmęczony tak krwawą pracą, był on w tój chwili jak posąg lany z żelaza, trzymał karabin jakby przykuty w rękę i szedł, jakby dopióro co stanął na czele swoich żołnierzy, jak na zdobycie całego świata! Za nim wszyscy, jak gdyby mu z oka wypadli, szli Sodalisy; a kiedy bębny rażnym marszem towarzyszyły ich krokom, zdawało się, że to nie ludzie, lecz bohaterские idą posągi, zwycięztwo się unosi powietrzem, a ziemia drży pod ich stopami!

Więćój już nie widziano, po nich trudno było co widzieć.

Toż kiedy miecznik tak Jerzego obaczył, jakiegokolwiek tam były jego usposobienia dla niego, łzy mu trysnęły strumieniem z oczu, wyciągnął ramiona ku niemu i milcząc oniemiały wzruszeniem, rzucił mu się na szyję t

Razem z nim pisarz rzucił się do starosty.

Starosta milczał, lecz otarł skrycie łzę z oka, a nawet rotmistrz sam strzepnął palcami i rzekł do siebie:

- Niechże go kat jużci co prawda, to prawda.
- A co, panie Piotrze! wodę nam wozic za nimi!

Ale rotmistrz już był przy Jerzym. Prawie go wydarł z objęć miecznika, a ściskając za rękę powyżej kostki, zawołał:

– Czolem panie siostrzeńcze! Niechże cię Pan Bóg ma w swojej opiece, jakeś się wyczerkiesił. Otóż to tak, to rozumiem. To jest pole dla prawdziwego szlachcica, ale nie szlifowane posadzki regałów!... safoo honore waszmości. Nie bierzże mi za złe, zem tak nie rozumiał o tobie, jako dziś widzę; aleć już widzę, a oo rozumiem, nie potrzeba powiadać Powiem ci tedy to tylko, że już nam starym podobno za piec, kiedy są tacy młodzi. A to jest wiele, bom też jeszcze tego nie powiedział nikomu...

Uśmiechnął się na to Jerzy radośnie i chciał dziękować, kiedy wtóm pisarz ze starostą i inni oficerowie przystąpili do niego, a pisarz podał mu rękę i rzekł:.

– Mości generale! dajże mi, rękę, niech ją uścisknę podwójnie, raz, żeś mi przyszedł z tak serdecznym sukursem, a ..powtóre, żeś tak sowicie pomnc^ył chwałę tój naszej sprawy'. Mam też

i grzech na sumieniu przeciwko tobie; miałem cię przecież w niewoli! Niezupelnim ja temu winien

Tu Jerzy przerwał Potockiemu z pośpiechem, a nie dopuszczając dalszych tłumaczeń, sam go jeszcze usprawiedliwił, mówiąc wyraźnie, że nióina o to do niego żadnój pretensyi, bo wió, że nie mógl postąpić inaczej.

– Jużci on nie mógl,– rzecze starosta,–bo nic nie wiedział. Ale przecież tak grube nieporozumienie nie powinno było mieć miejsca; bo kiedy wmpan stałeś w tak blizkich stosunkach z przyjacielem swoim jmc panem Branickim, o czóm nawet sam Ledó- chowski wiedział od samego początku, to i my powinniśmy byli wiedzieć o wmpanu, żeś jest nasz, chociaż niby na oko trzymasz z hetmanem Ale nam o tóm nikt nie powiedział....

– Panie starosto! – przerwał Ożarowski, – dajmy temu już pokój. Pan Bóg to sam kierował temi sprawami i podobno, jak wszędzie tak i tu, wiedział co robi Ale powiódzże mi wmpan z łaski swojej, wiaaomóž to było panu Ledóchowskiemu, jakie były moje stosunki z Branickim?

– Co do joty wiadomo, mpgę wmpanu zar-ęczyć, a nawet mam na to dowody, które tóž zaraz mu złożę.

To mówiąc, wziął zaraz Jerzego na stronę, opowiedział mu krótko i zwięźle jak zostawił sprawę konfederacyi w dzień swego wyjazdu i oddał mu wreszcie list własnoręczny od jej generała marszałka. Odczytał Jerzy ten list z ciekawością, a na jego twarzy rozlały się promienie radości. Cóż to za nagła zmiana w jego losach i wszystkich dotychczasowych stosunkach! – Ledóchowski oddaje mu cześć za jego dawne zasługi względem konfederacyi, które zna najdokładniej, boleje nad tem, iż dla niemożności skomunikowania się z nim nie mógl mu oddać tej części już dawniój; boleje dalej nad owemi nieszczęsnemi nieporozumieniami, które zaszły pomiędzy nim a konfederacyą i tyle mu przyniosły boleści; rozwodzi się szóroko nad obecnym stanem tój sprawy i jój zamiarami a na końcu dodaje:

„Zapraszam' tedy jw. pana i zalecam mu najsolenniój, ażebyś nie tracąc ani jednego momentu czasu, eo instanie do nas pospieszył. Służyć walecznie Marsfowi potrafi i każdy inny; jakož gdybyśmy na tej drodze mogli osiągnąć zamiary naszój konfederacyi, bylibyśmy próžni frasunku: alec to właśnie inna droga się otwióra przed nami, a ludzi takich, którzyby teraz mogli posłużyć 2e skutkiem, ludzi świątłych, obeznanych z wiadomościami status i mogących postawić czoło praktykom osiwiątłych*na swojój służbie ministrów, brak nam jest wielki. Dlatego tóž wyglądamy jw. pana tem niecierpliwiój, a nie wątpiąc ani na chwilę, że nas nie omylisz w nadziejach naszych, zachowujemy krzesło gotowe dla niego," i t. d.

Odczytawszy to pismo do końca, Jerzy się zamyślił na chwilę.

Tora XI.

– Cóż waszmość myślisz? – spytał go niecierpliwie starosta.
– Nowe to dla mnie są rzeczy, – rzekł Jerzy, – sam jeszcze nie wiem...
– Ale zmiłuj się, generale, – rzecze mu prędko starosta, – tylko się namyślaj a jedźmy. Wmpan jeszcze nie wiósz dokładnie, w jakich tam nasza konfederacya obrotach, całe wojsko wre jakby ukrop, chce się koniecznie bić dalej, a są nawet i tacy, którzy się wcale nie tają z intencjami szwedzkiemi. Czy waszmość nie wiósz, dokąd nas dzisiaj zaprowadzić może ten zapal nieznośny, jeśli go nie ochłodzim z jaknajwiększym pośpiechem? A ochłodzić go rao- żem tylko raźnie zawartym traktatem.

– I o Szwedzie już myślą? – rzekł na to Jerzy z uśmiechem, – wmpan chyba żartujesz.

– Ale jak ciebie kocham, mój generale, tak mówię prawdę, jak jest. Straszliwy ferwor jest w wszystkióm wojsku. Już i na samego Lehóchowskiego sarkają, a zamierzony traktat to prawie zdrada...

– Ha! to trza jechać, – rzekł Jerzy, – no, ale jakże tu zrobić? Tyle mi ludzi tutaj poległo, *tyle jest rannych, a i ci, którzy zdrowi, potrzebują zaopatrzenia...

– Oto się waszmość wcale nie frasuj. Jedź tylko. Twoich ludzi weźmie tymczasem pod opiekę mój brat.

A to rzekłszy, zbliżył się zaraz starosta z nim razem do pisarza, który tymczasem Ożarowskiego żołnierzy i śmigownice oglądał, i opowiedziawszy mu rzecz, dodał na końcu:

– Przecież ty tych żołnierzy potrafisz pomieścić i zaopatrzyć jak trzeba.

Pokręcił na to wása pan Michał, spojrział na Ożarowskiego z pod oka i rzekł:

– Jużci ja tych żołnierzy przyjmę, ba! z otwartemi rękami. Ale koniecznież-to wmpanu lecióć na te konszachty?

Widział tu tedy Jerzy już z tych słów kilku, że mu prawdę powiedział starosta. Ale przekonał się o niój jeszcze tórn jawniój, kiedy w krótkiój rozmowie, która się ztąd wywiązała, Michał Potocki rzekł nawet wcale otwarcie:

– Co wy tam temi traktatami zrobicie! Nie pora to do traktatów, i jakom żyw, na nic się nie przydadzą.

Usłyszawszy to, Ożarow-ski nie potrzebował się już wcale nad swoją podróżą namyślać. Byłci on w^Tprawdzie, i z daleko głębszych powodów, i zapewne daleko gorętszym przyjacielem sprawy stanisławowskiej; lecz podniesienie teraz tój spraw^Ty nanowo, — teraz, kiedy Szwed tylko czekał na to i kiedy właśnie z obawy jego nowego najazdu osiemdziesiąt tysięcy wojsk rossyjskich stało na granicach Rzeczypospolitój polskiój, — było taką nedorzecznoscią, że godziło się choć życie poświęcić, ażeby jój nie dopuścić. Zrozumiawszy to, Jerzy nie wahał się już ani chwili z podróżą. Jakoż ominąwszy zręcznie daleką o tym przedmiocie dyskusyą,

począł natychmiast oddawać Potockiemu resztki swojego wojska, oddawał mu potem rannych, których przywieziono z pobojuwiska, oddawał mu nareszcie poległych, zostawionych na polu, z którymi rozstanie się głęboką go przejęło boleścią, zalówając twarz jego rzeźnemi łzami...

– Pochowajcie braci waszych z taką samą miłością, – rzekł on do pozostałych, – jaką oni. was otaczali za życia. Oddajcie im cześć tę, na którą zasłużyli swoją waleczną śmiercią. Bóg niech ich przyjmie w swoją świętą opiekę, a wasza korna modlitwa niechaj temu dopomoże! – Serce mi się rozdziera ze żalu, że nie mogę sam być na tym obrzędzie; ale służba mnie powołuje gdzieindziej... Zaczem bywajcie zdrowi! i chowajcie mnie w swojej pamięci, dopóki znowu się nie zejdziemy, aby da Bóg! w miłym spokoju przypomnieć sobie te krwawe trudy, przez które miłość wzajemna i wierność nas prowadziła do chwały, i uronić łzę wspólną nad grobem tamtych, którzy lepsi od nas i waleczniejsi, przy naszym boku polegli!...

To rzekłszy, rzucił się w ramiona stojącemu u brzegu Polewce, a reszta jego żołnierzy głośnym się płaczem zalała.

I była cisza przez małą chwilę na całym mieście.

Wszakże w ten moment gwar się zrobił między starszyzną, – nowi zjawili się goście. Przyjechał ks. Rupniewski ze Lwowa, Murza u jego boku, a z nim cały pęk braci szlachty, którzy się byli zgromadzili we Lwowie, a teraz, dowiedziawszy się o stoczo- nój bitwie, pędem tutaj przybiegli. Rozmawiano tedy rozgwarnie, opowiadając sobie nawzajem, co się stało, co się stać mogło, a czego szkoda że się nie stało. Przy tój rozmowie Ożarowski był dziwewiskiem dla wszystkich, każdemu się musiał spowiadać, zaledwie głosu mu stało. Śród tego czasu przywieziono zwłoki walecznego Wapowskiego – a tak znów nowy rozgwar się zrobił i żal nowy się rozniósł nad stratą ukochanego przez wszystkich młodzieńca. Wszyscy otoczyli go kołem, a ani jednego oka nie było, któreby łzami nie zaszło. Któż go nie znał, kto jego cnót niezrównanych nie cenił, kto całym sercem nie kochał? Któż nareszcie nie wiedział, że on zaledwie przed dwoma laty z dawno kochaną złączył się żoną, z jakim żalem ją rzucił, jak zawsze tęsknił, ażali ją prędko obaczy – i nigdy już nie obaczył! – Wiedział o tem i zacny sufragan, bo był mu krewnym, i z wyrazem głębokiej boleści stał nad jego zwłokami. Zwrócił się potem raźnie do starosty bełzkiego, który stał przy nim wraz z Ożarowskim, i rzekł:

V Otóż i straszna ofiara nadpotrzebnego zapalu! Nie wojny nam już potrzeba, ale na miłość Boga spokoju. Ażaż nie dosyć już krwi wypłynęło najlepszój? – Jedźcież tam, jedźcie a śpiesznie, i gdyby nawet przyszło tu i owdzie ustąpić, ustąpcie a ucieszcie ten biódny naród, który od lat piętnastu krwią się zalewa, pożądanym spokojem. Jedźcie i radźcie – a my tu za was będziemy

trzymać na wodzy tych zapamiętałych szaleńców, których na nasze nieszczęście jeszcze i dzisiaj tiie braknie.

– Siadajmy, jedźmy, – zawołał na to starosta i zaraz zęgnął się z sufraganem. Poczóm zęgnął się z bratem i innymi z starszizny. Zęgnął się także i Jerzy, ale się ciągle oglądał: Bobrownickiego szukał, którego jakoś nie mógł dojrzeć w tym tłumie...

Dojrzał go wreszcie, skoczył .ku niemu, ujął go raźnie za rękę i rzekł:

– Panie mieczniku dobrodzieju! czas na mnie wielki, zaczóm bywajcie zdrowi! Po długich latach zesłiliśmy się nareszcie, ale tylko na małą chwilę. Tum jest, za oka mgnienie już mnie nie będzie – i kto wie, kiedy znów się zejdziemy! Spodziówam się przecież, iż mi dlatego nie odmawiacie swojej dawnej przyjaźni? Jest tóż już nieomylna nadzieja, że lada dzień skończy się wreszcie ta moja włóczęga, a wtedy bez odetchnienia polecę do was, ażeby za waszą łaską odpocząć pod waszym bokiem na zawsze... Cóż, nie gniówacie się na mnie, mój ojcze?

– Ależ proszę cię, – rzecze mu miecznik, co ci się mar ty o gniówach? Kto tak gorąco służy, ten od wszystkiego wolen. Ażaż widziałeś to kiedy po mnie, ażeby sprawom pospolitego dobra przedkładał jakąkolwiek prywatę? Zaczóm jedź, prędkim a rozumnym traktatom pilnie pomagaj i niech Pan Bóg da szczęście !

Widział tu Ożarowski, że jakoś miecznik zęgnął go trochę zachłodno, – ciężko mu się zrobiło na sercu, byłby rad został przy nim choć na godzinę, – ale natenczas nie miał już do stracenia ni chwili; starosta go już trzymał pod ramię, zaraz tóż wziął, zawiódł do swego powozu i kazał ruszać natychmiast.

Za chwilę potem Jerzy już był na szerokim gościńcu do Lublina wiodącym, a w Żółkwi poczęto czynić przygotowania do .smutnego pogrzebu poległych.

* *

Tymczasem rozpoczęty w Lublinie traktat agitował się już od kilku tygodni. Odprawiającym się ^kfinfederacyom przewodniczył dawno przewidywany pośrednik, którego zastępował książ Dołgoruki, z obudwócli stron zasiedli liczfii komisarze delegowani, schodzono się na narady jak tylko można najpilniej i były z obu stron niby najszcórsze chęci doprowadzenia zgody do skutku, – ale pomimo to wszystko rzeczy te szły nadzwyczajnie opornie i nie było w nich widać najmniejszego postępu. Nie mogło wszakże dziać się inaczej przy tak ważnych i rozmaitych przeszkodach zkad inąd." I tak najpiórwej jedną z naj

ważniejszych przeszkód to było, iż skonfederowane stany wysłały ze swojej strony zanadto wielką liczbę pełnomocników: sama Litwa wyprawiła od siebie dwudziestu czterech, inne prowincje jeszcze daleko więcej. Byli ci ludzie bez wątpienia najlepszych chęci, lecz byli wszyscy tak rozdrażnieni przeciwko Sasom, tak każdój krzywdy najmniejszój pamiętni, a przytem co do żądań postawić się mających tak między sobą niejedni, że każde posiedzenie, choćby najpiękniej zaczęte, pod wpływem tak licznych a różnorodnych namiętności, zamieniało się w sejmik, z sejmiku w zbiegowisko bezładne, a w końcu rozchodziło się, nic nie zrobiwszy. Drugą także nieobojętną przeszkodą była ta okoliczność, iż niektórzy panowie, lubo dotychczas bezczynni, jak tylko się dowiedzieli o rozpoczętych traktatach, najechali Ledóchowskiego, to narzucając mu się jako doradcy, to snując około niego nieprzeliczone kabały: a kiedy jedni z nich przędli najrozmaitsze matactwa na korzyść sprawy królewskioj, drudzy znowu przeciwnie burzyli jego samego, otaczając go starszyznę i całe wojsko do dalszój wojny, forytując nawet dość jawnie sprawę Leszczyńskiego, sojusz z Szwedami i de- tronizacyą Augusta. Zbiegowisko to koło niego wzrosło nawet za czasem do tego stopnia, że przyjechał nareszcie i hetman Sieniawski, Rzewuski wojewoda podlaski, Pocięj hetman litewski, Lubomirscy, Sapiehowie i Jabłonowscy, a wszyscy nietylko z nie- przejrzanemi chmurami dworaków i popleczników, ale nawet z żonami, tak że miasteczko Łęczna, pod którem Ledóchowski w tej chwili stał ze wszystkiemi wojskami obozem, nie było w stanie tych gości ani w połowie pomieścić i niejedni dwór pański musiał szukać schronienia w wiosce sąsiednioj, lub obozow^Tać pod go- łem niebem jak wojsko. Generalny marszałek tedy, znalazłszy się w takióm oblężeniu, najeżdżany co chwila przez panów, napadany w własnoj kwaterze przez damy i zgoła oplątany ze wszystkich stron niezliczonemi sieciami matactwa, nietylko nie mógł skutecznie wpływać na bieg konfederacyi, ale nawet i krokiem nie mógł się ruszyć z obozu, który burzony i podpalany przez malkontentów, mógł się lada chwila istotnie dać zburzyć i zrobić jakiś krok taki, po którym o konfederacyach aniby myśleć nie było można. Nie obeszło się tóż w samój istocie bez burz i gwałtów; hetman litewski Pociój, napadnięty w Łęcznoj przez Litwę, zaledwie życie uniósł w całości, uciekłszy nocą z kilką swoich dworaków; tak samo hetman Sieniawski byłby bezwątpienia padł ofiarą rozruchu, gdyby go znowu wojewoda krakowski nie był zastonił swojną własną osobą... Wszakże największą niezawodnie przeszkodą do porządnego rozwoju poczętych konfederacyj w Lublinie była owa zawzięta nienawiść, która miotając obustronnemi wojskami, pomimo zawartego rozejmu, dotychczas jeszcze w ciągłój utrzymywała je wojnie. – Wprawdzie Ledóchowski, znając dobrze tę obustronną nienawiść, ściągnął był pod Łęczną około pięciudziesiąt tysięcy wojsk konfederackich, – , tak samo zrobili Sasi i zgromadzili się teraz pod

Markuszewem, – ale oprócz tych sił było jeszcze niemało innych rozproszonych po kraju a tamte, gdzie się tylko dopadły, szły z sobą w czuby bez najmniejszego względu na rozejm i konfederacye. Nie brakowało nawet na gwałtach, na ekscesach i akcyach wojennych takich, które zaćmiły sobą najważniejsze wypadki samej wojny. Tak np. pod Sandomierzem porwali Sasi kasztelana Łąciszewskiego, który się z garstką ludzi tamtędy uwijał, i powiesili w Sandomierzu na rynku. Tak wypadli oni z Krakowa na Wiśnicz i Lubomirskiemu, staroście sandomierskiemu, zrabowali skarbiec do szczętu, z którego do sześciu milionów do Saksonii wywieźli. Tak zrabowali także okolice Krakowa, Częstochowy, Poznania. Wzarftian zaś za to Gniazdowski, urósłszy do tego czasu do pięciu tysięcy, obiegł Poznań, wziął szturmem miasto, grodzę się pomścił na Sasach i zdemolował świeżo co przez Augusta wzniesione fortyfikacye do szczętu. Poszedł potem na Toruń; także go wziął, a rozrzuciwszy się po okolicy tamtejszój, gdzie jeszcze była jaka komenda saska, napadał na nią, bił i wytępiał.

Śród takich okoliczności, oczewiście że konfederacye nie mogły się agitować spokojnie i postępować ku zamierzonemu celowi.

JBafbarzyński postępek Sasów z Łącisze[^]skiin, rabunek Wiśnicza i inne podobne gwałty oburzyły umysły konfederatów do najwyższego stopnia; z dfugiój znów strony wzięcie Poznania ze znaczną stfą.ą, a jeszcze daleko większym wstydem dla armii saskiej, jak niemniój dalsze Gniazdowskiego zwycięztwa, nie mogły jak tylko taki sam wpływ wyrzeć na Sasów. Jakoż zamiast się zgodzić, sfożono się tylko na siebie coraz zawzięciej, wyrzucano sobie nawzajem bezprawia, grożono zemstą i czasem całe posiedzenie mijało tylko na cierpkich skargach i wcale niepowściągliwych wyrzutach. Widząc to, książę Dołgoruki opuścił Lublin, udając się niby do Warszawy do króla, -»- Ledóchowski zaś z swojej strony wyprawił także posłów do króla, prosząc o inne instru- kcyie dla kortiisarzy stawających ze strony królewskiej. Król nie widział się podobno zupełnie z księciem, lecz niespodzianie od kon- fedefacyi poselstwo przyjął bardzo uprzejmie; obiecał sam przybliżyć się do koła obradujących, zapewnił ich piśmiennie o najlepszych chęciach ze swójój strony,, a nawet Tarłę, podstolego litewskiego, lubo to był jeden z najgorliwszych konfederatów, a razem poseł od konfederacyi do niego, sam z swójój strony upoważnił do prowadzenia tej sprawy ku zgodzie. Zaraz tóż po odebraniu tej odpowiedzi królewskiej tuszyły się wojska konfederackie w okolicę Krasnego -stawu, Sasi przeszli za Wisłę z całym swoim obozem, a konfederacye pferniosły się do Kazimierza dolnego. Jednocześnie zjechał król do Janowca, ażeby swym własnym wpływem totować tlfogę do porozumienia i zgody – a zarazem i konfederaci usunęli z swój strony jedną walną przeszkodę, zmniejszając

liczbę swych komisarzy, dając im dokładniejsze instrukcje i obo- strzając ich obowiązki przysięgą. Jednakże nawet i te ułatwienia na nic się nie przydały. – Przedewszystkióm bowiem nową się nastręczyła przeszkoda. Oto książę Dołgoruki na te nowe obrady nie zjechał, zabawiwszy się dłużej od samego króla w Warszawie, albo może gdzieindziej. Król, obrażony podobno, chciał z tego zdarzenia skorzystać, sam zawrzeć traktat z narodem. – Lecz Ledóchowski, mając na pamięci już nieskończone zatargi szwedzkie, już to zawartą w Gdańsku z Piotrem Wielkim o pośrednictwo umowę, nie chciał, ba nawet nie mógł te ją na żaden sposób dopuścić. Zamiast więc traktowania o rzeczy samój, zajęto się głównie sporem o pośrednictwo, który nareszcie doprowadzono do tego stopnia, że król się zniecierpliwił i nazad do Warszawy odjechał. Przybył wprawdzie jeszcze przed jego wyjazdem książę Dołgoruki, ale już tylko o tyle rzecz pospołu naprawił, że strony obradujące postanowiły przenieść się do Warszawy.

Poczęto tedy nanowo obradować w Warszawie, lecz po staremu z wielką niezgodą. Zanadto wysoko wzniosła się swemi zwycięztwy konfederacja, ażeby nie miała żądać tego wszystkiego, co żądać mogła: a zanadto znów August uniósł się w swoim uporze, ażeby mógł być tak prędko dać się uchodzić i tak ob- szórnym wymaganiom ustąpić. Jakoż bardzo jeszcze daleko było natenczas do wzajemnego zbliżenia, a były chwile, w których obydwie strony zaczęły już tracić nadzieję, a nawet stroić się tu i owdzie do rozpoczęcia kroków wojennych nanowo. Wszakże pod ową porę zaszły dwa cele niespodziewane zdarzenia, które lubo na pozór niewiele ważne, a jedno z nich nawet całkiem uboczne, wywarły jednak dziwnie uśmierający wpływ na zżele- żniałe w swoim uporze obustronne umysły. Oto najpiórw Gniazdowski, wdawszy się w niepotrzebną bitwę z Sasami pod Kowalewem, poniósł klęskę, może nietyle znaczną, lecz nadzwyczajnie dosadną; a w tymże samym czasie król August, bawiąc się z młodym niedźwiadkiem, przysłanym mu w podarunku z Kobrynia, tak ciężko został skaleczonym od niego, że musiał się położyć do łóżką. Ułagodziła tedy umysły konfederatów klęska pod Kowalewem, ułagodziła króla dolegliwa choroba, – a tymczasem, dzięki zapewne owój podróży księcia Dołgorukiego, wojska rossyjskie, odwołując się do umowy zawartój w Gdańsku, weszły w liczbie osiemnastu tysięcy w granice Polski. Wypadek ten może najskuteczniój ze wszystkich wpłynął na przyśpieszenie zgody, – która tóż w samój rzeczy w piórwszych dniach listopada została doprowadzoną do skutku.

Tak została nareszcie zawarta długo oczekiwana zgoda, – rzecz bardzo ważna; – ale któż tego nie wie, że w Polsce ówczes- nój zawsze daleko łatwiój bywało o zgodę na rzecz samę, niżeli o zgodę na formę? – Otóż tak samo stało się także i z owym sławnym traktatem. Przez trzy miesiące targowano się jeszcze ze

sobą, zanim spisano dokument pełen form i foremek i zanim przystąpiono do ratyfikacji. Dlatego też formom uczyniono zadość jak najdokładniej. Ubezpieczono honor narodu najskrupulatniej, obwarowano teraźniejszość od nadużyć królewskich najpilniej, ubezpieczono nawet dawne prawa narodu na przyszłość, – lecz niemniej przeto usłużono narodowi tylko dorywczo i jednostronnie. Usunięto tam bowiem przyczyny złego te tylko, które widziano naocznie, które leżały w rządzie, – ale o dalszych, właściwszych, tych mianowicie, które miały swe źródło w moralnym upadku, ciemnocie i rozpasaniu się szlachty, ani mowy nie było. Odświeżono Pacta Conventa, poprzysiężono na nowo wierność królowi i dano sobie obustronną amnestyę, – ale ażeby jakimiś wspólnymi myślami i widokami na przyszłość związać się ściślej, szczerzej, serdeczniej ze swoim monarchą, o tym wcale nie pomyślano. Obwarowano świętość i nietykalność wiary i wymówiono sobie, ażeby nowo wzniesione zbory luterskie zostały zburzone, – ale o wskrzeszeniu nauk upadłych, o środkach rozszerzenia oświaty, ożywienia omdlewających akademij, wzniesienia szkół nowych ani wspomnienia nie było. Ułożono na dni i godziny wyjście wojsk saskich, opisano liczebnie, jaką gwardyą przyboczną ma król postawić przy sobie, a nawet ukrócono do niepoznania dotychczasową władzę hetmanów, – ale o postawieniu armii stojącej, wówczas już jak powietrze i woda niezbędnej, ani wspomniano – a nawe: dotychczasowe wojsko całej Rzeczypospolitej polskiej zmniejszono do osiemnastu tysięcy. – Napróżno, tak przy konferencyach, jak i w kołach prywatnych, odzywał się Ożarowski, napróżno go popiórali jego przyjaciele, – ani ich słuchać chciano i zakrzyczano. Myśli takie były jeszcze natenczas nieprzystępne nikomu; były to mrzonki zamorskie, wizye schorowanej fantazyi, Morusowskie utopie! Cały naród był tego zdania, jak je niegdy wypowiedział ks. Rupniewski: Chwalić Pana Boga, wiarę chować ojcowską, pilnować praw starodawnych, fakcyj nie robić, ekscesów się nie dopuszczać, czyż to nie dosyć? – Jakoż na tym przestając, nie myślano o niczym więcej, jak tylko ażeby spisany nareszcie traktat mógł być ratyfikowanym co prędzej i żeby skończyć tę sprawę. Stało się też to w samój istocie w ostatnim dniu stycznia: a dnia następnego uczynił Ledóchowski wjazd tryumfalny z Pragi do Warszawy i zajechał najpierw na nabożeństwo solenne do bernardynów. Ztamtąd udały się skonfederowane stany na zamek, gdzie król, otoczony senatem zgromadzonym in pleno, oczekiwał przybywających. Za ich wejściem zgromadzenie to, skutkiem osobnego artykułu zawartego w traktacie, zamieniło się w sejm pacyfikacyjny po wszelkiej formie. Zaczóm natychmiast, skoro tylko Ledóchowski, teraz już jako marszałek sejmowy, powitał króla i odebrał odpowiedź od tronu z ust kanclerza w. koronnego Szembeka, przystąpiono do odczytania traktatu, – i ha tem całą tę solenność skończono. Chcieli i ci i owi po staremu zabiórać głosy, ale im

tego nie dopuszczono. Natomiast Ledóchowski złożył u stóp tronu godła swój władzy i krótką mową króla pożegnał. Przystąpili wszyscy kolejną do pocałowania ręki królewskiej – i na tem skończyła się konfederacja tarnogrodzka. I skończył się razem z nią sejm, sejm sławny w dziejach, dla krótkości swojej siedmio- godzinny,, a dla milczenia sejmujących nazwany niemym.

Po zakończeniu sejmku wydano festyn wspaniały, illuminowano miasto i strawiono całą noc na serdecznych uściskach. Nie było już nieprzyjaciół, zatarto złości i nienawiści, zapomniano wszystkie urazy: otworzyły się serca i złąły z sobą jakoby w pieśń jedno- zgodną, bo tóż w nich wszystkich jedno tylko panowało uczucie.

Hej! wesoleż to były zapusty, które nastąpiły po tej konfederacji! Gdzie jaki dach był, gdzie jaki taki antałek, gdzie choćby jaki skrzypiciel, co do wieczora dopomagał szewcowi naprawiać buty żołnierzom, tam już pewnie hulano i pito przez całą noc. A gdzie się tóż nie znalazło to troje ? – Porujnowali wprawdzie drapieżni Sasi domy, powysuszali piwnice, przepłoszyli nawet i skrzypicieli, ale przecież za łaską Bożą i domek się jakoś podła- tał, i antałek się jeszcze gdzieś w zakamarku wynalazł i o grajka, kiedy go trzeba, u nas nietrudno. Ghoćby tóż przyszło i pod gołóm niebem pohulać i w krynicy gasić ^pragnienie, i zaśpió- wać do tańca, to i tak jeszczeby pohulano i" pęwnieby nogi nie omdlały do świtu. Aleć się przecie jeszcze to ■ wiszystko, co do tańca potrzeba, znalazło. A tak hulano suto po wszystkich dworach, dzień w dzień, noc w noc, – gdzie brakło pokarmu, napitku, światła, jechano kuligiem w sąsiedztwo, a kiedy i tam okazały się pustki, to dalej! I gdyby było podówczas wylecióć ptakiem, toby się było zdawało, że w całej Polsce same się odprawiały wesela. Jakoż i wesel było prawie bez miary, bo żeniła się młodzież jak opętana, biorąc panny tak raźnie, że gdzie ich brakło, to się i wdowom dostało. Jakoż urosło natenczas przysłowie: że która dziewka w tym siedemnastym roku za mąż nie wyszła, tój chyba już do klasztoru. U księżnój Woronieckój w Janie wicach, jak się każdy łatwo domyśli, od samego początku zapust była jak gdyby ciągła reduta. Dwór był obszórny, komnaty duże, szkatuleczka niepróżna, wdóweczka piękna, ochotki dosyć, więc tóż i drzwi się nie zamykały przed całemi chmurami gaszków, którzy tam zajeżdżali. Przez

jakiś czas zrazu wstrzymywała się trochę pamiętna dawnych affe-któw kniahini, sama nie tańcowała, wzdychała smętnie, wyglądała przez okno i mawiała do mieczników:

– Wszyscy już powrócili, a mego jak nióma tak nióma! Zawieruszył się gdzieś bałamut i pewnie już nie powróci!

I tak tęskniła przez cały tydzień. Lecz kiedy z każdym dniem coraz więcej - wracało szlachty, ten i ów wstąpi, a każdy

0 rotmistrzowi powiada, że wyjechał z pod Warszawy na Ruś, to

1 przestała tęsknić nareszcie, opłakała swojego zdrajcę rzewnymi łzami i puściła się w taniec z innymi. Wrócił nareszcie i miecznik, także coś osmucony; więc żeby go rozweselić, dała kniahini obiad u siebie, a potem miały być tańce i pohulanka, jak zwykle. Zjechało się gości huk do kniahini, miecznik z całym swym domem, wszyscy sąsiedzi, ba, i dalszych cokolwiek, bo księżna miała bardzo obszerne relacje. A przyjechał tam także i jmc Trojacki, da-wniój konkurent o wszystkie panny, ale od roku najniższy sługa tylko samej kniahini. Ciężko on wzdychał do pięknej wdówki, co drugi dzień przysyłał swaty, obszerne obiecywał zapisy, a wreszcie chciał bodaj wszystko jej oddać zaraz po ślubie, – ale jakoś i to mu nie pomogło. Niebardzo bystro spoglądała na niego kniahini, ale się zdecydować nie mogła. Tłumaczyła się tem, że pięćdziesiątkę już przeszedł, że haniebnie jest łysy, że przygarbiony, a nadewszystko że człek nie wojenny; trudnoż jój kochać piecuchów, kiedy jest tylu rycerzy. I przyznawano jój słuszność i powiadano: „że jeżeli z tój racyi, to i nióma co mówić.” Tylko jeden ksiądz gwardyan, kiedy go jmc Trojacki na konsultacją zaprosił, a zdarzało się to co tydzień, zważywszy okoliczności, uderzał w tabakierę, a podawszy mu sandomierki prawdziwój, powiadał:

– Trwaj tylko jegomość statecznie w swoich intencjach do końca; bo to uważasz jegomość, zje pies psa, kiedy nie ma barana, jako już jest eksperyencya.

Trwał tedy jmc Trojacki statecznie i dotrwał rzeczywiście do końca. Boć to i koniec był teraz na prawdę; z walecznych rycerzy nikt się nie trafiał, a wierutnego zdrajcy jeszcze zawsze nie było. Przebąkiwano nawet, jakoby rotmistrz wrócił się ze wsi swojój z nad Dniestru, dokąd się udał był jeszcze z Krasnegosta- wu i bawił teraz na Sędziszowie, gdzie go pan Michał Potocki miał żenić ze swoją krewną. Była wieść nawet, że za protekcją Potockich król mu miał konferować jakąś tam kasztelanią drażkową, żeby to przecież, koligając się z takim domem, miał z czóm Wystąpić do ślubu. Dowiedziawszy się o tóm, jmc Trojacki na dzień dzisiejszy już z kapelą przyjechał, dosyć suto, ba poprostu paradnie. Widząc tę tam paradę, przebąkiwali drudzy, że już to podobno w konkury, ale na prawdę nikt o niczóm nie wiedział. Aż tu zaledwie pozbiórano ze stołu, wchodzi kapela, zaczynają grać odrazu wielkiego; przystępuje kawaler do gospodyni, prosi ją

w taniec. Poszła z nim, poszli za nią i drudzy, nawet i miecznik sam rzucił troskę o ziemię i poszedł w tan za drugimi. Hulają, piją z jakie pół godziny albo i więcej, młodszy śpiewają, starsi przyklaskują rękami i podrygują, – kiedy wtóm miecznikowa skinęła ręką na męża, ażeby ku niój przystąpił. Zbliżył się do niej, a ona pyta:

– Uważasz Jasiu, jakie to pieśni śpiewają?

Posłuchał miecznik, bał pieśni wcale weselne. Spojrzą tedy za kniahinią – a przed nią swaty. Kasztelan sam prawi oracyą, niecierpliwy Trojacki stoi tuż przy nim, składa ręce, modli się jak do świętego obrazu. Chwycił ją wreszcie za rękę, pocałował smacznie i raz i drugi, i poszedł w taniec. A tu tymczasem huk ogromny po sali, przynoszą coraz większe puławy, nalewają, piją, wykrzykują wiwaty, że aż się ściany rozchódzą. Skoczył tedy miecznik wraz z żoną, zastąpił drogę kniahini:

– Pani. siostró! przez Pana Boga, powiedz że nam co to jest, bo siedzimy jak na niemieckim kazaniu, a przecieżeśmy ci krewni najbliżsi.

A na to kniahini:

– Ale jak ciebie kocham, braciszku, tak nic. Ot, bawi się jmc Trojacki, jak mu każe fantazyja, a ja mu tóż nie przeszkadzam.

Złożył na to ręce Trojacki, modli się, mówi:

– Królowo moja! już-że mnie nie odtrącaj od siebie. Wždy to za trzy tygodnie już i zapust przeminie.

Śmieją się na to wszyscy, a miecznik rzecze:

– Radbym i ja też podskoczyć na tómsz weselu, ale cóż! boję się, żeby mnie za to potem nie pociągniono do odpowiedzialności. Jakoż i tobie to mówię, że godziłoby się jeszcze poczekać. Bó to kto orze i sieje i siedzi w ciepłej komnacie, temu o nagrodę nie pilno; ale kto o głodzie i w trudzie wytrzymał się przez lat kilka na twardej kulbace.....

Nie dał mu już Trojacki domówić, tylko skoczył ku niemu jak ryś:

– Panie mieczniku dobrodzieju! jeżeli Pana Boga kochasz, daj pokój! a to jest zdrada! brat ty jesteś, czy patron tego wichra w polu, co nam tak księżnę obaiamucił? co tobie na tómsz zależy? On tam już może i pierścionki zamienił na Sędziszowie, może się już przed ołtarz prowadzi, a ty go tu jeszcze swatasz w najlepsze. Chyba że sobie żartujesz z księżną jejmości, a mnie chcesz do- męczyć do reszty! Mościa miecznikowa dobrodziójko, ratujże mnie jój mość, jeżeli dzieci swe kochasz.

A miecznikowa na to:

– Możesz mi wierzyć, mości panie Trojacki, że jestem mu przyjaciółką z całego serca, ale i ja tóż nie mogę mojej siostrze poradzić inaczej, jak żeby się jeszcze z tem choć na maluczko wstrzymała. Jmc rotmistrz jest z księżną już od dawna po słowie,

a mamy tóż wiadomości z Warszawy, że jeszcze tego słowa nie rzucił.

Zbladł na to Trojacki, sam nie wiedział co mówić; zwrócił się do Kostusi, która także tam stała, klęka przed nią, składa ręce:

– Mój święty aniele strózu! chociaż ty mnie poratuj! Jejmość księżna daje więcej na słowo wmpanny, niżeli....,

– Niżeli co? – zapytała z uśmiechem Kostusia.

– Niżeli na słowo jój obojga rodziców.

– A to bardzo źle robi księżna, – rzekła wtedy Kostusia z powagą, – bo się to nie należy.

– Rajże mnie a pomóż, Pan Bóg ci to nagroził!

– Bardzo żałuję, że waszmość panu nic a nic pomódz nie roog^ł bo tóż i sama rozumiem, że byłoby grzechem śmiertelnym pd białejgłowy, gdyby oddawszy i serce i słowo, nie wytrwała statecznie do końca.

A to rzekłszy, odwróciła się zaraz od niego i zbliżyła się do rodziców, którzy stali z kniahiną w kąciku, perswadując jój, ażeby się sprawowała oględnie i przez porywczosć nie umartwiła człowieka, który jest kość z kości i krew ze krwi rycerzem, i który oddał tak znamienite usługi pospolitemu dobru.

– Nie zaręczam ja tobie, – powiadał miecznik, – ażali on pewnie powróci. Inaczój mi o nim powiadał jmc ks. Rupniewski, z którym się parę dni temu widziałem w Warszawie, inaczój znowu świadczą wiadomości sąsiadów. Aleć to czas niedługi, poczekać trzeba koniecznie.

– Hm! – rzecze księżna, – a toż wy w takim samcm położeniu jesteście, a przecież.....

– To co innego, – przerwał jej miecznik. Kostusia zbladła, a tymczasem miecznikowa dodała:

– My także jeszcze się nie kwapimy, choć przyznasz sama, że nawet byłoby warto. Ja ci twojego nie ganię, ale jmc wojewodzie nie jest wcale do odrzucenia, każdy to widzi a nawet i ci i owi zrozumieć tego nie mogą, dlaczego się ociągamy.

Zamyśliła się na to kniahini i rzekła:

– Sama już nie wiem co robić.

– Czekać, – rzecze jój miecznik, – czekać choć do popielca.

A na to księżna:

– Nuż mnie już zdradził i nie przyjedzie?? A to wolę ja jego zdradzić pierwej, niechże choć moje będzie na wiórzchu.

– Cha, cha, cha! – zaśmiał się na to miecznik, – oj! kobiety! wy anioły prawdziwe, a co to u was złościwości!

A tymczasem kiedy się to działo w jednym kąciku, Trojacki zły, że nie może postawić na swojóm, jeszcze mu jego bellę buntują, wpadł w gniów tak okropny, jakiego po nim przez całe życie nie znano. Jakoż przyskoczył do swoich przyjaciół i swatów, uderzył nogą o ziemię i zawołał:

– Wszyscy się przeciw mnie sprzysięgają. Ale wiedźcie to, moi panowie, że nie wyjdę stąd bez obrączki na palcu! Żebym miał się ekscesu dopuścić, to i na tom jest gotów – a kto mi przyjaciel, ten mnie i w tym nie odstąpi!

Hałas się na to zrobił okrutny, bo większa część gości byli to jego przyjaciele i swaty. Huczą tedy jak w ulu, wykrzykują, a nawet i wyraźnie już słycać było wymówki:

– A co to? wodzić zanego człowieka za nos przez cały rok, a potem go zdeptać jak gdyby nic, jakaż to moda?

– Uchodziło to jójności na Rusi, – mówili drudzy, ale tutaj nie ujdzie!

A ktoś nawet zawołał:

– Spalim, zniszczym, zamieciem, że i śladu nie zostanie z tej bóżnicy amora!

Słyszac to, księżna zbladła jak ściana. Złożyła ręce, obróciła się do miecznika:

– .Braciszku! ratuj.

A miecznik śmiał się.

– Widzisz, pani siostró. Nosił wilk owce razy kilka, przyszedł czas, rozziwiano paszczę i na wilka.

Ba! ale bo to nie śmíochny. Hałas rośnie, przymówki coraz groźniejsze; szlachta huczy, tłumią się, jeden uderzył kielichem o ziemię, drugi już szablą zabłysnął. Każą grać wreszcie. Księżna na pół omdlewa. Otrzeźwiła się trochę:

– Mości Trojacki! – woła, – przez Pana Boga! cóż to ma znaczyć ?

Przybiegł Trojacki:

– Nic to nic, moja królowo! – i odpowiedział dalej jój wła- snemi słowami, – „bawią się moi bracia, jak im każe fantazyja, ja im tóż nie przeszkadza m.”

– Ależ na miłość Boga! przecież mnie waszmość nie będzie najeżdżał w mym własnym domu.

– A chowaj Boże! moja królowo. Chodźmy w taniec, to się jakoś uśmierzy.

Sama nie wiedząc co robi, poszła kniahini w taniec; tańczy pięknie, ale za ledwie żyje. Bo huk coraz większy, śpiewy coraz głośniejsze; przycichły wreszcie, aleć to jeszcze gorzej. W tej chwili bowiem zastąpili jej drogę swatowie, starosta w tył wyloty zarzucił, pomusnął w^Tąsa i ponawia oferty. Już to się wszystko dzieje publicznie, jak gdyby w mieście na rynku. Orator' sady krasomówczemi frazesy, sypie figury jak z rękawa, miota hy- perbolami w cześć księżnej i całego jej rodu – a księżna już ledwie żywa, drży jak liść, oczu nie może oderwać od siebie, bo na około niój straszny tłum szlachty, kręcą wasy, iskrzą oczyma, pobrękują szablami. Stoi miecznik za jej plecyma i czycha na ostatnie słowo starosty, ażeby mu zaraz odpowiedzić od księżnej.

Ufa on swojój wymowie, ufa nareszcie powadze: ale Bóg wie co będzie, bo z pijanymi dziwna jest sprawa.

Na szczęście wszakże trochę zadługa była oracya swata.

Albowiem jeszcze gdy mówił, dał się słyszóc szelest przy- dłuższy przed gankiem, dzwonki od sanek i jakaś nowa kapela w sieni. A wtóm marszałek księżnej wpadł do sali i zawołał odedrzwi:

– Mości panowie! rozstąpcie się z łaski swojój, zacni goście nam przybywają!

Chód nie wiedziała co jest, przecież duch jakoś wstąpił w kniahinię. Przerwie więc zaraz staroście i rzecze:

– Odłóźmy to na póiniój, mości starosto, trza witać gości.

Przerwał oracyą starosta i na stronę ustąpił. Trojacki zły, aż się trzęsie. Tymczasem rozstąpiła się także i szlachta,—a śród nich weszli cale niespodziówani goście: jmc ks. sufragan, Wiszo- waty, a przy nich Murza tatarski.

Weszli bardzo paradnie — a za ich wejściem zrobiła się cisza jak mak siał.

Oni zaś szli prosto ku księżnie, która stała na śródku sali, a obaczywszy sufragana, z wielkiój radości uklękła przed nim, wołając drżącym głosem:

– Ah! księże biskupie! cóż to za gość ukochany!

Ścisnął ją sufragan za głowę, podniósł zaraz ze ziemi, po- czm za rękę ściskając, rzekł ze zwykłym sobie uśmiechem:

– Widzisz tedy asińdzka, moja mościa księżno, że com obiecał we Lwowie, tego tóż dotrzymuję. A żeby to przybyć nie z próżnemi rękami, jako zwykle do panujących, przywożę asińdzce zgubę, która się nam odszukała szczęśliwie i wraca, ale nie tak jako zazwyczaj zguba, sponiewierana i zmięta, tylko właśnie przeciwnie, bo z łaski Boskiój w nowem jeszcze splendorze. Przyjmijże z moich rąk tego jeńca, który choć lat trzydzieści wojując, jeszcze ni razu nie był w niewoli, dziś jednak, jak mi się przyznał w sekrecie, samby się dał okuć w kajdany, byleby tylko klucz do nich spoczywał w tak pięknych rękach, jak twoje.

Dziękowała tedy księżna za pamięć, za łaskę, ba za ojcowską troskliwość, a zaledwie skończyła, zabrał głos rotmistrz i mówił prawie w ten sens:

– Moja mościa księżno! Jakie nas w dom wmość pani przyprowadzają intencye, już to parabolice dał do poznania jw. wuj wmość pani, a mój szczególniejszy dobrodziej. Nie pozostaje mnie tedy przed prośbą o dekret finalny z ust wmpani, jak jeszcze usprawiedliwić się z tego, zem przez tyle czasu, choć to była moja powinność, ani sam skoczył, aby wmpani do nóg się położyć, ani tóż wieści nie dał o sobie. Rozumiem jednak, iż eksplikacya tu będzie nietrudna. Wiósz wmpani, jakiejśa obowiązki obywateli. Nie niam ja się wprawdzie za żadnego z owych wielkich rycerzy, których czyny na potem szóroko będzie opisywać historia, ale spr

wiwszy już to i owo pro publico botto, miałemże teraz, kiedy naj • cięższa była potrzeba, sprzeniewierzać się memu staremu przyjacielowi Marsowi i odpoczywać w delicyach? A miałem też i niektóre specjalne śluby na moim sumieniu, o których trudno było bez obrażenia Boga zapomnieć. Otóż i rzecz. Którą zważywszy' pilnie w swym nieomylnym rozsądku, racz wpań zapomnieć żal serca, jeśli był kiedy, a przyjąć napowrót do łaski swojej wiernego sługę, który niczego więcej nie pragnie, jak co najprędzej naprawić to wszystko złe, które się stało z przesądzenia Bożego a wcale bez jego woli.

Na to zabrał głos miecznik i odpowiedział rotmistrzowi od swojej siostry, że nigdy nie było żalu w jej sercu do niego, owszem, cieszyła się zawsze, że ten, który się jej oświadczył z gotowością swój służby, tyle wawrzynów zbiera na polu daleko większych zasług i sławy. Zapewnił go przytóm, że niómasz nigdzie przychylniejszego sercp. dla niego jak tutaj, a wreszcie, zamiast dalszej perory, przycisnął go do swój piersi i oddał go księżnie, już jako jej własność na zawsze.

Zaczóm podano kielichy, wniesiono zdrowia. Pośród nich rotmistrz rozmawiał przez chwilę wesoło z księżną, a widząc taki zjazd gości i tak przybranych świątecznie, trochę ją prześladował a trochę egzaminował: poczóm zaś do gwardyana przystąpił i z nim miał dłuższą rozmowę. Przez ten czas ks. sufragan witał niektórych znajomych, kłaniał damom i zapoznawał się z nimi, i był trochę tłum w tej stronie sali; zaczóm nikt wcale nie widział, że tymczasem Murza się zbliżył do Kostusi i bardzo coś żywo jej opowiadał..

Co mówił rotmistrz z gwardyanem, trudno odgadnąć, bo mówił cicho, rzecz wszakże pewna, że po rozmowie strzepnął palcami i rzekł prawie na głos:

– Patrzajże waść, otóż to zdrajca! To kiedy my zdrowie ważymy za to, ażeby ich domy od napaści obronić, oni przez wdzięczność jeszcze i dołki kopią pod nami! A jójmość księżna także lekkoduch, jak widzę! No, ale jakoś ja to naprawię...

Zaczóm zaraz się napił, swojej kapeli grać kazał i poszedł w taniec z kniahinią.

A tymczasem Trojacki wraz z swymi przyjaciółmi jakby go wcale nie było. Widzi już dobrze że wszystko przepadło, zmiękł i spokorniał do niepoznania – a przecież jeszcze nie porzuca nadziei. Przystępuje do niego jego starosta, mówi mu:

– Panie bracie! już tu nic po nas, jak widzę. Myśleć nam tylko, jak wyjść z tego z honorem.

Ja nie ustąpię, – rzecze kawaler, – spróbujemy się z sobą.

– I jabym nie był od tego, boć to wstyd wielki, ale różne są circumstancje...

– Co mi tam circumstancje! Ma on szablę u boku, mam też ja swoją.

- Hm, – rzecze starosta, – nie odradzałbym tego, aleć on ma i biskupa.
- A co mnie biskup?
- Tobie nic, ale księżnie jest wujem, a trzyma stronę rotmistrza.
- To obaczmy.

A wtem rotmistrz, potańcowawszy trochę, zatrzymał się przed kapelą i zaśpiewał pieśń: „Hojże, hojże, narobiłaś!” Prześpiewał całą, każe grać, a kapela nie może. Lichą też miał kapelę, jednego skrzypka tylko i basetlistę; byłci i trzeci z trąbą, ale ten zgubił pyszczek na drodze, próbował dąć bez pyszczka, nie mógł, więc paradował tylko z swym instrumentem. Widząc to, księżna, zarumieniona trochę pieśnią, rzecze do swego miłego:

- Sam Pan Bóg nie chce, ażeby grano tę nutę.

A na to rotmistrz:

- Poczekaj jejmość, zaraz ja na to poradzę.

Przystąpi tedy natychmiast do kupy szlachty, w której był i Trojacki, i rzecze:

- Służba, mości panowie.
- Służba, służba.
- Jest tu pomiędzy wmpanami jeden jegomość, który się zowie Trojacki.
- Ten jest.

Zbliżył się tedy rotmistrz do niego, położył mu rękę na ramieniu i rzecze:

- Wmpan masz tu ze sobą kapelę.
- Mam, – odpowie kawaler, dziwnie jakoś kruszejąc.

Wziął go tedy rotmistrz pod ramię.

- Chodźże waszmość sam ze mną i kaź twojej kapeli, aby mi przecież zagrała.

Chciał mu się wyszarpnąć Trojacki, ale go nie puścił, dodając groźnie: ,

– Panie bracie! grano tutaj po twojój nucie przez cały rok, niechże tóż i po mojej zagrają! Z wolą, albo i przeciw woli.

A to mówiąc, zaprowadził go prawie przez gwałt do muzykantów i kazał grać.

- Pan każe, abyście mi zegrali.

Jakoż zegrali zaraz w tę nutę. Napił się rotmistrz i poszedł nanowo w taniec. Ale po chwili znów to było nie na rękę, że sam tańcował, bo wszyscy inni byli to przyjaciele Trojackiego, Więc z nim trzymali. Zbliży się tedy znów do nich:

- Mości panowie! prosimy w taniec.

Nie chcieli. Przybiegła ku nim księżna, przybiegł i miecznik, jeszcze nie chcieli.

– Panie Trojacki! – zawoła rotmistrz! – pozwólże waszmość tym jegomościom, ażeby potańcowali.

Rzecz tam zaraz któryś:

– Wždyśmy nie pacholęta jmc Trojackiego, – i poszedł w taniec, a za nim inni.

Stał przy rotmistrzu gwardyan, a widząc to, rzekł z uśmiechem:

– No, już i jego kapela waszmości gra i jego družbowie tańczą, ale rozumiem, że będzie dość na tóh.

– Albo dość, albo nie, wedle fantazyi, – odpowie rotmistrz.

Jakoż przetańczywszy i nową kolój wypiwszy, przystąpił znowu do Trojackiego, który go pewnie dawał do wszystkich diabłów i rzecze:

– Mości Trojacki! widzę żeś waść jest dosyć grzeczny kawaler, więc jeszcze mam prośbę do jegomości.

– Już mi waszmość daj pokój z prośbami. Pogadamy i o tych za czasem.

– To pogadamy. A żeby było o czóm, więc tóż coś dodam. Oto słuchaj wążć, ja się dziś żenię z jmc gospodynią, a nie mam, ktoby mi zadrużbował, – wytnie go po ramieniu, – waści zapraszam na družbę!

Zzachnął się na to Trojacki:

– A co to?

Ale mu rotmistrz jeszcze raz po ramieniu poprawił:

– Sic, panie bracie, będziesz mi družbą.

Spojrzał już marsem na niego Trojacki, zatrząsł się cały, krwią nabiegł, jakoż i kto wie do czego byłoby przyszło; ale wtem zbliżył się gwardyan temu przytomny do kręcącego wasy rotmistrza i pogroziwszy mu palcem, rzekł żartobliwie:

– Ej! nie pieprz Piętrzę wieprza pieprzem, bo przepieprzysz...

Zaśmieli się na to wszyscy, którzy, się już koło nich zgromadzili, zaśmiał się także i rotmistrz. Jakoż zmiękł zaraz i był tak poczciwy, że w jednej chwili cały swój gniów rzucił o ziemię. A natomiast rzekł:

- - No to już pieprzyć nie będę: ale to tak nie może być. Bo wiadomo jest światu, że ja już ód lat dziesięciu z jójmość księżną po słowie: niechże mi każdy dziś powie, jeśli to rzecz jest szlachecka, aby takiego podchodzić? A tak to prawie uczynił jmc Trojacki. Ztąd sprawiedliwy gniów w mojom sercu: a ja nie chcę iść z gniówem przed ołtarz. Więc albo bić się, albo się zgodzić.

– Ale zgodzić się! zgodzi.ć! – zawołał miecznik, a starosta przyskoczył zaraz do Trojackiego i rzekł mu:

– Dajże waść rękę.

Tak się tóż zaraz zgodzili. Dopieroż zdrowia na zgodę, zagrały połączone kapele, – wszyscy kto jeno żył poszli w taniec ochoczy.

Śród tego tańca zamieniał rotmistrz z księżną pierścionki – a jak tylko przetańcowali, przystąpili oboje do sufragana i prosili

o błogosławieństwo. Błogosławił ich tedy w przytomności wszystkich i zaraz spytał:

– Powiódzcież mi państwo, jestże tu kościół?

– Nietylko kościół jest, jw. panie! – odpowiedział na to ks. gwardyan, – ale nawet już oświecony, a sanie oczekują przed gankiem.

– Dla Boga! – zawołała księżna, – tak to nie może być. Ja ani ubrana do ślubu, ani też w. domu mam jakie przygotowania, odłóżmy choć do niedzieli.

A rotmistrz na to:

– Mościa dobrodziejko, już nie pozwolę na żadną zwłokę. Czekaliśmy dosyć oboje, szkoda i chwili, tak mi Boże dopomóż!

Przystąpili i miecznikowstwo i także proszą, mówiąc:

–, Jużci nie zwlekaj. Wart jest takiój nagrody, bo na nią, chociaż nie koło ciebie, pracowicie zasłużył. Ubrać się zaś, możesz i potem, a co do tego, że ci braknie co do przyjęcia gości, to zapraszamy was wszystkich do naszego zameczku.

Namyśliła się tedy księżna i rzekła: . – Ha! to już niech się dzieje wola nie moja, lecz wasza. To tylko sobie wymawiam, żebyśmy na dziś pozostali u mnie: jeszcze tam i w kuchni się coś wynajdzie i piwnica może wystarczy. Za- prosiny tedy wasze przyjmuję, ale aż na jutro.

Zaczem już zaraz się wszyscy zbierali i jechali do ślubu.

Z kościoła powrócili wszyscy do dworu księżnej i w samej rzeczy zastali darów Bożych, naniesionych i z piwnicy i z kuchni, prawie aż nadto. Mimo przeciwnych pozorów, księżna była gospodynią wyborną, umiejącą łączyć dostatek z gustem. Dopióroż tedy zaczęło się prawdziwe wesele, z tańcem i pohulanką. od serca, przyczóm wszyscy, nie wyjmując i Trojackiego, wytrwali tak wiernie, że już dzień wielki dawno błyszczał przez okna, a w sali tańców⁷ nie brakowało ani jednego gościa. Tylko miecznikowa z Kostusią wymknęły się zaraz z północy, ażeby zażyć cokolwiek wczasu i przygotować się do przyjęcia tego licznego wesela na jutro.

* * *

Nazajutrz dzień wszyscy ci weselnicy zjechali się już na obiad do zameczku miecznika. Ale zjechali późno, bo każdy się musiał i wy wczasować trochę po owych tańcach, i przebrać jakoś nanowo, był więc ten obiad już przy świecach. A że to czasu nie chciano tracić, kiedy się taka dobra zdarzyła okazyja, więc jak tylko obiad się skończył, przeszli wszyscy do owych komnat paradnych, w których to niegdyś przyjmowano Denhoffa, i zaraz "wielkie rozpoczęły się tańce. A było gości prawie dwa razy tyle,

co u kniahini, bo miecznik pozapraszał sąsiadów. Dopióroż tutaj można się było napatrzeć owym bogatym strojom, których natenczas zażywano w Polsce, owym pasom kapiącym od złota, owym złotogłowiom przepyszny, purpurom, karmazynom wyborym i karabelom, których sama oprawa stanęła nieraz za wioskę. Sam rotmistrz, który dotychczas nie bardzo dawał na stroje, wystąpił dzisiaj tak świetnie, że zgasłby był przy nim sam sułtan, gdyby się był tutaj pokazał. Spinkę miał tak bogatą pod szyją, że błyszczała jak słońce, żupan ze złotój lamy, kontusz z aksamitów weneckich, a karabelę tak bogato oprawną, że ją szacowano nieledwie wyżej niżeli całą fortunę księżnej. Jednakże księżna prawie go jeszcze przepisała. Miała bowiem na sobie suknię z materyi jedwabnoj białoj, a tak grubój jak deska, po niej kwiaty rzucane złote, także duże jak dłoń; do tego złote. na rękach manele, także naramienniki, perły na całej szyi i dyadem na głowie, prawie już z samych brylantów. Rotmistrz nie mógł oka od niej oderwać, przystępował do niój co chwila, całował w rękę z jednój strony i z drugiój, wąsów poprawiał, cmokał ustami i mówił:

– Już mi tóż wmpani wyglądasz, jak prawdziwa królowa. Ani mi się to w głowie pomieścić nie może, jakim sposobem ja, żołniórzyko tak proste, mogłem przyjść do ták zacnej małżonki. Jójmość jeno za szkło oprawić, a modlić się do niój zdaleka, żeby nie zepsuć czego na takim delikatnym specyale.

A na to gwardyan:

– Tak to zawsze mawiają jmc małżonkowie w dzień ślubu, ale potem rzadko który dotrzy ma.

Śmiał się rotmistrz, ścisnął gwardyana i kazał mu admira- wać swą żonę.

Tak tóż paradnie byli poubiófani i inni, ten trochę lepiej, tamten zaś gorzój, ale wszyscy złocisto a świetnie, j– tylko jedna Kostusia miała prostą białą sukienkę, a na niój czarną przepaskę. Ale ją Pan Bóg ubrał daleko świetniój, niż wszystkie inne. Przeminięły już bowiem do dnia dzisiejszego owe boleści, od których niegdyś tak bladła, a na ich miejsce nastąpił spokój i zupełna swoboda. Czy zapomniała już dotychczas o Jerzym, czy jakąś pewną wzięła nadzieję, nie wiedzieć. To tylko zauważano po niej, iż jak tylko wieść przysła o Ożarowskim, że z zamku brzeżań- skiego wyjechał, smutki jój rozbryzły się zaraz, bladeść zniknęła prędko i również prędko wróciły dawne rumieńce. Zauważano także, iż od tego szasju nadzwyczaj polubiła Murzę i często z nim rozmawiała. Murza, mieszkający od wczesnej wiosny prawie wciąż przy pani stolnikowój krakowskiój, często wyjeżdżał, a czasem po kilka tygodni go nie bywało. Natenczas Kostusia była tęskna niezmiernie, przesiadywała po kilka godzin na owej łączce nad Nidą i wciąż wyglądała na drogę. Wielkaż znów za to radość, gdy wrócił, a co rozmowy, opowiadania i szeptów, tego i trudno powiedzieć. Widziała to matka, leCz widząc razem, że te rozmowy

Murzy widocznie powracają zdrowie jój córce, nie miała nic przeciw temu, owszem jeszcze i sama dopomagała. Tak powróciła Kostusia do swojej dawnój swobody, pod którój dobroczynnym tóż wpływem wykształciła się jeszcze, wyrosła i stała się panną tak piękną, że sława jój urody przeszła granice powiatu, przeszła nareszcie i województwo, a teraz już nawet przyciągała do siebie takich, którzy ją znali tylko ze słuchu. Dziś, mimo tak lśniących ubiorów u kobiót innych, była ona podziwem dla wszystkiój tu zgromadzonój młodzieży. Każdy się do niej cisnął, wydziórano ją sobie, ażeby się tylko dotknąć tój pięknoj rączki, która rządziła tak nieprzebranóm bogactem wdzięków. Nie usuwała się tóż ona od nikogo, dzieliła się między wszystkich, tańcząc z każdym i pomnażając wedle swojej możności powszechną radość w domu swoich rodziców. Jakoż wesoło było nad wszelki podziw, promienna radość panowała na twarzach wszystkich, a niepoczesny zameczek aż się trząsał od hołubców i pieśrii...

Tylko sam miecznik był jakoś osmucony i chmurny. Uważali to wszyscy, a niektórzy nawet za złe mu brali, że się tak zapomina względem swych gości. Ale nie działo się to bez powodu. Właśnie dziś bowiem przyjechał jmc pan sandomierski w poselstwie od wojewodzica Morsztyna, chcąc ostatecznie wyrozumieć miecznika, ażali będzie mu rad, albo tóż nie. Wojewodzie w ostatnich czasach widział po kilka razy Kostusię i wielką się do niój rozplomienił miłością. Jako paniątko bogate i chowane w wielkim respekcie dla rodzinnej powagi i etykiety, nie ogłosił on się wpierw z swoim afektem, dopóki nie wyrozumiał woli swoich rodziców. Dlatego agitowała się ta sprawa długo, to jest od jesieni, i lw jak- największym sekrecie. Były tóż i trudności, bo lubo Morsztyno- wie byli przez Drohojewskich Bobrownickim pokrewni, a nawet bardzo wysoce poważali dom samego miecznika, byliby przecież woleli, ażeby wojewodzie był trochę wyżej zasięgnął, do czego wszystko było po temu. Tak to się wlokło przez zimę. LeCz wreszcie ustąpili rodzice przed afektem ukochanego dziecka i zezwolili na te konkury, – tylko mając wzgląd słuszny już to na wieści o afektach panny dla Ożarowskiego, już na powagę i czasem arcy- niezłomny upór miecznika, i chcąc uniknąć w tym razie nieprzyjemnej rekuzy, wymówili to sobie u syna, ażeby rzecz ta została pierwój ułożona i upewniona drogą dyplomatyczną. Stało się to właśnie tego tygodnia i tak się zdarzyło, że właśnie dziś przybył kasztelan z tą misją. Zmartwił się tedy miecznik okrutnie. Gdyby ten poseł był się pojawił o wiosnie albo i trochę późniój, jak Bóg na niebie byłby go przyjął z otwartemi rękami i gdyby był nawet miał zniewolić Kostusię do tego ślubu, byłby go pewnie nie odprawił z odmową. Wojewodzie był taką partyą, że i zamaryć nie można było o lepszój – a o Ożarowskim miecznik ani chciał wiedzióc natenczas. Ale od tego czasu, kiedy Ożarowskiego oba- czył w Żółkwi, wszystko to się zmieniło.

Już od owój chwili śledził troskliwie krok za krokiem, wiedział o każdym jego postępku, wiedział nawet o każdym słowie, które z ust jego wyszło w obronie sprawy publicznej – a wszystko to tylko go coraz więcej ku niemu skłaniało. Toż kiedy w końcu dowiedział się jeszcze od samego Denhoffa o tym, jak Jerzy już był bliskim jedynaczki Sieniawskioj i jak sobie w tem położeniu postąpił, już mu i wszystkie urazy na wieki wieków przebaczył i niczego więcej w głębi serca nie pragnął, jak przycisnąć go zięciem swoim do piersi. Lecz na nieszczęście Jerzy ani razu mu o tym nie wspomniał. Od spotkania się w Żółkwi miecznik się widział z nim jeszcze po dwakroć, – raz w Kazimierzu dolnym na konfederacyi, a drugi raz w Warszawie, w sam dzień niemego sejmku, – ale jak wtedy w Żółkwi, tak i przez te obadwa razy, skrzętny Sodalis był tak sprawami publicznymi zajęty, że ledwie go zwitał, już musiał pożegnać. Gdybyż choć słówko był mu powiedział, gdyby choć dał wyraźnie do zrozumienia! – miecznik tedy był w jaknajwiększym kłopotcie. Tu go kasztelan maca na wszystkie boki – a o tamtym ni wieści. Odmówi temu – a nuż tamten się nie pokaże? Przyrzecze temu – a nuż tamten się zjawi?

Ale kiedy tak miecznik chodzi jak w dybach, koloryzuje z kasztelanem jak może i dziwnie go jakoś pociąga serce przyjąć wojewodzica, który już może czeka gdzieś w wiosce sąsiedniej na jego słowo, Murza chodzi za nim krok w krok, śledzi jak grzeszną duszę i ani oka nie spuszcza. Co pomówi słów kilka z Kc- stusią, to jeszcze pilniej go śledzi, a jak tylko dojrzy rozmawiającego z jmc sandomirskim, to się zbliża do nich dosyć natrętnie, miesza się do rozmowy i póty nie odstąpi, póki pierwój ktoś nie odwoła miecznika. Bardzo była w tój chwili na rękę ta natrętność Murzy Bobrownickiemu, ale kasztelana znudziła. Jakoż wziął wreszcie miecznika pod ramię i już się z nim zaczął prowadzić do osobnej komnaty, ale natenczas Murza zastąpił im drogę

1 zastąpił tak prawie, jakoby w lesie.

- Panie mieczniku! proszę na małe słówko. Panie kasztelanie! przepraszam. A to mówiąc, wyrwał go prawie z rąk kasztelana i zaprowadził do kąta.
- Na miłość Boga, panie Janie, co robisz?
- Cóż to jest? cóż to? ja nie rozumiem.
- Zmiłuj się, – mówi Murza, łamiąc ręce z rozpaczy, – trzy dusze gubisz, bo już cię pewnie kasztelan nie wypuści ztamtąd bez słowa.
- Hm! – rzecze miecznik, – to już widzę wiesz o wszystkióm.
- A jakżebym też nie wiedział? w tem moje zbawienie.
- No, to kiedy wiósz, to powiadaj. Nie jam się powinien

tu prosić, jeno kto inny; ale już mnie to tak umęczyło, że się gotów i prosić, byłem już wiedział, co jest.

– Zmiłuj się, miej tylko cierpliwość, on lada chwila powróci. Ja mam wiadomość.

– Hm! – rzecze miecznik, – ja wiem, co tobie w głowie. Dawne przywidzenia. I dla tych przywidzeń ty może tylko mnie łudzisz. Jużci rzecz pewna, że jeśli kasztelanowi odmówię, to będzie większe podobieństwo ziszczenia się twoich nadziei, ale wiedz o tym, że i natenczas jeszcze nadzieje te mogą omylić, a wtedy...*

– Ale. jak ciebie kocham, mój panie Janie, tak wiem z pewnością, że on lada moment przyjedzie.

– Czemuż już nie przyjechał? Wszyscy poprzyj eźd żal i. Cóż on robi w Warszawie?

– Hm! – mówił Murza, – ja tego nie wiem dokładnie, ale tak mi się zdaje, że chciałby tóż nie wyjechać ztamtąd z próżnymi rękami. Czas to najspodobniejszy do tego, aby coś zyskać; kto nie chce, to coś weźmie od króla. Wiem tóż, że mu mieli w tym dopomagać Potoccy, a osobliwie pierw¹szy przyjaciel jego, starosta bełzki. Jeżeli tedy coś go tam trzyma, to jeno to jedno. A przecież za to go nie bić, bo rzecz to pewna, że starając się o rozjaśnienie swego imienia i pomnożenie fortuny, nie czyni to dla siebie, jeno dla was i córki waszój, którą tóż umiłował nad życie..

Zamyślił się tedy nad tym miecznik i stał tak w milczeniu, sam nie wiedząc, co robić.

Już tam wszakże sam Pan Bóg rozstrzygnął wszelką wątpliwość. Albowiem właśnie w tój chwili do owój wielkój komnaty, gdzie w coraz głośniejszym gwarze i tłumie odprawiały się tańce, wbiegł różnym krokiem gość nowy. A był to gość wcale nie pospolity. Cudnej urody młodzieniec, prznosił on swoim wspaniałym wzrostem o całą głowę najwyższych. Młody, zaledwie wąs mógł zakręcić, a już generał, lśniący od złota na całych piersiach: Obaczyli go ci i owi, lecz nie poznali. Była tam wszakże jedna taka duszyczka, która może także go nie poznała, ale sercem przeczuła. A to była Kostusia. Ta, obaczywszy go, tak się uniosła, że bez żadnego względu na tyłu świadków, wyciągnęła ramiona i z okrzykiem radosnym, nie mającym żadnego równego sobie głosu na ziemi, rzuciła się w jego objęcia. Przycisnęła ją młodzieniec do swojej piersi – i stali tak oboje przez oka mgnienie, jak gdyby w posąg podwójny zmienieni.

Scena ta takiego zrobiła wrażenia na wszystkich, że i taniec przestali i muzyka nawet umilkła – i była wtóm ludnóm zgromadzeniu tak nieprzerwana cisza przez chwilę, jak podczas podniesienia w kościele.

Wypadł już do tego czasu z drugiój komnaty miecznik i Murza, przybiegli do miecznikowój i patrzyli z nią razem ze łza

mi w oczach na tych dwoje serc kochających, które jakoby sam Bóg złączył ze sobą w tój chwili. Patrząc tak, zdawało im się, że jeszcze ich widzą, jak się tak samo i na tóm samóm miejscu żegnali. I zdało im się, że to dopiero wczoraj się działo...; tak pięćioletnie łzy i boleści zniknęły im nagle z pamięci.

Ocknął się wszakże w oka mgnieniu Ożarowski i ująwszy swą narzeczoną za rękę, rzucił się do nóg rodzicom. Już tam natenczas wszyscy ich okrążyli i rotmistrz ze swoją żoną, i Murza, i san- domirski kasztelan, i wszyscy inni co poważniejsi, którym jednakże najwięcej przydał powagi zacny sufragan lwowski. Wtedy tóż miecznik pochylił się razem z żoną nad nimi i rzekł:

– Rad wierzę temu, że taka jest wola samego Boga, i z serca wam błogosławię.

Błogosławił ich potóm sufragan – i już Jerzy powstał na nogi, już się miał witać z rodzicami swój narzeczonój, – kiedy wtóm Murza, właśnie jakby oszalał, rzucił mu się do nóg z takim rozgłośnym płaczem, że aż serce się rozdzióralo. Nikt nie wiedział, co to ma znaczyć i wszyscy się zadziwili do najwyższego stopnia; ale sam miecznik podobno się prędko domyślił, jakoż podniósł Murzę ze ziemi, pochylił się nad nim i coś mu szepnął do ucha. Stał jeszcze Murza przez oka mgnienie jak nieprzytomny, poczóm jednak zerwał się i uderzył we drzwi tak nagle, że trudno było dojrzyć, jak zniknął.

Zdumieli się wszyscy, a kasztelan, w tył zarzuciwszy wyloty, rzekł do miecznika:

– Panie bracie! jakiś to człowiek szalony.

– Ej! nie szalony, – odpowiedział miecznik, – lecz nieszczęśliwy. No, ale w Bogu nadzieja, że teraz już i on, jeśli nie szczęście, to przynajmniej spokój zdobędzie.

Zbliżył się na to rotmistrz w tę stronę i rzekł do miecznika, niepomału zdziwiony.

– Patrzaj-że waść, jam był pewny, że go zupełnie wyló- czył, a on tymczasem jak miał bzika przez całe życie, tak go i ma jeszcze dotychczas.

Na to zaś odezwał się gwardyan:

– Panie rotmistrzu dobrodzieju, mogę waszmość zapewnić, że nie jest to bzika, jeno kara Boska, o czym i dawniej jegomości mówiłem, choć podobno napróżno. Przyznaj że mi waszmość choć teraz, że w sprawach sumienia nie godzi się nigdy chcieć być ro- zumniejszym od tych, których sam Bóg obrał jego stróżami. Nie przeczę ja temu, że Pan Bóg mile spogląda i na taką pokutę, którą sębie sam grzesznik wyznaczy, ale odpuszcza On gróchy tylko za tę, którą kościół przepisze.

Skłonił się na to gwardyanowi jmc sufragan lwowski i rzekł:

– Tak jest i tak będzie na wieki wieków. Jednakże co do tego człowieka, nie należy nam wcale rozpaczać. Albowiem o ile mi jest wiadomo, nie poprzestanie on na tóm co mu Pan Bóg do

zwolił skutecznie dla dobra pospolitego dotychczas, ale pomyśli i o tóim, czego mu jeszcze brakuje.

Bardzo te ważne słowa uwiąły wszystkim w pamięci, jakoż się zamyślili na chwilę, a tymczasem rotmistrz rzekł na to:

– No, to niechże sobie zdrów myśli o tem i niech mu Pan Bóg pomaga; ale my zasie myślmy o swoim.

A to mówiąc, miał już kielich nalany w rękę,, z którym tóż zaraz zwrócił się do Jerzego i wniósł jego zdrowie w ten sens:

– Mości panie siostrzeńcze! już to jak widzę taka jest Boska determinacya, ażebym ja stary temu^ młodemu prym oddawał we wszystkim. Ustąpiłem ci placu w Żółkwi i oddałem palmę piórwseństwa, co mnie tóż i ucieszyło niemało, bo największą to jest pociechą dla starszych, jeżeli widzą, że ich następcy potrafią ich godnie albo może i lepić zastąpić. Słusznie też, jak rozumiem, ażebym ci i tutaj prym ustąpił i oddał wielką buławę nad tóim naszóm weselem, które dotychczas znaczyło się mnie, a odtąd znaczy się tobie. Jakoż to czyniąc, kłaniam się pokorniutko jw. jmc biskupowi a memu osobliwшему dobrodziejowi i wołam na cały głos: vivat jmc Ożarowski! viwat jmc miecznikówna! i niech im Pan Bóg da tyle szczęścia w ich życiu, ile ja się spodziewam go zażyć z moją najukochańszą kniahinią.

– To rzekłszy, wypił, oddał kielich sufraganowi, pocałował żonę serdecznie w czoło i zaraz skoczył do muzykantów, aby zagrali. Trwały wiwaty i radośne okrzyki przez chwilę, poczóm kapela nastroiła się na nowo, rotmistrz tańcując sam w takt kapeli uczynił rum na środku komnaty, i Jerzy poszedł w taniec ze swoją oblubienicą. Hulanoż wtedy już wcale po szalonemu, bito w talerze, brząkano w szyby, ledwie że kozłów nie wywracano; zgoła huk, łomot, tartas, że aż cały zameczek trząsł się w swoich posadach

Miało to już tak trwać bez przestanku do świtu, albo nawet i dalej, bo miecznik dolewał win co najlepszych, a nie pamiętali najstarsi ludzie, ażeby widzieli kiedy tak rozkiełznaną ochotę; ale jeszcze raz zaszła przerwa wcale niespodziówana. Oto za jakich dziesięć paciórzy lub więcej, wszedł nowy gość do komnaty. A była to już nieledwie sędziwa matrona. Wysoka wzrostem, blada na twarzy i zwiędła, była ona ubrana w suknię czarną obwisłą, czarny czepiec miała na głowie, a różaniec z słoniowój kości z takimże samym krzyżykiem u pasa. Drugi zaś krzyżyk podobny niosła w obudwóch rękach, złożonych z wielką pokorą na piersi, i tak szła wolnym krokiem przez salę. Dziwnie się jakoś zrobiło wszystkim, zdawało się bowiem, jakoby ta osobliwa postać właśnie z grotu powstała; jakoż i szła krokiem tak posuwistym i wolnym, jakim jeno umarli iść mogą, gdy o północy wstaną z swych grobów. Nie był to wszakże ani duch ani umarły, tylko melancholii pobo- *nój oddana matka Jerzego, pani stolnik owa krakowska.

Na jój widok cisza się zrobiła jak w grobie.

Ona zaś doszła tak aż v. górny koniec komnaty, zatrzymała się tam na moment, a obaczywszy sufragana, pochyliła się przed nim, całując go w ramię. W tej chwili Jerzy obaczył matkę i padł natychmiast razem ze swoją oblubienicą przed nią na kolana. Obróciła się ona ku niemu, ale nie powiedziała ni słowa, ani nawet się uśmiechnęła, tylko położyła lewą rękę na jego głowie, a krzyżykiem, trzymanym w prawój, zrobiła krzyż święty nad nim. Spojrzała potem na miecznikównę i zrazu zastanowiła się trochę, jak gdyby nie rozumiała co to ma znaczyć. Przez ten czas Jerzy drżał jak listek na drzewie. Ocknęła się wszakże jego-matka po chwili i wykonała takie samo błogosławieństwo nad głową przyszłej synowój, jak i nad synem.

Zaczóm wstał Jerzy i rozmawiał z matką z wielką powagą. Odpowiedziała mu o co pytał dosyć pośpiesznie i chciała zaraz odchodzić. Obstąpili ją miecznik, sufragan, miecznikowa i inne damy, – obiecywali jój, że dopóki tutaj zabawi, ani muzyki, ani tańców nie będzie, bo już wiedziano to do niój, że żadnój wesołości nie cierpi, – ale nie dała się na żaden sposób uprosić. Pomówiła jeszcze stojąc przez chwilę i wyszła.

Po jój odejściu kapela zaczęła grać nanowo i zabrano się napowrót do tańca. I hulano tak raźnie, jakby nic nigdy nie było. Tylko Jerzy już się wymówił i od tój chwili ani nogą nie ruszył. Wiedział ci on już oddawna o tem usposobieniu matki, ale przecież jej widok tak go dotknął głęboko, że po nim nie mógł już sobie pozwolić swawoli. Jakoż rozmawiał już tylko z rodzicami Kostusi, cieszył się wesołością drugich i tak się dosyć poważnie zabawiał.

Zbliżył się do nich w niedługiój chwili sufragan i zapytał miecznika, kiedy to ma być sam ślub? Poczóm zaproponował, ażali. nie mógł być zaraz jutro? Nie może on tutaj zabawić długo, a wielkaby mu to sprawiło radość, gdyby sam wiązał ręce tak zacnój i ukochanój przez niego pary. Namyslił się nad tem miecznik, trochę się wahał, bo jak powiadał, nie miał nic gotowego dla córki, trzebaby przecież o wyprawie pomyślc; lecz w końcu, osobliwie tóż za powodem swój żony, zdecydował się na to i rzekł:

– Ha! to niech i tak będzie. Pozostaniemy tak blisko siebie, to się te rzeczy i po ślubie załatwią.

Ale Jerzy temu się oponował. Pytał tedy miecznik:

- Dlaczegoż to, panie bracie?
- Pogadamy o tóm obszerniój.
- To mówmy teraz, wszakżeśmy tu sami swoi.

Wziął tedy Jerzy swego teścia na stronę, zaprowadził się z nim do przyległej komnaty i powiedział mu prawie te słowa:

– Mój panie ojczy! radbym ja z duszy z serca dostąpić tego szczęścia choćby i dzisiaj, ale was proszę na wszystko, nie napierajcie na mnie, bo to nie może być. U mnie tam dom zrujnowany

do szczętu, spiżarnie, obory, stajnie puste jak wymiół, do tegoż jeszcze powróciłem z tej wojny tak ubogi, że i ekwipażów nie mam sobie za co sprawić w tój chwili.

Uśmiechnął się tedy miecznik:

– Ani ty wiesz, jakiś bogaty. Pałac u ciebie wy restaurowany tak pięknie, że ani był kiedy tak świetnym w najlepszych czasach. Spiżarnie, obory, stajnie tak pełne, że chciałbym ażeby tak u mnie było. W szpichrzach po wszystkich folwarkach tak pełno, że wioskę za nieby kupił, bo przecie wiesz jaka teraz drożyzna. Nawet i karety ojcowskie odmalowane, ozłoczone jak nowe. Zgoła i gwoździa tam ci nie braknie

– Hm! – rzecze Jerzy, – ledwie mi temu uwierzyć. Chyba że mnie kto obładował tóim wszystkim, bo trudno matka tnoja mogła wydobyć z intrat.

– Już się nie pytaj, jeno wierz, że tak jest.

Lecz Jerzy pytał koniecznie o tego dawcę i mówił:

– Muszę ja o tem wiedzieć, boć są przecie ludzie, od których trudno mi przyjąć i szeląg.

Tedy mu miecznik powiedział, że Murza to wszystko porobił.

–r Murza? – zawołał Jerzy, – czómże ja to sobie u niego zasłużył?

– Nie tyśto podobno zasłużył, – odpowiedział miecznik, – ale Kostusia. Wićsz, jakie on ma przywidzenie. Chciałby nam Wepchnąć koniecznie swoją fortunę, wió już oddawna, że my nie Weźmiemy, chce tedy, ażeby się to stało przez ciebie. Jakoż tak "fcię domyślam, że i wioski swe tobie zapisze.

Dziwneż to rzeczy. Ale cóżkolwiekbyś, rad temu był Jerzy, bo nie wiedział wcale dlaczegoby miał tych darów nie przyjąć. Jakoż rzekł na to:

– Niewyczerpana jest szczodroblliwość opatrności Boskiej. Ani człowiek wió, jakimi drogami szczęście do niego przychodzi. Aleć to ja nie przypisuję sobie tój łaski Boskiej, bom tóż jój Wcale nie godzien: Kostusi to szczęście, nie moje.

A miecznik na to:

– A może tóż w części ji twoje, bo trudno ci mam tego nie przyznać, żeś sobie i tu i owdzie bardzo zacnie postąpił. Co mnie *aś dziwi najwięcej, to to, jakeś się zachował szlachetnie względem Denhoffa. Nie wiem ja czyś mógł uzyskać rękę Sieniawskiej,

nie; wierzę nawet, żeś nie chciał; ale wiem od niego samego, gdybyś był chciał, byłbyś mu mógł zaszkodzić dosadnie, a może ⁿawet i nazawsze mu popsuć. Miałeś tóż za co pomścić się na ⁿ*m, jak to dobrze pamiętam: a tyś mu przecie nietylko że nie [^]szkodził, ale jeszcze dopomógł. Co mnie tóż dziwi tem bardziśj, żeś wcale nie wiedział, że to nie ja, ale on dawał pieniądze na ^{tv}oje wychowanie w Paryżu.

– Chryste Panie! – zawołał Jerzy do najwyższego stopnia zdziwiony, – onto dawał pieniądze dla mnie?

Dopióroż miecznik opowiedział Jerzemu, jak się to stało, i dodał:

– Nie jestem ja tego pewny, że te wydatki szły z jego własnej szkatuły i tak mi się zdaje, że to król dawał na ukontentowanie dla ciebie za krzywdę, wyrządzoną tobie przez Sasów; aleć to zawsze z jego protekcji....'.

Rzekł tedy Jerzy:

– Dziwneż-to, dziwne zaprawdę są dyspozycje Boskie! Pa- trzajże ojciec, jakibym był grzóch popełnił, gdybym był poszedł za popędem oburzonego serca, a nie uciekł się pierwój do tej flpoki, której ślubowałem pokorę na całe życie. Świętaż to jest naszego kościoła nauka, która potępia zemstę zawsze i wszędzie!

Rozmawiano jeszcze o tórn przez chwilę, aż miecznik zapytał Jerzego, czy się widział z Denhoffem w Warszawie, czy nie? – Powiedział Jerzy, że się z nim widział w dzień następny po sejmie, ale tylko na chwilę, bo się z nim spotkał na królewskich pokojach, kiedy szedł ze starostą bełzkim na audyencyą do króla. Wspomniał tu także, że się starał przez Potockich o jaki urząd, żeby to przecież nie pozostać bezczynnym, a rozpocząwszy służbę publiczną, forytować się dalej; ale mu się to nie udało. Byłby on był z pewnością coś zyskał. Przynajmniój choć obietnicę do najbliższego wakansu, ale w takim razie trza mu było posiedzieć choć jeszcze tydzień w Warszawie, a tego nie mógł, bo się obawiał sprawiedliwego gniewu miecznika.

A na to miecznik:

– Nie jestem ja za urzędem dla ciebie takim,^ którybyś dostał od króla. Jeśli już wreszcie' sprawować urząd, to chyba taki, który ci twoi bracia powierzą. Ale kiedyś chciał coś uzyskać od króla, toś niedobrze to zrobił, żeś forytował tę sprawę przez Potockich. Nie mogą Potoccy w tej chwili wiele ważyć u króla: a przecież nie ladajako mu się narażali w konfederacyi. Dziwno mi dosyć, żeś o tem zapomniał, a jeszcze dziwniej, żeś się nie udał do Sieniawskiego

„ – A! niechże mnie Pan Bóg broni, – rzekł na to Jerzy, tA ażebyrn jego miał o -co prosić. Człowiek ten miał mnie sobie bawidełko, a w najlepszym wypadku za pożyteczne narzędzie- Kiedy mnie potrzebował, to mnie nosił na rękach, a jak trwożą minęła, to i nie wspomniął o mnie. Byliśmy przecież różnemi czasy po kilka tygodni na jednym miejscu: w Łęcznię, w Kazimie' rzu, w Warszawie, witał mnie, jakby ledwie znał kiedy. Teraz p° sejmie, kiedy mu jego buławę do niepoznania obcięto, przysięga*' musiał i ani to mu pomogło, że się położył do łóżka, zgoła nowe na niego przyszły frasunki; byłby mnie pewnie po staremu przy` jął z otwartemi ramiony i znów obietnicami obsypał, – ale już ft

teraz nie ten, którym był dawniój. Dość mi już tój nauki i będę jój miał dosyć na całe życie.

– Otóż i ja tak mówię, – rzekł Bobrownicki, a byłbym ci to samo powiedział i dawniej, gdybyś był tylko widział się ze mną. Nie przeczę temu, można to wiele zyskać przez łaski pańskie i przez protekcyą, lecz w obec Boga i zacnych ludzi zawsze lepszy chociażby groszyk, a zarobiony własną zasługą, niżeli czerwony złoty wypraktykowany cudzą pomocą. Ale wracając do tych tam protekcyi, to już kiedy nie do hetmana, trza było udać się do Denhoffa, onci to przecie piórwszy po Flemingu minister.

–...I tegom nie chciał, – odpowiedział Sodalis, – zdałoby mu się może, że chcę nagrody za owe swaty. Przysyłałci on do mnie w wigilią mojego wyjazdu posta z karteczką, prosząc mnie, abym był nazajutrz u niego. Dowiedział się już o nadaremnej protekcyi Potockich i dał mi do zrozumienia, że on to jeszcze naprawi i koniecznie coś zrobi. Ale jużem był spakowany natenczas i jakoś na żaden sposób nie mogłem tego przenieść na sobie, abym go o co prosił

Cieszył się tedy miecznik takimi sentymentami swojego zięcia, przycisnął go do swych piersi i rzekł:

– Otóż tak to cię lubię, a co więcój, szanuję. Nigdy dla zysku nie ugnij karku przed nikim, bo to podła robota i podły zysk taki. A nawet ci powiem, że to zysk zwykle marny: żebrakowi grosz dają, a kiedy ważą człowieka, który o nic nie prosi, to go ważą na szali złota.

Jakoż i prawda. I prawda ta w oka mgnieniu się ziściła. Albowiem ledwie co domówił tych słów Bobrownicki, kiedy dano znać, że jakiś kuryer przyjechał z Warszawy do pana Ożarowskiego.

– To od Potockich, – zawołał Jerzy, – pewno mi coś wyrobili.

– Proście tu tego kuryera, – rzekł prędko miecznik.

Wpuszczono go zaraz do tój komnaty, podbiegli obaj ku niemu, ¹ pytają od kogo? – Od jw. Denhoffa. Pytają: z czóm? Są listy, są tóż jakieś papióry. Rozerwał Jerzy czómprędzój pismo, przebiegł je w oka mgnieniu.

^ No, panie ojczy! – rzecze z radością, jestem tóż i starostą.

– Cóżto? cóżto? – zawołał miecznik.

Przybiegła tedy i miecznikowa z córką, sufragan, rotmistrz i inni, wszyscy pytają: co jest? z czóm przybył kuryer?

Noważ tedy pociecha. Król konferował Jerzemu starostwo drugnieńskie, – Denhoff mu je wyrobił i przysłał zaraz przywilój.

Radość z tego powszechna, ci mówią to, drudzy owo, gwar niesłychany. Zdobył sobie przecie nareszcie głos poważny sufragan i zapieczętował tę bezładną rozmowę w ten sens :

– Patrzajże tedy, mój Jerzy, jak tu wyszło na moje, com ci powiadał o twojóm trzymaniu się wielkiej klamki. Dopókiś wisił

przy hetmanie i chciał za jego protekcją wybić się kędyś w świat obszerniejszy, toś pracował jak niewolnik, a za całą nagrodę miałeś honor przewodniczyć kancelaryi hetmańskiej i komenderować po zamkowych dziedzińcach jego milicją; nie miałeś nic nigdy, a twoje wioski były w ciągłej ruinie. Od kiedy zaś porzuciłeś tę wielką kłamkę, a poszedłeś w służbę na własną rękę, zdobyłeś sobie sławę walecznego żołnierza, z czego cię zna już kraj cały, złożyłeś jawne dowody twojej nauki, o czym wiedzą ci wszyscy, którzy wraz z tobą pracowali około tego traktatu, przyjaciel ci zrestaurował twoją fortunę, a wreszcie nawet nieprzyjaciele sami oddali ci pokłon należny i obdarzyli cię mimo twój woli tak bogatym starostwem.

Słuchał tej perory Ożarowski cierpliwie, ścisnął zacnego sufragana za rękę, ale mu odpowiedział do ucha:

– Nie przeczę temu, coś tu jegomość powiedział, boć to tak jest; ale pozwól mi, abym dodał do tego i swoje: „Prawda a prawda, ta nie utraci i nie omyli w najgorszej chwili.”

Pomyślał nad tym sufragan, uśmiechnął się po swojemu łagodnie i rzekł:

– Masz i ty racją, bo bądź co bądź, przecież to zawsze nie te lub owe okoliczności, lecz własny grunt stanowi człowieka.

Zaczóm już mowa była tylko o samym ślubie. Radzono tak i inaczej, ale przecież stanęło na tem, ażeby tę solenność odbyć trybem zwyczajnym, jak nakazuje kościół i jak starodawny niesie obyczaj. I sufragan był tak poczciwy, że się sam skłonił ku temu i rzekł:

– Niechże tak będzie i niech zapowiedzi wyjdą swoim porządkiem. Ale przecież ja sobie tego odebrać nie dam, ażeby was w imię Boskie połączyć. Pojadę tedy nazajutrz za moimi sprawami do Warszawy, a na oznaczony czas powrócę.

Jak ułożono, tak się tóż stało. Tym tóż sposobem uzyskał Jerzy dość czasu, ażeby się godnie do tego aktu przygotować, jak tego wymagało i jego stanowisko dzisiejsze, i wreszcie wdzięczność dla samój rodziny miecznika.

Ale zaledwie on potrzebował o cokolwiek się starać; albowiem wszystko tak znalazł w swym domu, jak mu powiedział miecznik. Nawet i koni nie trzeba było kupować, bo było ich trzy cugi poczwórne, wszystkie kare jak jeden, oczewiście ze stada Murzy. Na dobitkę tych pomyślności oddała mu jeszcze matka i testament jmc pana Jana Domoradzkiego, który mu po wszelkiej formie zapisywał całą swoją fortunę i natychmiast oddawał, z tóym tylko zastrzeżeniem, ażeby przez lat dwanaście odstawił co roku do klasztoru bernardynów po cztery wozy legumin i po sto złotych polskich, – zaprawdę zaledwie tyle, ażeby przy tóym nie umarł z głodu jeden ubogi człowiek. Rozpytywał się Jerzy o tego hojnego dawcę, ba dobrodzieja, ale napróżno. Murza gdzieś zniknął

bez żadnej wieści, jak kamień rzucony w morze. Ale nietrudno się było domyślić, jak postanowił ze sobą ten nieszczęśliwy pokutnik...

Jakoż istotnie, kiedy w ostatnią zapustną niedzielę cały orszak weselny przybył do bernardyńskiego kościoła, kiedy państwo młodzi przed ołtarz stanęli, a ks. sufragan już zaczął piękną przedmowę, spojrział Jerzy niechętnie na zakonnika, który służył przy tym obrzędzie, i aż się wzdrygnął na jego widok.

Był to Murza.

Trzymał ręce złożone przed sobą, pomiędzy nimi różaniec i patrzył na młodą parę wzrokiem tak jasnym i rozpromienionym, jak gdyby w samej istocie niebo otwarte obaczył. Dziwnie ten widok ścisnął za serce Jerzego i łyż mu w oczach stanęły, – lecz nie czas było tu płakać, albowiem sufragan prędko skończył swoją przemowę i zaraz przystąpił do samegoż obrzędu.

Tak odbył się wreszcie ten ślub, który zatarł sobą na zawsze wszystkie łyż tęskne i wszystkie dotąd przecierpiane boleści, a na ich miejsce wprowadził radość i szczęście nad brzegi uroczój Nidy, po nim zaś huczne nastąpiło wesele, które starym zwyczajem trwało przez wszystkie dni bachusowe.

ZAKOŃCZENIE.

Rozchodzimy się z temi „osobami, które występowały przed nami w niniejszój powieści, już podobno nazawsze, – porzucamy je po największój części jeszcze w wieku młodym, pełnym nadziei i widoków na przyszłość, – słuszną rzecz zatóm, ażebyśmy o nich wspomnieli jeszcze słów kilka, a gdzie wiadomości wystarczają, doprowadzili ich żywot do końca.

Owo więc Ożarowski, ożeniwszy się z Bobrownicką, zamieszkał w swoich dobrach rodzinnych. Po tylu pracach, trudach, cierpieniach i niepokojach, znalazł on zrazu niewysłowiony urok w spokojnym życiu domowóm, jakoż jemu się oddał w całości, dzieląc swój czas swobodny pomiędzy kochaną żonę i pocziwą rodzinę, gospodarstwo i książki. Ale niedługo się cieszył tym nieprzerwanym- spokojem – a nawet nie mógł na takióm życiu poprzestać. Jak bowiem z jednej strony, we własnoj jego piersi gorzał jakiś ogień nieugaszony, który rozpałał w nim piękną i szlachetną żądzę obszórniejszego działania, – tak znowu z drugiój, i król i naród zanadto zbliżka poznali jego znamienite zdolności, ażeby je mogli pozostawić odłogiem. Jakoż w niedługim czasie poczęły się sypać na niego urzędy i obowiązki tak hojnie, że za- ledwie mógł im wystarczyć. I tak najpierwiój mianował go król stolnikiem krakowskim a jednocześnie i generałem regimentu województwa krakowskiego. Znalazł się tedy zaraz w swym ulubionym żywiole, jakoż uregulował on ten pułk według swego widzenia, zaprowadził w nim karność i porządek francuzki i wymusztr- wał tak pracowicie i umiejętnie, że go stawiano powszechnie za

wzór całej armii. Zasłużył on sobie przez to tak na dalsze łaski królewskie, jak i na wdzięczność u obywateli krakowskich, – a wreszcie, i co mu było ze wszystkiego najmilszóm, znalazł przytem sposobność pomieszczenia dawnych swoich żołnierzy i utrzymania tych najwierniejszych przyjaciół w swojej bliskości. W tym czasie przewodniczył on po kilka razy powiatowym sejmikom i oczówiście zaraz przy piórwszej sposobności został obrany posłem na sejm do Warszawy. Na tym sejmie ©dzńaczył się wy- twornością wymowy, znajomością praw swoich i cudzych, a nade- wszystko powagą do tego stopnia, że natychmiast został od Rze- czypospolitój wyznaczony komisarzem do owoczesnej sprawy to- ruńskiój. Dopełniwszy tego obowiązku, pojechał z rozkazu braci deputatem na trybunał koronny, – a potem znowu na sejm grodzieński, na którym go także nowy obowiązek nie minął, bo mu- siał znów przyjąć funkcją komisarza do sprawy kurlandzkój. Tak prawie nie odpoczywał w ciągłych obywatelskich usługach. Przyszły tóż za to zasłużone nagrody: z krakowskiego stolnika niebawem podstoli wielki koronny, został nareszcie i obożnym koronnym, do czego tóż król przydał bez zwłoki i nowomiejskie starostwo. Do tego czasu nabył on swoją „pracą” rzetelną i „prawdą” tak powszechnój wziętości, zaufania i sławy, że odtąd już żadna ważniejsza narada w zamku królewskim nie mogła się obejść bez niego –a województwa krakowskie i sandomierskie rwały się poprostu o niego przy każdym obiorze do sprawowania poselstwa. Przyszło nareszcie do tego, że go zgodnym sposobem obiórano kolejną: raz Krakowianie, a następnie Sandomierzanie. Tak w roku 1732 stanął on posłem krakowskim na sejmie w Warszawie, a nawet już marszałkiem izby poselskój. Sejm ten, jak wiadomo, nie doszedł, a po nim zaraz z początkiem roku 1733 nastąpił sejm nadzwyczajny, na którym Ożarowski znów poseł, znowu go jako marszałek zagajał, – wszakże zaledwie sejm rozpoczęto, król August umarł, a tak nie pozostało nic marszałkowi, jak zgromadzenie to świetne, któremu miał przewodniczyć, żałobną mową pożegnać. Na tórn też, na tój mowie żałobnój, kończy się druga część publicznego zawodu Jerzego, – a odtąd rozpoczyna się trzecia i już ostatnia, ostatnia i najsmutniejsza ze wszystkich...

W samej istocie rzeczy żywot tego człowieka podzielił się sam ze siebie na trzy odrębne części. W piórwszój młodzieniec pełen zapału, pełen gorącej żądzy, miota się jeszcze rączj po światach marzenia, niżeliby miał zamieszkać w krainie jedncj, w której można krajowi rzeczywiste przynieść zasługi. Widzi on już natenczas czego potrzeba, ażeby tój służby dopełnić, – widzi wszystkie niedole i niedostatki swojego kraju, ale sam jeszcze nie wie, na jakiej drodze powinien dążyć do swego celu. Zawiele pragnie, zanadto ufa swym własnym siłom – i zdaje się wcale nie widzieć, że do takich ogromnych celów niómasz żadnój drogi dla niego. Dlatego błądzi, raz swoją dumą zanadto się podnosząc

wysoko, to znów skromnością spuszczać się zanadto nisko. Jakoż byłby on upadł i zginął bez żadnego wątpienia, gdyby go jego praca sumienna i prawda, będąca ostatecznym celem tej pracy, nie osłoniły od zguby. W drugiej części swojego życia staje on się człowiekiem zupełnie innym. Porzuca swoje zbawcze marzenia, porzuca nawet obszerniejsze względem ojczyzny zamiary, – i staje się człowiekiem realnym, sługą dnia dzisiejszego.

0 ile świadczą jego działania, pogodził on się zupełnie z stanem obecnym, uwierzył że narodowi może być dobrze i pod tym królem, uwierzył nawet, o ile się zdaje, że radykalnych reform wcale nie trzeba, – i oddał się tylko pracowitej służbie około tego, czego bieżące wymagały potrzeby. Tak strawił on lat kilkanaście, aż do śmierci Augusta...

Wszakże ze śmiercią króla, jak gdyby tylko na nią czekał, jak gdyby się w tórn oka mgnienu całkiem nanowo odrodził, powrócił on nazad do swoich marzeń młodzieńczych. Wierzmy chętnie, iż skłoniło go do tój zmiany tylko przekonanie wewnętrzne, przekonanie, oparte na doświadczeniach lat kilkunastu, niepodobna się wszakże ochronić domysłem, że mogły się do tego przyczynić także i powody zewnętrzne. Do tego czasu bowiem zmieniło się wszystko około niego prawie do niepoznania. Z osób, które mu były najprzyjemniejsze, prawie już nikt nie żył dotychczas; najbliżsi nawet go opuścili, porzucając i jego i ziemię tę z woli Boga na zawsze. – Zaczniemy od tych, którzy mu byli dalsi...

1 tak hetman Sieniawski, powróciwszy po zakończeniu „niemego” sejmku do Brzeżan, już prawie tylko dokwasił tych resztek życia, które mu pozostały. Ograniczony w swój dawnój władzy, niegdjrś jak wiadomo niezmiernie, rozległój, podupadły na zdrowiu, opuszczony od dawnych swych wielbicieli i prawie zapomniany przez wszystkich, nudził tylko i sobą i swoim dworem do niewytrzymania. Oddał się w końcu modlitwom i dobrym uczynkom, i nie należy wątpić, że to uczynił nareszcie z szczerego serca. – Wiele krzywd dawniej wyrządzonych przez siebie, teraz naprawił, wspomagał szczerą ręką kościoły, obdarzał hojnie ubogich i zgoła tak nie żałował swoich dostatków na złagodzenie cierpienia bliźnich, że na samo wykupno jeńców z niewoli pogańskiej wydał przeszło cztery miliony złotych. Uspokoiwszy się wreszcie i oddaliwszy od marności światowych za życia, umarł we Lwowie w roku 1726.

Zosia, pomimo odprawionych zrękwoin z Denhoffem, odwlekała to zameżcie jeszcze przez pięć lat całkowitych. Cokolwiek – bądź powiadały jej usta o hetmanie polnym litewskim, nie miała ona przecież do niego żadnego pociągu serca. Dotrzymując danego słow^Ta, poszła za niego nareszcie, – ale nie było szczęścia w pożyciu tego niedobranego małżeństwa. Niejednokrotnie wtenczas spotykała ona Jerzego w-Warszawie, cieszyła się zawsze niezmiernie, że on jest do tego stopnia ze swoją żoną szczęśliwy,

iż nawet głośno o tym mówią po całej Polsce; ale tóż za to nigdy się przed nim z tem nie tała, że jój losy są zupełnie przeciwne. Przynosiło też to Jerzemu wcale nieobojętną zgryzotę, a jak był zawsze niezmiernie surowym sędzią swoicli uczynków, tak nieraz ciężkie sobie czynił wyrzuty, że tak przeważny wziął udział w doprowadzeniu tego małżeństwa do skutku. – Wszakże niedługo trwały te smutki, albowiem już w szóstym roku po ślubie, Denhoff zszedł z tego świata, – a hetmanowa wdowa wyszła z swej własnej woli powtórnie za męża, za księcia Augusta Czartoryskiego, szczęśliwego zwycięzcę Franciszka Salezego Potockiego, który się także starał o jej rękę.

Jednocześnie z Denhoffem w roku 1728 umarł także i Stanisław Rzewuski, (dawniej pełny, a po Sieniawskim hetman wielki koronny).

Tak w przeciągu dwóch lat niespełna zeszedli z tego świata wszyscy ci trzej hetmanowie, którzy niegdyś tak uświetniali festyny brzeżańskiego zamczyska.

Niedługo po nich porzucił także tę ziemię na zawsze i teść Jerzego, zacny miecznik stężycki. Był to człowiek uposażony tómi wszystkióm od Pana Boga, czego potrzeba do szczęśliwego życia na ziemi, – mimo to jednak nagromadziło się w jego życiu daleko więćój cierni, niż kwiatów. Był on' jak wszyscy ci ludzie, którzy obrawszy nieodpowiedni swoim usposobieniem kierunek za młodu, nie mogą potem na właściwą drogę trafić przez całe życie. Ziszczają się może późniój ich dawniejsze pragnienia, – ale już wtedy im wszystko przychodzi zapóźno. Ztąd ciągly niesmak, smutki i przedwczesna tęsknota za grobem. Tak się też stało i z Bobrownickim. Ożenił się z miłości, ale zawcześnie, był tedy niby najszczęśliwszym ze swoją żoną, ale w tómi szczęściu nigdy sobie nie mógł przebaczyć, że nie dopełnił pierwój swych'obowiązków. Szlachetny zapał rwał go ciągle do wojny, którój natenczas tak pełna była Rzeczpospolita, – obowiązki względem rodziny trzymały go. więźniem na domowej zagrodzie. Ażeby sobie choć w domu otworzyć obszerniejsze pole do działań, rzucił się. ku robieniu fortuny, ale uczynił to w porę najniewłaściwszą i zakwasił sobie z tego powodu lat kilkanaście. – Ocknął się wreszcie w czasie konfederacyi, otrząsł się z owych wikłanin pionięż-nych i poszedł w służbę publiczną, – ale już wtedy opuściło go szczęście. Pracował jaknaj gorliwi ej, nie szcędził ani zdrowia, ani fortuny, ale tak nieszczęśliwie, że tylko pomagał drugim, a jego własna zasługa zgasła zupełnie przy innych. Powróciwszy do domu, zamknął się w sobie i nigdy już w świat obszerniejszy nie wyrżał. Nie przyjął nigdy żadnego urzędu, na sejmikach nawet nie bywał i zgoła całkiem się usunął od spraw publicznych. Oddany tylko rodzinie i wychowaniu dzieci, przeżył w takióm osobnieniu jeszcze lat kilkanaście – i zszedł z tego świata, znany

w ostatnich latach swego życia zaledwie w kółku najbliższego sąsiedztwa

W kilka miesięcy po nim umarła i jego żona – a na jednym dniu z nią wyzwolił się także z swych pokutniczych więzów i Murza. Stało się to prawie na samym dwunastym roku od czasu ślubu Jerzego i od jego zapisu. Było to dosyć dziwnym dla wszystkich, bo wymawiając sobie alimenty na lat dwanaście, prawie na dzień sobie przepowiedział przeciąg swój pokuty. Uważano tóż to za omen, że i?an Bóg przyjął jego pokutę i kornój duszy jego odpuścił grzechy przy śmierci. Jakoż i umarł bardzo przykładowie; rano się wyspowiadał, przystąpił do przyjęcia Ciała i Krwi Przenajświętszej, poczem poszedł do swojój celi – a kiedy zadzwoniono na obiad, on już nie przyszedł. Wyprawiono braciszka do niego, nie mógł go znaleźć, –aż go odszukał w kościele, leżącego krzyżem na ziemi u wstępu do prezbiterium, i trzymającego krucyfiks w skostniałych ręku. Dotknął go, chciał go zbudzić, – ale Murza już nie żył.

Tak odchodzili wszyscy kolejną, – tylko rotmistrz trwał ciągle, i przy życiu, i przy swojóm żelazném zdrowiu, a co najlepsza, i przy swojej nigdy niezachmurzonej fantazyi. Nie zamieszkał on wszakże nad Nidą, – próbował tego, ale mu się tutaj nie podobało. Ziemia mu jakoś rodzić nie chciała, woda mu nie służyła, chłopci go słuchać nie chcieli, a nawet i z sąsiadami nie mógł jakoś trafić do ładu; do tegoż jeszcze i jego żona trzymała z ziemią. Tak tedy nie mogąc się dołować swoich chłopów po cudzych wioskach, ani się dobić rewerencyi u butnój szlachty, która nie znając go dawniej, miała ciągle za golca i za prystasza, zabrał się z swojną kniahinią i wyniósł się do swego majątku ■ nad Dniestr. – Tam mu też zaraz było inaczej, tysiąc korcy wysiował, chował koni bez liku, chłopów zdołał utrzymać w ryzach, a i u szlachty znalazł miłość i rewerencyą. Pobłogosławił go Pan Bóg i upragnionem potomstwem- Pilnując teraz już gospodarstwa, stał się też wkrótce bardzo bogatym i do lat kilkunastu wiele włości przykupił. Ale mimo to nie odmienił ani na jotę swojój republikańskiej fantazyi i lubo się natłukł regalistów do woli, przecież ich wcale nie cierpiał. Potoccy wyrobili mu u króla obietnicę nominacyi na kasztelanią za najpiórwszym wakansiem, ale jój nie przyjął, mówiąc: – Nie wezmę. Kto to wie jeszcze, co będzie, a ja- bym nie chciał, ażeby król jegomość miał prawo nazwać mnie niewdzięcznikiem. – Żył tedy ciągle tylko z swoimi towarzyszami i przyjaciółmi, trzymał się wiernie Potockich, Tarłów i innych Stanisławowskich stronników, a przytóm czuwał pilnie nad sąsiadami, ażeby dobry duch w nich nie wygasł, obiecując im zawsze jeszcze sam przewodniczyć, jeżeli się tylko coś stanie na świecie. Jakoż istotnie był on jednym z piórwszych, którzy przybiegli do konfederacyi dzikowskiej i mimo białutkich jak mleko włosów, rotmistrzował po staremu chorągwiom przez cały przeciąg owocze-

snych zamieszek. I po staremu wrócił zdrów i cały do domu a nawet kontent przynajmniej z tego, że się znów wytłukł z Sasami. I żył jeszcze potem jakby nic nigdy, przez całe panowanie Augusta III, – itylko upragnionego Piasta na tronie już nie doczekał. Umarł nagle we Lwowie, powracając z wesela swojego syna..... .

Miał tedy Jerzy z tego nieoszacowanego rotmistrza niejednokrotną pociechę, – ale cóż z tego, kiedy go tak nielitościwie rzucali inni? Dopieroż ostatnie lata panowania dawnego króla przyniosły mu straty najboleśniej. Albowiem wtedy umarła matka jego, która jakkolwiek od dnia jego ślubu przyjęła profesję w zakonie benedyktynek, była jednakże ciągłym, niezmordowanym aniołem-stróżem jego całej rodziny. Wtedy pożegnała go także jego najukochańsza żona, zostawiając troje dzieciątek i żal niczóm nieutulony po sobie.....

Tak został on sam, na cały dom swój, ńa cały świat.. Miał przyjaciół po Polsce całej, miał ich tysiące; ale nie miał ani jednego serca, któreby nazwał wyłącznie swoim.. W takim wieku, czy w innym, w dobrej czy złej doli, zawsze jest smutnem sieroctwo! Przytłumiony jego ciężarem, zaczął tóż on się odmieniać pomału, inaczej czuć i inaczej rozpatrywać się koło siebie. Jakoż wiele z tych rzeczy, które dotychczas pochwalał, wcale mu się teraz nie podobały. Spostrzegł tóż to i owo, czego dotychczas nie widział; przypomniał sobie niejedno, co mu śród skrzętnej służby około dnia dzisiejszego wywietrzało z pamięci. Trudnoż mu było wreszcie nie widzieć jawnie, , że na nic się Polsce nie zdały te wczasy. Za jego przykładem poszedł tóż także i naród. Podupadły nauki do reszty, zachwiały się cnoty, miękkość opanowała umysły, gnuśność uspiła serca, ciemnota rozpostarła swe czarne skrzydła, a jak pod ich zasłoną dawne rycerstwo zamieniło się w zaściankowe junactwo, tak znowu martwa, bezduszna bigo tery a zastąpiła religią.

Wtedy też Jerzy porzucił się bez namysłu w objęcia stronników króla Stanisława. Ażeby mógł działać całkiem swobodnie i nie potrzebował odbiegać sprawy publicznej dla opiekowania się swemi dziećmi, pojął był wtedy Przebendowską, wojewodziankę malborską, a tak dał matkę swoim siórotom. Związek ten zbliżył go jeszcze tem bardziej do Potockich, bo Przebendowską była urodzona z Potockiów, Potoccy zaś, jak dawniej, tak tóż i teraz, wodzili rej w tem stronnictwie. Jednak niebawem gorliwością, skrzętnością, a wreszcie i wszechstronnemi zdolnościami swojemi, przepisał Jerzy nawet samych Potockich. Był on już dawniej znany królowi Stanisławowi, jego słaWa zdobyta tak wielolicznemi zasługami w ojczyźnie przedstawiła go jeszcze lepiej, toż kiedy się złączył teraz z Leszczyńskim, a był jednym z pierwszych, którzy przedarli się na Pomorze, uzyskał sobie jego ufność bez granic. Był on tóż przez cały przeciąg tych długoletnich, tak wojennych,

jak politycznych zamieszek, najczynniejszym ze wszystkich. Dzisiaj jest w kraju, wiąże konfederacye, rzuca się po województwach, gromadzi szlachtę, burzy ją, zbroi, wyprawia, to znowu jutro już jest przy królu, zasiada w radzie, wymyśla nowe źródła pomocy, załatwia korespondencye, wyprawia posły. Ułatwiwszy te sprawy, biegnie znowu do kraju, porozumiewa się z przyjaciółmi i znów powraca do króla; wylatuje potem sam jako poseł, konferuje w Berlinie, agituje w Wiedniu, biegnie do Paryża, powraca i pędzi do Carogrodu. Wszakże z tych wszystkich zabiegów nadzieje małe, owoce żadne; wraca się więc z całym zapalem na Wersal i pozostaje tam jako minister króla Stanisława przy dworze jego krownanego zięcia. Dziwnie tóż on tam pracował na tym przewrotnym dworze, dziwne tóż przebiegał koleje losu. Zrazu noszony na rękach, uwielbiany przez wszystkich, najpewniejszymi obietnicami karmiony, w końcu, ze zmianą okoliczności, omal że nie otrzymał rozkazu opuszczenia Wersalu. Rozbryzgnęły się tóż nareszcie wszelkie widoki nieszczęśliwego króla, – Sas osiadł na wieczne czasy na .polskim tronie, przepadły nadzieje Ożarowskiego na zawsze. Był to dla niego cios nader krwawy i nieledwie zabójczy. Wyrzucił się z swojój dawnój kolei, stracił połowę fortuny i dobił się za to wszystko tylko najboleśniejszego zawodu. Przyplącił też tę zgryzotę ciężką chorobą, z którój wprawdzie wyzdrowiał, ale nieprzetrawiona gorycz zawiedzionego serca i zniechęcenie tak dawniój żarliwego umysłu pozostały mu odtąd na- zawsze. Powróciwszy do kraju, mógł jeszcze napowrót zbliżyć się do kraju, mógł jeszcze napowrót zbliżyć się do tronu, mógł z łatwością otrzymać buławę polną, wejść w życie czynne i znowu służyć krajowi na takiej samój drodze, na jakiej przesłużył za Augusta II lat kilkanaście, – ułatwiano mu nawet drogę do tego, wyciągano ku niemu ramiona, –ale już wtedy ani służba publiczna, ani łaski królewskie, ani obiecowane honory nie miały dla niego najmniejszego pociągu. Skołatany stratami, wyniszczony długole- tniemi trudy, a domęczony od reszty tak ogromnym zawodem, miał przekonanie, że nic już zrobić nie można, a to co można i zabiegów nie warte. – Żył też już odtąd tylko w kole rodzinóm, prawie zupełném odosobnieniu od nowego i wcale niemiłego mu świata. Jakoż i widok tego świata, któren wciąż coraz niżój upadał, a któremu zaradzić nie było można, przybliżył jego koniec nareszcie. Umarł w roku 1741, z wielkim żalem osióroconój rodziny.

KONIEC.

ZYGMUNT KACZKOWSKI
PRZEZ
WINCENTEGO KOROTYŃSKIEGO.

->>

ZYGMUNT KACZKOWSKI.

Gdy autor Murdeliona po raz pierwszy w roku 1845 nieśmiało występował na widownię, powieściopisarstwo polskie było już w pełni rozwoju, który jak wzorzysty dywan ze stokroci w ogródcu piśmiennictwa, długo się cieszył jednostajnie pięknym rozkwitem. O sentymentalnych bajeczkach niemieckich, za których tłómaczenie i drukowanie około roku 1820 oburzały się dotknięte niemi karty pism nawet tak poważnych jak Dziennik Wileński, wcale już wówczas nie myślano. Walter-Scott, oschle tłómaczony przez Dmochowskiego i jego nieznanych akolitów, sromotnie wyrugowany przez tak zwaną „literaturę szaloną” francuzką, mógł patrzeć ze słusznem zadowoleniem zemsty, gdyby żył jeszcze, jak z kolei powieść oryginalna polska torowała sobie drogę po przez stosy właśnie naówczas pojawiających się najznakomitszych wielotomowych utworów Hugo'na, Sue'go, Balzac'a; a przedzierała się nietylko sama, lecz napowróć prowadziła za sobą chwilowo zapomnianego Walter-Scotta, którego formę zewnętrzną przejmowali pisarze tak utalentowani jak Michał Grabowski. Niestrudzony po dziś dzień i najwyżej dziś od wszystkich stojący Józef Ignacy Kraszewski, pisał już wtedy od lat piętnastu, a wśród powieści jego znajdowały się: Ulana, Budnik, Ostatnia z Księżąt Shickich i inne. Podobnie około piętnastu lat życia liczyły już Pamiątki Starego Szlachcica Litewskiego, w których Henryk Rzewuski prześcignął samego siebie, bo nigdy już potem nie zdołał wzbić się ani na chwilę do takiej wysokości artyzmu i prawdy historycznej. Ignacy Chodźko co rok wydawał nową seryę swoich Obrazów Litewskich, a jego opowiadania kwesta rza by-ly na wszystkich ustach. Józef Korzeniowski, dawno już

wycwiczony w dramacie, znany z kilku drobnych obrazków powieściowych, właśnie swoim *Spekulantem* i niezrównaną *Kolokacją* rozpoczynał świetny i nader płodny zawód pisarza powieści zakreślonych na szeroką skalę. Wielu innych' mniej głośnych lub z własnoj winy ściągających ' na siebie wyrok niepamięci, podobnie w owych czasach ukazywało się na niwie pracy powieścio- pisarskiej i dank powszechny jednało. Zdawało się, że staw^Tać do zawodu wśród takiój konstellacyi było nielada zuchwalstwem, a nie być przez nią zaćmionym do niepodobieństw należało. Zdarzyło się jednak inaczoj.

Między najpierwszym młodzieńczym wiersz³kiem Kaczkowskiego, drukowanym w jedynem pod ową porę czasopiśmie lite- rackiem lwowskióm, *Dzienniku Mód Paryzkich*, a najstarszemi powieściami ostatniego z *Nieczujów*, *Bitwą o Chorąjanką*, *Swatami na Rusi* i *Kasztelaniami Lubaczewskimi*, leżał zaledwie przedział lat pięciu czy sześciu. Ten przeciąg czasu od 19-go do 25-go roku życia pisarza, wystarczył mu do zrobienia wszystkiego co potrzeba, aby następnie jednym rzutem imię swe zanieść w najdalsze zakąty kraju, zajaśnić między najpierwszymi i zjednać sobie powszechną życzliwość. Lecz i ów mały okresik wstępny zawodu Kaczkowskiego, skutkiem utrudnionych podówczas związków literackich, był u nas prawie całkiem nieznan. Kiedy więc po raz pierwszy zjawił się w *Gazecie Warszawskiej* w roku 1852 *Mur deli o*, większa część publiczności tutejszej uderzona niezwykłością zjawiska, ogłosiła Kaczkowskiego za dziecko cudowne, za *Minerwę* w pełnym rynsztunku wychodzącą z głowy *Jowisza*. Gdy zaś następnie coraz nowe utwory młodego autora poczęły się sypać jak z rękawa, a w nich wiek XVIII ukazywał się z coraz większą dokładnością rysunku i nieprzebranemi odcieniami charakterystyki, – oddano cześć Kaczkowskiemu, jakioj najwięksi mistrze zaledwie niekiedy dostępują. Zaczęto najprzód po cichu, a potóin i głośno, zaprzeczać mu autorstwa, pomawiać o przywłaszczenie pracy współczesnego konfederacyi barskiej a zkądinąd nieznanego pisarza. Powiadano, że nurtując po bibliotekach i archiwach galicyjskich, od dawna z uszanowaniem przez nikogo nietykanych, jak ów księgozbiór klasztorny w *Monachomadiii*, Kaczkowski wydobył z kurzawy gotowe raptularze, tu i owdzie okrzesywał, posypyw^Tał kwiatami, przepisywał i dawał do druku. Nie chciano wierzyć, że bryły rodzimego złota, lubo czasami istotnie się znajdują, trafiają się tylko odosobnione, raz jeden na lat seciny, i z uszanowa- waniem przenoszą się do gabinetów—gdy całkiem takie samo złoto, przy umiejętności i pracy wytrwałej a łaskawych okolicznościach, stale wypłókuje się z piasku, albo wytapia z kwarcu. Chociaż krytyka drobiazgowa chwytala z rzadka autora na drobnych niedokładnościach historycznych, nieodstępnych od piszącego z podania, chociaż inne powieści Kaczkowskiego, snowane na tle życia i obyczajów współczesnych, żadną już miarą nie mogły być posą-

dzane o przepisaniu ze starych raptularzy, – ogół czytających na to nie zważał, a może są nawet tacy, którzy po dziś dzień przekonać się nie dali. Wszak jeszcze przed kilku laty ktoś w druku odmawiał autorstwa Pamiętek Starego Szlachcica Rzewuskiemu, który podobnie jak Kaczkowski był posądzony o przywłaszczenie pracy współczesnego wypadkom autora.

Jeżeli sobie przypomnimy, że mniej więcej w tym samym czasie z upartym niedowiarstwem usiłowano zaprzeczyć autentyczności Słowu o Pólku Igora, Pękofiismowi Królodworskiemu, Pamiętnikom Paska, prawdziwym arcydziełom twórczego ducha przeszłości, —to przyznać musimy, że jednoczesne narzucanie autentyczności utworom intuicyjnie odtwarzającym przeszłość, jest nietylko znamieniem 1 ich wysokiej wartości, nietylko największą dla autorów pochwałą, lecz zarazem dla umysłów badawczy³ch najbardziej zachęcającą do .rozwikływania zagadką. Co tym utworom nadało taką cechę prawdopodobieństwa, że jej od prawdy częstokroć odróżnić niepodobna? Jakiemi drogami szedł umysł autora, że tak się przejął wyobrażeniami i postępkami umarłych, jak gdyby obcował z nimi, podzielał ich dołę i niedołę? Ile rzeczywistości przeniosła w jego dzieła 'żywa tradycja rodzinna i krajowa, a ile dorobiła zbratana z nią wyobraźnia piszącego? Jak dosięgnął ta- kiój harmonii artystycznej między dawniejszą treścią a formą pó- żniój odlaną, że głos publiczny nie chciał uwierzyć, by owa forma nie była współczesną treści? Te i inne p^j^tania mimow^Toli nasuwały się dawniój i teraz powtórnie dopraszają się wyjaśnienia przy odczytywaniu dzieł Kaczkowskiego w nowym wydaniu. Część odpowiedzi na nie dali albo dać usiłowali rozmaici sprawozdawcy, których Kaczkowski miał wielu znakomitych i uczonych, życzliwych i niechętnych. Część inną odpowiedzi, o wiele szacownie- szą, dał sam autor na czele tomu pierwszego obecnego wydawnictwa. Część jeszcze inną, a przynajmniej wiązanek materiałów dla układającego odpowiedź, w tem miejscu zebrać zamierzono.

Nierozwikłana jest sieć pajęcza ścieżek, po których myśl pracownica krząta się około roboty; sam jój rozkazodawca i świadek bezpośredni, duch człowieka, nie zawsze umie zdać sprawę z jój krzątaniny. Tembardziej trudno dokonać tego patrzącemu ze strony, przebojem tylko wdzierającemu się do cudzój świątyni twórczości.

Wyrozumiałość tedy i pobłażanie z prawa mu się należą.

* *

p

Rodzina naszego znakomitego pisarza, pieczętująca się herbem Pomian, pisze się z Rojewa; od niepamiętnych bowiem czasów do końca wieku XVII, posiadała w Wielkopolsce wieś Rojewo, przezwaną później przez Niemców Kaczkower-Dorf. Najdawniej

szym przodkiem Zygmunta, którego historia wspomina, był Nyczko Kaczkowski, podpisany w szeregu innój szlachty na umowie koszyckiej z królową Elżbietą węgierską o zapewnienie tronu jój córce Jadwidze w r. 1383. (Vol. Leg. I). Następcy jego wspomniani przez kronikarzy i w rozmaitych aktach tak urzędowych jak prywatnych, bawili się po wszystkie czasy rzemiosłem wojennem, nie sięgając wysoko, lecz odznaczając się charakterem wytrwałym, częstokroć burzliwym, lecz nieugiętym w obec przeciwności losu, która ich nieraz trapiła. Ztąd poszło, iż jeden z potomków Nyczka położył przy herbie godło: Nec aspera tcrrent, (nie przestraszają utrapienia), co jego następcy zachowali.

Pod koniec wieku XVII, jeden z przodków Zygmunta Kaczkowskiego ożenił się z Zebrzydowską, i wzięwszy za nią obszerne j'j / . ziemie na Wodyniu, założył tam wieś Kaczkowice, i od owej daty ^urodzina ta dotrwała w tamtych stronach aż do upadku kraju. Pod- czas konfederacji barskiej, której legenda miała stać się nicią czerwoną rozmaitych utworów Zygmunta, dziad jego rodzony Józef Onufry, zastawiwszy cały swój majątek ziemski, wysztyftował półk konny, z którym okcfto dwóch lat uwijał się po rozmaitych okolicach, aż nareszcie z nielicznymi niedobitkami osiadł w r. 1770 nad Dniestrem u rodziny sobie powinowatej Dęborogów-Bylczyńskich. Tam doczekał się końca konfederacji, a po przejściu tój części Małopolski pod panowanie austriackie, osiadł na małym kawałku ziemi w pobliżu Dniestru, i w kilka lat potóm, mając lat 56, zaślubił 14-letnią Maryę Bylczyńską, która późnego dożywszy wieku, zmarła dopiero w r. 1853. Zdaje się, że mąż jej a dziad powie- ścio-pisarza, będąc jeszcze chłopięciem, miał jakiś udział w konfederacji dzikowskiej, związanej w r. 1734 przez stronników Stanisława Leszczyńskiego z zamiarem utrzymania go na tronie polskim; w każdym atoli razie ojciec jego Jakób musiał w niej znaczną od- grywać rolę, gdyż babka powieściopisarza przechowywała z owego czasu tak żywe tradycje, iż je oczywiście tylko od naocznego świadka mieć mogła. Znała ona i pamiętała czasy Augusta III i Stanisława Augusta tak dokładnie i szczegółowo, że pod każdym zgoła względem była żywą kroniką tej doby, brzemiennej w świetne pobłyski i ponure wypadki. Nie było też kąta w dawnej Polsce, z którymby nie miała ustawicznych relacyj, co zresztą ztąd pochodziło, iż mąż jój miał sióstr jedenaście, które wszystkie powydawane za mąż rozsypały się po całym kraju. To wszystko sprawiało, iż babka powieściopisarza była dla niego prawdziwą arką przymierza wspomnień rodzinnych i krajowych.

Ojciec Zygmunta Ignacy, urodzony w r. 1778, otrzymał wychowanie dosyć staranne, a pobierając nauki w Winnicy, we Lwowie i Warszawie, nazbierał wiele wiadomości, w którycli wszakże skłaniał się głównie ku przedmiotom realniejszym, górnictwu, mechanice i rachunkowości. Tym sposobem, wytwarzała się zawczasu dla 'pacholęcia w domu rodzicielskim równowaga wpływów^r,

których jednym biegunem miała być poetyczna cześć dla przeszłości uosobiona w babce, drugim realniejszy pogląd na obecny stan rzeczy wcielony w ojcu. Nim jednak do tego przyszło, Ignacy Kaczkowski, pospołu ze swym cioteczynym bratem Skrzetuskim, wstąpił w r. 1809 do wojska, i dwoma nawrotami trudnił się żołnierką do r. 1815. Ożenił się dopióro w r. 1824, i odtąd stale osiadł w dobrze znanóm z powieści synowskich Sanockiem, gdzie prawie do końca życia pozostawał. Był-to człowiek nader bystrego pojęcia i ukształconego umysłu, żartkiego dowcipu i wesołego temperamentu, wyobrażeń i form poniekąd bardziej cudzoziemskich niż polskich, ale pomimo tego miłośnik kraju. Matka powieściopisacza – trzeci żywioł przeważny w jego ukształceniu moralnem – była niewiastą cnot nieskalanych, charakteru anielskiego, cicha, spokojna, bez złości, pełna miłości dla wszystkich, oddana jedynie życiu domowemu i rodzinie. Ale ojciec lubił żyć goręcej, nie stronił od zabawy i rad u siebie podejmował gości. W domu była biblioteka i Kaczkowski utrzymywał niemal wszystkie pisma periodyczne polskie, goście zaś przywozili z sobą najnowsze książki, a częstokroć i nieogłoszone jeszcze rękopisma znakomitych utworów. Całe dni i wieczory rozprawiano o potrzebach kraju i piśmiennictwie, czytano dzienniki i deklamowano poezye, a młodociany Zygmunt umiał na pamięć całe ustępy z dzieł Mickiewicza, Słowackiego, Witwickiego, Goszczyńskiego i Gaszyńskiego, częstokroć pierwej nim kraj o ich istnieniu się dowiedział.

Urodził się Zygmunt Kaczkowski w r. 1826 we wsi Bereźnicy, w swojej ukochanej Sanocczyźnie, wśród owej braci "szlachty, którą tak umie opisywać, a o którą już ksiądz Ignacy Włodek powiadał, że jest: „do kordą nie do prawa.” Ojciec widząc w chłopięciu niezwykłą łatwość pojmovania i pamięć tak bystrą, że wszystkich wprawiała w zadziwienie, bardzo wczesnie począł go zaprzęgać do nauk. Mając lat cztery, Zygmunt umiał już czytać po polsku i po francuzku, tudzież pisać i irochę rachować; a mając lat siedm, zdał już egzamin z czterech klas normalnych, pisał poprawnie po polsku i po niemiecku i miał dobre początki języka francuzkiego. Mógłby już wtedy wejść do gimnazyum, gdyby wiek nie stał na przeszkodzie; wówczas bowiem w szkołach austriackich, podobnie jak do dziś dnia w niektórych państwach, z wielką szkodą dla umysłów szybciej się rozwijających, przyjmowano do gimnazyum dopióro po ukończeniu 10-iu lat wieku. Nic tedy nie pozostawało młodocianemu Kaczkowskiemu, tylko prowadzić dalej nauki w domu. Tak się też stało. Ojciec dał mu naówczas dwóch nauczycieli: ks. Pawła Żegestowskiego, proboszcza obrządku unickiego, męża używającego wielkiego szacunku w okolicy, który wdrażał chłopię w naukę religii, łaciny i geografii, – oraz Józefa Niklewicza, krewnego matki Zygmunta, człowieka jeszcze młodego, wysmukłego, wiotkiego, niezmiernie bladego, zawsze zamyślnego i rozmarzonego, który miał prowadzić powinowate

go do poznania wszystkich innych przedmiotów należących do pierwszych klas gimnazjalnych. O ile jednak Zegestowski pilnie się trzymał określonego programu, o tyle Niklewicz nie zważał na jego paragrafy, deklamując tylko z uczniem wiersze najrozmaitszych poetów całego świata. Był-to człowiek nader uczony, lecz z powołania wcale nie nauczyciel, tylko dla słabości zdrowia szukający górskiego powietrza, unikający szlacheckich hałasów, i dlatego właśnie chwytający się nauczycielstwa w okolicy podkarpackiej. Nauka też przez niego dawana była licha, a przynajmniej nie taka, jakiej szkoła wymagała. Niklewicz oprowadzał chłopca przez całe dni po Bieszczadach, przysiadł tu i owdzie na karpackich polanach, wydobywał z kieszeni Byrona, Szyllera, Getego lub Mickiewicza, niekiedy zaś Kochanowskiego, Karpińskiego lub Książnika, i deklamował ulubione utwory, zalecając za sobą je powtarzać. Niekiedy dla wypoczynku przypatrywano się dzikim widokom karpackim, orłom wzbijającym się po nad głowami, lub sarnom śmiało przemykającym się około niestrasznego dla nich widoku literatów. Częstokroć stojąc na szczycie Połonin, oświeceni jasnymi promieniami słońca, wśród najpiękniejszej pogody, unosili się nad bałwaniącą się pod nogami burzą i bijącymi raz po raz pioruny. W tych wycieczkach mały Kaczkowski więcej nauczył się wierszy i luźnych wiadomości z zakresu przyrodniczości, aniżeli jakichkolwiek innych nauk gimnazjalnych. Ojciec nie bardzo łaskawie patrzył na ten systemat nauki, ks. Zegestowski także protestował przeciwko temu w sekrecie, obawiając się przytóm czy w owych cudzoziemskich poetach i wiadomościach z historii naturalnej nie ma jakiej odrobiny herezy; gdy wszakże przyszedł półroczny egzamin, a uczeń dzielnie z niego wypłynął, omijając Scylle i Charybdy,—wszyscy byli kontenci, i już o zmianie systematu nauki nie tak troskliwie myślano.

Na takich uczonych zabawach zbiegły dwó'a lata, aż w końcu powiodło się Ign. Kaczkowskiemu wyrobić za wysoką protekcją w Wiedniu dyspensę dla syna, ażeby mu w 9-ym roku pozwolono zdać egzamin do pierwszej klasy gimnazjalnej.^> Korzystano z tego ustępstwa tak pilnie i skwapliwie, że w ciągu jednego roku Zygmunt zdał egzamin nie tylko z pierwszej, ale i z drugiej klasy, poczóm ojciec, by wprowadzić chłopca na tor nauki regularnej, oddał go do konwiktów dominikańskiego we Lwówie. Jednakże już widać ta regularność i ten rygor klasztorny nie były dla niego przeznaczone. Zawsze znalazła się jakaś przeszkoda, albo raczej jakiś, powód do brania go na czas niejaki na wieś, z czego to wynikało, że zawsze ks. Paweł wracał do urzędu orędownika, dawał młodzianowi nauki w domu i popisywał się z nim na egzaminach prywatnych. Tak się dokołatano do roku 1842, w którym Zygmunt Kaczkowski mając niespełna lat szesnaście, wszedł na uniwersytet lwowski, we dwa lata skończył wydział filozoficzny i wstąpił na prawny.

Atoli już o wiele wcześniej zaczął się w Kaczkowskim odzywać pochop do pisania. Będąc w klasie piątój gimnazjalnej, wy- sztyftował po łacinie rozprawę o Cyceronie, z której bardzo się cieszył owoczesny professor retoryki Janowski, późniejszy poseł do wiedeńskiej rady państwa i przywódca nieistniejącego jeszcze podówczas stronnictwa Rusinów (Ruthenów). Janowski sam w klasie odczytał to wypracowanie młodzieńca i podawał je za wzór dla jego kolegów, co oczywiście nietylko autora wzbijało w dumę, lecz i z nienagła naginało do upatrywania zawodu w piśmiennictwie. Jeden szczególnie częstokroć w taki sposób dając impuls kierunkowi myślenia, wyrokuje o przyszłości, zwłaszcza kiedy jak w Kaczkowskim grunt był przygotowany przez Niklewicta. Nim jednak spłynęło uznanie swojego posłannictwa w zawodzie pisarskim, przyszły autor Swatów na Rusi pisał po młodocianemu dla samój przyjemności pisania. Po rozprawie o Cyceronie, zjawiła się, kiedy był w klasie szóstój, satyra na wszystkich towarzyszków ławicy szkolnej, których brał w porządku alfabetycznym od piórszego do ostatniego i opisywał mieszaniną najrozmaitszych języków, więc po polsku, po rusku, po żydowsku, po niemiecku, po łacinie, po grecku, po francuzku, po włosku i po angielsku. Koledzy autora bardzo się tym wybrykiem dobrego humoru bawili; lecz gdy pisemko doszło do profesora, ten nie podzielił zdania „ogółu” i strofował Kaczkowskiego publicznie przed klasą. W odpowiedzi na tę naganę Kaczkowski wystrzelił inną satyrą na wszystkich profesorów, by zaś ją dobrze zrozumieli przeważający w gronie uczącym Niemcy, napisał ją po niemiecku, a w dodatku sparodyował wiersz swojego profesora karciciela, ułożony na powitanie wizytatora szkół biskupa. Łatwo zrozumieć, ile się z tego narobiło hałasu. Świat polski naśmiał się i ubawił, ale koło profesorów, którzy starym obyczajem, zaostrzonym niemiecką żyłką do militaryzmu, chcieli trzymać studentów niemal tak surowo jak więźniów, wielce się postępkem Kaczkowskiego zgorszyło. Zrobiono ze studenckiego figla niemal zdradę stanu, a następstwem tego było, że ojciec Zygmunta znowu miał powód zabrania go na wieś, poczem następny egzamin znów przyszło zdawać prywatnie.

Będąc na wydziale filozoficznym, Kaczkowski obyczajem wszystkich nierozwiniętych jeszcze w zupełności umysłów, rwących się do najwyższych zadań sztuki, pospolicie dostępnych tylko dojrzałemu wiekowi, długiej obserwacji i rozmyślanii nad biegiem rzeczy ludzkich, napisał wierszem niemieckim tragedję w pięciu aktach, według przepisu retorycznego wymagającego nieodzownie takiej liczby ustępów. Czytano ten utwór w kółkach akademickich, i na podstawie sądu o nim ogłoszono autora za poetę; ile w tem było słuszności, niepodobna dziś sprawdzić, tragedia bowiem nie wyszła i z pewnością nigdy już nie wyjdzie z druku, a przejrzeć rękopismu nie -mieliśmy sposobności. Obok tego wyrobu niemiec

kiego, Kaczkowski przekładał na język polski Horacego, Wirgiliusza i ułamki z Tacyta) które czytane między kolegami, jednały tłumaczowi wziętość, a co lepsza, wdrażały go do potocznego wypisywania się rodzinnym językiem, tudzież skupiania myśli w najmniejszej liczbie wyrazów, ku czemu pisarze klasycyści po dziś dzień są niemal jedynymi nauczycielami. Zresztą do wyrobienia stylu przyczyniały się też niekiedy mniej chwalebne w posłusznym uczniu zatrudnienia: Kaczkowski pisywał od czasu do czasu parodie z wykładów estetyki profesora Tangla, co bardzo bawiło towarzyszy autora i biegało z rąk do rąk jako przedmiot szczerej uciechy. Atoli już w roku 1845 napisał Kaczkowski kilka artykułów i wierszy podnioslejszej osnowy, które czytano w kółkach poważniejszych, biorących do serca coraz wyżej podnoszący się ruch literacki polski we Lwowie. Te artykuły i wiersze [otwały przyszłemu autorowi Braci Ślubnych wstęp na literackie wieczory Zakładu Imienia Ossolińskich, którym wówczas przewodniczył znany publicysta Adam Kłodziński, dyrektor tegoż Zakładu, a którymi się opiekował nieodżałowanej pamięci fundator ordynacji Przeworskiej Henryk książę Lubomirski, kurator Zakładu wyznaczony przez samego Józefa Maksymiliana Ossolińskiego, hojny pomnożyciel jego zbiorów, miłośnik i znawca pamiątek historycznych, zmarły w lat kilka później. »

Lwów, w którym przecf kilkunastu laty pierwój zdarzył się może jedyny w dziejach czasopiśmiennictwa wypadek, że wychodziło tam czasopismo zowiące się Rozmaitościami, posiadające jednego tylko prenumeratora w osobie Aleksandra hr. Batowskiego, – około roku 1845 odznaczał się już pięknym ruchem literackim, a obiecywał jeszcze więcej, gdyby nieszczęsne okoliczności nie zwichnęły młodzieńczych skrzydeł. Fredro, Pol, Bielowski, Magyszewski, Borkowski, Gorczyński byli już w kwiecie wieku, twórczości i sławy; obok nich zaczynali też występować młodsi: Szajnocha, Ujejski, Dzierzkowski, których piórsze utwory sprawiały żywe wrażenie i budziły niepłonną otuchę, że znamienici ojcowie nie zejda ze świata bezdzietni. Kilkudziesięciu innych pisarzy, którym się nie udało rozgłośno dorobić sławy w przyszłości, zajmowało się naukami i literaturą, oddając niezaprzeczoną usługę piśmiennictwu i publiczności. Mnóstwo artykułów pisanych zajmująco, przenikniętych szlachetną myślą obywatelską, drukowało się w owych zapomnianych niegdyś Rozmaitościach, oraz w niedawno powstałym Dzienniku Mów Paryzkich wydawanym przez Kulczyckiego a redagowanym przez Bielowskiego. Niepotrzeba już było podrabiać rodowodów szlacheckich do wychodzącego w Lipsku Niesieckiego, by jednać „wdzięcznych” prenumeratorów dla pisma redagowanego we Lwowie: czytanie coraz bardziej stawało się potrzebą, pisma budziły interes, więc interesowano się i piszącymi, i ich działalnością. Pisarze tacy jak Mickiewicz, Krasieński, Słowacki, wówczas dopióro zaczynali upowszechniać się

w Galieyi, dostęp do nich niezawsze był łatwy, nie rozumiano ich jeszcze jak należy, i różnostronnemi rozbiorami ich pism gorąco się zajmowano. Na wieczorach Zakładu Ossolińskich czytywano te utwory wcześniej niżeli gdzieindziej, a przy ^powadze tych zebrań i nieraz wielce nauczającej na nich dyskusyi, najwięcej tóż z odczytywania korzystano. Obok dzieł wielkich mistrzów, czytywano tam także utwory pisarzy młodych, jeszcze nieznanymi i nie- drukowanymi, co niemałym było dla początkujących zaszczytem. Niekiedy zabłąkał się na zebranie jaki pisarz polski z po za granic Galieyi, lub tóż zajrzał cudzoziemiec uczony, którego zawsze z wielką powagą przyjmowano, przedstawiając mu starszych pisarzy a zarazem i młodszych, co dla tych ostatnich było Wielką zachętą do pracy i odznaczenia się. Na wieczory w Zakładzie zawsze się prawie licznie zbierano, a kiedy miał coś czytać Pol lub Bielowski, salony były jak nabite. Łatwo zrozumieć moc zachęty dla młodych, gdy przed -setkami oczu któregośkolwiek z pomiędzy innych wyróżniono.

Zygmunt Kaczkowski, jak się sam wyraził opowiadając ten ustęp żywota Lwowa, był „Beniaminem” ow^Tych zebrań wieczornych w Zakładzie Imienia Ossolińskich. Miał dopióro lat dziewiętnaście, był wysmukły, ale nadzwyczaj szczupły i blady, prawie z kobiecóm obliczem, na którym tylko wielkie, łagodne świeciły się oczy. Stawał zawsze w jakimś skromnym kąciuku, nie mieszając się do rozmowy starszych, albo tóż panie .brały go między siebie i kazały deklamować wiersze Mickiewicza lub Krasińskiego. Nie miał jeszcze podówczas żadnego tytułu do zasługi lub sławy; lecz ludzie bystrzejszego oka i umysłu już wtedy o nim powiadali, że jest młodzieńcem pełnym nadziei i że przyszłość niepowszednia go czeka. Stary Jan Nepomucen Kamiński, który niegdyś około r. 1820 jak samotna latarnia morska wśród bałwanów żywiołu niemieckiego grasującego we Lwowie, . stał sam jeden, i-świecił, i dzwonił, wskazując niebezpieczeństwo żeglugi i drogę do przystani życia narodowego, który zatém wiele miał czasu, sposobności i potrzeby wdzierania się w skrytości przyszłych kolei ludzi i rzeczy,—Kamiński piórwszy przepowiadał Kaczkowskiemu, że „będzie coś z niego, bo umie dobrze po łacinie i pisze poprawnie po polsku.” Henryk książę Lubomirski szczególną otaczał go miłością, a Adam Kłodziński garnął obu rękami do Zakładu Ossolińskich, szepcząc w ucho młodzieńcowi: „Trzymaj się nas, tutaj dla takich wielka jest przyszłość, a takich niestetyl niewiele.”

Kłodziński, człowiek już wówczas pięćdziesięcioletni, posiadający pierwiastki wykształcenia literackiego z Uczzonego dworu księcia Czartoryskiego, autora pięknych Myśli o literaturze polskiej i nader wątłych komedyj, sam autor wywodów genealogicznych jdomu Potockich i Herburtów, był przejęty najzaciejszemi dla kraju chęciami, a Zakład Ossolińskich kochał więcej niż siebie i wiele mu przysług wyrządził, ale na przyszłość jego patrzył

oczami wychowawca swojego czasu i ludzi, z którymi obcował, co mu niezawsze słusnie a dotkliwie wyrzucano. Mówiąc o Kaczkowskim, że „takich jest niewiele,” rozumiał Kłodziński, iż Zakład powinien wedle myśli założyciela zostawać w ręku szlachty,—szlachty zaś, któraby się oddawała naukom, było podówczas w Galicji niewiele, co zresztą z niemałą dla niej szkodą i dziś poniekąd widzimy. Atoli nie wabiły jeszcze wtedy przyszłego przelewacza opowiadań Nieczui poźółkłe pergaminy i dyaryusze, gromadzone przez uczonego autora Wiadomości Historyczno-Krytycznych i dzielnego tłumacza Liwiusza: młodość kipiąca nadmiarem życia, dopominała się o swe prawa. Jakkolwiek zapisany na wydział prawny i mniój Więćój zarywający w nim wykładów, miał już naówczas młody Kaczkowski majątek Bereżnicę w Sanockim, oddany mu przez ojca na wiosnę roku 1845. Tam tóż niedługo osadził go ojciec, dodawszy mu babkę jego jako opiekunkę, i mówiąc przytem: „Zagląдай sobie od czasu do czasu do Lwowa i ucz się tam prawa albo tóż wierszopistwa, ale miój rolę i pilnuj roli, bo dla szlachcica nie masz nad plug stosowniejszego rzemiosła.” I tój jednak zachęty niemal tyle był wiernym wykonawcą co namów Kłodzińskiego. Gospodarstwo rolne niewiele go zajmowało, a passyą były konie na wsi i w mieście, tudzież rojenia o przebudowaniu świata na wzór i podobieństwo własnych młodocianych pomysłów. Koń, najwierniejszy sługa marzyciela, umiejący rzec można przejmować się jego uniesieniami, polotem i niecierpliwością, stał się najmilszym towarzyszem Kaczkowskiego. Na wsi trzymał tyle koni, ile ich stajnia pomieścić mogła, a jadąc do miasta niby to dla nauki, zabićrał z sobą tyle koni wierzchowych i powozowych, ile ich mógł utrzymać we Lwowie. Po całych dniach uganiał się na koniu albo wfaetonie, wieczory zaś w mieście trawił pomiędzy literatami albo inną młodzieżą na gorących rozprawach piśmienniczych lub społecznych. Uniwersytet pod ową porę mało co mógł powiedzieć o Kaczkowskim, bo rzadko go widywał w audytoryach. Była to jednak chwila, w której młody, wrażliwy umysł, żartując prawie zapisywał w pamięci rysy kierunków literackich, odcienie gry namiętności obserwowane w kołach rozmarzonój młodzieży, żywe rysy niedawno ubiegłój przeszłości cudnie skrytalizowane w każdym postępku, słowie i poruszeniu babki, wreszcie niezrównaną naturę w przepysznej rzeźbie i barwie Podgórze, wspartego niby ołtarz Maryacki na piersiach Karpat. Było to „zbieranie farb do obrazów/” o którym mówi wytrawny znawca takich zabawek Józef Bohdan Zaleski. Następnie z tego zasobu, jak z pełnój różnobarwnój palety, można było malować a malować, zadziwiać, a nawet przestraszać nieświadomych płodnością artystyczną.

Nim jednak do tego przyszło, musiało się przedtóm odbyć szkołę gorzkiego zawodu młodzieńczych marzeń o przekształceniu świata. Francja pod gnusnemi rządami Ludwika Filipa, skazana na bezczynność lub upokorzenia w polityce europejskiej, tem

głębiój nurtowała w sprawach domowych i tóć drażliwsze poruszała zagadnienia. Nauka i sztuka, stół biesiadniczy i trybuna sejmowa, plac publiczny i gabinet ministra, katedra professorska, a w części i kazalnica, wrzały nieubłaganym rozbiorem, kruszeniem i wymiataniem prochów dawnych przekonań. Rodził się nowy system społeczny: – socyalizm. Piastunami jego byli nietylko Blanc i Proudhon, nietylko Michelet i Quinet, ale tóć Lamennais i Lacordaire. Kaźdy z nich wprowadzie inaczej na pozór chciał uszczęśliwić ludzkość, ale jedni świadomie, drudzy nieświadomie, wszyscy w jedną szli drogę. Skoro zaś tak czuła Francya, to wówczas „serce naszój części świata,” skoro tak patrzył Paryż, to „oko Europy,” jak dowodził miany wtedy za arcy-mistrza Lamar-tine, – przeto oczywiście cała Europa tak czuć i patrzeć była powinna. Rozumie się, gdy dwaj robią to samo, nie wypadnie to samo, ale zaledwo coś podobnego. Inaczej tedy rzeczy miały się rozwinąć we Francyi, inaczej w e Włoszech, inaczej w Węgrzech, inaczej w Niemczech, a inaczej rozwinęły się, najprędzej dojrzały i najtragiczniej zakończyły w Galieyi. Rząd wiedeński widział ruch umysłowy w całym państwie, zarówno nad Padem, Dunajem, Wełtawą i Zbruczem; lecz postanowił paraliżować go częściowo, poczynając od kończyn, – i zapisała się w historii rzeź galicyjska.

Zygmunt Kaczkowski w rzędzie ruchliwych umysłów nie należał do ostatnich. Znano go z tej strony we Lwowie, znano w Tarnow^Tskim i Krakowskim, w domu Wiesiołowskich, Tyssowskiego, Rejów, w towarzystwie Dembowskiego, Goslara, Gorzkowskiego i innych. Kiedy więc po dniu 21 lutego 1846 wybuchła na skinienie z Wiednia zawierucha chłopska, Kaczkowski z ojcem którego dom po dawnemu stał otworem dla wszystkich, nie zdołał uniknąć klęski. Wielu jego towarzyszków ratowało się ucieczką do Węgier, on zaś z ojcem zostawszy w domu, dostał się w ręce jednój z band chłopskich snujących się od dworu do dworu. Odwieziono ich obu do Sanoka i oddano w ręce Niemców, którzy kazali ich zakuć w kajdany i osadzić w więzieniu, a następnie wyprawili do Lwowa. We Lwowie wówczas nie żartowano z Galicyauami, jak w Pradze nie żartowano z Czechami, a w Peszcie z Węgrami: Kaczkowscy przesiedzieli przeszło dwa lata w więzieniu, mając nad głową wyrok skazujący ojca na lat dwadzieścia fortecy, a syna na szubienicę. Nim jednak sprawa przeszła przez, wszystkie instancje, nastąpił rok 1848, który do gruntu zmienił w Wiedniu zapatrywanie się na sprawy polityczne państwa. Zmarły niedawno w Pradze cesarz Ferdynand V, tą samą szlachetną ręką i może tóć samóm piórem, które służyło do podpisania reskryptu kwietniowego zaręczającego Czechom autonomię, oraz patentów nadających całej Austrii rząd reprezentacyjny, podpisał amnestyę dla skompromitowanych w wypadkach 1846. Kaczkowscy odzyskali wolność. Ale czas przebyty w więzieniu zostawił na młodocianym umyśle Zygmunta niezatarte na całe życie wrażenie. Spłó-

wiat mianowicie dość znacznie w wilgotnych murach ów odcień rumiany wyobrażeń, którym jutrzienka rojeń barwiła przedmioty dla niedoświadczonego wzroku. Gorzkióm doświadczeniem nauczony, głębiój niż przedtóm zrozumiał 21-letni młodzieniec prawdę słów wieszczka, że chcąc naprawiać naród}', nie należy warstw wyższych społeczeństwa spychać na poziom niższych, lecz owszem te ostatnie podnosić do równości z wyższymi. Nie szlachtę „schło- pić,” lecz chłopów „zeszlaclić” stało się powołaniem jego pióra. Młodość uratowała go od rozpacz i rzucenia się w drugą ostateczność, w którą wpadały znękane umysły, a między innymi tak potężne jak Wincentego Pola. Z „Jordana” nie przedzierzgnął się w „Benedykta Winnickiego” i nie zawisnął u pańskiej klamki, ale już od tej pory dostrzegać było można, iż pójdzie w piśmiennictwie środkującą między dwiema ostatecznościami drogą „JMPana Nieczui.” Nie przewidywał może wtedy, że dostanie mu się za to i od postępowców i od zachowawców; lecz gdyby nawet przewidywał, kto wie czyby zmienił kierunek?

Kaczkowski siedząc w więzieniu we Lwowie, miał pozwolenie sprowadzać książki, jakie sam sobie wybierał. Przez pierwszy rok tedy przeczytał niemal całą wypożyczalnię książek Karola Wilda, złożoną z dzieł różnej treści, ale przeważnie beletrystycznych w języku polskim, niemieckim, francuzkim i angielskim. W drugim roku przysyłano mu książki osnowy poważniej szój z Biblioteki Ossolińskich. W swobodniejszych chwilach umysłu pisywał wiersze, które przez odwiedzające więźniów kobiety rozchodziły się po mieście. Tym sposobem gdy jeszcze Kaczkowski znajdował się pod kluczem, imię jego rozniosło się po Lwowie i wyrabiał się maleńki rozgłos literacki. Skoro więc wyszedł na wolność, świat literacki lwowski przyjął go z otwartymi ramionami jako brata i kolega. Najserdeczniej powitał Kaczkowskiego i najbliższą z nim przyjaźń zawiązał Karol Szajnocha, z którym tóż stosunki zażyłości, mimo jednej przelotnej chmurki niezgody, przetrwały dożgonu dziejopisa Bolesława i Jadwigi. Szajnocha prowadził wtedy redakcję wspomnianego już powyżej Dziennika Mód Paryzkich, przechrzczonego na Tygodnik Polski; następnie zaś porzuciwszy to czasopismo, założył w sierpniu 1848 inne pismo tygodniowe p. t. Krzyż a Miecz, które wychodziło we Lwowie do listopada, a następnie przeniesione do Poznania, jeszcze się czas jakiś ukazywało pod kierunkiem Karola Balińskiego. Kaczkowski pisywał bardzo wiele do k Tygodnika wierszem i prozą, Krzyż a Miecz zaś wychodził nawet [• pod wspólną redakcją Szajnochy, Balińskiego i Kaczkowskiego. Ten ostatni tem więcój mógł poświęcać się publicystyce, że ruch panujący podówczas w całej Europie, nacechowany widocznym stemplem wypadków lutowych zaszłych w Paryżu, nie znajdował już w nim #zbyt łatwowiernego i zbyt żarliwego zwolennika. Młody pisarz mierząc i ważąc wj^padki, budował na przyszłość wnioski,

które nie wypadają zbyt świetnie; według tego też miarkował kroki i pióro. 7 Wv

Był to, jak sam nazywa epokę 1848, rok rozmaitych bujnych widowisk:

„Gdzieindziej—pisze—walka mogła równie wielkie jak i korzystne odnieść zwycięstwa; atoli co do naszej prowincji, każdemu trzeźwieszemu oku musiało się już wkrótce okazać, że w jej granicach tylko ta jedna idea, która natenczas była dojrzała do ciałaowięcia, idea usamowolnienia wiejskiego ludu, mogła z istotnym pożytkiem wejść w życie; wszystkie zaś inne, wśród niespodzianów wolności, wyrodzonej zbyt prędko w nieświadomą swych celów swawolę, zaczęły coraz mniej odpowiednie rzeczywistym warunkom, co gorsza! coraz mniej odpowiednie naszym rodzinnym potrzebom przybierać dążności i kształty. Nie bezczynny w tój porze, lecz nie dzielący tego konwulsyjnego zapału, który nas tylko z zewnątrz ogarniał a wewnątrz żadnój nie miał podstawy, spostrzegalem z boleścią, żeśmy się nietylko w dążeniach ogólnych dali porwać prądom nam obcym, ale co większa, że w naszych szczegółowych czynnościach, brak znajomości tych niezliczonych doświadczeń, jakie na nas nasza ośmioletnia przeszłość przelała, niemal na każdym kroku uczuwać się dawał." To oczywiście studziło zapał do ruchu „więcej europejskiego niż polskiego," który ogarnawszy całą Austryę pod stopami dobrodusznego uśmiechniętego cesarza Ferdynanda, falował i w Galicyi. Jednakże podczas tych prób autonomii i federacji krajów korony habsburskiej, nie był Kaczkowski całkiem bezczynny. Na wezwanie władzy centralnej we Lwowie, udał się w rodzinne Sanockie i zawiązał tam tak zwaną radę narodową, której prezesem był jednomyślnie obwołany. Podobnie jednomyślnie mianowany był delegatem na zjazd słowiański w Pradze Czeskiej, na którym ustanowiono sformułowane przez Zygmunta Helcia zasady postępowania Słowian austriackich, po dziś dzień będące wyznaniem ich wiary i hasłem w walce ze stronnictwem centralistycznym niemieckim. Obok tego był Kaczkowski mianowany ze Lwowa organizatorem gwardji narodowej konnej sanockiej, tudzież sprawował inne pomniejszych obowiązki publiczne. Niefortunne, albo właściwiej może bezrozumne rozruchy w Wiedniu, zniechęciwszy cesarza Ferdynanda do świeżo poślubionej wolności i zmusiwszy go do złożenia korony w ręce synowca, spowodowały w całym państwie reakcję, której ofiarą musiał też paść zawód publiczny Kaczkowskiego. Po zbombardowaniu Lwowa w dniu 1-szym listopada zaczęły się ścigania, więzienia i rekrutacje tych wszystkich, którzy za nazbyt szeroko pojmowali swobody niedawno głoszone z Burgu wiedeńskiego. Kaczkowski też musiał kryć się przez kilka miesięcy po wioskach, i dopiero pod koniec zimy 1849 mógł znowu zjawić się we Lwowie, zmienionym do niepoznania nie tyle pod działaniem kul i granatów, ile w skutek rozproszenia się tamecznej inteligencji i ogólnego upadku na duchu.

Najczynniejsze i najdzielniejsze umysły najłatwiej zwykle się kruszą we wstrząśnieniach, padając z wysilenia niepowetowaną śmiercią fizyczną, lub niewiele łaskawszą śmiercią woli; wielu tedy szczególnie starszych wiekiem a młodych energią przyjaciół Kaczkowskiego spoczęło w zimnój mogile, a jeszcze więcej popadło w niemoc odludkowstwa i zupełnój bezczynności. Wielu przytóm najbliższych rówienników dostało się do więzień, poszło w rekruty, przeniosło się za Tatry do Węgier, lub jeszcze dalej poszło szukać schronienia i chleba. Agenor hr. Gołuchowski, za zręczność i energię okazaną w kierowaniu interesami miasta Lwowa w chwilach najkrytyczniejszych, właśnie był wyniesiony na godność namiestnika cesarskiego w Galieyi, i w upojeniu, które przynosi niespodziewanie zyskana szeroka władza, nieraz, jak powiadają, przekraczał granice zakreślone wymaganiem roztropności. Przejęty podejrzliwością, natchnioną rozgrywającemi się po Europie wypadkami, ciężką prawicą przyciskał wszelkie objawy samodzielności. We Lwowie, niedawno jeszcze tak gwarnym i krzątlwym, głucho panowało milczenie; tylko Zakład Ossolińskich, osłonięty wysoką powagą Henryka ks. Lubomirskiego, zachował ciepło dawnego życia. Zaczęły się w nim na nowo odbywać dawne literackie wieczory, zbierano się tóż na nie bardzo licznie, ale nie było już tego co dawniej ożywienia. Ogólne przygnębienie umysłów czuć było jak w życiu publicznóm, tak i w jego odzwierciedleniu – piśmiennictwie. Były tóż tego zachmurzenia wieczorów literackich inne jeszcze powody, a mianowicie nieukontentowania i niechęci do kierowników Zakładu Ossolińskich. Niesnaski te dzieliły świat literacki lwowski na dwa nieprzejednane obozy, doprowadziły do wzajemnych posądzeń, płodziły paszkwile, i w rezultacie przynosząc ujmę tak jednej jak drugiej stronie, poniżały ogólnie stanowisko literata, podkopywały wpływ piśmiennictwa, a najdotkliwszą szkodę wyrządziły wreszcie temu, co z obu stron brano w obronę. Od owój daty niestety! datować musimy dzisiejsze nieszanowanie pióra przez publicystykę galicyjską, a nadewszystko lwowską.

Powód do sporu dał wspomniany już Adam Kłodziński, od r. 1839 dyrektor Zakładu Imienia Ossolińskich, człowiek jak się rzekło starój daty i po trochu przestarzałych wyobrażeń, ale zresztą kierownik sumienny instytucyi, przywiązany do niój synowską miłością i o pomyślność jej więcój dbały nizeli o własne powodzenie. Atoli inaczej na to patrzano w obozie przeciwnym, który starych ludzi słuchać nie lubił, starych przekonań uszanować nie umiał, a wszystkich, co inaczój niż on patrzali *na rzeczy tego świata, ryczałtem zaliczał do głupców lub nicponiów. Niestety! znaleźli się w tym obozie dwaj ludzie rzeczywiście utalentowani, pracowici i kierujący się szczeremi przekonaniem, które tóż ich następnie oderwały od stronnictwa nieposiadającego własnych przekonań, lecz krzyżącego tylko za tymi, co krzyfczą najgłośniej. Wystąpili przeciwko Kłodzińskiemu między innymi Bielowski i Szajnocha,

■ a ich przykład pociągnął opinię publiczną, która nie mając wówczas innego żeru, z nieostygłą jeszcze wojowniczą namiętnością zajmowała się tą sprawą, z natury swojej dla ogółu niezrozumiałą, bo potrzebującą specjalnego znanstwa. Skończyło się na tym, że wszyscy od Kłodzińskiego odpadli, a pozostali przy nim jedynie: kurator Zakładu mianowany przez zmarłego Ossolińskiego Henryk książę Lubomirski, profesor literatury polskiej w uniwersytecie lwowskim dr. fil. Jan Szlachtowski, oraz Zygmunt Kaczkowski. Kilkakrotne odezwanie się tego ostatniego w obronie Zakładu, narobiło mu tylko nieprzyjaciół, a sprawie Kłodzińskiego nie pomagało. Założono wreszcie osobne pismo p. t. Pamiętnik Literacki do którego pisali głównie Kaczkowski i Szlachtowski, lecz pomagali także Leszek Borkowski, Henryk Rzewuski i inni. Wówczas to przyszło do poróżnienia się między Kaczkowskim i Szajnochą a prace poetyckie i historyczne tego ostatniego cierpko były krytykowane w Pamiętniku ostro zaciętym piórem Kaczkowskiego. Bolało to niezmiernie Szajnochę, nie płacił jednak pięknem za nadobne, lecz i owszem, gdy wkrótce powieści historyczne Kaczkowskiego ukazywać się zaczęły, Szajnocha pierwszy ogłosił się ich gorącym wielbicielem i pisał o nich nader pochlebne sprawozdania w Rozmaitościach Lwowskich. Chmurka niezgody między dwoma utalentowanymi i jednym uczuciem kierowanymi pracownikami wkrótce się rozproszyła; a Kaczkowski po dwudziestu pięciu latach od owej doby, z prawdziwym rozrzewnieniem przypominał w rozmowie przed nami o owoczesnym zachowaniu się Szajnochy.

Wszakże sprawa Zakładu Ossolińskich nie załatwiła się tak gładko jak sprawa serca między dwoma młodzieńcami. Polemika o jego kierownictwo posłużyła za pretekst do odebrania Zakładu z pod kuratorstwa Lubomirskiego, do usunięcia w r. 1850 Kłodzińskiego i zaprowadzenia administracji urzędowej, która jeżeli nie pogrzebała instytucji pod mroźnym tchnieniem rządów Bachowskich, zawdzięczać to należy jedynie dobrem dla kraju chęciom ludzi do zarządu wchodzących. Dyrektorem Zakładu Narodowego Imienia Ossolińskich został naówczas i jest po dziś dzień August Bielowski, kustoszem zaś został i był do zgonu Karol Szajnocha.

*

*

Smutny dla Kaczkowskiego był przebieg tak wypadków 1846 i 1848, jak polemiki o Zakład Ossolińskich; ale one to nadewszystko skierowały go do poświęcenia się powieściopisarstwu historycznemu. Zjść owych wypadkach na większą, i w tej polemice na mniejszą skalę, widział młody a doświadczony już myśliciel, że najcięższe zło płynęło z urywania się nici historycznej, z obumierania tradycji i obyczaju rodzinnego, który pewniój od wszelkiej

nauki książkowej wskazuje jednostkom i narodom kierunek, w jakim zmierzać powinny ku celom w kolebce im naznaczonym. Gdy tego celu dojrzyć nie można—a nie widzą go często nawet jednostki przodkujące, cóż dopiero ciała zbiorowe!—w takim razie jedynie porównanie wytycznych punktów drogi przebytych z punktem znajdowania się w chwili obecnej, wskazywać może dalszy kierunek. W podobny tylko sposób astronomowie wykreślać mogą nieznaną przed- tóń drogę nowo odkrytych planety teleskopowej, nadleciałój ku słońcu komety, a nawet samego systemu słonecznego. Najstosowniej takim punktem wytycznym przebytych części drogi, wydały się Kaczkowskiemu czasy konfederacji barskiej, w których rządząca część narodu, to jest szlachta, rozumiała już nawołujący do reform głos kanclerza w. kor. Jana Stanisława Jabłonowskiego w Skrupule bez skrupułu, króla Stanisława Leszczyńskiego w Głosie wolnym wolność ubezpieczającym, oraz pijara Stanisława Konarskiego w książce O skutecznym rad sposobie, ale jeszcze nie szukała lekarstwa na chorobę właściwą wyłącznie organizmowi swego narodu w aptekach zagranicznych, kierowanych przez encyklopedystów francuzkich i ich uczniów. Później, kiedy pielgrzymowano do Mablego i Russa, myślicieli politycznych, niezaprzeczenie znakomitych, szczerze ludzkość i swobodę miłujących, lecz nieznaną- cych warunków istnienia naszego narodu, już owe nici tradycji nadrywać się poczynęły. Z suknią staropolską zrzucano i obyczaj domowy, i poczucie wyższego posłannictwa własnego; z suknią francuzką brano na siebie obyczaj zagraniczny i ku celom nie swoim świadomie lub nieświadomie zmierzano. Te więc czasy już nie odpowiadały założeniu Kaczkowskiego. Zresztą okoliczność, że rodzinne jego Sanockie było widownią wypadków konfederacji barskiej, a dom ojczysty stanowił gniazdo pamiątek po niój i miał żywego tłumacza w babce pisarza, nie pozostawała bez wpływu na wybór tój nie zaś innej chwili dziejowej. Materiał tóż historyczny, bezpośrednio tę chwilę wyrozumieć pozwalający, najpierw podsunął się pod rękę w Zakładzie Ossolińskich, zapalił wyobraźnię i zdecydował ostatecznie wybór przedmiotu. Z całej przeszłości ta epoka najplastyczniej malowała się w wyobraźni Kaczkowskiego: musiał więc ją wybrać artysta.

Na wstępie obecnego wydawnictwa, obszerna rozprawa „Od Autora,” pisana znacznie później z przypomnienia, w miejscu gdzie było dość czasu, 'ciszy i samotności na rozpamiętywanie przebytych kolei, wtajemnicza myślącego czytelnika w materiał naukowy, z którego po wieściopisarz-dziej opis odtwarzał w swych utworach przeszłość. To nas w najważniejszym punkcie uwalnia od wyliczania wszystkich strumieni i strumyków, któremi płynęły mu zasoby do zamierzonej historii konfederacji barskiej, - zużytkowane następnie do celów artystycznych. Szereg ich bardzo długi i różnostronność nielada; rozprawa ta jednak nie stanowi jeszcze zaokrąglonej całości, autor nie wyczerpał w niój wszystkiego co miał

do powiedzenia, i liczne ułamki wspomnień pozostały na uboczu. Prócz wymienionych tam zbiorów Zakładu Ossolińskich, Pawlikowskiego., Sieniawskich, Mniszchów, Potockich, Cettnerów, Kuropa-tnickich, Rzewuskich, Sapiehów, Dzieduszyckich, Baworowskiego i innych, prócz archiwów miejskich i prywatnych rodzinnych, prócz tradycji ogólnych narodowych i wiążących się z pewnymi tylko rodzinami, miejscami a nawet przedmiotami, których tyle w rozprawie wyliczono i oceniono, były jeszcze liczne inne, które dla obfitości przedmiotu lub z innych powodów opuścić wypadło. Spotkał ten los szczególnie szersze uwagi historyzoficzne nad ogólnym przebiegiem dziejów Polski, czego bardzo żałować, musimy, bo czytelnik stracił przez to głębsze uzasadnienie ogólnego kierunku pism Kaczkowskiego, oraz wytłómaczenie takich zjawisk na pozór odosobnionych, jak nieukończony rozległy obraz historyczny Kobieta w Polsce, którego tylko tom pierwszy ogłoszono najprzód w „Bibliotece Warszawskiej” a następnie w Żytomierzu. Mając ten niezużytkowany materiał pod ręką, pozwałam tu sobie przytoczyć parę urywków, malujących sposób myślenia Kaczkowskiego w punkcie dla krytyki najdotkliwszym. Kto sobie przypomni liczne rozbiory dzieł jego około r. 1855, rozbiory w największej części arcy pochlebne dla krytykowanego, ten przypomni także zarzut, jaki mu czyniono za jego poglądy społeczne. Jedni zarzucali, że jest w swych pismach za nadto szlachcicem, drudzy przeciwnie, że nie dość po szlachecku myśli. Owoż podług własnego zeznania, Kaczkowski z następującym poglądem wziął pióro powieściopisarza do ręki:

„Idea samodzielności, samorządu narodowego wije się i wzrasta przez całe pasmo dziejów naszych. Miała ona swoją stronę ujemną jak każda rzecz ludzka: albowiem zamiast przelać się w cały naród od góry do dołu i udzielną wszystkich obdzielić, zamiast utworzyć państwo zamieszkaną przez samych obywateli udzielną w obec prawa, wcieliła się w jedną tylko warstwę społeczną i utworzyła owo fatalne wszechwładztwo szlacheckie, które mając kogo gniewić, a nie mając się kogo obawiać, musiało z czasem wy-rodzić się w swawolę, nareszcie wydało oligarchię, jeden z tych klinów, które Polskę rozparły. To były jej wady wynikające z mylnego, a raczej z ciasnego zastosowania. Lecz w gruncie- rzeczy idea ta chociaż skażona naleciałościami, chciała zdobycia dla każdego obywatela jak najobszerniejszych praw politycznych, chciała ogół obywateli uczynić allodialnym właścicielem państwa, chciała więc w teorii tego samego, co jest ostatniem słowem wszelkich dążeń dzisiejszych, czego dzisiaj świadomie i nieświadomie dobijają się ludy zachodnie. Jaki kierunek dalej ta polityczna dążność u nas wzięła, jakie w ogólności od XVI-go wieku wydawała owoce, już to każdemu za nadto z bliska jest znane z historii, ażeby potrzebował się nad tó rozszerzać... Dodam tylko, że jeżeli udział szlachty polskiej we władzy i rządzie był

większy i obszerniejszy niżeli każdej szlachty innej, rzecz oczywista, że i tradycje w jej rodzinach przechowywane mają daleko wyższą wartość w obszarze historycznej nauki niżeli gdziekolwiek indziej. Jakoż istotnie mają one pod tym względem tak wielkie znaczenie, że jak obrazu jakiejś skomplikowanej maszyny nikt nie odtworzy, dopóki budowy wszystkich pojedynczych trybów i sprężyn nie obejrzy i nie dojdzie, jak one za siebie chwytały i ruch nadawały całości, tak i dziejom naszym nikt nie nada prawdziwego koloru życia, dopóki tego ducha, który ożywia pojedyncze rodziny, nie zbada w nich samych, z nich nie dojdzie i nie przeleje w pustą dotychczas dziejową szkieletu artery..."

Z takim przekonaniem o zaletach i wadach dawnej szlacheckiej organizacji politycznej w Polsce, przystępował Kaczkowski do odtwarzania pewnych jej zjawisk w obrazach artystycznych. Dodajmy do tego, że założeniem młodego pisarza nie było schlebiać możnowładztwu odsuwającemu się od spraw krajowych, a czasem nawet kładącemu własny interes nad potrzebę ogólną. „Nierozumienie się do niczego,” za co już w Grecji Peryklesowi na śmierć gnusnych obywateli skazywano, Kaczkowski wręcz nazywa „straszną zasadą, dowodzącą najniższego upadku, bo dobrowolnego pograżenia się w nicości.” Chwila też dziejowa, którą wybrał do swojej powieści, była sama z siebie wcieleniem tego zarzutu; konfederacja barska zawiązała się nie w zamkach lub pałacach, lecz między drewnianymi ścianami dworku Józefa Puławskiego, i była ruchem nie magnackim, ale czysto szlacheckim. Świetnymi barwami maluje autor tę szlachtę poczciwą i bogobożną w domu, a gotową do ofiar na polu służby publicznej; wszakże i tóż, o ile zawiniła, bynajmniej nie oszczędza. Potężny szczególnie jest ustęp, w którym smaga zbyt liczne niegdyś rodziny pieniactwów, wśród których możni zawsze znajdowali „zręcznych sekretarzy, niezmordowanych totumfackich, nieprzegadanych szczekaczy.” Z takich to rodzin, głównie od starych jurystów i palestrantów, wyszła według paczkowskiego owa „haniebna agi tacy a” przeciwko Ustawom Sądowym kanclerza Zamoyskiego, zaręczającym pewne prawa cywilne i sprawiedliwość ludowi wiejskiemu. Nie szczędzi jednak autor gorzkich słów prawdy i przeciwnikom szlachty, którzy „w skutek wybujałych teorii socjalnych i politycznych, chcieli przeszłość zupełnie odciąć od teraźniejszości, a przyszłość zbudować z niczego, nie mając zaś siły do odcięcia przeszłości, obrzucali ją przekleństwami i błotem.” Nie przepuszcza szczególnie historykom tego kierunku, uciekającym od prawdy dziejowej w bajeczne czasy wspaniałego jakoby gminowładztwa przedhistorycznego, zniszczonego niby przez chrześcijaństwo.

Ztąd widzimy, że Kaczkowski zasiadł do powieściopisarstwa historycznego z sądem o przeszłości rzeczywiście nie dosyć szlacheckim, jeśli szlachectwo chce ktoś rozumieć jako kastę lub koterię, wyrzekającą się ciężkich obowiązków nieodłącznych od przy

wileju przodkowania innym. Ale ponieważ pragnął, by przywileje szlacheckie, czyli prawa samorządu, były złane na wszystkich, nie zaś by szlachtę odarto z przywilejów i mienia, a nawet wspomnień' rodzinnych, jak chce hasło rewolucyjne Zachodu, więc i ci mieli słuszność, którzy w jego powieściach dopatrzyli dążności szlacheckich. Spotkało go to, co zwykle spotyka ludzi umiarkowanych, stroniących od wszelkiej krańcowości: na stojącego po środku użalały się oba krańce. Szczęściem artysta ocalił myśliciela. Można z nim było różnić się w zdaniach, lecz musiano go kochać...

Nim od tych badań historycznych przejdziemy do zakończenia naszych notatek o żywiołach, któremi się karmił umysł Kaczkowskiego, by wydać kwiat i owoc w utworach artystycznych, nie możemy nie zanotować jeszcze okoliczności, iż te badania przedsięwzięte w widokach oddania się dziejopisarstwu nie zaś sztuce zmieniły swe przeznaczenie jedynie skutkiem jego wielkiej sumiennosci i podniosłego zapatrywania się na posłannictwo historyka. Zamierzywszy opowiedzieć dzieje konfederacji barskiej, a pragnąc je związać z tym co je popizdeziło, musiał koniecznie obejrzyć w przeszłości krajowej nietylko wytyczne punkta kierunku ogólnego potoku, lecz i mnóstwo jego skrętów charakterystycznych, nużących uwagę i wyczerpujących siły człowieka pojedynczego, gdy sam bez poprzednika wszystko ogarnąć zapragnie. Takimi nieprzewyciężonymi szkopałami stały się dla niego między innymi tradycje ludowe, tradycje rycerskie i tradycje hetmańskie. Pierwsze mające świadczyć o zapatrywaniu się mass na pochod dziejowy narodu, muszą jak kunsztowna mozaika układać się w całość z drobnutkich kamyków, z podañ czepiających się odwiecznych cmentarzy, placów boju, wzgórków, jezior, odłamków murów lub wielkich kamieni; potrzebują wielkiego baczenia i pracy w obrabianiu, by mogły pójść na użytek dla historyka. Tymczasem nikt się dotąd nie zajął nietylko obrobieniem krytycznym, ale nawet zbieraniem tego rozwiewnego materiału historycznego, który mógłby pozwolić szlacheckie zapatrywanie się na dzieje uzupełnić poglądem ludowym. Rola to całkiem nietknięta i wygląda nie jednego, który nicby nie wskórał, ale całych pokoleń pracowników. P. Jan Karłowicz szczęśliwą miał myśl przed kilku laty wezwać wszystkich ludzi piśmiennych, by w najprostszej formie przez niego stręczonej spisywali podania swej miejscowości. Odezwa jednak, niestety! pozostała bez skutku. Niewiele lepiój mają się rzeczy j z tak nazwanymi przez Kaczkowskiego tradycjami rycerskimi, które ujęte w całość z pozostałym materiałem pisany, wydałyby historię wojskowości w dawnej Polsce. Zbierał ku temu materiały Ambroży Grabowski w Krakowie, zbierał i ks. Andrzej Wątrowski, 'niegdyś rektor szkół pijarskich, dziś zamieszkały w Warszawie; ale jednemu zgon, drugiemu troski w wieku sędziwym nie dozwoliły zbieranych cegieł ułożyć w całość budowy. Tym spo

sobem kraj, w którym stan rycerski stanowił czoło narodu, a rzemiosło wojskowe miało za najwyższe powołanie, nie ma dotąd swojej historii wojskowości. Nakoniec nie lepiej było i z owymi tradycjami hetmańskimi, czyli z polityką wojenną w rozległym znaczeniu wyrazu. Pomimo sumiennych prac Bartoszewicza „o hetmaństwie,” materiał pisany czeka jeszcze obrobienia, a tradycja ustna już prawie zaginęła. Żyje jeszcze w tej chwili dwanaście rodzin, w których rękach była buława: Potoccy, Rzewuscy, Lubomirscy, Tarnowscy, Zamoyscy, Jabłonowscy, Chomętowscy, Sapiehowie, Sanguszkowie, Radziwiłłowie, Ogińscy i Chodkiewiczowie, oprócz tych, których przodkowie byli hetmanami, gdy hetmaństwo stało się już tylko komendą wojskową, jako są Ożarowscy i Branicki. W archiwach rodzinnych tych domów pewno się znajdzie niemało dokumentów do dziejów hetmaństwa, lecz żywe słowo podania już prawie całkiem i tam umilkło. Wygasa, że tak powiemy, namiętność historyczna, zostawiając sam rozum na placu.

To rwanie się nici między chwilą obroną do opowiadania a jej poprzedniczką, nie było zresztą jedyną dla badacza przeszkodą. Sama owa chwila, skutkiem ogromu zasobu historycznego co do jednych, skutkiem braku wszelkiego materiału co do innych okoliczności, skutkiem nieobrobienia poprzedniego a zaciemniania przez namiętność w ogóle, potrzebowałaby ofiary całego życia i nie-małej pomocy postronnej dla przeniesienia na płótno historyczne z całą prawdą i życiem. Tymczasem nie bez zasady powiada Kaczkowski, że nie znamy nawet prawdziwego początku konfederacji barskiej:— „Że zamiar jej rozpoczęcia, lubo jeszcze bez oznaczonego terminu, ale u wielu głęboko ugruntowany, istniał już w czasie konfederacji radomskiej, jest rzecz pewna; ale już podczas konwokacji ta sama dążność polityczna miała ogromną liczbę zwolenników, którzy nawet w czasie elekcji próbowali wystąpić do walki. Co większa, czemże była cała partya tak zwana „saska,” Czartoryskim przeciwna, która jeszcze za życia Augusta III jako stronictwo polityczne istniała, jeżeli nie konfederacją barską in nuce? Stosunki konfederacji z Portą i chanem, spór główny pomiędzy naczelnymi jej przywódcami wybuchły jeszcze w Barze, a przeciągnięty potem na Wołoszczyznę, koniec tego sporu i zapadające w tój samój chwili uwięzienie i śmierć Puławskiego, są jeszcze do dziś dnia tylko historyczną legendą. Cóż wreszcie powiedzieć o tem, że ledwo jest kilka chwil takich w całej konfederacji, w których jój siły dadzą się wyliczyć z matematyczną ścisłością? że są niby ważne bitwy, o których niezmiernie wiele po 'papierach hałasu, a których miejsca na pewno domacać się nie można? że wreszcie, co stanowi główną podstawę historii, chronologia, statystyka i topografia wydarzeń ruchomych—z powodu mnóstwa krzyżujących się podań i umyślnie szerzonych fałszywych wieści—są często tak trudne do ustalenia, że niekiedy zdaje się to prostóm niepodobieństwem? Zapewne krytyka i cierpliwość musi nakoniec i temu dać

radę; lecz na to nie wystarczy praca lat trzech, ani nawet dziesięciu..." „W obec więc takich doświadczeń—kończy w swym urywku Kaczkowski—rzecz oczywista, iż specjalna historia konfederacji okazała mi się niemożliwą,—zwłaszcza że byłem wtedy i jestem zawsze tego przekonania, iż rozumniej dla autora i pożyteczniej dla powszechności jest, jakiś skromniejszy, jakiś bliższy cel sobie oznaczyć i trafić w rdzeń całym ładunkiem, niżeli daleko wymierzyć, a połowę ładunku po drodze pogubić, albo go całkiem nie donieść. Takich prac historycznych mamy po dziś dzień niemało, za które wszakże tylko przez, cześć dla dobrych chęci kłaniamy się ich twórcom, bo wiemy to dobrze u siebie, że tak samo nam z nimi jak było bez nich..."

Tak tedy Kaczkowski na to pracował trzy lata od 1848 do 1851 r., ażeby uznać prawdziwość zdania Mickiewicza, który rad padał myślą na epokę konfederacji barskiej i w ogólności w uroczych ją widział kolorach, ale ze względu na jej historię powiedział: „Kiedyś... będziemy zapewne mieli piękną historię tych czasów, ale dzisiaj niełatwa z tómszą sprawą." Praca zresztą nie była stracona. Niemało już dla artysty znaczyło przeświadczenie się na dowodach niewątpliwych, że co innego w konfederacji barskiej były pozory, a co innego grunt rzeczy: „Jakkolwiek sprawa ta uważana pod szczegółowemi względami, a głównie ze względu na wywieszone sztandary i hasła, wydaje się jakob)' ostatnim czynem starój, zmurszałój, upadającój Rzecz^pospolitój szlacheckiej i za to dotąd powszechnie jest miana; przecież postawiona we wła- ściwóm sobie świetle i znaczeniu, nie jest tómszą rzeczywiście, ale przeciwnie po pięćdziesięcioletniej zupełnój martwocie społeczeństwa w nieruchomóm, zakrzepłóm w sobie, zakamieniałóm państwie, jest ona pierwszym stanowczym czynem zbudzonój ze snu tej części narodu, w którój bądź jeszcze niedogaszane stare, bądźnowsze- mi pojęciami stworzone i wcale nowe odezwąło się życie." Tak p- jęta chwila nabrała nietylko dramatyczności niezbędnój dla utworu artystycznego, ale mogła być ukochana całóm sercem przez artystę, co jedno tylko może dać życie i zdrowie jego dziełu. Praca nie była stracona nietylko dla kolorytu, dla ciała kreacyj Kaczkowskiego, ale i, dla ożywiającego je ducha, który sam jeden utrzymuje życie i zdrowie... "

Rzecz godna zapisania, że jednocześnie i w tómszym miejscu, dwaj ludzie zbliżeni do siebie stosunkami literackimi i przyjaźnią, przeszli dwie wręcz przeciwne lubo pokrewne metamorfozy twórczości. Karol Szajnocha, który podówczas miał się za niepospolitego poetę, rzuciwszy się w badanie przeszłości dla zebrania materiałów do poematów historycznych, pożegnał się z poezją a został dziej opisem. Zygmunt zaś Kaczkowski, który się zabrał do wertowania pamiątek w widokach pisania historii, skończył na tómszym, że został nierymującym poetą historycznym. Pierwszy kwiatami poe-

zyi posypał prawdę dziejową, drugi dziełom wyobraźni dał piętno prawdy dziejowej, i obaj dorobili się rozgłosu a wzięłości, jaka wybranych tylko spotyka.

* * *

Zawód pisarski Kaczkowskiego, nie licząc elukubracji i wybryków szkolnych, rozpoczął się w r. 1845 współpracownictwem do Dziennika Mód Paryzkich. Piórwszym jego umieszczonym tam utworem było rojenie wierszowane: O czóm marzyć* dalej poszły rozprawy obyczajowe: Uwagi nad chorobami moralnemi, Gorączka dowcipowa i Parafianizm; wreszcie tegoż roku ukazała się pierwsza, niepewnym jeszcze piórem kreślona powiastka Tuz. W latach następnych ciągle także spotykamy się po czasopismach z poezyjka- mi, powiastkami, artykułami okolicznościowymi i krytykami Kaczkowskiego. Atoli na prawdę zawód jego powieściopisarski rozpoczął się dopiero w r. 1851, gdy po kilkuletnich studiach historycznych, przekonawszy się, że stały zawód dziejopisa nie dla niego, że bezpieczniej w utworach imaginacji aniżeli w surowych dziełach naukowych dopowiadać z domysłu czego nie domówiły fakta,—stanowczo się odwrócił do powieści historycznej. W tym roku przybyszowym dla Kaczkowskiego, działalność jego pisarska rozwinęła się i toczyła z gorączkową niemal chyżością. Napisał podówczas prócz rozprawy o malarstwie, powiastkę Kato, oraz drugą Manim. i Papin, które lubo bezimiennie drukowane, zwróciły uwagę szer- szój publiczności na autora. To dodało ostrogi do tem usilniejszej pracy. Kaczkowski wyjechał na wieś, ażeby swobodniej pracować, i wkrótce też ogłosił: Bitwę, o Chorążankę, Kasztelaniców Lu- baczewshich, Bitwę pod Widawą, Pierwszą Wyprawę pana Marcina, Junaków, Pana Bala, Murdeliona i Męża szalonego, wszystko prawie jednym tchem napisane. Wydawnictwo tych utworów, pier- wiastkowo zacieśnione do samego Lwowa, z kąd rzeczy literackie a zwłaszcza dzienniki niedaleko sięgały,— rozszerzyło się następnie do Krakowa, w którym najpoważniejsze czasopismo tameczne odcinek swój dla młodego pisarza otworzyło,—sięgnęło nareszcie i do Warszawy, w której drukować poczęła jego prace stara Gazeta Warszawska, odrodzona pod młodym Antonim Lesznowskim i zwy- ciężko bojująca o palmę ze świeżo powstałym Dziennikiem Rzewuskiego. Gdy się te rzeczy drukowały, a Kaczkowski wyrwawszy się ze wsi, przyjechał do Krakowa celem robienia studyów w bibliotece uniwersyteckiej, na zamku królewskim i w okolicach, — przyjęto go już tam jako pisarza wyrobionego imienia. Upojony zgotowanóm ,sobie przyjęciem, podniecony sypiącemi się zewsząd wzmiankami krytycznemi o jego ut\Vorach, tem hermetyczniej znów

zamknął się na wsi i oddał zdwojonej pracy, by jak autor Dębo- roga od pochwał i nagan „bronić się pieśniami." Nader rzadko wyjeżdżając do Lwowa i Krakowa –gdzie pewnego razu spotkał się z Deotymą i wypracował wielce obszerne studium nad charakterem jej talentu poetyckiego, – napisał Kaczkowski do roku 1854 niemal dwie trzecie części wszystkich dotąd znanych powieści swoich. Poczęto mu wtedy zarzucać, podobnie jak Syrokomlr, że zbyt pośpiesznie macha piórem, że skutkiem tego wyrabia się w pisarzu zbyt obfita słowa biorąca górę nad myślą, że tu i owdzie dostrzegać się nawet daje niejako zaniedbanie formy zewnętrznej. Była bez wątpliwości część jakaś prawdy w zarzutach robionych jednocześnie powieściopisarzowi i poecie za skutki pośpiechu – rozwodzistość i nieczytelność szczegółów; nie było jednak słuszności w zarzucie głównym – oskarżaniu za sam pośpiech. Szybsza lub powolniejsza działalność umysłowa nie zależy od chęci chwilowej piszącego, lecz od natury jego umysłu i summy wpływów z zewnątrz odbieranych. Największy gwałt sobie zadając, niepodobna ani przyspieszyć, ani rozwinąć twórczej produkcji umysłu po za pewną właściwą mu granicę; również niepodobna jej powstrzymać, gdy wyobraźnia rozgorączkowana domaga się od artysty, by zdążył za jej polotem. Choćby nie wiedzieć jak drogo przypłacić się tego miało, jak Ahasverus iść się musi bez wytchnienia. Kondratowicz wątłej nerwowości budowy ciała, zapłacił za swój pośpiech życiem; Kaczkowski o wiele dzielniejszego organizmu, spłacił należność tylko niemocą.

Podupadnięcie na zdrowiu i konieczność wytchnienia spowodowały wyjazd jego za granicę, gdzie bawił po parę miesięcy w Wiedniu, Dreźnie i Berlinie, a prawie rok cały w Paryżu. W podróżach tych poznał wszystkie znakomitości polskie przesiadujące za granicą: Krasińskiego, z którym parę tygodni przepędził w Heidelbergu, Lelewela, dla którego dwa tygodnie bawił w Brukselli, Mickiewicza i Bohdana Zaleskiego w Fontainebleau, Morawskiego, Kaplińskiego i wielu innych. Zapoznał się też z niejedną znakomitością zagraniczną, a zwłaszcza pozawierał liczne stosunki towarzyskie i literackie w Paryżu. Villemain, Thiers, Quinet, Bibliophile Jacob i inni, zajmujący najpierwsze stanowiska w literaturze francuskiej, darzyli młodego pisarza polskiego życzliwością. W liczbie nowych znajomych byli także Aleksander Dumas ojciec, Dumas syn i Edmund About, którzy to dwaj ostatni właśnie dopiero wtenczas byli wystąpili ze świetnym powodzeniem na polu powieściopisarstwa we Francji. Nie wiemy czy owo ich powodzenie w powieści obyczajowej współczesnej nie skierowało Kaczkowskiego w regiony podobnych opowiadań; dość, że po drobnych obrazkach młodzieńczych, w tym dopiero czasie ukazały się dwie pierwsze obszerne jego powieści współczesne: Dziwo-Zona i Wnuczęta, dopiero zaś w kilka lat potem wystąpił na scenę Rajł'onista, a znowu w lat kilka Rozbitek i Żydowscy. Bądź co bądź, podróż

zagraniczna Kaczkowskiego nie mogła powstać bez korzystnego wpływu na jego umysł wrażliwy, umiejący podpatrywać i oceniać zjawiska. Już samo odwrócenie oczu od Galieyi, rozerwanój podobnie jak dzisiaj na dwa nieprzejednane obozy skrajnych zachowawców i skrajnych przerabiaczy społeczeństwa, przypatrzenie się tęczowemu cieniowaniu stronnictw w narodach oświeceniowych i dojrzalszych do używania samorządu, było nie lada nabytkiem. Porównywanie tego co widziało się w domu, z tym co się spotykało u obcych, otwierało myślicielowi nowe widoki, artyście nowe dawało kolory. Jakoż w istocie nawet w powieściach na tle wypadków konfederacji barskiej snowanych po r. 1854, nie trudno dojrzyć odbicia wrażeń owój podróży zagranicznej...

Atoli drogi raz przez umysł wydeptane, nigdy się nie zacierają w zupełności późniejszymi wrażeniami, i myśl częstokroć prawie bezwiednie biega po nich w samotnem dumaniu, aż znów całego człowieka pociągnie za sobą w dawne znajome okolice. Kaczkowski, który był pierwiej zaniechał pisarstwa historycznego dla powieści, powróciwszy z obczyzny zamknął się znowu w swój Bereźnicy w Sanockiem, i znów się oddał badaniom historycznym z zamiarem przejścia od powieści na pole dziejopisarstwa. Jakoż jedyna podówczas napisana jego powieść: Sodalis Marianus, nosi widoczne ślady tego zamiaru. Nie uszło to bystrego wzroku Kraszewskiego, bo pisząc o tój powieści, dobitnie scharakteryzował ją słowami: „że nie wie co czytał, czy historyę, czy powieść/” Lecz i to przeniesienie się w czasy przed-barskie, za które przedtem niedaleko wybiegał, jeszcze nie wystarczało umysłowi, który zapragnął rozwikływania najtrudniejszych zagadek historycznych. Kaczkowski oddał się studyowaniu czasów bolesławowskich, i jako owoc tych poszukiwań napisał dzieło: Kobieta iu Polsce, o któróm już powyżej była wzmianka, a którego całości, każdj kto czytał część jego ogłoszoną, z upragnieniem wyglądać musi. Można z niej było rokować, iż „w obrazowaniu” historyi krajowej przybędzie nam drugi Szajnocha.

Nieprzewidziane jednak wypadki pokrzyżowały dziejopisarskie plajiy i zamiary Kaczkowskiego. Pierwszym z tych wypadków, który go w inną odwrócił stronę, był nowy ruch niby literacki, a w gruncie społeczny, który około początku roku 1860 począł się coraz jaskrawiej uwydatniać we Lwowie. Zasiw jego datował od lat nieco dawniejszych, r objawiał się w głuchym antagonizmie między zachowawczym Krakowem a nową postępową „stolicą Galieyi i Lodomeryi.” Wszakże dopiero w tym czasie ruch począł przybierać takie rozmiary i taki charakter, że ludzi zdrowo myślących musiał przestraszyć i do” odporu pobudzić. Ponieważ dążeniom krańcowym nie sprz3fjały najpoważniejsze umysły, a te miały głos i posłuch u publiczności, chwycono się tedy środka, który tylko niedojrzałość polityczna i niewybredność towarzyska posze- pnać mogła. Każdy kto wierzył i myślał inaczej, kto ważył oko-

liczności i chciał w sposób możliwie najlepszy z nich korzystać, ogłaszany był za głupca, a kiedy niekoniecznie temu wierzono, poczęto przeciwników obwoływać jako odstępców i nie wiedzieć jakich jeszcze zbrodniarzy. Ludzie najpoważniejsi i najzasłużeńsi w kraju wyprowadzani byli kolejno „pod pręgierz opinii publicz- nój” i spychani z Tarpejskiój Skąły, by opróżnili miejsce dla kierowników tój opinii, o których zasługach nie wiedziano do tój pory, a o talentach do przewodniczenia społeczeństwu słyszano tylko po kawiarniach. W krajach gdzie opinia publiczna jest wyrobiona, gdzie stronnictwa polityczne mają rację bytu i wiedzą gdzie idą, takie zjawisko albo całkiem byłoby niemożliwe, albo jako rzecz marna mogłoby być puszczane mimo uszu. Przykładem Anglia ze swojemi staremi swobodami i swojemi staremi stronnictwy. Ale inaczej bywa tam, gdzie głos opinii zwichnięto, a zadaniem każdego stronnictwa stało się nie prowadzenie kraju ku coraz większój pomyślności, lecz panowanie nad innej stronnictwami, jak to widzimy we Francyi, z której od dawna nie zawsze dobre braliśmy wzory. Tu dla Rochefortów wdzięczne otwiera się pole, a ich Latarnie mogą liczyć na wziętość i skutek.,** W obec więc takiego objawu i niebezpieczeństwa na gruncie galicyjskim, pisarze poważni a dobrój wiary skupili się w zastęp, i od marca 1860 r. zaczęli wydawać pismo tygodniowe p. t. Kółko Rodzinne, którego zadaniem miało być przeciwdziałanie gorączkowym i krzywym prądom. W piśmie tóim wydawanem pod redakcją Jana Zacharyasiewicza i Aleksandra Szedlera, oprócz artykułów pisanych przez redaktorów, znajdujemy prace: Balińskiego Karola, Bielowskiego Augusta, Lenartowicza Teofila, Łozińskiego Walerego, Małeckiego Antoniego, Pajgerta Adama, Piłata Stanisława, Pola Wincentego, Supińskiego Józefa, Szajnochy Karola, Wagilewicza Jana, Widma- na Karola i Zawadzkiego Władysława. Te nazwiska dostatecznie przekonują, że na stronie opinij wyznawanych przez Kółko Rodzinne stał hufiec ludzi, którzy byli lub są po dziś dzień prawdziwą ozdobą piśmiennictwa krajowego.

Kaczkowski odszukany w swojój Bereźnicy i wezwany do współudziału, przyłączył się do tego grona obywatelskiego i jego programu. Jakoż odłożywszy chłodne badania historyczne na stronę, począł pisać do Lźółka k*ótkami rapsodami powieść p. t. Żydowscy, drukowaną we wspomnionóm czasopiśmie od dnia 17 kwietnia 1860. Była to „kronika rodzinna” szlacheckiego domu Żydowskich herbu Grabie, prowadzona po nici tradycyi od wieku XIII aż do ostatniej chwili, w której symboliczny „Walenty Wicher” wkręcił się między poróżnioną, lecz szukającą zgody rodzinę, by wyprawić wśród niej awanturę, właśnie odgrywającą się rzeczywiście we Lwowie. Powieść ta najmniej artystyczna ze wszystkich utworów Kaczkowskiego, kreślona grubemi rysami w celu ' robienia propagandy, poruszała jednak najważniejsze zagadnienia społeczne, głosem mocnego przekonania nawoływała do powściąg-

liwości i służby pocziwej sprawie, a tak boleśnie chód spokojnie uderzała w samo jądro różterki, że stała się przedmiotem ogólnój ciekawości, rozpraw, pochwał i zarzutów. Niebyła to już powieść, ale manifest całego stronnictwa w obstonce artystycznej.

Ledwie się jednak ta ostatnia już powieść Kaczkowskiego pisać poczęła, przytrafiła się okoliczność domowa, która w połączeniu z ową publiczną spowodowała odwrócenie się może już na zawsze od wyłącznego rozpamiętywania przeszłości z rylcem dzie- jopisarskim w dłoni. Przyjechała do Bereźnicy siostra autora Żydowskich Honorata, która zachorowawszy na suchoty i opuszczona przez lekarzy, chciała ostatnie dni życia z bratem przepędzić. Była to panna bardzo wysokiego ukształcenia, wzniosłego umysłu, szlachetnych i czystych uczuć serca, szanowana i wielbiona w szero- kiem sąsiedztwie, któremu znana była z niezmordowanego poświęcenia. Zygmunt Kaczkowski był do niej nadzwyczaj żywo prz)^f- wiązany, – a widok jój cierpień zbliżających ją z każdym dniem do grobu, widok jój spokoju i rezygnacyi, przez całe trzy miesiące duszę jego rozdzierał. Nareszcie d. 8 lipca 1860 chora przeniosła się do wieczności, a w parę dni po pogrzebie Kaczkowski opuścił Bereźnicę, ze stałym zamiarem, że nigdy tam nie wróci. Jakoż do dziś dnia nie miał odwagi zbliżenia się do grobu ukochanój siostry.

Opuszczenie Bereźnicy nader sprzyjało większemu oddaniu się sprawie, której kolory nosiło Kółko Rodzinne. Myśl zgromadzenia poważnego zastępu roztropnych patryotów i rozwinięcia sztandaru umiarkowania, zyskała byłą już w Galieyi bardzo wielu wyznawców. Myśl ta okazała się tómbardziej na czasie, ile że Kółko Rodzinne wywołało było w obozie przeciwnym wielce żywe objawy opozycyi przeciwko jego kierunkowi. Za ukazaniem się Żydowskich Kaczkowskiego, Kornel Ujejski, poeta znakomity, myśliciel mniój głęboki, a statysta zbyt bujnego polotu, wystąpił w Dzienniku Literackim z szeregiem artykułów krytycznych, w których zasady i dążenia wypowiedane w rzeczonój powieści, niemal numer po numerze roztrząsano i zbijano. Była to polemika jakich mało mamy w literaturze polskiej, polemika na wielkie Rozmiary, obejmująca kwestye najżywotniejsze, prowadzona z jednój strony z zapalem przechodzącym w zaciekłość, z drugiój ze spokojem olimpijskim i całą towarzyską układnością. Przypominało to nieuprze- dzonemu oku owe rafy rumszyskie na Niemnie, opiewane przez poetę, w których „ani się wzruszy skała w ziemię wryta, ani jój rzeka ustąpi koryta.” Zdarzyło się jednak, co w walkach podobnych nader rzadko się trafia, iż pewnego dnia Ujejski poruszony do głębi nowym ustępem powieści Kaczkowskiego, w następnym artykule swoim uchylił czapki przed uczuciami i przekonaniem przeciwnika. Był to wymowny dowód dobrój wiary szermierza przeciwnój strony, ale świadczył zarazem, iż działający z głębi przekonania, niełatwo da się od niego odprowadzić, jeżeli w ogóle

teoryc z uczuć wyrastające przekonywaniem rozumu obalać się dają. Ujejski .powrócił do bezwzględnej opozycji, a popierany przez Dzierzkowskiego, Ziemiałkowskiego, Rapackiego, Dobrzańskiego, stanowił siłę prawdziwie niebezpieczną. Widziano, że kółko kilkunastu literatów i tygodniowe pismo niepolityczne nie może stanowić dostatecznej przeciwwagi prądowi, o którym trzymano jak o Walentym Wichrze: „On gdzieś leci na ośle, a zabij go jeśli wie gdzie...” Musiano tedy pomyśleć o skojarzeniu silniejszego zastępu i założeniu organu, mogącego z większą swobodą i ostrzejszą bronią nacierać na przeciwnika. Jakoż Zygmunt Kaczkowski, Adam książę Sapieha, Seweryn Smarzewski i Ludwik Skrzyński, porozumiawszy się z sobą, postanowili założyć przede wszystkim we Lwowie dziennik polityczny, któryby nie spuszczając z oka interesów kraju, bronił zasad umiarkowania w rozwoju społeczeństwa. Postanowienie to wkrótce ostatecznie powzięto, a Kaczkowski niezwłocznie udał się w drogę dla porozumienia się z dalszymi rodakami, wyznającymi te same co on przekonania społeczne. W grudniu 1860 powrócił do Lwowa. Znalazł tam już grono składające się z siedmdziesięciu dwóch obywateli, którzy mieścili pomiędzy sobą niemal wszystko, co odznaczało się w kraju imieniem, majątkiem, nauką, talentem lub Wysokim stanowiskiem towarzyskiem. Byli w tem gronie między innymi wszyscy biskupi galicyjscy, uczeni i znakomitsi pisarze miejscowi. Zawiązano wówczas stronnictwo polityczne, a jako jego sztandar widomy, założono dziennik p. t. Głos. Dyrekcyę tego dziennika powierzono Kaczkowskiemu.

Głos zaczął wychodzić z początkiem stycznia 1861 r., w czasach wielce nieprzyjaznych dla głosu % umiarkowania i rozwagi. Godzina ścisłego sądu historycznego jeszcze dla tych czasów nie wybiła, a nie chcemy grzeszyć popoliłą w nieszczęściu przywarą zwalania winy na drugich, by nam samym nie dogryzało sumienie. Krótka więc powiemy, że polemika zawiązana między zastępami Kółka Rodzinnego i Dziennika Literackiego, bynajmniej nie nadwątląła za ukazaniem się Głosu, lecz i owszem dosięgła najwyższego szczytu rozdrażnienia i nieposzanowania cudzych przekonań. Nie przeszkadzało to jednak Zygm. Kaczkowskiemu występować bez kirysu na ulicy i na kartach swojego dziennika. Nie wiadomo do czegooby przyszło nareszcie, gdyby rząd p. Schmer- ^ linga, z pobudek dotąd należycie niewyjaśnionych, nie postarał się położyć końca sporom w sposób dosyć oryginalny. Nie poczytano za niebezpiecznych tych, którzy głośno występowali, ale tych właśnie, którzy pracując ze świadomością celu, spokojnie domagali się praw należnych prowincyi. W sześć miesięcy po wyjściu pierwszego numeru Głosu, pogrzebano go wyrokiem sądowym, a Kaczkowskiego uwięziono i skazano za zdradę stanu na pM lat twierdzy. Było to w Lipcu 1861 r.

* % *

Z chwilą owego uwięzienia zamyka się zawód powieściopisarski i publicystyczny Kaczkowskiego. Z piórem się wprawdzie nie pożegnał na zawsze, lecz już go nie miał dla publiczności. Siedząc w więzieniu u Brygidek we Lwowie, pisał w roku 1862 rozprawę: O wartości źródeł rękopiśmiennych i ustnych tradycji do historii drugiej połowy XVIII wieku; ale dał ją dopiero do obecnego wydania pism swoich, po dwunastu latach ukrywania w tece. Pracował też dalej nad studium historycznym: Kobieta w Polsce, i jeżeli się nie mylimy, ukończył je nawet w całości; dotąd jednak praca ta pożądana nie wyjrzała na światło dzienne. W kilkunastoletnim przeciągu czasu,] zjawiła się zaledwo jedna niewielka broszura Kaczkowskiego, a i to według własnych słów autora była „rzecz osobista.” Możemy tedy na tym punkcie zamknąć obraz działalności pisarskiej autora Murdeliona. By zaś czytelnikowi dać możliwość obejrzenia całości tego obrazu, zamieszczamy tu spis chronologiczny wszystkich jego utworów. Składamy przytem dzięki o. Karolowi Estrejcherowi, bibliotekarzowi ksiąźnicy Uniwersytetu jagiellońskiego, za pomoc nam wyświadczoną w zebraniu wiadomości, zwłaszcza o pracach Kaczkowskiego zamieszczanych w mało dostępnych dla nas czasopismach galicyjskich.

Utwory drukowane Kaczkowskiego, poczynając od roku 1845, w którym po raz pierwszy wystąpił na widownię, idą w następnjej kolei:

O czóm marzyć? poezya (W Dzienniku Mód Paryzkich. Lwów 1845 r.). . . . ; _

Uwagi nad moralnemi chorobami: Gorączka dowcipowa. (Tamże, tegoż roku).

Parafianizm. (Tamże, t. r.).

Tuz, powiastka. (Tamże t. r.).

Uwagi nad moralnemi chorobami: Zapalenie szlachetnej strony serca. (Tamże, 1846 r.).

Wspomnienie K. Dydyńskiego. (Tamże, 1848 r.).

Wspomnienie p. Boguszowój. (Tamże, t. r.)

Fantazya. (Tamże, t. r.).

Do Wieszczów. (Tamże, t. r.).

Obrazek. (Tamże, t. r.).

Rendez-Vous, poezya, i inne artykuły. (W Tygodniku Polskim, Lwów, 1848).

Współredaktorstwo Krzyża a Miecza. (Lwów, 1848).

Niniwa, obszerniejszy poemat wierszem. (W Pamiętniku Literackim,, Lwów, 1850).

Herburt, poezya. (Tamże, t. ,

Dwie gwiazdy. (Tamże, t. r.).-

Zapomniani. (Tamże, t. r.).

Sielanka. (Tamże, t. r.),
Dwa pokolenia, początkowe sceny dramatu. (Tamże, t. r.).
Braciszek, powtórzone wspomnienie. (Tamże, t. r.).
Rozbiór powieści „Wczoraj.” (Tamże, t. r.).
O walkach umysłowych. (Tamże, t. r.).
O powołaniu pism czasowych. (Tamże, t. r.).
Rzeczbiór powieści: „Grzechy powszednie.” (Tamże, t. r.).
O kazaniach i kaznodziejach. (Tamże, t. r.).
O przesadzie w pojęciach – krytyka Słowackiego i Krasińskiego. (Tamże, t. r.).
Ocena dzieła: „Obrazy z Życia” Celarskiego. (Tamże, t. r.).
Rozbiór dzieła: „Les Enfants de l'amour” Sue'go. (Tamże, t. r.).
Dziedzic Strwiążyka, powieść niedokończona. (Tamże, t. r.).
Domek rodzinny, poezya. (W Tygodniku Lwowskim, 1850).
O nierozumie. (Tamże, t. r.).
Kato, powiastka. (W Czasie, Kraków 1851).
Manim i Papin, powiastka. (W Czasie?? 1851).
Rozprawa o malarstwie. (?? 1851).'
Bitwa o Chorążankę, obrazek z XVIII wieku, z rękopismów. (a. W Czasie, Kraków 1851. b. Tamże odbitka nakładem Czecha 1852; 12-0 str. 50. c. W Petersburgu w zbiorze Ostatni z Nieczujów, t. I, 1853).
Kasztelanice Lubaczewscy, powieść ostatniego z domu Nieczujów. (a. W Czasie, Kraków 1851 i 1852. b. Tamże odbitka nakładem Wilda 1852; 16-0 str. II i 130. c. W Petersburgu w zbiorze Ostatni z Nieczujów, t. VI, 1855).
P#n Bal, powieść. (W Gazecie Lw<nvskiej, 1852).
Żądza dziedzictwa, powieść. (Tamże, t. r.).
Swaty na Rusi, powieść. f#. W Gazecie Lwowskiej 1852. b. W* Petersburgu w zbiorze Ostatni z Nieczujów, t. I, 1853).
Bitwa pod Widawą, powiastka. (W Dzienniku Literackim, Lwów 1852).
Pan Franciszek Puławski. (W Czasie, Kraków 1852).
Adryanna Lecouvreur, oraz inne utwory dramatyczne przekładane dla sceny lwowskiój. (Lwów, 1852 – nie wiemy czy były w owym czasie drukowane).
Murdelio. (a. W Gazecie Warszawskiej, 1852–1853. b. W zbiorze Ostatni z Nieczuj&w t. II i III, Petersburg 1853. .c. Osobno z tego zbioru, tylko bez tytułu ogólnego, 1853).
Mąż szalony, powieść, (a. W Gazecie Lwowskiój, 1853. b. W zbiorze Ostatni z Nieczujów, t. IV i V; Petersburg 1855).
Ostatni z Nieczujów, powieścią Tom I: Bitwa o Chorążankę, Junacy, Swaty na Rusi. Tom II i III: Murdelio. Tom IV i V: Mąż szalony. Tom VI Gniazdo Nieczujów, Pierwsza wyprawa Pana Marcina, Kasztelanice Lubaczewscy. (Petersburg i Mohylów, nakładem B. M. Wolffa 1853–1855. 16-0, str. 31^, 307, 387, 255., 277., 447)-
Deotyma w Krakowie, list do Redaktora Gazety Warszaw-

skiój. (a. W Gazecie Warszawskiej, 1854. b. Odbitka w Warszawie 1854, 8-0 kart 4 i str. 109).

Bracia ślubni, powieść z czasów Augustowskich, (a. W Gazecie 'Warszawskiej, 1854. Przedruk nakładem B. M. Wolffa w Petersburgu, czcionkami J. Jaworskiego w Warszawie, 1854. Tomów III; 12-0 str. 573, 366 i 352).

Dziwo-Żona, powieść współczesna, (a. W Nowinach, L^{ów} 1854 i 1855. b. Oddruk nakładem H. W. Kallenbacha, Lwów 1855. Tomów IV; 8-0 str. 250, 264, 198 i 196).

Wnuczęta, powieść współczesna. (Petersburg i Mohylów, nakład B. M. Wolffa, druk Korolewa i Sp. Tomów IV; 12-0, str. 260, 321, 280 i 271).

Bajronista, powieść współczesna, (a. W Gazecie Warszawskiej, 1855 i 1856. b. W Wilnie nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego, 1857. Tomów III: 12-0, str. 347, 359 i 335).

Stach z Kępy, powieść z życia wiejskiego ludu. (a. W Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych, Warszawa 1856. b. Osobna odbitka nakładem Kroniki, Warszawa 185,6, 16-0 str. 332).

Starosta Hołobucki, powieść z czasów Stanisława Augusta, podług opowiadania JMPanaNieczui. (a. W Gazecie Warszawskiej, 1856. b. Osobne wydanie, nakładem i drukiem S. Orgelbranda w Warszawie 1857. Tomów III; 12-0 str. 214, 217 i 260).

Annuncyata, powieść historyczna z czasów konfederacji barskiej. (a. W Kronice Wiadomości Krajowych i Zagranicznych, w Warszawie 1858. b. Odbicie osobne, nakładem S. H. Merzbacha, w Warszawie 1858. Tomów III; 12-0 str. 414, 438 i 502).

Grób Nieczui, powieść, (a. W Gazecie Warszawskiej roku 1858. b. Osobne wydanie w Wilnie, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego, 1858. Tomów IV; 12-0 str. 342, 367, 268 i 278).

Sodalis Marianus, powieść historyczna ze starych ksiąg i papierów spisana, (a. W Kronice Wiadomości Krajowych i Zagra- nicznych, Warszawa 1858. b. Osobne wydanie nakładem Gebethnera i Wolffa, drukiem J. Ungra w Warszawie, 1859. Tomów V; 12-0 str. 264, 222, 334, 238 i 257. c. Resztkę egzemplarzy powyższego wydania, z nowym tytułem i datą 1866, jako „wydanie wznowione”).

Kobieta w Polsce, studium historyczno-obyczajowe. {a. W Bi- blotece Warszawskiej 1860. b. Osobno w Żytomierzu, nakład em księgarni spółkowej p. f. Hussarowskiego, 1862. Tom I w dwóch częściach: XLII i 1–230, oraz 231–448. Zapowiedziane były trzy tomy).

Żydowscy, kronika rodzinna, (a. W Kółku Rodzinnem, we Lwowie 1860. b. Tamże przedruk osobny nakładem F. H. Richtera, drukiem Manieckiego, 1862. Tomów II; str. 252 i 288).

Rozbitek, powieść na tle wypadków galicyjskich. (Wilno, nakładem i drukiem A. H. Kirkora, 1861. Tomów III; 8-0 str. 247, 261 i 259. Powieść ta napisana znacznie pierwój, była prze

znaczona przez autora do Teki Wileńskiej redagowanej przez Kir- kora. Gdy Tekę w r. 1858 zamknięto, Kirkor ogłosił dzieło Kaczkowskiego osobno).

Redakcja Głosu. (Lwów, 1861). •

Rewolucyjne sądy i wyroki. Rzecz osobista, przedstawiona przez Z. K. (Paryż i Wiedeń, nakładem autora, 1866. 8-0 str. 87).

Listy o delegacji galicyjskiej T. Czaplí z Krakowa do Feliksa Żółcińskiego w Poznaniu. (Kraków, w drukarni uniwersyteckiej, 1869. 8-0 str. 51.) Jedni autorstwo tej broszury przypisują Zygmuntowi Kaczkowskiemu, drudzy zaś Flor. Ziemiałkowskiemu.

Prawie wszystkie drobniejsze powieści Kaczkowskiego przełożono na język czeski, chorwacki i serbski, i ogłaszano w czasopismach praskich, zagrzebskich i białogrodzkich. Na język rosyjski przetłumaczono Murdeliona (1864), Wnuczęta (1869), oraz Rozbitka. Tę ostatnią powieść tłumaczył też St. Szumlański na język francuski, i miał już niemal ukończoną, gdy nagła śmierć tłumacza przerwała pracę. Tę samą powieść tłumaczyła w skróceniu na język angielski pani S. St. Edwards; przekład miał wyjść w Edynburgu, i były już odbite trzy pierwsze arkusze, ale czy całość się ukazała, nie wiemy. Dziwo-Żonę przełożył na język niemiecki baron Paiimann; inni Niemcy tłumaczyli pomniejszych utwory i zamieszczali w czasopismach. Zresztą wszystkie niemal powieści Kaczkowskiego noszą stempel tak wyraziście narodowy, że niełatwo uczynić je dostępnymi dla cudzoziemców.

Chwila, w której Zygmunt Kaczkowski wystąpił na widownię historycznego powieściopisarstwa polskiego, nacechowana była u nas niezmiernie rozwiniętym krytycyzmem literackim, pod którym się ukrywał i w którym wypowiadał Avszelki inny, obudzony przesileniem rewolucyjnym lutym, a niemający danego sobie otwartego wpływu. Recepta na krytykę była naówczas nie taka jak później, a trudniejsza do wykonania: zaczynało się od pracy samodzielnej i przysłuchiwanie się sądom o niej, a potem dopiero, gdy ogień doświadczenia zwyciężko przebyto, ośmielano się na sąd o pracy innych, Pomimo tego, ponieważ szanse literackie roły się pracownikami, więc i na takich nie zbywało, którzy z osiwiałym doświadczeniem hetmańskim, a już co najmniej po dosłużeniu się złotych rycerskich ostróg, zasiadali na krześle sędziowskim, by wyrokować o talentach i wprawie harcerzy wchodzących w szranki. Kaczkowski był w tym względzie szczęśliwszy od wielu; miał bowiem liczne grono sędziów poważnych i doświadczonych w zawodzie, któremu sam się oddawał, kreślących dlań rady osłodzone własnymi niepowodzeniami, niosących wyrazy uznania bez względu na swoją miłość własną autorską. Wyjątki w tej

mierze były nieliczne, i pochodziły niemal wyłącznie ze stroniczych uprzedzeń politycznych, stojących po za przedsiönkiem sztuk pięknych. Rozbierali pisma Kaczkowskiego: Michał Grabowski, Lucyan Siemieński, Józef Ignacy Kraszewski, Józef Korzeniowski, Zenon Fisz, Antoni Marcinkowski, Józef Dzierzkowski, Władysław Zawadzki, Stanisław Koźmian, Andrzej Koźmian, Apollo Korzeniowski, Ludwik Kondratowicz, Antoni Pietkiewicz, Karol Szajnocha, Julian Bartoszewicz, Aleksander Tyszyński i kilku innych. W pismach rosyjskich podawali sprawozdania rozmaici, ale głównie Sękowski i Wiesiołowski; w pismach niemieckich J. Nordmann i inni. Lata 1854 i 1855, następujące po najpłodniejszym okresie twórczości artystycznej Kaczkowskiego, były najobfitsze w sprawozdania po pismach krajowych i zagranicznych. Oto zresztą chód niezupełny spis artykułów ważniejszych, poświęconych rozbiorowi pism Kaczkowskiego:

1854. W zeszycie lutowym Biblioteki Warszawskiej sprawozdanie Aleks.

Tyszyńskiego -z powodu ukazania się zbioru Powieści Ostatniego z Nieczujów. Z powodu tegoż zbioru Luc. Siemieński napisał w NN. 105, 109, 115 i 116 Czasu obszerną rozprawę, w której ocenia ważność tradycyi, charakteru w romansie i spe- cyalne tradycje sanockie u Kaczkowskiego.

W NN. 20–21 Dziennika Literackiego Stan. Piłat napisał rozprawkę: Czego żądamy od powieści jako utworu estetycznego P

W N. 45 Dziennika Warszawskiego jest porównanie powieści Kaczkowskiego z „Pamiętkami Starego Szlachcica Litewskiego.” Tamże artykuły M. Grabowskiego i J. Bartoszewicza w NN, 237, 278–281.

W Gazecie Codziennej NN. 164–168 dwa listy Mich. Grabowskiego o stanowisku powieści historycznej u nas i o Zygmuncie Kaczkowskim. Najważniejsze ze wszystkiego co pisano z powodu autora „Braci Ślubnych.”

W Gazecie Warszawskiej N. 15 artykuł Ant. Pietkiewicza. W N. 104 A. Marcinkowski ocenia „Braci Ślubnych.” W N. 223 L. Kondratowicz zastanawia się nad powieściami Kaczkowskiego z powodu recenzji Grabowskiego i Bartoszewicza w „Dzienniku Warszawskim.”

W Nowinach Lwowskich NN. 1 – 3, 15, 16, 72 i 73 rozbiory J. Dzierzkowskiego.

1855. W Bibliotece Warszawskiej, w zeszycie lipcowym, rozprawa L.

Jakubowskiego o powieściach Kaczkowskiego.

W Dzienniku Warszawskim artykuł F. H. Lewestama

0 Kaczkowskim w N. 15 z powodu „Męża Szalonego”

1 „Wnucząt.”

W Gazecie Warszawskiej artykuły Zen. Fisza, w N. 16, 47, i45> 238, 248 z przerwami do 280. Ocenia tu między innymi „Męża Szalonego” i „Wnuczęta,” oraz polemizuje z L. Jakubowskim.

W Nowinach Lwowskich rozbiór „Wnucząt.”

1856. W Dzienniku Literackim rozbiór „Starosty Hołobuckiego.”

W Dzienniku Warszawskim NN. 54 – 57 And. E. Koźmian rozwodzi się nad powieściami Kaczkowskiego, a zwłaszcza nad „Bajronistą.”

1857. W Dzienniku Literackim NN. 14 i nast. rozbiór „Stacha z Kępy.” Tamże w NN. 43–46 sprawozdanie Dziekowskiego z „Bajronisty.”

W Rozmaitościach Lwowskich ocena „Stacha z Kępy” przez K. Szajnochę.

1858. W Dzienniku Literackim NN. 14 – 18 rozbiór „Grobu Nieczui” przez Dzierzkowskiego. Tamże w NN. 20– 23 rozbiór „Annuncjaty*” przez Wład. Zawadzkiego.

1859. W Gazecie Warszawskiej J. I. Kraszewski pochlebnie ocenia powieść „Sodalis Marianus.” Sprawozdanie to powtórzone w Dzienniku Literackim N/41 tegoż roku.

1860. W zeszycie marcowym Biblioteki Warszawskiej znajduje się ocenienie ogólne zawodu powieściopisarskiego Zygmunta Kaczkowskiego, oraz wyliczenie dzieł jego.

W Dzienniku Literackim K. Ujejski prowadził polemikę z powodu „Żydowskich.” Mając na celu nie rozległe i trudne ocenienie całej rozciągłości zawodu Kaczkowskiego, lecz daleko skromniejsze i dostępne wśród codziennych kłopotów dziennikarskich zebranie wiązki materiału dla ułatwienia czytelnikowi słusznego sądu o pisarzu— tem bardziej nie będziemy tu się wdawali w drobiazgową krytykowanie krytykujących. Zarzucano naszemu autorowi pośpiech i niewykończenie z pewną słusnością co do niektórych utworów; zarzucono mniej słusnie zbyt czarne malowanie stosunków społecznych w powieściach współczesnych; zarzucano całkiem niesłusznie przesadzone jakoby idealizowanie przeszłości w powieściach historycznych. My, nie zamykając oczu na niektóre przypadkowe usterki treści i formy dzieł Kaczkowskiego, trzymamy w ogóle z tymi, którzy za nim się ujmowali, a których było więcej liczbą i znaczeniem od przeciwników. Sądy ich w barwnym obrazie poetyckim streściła Deotyma, dedykując Kaczkowskiemu w r. 1860 swój poemat Sobieski pod Wiedniem:

Ty wiesz, ty czujesz, czóm jest przeszłość nasza, Gdzie sosny wspomnień pod śniegami gwarzą,

I gdzie tłum podań z kryształową twarzą Do chatki serca przechodnia zaprasza. Ty wiesz, bo nieraz siadłeś u tej strzechy, Z kubka pamięci piłeś miód pociechy; A w samotności nie czułeś ponęty, Nas wwiodeś w progi domowych bożyszezy, I dałeś czarę, ' na' której dnie błyszczą Obraz przeszłości zaklęty.

A nad tą chatką wznoszą się zamczyska, Kędy poezya swe bluszcze rozpina; A pod zamkami rzeka z łez ppływa, . A z dwóch stron rzeki szeleści dolina, Gdzie bielejący od grobów stuleci Smętarz krwawemi różami się kwieci. Twój duch nas wodzi w tych zamkach żałoby, Groźnych posągów odżywia nam rysy, I wielkie plemion okazując groby, Czyta w pół-starte napisy.

Na głos młodzieńca, z pod białych kamieni Powstają siwe karmazyny nasze; Powstają z duszą silną jak pałasze, Prostą jak skiba; powstają zdumieni, Że nim zabrzmiała trąba archanioła, Już głos człowieka do życia ich woła!... Tobie więc święcę tę pieśń z dawnych czasów, Różczka to liśćmi dwustu lat spowita; Przyjm tę gałązkę z wawrzynowych lasów, Któremi przeszłość zakwita...

* * *

Przesiedziawszy półtora roku w więzieniu. Kaczkowski wyszedł z niego za amnestią cesarską w końcu roku 1862, ale do pracy literackiej już nie wrócił; chwila zresztą nie była po temu. Chaotyczne wzburzenie umysłów w Galicyi nie dopuszczało głosu zimnego rozsądku, a Kaczkowski miał tyle samodzielnego sądu, że ważył się odwoływać do wyroków rozważliwych. Posypały się więc na niego zaiste nie złą wolą, lecz uniesieniem dyktowane oskarżenia, jak się sypały wówczas na ludzi najwyżej stojących w społeczeństwie, – a były tak uprzykrzone i natarczywe, że ujrzał się zniewolonym opuścić Galicyę. W Styczniu 1864 wyjechał za granicę, zostawiając na bożój opiece dom na wsi, dom we Lwowie i ojca na łożu śfrierielnym. Pojechał najprzód do Włoch, dla

spotkania się w Turynie z bratem swoim Walerym, który w rok później poległ w Meksyku. Następnie udał się do Paryża, gdzie jako w mieście z dawna sobie znajomóm, stale zamieszkał. Nie usuwał się tam od rodaków, owszem był każdemu na usługi; kiedy zaś poczęło mu się nieco lepiój powodzić, dom jego stał się otwartym przybytkiem dla wszystkich, a kieszeń do rozporządzenia potrzebnych. Atoli razżalony na społeczeństwo, wśród którego za dobre jego chęci pojono go piołunem, nie miał dość woli i odwagi, by powrócić do pracy w piśmiennictwie krajowóm. Oddał się studjom ekonomii politycznej i skarbowości; później zaczął pisywać do dzienników francuzkich, angielskich i niemieckich. Wkrótce wyrobił sobie za granicą tyle uznania, iż zyskał wstęp do najwyższych sfer finansowych, i zaczął sam brać udział w operacjach pieniężnych. Niejakie powodzenia odniesione na tómu polu, zniewoliły go do pozostania przy dorywczo obranóm zajęciu, i teraz od lat ośmiu mieszka po trochu w Paryżu, częścioj zaś w Wiedniu, tu i tam pracując na polu finansowóm...

Czyżby istotnie taki miał być koniec zawodu znakomitego pisarza polskiego? Mieliśmy już podobny przykład, i z tychże samych pobudek, na niezmordowanym badaczu Michale Wiszniewskim, iż struty zaszcłemi w Krakowie wypadkami 1846 r., w których pragnął tryumf rozsądkowi zapewnić, zaniechawszy swój pomnikowój Histoę i Literatury, opuścił kraj na zawsze i oddał się bankierstwu we Włoszech. Mamy jednak powody przypuszczać, że Kaczkowski, może nawet niezadługo, przestanie naśladować zaraźliwy przykład Wiszniewskiego. Są obowiązki, od których nie uwalniają ani doznane zawody, ani wycierpiane przeciwności, ani zatrucie się serca goryczą. Kiedy Elias strapiony uszedł był na puszcę z ojczyzny, Pan doń zawołał: „Vade et rewertere in mam tuam!” I powrócił.
Warszawa, 1875.

KONIEC.

H

I

I

I

Wm

35!
\\⁴ a»

Blf iidF

41
Alk
Kii J

K